

Narzęczona nazisty

GENIALNA.
NIGDY JEJ NIE
ZAPOMNISZ.

PRZEPIĘKNA.
NAJWIĘKSZE
ODKRYCIE TEGO
ROKU!



BARBARA
WYSOCZAŃSKA

FILIA

BARBARA
WYSOCZAŃSKA

Narzęczona
nazisty

FILIA

PROLOG

marzec 1950

Warszawa

Bibliotekarka Hania Wolińska unikała nieznajomych. Każdy nieznajomy mógł być wrogiem, komunistycznym konfidentem, więc jej wyczulone na zagrożenie zmysły podpowiadały jej, że lepiej nie wdawać się w rozmowy z kimś, kogo się nie zna. Teraz stała w progu czytelni biblioteki uniwersyteckiej i przyglądała się ukradkiem tajemniczej damie siedzącej na ławce niedaleko szatni. Elegancka sylwetka nieznajomej wyraźnie odróżniała się na tle odrapanej ściany, nieodświeżonej jeszcze po wojennych zniszczeniach. Studenci opuszczający bibliotekę zerkali na damę z zaciekawieniem, niektórzy wręcz pożerali ją zdumionym wzrokiem. Była zbyt ufryzowana, zbyt wystrojona, w pełnym, nieco teatralnym makijażu. Jednak najbardziej uderzające było to, jak bardzo nie pasowała do tego miejsca.

Bibliotekarka powoli i trochę niechętnie, wyraźnie kulejąc na prawą nogę, ruszyła w jej kierunku. Kuśtykając, odruchowo wygładziła dłońmi plisy kraciastej spódnicy, jakby ten gest miał choć w niewielkim stopniu poprawić jej skromny wygląd, tak mocno kontrastujący z elegancją nieznajomej.

– Dzień dobry. Czy my się znamy? Podobno chciała pani ze mną rozmawiać?

Dama wstała z ławki i śmiało spojrzała Hani w oczy. Kącik wyszminkowanych ust uniosła w delikatnym uśmiechu.

– Witaj, Haniu – rzekła po niemiecku, wyciągając dłoń w skórzanej rękawiczce. Na jej gładkiej, wypielęgnowanej twarzy nie było ani

jednej zmarszczki, a zielone oczy, mimo że straciły dawny dziewczęcy blask, wciąż spoglądały bystro i magnetyzująco.

– Nina! – Bibliotekarka zachwiała się lekko, jakby w panice, i zrobiła dwa kroki w tył, ale niemiecka hrabianka Nina von Richter złapała ją pewnie za ramię i mocno przytrzymała.

– Wiem, że jesteś zaskoczona... I masz do tego prawo.

Hania wyrwała ramię z uścisku kobiety.

– Co tu robisz?! Jak mnie tu znalazłaś?! – wyrzuciła z siebie po niemiecku, pamiętając, że Nina nie zna polskiego.

– Wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw pójdźmy w jakieś bezpieczniejsze miejsce – to powiedziawszy, Nina von Richter popatrzyła znacząco na woźnego, który wyłonił się z głównej sali i teraz stał nieco przygarbiony w pewnym oddaleniu, przyglądając się obu kobietom z plotkarską ciekawością.

Hania zerknęła najpierw na pana Witolda, a później na Ninę. Starła się być opanowana, ale wewnątrz czuła narastające napięcie. Znała Ninę, choć nie widziały się od dawna, a właściwie od 1939 roku, kiedy to Hania po raz ostatni była w Monachium.

– Wybacz, ale raczej nie mamy sobie nic do powiedzenia – odparła sucho i nieco wyniośle.

– Owszem, mamy! I to bardzo dużo – rzuciła Nina z sarkazmem, mierząc wzrokiem grupkę studentów opuszczających gmach biblioteki. – Przyjechałam do Warszawy wyłącznie z twojego powodu. Jesteśmy rodziną, pamiętasz?

Hania gorączkowo pokręciła głową.

– Bzdura! – syknęła. – Wiesz, że to niebezpieczne... Jesteś Niemką. Niemcy nie są tu mile widziani!

– Wiem, a jednak zaryzykuję. Póki co w Warszawie nic mi nie grozi, a musiałam się z tobą zobaczyć. Chodzi o Johanna...

Johann. Na dźwięk tego imienia Hania poczuła nagłe drżenie. Przez ułamek sekundy kobiety mierzyły się wzrokiem, obserwując bacznie swoje reakcje na wspomnienie mężczyzny, który dla jednej był bratem, a dla drugiej mężem.

– Nie żyje? – zapytała Hania, tłumiąc emocje. – Przyjechałaś mi to powiedzieć? – Boleśnie wbiła palce w ramię, jakby chciała przebić się paznokciami przez materiał koszuli, aż do skóry. Ból fizyczny był

mniej dotkliwy niż ból serca, a bibliotekarka za wszelką cenę starała się opanować narastające drżenie, które mogłoby zdradzić, jak bardzo poruszyło ją wspomnienie o mężu, którego nie widziała od czasów wojny i o którym uparcie próbowała zapomnieć.

Nina von Richter przyglądała jej się z uwagą, aż wreszcie pokręciła głową.

– Żyje. I właśnie dlatego tu jestem. Chcę cię do niego zabrać.

– Żyje...! – Hania wypuściła gwałtownie powietrze jakby z urywanym szlochem, ale trwało to tylko ułamek sekundy, bo w okamgnieniu opanowała wzruszenie, chcąc udać, że ta wiadomość nie zrobiła na niej większego wrażenia. Ileż to razy uczyła się właśnie tak reagować! W ilu sytuacjach zachowywała zimną krew, podczas gdy jej serce rozpadało się na tysiąc kawałków! Była twarda i silna. Tak ją wyszkolono i taka pozostała. To była jedyna skuteczna tarcza obronna przed złymi ludźmi i przed sobą samą.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, ale... Idź już. Zrozum, nie mogę... – Uśmiechnęła się blado.

– Nie bądź głupia! Mój brat żyje, a ty jesteś jego żoną, chyba powinniśmy o tym porozmawiać!

– Nie mamy o czym. Co było kiedyś, jest przeszłością. Mam tu swoje życie, pracę. Odejdź, daj mi spokój!

Nina zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Wyjdę na zewnątrz i poczekam. Wiem, że zaraz zamykacie.

Bibliotekarka westchnęła. Irytował ją upór Niny. Odwróciła się sztywno na pięcie i bez pożegnania udała do głównej czytelni, zostawiając Niemkę samą, jeśli nie liczyć gapiących się na nią studentów. Wiedziała, że szwagierka ją obserwuje. Czuła na sobie jej wzrok, odgadła, że lustruje jej skromny strój, zbyt szczupłą sylwetkę i chwiejny krok. Czy Nina porównywała ją do dziewczyny, którą poznała dwanaście lat temu? A może właśnie doszła do wniosku, że pozał się Boże bibliotekarka nie jest godna być żoną jej brata?

Nie była zdziwiona, kiedy pół godziny później po wyjściu z gmachu biblioteki zastała hrabiankę von Richter stojącą w wielkopańskiej pozie tuż przy luksusowym mercedesie. Widok był o tyle

niecodzienny, że po ulicach podnoszącej się z gruzów Warszawy nie jeździły aż tak drogie samochody. „Prezydent Bierut pewnie padłby trupem z zazdrości na widok tego cacka” – pomyślała z przekąsem, równocześnie przypominając sobie upodobanie Niny do wszelkiego przepychu.

– Jak zwykle uparta jak wół! Tyle lat minęło... Po co ci ta rozmowa? Czyżbyś stała się sentymentalna?

– Za to ty jesteś bardziej zadziorna niż kiedyś.

Hania zmarszczyła brwi.

– No cóż... Życie mnie tego nauczyło.

– Nie mam co do tego wątpliwości – przyznała Nina z powagą w głosie. – Niełatwo było cię znaleźć, Panno Nikt. Szukałam cię kilka miesięcy. Dobrze się ukryłaś w Warszawie.

– A jednak mnie znalazłaś, więc teraz możesz już wracać do domu! – Hania ze złością machnęła ręką w stronę auta. Jego czarna karoseria lśniła bardziej niż eleganckie pantofle Niny. Nawet przypadkowi przechodnie odwracali głowy i przyglądali się pojazdowi. – Nie należymy do tego samego świata! Nie widzisz tego?! Czego ode mnie chcesz?

Nina wzruszyła ramionami i z westchnieniem pokręciła głową.

– Ja niczego. Nie jesteś mi do niczego potrzebna. To mój brat cię potrzebuje.

Hania odruchowo odwróciła głowę w przeciwną stronę, udając, że patrzy gdzieś w dal, i tym samym dać sobie czas na opanowanie emocji. Stała na chodniku, drżąc z zimna i nie mając śmiałości spojrzeć na tę elegancką kobietę, która była jej szwagierką. Bała się dostrzec w jej twarzy jakiś znak, który wzbudzi w niej nadzieję – tę, na którą nieświadomie przez tyle lat czekała, a której z drugiej strony wypierała na wszystkie sposoby.

– Zatrzymałam się w Hotelu Polonia – rzekła Nina, widocznie niezrażona jej odmową. – Przyjdź do mnie, kiedy będziesz gotowa. Teraz nazywam się Nina Howard. Jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych. – Po tych słowach wierzchem dłoni zastukała w szybę na szofera, który wyskoczył z samochodu i usłużnie pomógł jej zająć miejsce pasażera.

Hania Wolińska stała na środku chodnika i patrzyła za odjeżdżającym mercedesem. Jakaś uśpiona jej część przypominała sobie świat, który na krótko stał się również jej udziałem. To było w innym życiu, w innych czasach. Te odległe wspomnienia teraz zdawały się być jak nierzeczywisty sen. Kiedyś była naiwną, szaleńczo zakochaną panną, wierzącą, że sen Kopciuszka może się spełnić. Nie brała pod uwagę wojny i tego, co miało wydarzyć się później...

Pogrążona w myślach nie zauważyła, że podszedł do niej woźny. Starszy mężczyzna był mocno zgarbiony, pokonany przez nieznośny ból, który towarzyszył mu każdego dnia jako pamiątka po odbitych w Auschwitz nerkach. Dłonie drżały mu mocno, kiedy podawał Hani klucze od biblioteki.

– To jakaś bogata persona – zauważył pogardliwym tonem, również rzuciwszy okiem za odjeżdżającym samochodem.

– Dawna znajoma. Przyjechała do Warszawy i z uprzejmości postanowiła mnie odwiedzić.

Woźny wzruszył ramionami.

– Ech, dawne czasy... Lepiej o nich zapomnieć. Do zobaczenia jutro, Haneczko.

– Do widzenia, panie Witku.

Marcowy wieczór był przejmująco zimny, a wiatr nieprzyjemnie hulał po ulicach Warszawy. Hania szczelniej owinęła się wełnianym płaszczem, poprawiła sfatygowaną chustkę na szyi i wolnym krokiem ruszyła przed siebie, w głąb warszawskich ulic. W dłoni ścisnęła torbę z zakupami, które rano zrobiła na bazarze przy placu Kazimierza Wielkiego. Po kilku minutach minął ją tramwaj, do którego dziś wyjątkowo nie wsiadła, choć zwykle jeździła po mieście komunikacją miejską, bo ból biodra nie pozwalał jej na długie spacerowanie.

Zapadł już zmrok, ale na ulicach nadal było tłoczno. Ludzie podążali w różnych kierunkach – czy to piechotą, czy na rowerach. Raz na jakiś czas ulicą przejechał samochód albo konna furmanka. Miasto żyło, odradzało się jak feniks z popiołów. Kiedy Hania mimochodem spoglądała na twarze ludzi, którzy tak jak ona przeżyli piekło wojny, bezsilnie patrzyli na zagładę swojego miasta i na

wszechobecną śmierć, dziwiła się szczerze, że widzi w nich nadzieję i chęć życia. Warszawiacy cieszyli się, kiedy choć jeden dom został odbudowany, kiedy choć jedna ulica przestawała straszyć ruinami po dawnych bombardowaniach, po upadku powstania. Mieszkańcy stolicy uparcie chcieli żyć i budować swoje miasto na nowo.

Hania nie podzielała tego entuzjazmu. Jej ukochana Warszawa z czasów młodości została zniszczona bezpowrotnie i nic nie było w stanie przekonać jej, że jeszcze kiedyś może być piękna. Zgliszcza, ruiny, śmierć, okrucieństwa wojny – nadal to czuła w zaułkach i na ulicach miasta. Wszechobecny szwindel, bieda i brak zaufania do sąsiada wciąż odciskały bolesne piętno na życiu warszawiaków, a ona równie boleśnie dostrzegała to każdego dnia. Z bólem i goryczą skrycie przyznawała, że obecna okupacja sowiecka jest nie mniej okrutna niż wcześniej nazistowska. Doskonale zdawała sobie sprawę – tak jak i inni mieszkańcy stolicy – co dzieje się w więzieniach UB na Pradze czy na Rakowieckiej. Starła się nigdy nie zapuszczać w tamte rejony i nie patrzeć na mury katowni, w których krótko po wojnie ginęli jej przyjaciele i towarzysze z podziemia mordowani przez komunistów. Jeszcze większy ból sprawiało jej patrzenie na ruiny Woli, gdzie kiedyś, otoczony ogrodem różanym, stał jej ukochany dom rodzinny. To tam podczas powstania, w rzezi, zginęła jej matka, bestialsko zamordowana przez Niemców. Hania wciąż widziała ślady krwi na rozłupanych przez granaty ścianach, przy których Niemcy rozstrzeliwali ludność cywilną. Nadal słyszała w uszach wystrzały z niemieckich karabinów i paniczny krzyk ludzi uciekających przed łapanką. To wszystko plątało się w jej głowie niczym pnącza trującego bluszczu, burząc równowagę umysłu. Nawet sen nie przynosił ukojenia. Prawie każdej nocy budziła się zrana z potem, wystraszona, mając przed oczami umarłych, groteskowo tańczących na gruzach Warszawy. Miała trzydzieści cztery lata, a czuła się jak stara kobieta bez przyszłości. Bo przeszłość zabrała jej wszystko.

Po godzinie marszu dotarła na ulicę, przy której mieszkała jej bratowa i zarazem jedyna przedwojenna przyjaciółka, Lucyna Wolińska-Ostaszewska. Ścisk i duchota w częściowo odbudowanej kamienicy wyczuwalne były już na korytarzu, ale nikogo to nie

dziwiło, skoro w pięciu mieszkaniach tłoczyło się dwanaście rodzin, a każdy cieszył się, że ma dach nad głową.

Wchodząc skrzypiącymi schodami na piętro, zmuszona była przeciskać się między wózkiem dziecięcym, dwoma starymi krzesłami, stojącym na półpiętrze rowerem i innymi przedmiotami użytkowymi, które nie mieściły się w ciasnych mieszkaniach. Ostatnio, wchodząc po tych schodach, napotkała na jednym ze stopni tłustego szczura i wspomnienie to wywołało w niej teraz dreszcz obrzydzenia.

Lucyna otworzyła jej drzwi z takim samym jak zawsze zbolałym wyrazem twarzy. Wyglądała jeszcze gorzej niż parę dni temu, kiedy widziały się ostatni raz. Była przerażająco blada, miała podkrążone oczy, a złe wrażenie potęgowały długie zaniedbane włosy – niegdyś blond, teraz w kolorze mysio-szarym, brzydkimi strąkami wychodzące spod wzorzystej chustki. Lucyna wiązała chustkę na głowie od czasu wojny, tłumacząc, że boi się znowu dostać wszy.

– Myślałam, że dziś nie przyjdiesz. Późno już – rzekła, wpuszczając Hanię do mieszkania.

– Tramwaj mi uciekł i szłam z pracy na piechotę – skłamała Hania.

– Byłam rano na targu i kupiłam trochę świeżych warzyw. – Wręczyła bratowej torbę z zakupami. – Będą na zupę dla Janka. Kupiłam ci też olejek lawendowy. Wiem, że go lubisz.

– Nie musisz mnie rozpieszczać.

– Nie robię tego. Po prostu zobaczyłam, że jest, i kupiłam.

Hania zdjęła płaszcz i usiadła przy okrągłym stole okrytym białą serwetą. Niewielki pokój jak zwykle był idealnie czysty. Lucyna nie dbała o siebie, ale bardzo dbała o to, żeby w jej mieszkaniu było schludnie i przytulnie. Hania odnajdowała w tym przyzwyczajenia z czasów przedwojennych, kiedy Lucyna jako młoda panna wraz z rodzicami mieszkała w dużym, eleganckim i pełnym wygod mieszkaniu, na co dzień lśniącym pachnącą czystością. Wspomnienie tamtych czasów było jak sen, ale uparcie ciągnęło się za nimi obiema niczym upiorna mara. Teraz jedynie obraz w złoconej ramie przedstawiający nadwiślany pejzaż pędzla jej matki, Honoraty Waszyńskiej, i oficerska szabla polskiego kawalerzysty należąca do pierwszego męża Lucyny i jedynego brata Hani, Janka, były

pamiątkami po dawnych czasach. Obie te rzeczy niczym trofea wisiały na ścianie w skromnym pokoju, otaczane przez Lucynę wciąż większą niż obraz Matki Boskiej.

– Zjesz z nami kolację?

– Nie, napiję się tylko herbaty i idę do domu. Jestem zmęczona.

Lucyna kiwnęła głową ze zrozumieniem. Nastawiła na kuchni czajnik z wodą i wzięła do rąk cukiernicę.

– A gdzie Karol? – Hania rozglądała się za mężem Lucyny, który zwykł o tej porze drzemać na leżance. W duchu cieszyła się, że go nie widzi, bo szczerze nie znosiła jego grubiańskiego towarzystwa.

Lucyna niedbale wzruszyła ramionami.

– Nie ma go od wczoraj. Pewnie jak zwykle pije.

– Dlaczego na to pozwalasz? Przecież on przepija prawie całą wypłatę, a ty i Janek musicie coś jeść!

Lucyna odwróciła się znad kuchni i popatrzyła na Hanię pustym wzrokiem. Jej usta wygięły się w pogardliwym uśmiechu.

– A co według ciebie powinnam zrobić?

– Odejść od niego.

– Co za mądra rada! I gdzie pójdę? Nie mam dachu nad głową! Gdyby nie Karol, mieszkałabym z Jankiem na ulicy!

– Głupstwa pleciesz! Znalazłabyś pracę, to i dach nad głową by się znalazł. Nie mogę patrzeć, jak się męczysz z tym życiowym degeneratem. Jak mogłaś za niego wyjść?

– A co mi pozostało? Miałam karmić się wspomnieniami o twoim bracie? Mam syna, którego muszę wychować i wykształcić! Jako samotna matka nie miałabym szans... I doskonale o tym wiesz!

Hania z bezsilnością patrzyła, jak za każdym razem na wspomnienie Janka Lucyna kurczyła się w sobie. Ten odruch rozpaczy tkwił w niej od dnia, kiedy otrzymała wiadomość, że Janek zginął w Katyniu rozstrzelany przez Sowietów – jak tysiące innych polskich oficerów. Żyli w małżeństwie bardzo krótko, bo zaledwie rok, a później wybuchła wojna i Janek dostał się do niewoli. Jego śmierć złamała Lucynę bardziej niż śmierć rodziców. Uparcie i z goryczą powtarzała, że przy życiu trzyma ją wyłącznie syn, którego poprzysięgła wychować na porządnego człowieka. Dla Janka.

– Skoro mi go zostawił, to muszę o niego dbać – powtarzała, choć mówiąc to, myślami odbiegała w czasy, kiedy była szczęśliwą i zakochaną żoną brata Hani. Karmiła się przeszłością i nie umiała o niej zapomnieć. Janek wrył się w jej pamięć i świadomość tak mocno, że nic nie mogło zatrzeć wspomnień o nim. Nawet czas nie był w stanie uleczyć ran i tęsknoty za ukochanym. W którymś momencie zmarły mąż stał się dla Lucyny niemalże świętym, a myśli o nim tragiczną obsesją. Za Karola Ostaszewskiego wyszła za mąż zaraz po wojnie, kiedy została sama z synem w zrównanej z ziemią przez Niemców Warszawie. Zrobiła to wyłącznie z poczucia bezsilności i zupełnego braku zaradności życiowej, tułając się po zrujnowanych ulicach z kilkuletnim dzieckiem. Bez słowa protestu, a wręcz ze służalczą wdzięcznością pozwoliła, żeby zawładnął nią pijak i zwyrodnialec, który bił ją z byle powodu i wracał do domu bez zarobionych na kolei pieniędzy, bo po drodze zdążył je przepić bądź zgubić w pijackim amoku. Hania nie miała już siły tłumaczyć przyjaciółce, jak bardzo źle postępuje, żyjąc z takim degeneratem pod jednym dachem i do tego pozwalając, żeby patrzył na to jej jedyny syn.

Teraz również z westchnieniem zacisnęła usta i postanowiła milczeć. „Skoro bratowa zgotowała sobie taki los, to najwidoczniej takie życie jej odpowiada” – pomyślała z goryczą.

– A gdzie Janek? Tak późno i jeszcze nie ma go w domu?

Lucyna wzruszyła ramionami.

– Włóczy się gdzieś z chłopakiem sąsiadów. Wiecznie gdzieś razem chodzą.

– Nie martwisz się tym?

– Ma już jedenaście lat. Nie słucha mnie i jest uparty jak osioł.

– Ale do szkoły chodzi?

– Chodzi. Wie, że tego mu nie odpuszczę.

Lucyna postawiła przed Hanią gorącą herbatę.

– A u ciebie coś się zmieniło? Wreszcie się z kimś umówiłaś? Mnie pouczasz, a sama żyjesz jak zakonnica!

Hania spochmurniała. Lucyna bezustannie namawiała ją, żeby umówiła się z wykładowcą akademickim, który już wielokrotnie zapraszał ją na kawę. Poznali się w bibliotece. Mężczyzna był miły

i dość przystojny, ale Hania konsekwentnie mu odmawiała – nie zamierzała umawiać się na randki ani z nim, ani z nikim innym. Tę zasadę stosowała od zakończenia wojny i nie zamierzała jej nigdy złamać. Samotność była jej jedynym i najlepszym życiowym towarzyszem. Zresztą tego dnia niespodziewanie dowiedziała się, że wciąż ma męża...

– Spotkałam dzisiaj pewną osobę z dawnych lat... Ninę... Howard – zaczęła ostrożnie.

Lucyna zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiejąc, i popatrzyła na Hanię pytającym wzrokiem.

– Przyjechała do mnie, do biblioteki. Być może jej nie pamiętasz, ale kiedyś, dawno temu wspominałam ci o niej. To moja... szwagierka.

Lucyna rozszerzyła oczy ze zdumienia.

– Czy to jego siostra? – zapytała, wolno cedząc słowa i przyglądając się Hani uważnie.

Hania przytaknęła i spuściła głowę. Nie chciała, żeby przyjaciółka widziała cały pejzaż emocji, które nadto wyraźnie malowały się na jej twarzy.

– Przyjechała do Warszawy, żeby mi powiedzieć, że... Johann żyje. Przeżył wojnę.

Lucyna przez chwilę stała w milczeniu, parę kroków od Hani, przyglądając się jej uważnie. Wreszcie zbliżyła się do niej wolno i położyła szczupłe dłonie na jej ramionach.

Hania lekko drgnęła pod wpływem tego dotyku, jakby nie spodziewała się zawartej w nim czułości. Popatrzyła na przyjaciółkę z wypiekami na twarzy, a ta bez słowa pochyliła się nad nią i mocno ją przytuliła.

– On nie był zły, Haniu – wyszeptała jej do ucha. – Zawsze chciałam ci to powiedzieć. On bardzo cię kochał.

Ten delikatny szept wywołał w ciele Hani nagły wstrząs. Kobieta zadrzała tak mocno, że nie umiała już tego ukryć ani opanować, a Lucyna nie tłumiała w niej tego drżenia. Ze zrozumieniem głaskała ją po plecach.

– Witam szanowną sąsiadkę!

Hania zatrzymała się w pół kroku i obejrzała przez ramię na stojącego w drzwiach mieszkania na parterze sąsiada. Mężczyzna tkwił w niedbalej pozie oparty o futrynę i przyglądał jej się bacznie. W szarej od brudu koszuli i przykrótkich spodniach wyglądał jak obwieś. Nie lubiła go. Starła się tolerować jego obecność, bo mieszkali w tej samej kamienicy, ale budził w niej dziwny wstręt. Chyba nawet trochę się go bała. Poza tym odstręczał ją wieczny smród potu i alkoholu, który od niego wyczuwała.

– Dobry wieczór – powiedziała z udawaną uprzejmością, chcąc jak najszybciej uciec do swojego mieszkania.

– Coś późno dziś pani wraca, towarzyszeko Haniu – rzekł jakby od niechcienia, ale Hania w duchu skrzywiła się na tę uwagę. Dobrze wiedziała, że sąsiad donosi bezpiece nie tylko na innych, ale i na nią. Bezpieka wiedziała, że Hania podczas wojny działała w konspiracji, ale na razie nie mieli na to dowodów, a Stanisławski zapewne miał im te dowody dostarczyć.

– Byłam u bratowej – dodała, siląc się na uprzejmość.

– Szukała cię jakaś paniusia. Bardzo szykowna. Podobno aktorka.

– Nie znam żadnej aktorki.

– Nie mówiła po polsku. – Stanisławski włożył lufkę z papierosem między zęby. – Ja tam nie wiem, coś ty przed wojną robiła – dodał drwiąco, lustrując ją beczelnym wzrokiem.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i nic nie mówiąc, weszła na schody.

– Wybacz, sąsiedzie, ale jestem zmęczona – rzuciła przez ramię, udając obojętność i kulejąc, poczłapała na górę.

Jej małe, jednopokojowe mieszkanie znajdowało się na poddaszu kamienicy. Było skromne i pozbawione jakichkolwiek wygód, ale Hania cieszyła się, że mieszka w nim sama, co w obecnych czasach było nie lada luksusem.

Otworzyła kluczem drzwi i natknęła się w progu na kota Stefana. Kocisko, miaucząc, łąsiło się do jej nóg, dając upust swojemu zadowoleniu, że pani wreszcie wróciła do domu.

– Witaj, Stefcu.

Wzięła kota na ręce i na parę sekund przyłożyła policzek do jego miękkiego, ciepłego futerka.

– Tęskniłeś za mną? Pewnie jesteś głodny? Wszystkie myszy wygoniłeś ze spiżarni!

W progu zrzuciła z siebie płaszcz i odłożyła torebkę.

Kilka minut później kot jadł kaszanekę, a Hania gotowała na kuchni węglowej wodę na kąpiel.

Nie miała ochoty na kolację, więc czekając, aż woda się zagotuje, usiadła przy otwartym oknie i zapaliła papierosa. Palić zaczęła podczas wojny. Wtedy każdy wydech dymu tytoniowego pomagał choć na chwilę stępić nieprzyjemne uczucie strachu. Teraz nie czuła już mdlącego uczucia paniki, a krew nie pulsowała jej w żyłach pod wpływem adrenaliny. Teraz czuła się jak martwa. Dzień za dniem płynął, a ona nie miała w sobie nic oprócz paraliżującej obojętności. Z ironią pomyślała, że mrok ulicy za oknem mieszał się z mrokiem w jej samotnej duszy.

Rozebrała się do naga i pierwszy raz od dawna przyjrzała się swojemu ciału. Była chuda i blada, miała płaski brzuch i zbyt małe piersi, ale biodra ładnie zaokrąglone. Drżącymi palcami przejechała po poszarpanej bliźnie na prawym biodrze – pamiętce po postrzeleniu przez niemieckiego żołnierza podczas powstania. Szybкими ruchami wyjęła wsuwki z ciasno spiętych włosów i pozwoliła, żeby kaskadą gęstych fal opadły jej na plecy. Tylko te włosy były takie jak dawniej – długie i lśniące. Obcięła je podczas wojny, ale w końcu dała im odrosnąć jak w czasach szczęśliwej młodości. Upinała je każdego dnia w ciasny kok, jakby wstydząc się tego ewidentnego dowodu jej dawnej urody, ale prawdą było, że nie chciała rzucać się w oczy, mając świadomość, jaką siłą włada uroda. Jej ciało podczas wojny tyle razy zostało zbrukane, tyle razy narażone na gwałt, ból i poniżenie, że dla bezpieczeństwa wyparła się swojej kobiecości.

Czy teraz, po tylu latach życia w zapomnieniu i samotności mogłaby na nowo stać się kobietą? Żoną? Kochanką? Czy miała jeszcze na to siły?

Kiedy zanurzyła się po szyję w gorącej wodzie, zamknęła oczy i przywołała we wspomnieniach obraz Johanna von Richtera. Ostatni

raz widziała go sześć lat temu, 1 sierpnia 1944 roku, kiedy w Warszawie wybuchło powstanie. Wyraźnie – jakby to było wczoraj – przypomniała sobie ich wspólnie spędzoną noc w lesie pod miastem. To była ich ostatnia noc – kilka godzin po tym, jak ksiądz udzielił im ślubu w ruinach kościoła. Jakże byli głupi i naiwni, że zdecydowali się na ten szalony krok.

Mocno zacisnęła oczy, czując wzbierające pod powiekami łzy. Dlaczego to wspomnienie nadal w niej tkwiło? Dlaczego nie umiała unicestwić w sobie tych uczuć, które wlewały się w jej duszę i serce, ilekroć o tym myślała? Dlaczego Johann von Richter nie odszedł z jej wspomnień wraz z martwymi przyjaciółmi czy zamordowaną w rzezi matką? Nadal doskonale pamiętała jego dotyk, zapach... Widziała jego niebieskie przenikliwe oczy wpatrzone w nią z miłością. Warszawa spływała krwią, wstrząsana heroicznymi walkami, a oni jakby o tym zapominając, kochali się bez opamiętania.

Johann. Niemiec. Jeden z tych, którzy katowali jej kraj. Mężczyzna jej życia. Jej mąż.

Najpierw powoli zaczęła tracić oddech, a po chwili z jej piersi wyrwało się żalosne łkanie, które odbiło się echem od ścian pokoju.

* * *

Hotel Polonia był najlepszym hotelem w stolicy i jedynym ocalałym po wojnie budynkiem. Obecnie kwatrowali tu wyłącznie dyplomaci innych państw i zamożni goście przybywający do Warszawy. Podczas wojny w hotelu stacjonowali niemieccy oficerowie, a w czasie powstania zamieniono go na szpital.

Hania weszła do hotelu przemoknięta do suchej nitki. Kulała mocniej niż zwykle, ale ból biodra był wyjątkowo przeszywający. Zawsze bolało ją dotkliwiej przy zmianie pogody.

Kiedy jechała tramwajem, zaczął padać ulewny deszcz, a ona w roztargnieniu wyszła z domu bez parasola. Beret, który miała na głowie, wyglądał w tej chwili jak nieświeży naleśnik, a mokre, niesforne i wychodzące ze spinek włosy kleiły się do twarzy i karku. Cieszyła się, że przynajmniej nie chlupie jej w butach.

Rozejrzała się niepewnie po rozległym lobby i nagle wspomnienia uderzyły w nią jak bumerang. To tutaj podczas powstania leżał ranny i zmarł Władek Koterski, jej przedwojenny narzeczony. Mimo że w trakcie wojny ich drogi rozeszły się definitywnie, jego śmierć boleśnie ją dotknęła. Jeszcze długo po niej cierpiała i nie mogła pogodzić się z tym, że najbliższa rodzina Władka zabroniła jej uczestniczyć w jego pogrzebie. Mieli do niej żal o to, że zerwała zaręczyny. Jego matka twierdziła, że mężczyzna chciał umrzeć z powodu złamanego serca i dlatego tak ochoczo garnął się do powstania, ale Hania w to nie wierzyła. Władek był doskonale wyszkolonym żołnierzem, gotowym walczyć z Niemcami na śmierć i życie i bez mrugnięcia okiem narażał się dla dobra ojczyzny, nie zważając ani na nią, ani na nikogo innego.

Wyrzuciła z myśli natrętne wspomnienia i podeszła do recepcji.

– Ja do szanownej pani Niny Howard – rzekła do stojącego za kontuarem młodego recepcjonisty.

Od czasów wojny został jej nawyk oglądania się za siebie, więc teraz też nieufnie rozglądała się wokół, jakby bała się, że ktoś za chwilę ją zaczepi albo, co gorsza, aresztuje. Bo co taka prosta kobieta jak ona może robić w hotelu dla wyższych sfer? W dodatku wyglądająca tak żałośnie...

Ale w lobby panowała cisza, nie kręcili się tu żadni goście. Słysząc było jedynie stłumione rozmowy dochodzące z hotelowej restauracji.

– Towarzyszka Hanna Wolińska? – zapytał recepcjonista uprzejmie, taksując wzrokiem jej smętną, przemokniętą postać.

– Tak.

– Szanowna Mrs. Howard oczekuje na panią w pokoju 314.

– Dziękuję.

Ściskając w dłoni mokry beret, Hania udała się do windy.

Nina Howard rzeczywiście na nią czekała. Na jej twarzy nie było zdziwienia, kiedy zobaczyła Hanię w drzwiach swojego pokoju.

Od ich spotkania w bibliotece minęły trzy dni i dopiero teraz Hania zdecydowała się na rozmowę ze szwagierką, choć wciąż nie miała pewności, czy postępuje słusznie. Ostatnie dni i noce poświęciła na rozdrapywanie ran i ponowne osvajanie się z bólem. Informacja o tym, że jej mąż żyje, była dla niej szokująca. Musiała przetrwać to

w samotności. Wiedziała jednak, że jeśli nie porozmawia z jego siostrą i nie dowie się, jak Johann się czuje i jak żyje, każdy kolejny dzień będzie jeszcze bardziej nieznośny, nawet jeśli Hania nie miała zamiaru się ze swoim mężem spotkać.

– Zmarzłaś. Napij się ciepłej herbaty. – Nina postawiła na stoliku przed Hanią filiżankę z aromatycznym napojem i ciasteczka, które przyniósł kelner.

Hanię owionął delikatny zapach luksusowych perfum, których aura unosiła się wokół postaci Niny. Nadal z trudem docierało do niej, że ta elegancka, światowej sławy aktorka jest jej szwagierką.

– Jesteś głodna? Zadzwońię po kelnera, żeby przyniósł obiad.

– Nie, dziękuję. Nie jestem głodna.

Nina z wrodzoną swobodą usiadła w obitym skórą fotelu i z gracją otworzyła leżącą na stoliku złotą papierośnicę.

Hania na krótką chwilę skupiła uwagę na dużym brylancie pysznącym się na palcu serdecznym szwagierki.

– Zapalisz?

Niemo odmówiła. Nie chciała, by papieros drżał jej w palcach, a wiedziała, że tak by właśnie było.

Niemka swobodnie odpaliła swojego papierosa i wolno wypuściła strużkę dymu.

– Cieszę się, że przyszłaś.

– Przecież nie czekałabyś na mnie wieczność.

– Pewnie nie, ale wierzyłam w twój głos rozsądku. Zawsze byłaś dość rozsądna. – Nina uśmiechnęła się z lekkim sarkazmem. – Co się stało? – To mówiąc, wskazała na sztywną nogę Hani, którą ta bezwiednie masowała w okolicy biodra.

– Zostałam postrzelona. – Hania lekceważąco wzruszyła ramionami. – To nic takiego. Mam szczęście, że przeżyłam.

– Mówisz o tym tak lekko, jakby nic się nie stało.

Hania wzruszyła ramionami i przemilczała tę uwagę.

Nina obserwowała ją spod półprzymkniętych powiek.

– Ta praca w bibliotece... To chyba nudne?

– Dla mnie wystarczająco absorbujące.

– Ale raczej sporo poniżej twoich umiejętności. Pamiętam cię jako bystrą dziewczynę. Chyba nawet skończyłaś studia na

uniwersytecie? Przypomnij, co to było? Germanistyka?

Hania zmarszczyła brwi.

– Przyjechałaś do Warszawy rozmawiać o moim wykształceniu? Pamiętam, że kiedyś o to samo pytała mnie twoja matka.

Nina prychnęła.

– Już ci mówiłam. Mój brat żyje, a ty jesteś jego żoną. Powinniście się spotkać.

– Więc dlaczego sam nie przyjechał? Czemu mnie nie szukał?

Niemka zmrużyła oczy. Spomiędzy jej wyszminkowanych warg wypłynęła kolejna strużka dymu.

– A ty go szukałaś?

Powietrze między nimi zawibrowało. Obie w skupieniu mierzyły się wzrokiem, a czas ich milczenia odmierzało głośnie tykanie zegara. Obie były dojrzalsze nad swój wiek, choć niedawno przekroczyły trzydziestkę. Obie również przeżyły trudny czas młodości, choć każda inaczej. Życie dość dosadnie nauczyło je milczeć wtedy, gdy okoliczności tego wymagały.

– Chyba nie sądzisz, że Johann miałby odwagę przyjechać do Warszawy? – ciągnęła Nina po chwili. – Po tym wszystkim?

Hania odwróciła twarz w stronę okna. Deszcz ostro zacinał w szyby, a nad miastem wisały ciężkie granatowe chmury. Nie wiedzieć czemu w głowie zabrzmiał jej fragment *Deszczy* Baczyńskiego^[1]. Ten utwór od wojny dość często przewijał się w jej myślach, ale to, że akurat teraz o nim pomyślała, wydało jej się groteskowe.

– Cała Warszawa mówi o tym, że zawitała do nas sławna amerykańska aktorka – rzuciła nieco ironicznie, na siłę próbując zmienić temat. – Wiele ryzykujesz, przyjeżdżając tutaj.

– Moja sława pomogła mi jak na razie uniknąć kłopotów. Staram się zabawiać wasze komunistyczne władze swoją osobą, a nawet umówiłam się na kolację z premierem, żeby nie wzbudzać zbędnych podejrzeń. Ale masz rację, nie chcę, żeby ktoś stąd dowiedział się, że jestem córką i siostrą nazisty – Nina przerwała, zaciągając się papierosem. – Zresztą oni wszyscy myślą, że jestem amerykańską agentką – dokończyła z sarkazmem.

– A nie jesteś?

Nina zbyła pytanie milczeniem.

Hania zlustrowała Niemkę wzrokiem. Na jej twarzy nie było widać piętna wojny, które tak wyraźnie rysowało się na obliczach większości polskich kobiet. Nina Howard wyglądała na kobietę spełnioną, otaczającą się wszystkim, co najlepsze. Miała kosmopolityczny styl i najwyraźniej mnóstwo pieniędzy, które pozwalały jej swobodnie go podkreślać. Hania doskonale pamiętała, że przed wojną Nina była na wskroś buntownicza i bezpruderyjna, ale miała również odwagę żyć po swojemu. Lubiła przebywać w towarzystwie ludzi z dekadentkich elit głoszących swobodne, często kontrowersyjne hasła, żyła na własnych zasadach, nie bała się prowokować. Za nic miała sztywne reguły i dobre wychowanie, a ponad wszystko ceniła sobie wolność i sztukę.

– Jak to się stało, że zostałam amerykańską aktorką?

Nina zaśmiała się z ironią.

– Pamiętasz, nigdy nie ukrywałam, że Hitler i jego chore wizje to nie mój świat. Ku rozpaczce ojca, który zresztą postanowił się mnie wyrzec, na początku 1940 roku uciekałam z Monachium do Nowego Jorku. Tam udało mi się spróbować sił w aktorstwie. Wiesz przecież, że to była moja wielka pasja. Rok po przyjeździe do Ameryki zagrałam niewielką rolę na Broadwayu i tam poznałam mojego obecnego męża, Allana Howarda. Jest producentem filmowym w Los Angeles. To on pomógł mi zaistnieć. Mój nazistowski ojciec zszedłby z tego świata na zawał, gdyby wcześniej nie zdechł na tej swojej wojnie, wiedząc, że zostałam żoną Żyda z wielopokoleniową tradycją.

Hania przyglądała się szwagierce z powagą. Nie dziwiła ją pogarda kobiety dla ojca, bo prawdą było, że hrabia Hans von Richter, zatwardziały nazista o wyjątkowo plugawych poglądach, osobiście przyczynił się do wywózki do obozów śmierci wielu setek Żydów. A Nina ku jego wściekłości zawsze ostro ośmieszała jego antysemityzm i poddańczą miłość do Hitlera.

– Miałaś szczęście – rzuciła.

– Owszem. Przed wszystkim uniknęłam tego wszystkiego, co spotkało Johanna i... ciebie. Nie poznałam z bliska smaku wojny.

Żałuję, że ty i on... Żałuję, że po was nie posłałam. Tam bylibyście bezpieczni.

Hania lekko zmarszczyła brwi. W zamyśleniu uniosła do ust filiżankę z herbatą. Palce drżały jej tak bardzo, że z trudem była w stanie ją utrzymać.

– Nie spodziewałam się, że... mogłabym go jeszcze kiedyś zobaczyć – rzekła po chwili. – Nie miałam o nim wieści od lat. Myślałam, że nie żyje. Tak naprawdę nigdy nie byliśmy małżeństwem. Wzięliśmy ślub, ale wybuchło powstanie i... rozstaliśmy się.

– On wciąż na ciebie czeka. Ciągłe ma nadzieję, że wrócisz do niego.

Hania spojrzała na Niemkę, nie kryjąc zdumienia. Wreszcie gwałtownie zerwała się z fotela, choć przez jej twarz przemknął cień bólu spowodowany chorym biodrem.

– Przestań! Mówisz to, żeby mnie dręczyć?

– A co mam mówić? Że on nie żyje? Że go nie ma? Przecież to kłamstwo! On żyje, Haniu, ale jest na granicy życia i śmierci. Wiem, że jeśli do niego nie pojedziesz... Mój brat umrze. Umrze z rozpacz i tęsknoty za tobą. Ta wojna zniszczyła was oboje, ale wy nadal żyjecie! Jedź ze mną do niego. W tym przeklętym mieście nie ma dla ciebie miejsca!

– Nie wiesz, o co mnie prosisz...

– Wojna już się skończyła. Czas wrócić do życia.

– Nie masz pojęcia, czym była wojna! Nie wiesz, do czego nas zmuszała, przez co ja i twój brat musieliśmy przejść, żeby zapłacić za miłość!

Nina wolno podniosła się z fotela. Podeszła do Hani i próbowała objąć ją ramieniem, ale ta odepchnęła ją z nadzwyczajną siłą.

– Ty nic nie rozumiesz! Jesteś sławna, bogata, masz wszystko, o czym można marzyć! Nigdy nie doświadczyłaś tego, co ja i Johann! Wiesz, jak bardzo gardzono mną za to, że zakochałam się w Niemcu? Wiesz, ile bólu sprawiało mi patrzenie na niego, kiedy miał na sobie mundur żołnierza Wehrmachtu? Kiedy z pustką w oczach przyglądał się, jak jego koledzy mordowali moich przyjaciół? Nie mów mi, że po tym wszystkim mam wrócić do życia!

– Haniu...

– Ja miałam swoją miłość, ale wojna ją zabiła! Nie ma powrotu!

Nie bacząc na protesty Niny, Hania wyszła z hotelowego pokoju. Żałowała, że zdecydowała się tu przyjść. Jak Nina śmiała pomyśleć, że w piekle wojny mogło przetrwać coś pięknego? Przecież to niemożliwe! Wojna zabrała im wszystko – miłość, przyszłość. Nawet dziecko, które straciła, zanim przyszło na świat.

* * *

Hanię obudziło głośnie łomotanie w drzwi. Najpierw nieprzytomna usiadła na łóżku i rozejrzała się po ciemnym pokoju, do którego wpadała jedynie strużka księżycowego blasku. Wskoczyła z łóżka jak oparzona, bo łomotanie nie ustawało. Nawet nie zawracała sobie głowy szukaniem podomki. W negliżu otworzyła drzwi.

– Janek!

Ku jej zdumieniu w mroku korytarza zamajaczyła sylwetka jej bratanka.

– Mama potrzebuje pomocy – wyszeptał gorączkowo.

– Co się stało?

– Ten drań ją pobił. Nie było mnie w domu, a kiedy wróciłem...
Leżała we krwi...

– Matko Boska!

– Musisz jej pomóc, ciociu... Ona chyba umiera...

Hania pośpiesznie narzuciła na siebie ubranie, które miała pod ręką, i wybiegła z mieszkania.

Był środek nocy, a ulice puste, ciche i złowieszcze. Hania dawno nie chodziła po nocy. Od wojny... Każdy krok zdawał się odbijać dudniącym echem od uśpionych murów kamienic. „Żeby tylko nie natknąć się na patrol...” – myślała gorączkowo. Złapała Janka za rękę i pobiegli przed siebie w stronę ulicy, przy której mieszkała Lucyna. W połowie drogi zatrzymała się na kilka sekund, bo noga zaczęła tępo pulsować od biodra aż do kolana. W bólu zagryzła wargi i ruszyła dalej.

– Karol jest?

– Nie, wyszedł. Pewnie pije, ale może wrócić w każdej chwili.

Hania nie odpowiedziała. Wciąż zagryzała wargi, prawie do krwi. Czuła, że serce wali jej w piersi jak oszalałe, a noga boli jak nigdy dotąd. Kiedy ostatni raz tak się bała? Czy to było wtedy, gdy przemieszczała się wzdłuż barykady, wiedząc, że jest na muszce niemieckiego snajpera? Czy kiedy w stercie trupów próbowała odnaleźć ciało matki? Traumatyczne wspomnienia przewijały się w jej głowie jak krzykliwe obrazy w kalejdoskopie.

Lucyna leżała na podłodze w pokoju w pozycji embrionalnej. Była przytomna. Ze zbolaną twarzą wpatrywała się w jeden punkt przed sobą, trzymając w mocno zaciśniętych dłoniach poły zakrwawionej koszuli nocnej. Instynktownie próbowała zaciskać uda, które spływały krwią.

Hania już to widziała. Sama to kiedyś przeżyła. Z głuchym jękiem padła na kolana przed ranną przyjaciółką.

– Kochanie, jestem tu. Jestem z tobą. – Objęła ją ramionami i zaczęła bezwolnie kołysać, czując w piersi szarpaną rozpacz. Lucyna oparła się o nią jak szmaciana lalka.

– Janek! Biegnij do szpitala! Natychmiast! Sprowadź lekarza!

Chłopak bez wymówek wybiegł z mieszkania, jakby się paliło.

Hania delikatnie odsunęła od siebie przyjaciółkę, chcąc obejrzeć jej obrażenia. Lucyna miała pękniętą dolną wargę i łuk brwiowy, a skórę na policzku brudną od zakrzepłej krwi. Na włosach też widniały ślady krwi, co świadczyło o tym, że musiała mieć rozciętą głowę. Ale najgorsze było to, że poroniła. Straciła dziecko.

Hania patrzyła na bratową, czując rozpacz i wściekłość równocześnie. Twarz Lucyny, niegdyś tak piękna, uśmiechająca się promiennie do jej brata, teraz wykrzywiona była cierpieniem.

– Lucynko, wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Już nigdy nie pozwolę mu cię skrzywdzić – wyszeptała do ucha przyjaciółki, głaszcząc ją delikatnie po głowie. W duchu modliła się, żeby Janek z lekarzem wrócił jak najszybciej. Tuliła przyjaciółkę w ramionach i wiedziała, że musi podjąć być może najtrudniejszą, ale też jedyną słuszną decyzję. Musi zabrać Lucynę z tego mieszkania i zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby przyjaciółka już nigdy nie była zmuszona wrócić do męża oprawcy. A sposób na to знаła tylko jeden.

* * *

– Dziękuję, że zaopiekowałaś się Jankiem.

Hania uśmiechnęła się lekko i złapała Lucynę za rękę, która leżała bezwładnie na szpitalnej kołdrze.

– A mogłabym postąpić inaczej? To mój bratanek. Kocham go jak syna.

Lucyna westchnęła.

– Wiem, ale straszny z niego urwis. Ostatnio straciłam z nim kontakt. Jest taki zamknięty w sobie...

– To mądry chłopak, da sobie radę. Bardzo się o ciebie martwił.

Lucyna kiwnęła głową i odwróciła twarz w stronę okna. Wiosenne słońce wpadało do sali szpitalnej, rozświetlając szare ściany złotym blaskiem. Mieszkańcy Warszawy mieli nadzieję, że wiosna już na dobre zagości na ulicach, w parkach i na skwerach. Każdy z niecierpliwością czekał na pierwszy podmuch ciepłego wiatru na policzku, na pierwsze zielone pąki na drzewach, na świeży zapach wiosennych traw unoszący się w miejskich alejach. Przebiśniegi już wychylały dumne główki w miniaturowych przydomowych ogródkach.

– Doktor mówi, że dochodzisz do siebie, ale nie chcesz jeść. Musisz jeść, Lucynko!

Chora zagryzła wargę i energicznie pokręciła głową. Próbowwała ukryć łzy.

– Nie chcę... Nie potrafię...

Hania westchnęła. Fizyczne obrażenia Lucyny prawie się zagoiły, choć na poszarzałej twarzy widniały jeszcze niezabliźnione ślady po pięściach Karola. Na szczęście lekarz nie stwierdził żadnych złamań. Jednak Lucyna w wyniku pobicia straciła dziecko. Hania nie miała pojęcia, że jej przyjaciółka jest w ciąży, bo Lucyna nawet słowem o tym nie wspomniała. „Tylko czy coś by to zmieniło?” – pomyślała z goryczą. Jej bratowa żyła zamknięta w klatce z oprawcą, który ją bił i gwałcił do woli, a ona znosiła to nabożnie, w przekonaniu, że tak ma być. Bo takie jest życie. Bo inni mężowie też biją swoje żony. Czy więc było coś dziwnego w tym, że Janek junior uciekał z domu, nie chcąc oglądać swojej matki poniżanej i katowanej przez ojczyrna?

Chłopak sam wielokrotnie dostał od Karola solidne lanie, ale teraz był już wystarczająco duży i zaczął się buntować. Jednak matki wciąż nie potrafił skutecznie obronić.

– Musisz od niego odejść.

– Nie mogę – odparła Lucyna słabym głosem. – Nie mam dokąd. Znajdzie mnie i zabije.

– Nie znajdzie. Pomogę ci.

– Jak? Narażając swoje życie? Wtedy zabije i ciebie.

Hania zmarszczyła brwi.

– Nie mów tak. To absurdalne. Już tyle razy to słyszałam, że nie robi to na mnie wrażenia.

– A co robi na tobie wrażenie?

– To! Właśnie to, jak wyglądasz! Nie pozwolę, żeby żona mojego brata i moja jedyna przyjaciółka cierpiała katusze przez takiego łotra!

Lucyna przez chwilę patrzyła Hani w oczy, aż nagle rozplakała się, głośno szlochając. Hania objęła ją mocno i pocałowała w spocone czoło. Chciała widzieć Lucynę szczęśliwą. Pragnęła, żeby ich życie potoczyło się inaczej.

– Nienawidzę go, Haniu! Nienawidzę go tak bardzo, że to zatruwa mi życie! Przez niego jestem okaleczona... Nie mogę normalnie żyć...

– Wiem, kochanie, ale zabiorę cię od niego. Obiecuję.

Lucyna ze złością odepchnęła Hanię gwałtownie.

– Jesteś głupia! Nie mówię o Karolu! Mówię o twoim bracie!

– O Janku? Jak to? Przecież on nie żyje!

Lucyna zaczęła dusić się płaczem. Schowała twarz w poduszkę, która tłumiała jej szloch, ale całe jej ciało ukryte pod kołdrą drżało w spazmach. Hania patrzyła na to wszystko, nie rozumiejąc.

– On zniszczył mi życie, Haniu! Kochałam go z całych sił, a on mnie zostawił! Mieliśmy małe dziecko, ale to go nie obchodziło! Zostawił nas, kiedy tylko dostał rozkaz wyjazdu na front. Wojsko było dla niego ważniejsze! Wojna była dla niego ważniejsza! Nie obchodziło go, co ja czuję i jak bardzo boję się zostać sama!

– Lucynko, Janek był żołnierzem.

– I dlatego wolał zginąć, zamiast żyć ze mną i z synem?! – Żałość w głosie Lucyny przeraziła Hanię. – Gdybyś wiedziała, ile dni i nocy

czekałam na niego. Ciągle patrzyłam w okno. Wciąż otwierałam drzwi z myślą, że on w nich stanie. Miałam nadzieję, że zobaczy syna... Jak rośnie. A później ta wiadomość o jego śmierci... Nie potrafię bez niego żyć, Haniu... I dlatego tak go nienawidzę!

* * *

Był wieczór. Hania zastała Ninę Howard w hotelowej restauracji w otoczeniu kilku osób, z którymi Niemka prowadziła swobodną towarzyską rozmowę. Jej głośny, nieskrępowany śmiech roznosił się gromkim echem po całej sali. Nad rozbawionym towarzystwem unosiła się strużka dymu z cygar. Nina małymi łykami popijała wino, nie umknęło jednak uwagi Hani, że oprócz niej wszyscy inni pili czystą wódkę.

Niemka dostrzegła Hanię dopiero, kiedy kelner szepnął jej do ucha, że towarzyszka Wolińska czeka na nią w holu. Z pewnym ociąganiem pożegnała się z towarzystwem i – kręcąc zmysłowo biodrami, świadoma, że wszyscy na nią patrzą – opuściła restaurację.

– Mam do ciebie pilną sprawę – zaczęła Hania bez wstępów.

Nina wygięła usta w uśmiechu.

– Lepiej późno niż wcale – odparła uszczypliwie. – Czy tym razem także zamierzasz uciec bez słowa?

– Nie, jeśli zgodzisz się mi pomóc.

Nina uniosła brwi w zdumieniu.

– Pomóc? Czyżby przeszłość jednak deptała ci po piętach?

– Nie mów bzdur! Potrzebuję twojej pomocy w sprawie rodzinnej. Jesteś bogata i wpływowa, więc możesz wiele...

Nina przez chwilę z konsternacją badała Hanię wzrokiem.

– Nie możemy rozmawiać w moim pokoju – rzekła po chwili z powagą. – Podejrzewam, że jest na podsłuchu. Towarzysz Bierut chyba naprawdę uwierzył, że jestem amerykańską agentką.

– Więc chodźmy gdzie indziej.

Pół godziny później siedziały w małej kawiarni niedaleko hotelu, zajadając ciasto ze śliwkami i popijając herbatę.

– Jak on się miewa? Czy jest zdrowy? – zapytała Hania z lekkim wahaniem.

Oczy Niny rozbłyły.

– Pytasz o mojego brata? Fizycznie jest zdrowy, chociaż... Stracił rękę. Był ranny i dostał się do obozu jenieckiego. Sama wiesz, że Sowieci nie dbają o swoich jeńców, więc nie miał mu kto pomóc. Wdała się gangrena i jakiś rzeźnik uważający się za lekarza obciął mu rękę. To cud, że nie umarł.

Mięsień na twarzy Hani zadrżał.

– Którą?

– Lewą. Ale oprócz tego jest cały i zdrowy.

Hania bawiła się bezwiednie widelczykiem do ciasta.

– Czy on wie, że tu jesteś? Że mnie szukałaś?

Nina pokręciła głową.

– Nie pozwoliłby mi tu przyjechać. Boi się, że mu nie wybaczyłaś, że wrócił do wojska i wyjechał na front. Myśli, że nie chcesz go znać.

– Więc po co tu jesteś?

– Bo Johann kocha cię do szaleństwa. Zawsze cię kochał. Jesteś jego obsesją. Tylko ty możesz mu pomóc wrócić do normalnego życia.

Tym razem Hania nie umiała powstrzymać łez, które wolno i bezwiednie spłynęły po jej policzkach. Tyle lat ukrywała miłość do tego jedyne go mężczyzny, udając, że to nie ma znaczenia, i nagle uczucie owładnęło nią całą, paraliżując oddech. Kochała Johanna. Kochała go mocno i prawdziwie. Był jedynym, któremu oddała siebie z ufnością i szaleństwem, nie bacząc na konsekwencje. Cierpiała przez to, choć duma nie pozwalała jej okazywać tego cierpienia. Nie śmiała mówić o bólu serca, podczas gdy tylu ludzi cierpiało z powodu traumy wojennej. Czym była miłość w obliczu gigantycznej nienawiści, śmierci, poniżenia i totalnej znieczulicy? Czy miała prawo cieszyć się, że jej ukochany mąż żył, podczas gdy tylu innych czyichś mężów straciło życie? Czy to było moralne?

Nina złapała ją za dłoń i mocno uścisnęła.

– Tu nie ma dla ciebie miejsca – powiedziała ściszone m głosem. – To miasto jest przeklęte. Wiem, co robiłaś podczas wojny, bo Johann wszystko mi opowiedział. Wiem również, że UB wymordowało po

wojnie twoich towarzyszy. Więc do ciebie też się dobiorą. Nie masz rodziny ani przyjaciół. Nie masz nikogo, kto mógłby cię obronić. Ale masz męża.

Hania połykała łzy, które płynęły jej po policzkach. Mocno ścisnęła dłoń Niny.

– Mój mąż był hitlerowcem. Pieprzonym szwabem!

– Tak jak i tobie, jemu również przyszło żyć w przeklętych czasach.

– I uważasz, że można to wszystko wymazać? Zapomnieć o tym? Moja matka nie żyje, Janek nie żyje, Władek nie żyje...

– Ale ty żyjesz! I Johann.

Nina miała rację. Hanna nadal żyła, oddychała i czuła bicie swojego serca.

– Czy Richterhause przetrwał? – zapytała po chwili.

– Tak. Dom nie stracił na świetności, choć utraciliśmy większość majątku. Jednak browar nadal funkcjonuje i przynosi niezłe dochody. Johann mieszka z naszą matką, ale ona w niczym nie będzie ci przeszkadzać. Nie ma na mojego brata żadnego wpływu.

Hania starła smukłymi palcami łzy z policzka.

– Więc dobrze. Niech będzie. Pojadę z tobą do Niemiec, ale mam jeden warunek.

– Stawiasz mi warunki, choć wiesz, że chcę cię zabrać do człowieka, który cię kocha?

– Nie pojadę sama. Mam bratową i bratanka. Zabieram ich ze sobą albo zostaję tutaj. To mój warunek.

[1] *Deszcze* – wiersz Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, napisany 21 lutego 1943 roku (wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

CZĘŚĆ PIERWSZA

*(...) Szczęście trzeba rwać jak świeże wiśnie
Potem przyjdzie mróz
I szczęście pryśnie
Pustka w sercu
W duszy mrok
I tak do końca za rokiem rok
Szczęście trzeba rwać jak świeże wiśnie
Póki jeszcze czas
Niech szczęście błysnie
Chwycić szczęście co masz sił
Kochać żyć na jawie śnić
Ten sen co się w dzieciństwie śnił*

Tadeusz Faliszewski,
Szczęście trzeba rwać jak świeże wiśnie

ROZDZIAŁ 1

sierpień 1938
Wolne Miasto Gdańsk

Kochana Haniu!

Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że jeszcze tylko kilka dni i wreszcie do nas wrócisz. Bardzo mi Ciebie brakuje i nie mogę Ci wybaczyć, że nie byłeś ze mną w salonie pani Róży, kiedy wybierałam suknię ślubną. Jest prześliczna! Taka, jaką sobie wymarzyłam! Cała z koronki, wyszywana perełkami, a w talii ma cudowną atlasową szarfę! Myślisz, że będę w niej pięknie wyglądać? A jeśli nie spodobam się Jankowi? Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tylko dwa tygodnie i będę Twoją bratową! Zobacz, jak wszystko wspaniale się układa! Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, a wkrótce będziemy również rodziną!

Twoja mama i Janek parę dni temu przyszli do rodziców na zrękowiny. Było pięknie i bardzo wzruszająco! Janek przyniósł mojej mamie ogromny bukiet kwiatów. Szkoda, że Ciebie nie było.

Władek bardzo za Tobą tęskni. Całe lato chodził do profesora Borowskiego i robił z nim te swoje projekty, ale widać było, że bez Ciebie nie miał do niczego zapału. On też z niecierpliwością na Ciebie czeka. Kiedy wy postanowicie się pobrać? Wiesz, że on o niczym innym nie marzy! Zazdrości Jankowi ślubu ze mną.

Jest coś jeszcze, co muszę Ci wyznać, bo obiecałyśmy sobie, że kiedy to nastąpi, to sobie o tym powiemy. Bo wiesz, ja i Janek... tylko nie bądź zła!... nie wytrzymałyśmy do nocy poślubnej. I było cudownie! Jestem taka szczęśliwa! I tak go kocham! Nie każ mi tylko opowiadać Ci tego ze szczegółami, za bardzo się wstydzę. Władek nic o tym nie wie, bo Janek mu się nie przyznał.

Wracaj do Warszawy, Kochana, bo chcę Cię już uściskać! Czekam na Ciebie z utęsknieniem.

Twoja przyjaciółka Lucyna Waszyńska

Od strony morza powiewała morską bryza. Całą noc nad Gdańskiem szalała burza z piorunami, tak potężna, jakby nad miasto nadciągnęła nieuchronna apokalipsa. Ale wraz ze zbliżającym się świtem niebo oczyściło się z ciężkich chmur, a powietrze pachniało świeżością, która następuje wyłącznie po burzy.

Dwudziestodwuletnia Hania Wolińska siedziała na plaży na gołym piasku i wpatrywała się w morską przestrzeń przed sobą. W dłoniach trzymała list od najlepszej przyjaciółki. Jej stopy, uwolnione z pantofli, zatapiały się w żółtym, wilgotnym piasku. Pragnęła oddychać morskim powietrzem – potrzebowała tego. Jej młodość, która pięknie rozkwitła, jej głodne życia zmysły chłoneły wszystkie otaczające ją zewsząd bodźce. Czuła się szczęśliwa. Była szczęśliwa.

Zaledwie przed godziną wstał świt, a poranki nad Zatoką Gdańską u schyłku lata były chłodne i rześkie. Chcąc zmniejszyć odczuwanie zimna, dziewczyna szczelniej otuliła się zarzuconym na ramiona miękkim kardiganem i mrużąc bursztynowe oczy przed porannym słońcem, odwróciła twarz w stronę latarni morskiej.

Patrzyła z zachwytem, jak latarnia powoli spływała złotym, słonecznym blaskiem. Był to ostatni taki widok, który panna Wolińska mogła podziwiać nad Gdańskiem. Już jutro miała wsiąść do pociągu i wyruszyć w drogę powrotną do domu. Do Warszawy.

Pomimo że tęskniła za domem, myśl o opuszczeniu Gdańska napawała ją wyjątkowym smutkiem. Doskonale zdawała sobie sprawę, że za rok już tu nie wróci. Może kiedyś, może za parę lat – ale nie za rok. Czuła, że wraz z odejściem lata kończy się jakaś mała część jej beztroskiej młodości. Miała prawo tak myśleć, bo przez ostatnie cztery lata każde wakacje spędzała w Gdańsku. Wprawdzie nie jako turystka, ale to nie zmieniało faktu, że stanowiły one bezsprzeczną część jej młodzieńczego życia. Nie byle czym było to, że przez ostatnie letnie sezony w lipcu i sierpniu przyjeżdżała do Gdańska jako dama do towarzystwa zamożnej niemieckiej

arystokratki hrabiny Irene von Richter. Tę wyjątkowo przyjemną pracę dostała dzięki protekcji zaprzyjaźnionej pani profesor z Uniwersytetu Warszawskiego, która bardzo dobrze znała się z hrabiną. To ona zarekomendowała pannę Wolińską jako idealną kandydatkę na damę do towarzystwa. Takim oto sposobem panna Wolińska ze zwyczajnej studentki wydziału germanistyki stała się powierniczką, towarzyszką i opiekunką starszej, niezwykle ekscentrycznej damy, którą uwielbiała jak własną babcię.

Spędzając każde lato w Gdańsku z hrabiną von Richter, Hania miała wyjątkową i niepowtarzalną możliwość zarobienia dość sporych pieniędzy. Dwumiesięczna pensja, którą otrzymywała od hrabiny, była równoważnością prawie rocznych dochodów jej matki pracującej w salonie z kapelusznymi i z powodzeniem starczała dziewczynie na kolejny rok studiów. Oczywiście hrabina Irene (którą Hania pieszczotliwie nazywała po polsku panią Irenką) była dość osobliwą starszą panią, z wybuchowym temperamentem i ciętym dowcipem, ale ich wspólne spacerowanie, codziennie celebrowane posiłki, godziny rozmów i niekończące się przyjęcia towarzyskie wśród niemieckiej gdańskiej elity nauczyły pannę Wolińską więcej obycia i ogłady niż cała jej edukacja w domu rodzinnym.

– To, że pochodzisz z rodziny mieszczańskiej, nie zwalnia cię z dobrego wychowania! – powtarzała zrzędliwie pani Irene. – Obycie i maniery to podstawa w wielkim świecie!

Matka i ojciec Hani dbali o jej dobre wychowanie i wykształcenie, bo sami szczylic się warszawskimi manierami, ale skromne mieszczańskie dochody urzędnika państwowego i modystki nie pozwalały na zbyt eleganckie życie. Dopóki żył ojciec, raz na jakiś czas stać ich było na wyjście całą rodziną do teatru czy na obiad w lepszej restauracji, ale po śmierci Stanisława Wolińskiego, która nastąpiła w wyniku ciężkiego zapalenia płuc, było już znacznie gorzej. Matka Hani, Aniela Wolińska, ledwo wiązała koniec z końcem, a wszystkie z trudem zaoszczędzone pieniądze przeznaczała na karierę wojskową starszego syna, Janka. Hania jako panna została odstawiona na boczny tor, a jej chęć studiowania na uniwersytecie pani Wolińska uważała za zbędną i po prostu ekstrawagancką zachciankę. Mimo to dziewczyna była uparta – ku

z dumieniem i niezadowoleniu matki zdała egzaminy wstępne i rozpoczęła studia na Uniwersytecie Warszawskim.

Początki były dla dziewczyny trudne, bo między zajęciami chodziła do kawiarni, by dorobić do rodzinnego budżetu jako kelnerka. Pomimo to pierwszy rok studiów zaliczyła z wyróżnieniem i to wtedy zaczęła się jej przyjemna i oświecająca przygoda z hrabiną von Richter.

Pani Irene z charyzmą i entuzjazmem wprowadziła młodzieńką, niedoświadczoną Polkę do wielkiego świata blichtru i snobistycznego luksusu, który oszołomił dziewczynę i w mig poszerzył jej dość mocno ograniczone horyzonty. Niemiecka hrabina z upodobaniem uczyła ją, czym różni się widelec do ostryg od tego do raków bądź jakiej porcelany należy używać do popołudniowej herbaty. Pokazała, jak kosztować kawior i małymi łydkami popijać francuskiego szampana, oraz w jaki sposób należy prowadzić grzecznościową pogawędkę o niczym.

Nauki pani Irene były dla młodzieńkiej Hani prawdziwą skarbnicą wyrafinowanego *savoir vivre'u*, którego nie uczyli na żadnym znanym jej uniwersytecie, toteż chłonęła je z entuzjazmem i wdzięcznością. Wielokrotnie pytała staruszkę, dlaczego to właśnie ją tak stanowczo upiera się zatrudniać co roku podczas wakacji, kiedy mogłaby wybierać z tuzina innych chętnych dziewcząt, i zawsze słyszała tę samą odpowiedź:

– Bo się z tobą nie nudzę, moje dziecko, a wiesz przecież, że nie znoszę się nudzić. Nuda jest największym wrogiem starości! Ty jesteś taka zabawna! Twoja młodość jest jak balsam na moją starą duszę!

Prawdą było, że starszą panią do łez bawiły gafy, które zdarzało się pannie Wolińskiej popełniać w towarzystwie. Irene z uwielbieniem potęgowała u Hani niespożyty apetyt na tańce i wszelkiego rodzaju gry zespołowe, jakich mnóstwo było w eleganckim towarzystwie. Dziewczyna kochała grę w tenisa i brydża, a nawet zasiadała do szachów. Hrabina kibicowała jej z prawdziwym entuzjazmem i z figlarnym błyskiem w oczach obserwowała swoją pupilkę, kiedy ta toczyła towarzyskie rozmowy

z młodymi, eleganckimi kawalerami wpatrującymi się w nią jak w święty obraz.

Hania niejednokrotnie odnosiła wrażenie, że pani Irene była z niej szczerze dumna. Czuła to całą sobą, a przez to kwitła na oczach starszej damy niczym najpiękniejszy kwiat, nieskrępowana wiecznie karcącym wzrokiem swojej nadopiekuńczej i wiecznie krytycznej matki. I pomimo że tęskniła za bliskimi – mamą i bratem – to jednak czas spędzony w Gdańsku z dala od rodziny i przyjaciół wydawał jej się bezcennym doświadczeniem.

Jeszcze przez chwilę wsłuchiwała się w szum fal, który harmonijnie współgrał ze skrzekiem szybujących nad plażą mew, aż wreszcie westchnęła przeciągle i powoli wstała z piasku. Boso, trzymając pantofle w dłoni, ruszyła niespiesznie w stronę wyjścia z plaży, omijając porozwieszane na żerdziach sieci rybackie. Zamierzała wrócić do hotelu, zanim pani Irene się obudzi. Hrabina bezwzględnie życzyła sobie, żeby Hania zawsze towarzyszyła jej podczas śniadania. To był jeden z podstawowych obowiązków dziewczyny.

Gdańsk budził się do życia z nocnego snu. Z portu wyruszały w morze kutry rybackie, by po kilku godzinach wrócić wypełnione po brzegi świeżymi rybami, których ostry zapach bezustannie unosił się wzdłuż całej Zatoki nad Motławą.

Hania zeszła z plaży, założyła buty i pewnym krokiem, przemierzając zabytkowe portowe uliczki, powędrowała w stronę średniowiecznego Żurawia, który pełnił funkcję bramy miejskiej. Zamierzała jak najszybciej dotrzeć na przystanek tramwajowy. Robiło się późno i pani von Richter zapewne niedługo wstanie, a dziewczyna nie chciała, żeby odkryła jej nieobecność.

Idąc szybkim krokiem przed siebie, z początku nie zauważyła dwóch patrolujących ulicę żołnierzy zmierzających w jej kierunku od strony Żurawia. Kiedy zbliżyli się do niej, próbowała ich minąć, ale bezceremonialnie zasłi jej drogę, blokując przejście. Hania zaskoczona podniosła na nich wzrok, odsuwając z zarumienionej twarzy szarpane przez wiatr kosmyki ciemnych włosów.

– Witamy śliczną damę. A szanowna panienka dokąd się wybiera o tak wczesnej porze? – zapytał po niemiecku jeden z nich. Nie zdziwiło jej to; w Gdańsku większość mieszkańców stanowili Niemcy.

Dziewczyna popatrzyła raz na jednego, raz na drugiego, zupełnie nie rozumiejąc ich zachowania. Zrobiła krok w tył i znowu chciała ich minąć, ale oni, jakby bawiąc się jej zmieszaniem, ponownie zasłi jej drogę i śmiało patrzyli dziewczynie w oczy. Obaj byli młodzi, ale w ich młodzieńczych twarzach było coś, co wzbudziło w Hani czujność. Dopiero teraz dostrzegła, że mieli na sobie czarne mundury, spod których wychodziły brunatne koszule, a na ich czapkach widniały emblematy orła ze swastyką i trupa czaszką SS. Już nie miała wątpliwości, kim są. W Gdańsku z dnia na dzień formacja SS zwiększała swoje siły. A odkąd zaledwie parę dni temu gdański senat wydał dekret, w którym mianował członka nazistowskiej NSDAP Alberta Forstera zwierzchnikiem Wolnego Miasta Gdańska, miało być ich jeszcze więcej. Polityka niezbyt Hanię interesowała, ale dziewczyna nie mogła nie dostrzec ogólnego napięcia, które panowało w mieście po ogłoszeniu tej wiadomości. Polacy, mimo że mieli szerokie uprawnienia nad miastem, dane im na mocy konwencji polsko-gdańskiej podpisanej w 1920 roku, zaczęli mocno się obawiać, czy ich prawa nie zostaną pogwałcone przez Trzecią Rzeszę. Nie od dziś wiadomo było, że Niemcy nigdy nie pogodzili się z utratą Gdańska po Wielkiej Wojnie, a kanclerz Rzeszy Adolf Hitler bezustannie zaostrzał niemieckie apetyty na odzyskanie miasta.

– Proszę mnie przepuścić, śpieszę się – powiedziała po niemiecku dość ostrym tonem, robiąc krok w przód, w stronę bramy miejskiej.

Jeden z żołnierzy zbliżył się do niej niebezpiecznie blisko. Poczowała zapach jego spoconego munduru. Popatrzyła mu w oczy i nie wiedzieć czemu, ogarnął ją dziwny lęk. Nie była bojaźliwa, miała już wcześniej do czynienia z żołnierzami na ulicach Warszawy – zresztą jej brat był kawalerzystą – teraz jednak instynktownie rozejrzała się w bok, pragnąc znaleźć wzrokiem kogoś, kto ewentualnie mógłby jej pomóc. Ale jak na złość w pobliżu nie było nikogo.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. SS-Rottenführer Hans Bachmann, a to mój towarzysz SS-Rottenführer Jacob Einbacher.

– Bardzo mi miło, panowie, ale muszę już iść. Pozwoli pan, że przejdę?

W odpowiedzi mężczyzna zbliżył się do niej jeszcze bardziej, a Hania zbита z tropu i coraz bardziej zaniepokojona cofnęła się. Czując narastające zdenerwowanie, z całej siły ścisnęła trzymający w dłoni list od Lucyny, co najwyraźniej nie uszło uwagi młodego esesmana.

– Szanowna panienka jest Polką?

Hania nerwowo zamrugła oczami.

– Owszem. Czy to jakiś problem?

– Ależ skąd! Po prostu zwykła procedura wyjaśniająca. Jesteśmy na służbie, więc chyba pani rozumie.

– Nie, nie rozumiem! Miło mi się z panami rozmawia, ale śpieszę się, więc proszę pozwolić mi odejść.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej. Bezcelnie lustrował Hanię wzrokiem od stóp do głów, co tylko pogłębiło jej oburzenie i lęk.

– Zmuszony jestem zapytać szanowną panienkę, jak się panienka nazywa.

– Co za tupet! Chyba nie wypada zaczepiać na ulicy nieznajomą i pytać, jak się nazywa?! – odburknęła, natychmiast ganiąc się w duchu za zbytnią zuchwałość.

– Już mówiłem, że jesteśmy na służbie, więc w takiej sytuacji jak najbardziej wypada, zwłaszcza jeśli spotykamy młodą damę błąkającą się o świcie samotnie po porcie.

– To wolne miasto, więc mogę chodzić, gdzie chcę i kiedy chcę. A poza tym nie błąkam się, tylko spaceruję.

– Pan Albert Forster mógłby mieć na ten temat inne zdanie. Tyle ostatnio mówi się o nieprzyjemnych incydentach, do których dochodzi w mieście, więc chyba panienka rozumie? Musimy bezwzględnie pilnować porządku!

– Proszę mnie natychmiast przepuścić! – Hania coraz bardziej zdenerwowana, nie myśląc, co robi, uderzyła esesmana otwartą dłonią w pierś, próbując go odepchnąć. Dopiero gdy zobaczyła jego reakcję, przestraszyła się nie na żarty. Mężczyzna impulsywnie złapał ją w pól i przycisnął do siebie w żelaznym uścisku.

– Proszę mnie puścić! To boli! – krzyknęła, czując narastającą panikę.

– Sama panienska widzi, że rutynowe kontrole na mieście są potrzebne, skoro nawet tak młode damy jak panienska nie panują nad swoim zachowaniem i atakują funkcjonariuszy SS! – wycharczał jej do ucha.

Ciało dziewczyny zeszywniało ze strachu. Mężczyzna ścisnął ją tak mocno, że z bólu jej oczy zaszyły łzami. Nagle puścił ją gwałtownie i zrobił dwa kroki do tyłu. Zachwiała się i w ostatniej chwili złapała równowagę – inaczej wyrznęłaby kolanami o bruk. Strach i upokorzenie sprawiły, że zacisnęła zęby i popatrzyła na mężczyznę z odrazą.

– Powtórzę pytanie. Jak się panienska nazywa? – zapytał esesman z naciskiem.

– Nie ma pan prawa mnie o to pytać! Jestem wolną obywatelką!

– Więc co panienska tu robi o tak wczesnej porze? Może jakieś sekretne spotkanie z kochankiem? – To mówiąc, znacząco popatrzył na list, który Hania ścisnęła w dłoni. Nawet nie wiedziała, kiedy go pochwycił i zamachał jej nim przed nosem.

– Jak się panienska nazywa?! – zapytał ponownie, tym razem głośniejszym, tonem nieznoszącym sprzeciwu, patrząc jej obcesowo w oczy.

Dziewczyna bezsilnie zacisnęła usta i popatrzyła na drugiego esesmana, który do tej pory stał nieruchomo i dość obojętnie przypatrywał się całej scenie.

– Nazywam się Hanna Wolińska. Jestem damą do towarzystwa szanowanej niemieckiej arystokratki hrabiny Irene von Richter. Pani von Richter będzie bardzo niezadowolona, kiedy dowie się, co mnie tu spotkało! Mieszkam w Grand Hotelu i natychmiast muszę tam wrócić, więc proszę mnie puścić! – wykrzyczała, czując, że trzęsie się ze zdenerwowania i gniewu. Wielokrotnie słyszała, że funkcjonariusze gdańskiej SS od jakiegoś czasu organizowali prowokacje przeciwko Polakom w mieście, ale do incydentów dochodziło głównie w biedniejszych, tak zwanych czerwonych dzielnicach miasta.

Dziewczyna z rozpaczą popatrzyła na cumujące w zatoce kutry rybackie, mając nadzieję, że choć jeden rybak schodzący na ląd przyjdzie jej z pomocą. Z daleka widać było wóz zaprzężony

w konia, który toczył się brukowaną ulicą w stronę portu. Tuż za bramą ruch na ulicy wzrastał się z minuty na minutę.

– Proszę natychmiast oddać mi mój list! – krzyknęła.

– Co opiekunka tak szanowanej damy robi o świcie w porcie? – zapytał drugi esesman.

Hania popatrzyła na niego wzburzona.

– Spacerowałam po plaży! Czy to przestępstwo?

– Panno Wolińska, musimy zweryfikować pani słowa, więc pojedzie pani z nami. Na pewno szybko wszystko wyjaśnimy i wróci pani do hotelu.

Hania zadrżała ze strachu.

– To jakiś absurd! Nie zamierzam nigdzie z panami jechać!

– Chyba będzie panienka musiała. – Po tych słowach esesman złapał dziewczynę boleśnie za ramię i mimo jej głośnego oburzenia i protestów przeprowadził brutalnie przez bramę, gdzie niedaleko stał zaparkowany czarny samochód.

* * *

Powoli zbliżało się południe. W ciągu tych kilku godzin pogoda zdążyła się zmienić i nad Gdańskiem znowu zawisły ciemne deszczowe chmury. Na sam deszcz również nie trzeba było długo czekać.

Hania siedziała w pustym pokoju barokowego dworku w Gdańsku Oliwie, który był główną siedzibą miejscowego SS. Dworek położony był z dala od centrum miasta, blisko lasu, którego drzewa wchodziły na teren posiadłości. Dziewczyna tępo patrzyła, jak brzozy tańczą targane wiatrem, a delikatne liście pochylają się w dół pod ciężarem wielkich kropel deszczu. Nieco dalej był niewielki staw rybny, znad którego unosiła się mglista łuna pary wodnej. Miejsce to wydało jej się niezwykle urokliwe, wręcz melancholijne, i aż trudno było uwierzyć, że w rzeczywistości jest siedliskiem bojówkarzy nazistów.

Panna Wolińska nie wiedziała, jak długo tu siedzi, ale jej niepewność powoli zaczęła zamieniać się w strach. Już sam fakt, że siłą porwano ją z ulicy i wsadzono do czarnego auta jak zwykłego bandytę, był dla niej upokorzeniem i obrażą.

Esesmani po przyjeździe do dworku natychmiast zaprowadzili ją na przesłuchanie do samego dowódcy gdańskiej SS, Oberführera Johannes Schäfera. Hania rozpoznała go bez trudu, bo kilka razy spotkała go na którymś z przyjęć, gdy towarzyszyła hrabinie von Richter.

Mężczyzna wstał zza biurka i przywitał się z nią uprzejmie, jakby nie została godzinę temu aresztowana przez jego ludzi, tylko znowu uczestniczyli w jakimś eleganckim przyjęciu.

Hania nigdy nie zwracała na tego mężczyznę szczególnej uwagi, bo rozmowy na przyjęciach z urzędnikami i oficerami wyższego szczebla nie leżały w jej zwyczaju ani tym bardziej kompetencjach. Jednak któregoś razu usłyszała podczas konwersacji, że człowiek, którego miała przed sobą, w maju tego roku został mianowany nowym dowódcą gdańskiej SS.

Johannes Schäfer był poważnym i dystyngowanym mężczyzną o posępnym wzroku i mocno zaciśniętych wąskich ustach, które w połączeniu ze zbyt dużym, orlim nosem sprawiały, że jego twarz emanowała stanowczością i wzbudzała respekt. W Hani nigdy jednak nie wzbudzał lęku i nie przyszło jej do głowy, że któryś z jego ludzi mógłby ją pewnego dnia bezpodstawnie aresztować.

Podczas przesłuchania SS-Oberführer przyglądał jej się uważnie, jakby próbował wyczytać z twarzy dziewczyny, czy ta się boi. Hania do tej pory nie odczuwała wielkiego strachu, ale też nie wiedziała, co ją czeka i czy esesmani zamierzają zrobić jej krzywdę. Była raczej oburzona, że znalazła się tu z niewiadomych sobie powodów. Martwiła się również o panią Irenkę, bo staruszka nie wiedziała, gdzie dziewczyna się podziewa i co się z nią dzieje, a to mogło spowodować u starszej pani niepotrzebne nerwy, a w konsekwencji kłopoty zdrowotne.

Mężczyzna wypytywał ją spokojnie i rzeczowo, kim jest i co robiła w porcie o tak wczesnej porze. Ani razu nie nawiązał podczas rozmowy do ich rzekomej znajomości, chociaż z pewnością zdawał sobie sprawę, że już się kiedyś spotkali. Zachowywał się jak przystało na oficera z jego rangą – był opanowany, stanowczy i śmiało patrzył dziewczynie prosto w oczy. Był mężczyzną po trzydziestce, więc jego powaga trochę Hanię peszyła, ona jednak

starła się nie dać zbić z tropu. Uparcie twierdziła – co było zgodne z prawdą – że wybrała się do portu wyłącznie po to, żeby pospacerować o świcie po plaży i ostatni raz popatrzeć na zatokę, ponieważ jutro wraca do Warszawy. Nie wiedziała jednak, czy te wyjaśnienia były dla SS-Oberführera wiarygodne. Cały czas trzymał w dużych dłoniach list od Lucyny, który zabrał Hani jeden z esesmanów, i wolno obracał go w palcach. Najwidoczniej nie zamierzał jej go oddać. Kiedy zapytał, czy dziewczyna chciała się z kimś spotkać, jego oczy wpatrywały się w nią uważnie, jakby zamierzał się upewnić, czy udzielając odpowiedzi, na pewno nie skłamię. Dziewczyna nie rozumiała, o co mu chodzi. Z kim miałyby się spotkać o świcie w porcie? Czyżby ci ludzie o coś ją podejrzewali? Czy myśleli, że jest agitatorką, która sabotuje przeciwko władzy nazistów w Wolnym Mieście? Owszem, wiedziała, że esesmani wszczynają na mieście awantury z Polakami, przesładując ich i bijąc. Były nawet takie dzielnice, gdzie SS biło Polaków do nieprzytomności i dochodziło tam często do konfrontacji z gdańską policją. Jednak co ona mogła mieć z tym wspólnego? Czy zaczepianie młodych panien na ulicy i aresztowanie ich za spacer było dla SS jak chleb powszedni? Przecież nie była przestępcą, tylko skromną studentką, która w okresie letnim uczciwie zarabiała pieniądze.

Po półgodzinie rozmowy SS-Oberführer uprzejmie poinformował ją, że przesłuchanie zostało zakończone. Następnie bez słowa wstał i wyszedł z pokoju, zostawiając ją samą. Nie był nawet na tyle uprzejmy, by się pożegnać.

Od tamtej pory minęło już kilka godzin i nikt do Hani nie przychodził. Czyżby zamierzali ją tu trzymać kilka dni? Czy to była jakaś taktyka mająca na celu osłabienie jej psychiki? Dziewczyna poczuła burczenie w brzuchu; chciało jej się pić, ale nie było nikogo, komu mogłaby o tym powiedzieć. Owszem, słyszała za drzwiami czyjeś kroki, ale nikt do niej nie zajrzał. Najgorsza była niepewność, co z nią zrobią. Wypuszczą? Czy jednak zatrzymają na dłużej jak zwykłą kryminalistkę, pod wymyślonym zarzutem?

Aż podskoczyła ze strachu, kiedy w końcu drzwi do pokoju otworzyły się z łoskotem i stanęło w nich dwóch młodych mężczyzn.

Jednym z nich był esesman, który ją aresztował, Hans Bachmann, a drugiego zobaczyła po raz pierwszy w życiu.

Nieznajomy – szczupły, ale wysoki, wyraźnie dominował sylwetką nad esesmanem. Ubrany był po cywilnemu – w elegancką podróżną marynarkę i lekkie lniane spodnie, a w dłoni trzymał kapelusz. Emanując młodzieńczą energią i pewnością siebie, bystro spojrzał na Hanię najbardziej błękitnymi oczami, jakie dziewczyna kiedykolwiek widziała. Jego gładka, wyjątkowo przystojna twarz o mocno zarysowanej szczęce oraz orli nos dodawały powierzchowności charakteru i powagi. Tylko usta uśmiechające się do niej ukradkiem były wyjątkowo delikatne, jak u chłopca. Jasne włosy miał nienagannie zaczesane na prawy bok.

Hania zmieszana szybko odwróciła wzrok, czując, że rumieni się głupio pod przenikliwym spojrzeniem i uśmiechem nieznajomego.

– Panno Haniu, nazywam się Johann von Richter. Jestem wnukiem Irene von Richter. Przyjechałem zabrać panią do hotelu.

Dziewczyna szczerze zaskoczona popatrzyła na młodego mężczyznę ponownie i na ułamek sekundy utonęła w jego błękitnych oczach. Szybko odwróciła wzrok. Słyszając, kim jest ten młody człowiek, który najwyraźniej przybył, żeby wyciągnąć ją z tarapatów, poczuła się zawstydzona i jeszcze bardziej upokorzona całą sytuacją.

Czuła, że wnuk pani von Richter obserwował ją uważnie, kiedy siedziała na krześle nienaturalnie wyprostowana jak struna, starając się zachować choć resztki godności. Palce boleśnie wbijała w fałdy letniej sukienki.

W końcu młodzieniec podszedł do niej i szarmancko wyciągnął w jej stronę dłoń. Hania z pąsowym rumieńcem na twarzy i z taką godnością, na jaką było ją stać, ujęła jego szczupłe palce i szybko wstała z krzesła.

– Miło mi pana poznać, panie von Richter. Wstyd mi, że poznajemy się w takich okolicznościach... Że sprawiłam problem pani Irencie...

– Język plątał jej się, jakby była pijana i zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć, skupiając się głównie na unikaniu jego wzroku. Czuła się jak skończona idiotka, a on najwyraźniej to dostrzegał, bo w jego przejrzystych oczach tańczyły wesołe iskierki.

– Dobrze się pani czuje, panno Haniu? – zapytał, ściszej głoś. – Nic się pani nie stało?

Zawstydzona pokiwała głową.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała krótko. – Chciałabym stąd wyjść, jeśli to możliwe. Rozumiem, że jestem już wolna? – Z tym pytaniem zwróciła się w stronę SS-Rottenführera Bachmanna.

Esesman nieznacznie skinął głową.

– Tak. Prosimy szanowną panienkę o wybaczenie za całą tę sytuację. SS-Oberführer Johannes Schäfer po przesłuchaniu rozkazał nam panienkę natychmiast zwolnić.

Hania uniosła brwi w wyrazie zaskoczenia. Jeszcze parę minut temu nie była pewna, czy w ogóle stąd wyjdzie, a teraz ten siłący się na uprzejmość esesman przeproszał ją za to, że siłą ją tu przywiózł i zamknął jak zwykłego przestępcę.

– Spędziłam tu kilka godzin – odparła oskarżycielskim, wyniosłym tonem.

– Proszę wybaczyć, panienko, ale musieliśmy powiadomić szanowną hrabinę von Richter, żeby zachciała przysłać po panienkę kogoś, kto mógłby pani towarzyszyć w drodze do hotelu.

„I przysłała wnuka” – pomyślała dziewczyna, zastanawiając się, co Johann von Richter robił w Gdańsku. Przecież jeszcze wczoraj go nie było, a pani Irene nie wspominała, że zamierza ją odwiedzić.

– Proszę się nie obawiać – rzekł Johann ciepłym tonem. – Jest pani bezpieczna, nic już pani nie grozi. – To mówiąc, zbliżył się do niej jeszcze o krok i w obronnym geście położył otwartą dłoń na jej plecach. Czując jego niespodziewany dotyk, Hania odsunęła się jak oparzona, uznając ten gest za nieprzyzwoity i zbyt intymny. Chyba to zrozumiał, bo też odsunął się od niej prędko.

– A coś mi groziło? – zapytała opryskliwie, próbując ukryć zażenowanie. Poważna mina SS-Rottenführera Bachmanna powiedziała jej, że nie zamierza odpowiadać na jej zgoła głupie pytanie. Z powagą patrzył przed siebie, jak przystało na wyszkolonego żołnierza, i starał się nie wchodzić w drogę Johannowi von Richter, kiedy ten prowadził Hanię prosto do wyjścia z pokoju.

Hania, usiłując nie zerkać na hrabiego, szybkim krokiem opuściła swoje więzienie. Zatrzymała się dopiero w długim korytarzu, bo nie

wiedziała, w którą stronę iść. Surowe pomieszczenie z ciągiem identycznych drzwi było przytłaczające.

Johann von Richter kurtuazyjnie poprowadził ją w stronę holu, do głównego wyjścia.

Na zewnątrz wiatr zaciął ulewnym deszczem. Dziewczyna poczuła chłód na twarzy i wciągnęła w nozdrza letni zapach wilgoci. Zaśmiała się, że znowu jest wolna. Chciała zbiec po schodach, nie zważając na rześistą ulewę, ale jej towarzysz niespodziewanie zdjął marynarkę i rozpostarł ją jak parasol nad jej głową. Zaskoczona popatrzyła na niego błyszczącymi oczami. Był tak szalenie przystojny, że z trudem udawało jej się zachować obojętność. Ogarnął ją wewnętrzny wstyd, że tak gwałtownie reagowała na tego młodzieńca, ale nigdy wcześniej nie czuła czegoś podobnego. Żaden mężczyzna jak dotąd nie zrobił na niej takiego wrażenia. Żaden nie spodobał jej się tak bardzo.

Oboje, chowając się pod marynarką, szybko pobiegli do samochodu zaparkowanego kilka metrów za budynkiem.

– Teraz już nic pani nie grozi – powiedział Johann, kiedy wsiedli do pojazdu. – Już nie musi się pani bać.

Hania postanowiła uparcie unikać jego wzroku, żeby młody wnuk hrabiny von Richter przypadkiem nie dostrzegł, jak bardzo oszołomiła ją jego osoba. Siedząc na miejscu pasażera, z westchnieniem ulgi rozparła się na skórzanym fotelu i zmiotła palcami z twarzy wilgotne kosmyki włosów. Kątem oka dostrzegła, że biała koszula Johanna jest zupełnie przemoczona i klei się do ciała. Miała ochotę gapić się na niego, cieszyć oczy tym jakże przyjemnym widokiem, ale przyzwoitość jej na to nie pozwalała.

– Nie bałam się – odparła hardo – byłam tylko zaskoczona, że porwano mnie z ulicy, jakbym była jakąś bandytką. To oburzające!

Młody mężczyzna uruchomił silnik samochodu i ruszył przed siebie.

– Babcia była gotowa poruszyć niebo i ziemię, byle jak najszybciej panią stąd zabrać – powiedział po chwili. – Bardzo się martwiła. Przyjechałem z samego rana do Gdańska i zastałem ją w stanie absolutnej rozpacz.

– I wysłała pana? Nie wspominała, że przyjeżdża pan do Gdańska.

– Bo nie miała o tym pojęcia. Przyjechałem niezapowiedziany, po to, żeby zabrać jutro babcię do domu. Oczywiście od razu opowiedziała mi, co panią spotkało. A że jestem prawnikiem, postanowiłem po panią pojechać i pomóc w razie potrzeby, gdyby wynikły jakieś problemy. Z nimi trzeba uważać, panno Haniu...

Młodzieniec patrzył przez mokrą od deszczu przednią szybę samochodu i zdawał się nie dostrzegać tego, że Hania raz po raz bacznie mu się przygląda. Albo udawał, że tego nie widzi, skupiony na prowadzeniu auta. Ostry profil jego twarzy bardzo się dziewczynie podobał. Sunęła ciekawskim wzrokiem od linii podbródka, poprzez usta, aż do prostego nosa. Zwróciła uwagę również na jego szczupłe, ale mocne ramiona i aż westchnęła, kiedy wyobraźnia podsunęła jej obraz mięśni okrytych mokrą koszulą. To nie były ramiona bawidamki z dobrego domu, tylko mężczyzny, który najwyraźniej nie bał się pracy fizycznej. Bo i gdzie mógł wyrobić sobie takie mięśnie, jeśli nie przez fizyczny wysiłek? Choć przecież był prawnikiem. O tym pani Irene nie wspominała. Hania próbowała sobie przypomnieć, co starsza pani mówiła o swoim wnuku, ale nie było tego za wiele. Na pewno był najstarszym z jej wnucząt i miał jeszcze dwoje rodzeństwa, brata Niklasa i siostrę Ninę. Jednak to on – niespełna dwudziestoosmioletni – zdaniem starszej pani wykazywał w rodzinie najwięcej rozsądku i zarządzał całym rodzinnym majątkiem. A podobno było czym zarządzać, bo rodzina von Richterów posiadała największy w Bawarii browar, stadninę z kilkunastoma końmi najczystszej krwi, mnóstwo ziemi i kilka nieruchomości, głównie w Monachium, ale również w Berlinie, a także dom w Wiedniu. Johann miał głowę na karku i jak tylko stał się wystarczająco dojrzały i skończył studia, zajął się zarządzaniem rodzinnym interesem. Zastępował w tym ojca, który według opowieści pani Irenki całymi dniami przesiadywał na spotkaniach partii NSDAP, a w nocy zapijał się do nieprzytomności.

– Gdyby chcieli, mogliby zrobić pani krzywdę – dodał Johann po chwili, przerywając jej myśli.

– Nie rozumiem...

Znowu na nią spojrzał.

– Znam ludzi z SS i nieraz widziałem, do czego są zdolni. Ma pani szczęście, że tak się to skończyło.

– Przecież nie zrobiłam nic złego – mruknęła oburzona.

– Nie, ale im to nieraz nie wystarcza. Gdyby coś się pani stało, babcia wpadłaby w rozpacz.

– Wydaje mi się, że nie chcieli zrobić mi krzywdy, a jedynie przstraszyć.

Resztę drogi do hotelu pokonali w zupełnym milczeniu, wsłuchując się w krople deszczu miarowo uderzające w szyby samochodu.

Hania spięta jak nigdy wcześniej, nie poznając samej siebie, miała wrażenie, że każdym nerwem odczuwa bliskość nowo poznanego mężczyzny. Jej młoda krew wrzała w żyłach, a serce tłukło się w piersi jak oszalałe, za nic nie chcąc się uspokoić. Co miała jednak poradzić na to, że urok osobisty tego młodzieńca tak ją oszołomił? Może to wina kilkugodzinnego zamknięcia? Może przez to odosobnienie zupełnie straciła rozum? A może ten przystojny wnuk starszej pani po prostu wpadł jej w oko?

Kiedy dotarli do Grand Hotelu, deszcz z ulewy zamienił się w gęstą mżawkę.

Johann zaparkował przed wejściem głównym, a dziewczyna z całym wdziękiem, na jaki było ją stać, wyskoczyła z samochodu i nie oglądając się za siebie, tanecznym krokiem pobiegła do holu. Nie odwróciła się ani razu, nie widziała więc śledzącego ją wzroku młodego hrabiego.

* * *

Hania nie odzyskała listu od Lucyny. Wprawdzie nie było w nim nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób zaszkodzić jej reputacji, ale myśl, że został gdzieś w papierach SS, nieco ją niepokoiła. Myślała o tym gorączkowo, przygotowując się do ostatniej, pożegnalnej kolacji z hrabiną von Richter. Wiedziała, że tego wieczoru będzie towarzyszył im również wnuk pani Irene.

Kiedy tylko dziewczyna znalazła się bezpiecznie w hotelu, starsza pani nie mogła ukryć ulgi i wzruszenia i uściskała ją z taką werwą, jakby miała dwadzieścia, a nie siedemdziesiąt parę lat. Przyjrzała się

dziewczynie uważnie, badawczo, czy na pewno nikt nie wyrządził jej krzywdy, i stanowczo nakazała, żeby ta całe popołudnie odpoczywała w swoim pokoju i nigdzie nie wychodziła.

– Przecież nic mi nie jest, pani Irenko!

– Widzę, że jesteś nieswoja! Trzęsiesz się jak galareta i masz niezdrowe rumieńce.

W międzyczasie Johann von Richter w przemoczonej koszuli i z marynarką przewieszoną przez ramię grzecznie pożegnał się z obiema paniami i udał się do swojego apartamentu, tłumacząc, że chciałby odpocząć. Hania ukradkiem patrzyła za nim, jak odchodził. Zaledwie parę chwil w jego towarzystwie wystarczyło, żeby ten młody mężczyzna zmącił jej umysł tak samo mocno, jak wydarzenia całego poranka, ale nie mogła wytłumaczyć pani Irence, że to raczej jej przystojny wnuk, a nie SS wywołał ten wstydlivy rumieniec na jej twarzy.

Zamykając się w swoim pokoju, z westchnieniem pomyślała, że to dobrze, że już jutro wraca do Warszawy. Ciekawe, co wnuk pani Irene musiał o niej pomyśleć? Głupia, nierozważna dziewczyna, która dała się aresztować jak przestępca za zwykły spacer po plaży. Czy powinna powiedzieć o tym Władkowi? Czy jej narzeczony nie byłby zły, słysząc, że ostatni dzień pobytu w Gdańsku o mało nie przypłaciła utratą wolności? Pewnie przestraszyłby się nie na żarty i zabroniłby jej podróżować samotnie, ostatecznie uznała więc, że rozsądniej będzie nie wspominać o tym incydencie nikomu z bliskich. Po co ich niepotrzebnie martwić?

Po długiej, relaksującej kąpieli i błogim odpoczynku na hotelowym tarasie poczuła się jak nowo narodzona. Kiedy odświeżona i wystrojona w najlepszą koktajlową sukienkę schodziła wieczorem na kolację do hotelowej restauracji, czuła się już zupełnie dobrze i zapominała o wydarzeniach poranka.

Przy ogromnych dwuskrzydłowych drzwiach prowadzących do restauracji stał Johann von Richter, ubrany w idealnie skrojony wieczorowy garnitur, który leżał na nim jak druga skóra. Najwyraźniej czekał na nią i na panią Irene. Hania rzuciła mu przelotne spojrzenie i udając zainteresowanie czymś zupełnie innym, zatrzymała wzrok na martwym punkcie, tuż za jego plecami. Znowu oszołomiło ją to,

jak bardzo był przystojny. Czuła, że młodzieniec przygląda się jej z czarującym błyskiem w oczach. Wywołało to w jej ciele dziwnie niepokojący dreszcz. Jej najlepsza sukienka, którą miała na sobie, nagle wydała jej się zbyt pospolita, policzki pokryte różem zbyt jaskrawe, a długie kasztanowe włosy sięgające połowy pleców, nieczesane ręką profesjonalnego fryzjera, musiały w jego oczach wyglądać żałośnie. Pomyślała, że Johann von Richter z pewnością przyzwyczajony jest do kobiet, które już z samego rana wyglądają niczym gwiazdy filmowe.

– Babciu, jak zwykle olśniewasz! – Młodzieniec z entuzjazmem przywitał się z hrabiną, która z powagą, opierając się na lasce, wkroczyła do lobby. Starsza pani rzeczywiście tego wieczoru wyglądała godnie i dystyngowanie – jak królowa. Chyba nikt w restauracji nie był w stanie pobić jej klasą i elegancją.

Hrabina rozpromieniła się i z czułością pogładziła wnuka po policzku dłonią w koronkowej rękawiczce.

– Młody człowieku, po co patrzysz na mnie, skoro towarzyszy mi tak piękna panna? – Figlarnie puściła oko w stronę Hani. – Wyłącznie ta młoda dama powinna być obiektem twojego zainteresowania i to jej należą się szczerze komplementy. Chyba nie muszę cię uczyć, jak należy zachować się przy pięknej kobiecie?

Johann z pobłażliwym uśmiechem pocałował babcię w policzek i odwrócił się w stronę Hani i skłonił się przed nią szarmancko.

– To prawda, piękna – przyznał cicho. Nieco zbyt natarczywie lustrował pannę Wolińską wzrokiem, wywołując na jej twarzy gorący rumieniec zakłopotania.

– Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej? – zapytał po chwili, ignorując jej jawne zawstydzenie.

– Tak. Pani Irenka w swojej trosce zmusiła mnie do odpoczynku, więc czuję się już zupełnie dobrze.

– Wspaniale. Nie mogłem się doczekać, kiedy znów panią zobaczę.

Wnuk pani Irene, prawym ramieniem wspierając babcię, lewe kurtuazyjnie podał Hani.

– Pozwoli pani, panno Haniu?

Dziewczyna z dystygowaną godnością położyła dłoń na przedramieniu młodzieńca, puszczając mimo uszu jego wcześniejszą uwagę.

Wystawna sala restauracyjna Grand Hotelu, lśniącą blaskiem kryształowych kandelabrow i zachwycająca bielą eleganckich stolików, jak zwykle o tej porze była pełna gości. Ich trójka została oddelegowana przez kelnera do wytwornie nakrytego stolika na uboczu, schowanego za misternie zdobioną pergolą z różami. To pozwoliło im na odrobinę prywatności. Z głębi sali słychać było delikatną muzykę fortepianową, umilającą gościom czas podczas kolacji.

– Haniu, rozmawiałam dziś z prezydentem Arthurem Greiserem – odezwała się hrabina, kiedy kelner przyjął od nich zamówienie. – Kazał cię szczerze przeprosić za zaistniałą sytuację i zapewniał, że SS już nigdy nie będzie cię w żaden sposób niepokoić.

– Była pani u prezydenta? – Hania nie kryła oburzenia. – Nie powinna pani tego robić! To był zwykły incydent! Nic więcej!

– Incydent, który mógł mieć dla ciebie przykre konsekwencje, dziecino. To było niewybaczalne! Te głąby kapuściane... Przepraszam za określenie... Nigdy nie powinny cię niepokoić w taki sposób! A swoją drogą, co ty na Boga robiłaś sama o świcie w porcie?

Hania uśmiechnęła się z zażenowaniem. Czuła, że wnuk pani Irene przygląda jej się bacznie, przez co miała problem, żeby skupić się na czymkolwiek.

– Głupia gęś ze mnie, ale chciałam ostatni raz powitać na plaży wschodzące słońce. Już jutro wracam do Warszawy.

– Nie wiesz, że ostatnio na ulicach Gdańska przestało być bezpiecznie? Zwłaszcza dla młodych polskich dziewcząt! Coraz więcej tych wściekłych bojówkarzy kręci się po mieście, podobno wprowadzają tu porządek... To z nimi powinno się zrobić porządek! Takie męty spod ciemnej gwiazdy to wstyd dla mojego narodu! A Hitler ma czelność nazywać ich zbrojnym ramieniem partii!

– Babciu, nie unos się tak! – odezwał się Johann, upijając łyk wina podanego przez kelnera. – Choć tak szczerze, to moja babcia ma

rację, panno Haniu – zwrócił się do dziewczyny. – Nie powinna pani sama wychodzić z hotelu o tak wczesnej porze. To nierozsądne.

– Nie byłam świadoma zagrożenia. Spędziłam tu tak wspaniałe lato i nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby mnie aresztować podczas spaceru w porcie – broniła się z wyrzutem Hania. – Pani Irenko, przepraszam, że przysporzyłam pani zmartwienia!

Hrabina zmarszczyła brwi z irytacją.

– Gdyby coś ci się stało, moja droga, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła!

Hania spojrzała na starszą panią ze wzruszeniem. Patrząc na tę kochaną twarz pokrytą siateczką zmarszczek, czuła, jak bardzo będzie jej brakowało pani Irene. Ta kobieta w sposób niezwykle wypełniła jej życie i pokazała świat, o którym każda prosta dziewczyna mogła tylko pomarzyć. Myśl o rychłym rozstaniu była dla niej tak przykra, że Hania z trudem powstrzymywała łzy.

– Kochanie, chyba nie będziesz mi tu teraz płakać! – ofuknęła ją hrabina, udając zgorszenie. – Przecież to wstyd tak przy ludziach! Zawsze ci tłumaczyłam, że trzeba umieć się zachować!

– Po prostu coś mi wpadło do oka – odparła Hania z czułym uśmiechem, nienaturalnie trzepocząc rzęsami.

– To dobrze, bo mam dla ciebie pewien drobiazg i nie chcę, żebyś się mazała. – Starsza pani wyjęła z podręcznej lakierowanej torebki małe, eleganckie pudełeczko i podała je zdumionej dziewczynie. – To dla ciebie, kochanie. To coś, co, mam nadzieję, będzie ci o mnie przypominać.

Hania, głęboko poruszona, otworzyła pudełeczko. Na aksamitnej poduszeczce leżała para złotych kolczyków z bursztynem i delikatny naszyjnik do kompletu. Biżuteria miała kształt kropli, a bursztyny otulała niczym pajęczyna misterna złota spiralka.

– Pani Irenko, to jest przepiękne!

– To biżuteria od lokalnego jubilera. Kazałam ją wykonać specjalnie dla ciebie, dzieciно. Kolor bursztynów przypomina mi twoje oczy. Wiem, że będziesz w nich wyglądać przepięknie!

Hania kręciła głową z niedowierzaniem i zachwytem, raz po raz patrząc to na biżuterię, to na panią von Richter.

– Pani Irenko, ten prezent jest zbyt drogi! To nie wypada! Nie mogę go przyjąć!

– Głupstwa pleciesz, dziewczyno! A niby co miałabym ci podarować? Jesteś warta dużo więcej, moje dziecko, i mam nadzieję, że nigdy o tym nie zapomnisz!

Łzy wzruszenia stanęły w oczach dziewczyny i choć bardzo chciała, to nie umiała ich opanować.

– Tak bardzo będę za panią tęsknić – wyszeptała, czując, że coś boleśnie ścisną ją w gardle.

Pani Irene, starając się ukryć własne poruszenie, zacisnęła umalowane usta w wąską kreskę.

– Och, dziewczyno! Jak można tęsknić za starą babą? – mruknęła, udając irytację.

Hania zaśmiała się przez łzy. „Cała pani Irenka – na zewnątrz opryskliwa, a w środku pełna ciepła i czułości” – pomyślała.

Johann w milczeniu przyglądał się tej scenie. Być może przywiązanie babci do Hani było dla niego zdumiewające, ale nie dał tego po sobie poznać. Zachowywał się tak, jakby w pełni akceptował ich relację i jak gdyby była ona całkowicie naturalna.

– Może przyjedzie pani kiedyś do Bawarii? – zagadnął po chwili, najwyraźniej chcąc rozładować pełną emocji atmosferę.

Dziewczyna spojrzała na niego zdumiona.

– Mogłaby pani odwiedzić babcię – dodał szybko, patrząc jej w oczy. Jego wzrok zatrzymał się na moment na jej lekko rozchylonych ustach. Hania poczuła się na tyle skrępowana, że drżącymi palcami ujęła w dłoń lampkę wina i szybko upiła łyk. Jego wzrok palił ją bardziej niż wino.

– Być może – odpowiedziała zdawkowo.

– Ależ to wspaniały pomysł! – krzyknęła pani Irene, podchwytując temat i obrzucając wnuka zachwyconym spojrzeniem. – Bawaria to piękny kraj. Musisz do nas przyjechać, Haniu! Będę szczęśliwa, mogąc cię u nas gościć.

– Jeśli okoliczności na to pozwolą, chętnie kiedyś przyjadę, pani Irenko.

– Dziecinko, okoliczności można sobie samemu stworzyć, trzeba tylko chcieć – upierała się starsza pani, po czym zerknęła znacząco

na Johanna.

Hania westchnęła. Optymizm pani Irene był ogromny, ale nie zawsze pokrywał się z rzeczywistością, w której przyszło dziewczynie żyć. Hania zdawała sobie sprawę, że wyjazd do Bawarii pozostanie wyłącznie w sferze marzeń i to tych, które pewnie nigdy się nie spełnią. Nie miała dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na taki wyjazd, a poza tym sytuacja polityczna między Polską a Niemcami była ostatnio tak napięta, że jakiegokolwiek wycieczki w głąb Rzeszy raczej nie były wskazane. Zresztą co ona miałaby tam robić? Udawać damę z wyższych sfer? Przecież nigdy taka nie była! Nie pasowała do takiego świata! Co innego tutaj, w Gdańsku – tu była damą do towarzystwa, a ta skromna rola w zupełności jej wystarczyła.

Kelner podał kolację, a dziewczyna jeszcze raz gorąco podziękowała pani Irene za prezent, starając się nie myśleć o tym, że Johann, nie wiadomo dlaczego, prawie w ogóle nie spuszczał z niej wzroku. Było to dla niej krępujące i nieco ją zaskoczyło. Nie ludziła się, że mogła wzbudzić w nim zainteresowanie. Pewnie uważał ją za prowincjuszkę i traktował jak kogoś, z kim na co dzień nie zdarzało mu się obcować. Człowiek z jego pieniędzmi i pozycją mógł mieć każdą kobietę, więc cóż mógł zobaczyć w takiej skromnej dziewczynie jak ona?

– Haniu, jesteś pewnie zaskoczona, że mój wnuk przyjechał do Gdańska. Przyznam, że ja również się go nie spodziewałam. Ale jestem szczęśliwa, że cię tu widzę, mój drogi. Szkoda tylko, że nie przyjechałeś wcześniej. Hania pokazałaby ci miasto, prawda, kochanie?

Hania uśmiechnęła się lekko, a Johann przełknął kęs pieczeni.

– Zawsze tak wspaniale mówisz o tym mieście, babciu, że w końcu postanowiłem zobaczyć je na własne oczy. Dlatego przyjechałem.

– O tak, na pewno! – burknęła starsza pani z sarkazmem. – W co jak w co, ale w to akurat nigdy nie uwierzę! Pewnie masz tu jakieś sprawy do załatwienia!

Młodzieniec zaśmiał się i pokiwał głową.

– Masz rację, babciu! Przyjechałem, bo postanowiłem osobiście coś ci zakomunikować. Chciałem to zrobić bez obecności całej

rodziny. Wiem, jakie masz zdanie na ten temat, i wolałem uniknąć awantury w domu.

– Czy twój ojciec znowu coś nawywijał? – zapytała hrabina oschle, marszcząc czoło.

Johann pokręcił głową.

– Nie chodzi o ojca. On jest w tej chwili pochłonięty organizowaniem polowań dla ludzi Hitlera. Ta sprawa dotyczy wyłącznie mnie. Zaręczyłem się z Susanne.

Pani Irene jak na zawołanie nagle zakrztusiła się kawałkiem ryby i zaczęła gwałtownie kaszleć. Hania, widząc to, aż podskoczyła ze strachu. Starsza pani upiła prędko łyk wina i spojrzała na wnuka. Jej ponury wzrok ciskał gromy.

– A więc jednak dobrała się do naszego majątku! – krzyknęła z irytacją. – Miałam nadzieję, że pójdiesz po rozum do głowy i znajdziesz sobie inną pannę! Gdyby to Niklas postanowił się z nią ożenić, to by mnie to nie zdziwiło, bo on ma tyle rozumu w głowie co twój ojciec, ale ty? Taki rozsądny!?

Johann poczerwieniał na twarzy.

– Babciu, zapominasz się! Pamiętaj, że mówisz o mojej narzeczonej i jestem zmuszony żądać, żebyś traktowała ją z należyтым szacunkiem!

– To ty się zapomniałeś, mój chłopcze! Ta kobieta zniszczy ci życie! Nie widzisz, że zależy jej tylko na twoich pieniądzach? Wybrała ciebie, bo jesteś dziedzicem fortuny von Richterów!

W Johannie się zagotowało. Hania, obserwując go, była pewna, że mężczyzna z trudem panuje nad sobą, a przed prawdziwym wybuchem gniewu powstrzymuje go wyłącznie szacunek do starszej pani.

– Babciu! Czyżbyś nie ufała moim zaletom i widzisz we mnie tylko bogacza?! Nie wierzysz w to, że Susanne może mnie szczerze kochać?

Starsza pani prychnęła pogardliwie.

– Kochać? Przecież to wyjątkowa intrygantka! Znam takie jak ona! Oskubie cię do cna i do tego doprawi rogi, z kim popadnie! Jak możesz być tak ślepy?! Bo jest piękna? Takich jak ona jest mnóstwo!

Hania chrząknęła zakłopotana. Ta ostra wymiana zdań między babcią i wnukiem wydała jej się zbyt osobista i nie miała ochoty w niej uczestniczyć. Nie wypadało jej jednak wstać od stołu.

– Prosimy o wybaczenie, panno Haniu. Nie powinna pani być świadkiem takiej rozmowy – odparł Johann poirytowany, jakby czytając w jej myślach.

Widać było, że nieoczekiwany teatralny wybuch babci wyprowadził go z równowagi i chyba nawet zawstydził, bo resztkami godności starał się teraz ratować sytuację.

– Nie mam przed Hanią tajemnic – mruknęła pani Irene. – Zresztą i tak bym jej o tym powiedziała, bo sprawiłeś mi ogromny zawód!

Johann westchnął.

– Myślę, babciu, że powinniśmy zakończyć na dziś ten temat. W pociągu do Monachium będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby o tym porozmawiać, a nawet ponownie się pokłócić.

– Więc po co wspominałeś o tym teraz? Żeby zepsuć mi humor podczas ostatniej kolacji z Haneczką?

– Miałem nadzieję, że się ucieszysz i poprzesz moją decyzję. Nie chcę, żebyście ty i matka skakały sobie do oczu, a przecież wiesz, że ona uwielbia Susanne.

– Twoja matka jest krótkowzroczna! Ta kobieta, którą nazywasz swoją narzeczoną, to pijawka łąsa na nasze pieniądze. Jak mogę się cieszyć, skoro wiem, że zasługujesz na coś lepszego?! Jesteś moim ulubieńcem! – Starsza pani znacząco popatrzyła na siedzącą w milczeniu Hanię. – Wy, młodzi, nie macie pojęcia o życiu, a miłość mylicie z pożądaniem albo przyzwyczajeniem... Jeszcze długa droga przed wami, zanim zrozumiecie, o czym mówię!

– Babciu... – Johann starał się delikatnie przerwać jej wywód, w obawie, że ta za chwilę posunie się za daleko i Hania znów stanie się świadkiem słów, których nie powinna słyszeć.

Irene machnęła ręką.

– Dobrze, już dobrze. Masz rację, porozmawiamy o tym później. Zamierzam w spokoju zjeść kolację i iść spać. Nie chcę przez te nerwy nabawić się niestrawności. Ty, Haniu, też powinnaś odpocząć przed jutrzejszą podróżą.

– Pani Irenko odpoczywałam prawie cały dzień.

– Jak wrócisz do Warszawy, to już nie odpoczniesz, drogie dziecko, więc korzystaj z chwili.

Było grubo po dwudziestej drugiej, kiedy cała trójka wyszła z restauracji, by udać się na spoczynek do swoich apartamentów. Hania pocałowała starszą panią na dobranoc i pozostawiwszy ją w towarzystwie wnuka, wolno udała się korytarzem w stronę swojego pokoju. Jej zaskoczenie było ogromne, kiedy Johann von Richter niespodziewanie dogonił ją w drzwiach. Zesztywniała, kiedy położył dłoń na jej ramieniu. Odwróciła się w jego stronę.

– Panno Haniu, pomyślałem... – urwał, zatapiając wzrok w jej rozszerzonych ze zdumienia źrenicach. Odsunął się nieznacznie i odchrząknął, jakby nieco skrępowany. – Pomyślałem, że może jednak zechciałaby pani pokazać mi Gdańsk.

– Och! Teraz? W nocy?

– Pewnie to panią dziwi, ale... Chętnie zobaczyłbym miasto, a nie mam przewodnika. – Znowu zamilkł, jakby szukając słów.

Hania oddychała szybko, starając się zapanować nad emocjami.

– Dlaczego ja? – zapytała, dziwiąc się, po co tak naprawdę zadała to pytanie. W głębi duszy знаła odpowiedź, choć nie do końca w nią wierzyła. Jego przeciągłe spojrzenie utwierdziło ją w przekonaniu, że ma zaufać przeczuciu.

– Bo... już jutro pani wyjeżdża – odpowiedział szczerze, patrząc jej głęboko w oczy.

* * *

„Co ja robię?” – pomyślał Johann, krocząc wolno rozświetlonymi przez latarnie ulicami Gdańska w towarzystwie panny Wolińskiej. Ba! Nawet sam pannę do tego spaceru namówił! Odkąd zobaczył ją w kwaterze SS, jak siedziała nieruchomo na krześle, taka krucha i delikatna, miał wrażenie, że jego życie nagle zboczyło z głównego toru. Przyjechał do Gdańska wyłącznie po to, żeby przygotować babcię na zaręczyny z Susanne, a przez cały dzień myślał o swojej narzeczonej może pięć minut, krótko i przelotnie. Czuł się oszołomiony, jakby dostał obuchem w głowę. Fascynacja, ciekawość, zauroczenie – te wszystkie uczucia targały nim jak

wicher podczas sztormu wzburzonym morzem. „Czy to szaleństwo, czy głupota?” – pytał siebie. Kim była ta czarująca dziewczyna, która wzbudzała w nim taką burzę uczuć? Nie mógł oderwać od niej oczu! W głowie rodziło mu się mnóstwo epitetów na określenie jej czaru i urody. Czy kiedykolwiek widział tak hipnotyzujące, brązowo-złote oczy, trochę zbyt duże w delikatnej twarzy? I te usta... Miękkie, nieco wydatne. Czy Susanne też miała takie usta? Czuł się jak grzesznik, który skazuje się na wieczne potępienie. Nie powinien był proponować pannie Wolińskiej spaceru, nie powinien był jeść z nią kolacji, nie powinien był w ogóle przyjeżdżać do Gdańska. I jeszcze babcia! Uparta, niemająca żadnych wyrzutów sumienia babcia, która doskonale wyczuła jego nagłe zauroczenie i bez mrugnienia okiem namówiła go, żeby spędził wieczór w towarzystwie tej dziewczyny. Zrobiła to z bezczelną premedytacją, zapewniając, że Hania na pewno z radością spędzi wieczór w jego towarzystwie. A on, zamiast zaprotestować, bo tak wypadało, ucieszył się jak zakochany sztubak! Na szczęście panna Wolińska była na tyle rozsądna, że starała się zachować właściwy dystans i traktowała go z dużą rezerwą. Z jednej strony imponowało mu to, bo udowodniła, że ma swoje zasady, ale z drugiej pragnął wzbudzić w niej choć odrobinę zainteresowania, dostrzec w jej bursztynowych oczach błysk zachęty. Dlaczego tak mu na tym zależało? Sam nie wiedział.

Oddychał rześkim powietrzem. Po deszczu zrobiło się chłodno i czuć było unoszący się od strony portu zapach morskiej bryzy. A może tak pachniały jej włosy?

– Bardzo dobrze mówi pani po niemiecku – rzucił, patrząc na nią kątem oka. Czuł się nieco skrępowany, ale pragnął patrzeć na nią cały czas. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek był tak spięty i powściągliwy w towarzystwie kobiety. Zwykle to one próbowały zwrócić jego uwagę – z różnym zresztą skutkiem. On sam nigdy, z własnej woli, nie miał ochoty robić z siebie błazna, byle tylko śliczna panna spojrzała na niego przychylnie. Aż do dzisiaj. Aż do teraz.

Hania uśmiechnęła się do niego z iskrą w oczach.

– W przyszłym roku kończę filologię germańską na Uniwersytecie Warszawskim.

– Skąd u pani takie zainteresowania?

– Mój dziadek urodził się w Galicji. Bardzo dobrze mówił po niemiecku i uczył mnie, chociaż zawsze powtarzał, że to polski jest jedynym językiem, który powinnam kochać. Znajomość z pana babcią pomogła mi gruntownie podszlifować niemiecki.

– Babcia panią uwielbia! Jest pani jej wymarzoną towarzyszką, a nie jest to łatwa sprawa. Moja babcia, delikatnie mówiąc, bywa dość trudna we współżyciu.

Hania zaśmiała się szczerze. Johann coraz bardziej zauroczony dostrzegł, że skromność dziewczyny często oddawała pola figlarności, co podpowiadało mu, że panna Wolińska miała niespożyty apetyt na życie. Pod płaszczykiem manier kryła się gorąca krew – czuł to i miał ogromną ochotę sprawdzić, czy się nie myli.

– To przesada. Dobrze się dogadujemy.

– Nigdy nie widziałem, żeby z taką czułością traktowała mnie czy któreś z mojego rodzeństwa. Nina, moja siostra, przez całe życie nie wzbudziła w babci tyle zainteresowania co pani.

– Pani Irenka potrafi kochać na swój własny sposób.

– To prawda – przytaknął, nie spuszczać z niej wzroku. – Przykro mi, że słyszała pani tę nieprzyjemną wymianę zdań dotyczącą... moich zaręczyn.

Hania spojrzała na niego błyszczącymi oczyma.

– Pani Irenka na pewno nie miała na myśli tego, co powiedziała. W stosunku do mojego narzeczonego też ma wątpliwości.

– Ma pani narzeczonego?

Dziewczyna przytaknęła lekkim ruchem głowy, a na jej twarzy wykwitł delikatny uśmiech.

– Tak. Nazywa się Władek Koterski. Jest początkującym architektem. Bardzo zdolnym. Był najlepszym studentem na roku.

– Zamierzacie wziąć ślub?

Najpierw zaśmiała się, a później wzruszyła niebdale ramionami.

– Kiedyś pewnie tak.

– Nie jest pani tego pewna?

– Oczywiście, że jestem!

– Więc skąd u pani to zawahanie?

– Bo nie wiem jeszcze, kiedy to nastąpi. Najpierw zamierzam skończyć studia i znaleźć sobie pracę. Nieśpieszno mi do roli żony, na to jeszcze przyjdzie czas. Za to za dwa tygodnie mój brat żeni się z moją najlepszą przyjaciółką. Znamy się od dzieciństwa. Zawsze byliśmy nierozłączni. Spędzałyśmy ze sobą mnóstwo czasu, więc nie ma w tym nic dziwnego, że Janek w końcu się w Lucynie zakochał.

Nawet nie wiedziała, jak bardzo rozbłyły jej oczy na wspomnienie o bracie i przyjaciółce. W świetle latarni miały kolor płynnego bursztynu, a Johann patrzył na to z rosnącą fascynacją. Podobała mu się. Bardzo mu się podobała, choć nie wiedział, co ma z tym dziwnym odczuciem zrobić.

– Z wzajemnością, jak mniemam?

– Och, Lucyna zakochała się w Janku, kiedy była jeszcze małą dziewczynką! Ciągłe powtarzała, że to on będzie jej mężem. – Hania zaśmiała się wesoło. – Do Janka dotarło to znacznie później. Długo nie mógł zrozumieć, że to Lucyna jest kobietą jego życia.

Johann odchrząknął.

– A wierzy pani w miłość od pierwszego wejrzenia?

Dziewczyna uniosła ku niemu twarz i spojrzała na niego wyraźnie zmieszana. Poczuł, że coś nienaturalnie ściska go w żołądku. Tym pytaniem zaskoczył również samego siebie, bo nigdy wcześniej nie zapytał żadnej kobiety o coś tak głupiego i banalnego. Ale też nigdy wcześniej nie czuł się tak nieswojo jak teraz, rozdarty pomiędzy zdrowym rozsądkiem, którego zawsze miał aż nadto, a dziwnym zauroczeniem. Jakby nie był sobą. Jakby ta słodka dziewczyna i urokliwa atmosfera nocnego miasta rzuciły na niego jakiś tajemny czar.

– A pan wierzy? – zapytała ściszone głosem.

– Nie wiem. Nigdy tego nie doświadczyłem.

Hania westchnęła i spuściła głowę.

– Pani Irenka uważa, że jesteśmy za młodzi, żeby wiedzieć cokolwiek o miłości.

– Pani też tak uważa?

– Czy ja wiem? – wzruszyła ramionami. – Czas pokaże...

Szli niespiesznie wzdłuż ulicy Długi Targ. Było już dobrze po północy. Brukowana droga błyszczała, mokra i śliska od deszczu, a tuż przy krawężnikach lśniły kałuże, w których odbijały się światła ulicznych latarni. Raz po raz mijali przechodniów, tak jak oni spacerujących nocą. Zakochaną parę, grupkę roześmianych młodych ludzi szukających rozrywki. Johann musiał przyznać, że Gdańsk rzeczywiście jest urokliwy. Podobały mu się rozległe, nadmorskie bulwary teraz otulone wieczorną mgłą, fasady wiekowych kamienic i eleganckich butików z ozdobnymi szyldami czy rozświetlone latarniami brukowane uliczki, prowadzące nie wiadomo dokąd. Marzył mu się spacer po porcie, ale pomyślał, że na to przyjdzie czas później. Nie wiedział, co przyniesie noc ani dokąd ich zaprowadzi, a najbardziej pragnął cieszyć się chwilą z dziewczyną, która szumiała mu w głowie jak najlepsza wódka.

Wolnym krokiem, idąc obok siebie i prowadząc luźną rozmowę, minęli fontannę Neptuna i zbliżyli się do Dworu Artusa – słynnej kamienicy, w której od wieków toczyło się życie kulturalne gdańskich elit.

– Może wstąpimy na lampkę wina? – zaproponował Johann, kiedy przystanęli przy kamienicy, tuż nad szyldem „Rathskeller” z nazwą ekskluzywnego lokalu znajdującego się wewnątrz budynku.

– Skąd pan wie, że warto tam wejść? Przecież nie zna pan Gdańska?

Latarnia oświetlała całą jej kruchą postać otuloną lekkim płaszczem.

– Wiem to od znajomych, którzy często bywają w tym mieście.

– Więc czemu pan nigdy tu nie bywał?

– Teraz tego żałuję – odparł z rozbrajającą szczerością. – Bo mogłem poznać panią już wcześniej.

Zaśmiała się z kokieterią.

– Namawia mnie pan do grzechu, panie von Richter. Już wypiałam lampkę wina do kolacji!

– Myślę, że jeszcze jedna pani nie zaszkodzi. Proszę się nie obawiać, w razie czego odprowadzę panią bezpiecznie do hotelu!

– Ciekawe, co powiedziała by na to pańska babcia – mruknęła, udając zgorzelenie.

– Myślę, że byłaby zadowolona.

Lokal znajdował się w podziemiach Dworu Artusa. O tej porze prawie wszystkie stoliki były zajęte, ale udało im się znaleźć ostatni wolny tuż przy parkiecie, na którym kilka par kołysało się w rytm muzyki wygrywanej przez skromną trzyosobową orkiestrę.

Johann stanął tuż za Hanią i pomógł jej zdjąć płaszcz. Na krótką chwilę poczuł przy sobie jej szczupłe ciało i dotknął drobnych ramion. Owionął go jej delikatny zapach. Mimo pantofli na obcasach była o głowę niższa od niego. Wydała mu się maleńka i krucha jak porcelanowa lalka.

– Dla pani wino czy piwo? – zapytał z kurtuazją godną dżentelmena, próbując opanować krew pulsującą w żyłach.

– Może tym razem poproszę piwo. – Panna Wolińska swobodnie rozsiała się na odsuniętym przez niego krześle. Chyba nie poczuła, że nieopatrznie przejechał palcami po jej ramieniu, albo udała, że tego nie czuje.

Odsunął się od niej niechętnie i usiadł.

W lokalu panował klimatyczny półmrok, a migoczące światło świec tlących się na stolikach tworzyło ciepłą, intymną atmosferę.

– Doprawdy pięknie pani wygląda – wypalił nagle, przyglądając się dziewczynie z rosnącą fascynacją. – Wielokrotnie słyszałem, że Polki to piękne kobiety, ale... – urwał, jakby zażenowany własną śmiałością.

Hania, najwyraźniej zaskoczona komplementem, przez chwilę milczała. Wreszcie uśmiechnęła się do niego, a cień migoczącej świecy zatańczył na jej gładkiej twarzy.

– Poddaje się pan stereotypom – odparła z lekkim sarkazmem.

– Nie... To nie tak... Przepraszam.

Westchnęła.

– Potrafi być pan czarujący dla kobiet, panie von Richter. Zapewne pańska narzeczona szybko straciła dla pana głowę.

Johann zmarszczył brwi na wzmiankę o Susanne.

– Wie pani, jak z klasą wysłać mężczyznę do diabła – mruknął z przekąsem. – Wystarczy wspomnieć o narzeczonej. Szczerze przepraszam, jeśli panią uraziłem.

Dziewczyna energicznie pokręciła głową. W jej oczach pojawiły się figlarne błyski. Ze swobodą pochyliła się nad stolikiem w jego stronę i popatrzyła mu głęboko w oczy. Czuł, że powietrze między nimi zawibrowało.

– To nie tak... Nie uraził mnie pan, bo jeszcze nic pan nie zrobił – odparła z rozbijającą szczerością.

Johann poczerwieniał.

– Jeszcze raz przepraszam. Jeśli nie czuje się pani dobrze...

– Nie! – przerwała mu gwałtownie. – Czuję się w pana towarzystwie bardzo dobrze, wręcz doskonale.... Ma pan rację, jutro wracam do Warszawy, więc... wykorzystajmy czas, który nam pozostał. Przecież... chyba nie ma w tym nic złego?

Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że dostrzegł w jej oczach pragnienie, ale to złudzenie szybko minęło – bo ona się śmiała! Szczerze i młodzieńczo, kokietując go iskrą w oczach i rozchyłonymi wargami.

Obserwował zafascynowany, jak przechylała kufel z piwem i jak jej kształtne usta stykały się z bursztynowym napojem. Patrzył na jej długie jedwabiste włosy, swobodnie opadające skręconymi puklami na ramiona, i na subtelne dłonie, którymi chwyciła kufel. Słuchał jej melodyjnego głosu, który mieszał się z dźwiękami muzyki. W końcu z trudem nad sobą panując, poderwał się z krzesła i złapał ją za rękę. Jej uroda i rytmiczne tango, którego pierwsze takty zabrzmiały na parkiecie, buzowały mu w głowie jak mocne wino.

– Lubi pani tańczyć? – zapytał, przekrzykując muzykę.

– Uwielbiam!

– Więc zatańczmy!

Na parkiecie zrobiło się tłoczno, ale znaleźli miejsce dla siebie.

Dziewczyna, wyraźnie podekscytowana gorącymi rytmami, spojrzała towarzyszowi przeciągle w oczy. Najwyraźniej kochała tango, więc nagle zaczęła się poruszać – powoli i zmysłowo, bez cienia wstydu czy zażenowania. Od razu dało się poznać, że tango nie jest jej obce, gdy z gracją szukała rytmu, wsłuchiwała się w muzykę, rzeźbiła swoje młode ciało w rytm muzyki. Jej ramiona rozwarły się swobodnie jak skrzydła ptaka, a biodra zakołysały w pierwotnym rytmie. Johann niecierpliwie przygarnął ją do siebie,

a Hania bez skrępowania przywarła do niego i wyprostowała dumnie złączone z nim ramię. Trzymał ją mocno, napierał, wyznaczał kierunek i rytm – ramiona, biodra, stopy, a ona poddawała się temu, z delikatnym uśmiechem patrząc mu w oczy, ucząc się jego kroków, podążając za nim. W końcu odepchnęła go gwałtownie i tanecznym krokiem pobiegła przed siebie. Johann patrzył na nią, chciał za nią podążyć, ale dziewczyna uciekała przed nim, prężąc w tańcu młode ciało. Na krótki moment znalazła się w ramionach innego partnera, który objął ją władczo i przemknął z nią przez pół parkietu, ale nim się zorientowała, znowu była w ramionach młodego hrabiego. Niecierpliwie chwycił jej dłoń w swoją, a ona ufnie i jakby z westchnieniem przytuliła policzek do jego piersi. Oboje spleceni jak kochankowie zapamiętali się w rytmach, które tłoczyły życie w ich młode, spragnione ciała. I wciąż patrzyli na siebie, jakby znali się od dawna, jakby to, co ich połączyło, było czymś najbardziej naturalnym na świecie.

Johann wiedziony instynktem delikatnie musnął wargami skroń dziewczyny. Poczuł jej zapach – mieszankę delikatnych kwiatów i rześkiego, słonego powietrza.

Hania uniosła twarz ku niemu i ich usta niby przypadkiem spotkały się na parę sekund, aż w końcu oboje zdumieni i zawstydzeni popatrzyli na siebie, nic nie rozumiejąc.

* * *

Pociąg wyruszający z Gdańska do Warszawy dokładnie o godzinie dziesiątej wjechał na peron na dworcu głównym.

Hania stała przy peronie, a towarzyszący jej Johann trzymał w dłoni jej jedyną podróżną walizkę. Uparł się, że osobiście odwiezie ją na dworzec, a hrabina von Richter z entuzjazmem przyznała, że to doskonały pomysł.

Ze starszą panią dziewczyna pożegnała się jeszcze w hotelu. Nie obyło się bez łez i wzruszeń, a na koniec pani Irene wymogła na Hani obietnicę, że ta na pewno kiedyś przyjedzie do Bawarii.

Teraz panna Wolińska i młody hrabia stali oboje w milczeniu, wpatrując się w wagony pociągu, zbyt onieśmieleni, by na siebie

spojrzeć, ale oboje z głowami pełnymi wspomnień minionej nocy.

– Nie musiał mnie pan odwozić. Mógł to zrobić szofer.

– Ależ ja chciałem panią odwieźć! Musiałem się upewnić, że bezpiecznie dotarła pani na miejsce.

– Już się pan upewnił.

– Poczekam, aż wsiądzie pani do pociągu.

Podróżni zaczęli wchodzić do wagonów i zajmować miejsca w przedziałach. Dzięki uprzejmości pani Irene Hania miała wykupiony bilet w pierwszej klasie. Powoli zaczęła kierować się w stronę swojego wagonu.

– Miło mi było panią poznać, panno Haniu – odezwał się Johann po chwili, idąc krok za nią.

Dziewczyna odwróciła się i uśmiechnęła do niego nieśmiało.

– Mnie również było miło.

Odchrząknął zakłopotany.

– Może jeszcze się kiedyś spotkamy?

– Być może. – Ścisnęła rączkę walizki, którą od niego odebrała – Muszę już pana pożegnać. Pociąg za chwilę ruszy.

– Oczywiście.

Dziewczyna weszła na schodki wagonu. Miała wrażenie, że idący wciąż za nią Johann też zaraz na nie wejdzie. Odwróciła się gwałtownie, żeby go od tego odwieść, ale on w jednej sekundzie znalazł się tuż przy niej. Jego ramię samo oplótło ją w pasie i przyciągnęło do siebie. Owionął ją znajomy męski zapach, który tak dobrze poznała minionej nocy, kiedy tańczyli ze sobą aż do świtu. Popatrzyła mu w oczy, ale on badał natarczym wzrokiem jej usta. Chciał ją pocałować. Czuła to. Mimo chodem, w panice, doświadczając żaru, który przenikał ją przez warstwy ubrania, cmoknęła go szybko w policzek.

– Haniu...

– Do widzenia! – rzuciła pośpiesznie i prawie potykając się o własne nogi, wbiegła do pociągu. Policzki paliły ją żywym ogniem, nogi jak z waty odmawiały posłuszeństwa. Z jękiem opadła na siedzenie, nie śmiąc spojrzeć w okno. Wiedziała, że on tam nadal był i patrzył na nią.

„Czy to możliwe, że się głupio zakochałam?” – pomyślała w panice.

Popatrzyła przez szybę dopiero, gdy pociąg ruszył.

Młody hrabia Johann von Richter stał na peronie i wpatrywał się w nią uporczywie. Był taki dumny i tak oszałamiająco przystojny, a ona czuła się jak głupia, naiwna gąska, która w ciągu kilku godzin zupełnie straciła dla niego głowę.

„Czy będę umiała cię zapomnieć?” – pytało jej serce, kiedy jego postać coraz bardziej się od niej oddalała.

ROZDZIAŁ 2

wrzesień 1938

Warszawa

Hania wjechała na rowerze do Ogrodu Saskiego.

Władek Koterski siedział na ławce pod rozłożystym dębem z gazetą w ręku i pilnie studiował jakiś artykuł na pierwszej stronie. Słońce przenikające przez gęste gałęzie drzewa pieściło jego młodzieńczą twarz, barwiąc policzki na złotawy kolor doskonale współgrający z jego ciemnymi kędzierzawymi włosami.

Hania poznała narzeczonego na studiach, będąc jeszcze na pierwszym roku. On był od niej dwa lata starszy. Od razu wpadli sobie w oko i dość szybko umówili się na pierwszą randkę do kawiarni Cafe Rosa, gdzie rozmawiali bez skrępowania, konsumując ciastka z konfiturą i popijając kawę. Od tamtej pory stali się nierozłączni. Ich świat był prosty i sielski – nie kłócili się, ale też nie było między nimi niepotrzebnych napięć. Lubili ze sobą przebywać, tocząc przy okazji niekończące się rozmowy o wszystkim i o niczym. Władek okazał się być dowcipnym, dobrze wychowanym młodym dżentelmenem, który miał całkiem spore pojęcie o sztuce, literaturze i o stosunkach panujących w świecie, co imponowało Hani. W dodatku w przeciwieństwie do swoich rówieśników, którzy często oddawali się zabawie, nie był utracjuszem. Uczył się dużo i pilnie, by w przyszłości zostać doskonałym architektem, a do tego pracował ciężko w zakładzie tekstylnym, którym kierował jego ojciec. To, że kiedyś Hania i Władek zostaną mężem i żoną, dość szybko stało się dla obojga jasne jak słońce. Nie oczekiwali niczego więcej – bo niczego innego nie znali.

Hania oparła rower o ławkę i podeszła do młodzieńca zdyszana, z rumieńcem na twarzy, odsuwając z twarzy kosmyki włosów, które wysunęły się z warkocza. Chłopak zerwał się z ławki.

– Serwus, Władziu. – Cmoknęła go w policzek, a on gwałtownie objął ją w pól i pocałował prosto w usta.

– Władziu, tak przy ludziach?! To nie wypada! – ofuknęła go, choć jej oczy śmiały się do niego figlarnie.

– Przecież jesteśmy młodzi! Kiedy mamy się całować, jeśli nie teraz?

Usiedli, trzymając się za ręce.

– Wiesz, że Anglia doradza Czechosłowacji, żeby ta oddała Hitlerowi Sudety?

Hania zmarszczyła brwi.

– To ma być temat naszej rozmowy? – mruknęła z przekąsem.

– Oczywiście że nie, ale właśnie przeczytałem o tym w gazecie. Janek mówi, że będzie wojna. Francja też chce przedłużenia służby wojskowej...

– Władziu... – jęknęła dziewczyna, patrząc na narzeczonego błagalnym wzrokiem. Co ją to obchodziło? Od kiedy wróciła do Warszawy, Władek i Janek bez przerwy rozmawiali tylko o Niemcach i wojnie, jakby nie było innych tematów do rozmowy. Nie wspomniała im nawet o tym, co spotkało ją w Gdańsku, bo dopiero mieliby używanie! Woląca cieszyć się z tego, że była już w domu i mogła bez przeszkód pomóc mamie i Lucynie w przygotowaniach do rychłego wesela.

– Dobrze, przepraszam. – Chłopak złożył gazetę na pól i popatrzył na nią spod ciemnych rzęs. Jego oczy, nieraz pochmurne jak wzburzone morze, teraz przypominały kolorem jesienne niebo. – Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość. Dzięki rekomendacji profesora Borowskiego dostałem swoje pierwsze poważne zlecenie! Wiesz, kto to jest Anastazy Blum? Ten bogaty Żyd, właściciel luksusowych sklepów z biżuterią?

Hania skinęła głową. Oczywiście, że znała to nazwisko. Wszyscy w stolicy znali przecież Anastazego Bluma, potentata w branży jubilerskiej. To u niego Janek i Lucyna zamówili złote obrączki ślubne z wygrawerowanymi imionami.

– Polecił mi zaprojektowanie willi dla jego córki, która wkrótce wychodzi za mąż. Zapłaci mi za to sporo pieniędzy!

– To wspaniale! Władek!

Chłopak z przejęciem ujął obie jej dłonie i przycisnął do ust, składając na nich siarczysty pocałunek. – Haniu, pomyśl, to może być dopiero początek! Jeśli mój projekt mu się spodoba, pewnie znajdą się inni, którzy będą chcieli, żebym tworzył dla nich domy! Możliwe, że za parę lat Warszawa będzie jeszcze piękniejsza! Dzięki moim projektom!

– Jestem z ciebie dumna, Władziu. Nie bez powodu okazałeś się najlepszym studentem na roku!

Faktem było, że Władek rok temu skończył z wyróżnieniem studia na architekturze i od tamtej pory usilnie walczył o zlecenia, które pozwoliłyby mu rozwinąć skrzydła w zawodzie architekta, a tym samym zrezygnować z ciężkiej pracy w zakładzie tekstylnym, gdzie do jego zajęć należała głównie obsługa ciężkich mechanicznych krosen. Pierwsze projekty miał już za sobą, ale nie było to nic, co przyniosłoby mu prestiż i pieniądze.

– Kochanie, wkrótce będzie mnie stać na ożenek z tobą. Kupię ci najpiękniejszy pierścionek u Bluma!

Dziewczyna przytuliła policzek do jego ramienia. Po jej powrocie z Gdańska wszystko było jak dawniej. Żadne trzęsienie ziemi ani tym bardziej głupie złudzenia o zakochaniu w Johannie von Richterze nie zmieniły rzeczywistości. Nie mogła cofnąć czasu ani udawać, że nic się nie stało, ale nie mogła też oddać się wyłącznie wspomnieniom z nocnych uliczek Gdańska i dansingu. Podczas całej drogi powrotnej miała głowę pełną obłądnych myśli. Jak spojrzeć w oczy Władkowi? Czy narzeczony dostrzeże w nich zdradę? Czy odgadnie, że ostatnie godziny w Gdańsku spędziła w towarzystwie mężczyzny, który tak łatwo zburzył jej spokój? Te wątpliwości pękły jak bańka mydlana, kiedy tylko zobaczyła Władka czekającego na nią na dworcu. Wystarczyło, że się do niej uśmiechnął, przytulił, pomachał przed twarzą czerwoną różą, żeby poczuła, że wróciła do domu! Obraz hrabiego von Richtera zbladł. Myśli o przystojnym Niemcu przestały zaprzętać jej głowę, zadręczając się wyrzutami sumienia. To, co Hania na krótko poczuła w towarzystwie Johanna von

Richtera, było dla niej zupełnie nowym, nieznanym przeżyciem i może dlatego tak wyjątkowo ekscytującym, ale z perspektywy czasu uznała, że nie warto burzyć tego, co jest między nią i Władkiem. Johann von Richter zamierzał się wkrótce ożenić, więc jakiegokolwiek fantazje na jego temat były zupełnie nie na miejscu.

– Może zamiast pierścionka najpierw kupiłbyś mi porcję lodów? – Uwielbiała lody z Ogrodu Saskiego i ilekroć tu była, nie umiała sobie ich odmówić. Niegdyś, jeszcze jako mała dziewczynka, przychodziła tu co niedzielę po mszy z rodzicami i Jankiem na lody, a później, już będąc starszą – z tatą, kiedy ten, wracając z pracy, wstępował po nią do szkoły. Te wspomnienia były dla niej bezcenne, a smak lodów kojarzył się wyłącznie z tym, co dobre i miłe jej sercu.

– No pewnie! Największą porcję! A wieczorem zapraszam cię na występ Bodo!

Dziewczyna klasnęła w dłonie z radości.

– Jak udało ci się zdobyć bilety?! Przecież to prawie niemożliwe!

Władek puścił do niej oko.

– Zapomniałaś, że wuj Henryk pracuje w teatrze? Kochanie, dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych!

* * *

Lucyna Waszyńska, najlepsza przyjaciółka Hani i zarazem jej przyszła szwagierka mieszkała wraz z rodzicami w pięknej secesyjnej kamienicy na Krakowskim Przedmieściu. Państwo Waszyńscy zajmowali całe piętro, które składało się na przestronny i słoneczny apartament, urządzonej elegancko i niezwykle komfortowo. Hania ledwo przekroczyła próg mieszkania, a już poczuła przyjemny zapach świeżo upieczonej szarlotki. Pani Honorata – matka Lucyny – była doskonałą gospodynią. Dbała o rodzinne mieszkanie z pietyzmem i prawdziwym zaangażowaniem, a pomagały jej w tym dwie nieocenione gosposie. Jako żonie szanowanego w kręgach warszawskich lekarza zależało jej na nienaganej opinii doskonałej pani domu. Wszyscy, którzy znali Honoratę Waszyńską, wiedzieli, że oprócz zaangażowania, z jakim oddawała się obowiązkowi domowemu, była również niezwykle

utalentowaną malarką. Zanim została żoną Franciszka Waszyńskiego, jej malownicze pejzaże cieszyły się sporą popularnością w kręgach artystów i ludzi sztuki. Jednak małżeństwo i szybkie macierzyństwo definitywnie zabrały jej czas, w którym mogłaby poświęcić się sztuce, i pani Honorata przestała wystawiać swoje prace na publicznych wernisażach. Malarstwo zajmowało ją wyłącznie w zaciszu domowym, a pokazywała swoje obrazy jedynie w kręgu zaufanej rodziny i znajomych.

Teraz powitała Hanię jak zwykle nienagannie ubrana w prostą, choć elegancką sukienkę w kolorze spokojnego beżu, a blond włosy miała gładko spięte na karku. Była ładną kobietą, z resztkami zniewalającej niegdyś urody. Jednak powaga i zbyt wyszukane maniery czyniły z niej kobietę chłodną i niedostępną.

– Lucynka jest w swoim pokoju. Chyba nie czuje się najlepiej, bo od samego rana narzeka na ból głowy. Myślę, że twoja obecność, Haniu, dobrze jej zrobi. Poprosiłam nawet gosposię, żeby nie kręciła się dziś po mieszkaniu i dałam jej wolne.

– Pewnie ślub tak ją rozstroił. W końcu to już za parę dni.

– Pewnie tak, wiesz, jaka ona jest wrażliwa! Nieraz boję się, że do ślubu straci wszystkie nerwy. Te ciągłe przymiarki sukni ślubnej, wybieranie tortu, dekoracji... To ją zupełnie pochłania! A jak twoje wakacje w Gdańsku?

– Och, wspaniale! Żal było wyjeżdżać!

Pani Waszyńska nieznacznie zmarszczyła brwi.

– Chyba nikt nie zarzuca ci, że w obecnych czasach praca u tej zamożnej Niemki jest niemoralna i nieprzyzwoita? – rzuciła zwyczajowo wyniosłym tonem.

Hania, która kierowała się już w stronę drzwi do pokoju Lucyny, nagle zatrzymała się w pół kroku. Spojrzała na panią Honoratę zdumiona.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Och, Haniu, wiesz, jacy są ludzie! Ktoś może zarzucić ci nielojalność!

– Nielojalność? W stosunku do kogo?

– W stosunku do ojczyzny, oczywiście! Nie od dziś wiadomo, że Niemcy nienawidzą Polaków, więc...

– Więc my mamy nienawidzić Niemców? – rzuciła dziewczyna prędko. – To chyba śmieszne, nie uważa pani?

Matka Lucyny, wyraźnie urażona, zmrużyła lekko oczy.

– Nie zrozum mnie źle, dziecko, ale... Bratanie się z Niemcami może okazać się zgubne. Chyba nie chcesz sprowadzić na swoją matkę i brata niepotrzebnych kłopotów? Wiem, że twoja praca jest godziwie wynagradzana przez tę bogatą kobietę, ale... To jednak Niemka.

– Pani Honorato, proszę wybaczyć, ale pani insynuacje są nie na miejscu. Lepiej pójdę zobaczyć się z Lucyną – to mówiąc, odwróciła się na pięcie i zapukała do pokoju przyjaciółki.

Lucyna siedziała na łóżku oparta o batystowe poduszki i czytała książkę. W koszuli nocnej, z aureolą bujnych złotych włosów, które rozpuszczone opadały jej na ramiona, wyglądała jak ktoś, kto od rana nie wychodził z łóżka.

– *Anna Karenina*... Cóż za zajmująca lektura! – rzuciła Hania na powitanie. – A myślałam, że wybierzemy się na spacer po bulwarach! – Pochyliła się nad przyjaciółką i pocałowała ją w policzek. Nie umknęło jej uwagi, że Lucyna ma podkrążone oczy, jakby całą noc nie spała. Wprawdzie siedzieli wczoraj z Jankiem i Władkiem do późna w oficerskim jacht klubie, ale Hania po miłym wieczorze odpoczęła znakomicie, natomiast Lucyna wyglądała, jakby nie zmrużyła oka ani na chwilę.

– Podobno boli cię głowa?

– Mama ci powiedziała? Przychodzi tu co pięć minut i sprawdza, jak się czuję. Dprowadza mnie tym do szału!

– Martwi się o ciebie. Mówi, że to przez przygotowania do ślubu.

Lucyna wzruszyła ramionami.

– Co ona tam wie... – mruknęła ze złością.

Hania westchnęła i usiadła na krześle przy łóżku.

– A co cię martwi? To, że Janek jeździ do sztabu na te szkolenia? Wiesz, że jest żołnierzem i nie ma wyboru.

Lucyna popatrzyła na Hanię, a w jej oczach niespodziewanie pojawiły się łzy.

– To nie to... – wyszeptała, krzywiąc usta w grymasie żalu. – Haniu... Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... Nie dostałam w tym

miesiącu... No wiesz... Miesiączki.

– Jesteś w ciąży?!

– Cicho! Mama może usłyszeć!

Hania dopadła do przyjaciółki w momencie, kiedy po jej policzku potoczyła się wielka łza.

– Mój Boże! Jesteś w ciąży! Czy Janek już wie?

Lucyna pokręciła głową. Teraz już z jej oczu spływała lawina łez, a ona sama pod wpływem silnych emocji nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa.

– Boję się... Nie wiem, jak mu to powiedzieć... – Załkała, połykając łzy.

– Wariatko, przecież on będzie szczęśliwy! Wkrótce bierzecie ślub! Lucyna, to cudowne!

– Martwię się, że to... Za szybko!

Hania wzięła przyjaciółkę w ramiona i pogłaskała ją po miękkich włosach.

– Przecież się kochacie! To dziecko to owoc waszej miłości! Lucynko, czym ty się martwisz? Wszystko się ułoży!

– Ale co, jeśli ludzie dowiedzą się, że zaszłam w ciążę przed ślubem? Rodzice będą wściekli! Przecież wiesz, że to grzech!

Hania uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Głupia! Nikt się nie dowie! A jeśli nawet, to co z tego? Przecież ojcem dziecka jest mężczyzna, który za parę dni będzie twoim mężem!

Lucyna z westchnieniem opadła na poduszkę i w żalości zaczęła skubać wychodzące z poszewki pióra.

– Gdyby matka się dowiedziała, chyba by mnie zabiła! Wiesz, jak ona dba o nienaganną opinię naszej rodziny. I ojciec. Jest lekarzem, więc w końcu się domyśli. A Janek... A jeśli nie będzie zadowolony?

– paplała płacząc, nie przestając skubać piór.

Hania prychnęła pod nosem.

– Przestań! Chyba idąc z tobą do łóżka, wiedział, co robi!

– Boże! Jaka ty jesteś bezpośrednia! – Lucyna przewróciła oczami zgorzozona.

– Nie bezpośrednia, tylko świadoma konsekwencji, jakie wynikają z pewnych działań. Oboje wiecie, skąd się biorą dzieci, więc nie

powinnaś być zaskoczona.

Lucyna przerwała jej gwałtownie, rzucając w nią poduszką.

– Przystań już! – krzyknęła, próbując opanować wzburzenie i rumieniec wstydu, który wypłynął na jej twarz. – Nie wypada mówić o tym tak wprost!

Hania ku zdumieniu przyjaciółki wybuchła perlistym, szczerym śmiechem. Lucyna patrzyła na nią, udając zgorszenie, ale po chwili starła z policzków łzy i sama zaczęła się śmiać, wtórując Hani.

– Myślisz, że Janek się ucieszy? – zapytała chwilę później, z trudem łapiąc oddech. Z czerwoną od płaczu twarzą i w potarganych jasnych włosach wyglądała jak dziewczynka, a nie jak młoda kobieta, która wkrótce ma zostać żoną i matką.

– Oczywiście! Znam mojego brata i wiem, że będzie bardzo szczęśliwy! A ja będę ciocią!

Lucyna westchnęła.

– Dobrze, że ślub już za kilka dni, bo jak wyglądałabym w sukni ślubnej z brzuchem? Boże! Jak o tym myślę, to nie mogę w to uwierzyć! Mam dopiero dwadzieścia lat!

Hania wzruszyła ramionami.

– Jesteś ode mnie lepsza. Ja mam dwa lata więcej i nigdy nawet nie spałam z mężczyzną.

Lucyna zachichotała i w tym momencie do pokoju weszła pani Honorata, niosąc na tacy gorącą kawę i kilka kawałków szarlotki.

– Lucynko, płakałaś?

– To nic, mamuś. Wzruszyłam się z powodu ślubu.

– Za bardzo się wszystkim przejmujesz, córuś. To ja powinnam płakać, kiedy pomyślę, że wkrótce wyprowadzisz się do męża i zostawisz mnie i ojca.

– Przecież będę was odwiedzać! Aż w końcu będziecie mieli mnie dość!

Godzinę później Lucyna już w zupełnie innym nastroju popijała kawę i zajadała się szarlotką.

– A jak sprawy z Władkiem? – zapytała Hanię z pełnymi ustami.

– Wszystko bez zmian.

– Władek chciałby wziąć ślub.

Hania westchnęła.

– Wiem, ale... Nie jestem jeszcze gotowa. – Wzruszyła ramionami.
– Nie wiem dlaczego. Po prostu nie jestem!

Lucyna pokręciła głową.

– Żyjesz jak wolny ptak, Haniu. Zazdroszczę ci tego. Mi nigdy nie byłoby wolno wyjechać tak jak tobie: samotnie, do innego miasta, żeby pracować jako dama do towarzystwa u bogatej hrabiny. Rodzice uważają, że to niemoralne.

– Nie ma nic niemoralnego w towarzyszeniu starszej pani podczas jej wakacji! To był dla mnie owocny czas, Lucynko. Tyle tam widziałam, tyle się nauczyłam! Pani Irenka to prawdziwy skarb!

– A to bogactwo, splendor... To cię nie pociąga?

– Oczywiście, że mnie pociąga! Ale... Ja wiem, że do tego świata nie należę.

Lucyna wbiła rozmarzony wzrok w sufit.

– Ja, będąc w wielkim świecie, próbowałabym rozkochać w sobie jakiegoś bogacza!

Hania zachichotała, z niespodziewanym zawstydzeniem na twarzy, i tym razem to ona rzuciła w Lucynę poduszką.

– A skąd wiesz, że ja tego nie próbowałam!

* * *

Kolejny tydzień Hania z matką spędziły głównie na zakupach przedślubnych i na ostatnich przygotowaniach do rychłego wesela. Przyjęcie weselne miało odbyć się w restauracji hotelu Royal, a ślub w Bazylice św. Jana Chrzciciela na Starym Mieście. Janek pierwotnie chciał wziąć ślub w małym kościółku na Woli, ale matka i przyszła teściowa wytłumaczyły mu, że nie wypada, żeby porucznik kawalerii i córka szanowanego w stolicy lekarza brali ślub w podrzędnej kaplicy.

Przygotowanie niezliczonej ilości wiązanek kwiatów i dopilnowanie wykwiutnego menu spędzało sen z powiek pani Anieli Wolińskiej. Kobieta poruszała się jak w transie i biegała po Warszawie za sprawunkami wraz z matką Lucyny. Obie zachowywały się, jakby nagle straciły rozum i logikę i nie umiały wybrać koloru serwetek dla szanownych gości. Hania patrzyła na to wszystko

z niedowierzaniem, a Janek, który w końcu wyszedł z garnizonu na przepustkę, tylko kiwał głową i wzruszał ramionami.

– Jak możesz być taki obojętny, skoro mama jest blada jak ściana tylko dlatego, że na imiennych wizytówkach dla gości brakuje gruchających gołąbków! – jęknęła Hania z pretensją, kiedy jej brat jak gdyby nigdy nic siedział spokojnie w fotelu i czytał gazetę.

– A co mam zrobić? Dorysować te gołąbki?

– Nic cię to nie obchodzi?

– Siostrzyczko, ja mam tam tylko być i złożyć przysięgę małżeńską przed ołtarzem. Cała reszta to nie mój problem. Wiesz, że jeśli o mnie chodzi, to mógłbym wziąć ślub już dziś, bez tej całej... oprawy.

Hania przez chwilę w skupieniu przyglądała się bratu. Był młody i krzepki. Emanował energią i siłą, która objawiała się w jego postawie i ruchach. Był wyszkolonym żołnierzem – twardym i niezłomnym, ale za to również zbyt skorym do gniewu i bijatyki. Nieraz była świadkiem, jak na jakiejś zabawie Janek bił się z kolegami po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu, co oczywiście w wojsku było surowo wzbronione. Tylko cud uchronił jego i innych kawalerzystów przed dyscyplinarnym wydaleniem ze służby.

Trudno jej było uwierzyć, że Janek już wkrótce na zawsze wyprowadzi się z domu i założy własną rodzinę. W dodatku zostanie ojcem, o czym jeszcze nie wiedział. Dla Hani był wciąż wyłącznie jej starszym bratem, który nieraz ją denerwował, ale zawsze trzymał z nią sztamę. Pomimo czteroletniej różnicy wieku, był jej nieodłącznym towarzyszem zabaw w dzieciństwie, a w późniejszych latach, kiedy oboje zaczęli dorastać – często bez zgody i wiedzy rodziców – wprowadzał ją w świat damsko-męski, zabierając ze sobą na skromne wieczorki taneczne i pełne splendoru dancingi. Jego towarzystwem byli wyłącznie żołnierze, więc i Hania dość szybko wsiąknęła w to środowisko, opierając się jednak skutecznie wszelkim żołnierskim zalotom. Owszem imponowało jej to, że Janek jest oficerem kawalerii, przedstawicielem swoistej męskiej elity cieszącej się powszechnym szacunkiem i poważaniem, ale sama nie miała najmniejszego popędu do młodych i zbyt żarliwych kawalerzystów. Zdecydowanie wolała towarzystwo spokojniejszego

i rozsądniejszego Władka, któremu daleko było do żołnierskiej brawury.

– Dlaczego wysłali cię na dodatkowe szkolenie? – zapytała po chwili, doprawiając gotujący się na kuchni gulasz.

Janek zerknął na nią znad gazety.

– To rutynowe szkolenia. Sztab szykuje się na wypadek, gdyby coś się działo.

– Coś, czyli co?

– Nie czytasz gazet? Nie wiesz, co się dzieje? Hitler zbroi Niemcy na potęgę, jakby szykował się do wojny.

– Przecież nie wygralibyśmy wojny z Niemcami.

Twarz Janka stężała.

– Nie mów tak, siostrzyczko! Nigdy tak nie mów! – W rysach twarzy brata dostrzegła zawziętość. „Jest oficerem, więc to normalne, że reaguje ostro i stanowczo” – pomyślała, wpatrując się w niego niemo. Jej narzeczony nie miał w sobie tej zaciętości i charyzmy. Władek był marzycielem z głową pełną pomysłów. Dla niego świat mógłby runąć w posadach, byle on sam mógł bez przeszkód realizować swoje plany, za to Janek był przeczulony na punkcie patriotyzmu, Polski i walki obronnej. Od dziecka zaczytywał się we wspomnieniach bohaterskich żołnierzy z Legionów Piłsudskiego i sam kierował się honorowym kodeksem.

– W ostatni dzień mojego pobytu w Gdańsku zostałam aresztowana przez SS – wyrzuciła z siebie nagle, sama nie rozumiejąc, po co to robi. Mogła spodziewać się przecież gwałtownej reakcji Janka, który nagle zerwał się z krzesła i dopadł do niej w sekundę. Gwałtownie złapał ją za ramiona.

– Jak to aresztowana!? Co ty wygadujesz?!

– Puść mnie! – pisnęła w geście obrony, czując, jak jego twarde palce wbijają jej się w ciało. – To boli!

Janek gwałtownie od niej odskoczył. Był wzburzony.

– Wybacz, siostrzyczko. – Odetchnął głęboko i nie spuszczać z niej wzroku, oparł się plecami o ścianę, a ramiona skrzyżował na piersi. – Wyjaśnij mi, co się stało?

– Nic takiego. Spacerowałam o świcie po plaży i natknęłam się na patrol SS. Aresztowali mnie, bo podobno moja obecność w porcie

o tej porze wydała im się podejrzana. Nazwali to rutynową kontrolą.

– Boże, Hanka! Nic ci nie zrobili? Długo tam siedziałaś?

– Nie, kilka godzin. I nic mi nie zrobili. Pani Irenka zadbała o to, żebym bezpiecznie wróciła do hotelu. Dla niej to też był przykry incydent.

– Incydent! Z SS nie ma incydentów! To zbrodnicza formacja Hitlera, która zabija ludzi!

– Jak widzisz, nic mi się nie stało i nikt mnie nie zabił, więc przestań tak krzyczeć!

– Boże! – Janek przeczesał palcami włosy, starając się jakoś zatrzeć gwałtowny wybuch. – Mówiłaś o tym mamie albo Władkowi?

– Oczywiście, że nie! Nie chciałam ich martwić. Pewnie krzyczeliby na mnie tak samo jak ty.

– I mieliby rację! Byłaś przesłuchiwana?

– Tak. Przez Johannes Schäfera, dowódcę gdańskiej SS.

– Psia krew!

– O co ci chodzi? Przecież to nic takiego! Nie jestem przestępcą ani szpiegiem!

Janek oderwał się od ściany i doszedł do niej w kilku krokach. Mocno objął ją ramieniem i przytulił.

– Dobrze, że nic ci nie zrobili...

– Przecież widzisz... – Hania z westchnieniem oparła głowę na jego ramieniu. – Nie ma o czym mówić, braciszku. To przypadek, że akurat ja im się nawinęłam.

Brat pieszczotliwie pogłaskał ją po głowie.

– Na przyszłość wystrzegaj się takich przypadków, dobrze?

– Czy to rozkaz, panie poruczniku?

– Owszem.

– Po ślubie znowu cię wezwą na to szkolenie? – zapytała po chwili, pragnąc zmienić temat.

– Pewnie tak, ale już rozmawiałem o tym z Lucyną. Rozumie to. Mam nadzieję, że szybko wrócę i będziemy mogli wprowadzić się do naszego nowego mieszkania.

– Niedługo przestanę cię mieć na wyłączność – mruknęła.

– Ale zyskasz szwagierkę, a przecież o to ci ciągle chodziło – odparł, przytulając ją do siebie jeszcze mocniej. – Od początku

knułyście z Lucyną przeciwko mnie.

– Nie knułyśmy. To Lucyna zdecydowała, że będziesz należał do niej.

Janek zaśmiał się.

– Mam ci przypomnieć, jak zmusiłaś mnie do pójścia z nią na bal maturalny?

– A ja mam ci przypomnieć, co powiedziałeś, jak z niego wróciłeś?

– Że cały wieczór myślałem tylko o tym, jak ją pocałować...

* * *

Na dwa dni przed ślubem, kiedy tłum zaproszonych gości ze strony obu rodzin zaczął zjeżdżać z okolicznych wsi i miejscowości do Warszawy, niespodziewanie okazało się, że w wynajętych pokojach hotelowych zaczyna brakować miejsc.

– Ale jak to możliwe? – załamywała ręce Aniela Wolińska, siedząc w nerwach na wpół żywa w ogrodzie, w otoczeniu swoich ukochanych róż. – Przecież mamy pełną listę! Wszystko się zgadzało! Każdy miał swoje miejsce!

– Mamuś, a co poradzisz na to, że ciocia Frania przyjechała z córką i synem swojej szwagierki, a wujek Karol zabrał siostrę swojej żony, która niedawno owdowiała.

– I co my teraz zrobimy? W hotelu nie ma już wolnych łóżek, a wynajmować pokoje w innym... To za drogo...

– Jeśli mogę się wtrącić... – odezwał się Władek siedzący obok Hani i z troską przyglądający się przygnębionej i zmęczonej Anieli. – Rozmawiałem dzisiaj rano z profesorem Borkowskim i powiedział, że jeszcze chwilowo dom studenta przy politechnice jest pusty. Tam można by ulokować młodszych, mniej wymagających gości.

Aniela popatrzyła na Władka z nadzieją w oczach.

– To wspaniały pomysł! Władziu, tak ci dziękuję! Złoty z ciebie chłopak!

Hania również mile zaskoczona pomysłem Władka, pocałowała go z wdzięczności w policzek.

– Sprawdźmy z Władziem całą listę gości i zdecydujemy, kogo można by ulokować w domu studenta.

– Dziękuję, moje dzieci, wasza pomoc jest nieoceniona! Haniu, nie zapomnij tylko, że dzisiaj musisz odebrać sukienkę od krawca.

– Nie zapomnę, mamó. Przypominasz mi o tym co godzinę.

W końcu nadszedł długo oczekiwany dzień ślubu. Janek dumnie prezentował się w galowym mundurze oficera kawalerii, a Lucyna w białej koronkowej sukni z welonem długim aż do ziemi wyglądała jak księżniczka. Hania w roli druhny przez cały ślub nie mogła powstrzymać łez wzruszenia. Jak przez mgłę widziała moment składania przysięgi małżeńskiej przez nowożeńców. Nic nie było w stanie stłumić szczerego zachwyty gości ani zakłócić pięknej ceremonii ślubnej, po której nad katedrą wypuszczono w niebo białe gołębie. Nie obyło się bez salwy honorowej, którą w równym szyku oddali w niebo żołnierze z garnizonu Janka.

Wesele było huczne i wspaniałe – stoły restauracji hotelu Royal uginały się pod ciężarem wykwintnego jedzenia i picia, a muzykanci wygrywali skoczne kujawiaki i oberki aż do białego rana pod dyktando wodzireja, który dwoił się i troił, żeby zabawić szanowne towarzystwo. Wyjątkiem w tej skocznej zabawie był pierwszy taniec, kiedy to goście dali popis tradycyjnego poloneza, a tuż po nim młoda para z wdziękiem zatańczyła walca wiedeńskiego.

Hania zaraz po północy, z policzkami pąsowymi ze wstydu i wzruszenia, ścisnęła w dłoni złapany podczas oczepin welon panny młodej. Ta radosna zabawa wprowadziła nieco już pijanego Władka w tak doskonały nastrój, że przez resztę nocy obejmował Hanię jak cenną zdobycz i nie pozwolił, żeby ktokolwiek inny zaprosił ją do tańca. A w zaciszu ogrodu restauracyjnego, kiedy znaleźli się z dala od gapiów, całował ją jak szalony, dając upust tłumionej namiętności. Być może posunąłby się dalej, gdyby Hania nie powstrzymała go w porę, tłumacząc, że nie tak wyobraża sobie swoją pierwszą miłosną noc.

Nad ranem goście rozeszli się do swoich pokoi, a ona wróciła do domu z matką.

Leżąc w swoim łóżku, ze wzrokiem utkwionym w sufit, niespodziewanie przywołała w myślach Johanna von Richtera. Nie ulegało wątpliwości, że wrażenie, jakie na niej wywarł, tkwiło w niej głęboko jak kłujący kolec róży, który wbija się w palec. Próbowwała

wyrzucić z głowy jego obraz, ale im bardziej się starała, tym wyraźniej do niej powracał. Przypomniała sobie smak jego ust, który dane jej było poczuć tylko przez chwilę, i bolesny ucisk w dole brzucha wymusił na niej jęk tęsknoty.

„Jesteś głupia!” – skarciła się w myślach, zastanawiając się równocześnie, jak by to było, gdyby mogła go jeszcze kiedyś zobaczyć.

ROZDZIAŁ 3

wrzesień 1938
Monachium

Johann otworzył drzwi i bez pukania wszedł do środka. Wiedział, że ojciec go oczekuje, więc formalności zaanonsowania były zbędne, choć zwykły śmiertelnik nie miał wstępu do gabinetu hrabiego Hansa von Richtera bez jego wcześniejszej zgody.

Hans von Richter, jak zwykle ubrany nienagannie w białą koszulę i ciemny garnitur, z przypiętą do kieszeni kamizelki dewizką, siedział przy dębowym biurku pochylony nad gazetą „Völkischer Beobachter”. Na widok syna zmarszczył brwi.

Johann bez trudu dostrzegł, że ojciec znowu pił, i to dużo. Oczy miał przekrwione, a twarz czerwoną i nabrzmiałą od alkoholu. Widok ten wzbudził w nim wyłącznie pogardę. Nawet nie próbował odgadnąć, ile nocy z rzędu jego ojciec spędził w nocnych lokalach Monachium, zabawiając lokalnych członków NSDAP i płacąc dziwkom za dostarczanie im rozrywek. W rodzinnej posiadłości ojciec nie pojawił się od czasu przyjazdu Johanna i babci z Gdańska.

– Proszę, kogo my tu mamy! Syn marnotrawny powrócił!

Johann skrzywił się, słysząc te słowa. Nie lubił nonszalancji ojca. Jego lekceważący stosunek do otoczenia i wręcz bezceremonialna bezczelność budziły w Johannie wyłącznie litość i obrzydzenie. Uczucia te towarzyszyły mu od czasu, kiedy dziesięć lat temu nakrył ojca z młodą kochanką. Od tamtej pory nie miał złudzeń, jak wyglądało małżeństwo jego rodziców i jak bardzo pozbawionym moralności człowiekiem był jego ojciec. To, że matka odgrywała rolę niczego nieświadomej pani domu, było dla Johanna zarówno głupie, jak i uwłaczające jej godności. On sam nie udawał jak reszta rodziny,

że jego ojciec ma choć krztę przyzwoitości. Również babcia Irene nie dawała się zwieść i bez zahamowania krytykowała syna przy każdej okazji, wytykając mu pijaństwo, dwulicowość i rozpustę.

Johann swobodnie usiadł na krześle naprzeciwko biurka. Nie miał ochoty widzieć się z ojcem, ale matka nalegała, żeby z nim porozmawiał. Podobno w ważnej i niecierpiącej zwłoki sprawie. Zgodził się wyłącznie dla niej, przez wzgląd na szacunek do swojej rodzicielki.

– Podobno chciałeś się ze mną widzieć, ojcze. Matka mi przekazała.

Hans z irytacją wydał wargi.

– Matki słuchasz, a ojca masz w głębokim poważaniu. Gdzie ty się, do cholery, podziewasz, kiedy cię nie ma? Od miesiąca nie było cię w Monachium!

– Załatwiam twoje interesy, ojcze. Nie wiem, czy pamiętasz, że jesteśmy właścicielami dużego browaru, a za dwa tygodnie jest Oktoberfest. Ty i Niklas nie ruszyliście palcem, żeby zaangażować się w przygotowania. Może powinienem ci również przypomnieć, że zatrudniamy setki robotników, którym w tych dniach należy podziękować za pracę.

Hrabia von Richter uśmiechnął się krzywo. Rozparł się w fotelu i popatrzył na syna lekceważąco.

– Jaki ty jesteś nadgorliwy, synu. Robotnicy! Niech się cieszą, że mają gdzie pracować!

– Jeszcze dwa miesiące temu bałeś się, że z powodu strajku będą znaczne opóźnienia w produkcji piwa i gotów byłeś obiecywać robotnikom złote góry, byle tylko wrócili do pracy. A teraz mówisz takie rzeczy? Masz krótką pamięć, ojcze.

– Wiesz, że nie będę się bratał z hołotą! To partia naciskała na porozumienie, bo nie chciała zaognić niepotrzebnych konfliktów społecznych. Hitler wie, jak zyskać poparcie społeczeństwa! Ci głupcy uwierzą we wszystko, co im obiecasz! Rzuć im ochłap, a będą biec jak psy do miski i jeszcze ci gębę z wdzięczności wyliżą!

Johann puścił tę uwagę mimo uszu i twardo patrzył ojcu w oczy.

– Po co mam się angażować w interesy, skoro wiem, że ty i matka staniecie na wysokości zadania? – kontynuował Hans z bezczelną

arogancją. – Twoje przywiązanie do tradycji, synu, jest godne podziwu. To wyjątkowa cecha, bardzo ceniona w partii. Nasz drogi Führer byłby z ciebie bardzo zadowolony.

– Przestań, ojcze! Mów, po co mnie wezwałeś, i nie bredź o partii, bo wyjdę stąd szybciej, niż tu wszedłem!

Oczy Hansa rozbłysły złością.

– Bezczelny smarkaczu! Jeszcze nauczysz się z szacunkiem traktować partię! – Hans złapał w rękę leżącą na biurku gazetę i zaczął nią energicznie wymachiwać w stronę syna. – Czytałeś dzisiejsze gazety? – krzyknął, we wzburzeniu plując kropelkami śliny. – Partia, którą tak ignorujesz, ma najwyższe poparcie w historii III Rzeszy! NSDAP to potężna siła! Führer wie, jak poprowadzić nasz naród do zwycięstwa! Niemcy będą wielkie, synu! Przekonasz się o tym! Wszyscy się o tym przekonamy! Nikt w Europie nie będzie miał odwagi mówić nam, jak mamy żyć, jak to miało miejsce w Wersalu! Nasz ukochany wódz to człowiek zesłany narodowi niemieckiemu przez opatrność!

Johann, lekceważąc ojca, zerknął na złoty kieszonkowy zegarek, udając, że się śpieszy. Ojciec jak zwykle próbował traktować go z góry, przybierając pozę patriarchy i mentora, podczas gdy w rzeczywistości był żalonym pijakiem, niemającym w oczach rodziny żadnego poważania. To, że zadawał się z członkami NSDAP i szczyił się tym przed całą monachijską śmietanką towarzyską, jeszcze bardziej umniejszało jego osobę w oczach syna. On sam nienawidził polityki, nie interesował go Hitler ani jego kompani. Wręcz uważał całą partię za fanatyczną sektę ludzi pozbawionych zarówno rozumu, jak i skrupułów. Nazizm, komunizm, faszyzm – wszelkie ruchy polityczne rozlewające się po krajach Europy nic go nie obchodziły. Ludzi wierzących w te ideologie uważał za rozczarowanych życiowo głupców pragnących odwetu na wszelkim idealizmie i liberalizmie.

Hans odetchnął parę razy i odłożył zmiętą gazetę na biurko. Johann kątem oka dostrzegł na pierwszej stronie zdjęcie Hitlera, Göringera i Himmlera, trzech najwyższych rangą przywódców NSDAP.

– Wezwałem cię tu w bardzo ważnej i delikatnej sprawie. Wysoko postawieni działacze partyjni życzą sobie, żebyś został głównym

prawnikiem NSDAP. Tu, w Monachium. To niezwykle zaszczytna i bardzo odpowiedzialna funkcja. Mógłbyś zasłużyć na uznanie Führera. W partii potrzebujemy ludzi takich jak ty. Młodych i bystrych.

– Żartujesz sobie, ojcze?

– Nie, mówię jak najbardziej poważnie. To propozycja z najwyższego szczebla, rzekłbym: osobiście wyrażona przez Führera.

Johann wstał z krzesła i bez słowa skierował się w stronę drzwi.

Hans zerwał się z fotela.

– Co ty robisz, głupcze?! – krzyknął poczerwieniały na twarzy.

– Wychodzę.

– Nie waż się! Złożyłem ci propozycję i żądam posłuchu!

Johann popatrzył na ojca wściekły.

– Ojcze, posłuch to ty masz wyłącznie u swoich dziwek.

Widział, że twarz ojca stężała, a dłonie zacisnęły się w pięści. Mężczyzna nie odważył się jednak wyjść z za biurka. Wiedział, że w bezpośredniej konfrontacji z synem nie miał szans.

– Durniu, głęboko pożałujesz swojej arogancji! Twój brat dawno wstąpił do SS i cieszy się tam szacunkiem i poważaniem!

– Więc chociaż jeden syn przynosi ci powód do dumy.

– Nie waż się wychodzić!

– Bo co mi zrobisz? Złożysz kolejną propozycję nie do odrzucenia? Mam to gdzieś! Sam się baw w tę twoją partię, a ja nadal będę zarządzał rodzinnymi nieruchomościami i browarem. Twój Hitler nie jest mi do niczego potrzebny!

Hans sapnął ze złości.

– Tobie może nie jest potrzebny, ale przypominam ci, że twoja narzeczona pracuje w Haus der Deutschen Kunst. To ukochane muzeum Führera, a Susanne jest z pracy bardzo zadowolona. Rozmawiałem z nią wczoraj i wspominała mi, że bardzo jej zależy, abyś przyjął posadę prawnika partii. Chyba chcesz, żeby Susanne była z ciebie zadowolona? Nie muszę ci mówić, że twoje zaangażowanie w sprawy partii zapewnią jej bezpieczeństwo w pracy?

Johann zatrzymał się w drzwiach i położył dłoń na klamce.

– Nikt z NSDAP nie ma prawa jej zwolnić! – syknął przez zaciśnięte zęby.

Hans zaśmiał się szyderczo i ponownie rozsiadł się w fotelu. Johann zauważył, że ojciec był z siebie obrzydliwie zadowolony. Wiedział, że posuwanie się do szantażu to najłżejsza forma nacisku, jaką stosowała NSDAP, a ojciec jako partyjny szantażysta czuł się w tej roli jak ryba w wodzie.

– Nikt nie ma takiego zamiaru synu, ale jeśli Führer nagle coś postanowi... – urwał i lekceważąco wzruszył ramionami. – Sam wiesz... Wtedy nic nie zrobimy.

Johann odwrócił się i nacisnął klamkę.

– Masz piękną narzeczoną, synu. Dbaj o nią, bo możesz ją stracić – usłyszał na odchodne.

Johann wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami, nie raczył też pożegnać się z panną Helgą Krause, osobistą sekretarką ojca. Taka nieuprzejmość nie leżała w jego naturze, ale ojciec wyprowadził go z równowagi tak bardzo, że nawet nie zauważył siedzącej za biurkiem młodej kobiety. Wściekły, z bijącym sercem wyszedł na ulicę i wsiadł do zaparkowanego przy budynku samochodu. Czuł złość, rozczarowanie i pogardę wobec ojca. Liczył, że ten wspomógł go słowem bądź wyrazi chęć współpracy przy przygotowaniach do Oktoberfestu, ale jak zwykle doczekał się tylko bełkotu na temat wielkości partii. NSDAP i Adolf Hitler wychodzili mu bokiem. Nie chciał mieć z polityką i partią nic wspólnego. Nie obchodziły go kryzysy w Niemczech i mania wielkości nazistów, którzy zwykłym Niemcom obiecywali złote góry. On sam ciężko pracował na to, żeby jego rodzina zachowała wysoką pozycję w kręgach społecznych. Miał świadomość, że pieniądze nie spadały im z nieba, zwłaszcza teraz, kiedy tak głęboko odczuwało się kryzys gospodarczy w Niemczech. Wyłącznie jego upór, determinacja i ciężka praca pozwalały na funkcjonowanie browaru Richter König na najwyższym poziomie produkcyjnym. Ciągłe strajki i niezadowolenie robotników nie pomagały w utrzymywaniu się na powierzchni, ale Johann i jego najbliżsi współpracownicy robili wszystko, żeby zadowolić pracowników na tyle, na ile było to możliwe. Zarządzanie rodzinną stadniną koni również pochłaniało spore pieniądze i wymagało

poświęcenia. Ojciec i matka stanowczo nie zgadzali się na sprzedaż koni, twierdząc, że to przedsięwzięcie przynosi im prestiż i zaszczyty. Z uporem organizowali wystawy i brali udział w wyścigach, szcycąc się wysoką pozycją w środowisku hodowców, choć sami nie robili nic, żeby stajnia funkcjonowała właściwie. Natomiast nieruchomości, których rodzina von Richterów w Monachium miała sporo, były wynajmowane przez ojca wyłącznie na rzecz agitacji politycznych i prywatne orgie dla członków NSDAP.

Johann osobiście pilnował każdego interesu i dbał o to, żeby Adolf Hitler i jego świta nie rozkradli majątku rodzinnego von Richterów. A ojciec w swojej głupocie i naiwności próbował wkręcić go w działalność partyjną i w utopijne myśli o wielkiej III Rzeszy. Johann najbardziej obawiał się tego, że partyjne zaangażowanie ojca w końcu sprowadzi na ich rodzinę poważne kłopoty.

Pogrążony w myślach jechał przez centrum Monachium. Było południe. Zatłoczone chodniki i ulice tętniły miejskim rytmem. Przemierzając Prinzregentstrasse obok Haus der Deutschen Kunst, instynktownie spojrzął na okazały, szary budynek przypominający neoklasyczną świątynię, na którym powiewał czerwony sztandar ze swastyką. To tu pracowała jako dyrektor jego Susanne, dbając o to, żeby na ekspozycjach znajdowały się wyłącznie dzieła współczesnego realizmu, tak hołubionego przez Adolfa Hitlera i jego ministra propagandy i oświecenia publicznego Josepha Goebbelsa.

Wprawdzie Johann nie miał za dużo czasu – czekało go spotkanie z dostawcą piwa – ale nagle zapragnął przywitać się z Susanne. Miał nadzieję, że widok narzeczonej poprawi mu nastrój i pozwoli zapomnieć o rozmowie z ojcem. Nadal nie mógł uwierzyć, jak ojciec śmiał mu w bezczelny sposób grozić i w dodatku wierzył, że on – Johann – pozwoli się zmanipulować.

Zaparkował automobil tuż przed budynkiem Haus der Deutschen Kunst i wszedł do muzeum. W holu powitała go pracownica, którą doskonale znał z wcześniejszych wizyt. Na jego widok panna zarumieniła się lekko i dygnęła niczym pokojówka. Johann uśmiechnął się do niej szarmancko i pocałował w dłoń.

– Czy panna Schneidhuber jest u siebie? – zapytał z wyszukaną uprzejmością.

– Oczywiście. Jest u niej pański szanowny brat.

– Niklas?

Kobieta lekko skinęła głową.

Johann zapukał dwa razy i otworzył drzwi gabinetu.

Susanne stała oparta biodrem o zabytkowe biurko i z lekko przechyloną na bok głową uważnie słuchała stojącego przed nią Niklasa. Między smukłymi palcami prawej ręki trzymała papierosa, a dym delikatną aureolą otaczał głowę Niklasa. Johann w pierwszej chwili nie mógł oprzeć się wrażeniu, że scena, którą ujrzał, była na swój sposób intymna, jakby tych dwoje łączyła jakaś niewidzialna więź. Niklas przybrał nieco niedbałą pozę i trzymając ręce w kieszeniach spodni, wpatrywał się w urodziwą twarz Susanne. Ona uśmiechała się lekko, jakby tajemniczo, ale każdy jej gest był precyzyjny, doskonały, wyuczony. Czyżby babcia mogła mieć rację, twierdząc, że zależy jej tylko na majątku von Richterów? Czy jej wyrachowanie mogło sięgać tak daleko, że było jej obojętne, z którym Richterem sypia, byle osiągnąć cel? Gdyby nie fakt, że Niklas był homoseksualistą, Johann mógłby przysiąc, że Susanne próbowała go uwieść.

Na widok Johanna oboje odsunęli się od siebie. Dostrzegł w ich twarzach delikatne zmieszanie połączone z zaskoczeniem.

– Johann! – Narzeczona z szerokim uśmiechem podeszła do niego, delikatnie kołysząc biodrami. – Kochanie, jak miło, że zechciałeś mnie odwiedzić!

Nim zdążył odpowiedzieć, podała mu smukłą dłoń do pocałowania, tę samą, w której jeszcze parę sekund temu trzymała papierosa. Ten oficjalny gest powitania nieco go zaskoczył, ale być może Susanne zachowywała pozory i powściągliwość, ponieważ znajdowała się w miejscu pracy.

Johann, nie zważając na to, objął ją ramieniem i wciągnął w nozdrza słodki zapach jej perfum. Nie umknęło jego uwagi, że w opinającej ciało spódnicy połączonej z modnym żakiem wyglądała niezwykle ponętnie i elegancko. Stylowo fale jej bujnych blond włosów zmysłowo opadały na prawy policzek.

– Zdaje się, że w czymś wam przeszkodziłem?

– Ależ skąd! Niklas przyszedł poinformować mnie, że do naszego muzeum trafi kolejny ważny eksponat, który udało się pozyskać.

Johann uniósł brew w geście zaskoczenia.

– Pozyskać? W jaki sposób, mój drogi? Nie wiedziałem, że zajmujesz się pozyskiwaniem dzieł sztuki – rzekł z lekką drwiną, mierząc brata wzrokiem.

Niklas ubrany był w mundur SS, a w dłoni trzymał czapkę z emblematem trupiej czaszki. Do oddziałów szturmowych w Monachium należał od ponad roku i przez ten czas brał czynny udział w kilkunastu akcjach wysiedlania z miasta rodzin żydowskich i wszelkiej maści przeciwników politycznych.

– Pewien zamożny Żyd wyjeżdżał na stałe z miasta i przekazał nam kilka cennych dzieł sztuki na rzecz dobra publicznego.

– Postawa godna pochwały. A gdzie się ów Żyd wybierał? – zapytał Johann z drwiną.

Susanne najwyraźniej nie zamierzała pozwolić Niklasowi na odpowiedź, bo zaśmiała się nieco nerwowo i złapała energicznie Johanna pod ramię.

– Skończmy ten nudny temat. Kochany, co cię do mnie sprowadza?

Johann, patrząc na brata, pocałował narzeczoną w skroń i objął ją ramieniem.

– Pomyślałem, że może przyjechałabyś wieczorem do Richterhause? Zjedlibyśmy kolację z babcią i porozmawiali z nią o naszych zaręczynach?

– Doskonały pomysł! Niklas, ty również będziesz?

Niklas odwrócił się na pięcie i już kierował się w stronę drzwi.

– Wybacz, moja piękna, ale mam inne zobowiązania na wieczór.

– Czyżbyś zamierzał pozyskiwać kolejne dzieła sztuki do muzeum mojej narzeczonej? – zapytał Johann z jawną kpina w głosie.

– Moja praca nie powinna cię interesować, bracie.

– Twoja praca bardzo mnie interesuje, bo przez nią zaniedbujesz obowiązki w rodzinnych interesach.

– Te interesy i tak przejdą na ciebie, już babcia się o to postara. Ja będę miał tylko to, co sam zdobędę.

Johann przyglądał się bratu bez słowa, kiedy ten opuszczał gabinet. Żał mu było Niklasa. Uważał, że jego młodszy brat tak bardzo starał się przypodobać dowódcom SS, że nie dostrzegał, jakim stawał się człowiekiem. Zimnym, bezwzględny i zgorzkniałym. Jako mały chłopiec był wrażliwy i bardzo posłuszny ojcu i matce. Piastunki i guwernantki uwielbiały go i rozpieszczały na wiele różnych sposobów. Każdy jego płacz, każde niezadowolenie stawiały cały dom ze służbą na równe nogi. Wszyscy zgodnie twierdzili, że Niklas był grzecznym aniołkiem, który nie potrafił nawet dokuczyć młodszej siostrze Ninie. Taki był przez całe dzieciństwo i okres dojrzewania. Dopiero jego wyjazd na studia do Berlina spowodował w rodzinie nagłe trzęsienie ziemi. Chłopak zerwany ze smyczy dobrego wychowania i konwenansów zasmakował w grzesznej wolności kosmopolitycznego miasta. Najpierw okazało się, że grozi mu wydalenie z uczelni z powodu uzależnienia od silnych środków odurzających, a kilka miesięcy później dotarła do rodziny von Richterów informacja, że młodego panicza nakryto w podejrzanym dzielnicy Berlina podczas orgii homoseksualnej. Od tamtej pory wściekły ojciec przestał łożyć na chesne Niklasa i ten bez skończonych studiów powrócił do Monachium, żeby podjąć pracę w rodzinnym przedsiębiorstwie, a w ostateczności wstąpić w szeregi SS. O jego orientacji seksualnej wszyscy w rodzinie starali się zapomnieć, choć nikt otwarcie nie namawiał go do znalezienia sobie narzeczonej.

– Dawno nie było cię w mieście – zauważyła Susanne, siadając w fotelu za biurkiem. Rola niezależnej kobiety pracującej niezwykle do niej pasowała. Wzbudzało to w Johannie podziw i szacunek do narzeczonej. Lubił kobiety wolne, niebojące się pracy, skore do podejmowania decyzji.

Posadę w Haus der Deutschen Kunst jego narzeczonej dostała po wygraniu konkursu rozpisanego przez ministerstwo propagandy i oświecenia publicznego, wykazując się wyjątkową znajomością sztuki. Wiedzę tę zdobyła, kończąc z wyróżnieniem studia z historii sztuki na Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, tej samej, do której bezskutecznie próbował w młodości dostać się Adolf Hitler. Johann był z niej dumny i wszędzie podkreślał, jak bardzo imponuje mu

praca narzeczonej. Susanne wydawała się być przeciwieństwem jego matki, która uzależniona od pieniędzy i pozycji ojca odgrywała wyłącznie rolę doskonałej pani domu.

Wprawdzie Susanne nie pochodziła z arystokratycznej rodziny, ale również szczyła się pewną pozycją w mieście. Jej rodzice zajmowali się handlem kolonialnym, na którym przed wojną zbili fortunę. Interesy zaczęły iść nieco gorzej po utworzeniu po wojnie Republiki Weimarskiej wraz z jej ograniczeniami gospodarczymi. Wtedy liczne interesy rodziny Schneidhuberów, zwłaszcza te związane z zaopatrzeniem dla wojska, zaczęły powoli popadać w ruinę. W chwili obecnej pozostał im handel takimi dobrami jak luksusowe tkaniny, przyprawy i owoce egzotyczne, ale i tak zarabiali na tym wystarczająco, żeby zapewnić jedynej córce właściwą pozycję w monachijskiej elicie i dobrze ją wykształcić. Rychle małżeństwo z Johannem było dla nich zwieńczeniem wszystkich wysiłków, jakie wkładali w to, żeby ich jedynaczka miała życie na właściwym poziomie.

Johann początkowo nie interesował się Susanne, choć panna Schneidhuber wyjątkowo często przyjeżdżała do ich rodzinnej stadniny, rzekomo zakochana w koniach. Do ich domu wprowadziła ją Nina – młodsza siostra Johanna, która początkowo przyjaźniła się z Susanne, ale ich drogi dość szybko się rozeszły – podobno z powodu różnic charakterów, jednak panna Schneidhuber wciąż pojawiała się w posiadłości, coraz częściej gawędząc przy herbacie z matką Johanna – hrabiną Manuelą von Richter. Konno jeździła zawsze wtedy, kiedy Johann również trenował. Swego czasu brał udział w wyścigach konnych i ten sport dość mocno go zajmował, a Susanne najwyraźniej była tym zachwycona i postanowiła towarzyszyć mu we wszystkich treningach. Johann sam nie wiedział, jak to się stało, ale pewnego wiosennego ranka pojechali do doliny nad malownicze jezioro i tam na wilgotnej trawie, w otoczeniu drzew, kochali się po raz pierwszy. Johann nie był zakochany, ale zaślepiło go nagłe pożądanie. Susanne wyraźnie wiedziała, co robi, kiedy patrząc mu zuchwale w oczy, sprawnymi ruchami odpięła guziki swojej koszuli i zsunęła w dół bryczesy do konnej jazdy, stając przed nim zupełnie naga. Miała smukłe, sprężyste ciało, pachniała

perfumami i koniem. Zatracił się w niej, oszalał z pożądania, a po wszystkim próbował przeprosić, lecz wyśmiała go, wprawiając tym w jeszcze większe zażenowanie.

– Tylko nie mów, że więcej tego nie zrobisz! – odparła z rozbijającą szczerością, leżąc pod nim naga i rozgrzana. Uraziła go tym. W odpowiedzi, jakby z przekory, przygwoździł ją do trawiastego podłoża i wszedł w nią po raz kolejny, już nie siląc się na delikatność. Patrzył jej w oczy, kiedy oddawała mu się zupełnie bezbronna, zdumiona jego nagłą gwałtownością.

Od tamtej pory minęły dwa lata, a oni spotykali się i rozstawali na przemian, bo Johann wciąż nie umiał zdecydować się na małżeństwo. Przekonały go w końcu argumenty matki, która twierdziła, że Susanne jest bardziej inteligentna i ambitna od innych panien w swoim wieku, a to dobrze wróży na przyszłość. Poza tym Johann wiedział, że kiedyś będzie musiał się ożenić, a jak dotąd żadna kobieta nie przywiązała go do siebie na dłużej niż Susanne, więc w końcu sam uznał, że jest chyba najlepszą dla niego partią.

– Mam mnóstwo pracy w browarze. Zaraz zaczyna się Oktoberfest i jest jeszcze wiele do zrobienia – mruknął, rozsiadając się na krześle.

– Więc co cię sprowadza, kochany?

– Byłem u ojca. Chciał ze mną rozmawiać.

Kobieta zaciągnęła się papierosem.

– Zgodziłeś się? – zapytała bez ogródek.

– Na co?

– Na bycie prawnikiem w partii.

Johann zmarszczył brwi. Zaskoczyła go bezpośredniość Susanne. Był zdumiony, że jego narzeczona wie o wszystkim. Najwidoczniej była znacznie lepiej poinformowana niż on.

– A uważasz, że powinienem? – rzucił z drwiną w głosie.

Susanne przez kilka sekund przyglądała mu się znad chmury dymu papierosowego. Wreszcie cicho westchnęła.

– Twoja duma nic tu nie pomoże, kochany. Myślę, że powinieneś przyjąć tę propozycję, i to jak najszybciej. Żyjemy w czasach, kiedy nic już nie jest pewne i nie my o tym decydujemy.

– Nie będę pieskiem na usługach partii!

– Albo jesteśmy z nimi, albo przeciwko nim – rzekła, patrząc mu twardo w oczy. Jej zimna stanowczość i opanowanie bardzo go zdumiały. Wyglądało na to, że Susanne jest twardsza, niż mu się wydawało, a jej poglądy na to, z kim należy przystawać w tych dziwnych czasach, również były jasno sprecyzowane.

– Ojciec mówi to samo! Czy wyście wszyscy powariowali? Z własnej woli stajecie się bezwolnymi pionkami jakiegoś fanatyka! Nie dam się wciągnąć w tę grę!

– Ta gra już się rozpoczęła i od nas zależy, czy ją wygramy, czy pójdziemy na dno.

Susanne obeszła biurko i podeszła do Johanna, po czym niespodziewanie pocałowała go w usta. Gwałtownie i namiętnie. Chyba próbowała poruszyć w nim strunę pożądania, ale nim zdążył zareagować, odsunęła się od niego i popatrzyła mu głęboko w oczy. W jej ciemnych źrenicach była żarliwość, ale i dziwna pustka.

– Nikogo nie interesuje, czy Hitler jest fanatykiem, czy nie. Żyjemy w czasach, kiedy jego idea jest jedyną z możliwych. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie.

Johann z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nie będę polował na ludzi, jak robi to Niklas czy mój ojciec. Nie będę zabijał!

– Więc zabijają ciebie. A na to nie mogę pozwolić.

– Chyba nie masz na to wpływu.

– Mam. Mogę przekonać cię, żebyś się zgodził.

Johann wyszedł od Susanne z głową pełną ponurych myśli. Spodziewał się wsparcia, dobrego słowa, pomocy przy trwaniu w swoim uporze, a spotkał się z nazistowskim murem, którego nie mógł przebić głową.

Przez chwilę zboczył myślami do dziewczyny, która od pierwszego wejrzenia skradła mu serce i myśli. Zapragnął ją zobaczyć. Chciał tego tak bardzo, że poczuł bolesne ukłucie w klatce piersiowej. Myślał o niej zawsze wtedy, kiedy najmniej tego chciał. Nie dawała mu spokoju. Siedziała mu w głowie i wzbudzała w nim wszystkie uczucia, których nie potrafiła wzbudzić w nim jego piękna narzeczona. Czuł się bezradny. Zdawał sobie sprawę, że nic nie

może zrobić, żeby znowu ją ujrzeć, a równocześnie nie wiedział, jak o niej zapomnieć.

* * *

Johann, Susanne i Irene siedzieli przy suto zastawionym stole, w apartamencie babci, w zachodniej części domu. Manuela von Richter odmówiła uczestniczenia w kolacji, tłumacząc się złym samopoczuciem, ale każdy, kto znał Manuellę i Irene, wiedział, że obie panie serdecznie się nie lubią. Matka Johanna nie znosiła teściowej, zarzucając jej zrzędlivość i arogancję, a Irene okazywała synowej jawną pogardę z powodu jej niewolniczej obsesji bycia podziwianą i poważaną w towarzystwie. W dodatku zarzucała matce swoich wnuków głupotę i małostkowość. Im rzadziej obie hrabiny wchodziły w sobie w drogę, tym lepiej się z tym czuły, więc odmowa Manueli co do wspólnego posiłku nikogo nie zdziwiła.

Dania przygotowane przez osobistego kucharza babci były wyjątkowo wykwintne, serwowane na srebrnych półmiskach i podawane na eleganckiej porcelanie, więc zarówno Johann, jak i jego narzeczona starali się prezentować wysokie maniery – jak na oficjalną kolację przystało. Tymczasem Irene, z pochmurną miną, jawnie ich ignorując, jadła w milczeniu i absolutnie nie miała zamiaru silić się na uprzejmość. Od czasu do czasu rzucała wykwintny kąsek z talerza swojemu psu, który leżał pod stołem u jej stóp.

Johann nieco zażenowany całą sytuacją popijał wino i raz po raz zerkał na Susanne, która z kolei udawała, że skupia się na jedzeniu.

– Babciu, podczas balu Oktoberfest planujemy z Susanne ogłosić nasze zaręczyny.

Irene popatrzyła na wnuka jakby nieco znudzona.

– Skoro musicie – skwitowała krótko i wróciła do karmienia psa.

– Liczymy, że będzie pani na balu – rzekła Susanne z wyszukaną uprzejmością, chcąc pociągnąć temat zaręczyn.

Irene nieelegancko prychnęła pod nosem.

– Jeszcze nie wiem, to zależy, jak się będę czuła. Teraz czuję się źle, do balu może być jeszcze gorzej.

– Babciu, jesteś chora?

– Co to za głupie pytanie?! W moim wieku ciągle jestem chora! Jestem chora od samego patrzenia na was!

– Babciu! – Johann poczerwieniał na twarzy wyraźnie oburzony. Kątem oka zerknął na narzeczoną, która zachowała kamienną twarz, jakby niczego nie usłyszała. Miał wrażenie, że nawet powieka jej nie drgnęła, gdy padła przykra uwaga babci. Postanowił iść za jej przykładem i też puszczać mimo uszu niewybredne komentarze staruszki.

– Myślę, że powinieneś pojechać do Warszawy – rzuciła hrabina zupełnie niespodziewanie.

Johann, słysząc to, zakaszał. Szybko jednak udał, że to wino spowodowało u niego ten nagły atak. Susanne – do tej pory opanowana – uniosła brwi ze zdumienia.

– Do Warszawy? – zapytała, nie rozumiejąc. – Po co?

Babcia z miną niewiniątka upiła łyk wina.

– Słyszałam, że wyścigi konne są tam na coraz lepszym poziomie, nie mówiąc już o imponujących hodowlach arabów! Johann, może mógłbyś się tym zainteresować?

Johann patrzył na babcię, nie wierząc w to, co właśnie usłyszał. Starsza pani do tej pory nie interesowała się wystawianiem koni, a już na pewno miała w głębokim poważaniu hodowle w Polsce. A tu nagle ta propozycja, rzucona jakby z rękawa! Babcia jawnie z niego drwiła i robiła to w taki sposób, że nawet nie potrafił się na nią obrazić.

Miał jechać do Warszawy! Co za pomysł! Czyżby aż tak dobrze go znała... Zauważyła jego słabość do panny Wolińskiej, chciała, żeby do niej pojechał? Przecież to niemożliwe! Babcia nie mogła być aż tak przebiegła!

Kątem oka popatrzył na Susanne, ale narzeczona nie mogła zrozumieć aluzji starszej pani i z obojętnym wyrazem twarzy zajadała przystawkę, popijając ją winem.

Niespodziewanie Irene, jakby zapomniawszy o wszystkim, co do tej pory powiedziała, bacznie zaczęła się przyglądać narzeczonej wnuka, zatrzymując wzrok na serdecznym palcu młodej kobiety, na którym pysznił się imponujący pierścionek z szafirem, od pokoleń należący do rodziny von Richterów.

– Podobno jesteś bardzo dobrym dyrektorem, moja droga?

Susanne uśmiechnęła się lekko i uprzejmie skinęła głową w stronę starszej pani.

– Dziękuję. Lubię swoją pracę.

– Cenię kobiety pracowite i zaradne, ale gardzę uległością – powiedziała babcia głośno, akcentując każdy wyraz.

Susanne zrobiła zdumioną minę.

– Nie jestem uległa, szanowna pani.

– Nie? To dlaczego z takim pietyzmem wystawiasz te szkaradztwa zwane sztuką narodowego socjalizmu, udając, że to wielkie dzieła, skoro sama wiesz, że ze sztuką mają tyle wspólnego, co mój pies z kotem! Ta wasza czystość rasowa wśród artystów! Ci aryjscy herosi wystawiani jako rzeźby na wystawach! To żenujące! Wstyd na to patrzeć, a jeszcze większy wstyd robić wystawy tych niby dzieł!

Susanne delikatnie odłożyła widelec i popatrzyła na Irene z kamienną powagą. Jej urodziwa twarz była niczym maska, pod którą być może kryły się jakieś emocje. Jeśli jednak tam były, nie dała tego po sobie poznać.

– Przykro mi, że nie dostrzega pani piękna w sztuce współczesnej, ale zapewniam, że jest w niej głębia i ogromny kunszt artystyczny, choć zdaję sobie sprawę, że w pani wieku pewne rzeczy mogą wydawać się niezrozumiałe.

Irene skrzywiła się z pogardą.

– Byłaś na wystawach w Paryżu? Madrycie? Londynie? Mój Boże, przecież ty studiowałaś w Wiedniu! Tam świat sztuki współczesnej nacechowany jest awangardą! To jest sztuka! Artyści łapią wiatr w żagle i demonstrują własną niezależność! To jest fenomen! A u nas? Ty i tobie podobni z namaszczeniem piętnujecie wszystko, co nie wpisuje się w kanony narodowej propagandy o Wielkiej Rzeszy Niemieckiej! Ten fircyk Goebbels dyktuje ci, co możesz, a czego nie możesz wystawić, a ty słuchasz go bez słowa sprzeciwu. Uważasz, że to nie jest uległość?

– Babciu, dość! – Johann gwałtownie podniósł się z krzesła i wzburzony patrzył na Irene, która zdawała się być niewzruszona. – Obrażasz moją narzeczoną! To niedopuszczalne!

Irene machnęła ręką, jakby chciała odpędzić od siebie natrętną muchę.

– Nie unoś się tak, młodzieńcze! Jeśli tak boli was prawda, to po co ta cała szopka z kolacją?! Nie potrzebujecie mojego błogosławieństwa, żeby wziąć ślub! Dlaczego mnie, starą kobietę, na siłę próbujecie przekonać, że to, co robicie, jest słuszne?

Susanne, wyraźnie urażona, również wstała od stołu. Z powagą przetarła usta chusteczką, odłożyła ją obok talerza i nieznacznie skinęła głową w stronę babci.

– Żegnam panią. – To powiedziawszy, z godnością wyszła z jadalni.

Johann zatrzymał ją w holu.

– Zostań.

Susanne wykrzywiła usta w geście niezadowolenia.

– Straciłam apetyt. Zrób mi przysługę i nie zapraszaj mnie więcej na kolację do tej zgorzkniałej wiedźmy.

Johann nie próbował jej zatrzymać, kiedy stanowczo oznajmiła, że wraca do domu. Nawet nie siliła się na uprzejmość czy gesty czułości wobec niego i z chłodną miną wyszła z rezydencji. Jeśli Irene chciała ją urazić, to z pewnością jej się to udało.

Przez przeszklone drzwi tarasu Johann widział, jak Susanne wsiada do samochodu, prosząc szofera, żeby odwiózł ją do miasta.

Był zły i rozczarowany. Miał ochotę wrócić do babci i nagadać jej do słuchu, ale wiedział, że to nic nie da. Starsza pani miała własne zdanie na temat ich przyszłego małżeństwa i Johann zdał sobie sprawę, że nic go nie zmieni.

ROZDZIAŁ 4

Warszawa

Hania siedziała na obitej aksamitem sofie w eleganckim butikiu z kapeluszami, mieszczącym się przy Alejach Jerozolimskich. Obserwowała swoją matkę modystkę, która próbowała przekonać elegancką, zamożną klientkę, że zniszczone pióra przy jej kapeluszu nie świadczą o złej jakości produktu, tylko jego niewłaściwym użytkowaniu.

– Szanowna pani, ten kapelusz nie nadaje się na spacer po deszczu – argumentowała Aniela cierpliwie, starając się uspokoić kobietę.

– Co też pani opowiada! Zapłaciłam za niego ogromne pieniądze i żądam jakości! Pióra w kapeluszu były do niczego, gdy tylko w nim wyszłam! Wstydziałam się pokazać tak w teatrze!

– Rozumiem pani wzburzenie, ale sama pani wie, że nie nosi się kapelusza z piórami podczas ulewy.

– Sugeruje pani, że nie potrafię ubrać się stosownie do pogody?!

– Ależ skąd, droga pani. Mówię tylko, że pani pretensje są niezasadne.

Klientka cmoknęła niezadowolona. Na jej policzkach od nadmiaru emocji pojawiły się krwiste rumieńce.

– Usatysfakcjonuje mnie jedynie zwrot pieniędzy. W innym wypadku będę zmuszona porozmawiać z właścicielem sklepu o pani niekompetencji!

Aniela westchnęła i skinęła głową na zgodę.

– Dobrze. Proszę zostawić kapelusz, a ja sama porozmawiam z panem Krzemińskim. Wie pani, że pan Krzemiński dba o dobro klientów.

– Doskonale! Liczę na wyrozumiałość z jego strony i ufam, że nie będzie mnie oskarżał tak jak pani! Twierdzenie, że zniszczyłam kapelusz na własne życzenie, jest absurdalne!

– Przepraszam, jeśli czuje się pani urażona, ale nie było to moim celem.

Po chwili klientka nieco udobruchana opuściła butik, a Aniela mogła w końcu porozmawiać z córką.

– Przepraszam, że musiałaś tego słuchać. Mam już dość tych pańienek z dobrych domów, które myślą, że są pępkiem świata.

– Twarda z ciebie sztuka, mamo. Ja już dawno kazałabym tej damulce zabierać się stąd razem z jej zdechłym kapeluszem.

Aniela zachichotała pod nosem. Usiadła na sofie obok córki i zlustrowała wzrokiem butik, którego wystrój niecałą godzinę temu zmieniła z letniego na jesienno-zimowy. Z pietyzmem pilnowała, żeby każda półka z kapeluszami lśniła czystością, żaden manekin nie stał krzywo, a luksusowe nakrycia głowy prezentowały się z należytą elegancją. Pracowała w butiku wyjątkowym, dla wyjątkowej, zamożnej klienteli, która wymagała zarówno niebanalnego wzornictwa, jak i wysokiej jakości produktów oraz obsługi. Aniela nieraz dobierała idealny kapelusz do głowy znanej aktorki, śpiewaczki czy żony ważnego polityka i była w tym doskonała. Hania wiedziała, że jej matka bardzo lubi swoją pracę, mimo że nieraz stykała się z kłótliwymi i wyniosłymi klientkami, które traktowały ją jak pokojówkę, a nie doświadczoną modystkę znającą się na trendach. Matka Hani, zawsze skromna i elegancka, z nienagannie uczesаныmi włosami i w dobrze skrojonej sukience, idealnie wtapiała się w klimat wielkopańskiego butiku dla zamożnych, pełnego luster, manekinów i brokatowych zasłon na oknach wystaw.

– Co cię do mnie sprowadza o tej porze? Jest przecież południe. Nie pojechałaś do Lucyny?

– Później do niej pojedę. Przyszłam, bo muszę ci o czymś powiedzieć, a nie chcę z tym czekać do wieczora.

Aniela uniosła brwi.

– Coś się stało?

– Właśnie wracam z dworca, gdzie kupiłam bilet do Berlina na jutro rano. W Berlinie będę miała przesiadkę do Monachium.

Hania zauważyła zaskoczenie matki. Nie spodziewała się wprawdzie, że mama będzie zadowolona z tego, co ma jej do powiedzenia córka, ale nie zamierzała się teraz wycofać.

– Dwa dni temu dostałam telegram od pani Irenki von Richter. Podobno jest ciężko chora i prosi mnie, żebym natychmiast do niej przyjechała.

– Ale za tydzień zaczynasz studia! – krzyknęła matka.

– Wiem. Byłam dzisiaj na uczelni i wyjaśniłam, że rozpocznę rok akademicki nieco później. Dziekan był wyrozumiały.

– Hanka! Igrasz z ogniem! Nie pozwolę ci tam jechać!

– Już podjęłam decyzję, mamó. Wiesz, jak kocham panią Irenkę. Nie mogę jej zostawić, kiedy mnie potrzebuje.

– Lucyna też cię potrzebuje! Jej ciąża może mieć komplikacje, a Janek znowu siedzi w koszarach!

Hania westchnęła ze zniecierpliwieniem.

– Lucyna ma matkę i ciebie. Obie dobrze się nią zaopiekujecie.

Aniela wstała z sofy i zaczęła nerwowo przechadzać się po sklepie.

– Zabraniam ci! Wiesz, co tam się dzieje! To niebezpieczne! Monachium to siedlisko nazistów! Nie pozwolę, żeby stała ci się krzywda!

– Mamó, nic mi nie będzie! Pod skrzydłami pani Irenki nic mi nie grozi. To tylko parę dni, góra dwa tygodnie i wrócę do domu.

Aniela drżała ze zdenerwowania. Zatrzymała się w pół kroku, jej twarz była zmieniona.

– Wiesz, że oni nienawidzą Żydów!

– Nie jestem Żydówką, jestem Polką.

– Ale twoja babka była!

– Mamó, uspokój się! To, co mówisz, jest niedorzeczne!

Aniela zdawała się nie słyszeć argumentów córki.

– A Władek? Mówiłaś mu o tym? – zapytała, jakby to, czy Władek wie o wyjeździe, czy nie, było w tej chwili niezwykle istotne i miało cokolwiek zmienić.

– Jesteśmy dzisiaj umówieni na kolację u pana Anastazego Bluma. Pan Blum chce podziękować Władkowi za projekt i zaprosił nas na wieczór do swojego domu. Powiem mu po kolacji.

Aniela sapnęła.

– I myślisz, że będzie zadowolony?! Jesteś egoistką, córko! Twój narzeczony staje na głowie, żeby zarobić na waszą przyszłość, a ty jak gdyby nigdy nic oznajmisz mu, że wyjeżdżasz do Monachium! Nie tak cię wychowałam!

Hania zerwała się z sofy.

– A jak mnie wychowałaś?! Na uległą kurę domową bez własnego zdania?! Nie przeszkadza ci to, że Janek zostawił swoją świeżo poślubioną żonę, w dodatku w ciąży, i wyjechał na jakieś głupie ćwiczenia, a mi zabraniasz pojechać do umierającej kobiety, która mnie potrzebuje!

– To co innego! To jego obowiązek! On jest żołnierzem! Nie mogę zabronić mu wyjechać, skoro dostał taki rozkaz!

Hania przez chwilę patrzyła w milczeniu na miotającą się matkę.

– Przykro mi, mamó, ale podjęłam decyzję. Jestem już spakowana.

Aniela usiadła na sofie i ukryła twarz w dłoniach. Do butiku weszły dwie klientki, więc rozmowa była skończona.

Hania chciała już wyjść, ale zatrzymał ją w progu cichy głos matki. Wyczuła w nim wahanie.

– A ten Niemiec, którego poznałaś? Chyba nie jedziesz do niego?

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie. Raz, przez przypadek, wspomniała matce, że poznała w Gdańsku Johanna von Richtera. Nie spodziewała się, że matka tak łatwo odkryje jej głęboko skrywane emocje.

– Nie, mamó – odparła krótko, chociaż sama wyczuła, że jej słowa zabrzmiały fałszywie.

Wychodząc z butiku, po drugiej stronie ulicy niespodziewanie dostrzegła matkę Lucyny, panią Honoratę Waszyńską. Kobieta, wystrojona w elegancko skrojony jesienny płaszcz i twarzowy kapelusz, wychodziła z galerii sztuki Pro Arte. Najwyraźniej uderzyło ją chłodne jesienne powietrze, bo skuliła się nieco jakby z zimna i szybkim krokiem podążyła przed siebie.

– Pani Honorato!

Matka Lucyny zatrzymała się w pół kroku i zaskoczona obejrzała za siebie. Dziewczyna przebiegła przez jezdnię i podeszła do niej.

– Dzień dobry – przywitała się z uśmiechem.

Pani Honorata wyglądała na nieco zawstydzoną, jakby nagle przyłapano ją na czymś sekretnym lub niedozwolonym. Zmieszanie aż nadto było widoczne na jej twarzy.

– Dzień dobry.

Hania skinęła głową w stronę butików z kapeluszami.

– Byłam u mamy.

– Ach, no tak... Jak mama? Od wesela prawie się nie widziałyśmy.

– Dobrze. Po ślubie minęły jej wszystkie nerwy. A jak się czuje Lucynka?

Pani Honorata westchnęła.

– Pewnie wiesz, że dzisiaj wprowadza się do nas ponownie, na czas nieobecności Janka.

– Tak, wiem. Myślę, że to dobra decyzja. Nie powinna być sama w takim stanie, a nie wiadomo, jak długo potrwa to szkolenie w wojsku.

Matka Lucyny zgodnie przytaknęła. Wyraźnie nie była skora do rozmowy, bo zachowywała się, jakby chciała jak najszybciej pójść przed siebie. Hania, nie wiedząc, jak podtrzymać konwersację, niedbale wskazała ręką na witrynę galerii Pro Arte.

– Pani tutaj? Była pani w galerii?

– Tak... Tę galerię prowadzi mój dobry znajomy. Przyszłam go odwiedzić.

– Och, to wspaniale! Byłam tu kiedyś na jednym wernisażu i bardzo mi się podobało. Często pani tu przychodzi?

Pani Honorata uśmiechnęła się wymuszenie.

– Dość często. Lubię tę galerię. Prawdę mówiąc, zostałam dzisiaj zaproszona na spotkanie z właścicielem w sprawie wystawienia tu swoich obrazów.

– Naprawdę? To wspaniale! Ma pani ogromny talent! Ludzie powinni podziwiać pani prace.

Matka Lucyny niepewnie skinęła głową, ale nie dała po sobie poznać, że komplement sprawił jej przyjemność. Zawsze taka była –

skryta i opanowana – jakby okazywanie emocji miało ją boleć bądź też za dużo kosztować.

– To nic wielkiego, zaledwie parę obrazów. Właściciel galerii, pan Józef Szczepański, już od dawna nalega na wystawienie moich prac, ale nie miałam do tego głowy ze względu na ślub Lucynki, ale teraz, gdy Lucynka już wyszła za mąż...

Oczy Hani rozbłysły.

– Chętnie przyjdę obejrzeć pani wystawę. To będzie dla mnie zaszczyt!

Pani Honorata patrzyła na nią zdziwiona, jakby zupełnie nie podzielała entuzjazmu Hani. Wreszcie cicho westchnęła.

– Nie przyznałam się mężowi, że chcę wystawić swoje obrazy – rzekła nagle, spuszczaając wzrok. – Nie wiem, czy Franciszek będzie z tego zadowolony.

– Ależ pan Waszyński będzie dumny, że jego żona tworzy tak piękną sztukę!

Honorata pokręciła głową, po czym ponownie westchnęła. Jej zaciśnięte wargi lekko zadrżały.

– Jeszcze nie wiesz wiele o mężczyznach, Haniu. Jesteś zbyt młoda, żeby znać reguły, którymi się kierują. Oni ogrzewają się tylko w blasku własnej chwały. My, kobiety, możemy im kibicować, towarzyszyć, podziwiać ich, ale nie wolno nam wychodzić przed szereg. Ot i cała prawda.

– Nie rozumiem...

– Mój mąż nie chce widzieć we mnie malarki. On życzy sobie, żebym była doskonałą panią domu, która będzie dbała wyłącznie o jego wizerunek. Jest lekarzem i tylko to się dla niego liczy.

Hania przytaknęła niemo.

Czy to możliwe, że pani Honorata mogła mieć rację? Czy mężczyźni traktowali kobiety wyłącznie jak dekoracje albo pokojówki? Przypomniała sobie, że kiedy ojciec żył, on również denerwował się, że mama pracuje w butik, zamiast zająć się domem. „Czy ze mną i z Władkiem będzie podobnie?” – myślała, patrząc na matkę Lucyny bijącą się z własnymi emocjami, które na siłę próbowała ukryć. Hania po raz pierwszy dostrzegła inną stronę osobowości pani Honoraty – nie doskonałą matkę i żonę, ale

niespełnioną artystkę, za wszelką cenę pragnącą pokazać światu swoje prawdziwe oblicze. To ją zaintrygowało i zdumiało równocześnie, bo przecież Lucynę pani Waszyńska wychowała na równie doskonałą matkę i żonę. Hania nie przypominała sobie, żeby szwagierka kiedykolwiek mogła oddawać się swoim pasjom, bo dni spędzała na nauce gotowania, dobrych manier i prowadzenia domu. Janek miał żonę doskonale wyedukowaną w tej dziedzinie.

– Sądzę, że jest zupełnie inaczej – odparła, próbując podnieść na duchu panią Honoratę, która zamiast radości z tego, że ktoś ją docenia jako artystkę, stała przybita i zawstydzona. – Pan doktor będzie zadowolony z pani sukcesu.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko nieznacznie skinęła głową.

– Idziesz ze mną do domu? Lucynka zaraz wróci, wypijecie razem herbatę.

– Dziękuję, ale nie mogę. Umówiłam się z Władkiem na kolację i muszę się przygotować.

– Oczywiście. Więc zapraszamy innym razem. I dziękuję. Dobra z ciebie dziewczyna, Haniu.

* * *

Władek był zły. Wręcz wściekły. Przyspieszył kroku, nie zważając na to, że Hania w pantofelkach na obcasach nie mogła za nim nadążyć. Szedł szybko pogrążonymi w mroku ulicami Warszawy. W końcu zatrzymał się na środku chodnika i zagniewany odwrócił się do truchtającej za nim Hani.

– Czy ja cię w ogóle obchodzę?! Czy ten wieczór miał dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie? Myślisz, że dla kogo ja to wszystko robię?! Dla kogo płaszczę się przed tym bogaczem, żeby zapłacił mi duże pieniądze?! Dla ciebie!

– Władziu, zrozum... – Jej głos był błagalny, prawie płaczący. Nie sądziła, że informacja o jej wyjeździe do Monachium tak go zdenerwuje. Władek cały wieczór był czarujący, bawił gości szanownego pana Bluma elokwencją i dobrym humorem i zdawało się, że nic nie jest w stanie popsuć mu nastroju. Do czasu aż podczas wieczornego spaceru po ogrodzie Hania oznajmiła mu, że

nazajutrz wyjeżdża do Monachium. Władek najpierw zdumiony popatrzył na nią bez słowa, wreszcie uprzejmie, aczkolwiek stanowczo przeprosił gospodarzy i oznajmił, że pora już wracać do domu.

Jak tylko opuścili posiadłość państwa Blumów, przestał udawać, że wiadomość Hani nie zrobiła na nim wrażenia. Nie obchodziło go, czy zostawia ją samą w centrum miasta, późnym wieczorem, z dala od domu. Nawet na nią nie patrzył, kiedy wściekły prawie biegł przez siebie, byle dalej od niej.

Dziewczyna czuła się upokorzona. Może matka miała rację? Może nie powinna w taki sposób traktować Władka? Może miał prawo być zły? To w końcu był jego wieczór, pełen triumfu, a ona mu go zepsuła.

Podbiegła do niego i wbrew jego chęci objęła go ramionami w pasie, kryjąc twarz w kołnierzu jego płaszcza. Czuła, że zeszywniał, a nawet próbował ją odepchnąć, ale trzymała go kurczowo.

– Przepraszam... – wyszeptała ledwo słyszalnym głosem. – Nie chciałam cię rozgniewać.

– Nieprawda! Gdybyś tego nie chciała, nie powiedziałabyś, że wyjeżdżasz! – krzyknął.

Hania uniosła twarz i popatrzyła chłopakowi w oczy. Były zranione. W jego źrenicach rozświetlonych neonami miasta odbijało się całe cierpienie, które mu zadała, i nagle spłynęła na nią ogromna fala czułości do tego młodego mężczyzny. Delikatnie pogłaskała go dłonią po policzku, ale on pozostał niewzruszony.

– Jestem z ciebie dumna, kochany.

– Co za bzdura!

– To nie bzdura! Naprawdę tak myślę! Wiesz, że... jesteś mi drogi.

– Skoro tak, to wyjdź za mnie! Nie za pół roku, nie za rok, tylko natychmiast, jak tylko wrócisz z Monachium! – odparł stanowczo.

Odsunęła się od niego zaskoczona.

– Żebyś mógł zabronić mi wyjazdów?

– Nie. Żebym mógł pokazać ci, jak bardzo cię kocham!

Hania przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Władek stał przed nią jak zbity pies, niemo błagając, żeby przyjęła jego

oświadczyły. I cóż miała zrobić? Jak zareagować? Jeszcze do niedawna nie miała wątpliwości, że Władek jest jej mężczyzną, a ona jego kobietą. A jednak teraz coś ją powstrzymywało, coś w głębi serca mówiło jej, że to prawdziwe, oszałamiające uczucie bliskości z mężczyzną jeszcze jej nie dotknęło i czeka na nią gdzie indziej. Intuicja jej to mówiła, a emocje wygrywały nad rozsądkiem. Jej myśli na krótko powędrowały w stronę innego mężczyzny, który tak niespodziewanie poruszył w niej struny, których brzmienia wcześniej nie znała.

Spuściła głowę i instynktownie skuliła się w sobie, jakby wstydząc się tych ukrytych pragnień, o których Władek nie miał pojęcia.

Usłyszała, że Władek minął ją i ruszył przed siebie.

– Władziu, zgadzam się! – zawołała w panice, wbrew wątpliwościom, nie chcąc, żeby ją zostawił. Podbiegła do niego i zaborczo chwyciła go za rękaw płaszcza – Zgadza się. – Powtórzyła szeptem, szukając jego oczu. – Wyjdę za ciebie, jak tylko wrócę z Monachium. Pozwól mi tylko pojechać. Ten jeden raz. Ostatni.

Władek nie odpowiedział. Po prostu wziął ją w ramiona i pocałował. Hania czuła, że w tym pocałunku próbował zawrzeć wszystko, co miał jej do powiedzenia, choć wciąż był spięty, opanowany i... jakby obcy.

ROZDZIAŁ 5

Monachium

Hania prawie całą drogę z Berlina do Monachium przespała. Była tak znużona, że nawet strach przed kradzieżą podczas podróży nie był w stanie powstrzymać jej przed snem. Podczas przejazdu z Warszawy do Berlina sprawdzano jej dokumenty i wizę kilkakrotnie, ale po przesiadce już nikt nie zwracał na nią uwagi. Może dlatego, że tak doskonale mówiła po niemiecku.

Władek nie odprowadził jej na pociąg. Nawet nie wytłumaczył dlaczego, ale domyśliła się, że urażona męska duma nie pozwalała mu patrzeć jej w oczy. Niby cieszył się, że przyjęła jego oświadczenia, ale jego postawa zupełnie temu przeczyła. Odprowadził ją do domu i zostawił przed furką, nie próbując nawet wejść do domu ani nie żegnając się z nią z czułością. Życzył jej tylko szczęśliwej podróży i wyraził nadzieję, że szybko się zobaczą. A później poszedł przed siebie, nie zaszczyciwszy jej spojrzeniem, nie ucałowawszy na dobranoc.

Tego ranka, kiedy wyjeżdżała z Warszawy, lało jak z cebra, a ona, rozsiadając się w przedziale i patrząc na oddalające się za oknem miasto, czuła, że jej nastrój jest tak samo ponury jak jesienna pogoda. Nie wiedziała, czy bardziej martwi się tym, że zbyt pochopnie zgodziła się na wyjazd do Monachium, czy raczej tym, że jeszcze bardziej pochopnie zdecydowała się poślubić Władka, kiedy tylko powróci do domu. Ani matce, ani Lucynie nie wspomniała o tym słowem, nie chciała znosić zbędnych komentarzy i niepotrzebnych uniesień. „Zawsze mogę się wycofać” – pomyślała, ale szybko skarciła siebie za tak niemądre myśli. Skoro powiedziała A, to musi powiedzieć B. Być może oduczy ją to spontanicznego podejmowania

nieprzemyślanych decyzji, które w konsekwencji mogłyby zaważyć na całym jej przyszłym życiu.

Ale teraz była w Monachium. W samym sercu Bawarii, o której tyle opowiadała jej pani Irenka podczas ich wspólnych wakacji w Gdańsku.

Wyszła z pociągu i rozejrzała się niepewnie po ogromnym, zatłoczonym peronie. W pierwszej kolejności zamierzała znaleźć jakiś środek transportu, który, miała nadzieję, zawiezie ją do posiadłości hrabiny von Richter.

Idąc za tłumem podróżnych, udała się do poczekalni, taszcząc torbę podróżną i przepychając się między ludźmi. Ktoś pchnął ją nieopatrznie, ale zdołała utrzymać równowagę. Usłyszała tylko szybkie „przepraszam” po niemiecku.

Nagle stanęła zdumiona, bo nieopodal dostrzegła znajomą sylwetkę Johanna von Richtera. W pierwszej chwili pomyślała, że pewnie jej się przewidziało. Ale nie, to był on! Stał samotnie wśród ludzi podążających w różnych kierunkach i rozglądał się uważnie, najwyraźniej kogoś szukając. Hania poczuła nagłe, przyspieszone bicie serca. Nie spodziewała się, że to właśnie on po nią przyjedzie. W ogóle nie myślała, że tak szybko go zobaczy. Próbując się opanować, rozmyślała równocześnie, jak ma do niego podejść? Jak ukryć to drżenie, które na jego widok bezwstydnie ogarnęło całe jej ciało? Zagryzła dolną wargę i zbierając w sobie wszystkie pokłady odwagi, powoli i niepewnie ruszyła w jego stronę.

Johann dostrzegł ją dopiero po chwili. Widziała po jego oczach, jak bardzo się zdziwił. Przyglądał się jej, jakby nie wierzył, że to na nią patrzy. Odruchowo zdjął kapelusz z głowy i zaczął nim bezwolnie obracać w dłoniach. Nieokiełznane kosmyki jasnych włosów opadły mu na czoło.

– Hania Wolińska? – zapytał ze szczerym zdumieniem.

Na dźwięk jego niskiego aksamitnego głosu dziewczyna poczuła, że miękną jej kolana.

– Dzień dobry. – Przywitała go nieśmiało płynnym niemieckim. – Cieszę się, że pana widzę, że... zechciał pan po mnie przyjechać. Martwiłam się, jak sama zdołam dotrzeć do pani Irenki... – Plotła trzy po trzy, ale była tak zdenerwowana, że cała jej elokwencja ulotniła

się w jednej chwili jak dym. Na domiar wszystkiego frasowało ją, czy w zielonej sukience nie wygląda zbyt prowincjonalnie.

On też był zaskoczony, zmieszał się i poczerwieniał na twarzy.

– Nie miałem pojęcia, że to panią mam odebrać z dworca – odparł szczerze, patrząc jej w oczy. – Babcia uparła się, że mam pojechać po jakiegoś ważnego gościa. Byłem na nią zły, bo mam mnóstwo pracy, ale... – urwał i nagle uśmiechnął się do niej szeroko. – Ogromnie się cieszę, że panią widzę!

Pochylił się nad nią i delikatnie pocałował ją w dłoń. A Hania zdrząła i odsunęła się od niego zawstydzona.

– Więc jednak zawitała pani w Monachium!

Dziewczyna zakłopotana zmarszczyła brwi.

– Przyjechałam wyłącznie z powodu pana babci. Jak ona się czuje?

Johann wzruszył ramionami.

– A jak ma się czuć? Jak zwykle w doskonałej formie!

– W doskonałej formie? Przecież jest ciężko chora!

– Ciężko chora?

– No tak! Tak napisała w liście, w którym prosiła, żebym do niej natychmiast przyjechała! Twierdziła, że jest umierająca! Nie wahałam się ani chwili i szybko kupiłam bilet do Monachium. Martwiłam się, że mogę już jej nie zobaczyć!

Johann przez chwilę wpatrywał się w Hanię, jakby nie wierząc w to, co słyszy. Jednak widząc poważną minę dziewczyny, niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

– Nie wierzę! Teraz już wiem, dlaczego babcia tak bardzo chciała, żebym pojechał do Warszawy! – Stał przed Hanią i zaśmiewał się do rozpuku, a ona czuła, że z zażenowania robi się coraz bardziej purpurowa. Pani Irenka zwyczajnie ją oszukała! Zrobiła to z premedytacją, a ona nabrała się jak naiwna prowincjuszka.

– Nie wierzę! – wyszeptała bezsilnie. – Cóż za upokorzenie! Pani Irenka to... czarownica! Muszę natychmiast wracać do domu!

– Co też pani mówi? Musi pani odpocząć, a moim obowiązkiem jest bezpiecznie zawieźć panią do Richterhause.

– Mój Boże, co za wstyd! Jak mogła mi to zrobić? – biadoliła dziewczyna, zupełnie nie zważając na rozbawienie młodego

mężczyzny. Cofnęła się dwa kroki, jakby próbowała uciec, ale Johann szybko złapał ją za rękę.

– Spokojnie, proszę się nie denerwować. Zawiozę panią do domu i wyjaśnię sobie wszystko z babcią osobiście. Przecież nie może pani tu zostać.

Dziewczyna westchnęła i przytaknęła z rezygnacją. Jakże głupio musiała wyglądać w jego oczach, kiedy tak stała zdezorientowana pośrodku ogromnego dworca pełnego ludzi, w obcym mieście, w obcym kraju, przyznając się naiwnie, że została oszukana. Najchętniej ruszyłaby dumnie przed siebie, jak najdalej od tego przystojnego, rozbawionego człowieka, ale nie miała pojęcia, w którą stronę się udać.

Johann delikatnie pociągnął ją w stronę wyjścia z dworca.

– Auto zaparkowałem tuż obok. Chodźmy.

Wziął od niej walizkę i wyszli z poczekalni na zalaną słońcem, szeroką ulicę. O dziwo tu pogoda była zupełnie inna niż w Warszawie.

Przy chodniku stał kabriolet. Hania nigdy w życiu nie widziała tak luksusowego i pięknego auta. Czarno-bordowa karoseria auta lśniła w jesiennym słońcu jak lustro i dziewczyna obawiała się, czy powinna wsiąść do środka, żeby przypadkiem nieopatrznie nie pobrudzić pięknej skórzanej tapicerki. Stała niepewnie, ale Johann szarmancko otworzył jej drzwi i zaprosił do środka.

– Przyznam, że byłem zły na babcię, dlaczego o odebranie z dworca tajemniczego gościa nie poprosiła szofera, ale babcia się uparła! Nawet nakrzyczała na mnie! Nie wspomniała jednak ani słowem, że to pani jest tym gościem. Gdybym wiedział... – Uśmiechnął się do niej szeroko. – Jechałbym tu z największą przyjemnością!

– Przykro mi, że babcia tak niecznie pana oszukała, ale odrobinę pociesza mnie myśl, że nie tylko ja dałam się nabrać.

– Babcia i jej osobliwe pomysły! Jak już coś sobie obmyśli, nic nie jest w stanie jej powstrzymać! Z góry założyła, że musi pani przyjechać do Monachium i proszę! Szybko wcieliła plan w życie!

– No tak... – mruknęła Hania pod nosem, rozsiadając się w fotelu luksusowego auta. Johann odpalił silnik i ruszył.

Patrząc przez szybę kabrioletu, z uwagą przyglądała się ulicom, które mijali. To wszystko, co powoli ukazywało się jej oczom, przez pierwszych kilka chwil budziło jej żywe zainteresowanie, które jednak szybko ustąpiło miejsca prawdziwemu zdumieniu.

Monachium, tak różne od wesołej i kolorowej Warszawy, szczyliło się niezwykle szerokimi, nowoczesnymi ulicami, wzdłuż których dumnie rozciągały się wysokie fasady banków, teatrów, kin, sklepów, pięknych kamienic, monumentalnych kościołów i rozległych parków. Jednak na widok gigantycznych czerwonych sztandarów z emblematem swastyki, które zwisały majestatycznie, wyeksponowane na fasadach prawie wszystkich budowli, Hania poczuła się odrobinę nieswojo. Całe miasto, baśniowo spowite złotą aurą zachodzącego słońca, tonęło w krwawej purpurze sztandarów partii nazistowskiej. Kiedy przejeżdżali przez rozległy plac, na którym tłoczyli się przechodnie, Hania spostrzegła sporych rozmiarów pomnik przypominający włoskie loggia, jakie oglądała w podręczniku z historii sztuki. Przy pomniku stały potężne kamienne lwy pilnujące kilkunastu obelisków obleczonego w nazistowskie barwy. Na obeliskach płonęły monumentalne znicze. Między nimi pyszniły się trzy figury postaci historycznych, których Hania nie знаła, a nie miała śmiałości zapytać o nie Johanna. Kiedy przejeżdżali całkiem blisko budowli, odwróciła głowę, żeby lepiej przyjrzeć się wmurowanej tablicy pamiątkowej, na której szczycie widniał srebrny krążek z wizerunkiem orła trzymającego w szponach wieniec laurowy. Pod wieńcem widniał wyraźny napis: NSDAP.

– To Feldherrnhalle^[2] – rzekł Johann, wyczuwając jej szczerze zainteresowanie. Nie patrzył jednak w tamtą stronę, skupiony wyłącznie na prowadzeniu auta. – Pomnik upamiętniający pucz monachijski. Słyszała pani o nim?

– Chyba nie... Przyznam, że historia Rzeszy nie zajmuje mnie tak bardzo jak literatura. – Płonące znicze wydały jej się mistyczne i przerażające zarazem.

– To zrozumiałe! Kogo miałyby to obchodzić oprócz samego Hitlera – odparł z sarkazmem w głosie. – Wiem, że to wszystko może wyglądać dziwnie, ale miasto szykuje się na święto – dodał po chwili, kiedy wyjechali z placu.

Emblematy nazistowskie wyrastały przed nimi niczym grzyby po deszczu. Znajdowały się wszędzie – na domach, sklepach, bankach, teatrach, w parkach. Wokół urzędów było mnóstwo kwiatów i wieńców ułożonych w kształt swastyki. Zewsząd powiewały czerwone sztandary. Hania spoglądała na to wszystko coraz bardziej zdumiona. Do dzisiaj nie miała pojęcia, że można tak mocno i agresywnie demonstrować przynależność do opcji politycznej. W Warszawie na słupach informacyjnych czy ścianach wisiały afisze i plakaty propagandowe z barwami tej czy innej partii politycznej, ale to, co zobaczyła tutaj, w Monachium, przekraczało wszelkie jej wyobrażenia. Dopiero teraz przekonała się na własne oczy, że Trzecia Rzesza była jedną wielką partią nazistowską, a jej jedynym członkiem był cały naród niemiecki pod wodzą Führera Adolfa Hitlera.

– Czy pan też jest członkiem NSDAP?

Zaśmiała się, jakby go tym pytaniem rozbawiła.

– Pewnie panią zaskoczę, ale nie. Mój ojciec należy do partii, a brat jest członkiem SS. Za to moja siostra... To zupełnie inna strona medalu.

– To znaczy? – zainteresowała się Hania.

– Nina jest opozycjonistką... Jeśli można to tak nazwać. Nienawidzi partii i Hitlera i daje temu upust, uczestnicząc w demonstracjach antyrządowych. Ojciec jest wściekły, a brat zdenerwowany, bo musi jej bronić przed kolegami z SS. Tymczasem Nina zupełnie się tym nie przejmuje. Pół roku temu jej przyjaciel został aresztowany przez SS za działalność opozycyjną i teraz moja siostra z wdziękiem nosi po nim żałobę jako jego kochanka. Nawet zamieszkała w jego mieszkaniu, pragnąc bardziej rozwścieczyć ojca.

„Mój Boże! To szaleństwo! To czyste szaleństwo!” – myślała Hania. Ona nigdy nie interesowała się polityką i nigdy nie dałaby się w nią uwikłać. Jednak to, co tu widziała, zadziwiało ją do głębi. Matka miała rację – Hania była Polką, a wybrała się do gniazda nazistów, naiwnie zapewniając wszystkich, że nic jej nie grozi. Teraz nie była już tego taka pewna. Gdyby Janek dowiedział się o jej wyjeździe, pewnie rozszarpałby ją na strzępy. Albo może jako jedyny miałby

w sobie na tyle dużo sprytu i siły przekonywania, żeby ten ryzykowny wyjazd wybić jej z głowy.

– Co to za święto? – zapytała, udając ciekawość, choć w rzeczywistości kierowała nią zwykła uprzejmość podtrzymania rozmowy.

– Oktoberfest. Wielkie święto dla Bawarczyków. Wszyscy w te dni bawią się i świętują chmielny urodzaj. Czy pani wie, panno Haniu, że Bawaria słynie z najlepszego piwa w Europie, a może i na świecie? I właśnie to będziemy świętować!

– Och! Brzmi wspaniale! – udawała entuzjazm i zainteresowanie, zastanawiając się, jakim cudem dała się w to wszystko wmanipulować.

Ponownie skupiła całą swoją uwagę na nazistowskim mieście. Nic tu nie wyglądało jak otwarcie dożynek piwnych, a raczej jak szykowanie się do demonstracji politycznej. Miała wrażenie, że Oktoberfest był wyłącznie pretekstem do świętowania czegoś zupełnie innego. Czy w Monachium znalazłby się choć jeden mieszkaniec, który nie traktował tego przedstawienia jak normy? Co robiono z ludźmi, których ta jawna demonstracja władzy odstręczała? Te i inne pytania kotłowały się w głowie dziewczyny, kiedy wolno przejeżdżali ulicami miasta, w całej okazałości prezentującego swoje nazistowskie korzenie. Wiedziała, że gdzieś tu, w Monachium, znajduje się główna siedziba NSDAP i Führera Adolfa Hitlera, zwana Brunatnym Domem.

– Mam nadzieję, że zostanie pani u nas dostatecznie długo, żebym mógł pokazać pani miasto i zabrać na spacer po Ogrodzie Angielskim. – To mówiąc, Johann wskazał ręką na rozległy park rozciągający się wzdłuż rzeki Izary. – To magiczne miejsce, panno Haniu. Jedno z najpiękniejszych w Monachium.

– To miło z pana strony, zamierzam jednak jak najszybciej wrócić do domu. Nie wypada mi tu zostać, skoro pańska babcia czuje się zupełnie dobrze. Chcę powiedzieć pani Irence, co myślę o jej oszustwie, i natychmiast jechać do Warszawy.

Zauważyła, że Johann uśmiechnął się pod nosem.

Zaczynało już zmierzchać, kiedy znaleźli się poza Monachium, Hania nie miała więc sposobności na podziwianie urokliwego

krajobrazu Bawarii, tak różnego od tego, co przed chwilą widziała w bawarskiej stolicy. Dostrzegając tylko majaczącą na ciemniejszym horyzoncie dolinę upstrzoną lustrami jezior, które w biały dzień musiały wyglądać bajecznie. Zresztą jej nastrój daleki był od zadowolenia, więc nie interesował jej widok za oknem. W jej głowie nadal tkwiły obrazy agresywnych purpurowych sztandarów ze swastyką, zatopione w promieniach zachodzącego słońca.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Johann zatrzymał kabriolet przed ogromną, kutą z żelaza bramą z herbem rodowym. Był to wjazd do posiadłości rodziny von Richterów.

Jeśli Hania kiedykolwiek wyobrażała sobie, jak bardzo zamożna jest hrabina Irene von Richter, w zderzeniu z rzeczywistością jej wyobrażenie okazało się dość naiwne.

Dom rodziny von Richterów otoczony był rozległym i bardzo urokliwym parkiem, którego centralny punkt stanowił wybrukowany podjazd prowadzący do szerokich schodów zapraszających do ogromnej rezydencji.

Sam budynek, rzęście oświetlony dziesiątkami świateł, ukazał się Hani w pierwszej chwili jako oszałamiający pałac z bajki. Odruchowo skuliła się w fotelu pasażera, zastanawiając się, czy ma w sobie dość śmiałości, żeby przekroczyć próg tego wspaniałego budynku.

Rezydencja składała się z części głównej i dwóch bocznych skrzydeł – zachodniego i wschodniego. Front przypominał pałac w neobarokowym stylu, z bogatymi zdobieniami fasady i ogromnymi oknami zwieńczonymi łukami. „Z powodzeniem mogłoby tu mieszkać kilka rodzin” – pomyślała Hania, mając w pamięci obraz jej skromnego niewielkiego domku na Woli, w którym mieszkała z mamą i do niedawna z bratem.

Johann zatrzymał automobil przy frontowych schodach i najpierw sam z niego wysiadł, a następnie otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł wysiąść Hani, usłużnie podając jej dłoń.

– Witam w Richterhause, panno Haniu – rzekł z dumą w głosie.

Dziewczyna stanęła na kamiennym podejździe. Na moment zatrzymała wzrok na twarzy Johanna, w której odbijał się blask świateł z wnętrza rezydencji. Coś ścisnęło ją w żołądku, ale szybko stłumiła w sobie tę dziwną emocję. Z wymuszonym uśmiechem na

ustach weszła po schodach i stanęła przed masywnymi drzwiami ozdobionymi mosiężną kołatką w kształcie paszczy lwa. Starła się ukryć niepewność i zdenerwowanie, ale chyba z marnym skutkiem, bo przepych tego domu niemalże zwał ją z nóg. Z każdą minutą coraz bardziej żałowała, że zdecydowała się na tę podróż.

W holu rezydencji stał kamerdyner w średnim wieku, ubrany w elegancką liberię. Kłaniając się lekko, wziął od Johanna walizkę Hani.

– Szanowna pani Irene von Richter oczekuje na panienkę w swoich apartamentach. Pozwoli panienka, że ją zaprowadzę – rzekł uprzejmie.

– Proszę iść i wyjaśnić wszystko z babcią. Ja, niestety, muszę uciekać do swoich obowiązków – rzekł Johann, składając przed dziewczyną kurtuazyjny ukłon z kapeluszem w dłoni.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przywieźć z dworca.

Puścił do niej oko.

– Cała przyjemność po mojej stronie, księżniczko.

Hania uśmiechnęła się lekko, a jej serce zatrzepotało jak skrzydła motyla. Jeszcze przez chwilę oglądała się za nim, jak odchodził, aż wreszcie posłusznie pomaszerowała za kamerdynerem, wodząc ciekawskim wzrokiem po rozległym holu pełnym luster w złotych ramach zdobionych bogatą sztukaterią. Spoglądała na swoje odbicie, które dziwnie nie pasowało do tego miejsca. Instynktownie wygładziła dłonią włosy, które choć spięte na karku w elegancki koczek, po tylu godzinach podróży wysunęły się niesfornie spod spinek.

Pomiędzy lustrami stały kolumny z wazonami pełnymi świeżych kwiatów, a ich odurzający, słodki zapach unosił się w całym korytarzu. Obcasy jej pantofli stukały na marmurowej, lśniąco czystej posadzce.

Dziewczyna miała wrażenie, że śni, że nagle przeniosła się w inne czarodziejskie miejsce, niczym Alicja w Krainie Czarów. Jak ona zdoła opowiedzieć o tym wszystkim Władkowi? A może nie powinna nic mu mówić, żeby nie złościć go jeszcze bardziej?

Apartamenty starszej pani mieściły się w zachodniej części budynku i tam też kamerdyner zaprowadził Hanię.

Wchodząc na piętro, dziewczyna podziwiała pyszniące się na ścianach obrazy twórców malarstwa renesansowego i zastanawiała się, czy to oryginały, czy doskonale wykonane reprodukcje.

Irene von Richter czekała na nią w salonie, spoczywając w miękkim fotelu i popijając herbatę. U jej stóp leżał duży pies, którego rasy Hania nie знаła, ale która zawsze kojarzyła się jej z rasą zarezerwowaną wyłącznie dla arystokratów.

Na widok dziewczyny hrabina nie bez wysiłku podniosła się z fotela i otworzyła ramiona, pragnąc ją uściskać.

– Kochana moja! Nareszcie!

Hania z naburmuszoną miną podeszła do staruszki i uścisnęła ją mocno, całując w pomarszczony policzek.

– Bałam się, że nie przyjedziesz! – Irene głaskała ją pieszczotliwie po twarzy. – Tak się cieszę, że jesteś! – Radość starszej pani była ogromna, w jej oczach pojawiły się łzy wzruszenia, a dłonie drżały od emocji, kiedy dotykała dziewczynę.

Hania westchnęła i zmarszczyła brwi.

– Nie powinnam była przyjeżdżać, pani Irenko – rzuciła karcąco. – Oszukała mnie pani! Napisała pani w telegramie, że jest ciężko chora, a ja przejęta wsiadłam w pierwszy pociąg do Monachium! To było niegodziwe kłamstwo!

– A jak inaczej miałam skłonić cię do przyjazdu? Jesteś mi potrzebna, skarbie! Nawet nie wiesz, jak bardzo! Przepraszam, jeśli cię to uraziło, ale jest takie powiedzenie, że cel uświęca środki. Musisz przestać się dąsać i wybaczyć starej kobiecie. – Hrabina wskazała Hani stojący obok fotel i lekko pchnęła dziewczynę w jego stronę. – Usiądź i odpocznij. Poproszę pokojówkę, żeby przyniosła ci kolację. Co powiesz na pierś z kurczaka w sosie imbirowym?

Hania posłusznie usiadła w fotelu, przyglądając się pani Irene. Staruszka wyglądała dobrze, ale napięcie w jej twarzy mówiło dziewczynie, że jest czymś mocno zmartwiona. Policzki miała jakby zapadnięte, a oczy zamglone. Może jednak źle się czuła? Coś jej dolegało? W jej wieku już wszystko było możliwe.

– Mieszka pani w pięknym domu. Myślałam, że jest... mniejszy i nieco mniej okazały.

Kobieta prychnęła i niedbale machnęła ręką, jak to miała w zwyczaju.

– Ech, kiedyś też uważałam, że jest piękny. Teraz mi doskwiera. Chętnie przeniosłabym się w jakieś skromniejsze miejsce, ale wnuk nie pozwala mi się wynieść.

– Wnuk?

– Johann. Poznałaś go przecież. Przywiózł cię, prawda?

Na wzmiankę o Johannie Hania się zarumieniła. Udając obojętność, zaczęła się rozglądać po obszernym, pięknym salonie.

– Tę rezydencję wybudował ojciec mojego świętej pamięci męża, wzorując się na pałacach ówczesnego króla Ludwika Wittelsbacha, z którym zresztą był w serdecznych stosunkach.

– Jest... oszałamiająca!

– I ogromnie wymagająca. Moja synowa potrzebuje kogoś, kto pomoże jej w zarządzaniu tym domem. Ja już nie mam na to siły.

– Przecież ma pani wnuczkę.

– Owszem. Ale Nina tu nie mieszka. Wyprowadziła się pół roku temu i raczej tu nie wróci. Woli żyć swoim życiem... I wcale mnie to nie dziwi. To mądra dziewczyna. Wkrótce ją poznasz.

Hrabina ponownie rozsiadła się w fotelu, a pies podniósł się i położył łeb na jej wątlých kolanach, oczekując pieszczot.

– Powinnaś dobrze poznać ten dom, kochanie.

– Po co, pani Irenko?

– Żeby czuć się tu bezpiecznie, to oczywiście!

Hania pokręciła głową.

– To nie będzie konieczne, bo nie zamierzam tu zostać zbyt długo. Skoro już mnie tu pani podstępem ściągnęła, to spędzę z panią parę dni i wracam do Warszawy. Chyba pani pamięta, że zaczynam ostatni rok studiów?

– Pamiętam, kochanie. Nie martw się, zdążysz na te swoje studia. Zostań ze mną choć trochę, żebym mogła się tobą nacieszyć. Starość to straszna rzecz, dzieciно. Nie jestem już nikomu potrzebna, nikt nie interesuje się mną na poważnie. Oprócz ciebie. Tylko ty jesteś moją powiernicą, więc wybac mi mój egoizm.

Pani Irene pogłaskała psa po lśniącej sierści.

– Miałaś dobrą podróż? Nikt cię nie nagabywał i nie wystraszył jak wtedy, w Gdańsku?

– Wszystko w porządku, pani Irenko. Tylko to miasto...

Pani Irene kiwnęła głową ze zrozumieniem.

– Przeróżające, prawda? Dlatego tak rzadko tam bywam. Kiedyś Monachium było piękne, a teraz nawet do teatru czy opery nie można pójść, żeby nie spotkać tych oszołomów składających hołd Hitlerowi. Że też moje stare oczy muszą na to patrzeć! Mój świętej pamięci mąż pewnie przewraca się w grobie! To był patriota, Haniu, wielki patriota kochający Niemcy. Wiem, że nie mógłby patrzeć, jak jego ukochany naród wykonuje ten groteskowy taniec pod dyktando obłąkanego szaleńca.

Hania nic nie odpowiedziała. Powoli zaczęło ogarniać ją znużenie spowodowane długą podróżą i nadmiarem emocji. Nim przyniesiono kolację, Hania była już tak zmęczona, że marzyła tylko o położeniu się do łóżka. Mimo to pani Irene nakazała jej zostać na kolacji i dopiero kiedy dziewczyna najadła się do syta, odprowadziła ją do sypialni.

– Wyśpij się, kochanie. Musisz porządnie wypocząć, bo jutro czeka cię dzień pełen wrażeń. Moja synowa jak co roku wyprawia w rezydencji bal z okazji rozpoczęcia Oktoberfestu. Chcę, żebyś była olśniewająca!

– Nie wiem, co pani sobie wymyśliła, ale nie zamierzam iść na żaden bal!

– Ależ pójdziesz, moje dziecko! Jesteś młoda i piękna! Kto, jeśli nie ty, powinien tam być i czarować wszystkich swoją osobą? Ja? Stara baba?

Hania nie miała siły tego komentować ani tym bardziej protestować – była zbyt zmęczona. Postanowiła, że porozmawia o tym ponownie z panią Irenką nazajutrz z samego rana i wyjaśni jej, że nie zamierza się bawić na żadnym balu.

Pokój, który został jej przydzielony, okazał się równie imponujący jak reszta rezydencji. Miała nawet ogromne łóżko z baldachimem, a w przyległej do pokoju łazience w mosiężnej wannie czekała na nią gorąca kąpiel. W całym pomieszczeniu unosił się kojący zapach olejków do kąpielii, które rozkosznie pobudziły zmysły dziewczyny.

Mimo zmęczenia położyła się w wannie i spędziła w niej prawie godzinę, wpatrując się w misternie ułożoną kafelkową mozaikę w odcieniach złota.

Jak to możliwe, że jeszcze wczoraj o tej porze próbowała naprawić swoje zepsute relacje z narzeczoną, zgadzając się na szybki, pochopny ślub, a dziś leżała w pachnącej kąpieli niczym księżniczka z bajki?

Nadal była zła na panią Irene i trochę przerażało ją to nazistowskie Monachium, ale w tej chwili postanowiła o tym zapomnieć i rozkoszować się otaczającym ją luksusem. Bo kiedy znów będzie miała taką okazję? Lucyna zapewne powiedziałaaby jej, że powinna korzystać z chwili, póki jej się trafią, więc czemu nie?

Problem zaczął się dopiero, kiedy próbowała zasnąć. W imponującym łożu z baldachimem sen uparcie nie przychodził, a kiedy usiłowała przywołać sen, widziała pod powiekami wyłącznie czerwone sztandary ze swastyką. Burza emocji w jej głowie rozszalała się na dobre i Hania nie umiała jej powstrzymać. Kiedy w końcu udało jej się wymazać ze świadomości krzykliwe nazistowskie barwy, w niesfornych myślach pojawił się Johann von Richter, wywołując nie do końca zrozumiałą tęsknotę za czymś, czego z czystej przyzwoitości nie powinna nigdy pragnąć. Skuliła się w pachnącej pościeli i w końcu zasnęła.

[2] Portyk Marszałków – monumentalny portyk w Monachium wybudowany przez króla Ludwika I Wittelsbacha na cześć jego armii. W 1923 roku portyk był miejscem, w którym zakończono pucz monachijski. W czasach nazistowskich upamiętniał śmierć 16 członków partii nazistowskiej.

ROZDZIAŁ 6

Hania stała na wprost imponującego lustra w mosiężnej ramie i przyglądała się swojemu odbiciu. Kątem oka zerknęła na siedzącą na krześle w swobodnej pozie pannę Ninę von Richter. Hrabianka była tylko rok od niej starsza, ale miała w sobie coś, co denerwowało i zawstydzało Hanię. Czuła się przy niej nieswojo, jakby Nina prześwieślała ją wzrokiem na wylot lub znała jakieś tajemne prawdy, o których istnieniu Hania nie miała pojęcia. Była wyniosła, pewna siebie, a przy tym zadziwiająco urzekająca. Jej tajemnicza energia i dziwna zuchwałość działały na Hanię pesząco i równocześnie intrygująco. Nigdy wcześniej panna Wolińska nie spotkała dziewczyny, która poruszałaby się z taką swobodą i gracją, a jednocześnie miała w sobie tyle powagi co panna von Richter.

– Jesteś doprawdy osobliwa, Haniu – mówiła przeciągle, przyglądając jej się z ironiczną miną. – Żadnego skażenia luksusem, jak *tabula rasa* w tym zepsutym świecie bogaczy. To może być niezwykle pociągające. No i jesteś śliczna... Tak czułam, że ta suknia będzie do ciebie pasować.

Hania nie chciała wiedzieć, ile kosztowała kreacja, którą miała na sobie, ale domyśliła się, że musiała być bardzo droga. W tym domu wszystko było drogie.

Nie była zadowolona, kiedy pani Irene przyniosła jej suknię i z entuzjazmem oznajmiła, że kupiła ją dla niej specjalnie na bal. Dla Hani było to dość krępujące i nie chciała przyjąć prezentu, choć nie miała własnej sukni balowej. Zganiła się za to, że nie spakowała do walizki tej, w której była na weselu u Janka i Lucyny. Tamta prezentowała się dużo skromniej i bardziej do niej pasowała, a ta, którą miała na sobie, była zbyt luksusowa – uszyta z jedwabiu w kolorze bladego różu, od ramion aż do talii ciasno opinała jej

szczupłe ciało niczym druga skóra, prowokacyjnie odsłaniając dekolt. Prząd sukni był ozdobiony pasem drobnych błyszczących kryształów tworzących misterny wzór na kształt wijącego się węża, a dół kreacji już od talii rozchodził się w rozkloszowaną falbanę. Na szczęście materiał był na tyle lekki, że mogła się w nim swobodnie poruszać.

– Wyglądam zbyt... wyzywająco.

– Bzdura! Wyglądasz kobieco. A ta fryzura dodaje ci szyku. Cieszę się, że przywiozłam ze sobą fryzjera, bo sama uczesałabyś się jak prowincjuszka.

Hania wzruszyła ramionami.

– I co w tym złego? – zapytała, patrząc na błyszczące fale włosów, kasztanową kaskadą opadające na jej plecy.

– Nic, ale byłabyś tak nudna, że nikt nie zwróciłby na ciebie uwagi. Nie zapominaj, że będziesz na największym balu w całej Bawarii. Kobiety prześcigają się, żeby w tym dniu wyglądać jak najpiękniej.

– Mnie to nie dotyczy. Jestem tu tylko z powodu twojej babci, która uparła się, żebym przyszła na bal...

– Jaka ty jesteś głupiutka! Naprawdę nic cię to nie obchodzi? Nie jesteś ciekawa, jak to jest pić szampana i tańczyć na najbardziej wystawnej imprezie, korzystać z luksusów, jakich nigdy wcześniej nie doświadczyłaś? Każda dziewczyna na twoim miejscu cieszyłaby się z takiej szansy. Kto wie, może nawet spotkasz swojego księcia z bajki? Spójrz na siebie! Jesteś młoda, piękna... Wykorzystaj to! Rozkochaj w sobie, kogo tylko zechcesz!

– Ty tak robisz?

Nina zaśmiała się z pobłażliwością.

Hania zmarszczyła brwi. Słowa Niny docierały do niej jakby z innego wymiaru. Kim teraz była? Panną Wolińską, studentką z Warszawy, która uwielbiała lody, plotkowała ze swoją najlepszą przyjaciółką i tańczyła fokstrota na warszawskich potańcówkach w ramionach swojego narzeczonego? Czy może nagle stała się kimś innym? Bezwolną marionetką w rękach bogatej kobiety, która z niezrozumiałych powodów postanowiła uczynić z niej damę? Bez wątplenia ta postać patrząca na nią z lustra była młodą kobietą z krwi i kości – zdolną olśniewać, budzić podziw, a może nawet

czyjeś pożądanie. Nigdy wcześniej Hania nie widziała siebie w takiej roli, ale też nikt nigdy nie dał jej takich możliwości, jakie miała teraz. Może Nina ma rację? Może powinna to wykorzystać?

– Władek... Mój narzeczony... Był wściekły, kiedy dowiedział się o moim wyjeździe. Nie chciał, żebym tu przyjechała. – Hania nie wiedziała, czemu o tym wspomina, ale poczuła, że Ninie może o tym powiedzieć.

Hrabianka wbrew jej oczekiwaniom zrobiła lekceważącą minę.

– Masz narzeczonego? Musi być bardzo ślepy albo bardzo głupi, skoro pozwolił ci przyjechać tu samej.

– Przecież mówię, że był bardzo zły! Władek nie jest głupi!

– A jednak wymknęłaś mu się jak ptaszyna z klatki. No, no... Niezły z ciebie numerek! Kochasz go?

Hania zarumieniała się gwałtownie aż po czubek głowy, ale nie odpowiedziała. Poczowała się głupio, że Nina tak prostolinijnie i bezpardonowo potraktowała jej związek z Władkiem, o którym przecież nic nie wiedziała.

– Tylko mi nie mów, że cię to krępuje! Nie pytam, czy z nim spałaś, tylko czy go kochasz! – Panna von Richter zaśmiała się, zachwycona swoją rozbijającą bezpośredniością. – Czy ty w ogóle masz jakiegokolwiek pojęcie na temat mężczyzn? Gdzie ty się uchowałaś? Na odległość widać, że nigdy nie miałaś mężczyzny. Co wy z tym Władkiem robicie? Trzymacie się za ręce?

– Przestań! To, co mówisz, jest niestosowne!

Nina roześmiała się jeszcze głośniejsze. Wstała z fotela i leniwie podeszła do Hani, która stała sztywno, jakby połknęła kij. Tylko rumieńce na jej twarzy zdradzały emocje, jakie towarzyszyły jej podczas tej niecodziennej wymiany zdań.

Nina stanęła tuż za Hanią i objęła ją ramieniem w talii, wywołując u niej przyspieszony oddech. Powoli, leniwie i nieco zbyt intymnie przesunęła otwartą dłoń wzdłuż jej płaskiego brzucha aż do niewielkich, ale kształtnych piersi, pieszcząc zmysłowo delikatny jedwab sukni.

Oszołomiona Hania straciła oddech i zadrżała.

– Spójrz na siebie – szepnęła jej Nina prosto do ucha. – Jesteś stworzona do miłości. Jeśli tylko zapragniesz, każdy mężczyzna

może oszaleć na twoim punkcie. Jeśli któregoś zechcesz, wystarczy, że po niego sięgniesz. My, kobiety, władamy potężną mocą. Pomyśl o tym. – Hrabianka uśmiechnęła się przeciągle. W końcu odsunęła się od Hani gwałtownie i jak gdyby nigdy nic wyszła z pokoju, zostawiając dziewczynę drżącą, z głową pełną emocji.

* * *

Johann wyszedł ze swojego apartamentu dopiero, kiedy kamerdyner oznajmił mu, że przybyła panna Susanne Schneidhuber wraz z rodziną. Ubrany w najelegantszy frak od najdroższego krawca z Monachium, skropiony perfumami i nienagannie uczesany udał się do holu głównego, gdzie zamierzał wraz z ojcem i matką witać przybywających gości.

Z każdą minutą narastała podniosła atmosfera, która najbardziej udzielała się służbie w Richterhause uwijającej się jak w ukropie. Pokojówki nosiły na salę balową ostatnie chusteczki, kelnerzy doglądali, czy srebrna i porcelanowa zastawa są kompletne i gotowe, a kamerdyner dyrygował nimi niczym generał na wojnie, wydając polecenia to tu, to tam.

– Cóż za szyk i elegancja – mruknęła Johannowi do ucha Susanne, kiedy przywitał się z nią i jej rodzicami. Piękniejsza niż kiedykolwiek, w sukni z bordowego aksamitu i lśniąca od brylantowej biżuterii, promieniała szczęściem. Jej oczy błyszczały, a pomalowane szminką usta układały się w zniewalający uśmiech. Johann czuł, że dzisiejszy wieczór był dla jego narzeczonej wyjątkowo ważny i że wybaczyła mu nieprzyjemny incydent podczas kolacji u babci. Pocałował wybrankę w dłoń, a następnie objął ją czule ramieniem i odwrócił się w stronę marmurowych schodów prowadzących na piętro, po których wolno stąpała babcia Irene w towarzystwie panny Wolińskiej.

Johann nie widział Hani od poprzedniego wieczora, kiedy to przywiózł ją do Richterhause, i teraz oszołomiony jej nagłym widokiem poczuł, że serce zabiło mu w piersi w zawrotnym tempie.

Dziewczyna schodziła po schodach ostrożnie, z gracją, trzymając pod rękę babcię Irene. Nie patrzyła w jego stronę i dziękował za to

Bogu, bo nie umiałby ukryć zmieszania i podziwu, które zawładnęły nim równocześnie. W ułamku sekundy zapomniał o gościach, których witał, zapomniał o Susanne stojącej u jego boku, zapomniał o wszystkim, co się wokół niego działo. Jedynie gapił się na piękną dziewczynę stającą lekko po schodach w pantofelkach na obcasach.

Hania nieco zagubionym wzrokiem rozglądała się wokół, jej oczy lśniły nieziemsko w blasku setek świateł. Wyglądała zjawiskowo, tak zjawiskowo, że Johann prawie tracił oddech. Jej włosy... Jej suknia... Sposób, w jaki się poruszała... Nigdy nie spotkał kobiety takiej jak ona – wzbudzającej w nim nagłą i przemożną chęć posiadania, której nie potrafił opanować. To pragnienie niespodziewanie zapłonęło w nim z całą mocą.

Poczuł, że Susanne gwałtownie szarpnęła go za rękaw.

– Johann!

Nieprzytomnie popatrzył na narzeczoną, jakby nie rozumiejąc, dlaczego przeszkadza mu w tak doniosłej chwili, a następnie z konsternacją spojrzął na mężczyznę stojącego przed nimi w galowym mundurze oficera SS. Bez trudu rozpoznał w nim Reichsführera Heinricha Himmlera, głównego szefa policji i SS. U boku Reichsführera stała jego ładna i szalenie skromna żona Margarete Himmler, a nieco dalej w oficjalnej pozycji asystował im młodszy brat Johanna – Niklas von Richter, również wystrojony w galowy mundur SS.

– Niezwykle nam miło szanownych państwa gości! To wielki zaszczyt! – Manuela von Richter, matka Johanna, rozptywała się w zachwytach nad wysokim rangą gościem i jego małżonką, a Hans von Richter na powitanie Reichsführera wyciągnął ramię w tradycyjnym pozdrowieniu „Heil Hitler”.

Himmler jednak uparcie patrzył bystrym wzrokiem znad okrągłych okularów na Johanna i jego piękną narzeczoną, najwyraźniej oczekując należnych honorów.

Johann, próbując spełnić obowiązek pana domu, z szacunkiem skinął głową na znak powitania, ale Heinrich Himmler zareagował na to lekkim zmarszczeniem brwi i bez słowa skierował uwagę na

Susanne, którą w szarmanckim geście pocałował w dłoń. Johann uczynił to samo, witając panią Margarete Himmler.

– To przyjemność gościć na tak wspaniałym balu – odparł Himmler, kierując słowa w stronę gospodarzy, a zwłaszcza zachwyconej i wystrojonej w złoto i jedwabie Manueli.

Zaraz za Reichsführerem i jego małżonką pojawiła się śmietanka towarzyska najwyższych rangą dowódców NSDAP z żonami – główny prawnik partii i minister Hans Frank, minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop, kierownik kancelarii NSDAP Martin Borman, SS-Obersturmbannführer Adolf Eichmann, a nawet osobisty adiutant Führera, pułkownik Nicolaus von Below. Brakowało tylko świętej trójcy – jak nazywał ich Johann – Josepha Goebbelsa, Hermana Göringa i samego Adolfa Hitlera, który osobiście wysłał list do Manueli von Richter z przeprosinami, że nie może pojawić się na balu z powodu obowiązków wagi państwowej.

Goście powoli, przy kojących dźwiękach muzyki smyczkowej, kierowali się w stronę sali balowej, a Johann, obejmując Susanne, stał pośrodku holu i szukał wzrokiem panny Wolińskiej. Jej już jednak nie było.

Kątem oka dostrzegł za to Ninę, która stała samotnie w otwartych drzwiach błyszczącej sali balowej, z lufką w ręku. Nie spodziewał się, że jego siostra pojawi się na balu, ale ucieszył się z tego, bo dawno jej nie widział. Ciemne, niemalże czarne włosy, upięte miała w misterny kok przetykany sznurem rubinów, a wystroiła się w czarną, lśniącą suknię, podkreślającą bladość jej skóry. Przez zbytnią szczupłość sylwetki sprawiała wrażenie majestatycznej i poważnej niczym posąg z marmuru. Nie uśmiechała się – jej oblicze nie wyrażało żadnych emocji, ale pomalowane szminką krwistoczerwone usta zaciśnięte były w wąską kreskę, co mogło zdradzać tłumioną irytację. Raz po raz przykładała do nich długą lufkę z papierosem. Na widok nazistowskich dowódców w formie manifestu odwróciła się do nich plecami. Kąciki ust drgnęły jej tylko wtedy, kiedy ich matka przechodziła tuż obok w towarzystwie żon nazistowskich dygnitarzy, na córkę nawet nie spojrzawszy.

– Dobrze cię widzieć, siostrzyczko – rzekł Johann, podchodząc do niej razem z Susanne.

Nina odwróciła się i popatrzyła na nich oboje z wyrazem nonszalancji na twarzy.

– Johann! Susanne! Cóż za wyjątkowa para! Podobno świętujemy dzisiaj wasze zaręczyny? – mówiąc to, podniosła do ust lufkę i wypuściła stróżkę dymu.

Susanne uśmiechnęła się czarująco i w teatralnym geście wyciągnęła przed siebie dłoń z pierścionkiem zaręczynowym.

– Nareszcie będziemy szwagierkami.

Nina uśmiechnęła się zdawkowo i ignorując pierścionek na palcu Susanne, zwróciła się do brata.

– Rozmawiałeś już z panną Wolińską, braciszku? Chyba wiesz, że przyjechała wczoraj do Monachium na zaproszenie babci?

Johann poczerwieniał na twarzy.

– Skąd wiesz, że znam pannę Wolińską? – zapytał ochryłym głosem. Próbował ukryć emocje, ale był boleśnie przekonany, że wszystkie ma wypisane na twarzy.

Nina zaśmiała się, ponownie zaciągając się papierosem, który dzierżyła w dłoni niczym trofeum.

– Babcia opowiedziała mi o waszym wyjątkowym spotkaniu w Gdańsku. Podobno najpierw uratowałeś pannę z tarapatów, a później spędziłeś z nią kilka godzin, korzystając z uroków miasta... Prawdziwy z ciebie rycerz w lśniącej zbroi, braciszku. Czy księżniczka jest tego warta?

Przysłuchująca się Susanne rozmowie zmarszczyła czoło i popatrzyła uważnie na narzeczonego.

– O czym mówi twoja siostra, kochanie? Kim jest panna Wolińska?

– Panna Wolińska była opiekunką babci podczas jej pobytu w Gdańsku. Spędziły razem całe lato.

Susanne prychnęła pogardliwie.

– Twoja babcia zaprosiła na bal służącą? Cóż za tupet!

– Panna Wolińska nie jest służącą, tylko bliską przyjaciółką – sprostowała Nina lekkim tonem. – Babcia ją uwielbia, prawda, braciszku? Podobno tobie również wpadła w oko! Ale nic dziwnego, z taką urodą... – Hrabianka urwała i mrugnęła zalotnie w stronę przyszłej bratowej, z premedytacją wywołując na jej twarzy wyraz buntu i niezadowolenia. Nikt nie wiedział, co poróżniło te dwie

niegdyś przyjaźniące się kobiety, ale teraz widać było panującą między nimi wrogość. Johann niewiele się tym przejmował, bo wiedział, że Nina nie będzie wtrącać się w jego życie i przyszłe małżeństwo.

Orkiestra zaintonowała walca na początek balu.

Manuela i Hans von Richterowie wraz z gośćmi stanęli na parkiecie i rozpoczęli pierwszy taniec. Johann również, chcąc spełnić swój obowiązek, poprowadził nieco nadąsaną Susanne w kierunku parkietu.

Pod ścianami stali rzędami kelnerzy czekający na znak, żeby roznosić wśród gości tace z jedzeniem i trunkiem. Zaczęto od francuskiego szampana, ale nie brakowało również stołecznego piwa z browaru Richterkönig należącego do rodziny von Richterów.

Johann czuł, że Susanne tańczyła z nim walca nienaturalnie spięta. Nagle stała się dziwnie milcząca, a wręcz obrażona i demonstracyjnie unikała jego wzroku, jakby szukając wśród tańczących kogoś innego. Obiecał sobie, że po balu wyjaśni jej całą sytuację znajomości z panną Wolińską, bo teraz nie chciał grać na jej emocjach. Objął ją mocniej i poprowadził w tańcu.

Susanne ożywiła się dopiero na widok przyjaciółki Charlotte i jej męża Alfreda, którzy nieco spóźnieni, ale w dobrych nastrojach pojawili się na balu. Bez wahania zignorowała Johanna i wdała się z nimi w ożywioną rozmowę. Podobno Charlotte zakochała się w seansach spirytystycznych, w których z upodobaniem brała udział i gorąco namawiała do tego Susanne.

Przez kolejną godzinę Johann lawirował między wspaniałymi gośćmi, tocząc kurtuazyjne rozmowy, wznosząc niezliczone toasty i udając, że wszyscy ci ważni ludzie cokolwiek go obchodzą. W rzeczywistości czuł pogardę do każdego dygnitarza politycznego, z którym fałszywie wychwalał pod niebiosa odradzający się w Niemczech narodowy socjalizm. Raziły go wszechobecne na balu wojskowe mundury i emblematy hitlerowskiej swastyki. Jeszcze parę lat wstecz bale otwarcia Oktoberfest w Richterhause wyglądały zupełnie inaczej – wiązały się wyłącznie z bawarską kulturą i tradycyjnym folklorem. A teraz to pełne przepychu przyjęcie służyło jedynie do celebrowania zwycięskiej partii politycznej.

– Ale niech pan przyzna, szanowny panie, że gdyby nie ta żydowska plaga, która nas trawi od wieków, Niemcy już dawno byłyby wielkim krajem! Jesteśmy narodem panów! Żydostwo i bolszewizm! Te dwa robactwa trzeba zetrzeć z powierzchni ziemi! – Te słowa wypowiedane głośno i buńczucznie przez ministra Hansa Franka w stronę jednego z bawarskich magnatów przemysłowych sączyły się do uszu Johanna jak trucizna. Wzdrygał się z obrzydzeniem, kiedy patrzył, jak jego matka i ojciec dwoili się i troili, żeby zadowolić każdego z gości, wykonując nazistowskie gesty. Natomiast Susanne, w posągowej pozie szczęśliwej narzeczonej, zabawiała wszystkich wokół wyszukanym humorem i z teatralnym uśmiechem przyjmowała gratulacje z okazji ich zaręczyn. Tylko on – choć cierpliwie asystował jej w tym przedstawieniu – instynktownie szukał wzrokiem innej panny, która mąciła jego rozedrgane myśli. Nie widział jej nigdzie, jakby nagle zapadła się pod ziemię. Miał ochotę opuścić towarzystwo Susanne i jej przyjaciół i poszukać panny Wolińskiej, ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Zastanawiał się, gdzie babcia Irene ją schowała, że tak trudno było mu ją dostrzec.

Zobaczył ją w końcu wirującą w tańcu na parkiecie, w ramionach jego najbliższego przyjaciela Gustava Kauffmanna. Panna Wolińska, zarumieniona i uśmiechnięta, patrzyła Gustawowi prosto w oczy, a ten dumny i szczerze zadowolony obejmował ją niczym cenną zdobycz.

Johann czuł, że coś boleśnie ściska go w gardle. Czy to normalne, że mając u boku piękną narzeczoną, nie mógł oderwać oczu od innej dziewczyny? Co miała w sobie ta słodka Polka, że tak go zaczarowała? Dlaczego tak mu się podobała? Dlaczego znowu czuł, że mógłby się w niej zakochać? Tylko siłą woli powstrzymywał się, żeby nie przejść odważnie przez całą salę balową i nie wyrwać jej z objęć przyjaciela. Powstrzymał się jednak. Był na to zbyt dobrze wychowany. Zbyt honorowy.

* * *

Duszne powietrze przesycone ciężkim zapachem perfum i kwiatów zaczęło Hani doskwierać. Czuła się dziwnie oszołomiona w tym tłumie ważnych, bogatych Niemców przyglądających się jej z uwagą i uśmiechających zdawkowo znad kryształowych kieliszków z drogimi trunkami. Co chwilę ktoś do niej podchodził, przedstawiał się, pytał, kim jest i skąd przyjechała. A Hania z przyklejonym na ustach uśmiechem powtarzała, że jest przyjaciółką pani Irene von Richter. Na wzmiankę, że jest Polką, kilkoro gości jak na zawołanie rozplątało się w zachwytach nad bohaterstwem Józefa Piłsudskiego w walce z bolszewikami, a ona, udając, że podziela ich entuzjazm, przytakiwała w milczeniu i szybko urywała rozmowę – nie chciała zagłębiać się w tematy polityczne. Takie rozmowy wyjątkowo ją nużyły. Zastanawiała się, czy Niemcy potrafią rozmawiać o czymkolwiek poza polityką.

Bal rozpoczęła w sali gier, z upodobaniem grając w brydża w towarzystwie pani Irenki i jej wnuczki. Towarzyszyło im kilka pań, najwidoczniej niezbyt chętnych do walca, podczas gdy ich mężowie okupowali stoliki z trunkami i cygarami. Dopiero nieco później, znudzona kartami, postanowiła zatańczyć kilka walców z Gustavem Kauffmanem, bawarskim posiadaczem ziemskim, który podobno był bliskim przyjacielem rodziny von Richterów.

Wypicie kilku lampek szampana wywołało u niej zawroty głowy, ale nigdy wcześniej nie miała możliwości zakosztować tego jakże wyrafinowanego trunku. Piła więc z początku bez umiaru, delektując się smakiem, i powstrzymała się dopiero, gdy poczuła, że alkohol zbyt mocno uderza jej do głowy, a policzki stają się ciepłe od nadmiaru procentów.

Pewnie przez to, że była na lekkim rauszu, Gustav Kauffman na zbyt dużo sobie pozwalał, mocno obejmując ją w tańcu i uporczywie patrząc jej w oczy. Bezskutecznie szukał w nich zachęty do dalszych flirtów.

– Pozwoli pani, że będąc w Warszawie, zaproszę ją kiedyś na kolację?

– A bywa pan w Warszawie? – zapytała od niechcienia. Taniec z Gustavem zaczął ją męczyć i niecierpliwie czekała na koniec utworu, żeby móc opuścić parkiet. Odchyliła głowę, a wtedy

niespodziewanie jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Johanna, który stał nieopodal w towarzystwie swojej pięknej narzeczonej. Obserwował ją, wręcz pożerał wzrokiem, a w jego przenikliwym spojrzeniu nie było ani krzty kurtuazji czy dobrego wychowania. Zaląła ją niespotykana dotąd fala gorąca. Miała wrażenie, że dotknął ją tym spojrzeniem. Natychmiast odwróciła wzrok i mocniej zacisnęła dłonie na partnerze, bojąc się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa.

W końcu muzyka ucichła, a ona oderwała się od Gustava. Skinęła mu niedbale głową na pożegnanie i pospiesznie zeszła z parkietu. Szła prosto przed siebie, nie zatrzymując się ani na chwilę. Wzięła od kelnera szklankę lemoniady i wyszła z nią na otwarty taras – pragnęła zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na zewnątrz nie było wielu gości. Kilka osób spacerowało po ogrodzie, który tonął w blasku kolorowych lampionów.

– Dobrze się pani bawi? – To pytanie wyrwało ją z zamyślenia. Odwróciła się i popatrzyła wprost na stojącego w drzwiach tarasu Johanna. Był sam, bez narzeczonej, która cały wieczór nie odstępowała go na krok. W jego oczach nie było już tego nieprzyzwoitego rozgorączkowania, które dostrzegła parę chwil temu. Pojawiło się za to jakby skrępowanie.

Nerwowo przełknęła ślinę.

– Na pewno nie lepiej niż pan. Ogłoszono przecież pańskie zaręczyny.

Nie chciała, żeby Johann widział, jak bardzo jego obecność wyprowadza ją z równowagi, ale z drugiej strony nadmiar szampana zaczął brać górę nad rozsądkiem.

Młodzieniec zbliżył się do niej powoli i oparł się ramieniem o kolumnę tarasową. Patrzył w dal, jakby unikał jej wzroku. Tak bardzo dominował nad nią za sprawą swojej postury, że z trudem łapała oddech.

– To dziwne... Tam, w Gdańsku, kiedy wsiadała pani do pociągu, myślałem, że już nigdy pani nie zobaczę. A los znowu zetknął nas ze sobą.

Hania przez chwilę spoglądała na niego, jakby nie do końca wierząc, że stoi przed nią ten sam mężczyzna, z którym łączyły ją tak miłe, choć krótkie chwile. Odnosiła wrażenie, że ich spotkanie

przed kilkoma tygodniami odbyło się w zupełnie innym świecie. Że ona była wtedy inna...

– To nie los. To pańska babcia – rzekła po chwili cicho, siląc się na uśmiech. – Pani Irenka zaprosiła mnie, więc przyjechałam – dodała, zwyczajnie bojąc się, że język zacznie jej się plątać. – Choć sam pan wie, że użyła do tego niedozwolonych środków.

Uśmiechnął się lekko.

– Podobno w miłości i na wojnie wszystkie środki są dozwolone – odparł.

Stali tak przez chwilę, nie patrząc na siebie, aż wreszcie Johann odchrząknął zakłopotany.

– Kiedy panią dziś zobaczyłem... – urwał i spuścił głowę, bo gestem nakazała mu, żeby nic więcej nie mówił. Oboje wiedzieli, że każde wypowiedziane teraz słowo może tylko pogłębić istniejące między nimi napięcie.

– Niech pan ze mną nie igra, proszę...

Przez chwilę patrzył na nią, jakby nie rozumiejąc, aż wreszcie pojął. Spoglądał na nią ze smutkiem, nie znalazłszy odpowiednich słów. Wreszcie westchnął i wyprostował się jak struna. Zrobił dwa kroki do tyłu, próbując zwiększyć dystans między nimi.

Znowu spojrzeli sobie w oczy. Byli dwojgiem młodych, wpatrzonych w siebie ludzi, nieco zdumionych wzajemną fascynacją, w głębi duszy wiedzących jednak, że nigdy nie powinni byli się spotkać.

„Mój Boże, co ja tu robię?!” – pomyślała dziewczyna w nagłej panice. Była tu sama, w obcym domu, w obcym państwie, bez krzty rozsądku i obrony z jakiegokolwiek strony, czując bezgraniczny pociąg do mężczyzny, którego ledwo znała! Zapragnęła, żeby nagle wszyscy ci goście zniknęli, żeby ona i Johann zostali sami. Marzyła, żeby wziął ją w ramiona i zatańczył z nią.

– Przepraszam, powinnam już iść – rzekła, starając się, żeby zabrzmiało to stanowczo, ale poczuła, że w rzeczywistości brzmi żałośnie. Próbowwała go wyminąć, ale zastąpił jej drogę. W nozdrza uderzył ją jego zapach.

– Ma pani jakieś plany na jutro? Na Oktoberfest?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jutro wracam do Warszawy. Nie mogę tu dłużej zostać.

Jeszcze raz popatrzyła mu prosto w oczy, wytrzymując jego przenikliwe spojrzenie.

– W ogóle nie powinnam była przyjeżdżać.

– Ach, tu jesteś! Wszędzie cię szukam, Kochany!

Oboje jak na komendę zwrócili się w stronę drzwi tarasowych, w których stała Susanne w towarzystwie Niklasa von Richtera.

Hania odsunęła się gwałtownie od Johanna i zapatrzyła w przestrzeń, udając, że interesuje ją pograżony w mroku nocy ogród.

– Co tu robisz, mój drogi? – zapytała Susanne, podchodząc do narzeczonego i zaborczo łapiąc go za rękę. – Pan minister Hans Frank chciałby z tobą porozmawiać na osobności – dodała, ignorując obecność Hani.

Dziewczyna stała odwrócona do nich plecami. Nie miała śmiałości popatrzeć tej sztywnej kobiecie w oczy. Nie po tym, jak nie potrafiła opanować drżenia w towarzystwie jej narzeczonego.

– Susanne, Niklas, poznajcie pannę Hannę Wolińską... Przyjaciółkę babci. Panno Haniu... To moja narzeczona Susanne Schneidhuber i mój brat Niklas von Richter.

Hania odwróciła się i uśmiechnęła zdawkowo, udając uprzejme zainteresowanie.

– Jest mi niezmiernie miło.

Susanne zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem, przytulając demonstracyjnie policzek do ramienia Johanna.

– To pani jest tą służącą? – zapytała z udawaną uprzejmością, jednak Hania wyczuła bijącą od kobiety wyniosłość.

– Byłam opiekunką pani von Richter w Gdańsku, a teraz jestem jej gościem.

– Och, cóż za wspaniałomyślność ze strony twojej babci, Johann, że zaprosiła pannę do towarzystwa na bal! – zaszczebotała Susanne prosto do ucha narzeczonego. – Chodźmy, Kochany, chcę tańczyć walca!

– Pani wybaczy. – Johann wykonał ukłon przed Hanią. Ujął narzeczoną pod rękę i udał się z nią na salę balową.

– Pozwoli pani, że ją odprowadzę? – odezwał się Niklas, do tej pory w milczeniu przyglądający się całej scenie. Teraz zbliżył się do

Hani i podał jej swoje ramię – to samo, na którym widniała czerwona opaska ze swastyką.

Hania spojrzała na emblemat partii nazistowskiej, ale bez słowa ujęła młodszego wnuka pani Irene pod ramię.

Oboje wyszli z tarasu na salę balową. Hania starała się nie patrzeć w stronę Johanna, znikającego w tłumie w towarzystwie swojej pięknej narzeczonej. Nie miała prawa być zazdrosna. A jednak była... Sama przed sobą wstydziła się przyznać, że widok Johanna w towarzystwie Susanne stanowił dla niej istną torturę.

– Jakże się cieszę, że w końcu mam okazję panią poznać! Babcia mówi o pani same miłe rzeczy.

Hania przelotnie zerknęła na Niklasa. Był odrobinę podobny do brata – tak samo ostre rysy twarzy i szczupła sylwetka, ale nie miał równie błękitnych oczu jak Johann. Poza tym wydawał się nieco niższy i miał ciemniejsze włosy gładko zaczesane do tyłu. Nad jego prawym łukiem brwiowym przebiegała szpecąca, długa blizna, dodająca jego twarzy powagi i dzikości zarazem.

– Pana babcia przesadza – odparła uprzejmie, starając się nie myśleć o tym, że trzyma pod ramię funkcjonariusza SS, nawet jeśli to wnuk pani Irene. – Nie ma we mnie nic wspaniałego.

– Wręcz przeciwnie, śmiem twierdzić, że urodą przyćmiewa pani wszystkie zebrane tu damy. Męska część gości nie może oderwać od pani wzroku.

– Jest pan dla mnie zbyt łaskawy. Myślę, że towarzystwo ma ciekawsze rozrywki niż zwracanie sobie głowy nieznaną nikomu panną. To pana brat i jego narzeczone są bohaterami tego balu.

Przez chwilę panowało między nimi uprzejme milczenie, które mogło zamienić się w krępującą ciszę, gdyby nagle Niklas nie odchrząknął znacząco, jakby usilnie szukając tematu do rozmowy.

– Podobno studiuje pani filologię germańską?

– Owszem. Właśnie zaczynam ostatni rok.

– Skąd takie zainteresowanie?

– Może stąd, że doskonale umiem posługiwać się językiem niemieckim? Poza tym fascynuje mnie kultura germańska.

– Więc pani również dostrzega wyższość naszej kultury i rasy nad innymi?

Hania uniosła brew.

– Co ma pan na myśli?

Niklas wyprostował ramiona, aby nadać powagi temu, co właśnie zamierzał powiedzieć.

– Nie ma co ukrywać, że Niemcy odradzają się po ciężkich latach klęsk, a to za sprawą większej świadomości naszych obywateli. Studiuje pani naszą kulturę, więc zapewne pani wie, że aryjskość to nie tylko przynależność rasowa, ale również stan duszy i umysłu. Jesteśmy wyższą rasą panów i nikt ani nic nie jest w stanie temu zaprzeczyć. Niestety, upodleni po klęsce w Wielkiej Wojnie potrzebowaliśmy czasu, żeby to zrozumieć.

Hania patrzyła na tego młodego mężczyznę w mundurze SS, nie wierząc w to, co słyszy. Od Niklasa biła jakaś fałszywa wyższość i pewność siebie, jakiej nigdy nie doszukała się u pani Irenki albo u Johanna. Była to wyuczona świadomość doskonałości klasowej, która powtarzana przez niego co dzień jak mantra albo wbijana mu do głowy stała się w końcu w jego mniemaniu prawdą.

– A kto według pana jest niższą rasą? – zapytała, ganiąc się w duchu za własną śmiałość, bo doskonale znała odpowiedź. W Polsce powszechnie znany był antysemityzm nazistów, który rósł w siłę w szaleńczym tempie.

– Oczywiście Żydzi i komuniści. Ale nie jest to wyłącznie moje zdanie. To prawda odkryta przez nasz naród za sprawą wspaniałego Führera Adolfa Hitlera. Tylko on miał w sobie wystarczająco dużo odwagi, żeby objawić Niemcom tą prawdę. To wielki, charyzmatyczny człowiek, który z determinacją i wielkim oddaniem prowadzi Niemcy do zwycięstwa. Żydzi to najgorszy szczebel społeczny złodziei i brudasów, bezczelnie pozbawiający inne narody swojej tożsamości, a bolszewicy w swoich prymitywizmie dbają wyłącznie o pełny żołądek i sprawy doczesne. Są jak zwierzęta kierujące się wrodzonym instynktem. A my potrzebujemy czegoś więcej, bo jesteśmy narodem oświeconym! Czy miała pani przyjemność zapoznać się z jakimkolwiek przemówieniem Führera?

Hania zaprzeczyła, starając się ukryć grymas twarzy. Rozglądała się po sali balowej, instynktownie szukając wzrokiem Johanna.

Dostrzegła go między gośćmi, wychodził w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, którego nie знаła.

– Chętnie pożyczę pani egzemplarz *Mein Kampf*.

Odwróciła wzrok od Johanna i popatrzyła na Niklasa, nie kryjąc zdumienia. Jak to się stało, że ich towarzyska rozmowa zesłała na takie tory? Wszystkie jej myśli skierowane były w stronę starszego von Richtera, podczas gdy młodszy próbował toczyć z nią rozmowę na temat wyższości niemieckiej rasy nad innymi i rozprawy Adolfa Hitlera! Słyszała o książce, którą Hitler napisał podczas pobytu w więzieniu, ale – z całym szacunkiem dla niemieckiej literatury – czytać jej nie zamierzała.

– Dziękuję, panie von Richter, ale jutro zamierzam wrócić do Warszawy, więc raczej nie będę miała okazji zapoznać się z tym niewątpliwym dziełem – odparła z pewną irytacją. Wodziła wzrokiem po gościach, na moment jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem narzeczonej Johanna. Susanne Schneidhuber przez kilka sekund wyniośle patrzyła jej w oczy, aż wreszcie kącik jej umalowanych ust uniósł się w pogardliwym uśmiechu, a ona sama z wyższością odwróciła wzrok.

Niklas von Richter ukłonił się przed Hanią szarmancko i pozwolił jej wrócić do pani Irene.

Starsza pani powoli zaczynała być znużona gwarnym towarzystwem. Siedziała w fotelu niczym królowa wśród swoich poddanych, ale na jej pomarszczonej twarzy rysowało się zmęczenie.

– Rozmawiałaś z moim wnukiem? – zapytała, świdrując Hanię uważnym wzrokiem.

– Z Niklasem? Owszem. Miły, choć nieco ekscentryczny.

– Mówię o Johannie. Ta harpia, jego narzeczone, nie wypuszcza go ze swoich szponów nawet na krok!

Hania zarumieniła się i zbyła tę uwagę milczeniem. Rozglądała się za kelnerem, chcąc napić się czegoś orzeźwiającego i w duchu mając nadzieję, że bal niebawem dobiegnie końca. Była zmęczona i pragnęła wyspać się przed jutrzejszą podróżą do Warszawy.

Prawie świtało, a Johann nie spał. Leżał w wannie, choć woda dawno zrobiła się zimna. Nie miał jednak siły, by wyjść z kąpieli i położyć się do łóżka. Tępo wpatrywał się w okno łazienki, przez które widział coraz to bardziej jaśniejące o poranku niebo.

Nie rozumiał, jak to się stało, że nagle z dnia na dzień stracił panowanie nad własnym życiem. Raz po raz rozpamiętywał w głowie swoją niedawną rozmowę na balu z ministrem Hansem Frankiem, który z zaciętą miną tłumaczył mu, że dla jego dobra jak najszybciej powinien zostać partyjnym prawnikiem.

– Panie von Richter, wiem, że rozmawiał pan na ten temat ze swoim ojcem, ale niestety podobno nie wyraził pan chęci do współpracy. Mogę wiedzieć, co pana powstrzymuje?

– Chyba nie muszę panu tłumaczyć, panie ministrze, że jestem człowiekiem bardzo zapracowanym. Zajmuję się browarem Richterkönig i zarządzaniem nieruchomościami należącymi do rodziny. A oprócz tego prowadzę własną kancelarię prawniczą.

– W której zajmuje się pan obroną podejrzanych typów.

Johann zmarszczył brwi.

– Co ma pan na myśli, panie ministrze?

Hans Frank świdrował go wzrokiem. Złożył dłonie w taki sposób, że opuszki palców stykały się ze sobą.

– Wiem, że interesował się pan niejakim Helmutem Gessnerem, który wywodzi się z socjaldemokratów. Podobno chciał go pan bronić po tym, jak udowodniono mu wywrotowe działania przeciwko naszej partii i naszemu drogiemu Führerowi.

– Bzdura. Ten człowiek był niewinny.

Hans Frank patrzył Johannowi prosto w oczy.

– Niewinny? A to dziwne, bo podczas przesłuchania przyznał się do zbrodniczych działań przeciwko Führerowi.

Johann zacisnął zęby. Wyobraził sobie to przesłuchanie. Był pewien, że w okolicznościach tortur, jakie mu zadawano, każdy przyznałby się do wszystkiego.

– Dobrze panu radzę, panie von Richter, bo szanuję pana, pana ojca i brata, żeby najszybciej, jak to możliwe, zajął pan należne mu miejsce w partii. Oczekujemy współpracy, bo wiemy, że jest pan

zdolnym i inteligentnym prawnikiem, który stoi po właściwej stronie...

– Minister na chwilę zawiesił głos, a w końcu przeszył Johanna wzrokiem. – Proszę nas nie zawieść.

– Pana słowa napawają mnie dumą, panie ministrze, ale jak już mówiłem, nie mam czasu na dodatkową pracę. Zapewne wie pan również, że wkrótce zamierzam się ożenić. Poza pracą muszę mieć również czas na życie prywatne.

– Gratuluję panu z całego serca w imieniu swoim i całej partii, panie von Richter! Pana narzeczona to wspaniała i piękna kobieta. Jest idealnym wzorem przyszej żony Trzeciej Rzeszy.

– Czyżby? Idealny wzór żony Trzeciej Rzeszy to według was kobieta siedząca w domu ku chwale swojego męża i wychowująca piękne, grzeczne dzieci. Nie kobieta pracująca, jak moja narzeczona.

– Nie chciałbym posądzać pana o krótkowzroczność, panie von Richter, ale muszę zaakcentować, że pana poglądy są dość... ciasne. Mimo wszystko musi pan wiedzieć, że szczerze cenię pannę Schneidhuber.

– Dziękuję.

– Jednakże nie musi się pan obawiać nadmiaru pracy. Będzie pan miał czas dla swojej małżonki, bo będzie pan pracował wyłącznie dla partii. Chyba pan wie, że NSDAP głęboko wierzy w ideały życia rodzinnego, a Führer osobiście dokłada wszelkich starań, żeby członkowie partii spędzali jak najwięcej czasu ze swoimi rodzinami?

Johann czuł, że zalewa go fala gorąca, a pętla strachu zaciska się na jego szyi.

– Co ma pan na myśli, panie ministrze, mówiąc, że będę pracował wyłącznie dla partii? – zapytał ochryplym głosem.

– Zaprzeszanie pan działalności w swojej kancelarii, bo taka aktywność zawodowa nie będzie już panu potrzebna. A jeśli chodzi o interesy rodzinne, to proszę się nie obawiać. Dopilnujemy, żeby browar i pozostałe własności pana rodziny funkcjonowały bez zarzutu.

Johann z dezaprobatą pokiwał głową.

– To niemożliwe! Większość majątku należy do mojej babci, a ona nigdy nie zgodzi się na włączanie kogoś obcego w interesy rodziny!

– Panie von Richter, taki problem to nie problem. Panią von Richter zajmujemy się osobiście.

Rozmyślał o tej rozmowie. Raz po raz wybrzmiewały mu w głowie słowa Hansa Franka. Wiedział, że został schwytany w pułapkę, z której nie było wyjścia, jeśli nie chciał narażać życia swojego i swoich najbliższych. Ludzie Hitlera nigdy nie odpuszczali. A jeśli zacznie im się otwarcie sprzeciwiać, niechybnie wyślą go do obozu w Dachau, jak to zrobili z Halmutem Gessnerem. Jakie miał wyjście? Jak miał udawać, że polityka nazistów go nie dotyczy, skoro jego rodzice otworzyli im szeroko drzwi do swojego domu i życia, wplątując go w tę haniebną antysemicką walkę z wyimaginowanym wrogiem narodu niemieckiego?

Wiedział, co go teraz czeka – sprawy, w których oskarża się Żydów o najgorsze zbrodnie – morderstwa, gwałty, rabunki, których rzekomo dopuszczają się Żydzi na ludności niemieckiej. Te oskarżenia będą w większości nieprawdziwe i sfabrykowane, ale on będzie musiał bronić fałszywe ofiary tych przestępstw.

Podniósł się i w bezsilnej złości uderzył pięścią w ścianę wyłożoną marmurem. Od uderzenia na kostkach dłoni pękła mu skóra i krople krwi powoli zaczęły skapywać do wanny, tworząc na powierzchni wody różową mozaikę. Patrzył na to wszystko tępo, myśląc z ironią, że tak zapewne wygląda krew niewinnych ludzi, którą wkrótce będzie miał na rękach.

ROZDZIAŁ 7

Monachium tętniło życiem. Tłumy Bawarczyków, niczym w hipnozie albo jakiejś szaleńczej ekstazie, pozdrawiały żołnierzy Wehrmachtu uczestniczących w defiladzie wojskowej otwierającej Oktoberfest.

Hania czuła pod skórą pulsujący rytm, w jakim maszerowali żołnierze w imponującym szyku paradnym. Euforia setek gapiów mieszała się z dźwiękami niemieckiej pieśni defiladowej *Preuens Gloria* wygrywanej przez orkiestrę wojskową. Rozhisteryzowane młode dziewczęta rzucały kwiaty pod nogi defilujących żołnierzy, ale ci nie zaszczycali ich nawet jednym nieopatrznym spojrzeniem, z dumą unosząc głowy, wyprostowani jak struny, mężczyźni, poruszający się w jednym rytmie. Ciężki stukot ich wojskowych butów uderzających o bruk dudnił niczym odgłos potężnego serca. Hania miała wrażenie, że to właśnie teraz widzi – potężne, pulsujące życiem serce Niemiec. Robiło to na niej oszałamiające wrażenie. Nigdy nie widziała takiej parady w Warszawie, a morze ludzi na ulicach pamiętała tylko z uroczystości pogrzebowych marszałka Józefa Piłsudskiego. Dlatego to, co ujrzała teraz w Monachium, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Bawarczycy kochali swoich żołnierzy miłością wręcz szaloną! „Jesteśmy wielkim narodem!” – krzyczały ich pełne uniesienia twarze, ich ramiona wzniesione w hitlerowskim pozdrowieniu, falujące setki sztandarów ze swastyką, którymi machały nawet małe dziewczynki ubrane w odświętne sukieneczki. To była imponująca demonstracja dumy, wielkości i zwycięstwa. Hania sama przed sobą musiała przyznać, że defilujący młodzi żołnierze w szarozielonych mundurach, w pełnym rynsztunku, prezentowali się wyjątkowo godnie.

– To jeszcze nic – mruknęła Nina, zaciągając się papierosem. – Musiałabyś widzieć histerię tłumu, jak pojawia się Hitler. Ludzie

zachowują się wtedy, jakby im rozum odjęło. Widziałam, jak jedna kobieta zemdląca na chodniku na widok przejeżdżającego samochodem Führera.

Hania spojrzała na Ninę zaskoczona. Obie stały na balkonie mieszkania Niny i oglądały defiladę. To, co zdumiewało i równocześnie fascynowało Hanię, dla hrabianki von Richter było widowiskiem zasługującym wyłącznie na kpiny i pogardę. Młoda Niemka wydawała się wręcz znudzona histeryczną euforią tłumu, widokiem setek żołnierzy i brzęcącymi w eterze dźwiękami orkiestry. Cała radość, która ogarnęła mieszkańców miasta, Ninę zdawała odstręczać.

– Szczyć się swoją arogancją, swoją wielkością, a w rzeczywistości idą jak barany na rzeź. Biedni głupcy!

– Nienawidzisz ich, prawda?

– Kogo? Tych żołnierzy? To tylko marionetki w rękach wariata.

– Myślałam o Hitlerze i całej reszcie.

– Owszem, nienawidzę ich z całej siły i tobie radzę to samo. Nie wiem, co mówią o Hitlerze w Polsce, ale to zły człowiek. On nie tworzy potęgi Niemiec, on tworzy sektę ludzi chorych, owładniętych żądzą nienawiści i pogardą dla innych.

Hania ponownie skierowała uwagę na ulicę.

– W Polsce różnie mówią, ale większość myśli podobnie jak ty – rzekła. – Nie znam się na polityce, ale takiej armii chyba trzeba się bać – dodała jakby w zamyśleniu.

– Masz kogoś w wojsku?

– Brata.

Nina machnęła niedbale dłonią w stronę żołnierzy.

– Więc zaklinaj rzeczywistość i módl się, żeby któryś z tych młodych chłopców go nie zabił.

Hania zadrżała. Nie była przesądna, ale nie lubiła takich przestróg. Pomyślała o Janku – o jej wspaniałym, odważnym i mężnym bracie, który był wzorowym polskim żołnierzem. Co powiedziałby, widząc tę imponującą demonstrację nazistowskiej siły? Byłby przerażony? A może nie zrobiłoby to na nim wrażenia? Czy polskie wojsko zdawało sobie sprawę, jak potężna armia rodziła się tuż za granicami Polski?

Defilada przemieszczała się na Königsplatz. To tam czekała na żołnierzy Wehrmachtu delegacja najwyższych rangą dygnitarzy NSDAP, aby odebrać od nich należne honory. Hania wiedziała od Niny, że są to wszyscy ci, którzy poprzedniej nocy brali udział w balu w Richterhause.

– Zaraz odczytają nazwiska szesnastu ofiar puczu[3]. Zawsze tak robią. Mają ich za męczenników – stwierdziła Nina z sarkazmem.

Hania nie mogła uwierzyć, że zamiast siedzieć teraz w pociągu do domu, stała na balkonie w centrum Monachium i podziwiała oszałamiające otwarcie Oktoberfestu. Pani Irene von Richter nie chciała nawet słyszeć o jej powrocie do Warszawy. Stanowczo oznajmiła, że taki szybki wyjazd jest czymś nagannym, zważywszy, że dziewczyna zadała sobie sporo trudu, żeby przyjechać do Monachium.

– Skoro już tu jesteś, musisz zakosztować świątecznej atmosfery! Nie pozwolę ci teraz wyjechać! To wykluczone! – nakazała starsza pani z całą stanowczością, nie dając Hani dojść do słowa. Poinformowała ją również, że sama nie wybiera się na defiladę wojskową do miasta, ale jej wnuczka Nina poprosiła, aby szofer przywiózł Hanię do jej mieszkania w Monachium, gdzie razem będą mogły obejrzeć otwarcie. Takim to sposobem Hania znalazła się u Niny, nie śmiejąc jej odmówić, choć dziwiła się samej sobie, że tak łatwo dała się zmanipulować. Gdyby była bardziej asertywna... A jednak jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że jeszcze powinna tu zostać, że nic się nie stanie, jeśli pobędzie w Monachium odrobinę dłużej. A może to zwykła młodzieńcza ciekawość nakazała jej odłożyć powrót do domu?

– Nie czujesz żadnej dumy, gdy patrzysz na tych pięknych, młodych żołnierzy? – zapytała naiwnie, obserwując Ninę.

Panna von Richter była ładną dziewczyną, ale miała na twarzy grymas zacięcia i stanowczości świadczący o jej upartym i twardym charakterze. Hania widziała, z jakim uporem Nina na balu ignorowała partyjnych gości, wręcz demonstrowała swoją obojętność, nie oszczędzając nawet swoich rodziców. Było w tej młodej Niemce coś fascynującego, co imponowało Hani. Wydawała się inna – wolna, z tą swoją jawną pogardą do otaczającej ją

rzeczywistości. Hania miała wrażenie, że Nina nie poddałaby się woli mężczyzny, który próbowałby ją zdominować, na co pozwalała chociażby matka Lucyny – pani Honorata – bojąca się przyznać mężowi, że jej największą pasją jest malarstwo.

Nina niedbale oparła się o zdobioną balustradę balkonu, przechylając lekko ciało w stronę fetującej ulicy.

– Przyjaźnisz się z Żydami? – zapytała. – Wiem, że w Warszawie jest ich dużo – dodała, puszczając w przestrzeń dym z papierosa.

Hania wzruszyła ramionami.

– Znam bardzo wielu Żydów, z którymi mam dość bliskie kontakty. Większość z nich to moi znajomi studenci z uczelni, ale nie tylko, jak na przykład pianista z kawiarni, do której uwielbiamy chodzić z Władkiem, czy sklepikarze, u których zdarza nam się robić zakupy.

Nina westchnęła.

– Ja również miałam znajomych Żydów. To byli ludzie bardzo inteligentni, o świątłych umysłach i otwartych sercach. Część z nich znałam ze studiów, a część to elita tego miasta. I wiesz, co się z nimi stało? – Przez chwilę wpatrywała się niemo w przestrzeń. – Większość z nich została wypędzona z dnia na dzień, bez możliwości zabrania swoich rzeczy, okradziona z majątków i godności. Poniżona. Innych wywieziono do obozów pracy, a kilkoro zatłuczono na ulicy przez takich oprawców jak mój brat Niklas. A wiesz, za co?

– Za to, że byli Żydami – odparła Hania cicho. Jej również stanęły przed oczami obrazy wielokrotnego szykanowania Żydów w Warszawie. Nawet na uczelni wprowadzono tak zwane getta ławkowe, czyli osobne ławki dla studentów żydowskich.

– I dlatego ich nienawidzę. Do tego dochodzi aresztowanie mojego bliskiego przyjaciela, który tak jak ja nie zgadzał się z rasową polityką nazistów. Aresztował go Niklas na polecenie Himmlera. I wywiózł do Dachau.

– Dachau?

Nina zaciągnęła się papierosem, a następnie niedopałek zgasła w kryształowej popielniczce, którą trzymała w dłoni. Hania pomyślała, że Nina ma piękne dłonie, z pomalowanymi na czerwono paznokciami, a każdy ich ruch był precyzyjnie wyuczony. Nawet tak

prozaiczna czynność jak gaszenie papierosa w wykonaniu hrabianki von Richter zdawała się być czymś na najwyższym poziomie.

– To obóz, do którego naziści internują przeciwników politycznych i inne szumowiny. Mój Helmut trafił tam parę miesięcy temu i słuch po nim zaginął. – Kącik jej ust lekko zadrżał. – Nawet nie wiem, czy jeszcze żyje.

– Przykro mi.

Niemka niedbale wzruszyła ramionami.

– To nic, już to przebolełam. Nie należę do kobiet, które rozpaczają. Ale mam swoją dumę. Wiem, czego chcę.

– A czego chcesz?

– Wolności, równości i sprawiedliwości.

– Piękne hasła, choć raczej trudne do zrealizowania we współczesnym świecie

– Owszem, ale w coś trzeba wierzyć. Bez tego życie staje się puste.

Pół godziny później defilada wojskowa dobiegła końca, a tłum rozradowanych mieszkańców Monachium zniknął na Theresienwiese^[4], by rozpocząć radosne świętowanie.

– Chyba czas najwyższy! Pokażemy tym nazistowskim dupkom, co znaczy hucznie obchodzić Oktoberfest! – krzyknęła Nina ochoczo, puszczając do Hani oko. – Zbieraj się, moja droga, jedziemy!

– Dokąd?

– Jak to dokąd? Babcia ci nie mówiła, że dzisiejszy dzień spędzimy, jedząc i pijąc najlepsze piwo w Bawarii? Tylko zabierz płaszcz, bo wieczory są zimne, a szybko do domu nie wrócimy!

* * *

Przez cały długi dzień Hania i Nina zwiedzały monachijskie piwiarnie, kosztując różnych gatunków piwa i rozsmakowując się w lokalnych kulinariach. Jednak panna von Richter zapewniała Hanię, że najlepszą zabawę zostawi na sam koniec. I ten moment w końcu nadszedł.

Późnym wieczorem taksówka zawiozła je do nocnego lokalu mieszczącego się w podziemiach ogromnego domu towarowego

w samym centrum Monachium. Przy wejściu obowiązywały zaproszenia, ale Ninę z Hanią jako osobą towarzyszącą wpuszczono bez słowa protestu – i to z taką uprzejmością, jakby obie były gośćmi honorowymi.

Hania już w wejściu rozejrzała się po wypełnionej po brzegi, dusznej sali, w której przyjemna dla ucha muzyka orkiestry grającej na żywo mieszała się ze swobodnym śmiechem zebranych. Atmosfera tego miejsca – trochę nierzeczywista, jakby z innego świata – w pierwszej chwili wydała się dziewczynie nieco przytłaczająca. Ściany z surowej cegły, gęsto obwieszane obrazami nieznanymi artystów, ciężkie, witrażowe lampy porozstawiane po kątach, aksamitne łóżka z rzeźbionymi stolikami i ogromny parkiet zachęcający do tańca – wszystko to tworzyło wystrój dekadentcki i artystyczny zarazem. Nie było tu niepotrzebnego luksusu i blichtru – panował za to klimat nieznanego dotąd Hani grzesznej awangardy.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba! – szepnęła Nina tajemniczo i pociągnęła Hanię za rękę w stronę jednego ze stolików, przy którym siedziała niewielka grupka ludzi. Powitali Ninę z entuzjazmem, a ona podchodziła do każdego z osobna i osobiście całowała w usta. Hania obserwowała to wszystko z gorącym rumieńcem na policzkach. Nie umknęło jej uwagi, że goście znajdujący się w lokalu ubrani byli zbyt swobodnie, a ich bezpruderyjne zachowanie dalekie było od sztywnie panujących w towarzystwie zasad. Śmiali się głośno, wdychając gryzące opary cygar i popijali mocne trunki, które szybko uderzały do głowy.

Nina przedstawiła Hanię przyjaciołom i posadziła ją na obitej aksamitem sofie między dwoma młodymi mężczyznami, którzy mieli zabawiać ją rozmową i wprowadzić w panujące w lokalu zwyczaje. Upewniwszy się, że Hania została pod właściwą opieką, panna von Richter nagle gdzieś w tajemnicy zniknęła.

Hania z początku spięta i nieco zawstydzona, pozostawiona na pastwę rozbawionego towarzystwa, po dwóch kieliszkach sznapsa nabrała chęci do zabawy. Siedzący z nią przy stoliku znajomi Niny okazali się być artystami, głównie aktorami teatralnymi lub literatami, ale znalazł się również jeden malarz, który gorąco zarzekał się, że namaluje Hanię spowitą blaskiem księżycy.

– Będzie cię okrywać wyłącznie jego srebrzysta łuna, *mon chéri* – wyszeptał jej do ucha, wywołując w głowie dziewczyny zmysłowe wibracje. – Takie ciało wymaga wielkiego kunsztu!

Hania upojona mocnym alkoholem i inspirującym towarzystwem szybko poczuła się rozluźniona. Z rosnącą fascynacją i zaciekawieniem rozglądała się po ciemnej sali pełnej barwnych, niecodziennych postaci. Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się być w takim miejscu, więc chłoneła atmosferę tej swoistej cyganerii mającej za nic wszelkie konwenanse. Kobiety w kusych sukienkach, obwieszane biżuterią, zmysłowo eksponujące swoje wdzięki. I mężczyźni – swobodni, nadzwyczaj interesujący, niektórzy wręcz zabójczo przystojni, przewijali się przed jej oczami jak obrazy w kalejdoskopie.

Muzyka nie cichła, a wręcz nabierała tempa, zachęcając gości do tańca i szaleńczej zabawy. Dopiero po jakimś czasie na całej sali zgasły światła, orkiestra umilkła, a przed zebranymi rozblęły rześiste reflektory i z mroku wyłoniła się scena.

Hania aż krzyknęła zdumiona, kiedy ujrzała na niej Ninę von Richter. Stała pośrodku, przed mikrofonem, ubrana w błyszczącą srebrną suknię, w której odbijały się światła reflektorów. Na głowie miała czarny cylinder zakrywający włosy. Ramiona ozdobione czarnymi piórami przypominały skrzydła kruka. Wyglądała drapieźnie i zmysłowo.

Hania, przyglądając się jej w zdumieniu, poczuła nagły zawrót głowy. Nina wydała jej się piękna, wręcz oszałamiająca! I nagle zaczęła śpiewać – mocnym gardłowym głosem, przy akompaniamencie orkiestry. Jej śpiew wibrował, odbijał się mocnymi tonami od ścian sali, płynął nieprzerwanie, wywołując zachwyt wśród setek zebranych.

Serce Hani biło jak szalone, kiedy patrzyła na hrabiankę panującą na scenie niczym królowa estrady. Z każdego jej teatralnego gestu i dźwięku, który wypływał z jej gardła, przebijały się pewność siebie i kunszt kobiecości. Było w tym coś pierwotnie zmysłowego, co poruszyło dziewczynę do głębi i nie pozwalało jej oderwać wzroku od widowiska.

– Jest wspaniała – usłyszała znajomy głos tuż za sobą. Odwróciła głowę i popatrzyła wprost na Johanna, który z kolei nie odrywał wzroku od sceny.

– To prawda. Nie wiedziałam, że pańska siostra potrafi śpiewać.

Johann uniósł kącik ust w lekkim uśmiechu.

– Nina ma wiele talentów.

Oboje jak zaczarowani wpatrywali się w scenę, na której Nina dawała pokaz swoich umiejętności wokalnych i tanecznych.

– Więc jednak nie wyjechała pani dziś do Warszawy? – zagadnął ją Johann, zbliżając wargi niebezpiecznie blisko jej ucha wyłącznie po to, żeby usłyszała go w gwarным tłumie. A ona miała wrażenie, że pieśzczoła jego głosu zawibrowała w całym jej ciele.

– Jak pan widzi, pana babcia znowu postawiła na swoim. To najbardziej stanowcza i uparta kobieta, jaką znam.

– Mogłem się tego spodziewać. Byłem pewien, że babcia nie pozwoli pani tak szybko opuścić Monachium.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, udając obojętność, i uśmiechnęła się łagodnie, nie spuszczać wzroku ze sceny.

– Następnym razem nie dam się tak łatwo oszukać. Już wiem, jakie licho drzemie w pani Irence!

Próbowała udawać, że bliskość młodego mężczyzny nie robi na niej wrażenia, ale w rzeczywistości czuła zadowolenie, że był obok, że prawie stykali się ramionami. Nie było między nimi żadnej bariery, a klimat tego miejsca bardzo sprzyjał intymności. Upojona muzyką i alkoholem, Hania czuła jedynie zmysłowe zadowolenie, które rozchodziło się po jej spowitej dreszczem skórze.

Nina podeszła do nich zdyszana, otoczona aurą silnej energii. Upiła łyk wódki i zadowolona uśmiechnęła się szeroko.

– Jesteś niesamowita! – pochwaliła ją Hania, wciąż oszołomiona scenicznym pokazem.

– Następnym razem zapraszam na więcej! Braciszku, jak miło, że się zjawieś! Szkoda tylko, że to nie ja jestem powodem twojej obecności.

Johann objął siostrę i pocałował ją w policzek.

– Byłaś doskonała. Jak zwykle.

– To co, kochani, bawcie się! – zachęciła Nina, kiedy parkiet wypełnił się tańczącymi, a orkiestra wróciła do wygrywania muzyki. Ona sama, kołysząc biodrami, zniknęła w tłumie.

– Poprosiłem Ninę, żeby przyprowadziła tu panią, bo bardzo chciałem się z panią spotkać – rzekł Johann z rozbrajającą szczerością, usadowiwszy się obok Hani na sofie, na miejscu przyjaciół Niny, którzy zniknęli na parkiecie.

Hania poczerwieniała na twarzy. Wypita wódka mocno szumiała jej w głowie.

– Po co? Przecież mógł pan to zrobić w swoim domu. A może bał się pan, że pańska narzeczona znowu nas zobaczy? – wypaliła znienacka.

Johann zmieszał się. Spojrzał na nią, ale nie śmiał odpowiedzieć. Nie musiał jednak nic mówić, bo Hania wiedziała, co się dzieje w jego głowie. Czuła to samo – tę obezwładniającą siłę przyciągania między dwojgiem zafascynowanych sobą ludzi. Spuściła głowę, udając, że bardziej skupia uwagę na kieliszku ze sznapsem niż na Johannie, ale w rzeczywistości płonęła w środku tak bardzo, że z trudem łapała oddech.

– Czy zgodzi się pani spędzić ze mną jutrzejszy dzień? Tylko jeden. Nie proszę o więcej. Czuję się zobowiązany pokazać pani okolicę. Niech to będzie rewanż za pani miłe towarzystwo podczas mojego zwiedzania Gdańska.

– A co na to pańska narzeczona?

Odchrząknął.

– Susanne pracuje. Podczas święta wszyscy partyjni delegaci odwiedzają galerie sztuki ku chwale ojczyzny, a moja narzeczona jest dyrektorem jednej z nich. Ma mnóstwo spotkań. – Zamilkł, jakby szukał właściwych słów. – Nie chcę, żeby źle mnie pani zrozumiała... To nic takiego... Nic nieprzyzwoitego...

– Tylko co? – zapytała zaczepnie, odważnie wchodząc mu w słowo. Wódka niespodziewanie dodała jej odwagi.

Johann zatrzymał wzrok na jej wargach.

– Chciałbym pokazać pani, jak robi się najlepsze w Bawarii piwo – odparł z rozbrajającą szczerością.

Hania westchnęła i milcząco skinęła głową na znak, że się zgadza.

Widziała, jak się ucieszył. Widziała również, jak uporczywie wpatrywał się w jej usta. Zaśmiała się prowokacyjnie i zwilżyła wargi, a on instynktownie wyciągnął dłoń i przejechał kciukiem po jej podbródku. Pochylił się nad nią nieznacznie i wtedy ktoś uderzył go otwartą dłonią w plecy.

– Stary, widzę, że gruchacie tu z panną Wolińską jak dwa gołąbki!

Gustaw Kauffmann, ledwo trzymając się na nogach, spoglądał na nich z rozbawieniem.

– Można by pomyśleć, że coś się tu święci! – krzyknął wyraźnie z siebie zadowolony.

Hania odsunęła się od Johanna i wcisnęła w kąt sofy, odwracając głowę w stronę parkietu i udając zainteresowanie tańczącymi. Bardziej wyczuła niż usłyszała, że Johann coś szeptał do ucha przyjaciela.

Przez resztę nocy bawili się doskonale, choć starali się unikać przebywania ze sobą sam na sam, bo duszna atmosfera lokalu niebezpiecznie sprzyjała grzesznej swobodzie. Hania tańczyła tak dużo, że kiedy nad ranem wracała z Johannem automobilem do Richterhause, była nieprzytomna ze zmęczenia, a głowę miała pełną wrażeń. Czuła się jednak szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Nie protestowała, kiedy Johann, zatrzymawszy samochód przed rezydencją, wyciągnął ją z niego i wziął na ręce. Jej głowa bezwładnie opadła na jego ramię.

– Chyba jestem pijana – wyszeptała, chichocząc.

– Nic pani nie będzie. Zaniosę panią do pokoju.

„Zanoś mnie tak zawsze” – pomyślała znużona i wtuliła twarz w jego marynarkę, wdychając męski zapach, aż zakręciło jej się w głowie.

* * *

Na drugi dzień, tuż po śniadaniu, Johann najpierw zabrał Hanię do rodzinnej stadniny, by pokazać jej konie, które kochał ponad wszystko.

Panna Wolińska nie odważyła się żadnego dosiąść, ale zafascynowana patrzyła na Johanna i dżokeja, gdy ścigali się na

krótkim torze. Johann doskonale panował nad koniem, a równocześnie traktował go z wyjątkową czułością. Hania nic nie mogła na to poradzić, że zafascynowana nie mogła oderwać od niego wzroku. Jej brat bardzo często jeździł konno, brał nawet udział w zawodach wojskowych, ale jego konne poczynania nigdy nie robiły na Hani wrażenia, bo nigdy się tym nie interesowała. Dopiero teraz, patrząc na Johanna, zrozumiała, że człowiek i koń mogą stanowić bardzo zgrany zespół.

Kiedy podszedł do niej po wyścigu, trzymając ogiera za wodze, żałowała, że ten piękny pokaz już się skończył.

– Może zmieniła pani zdanie i jednak wybierze się ze mną na przejażdżkę? – zapytał zdyszany, ocierając pot z czoła.

Oszołomiona wbiła w niego wzrok.

– Nie – rzuciła krótko i odwróciła się na pięcie. Usłyszała za sobą jego śmiech.

Godzinę później byli w drodze do Monachium. Johann w międzyczasie zdążył się przebrać i teraz paradował przed Hanią w tradycyjnym stroju bawarskim, na który składały się krótkie skórzane spodnie z szelkami, biała koszula, naciągnięte podkolanówki i kapelusz z piórkiem.

Hania w błękitnej rozkloszowanej spódnicy i białej koszuli z haftowanym kołnierzykiem wyglądała jak pensjonarka, ale pani Irene uznała, że to doskonały strój, w którym wygląda skromnie, ale uroczo.

– Skromność to twój największy atut, moje dziecko. Zapamiętaj to sobie.

Hania pomyślała, że Nina pewnie byłaby przeciwnego zdania.

Najpierw Johann zabrał ją do Hofbräuhausu, największej piwiarni w mieście, chcąc pokazać dziewczynie miejsce, do którego każdy szanujący się Bawarczyk przychodzi na piwo. Nie wspomniał tylko, że było to swego czasu ulubione miejsce przemówień Adolfa Hitlera i że to tu obecny przywódca Trzeciej Rzeczy rozpoczął niegdyś swoją polityczną karierę.

Hania pełna zdumienia patrzyła na setki Bawarczyków oblegających długie stoły bogate od kufli z piwem i pieczonej

golonki. Jednakże zgiełk był tak ogromny, że zdecydowali się wyjść z lokalu możliwie jak najszybciej.

– W zwykły dzień też jest tu gwaro, ale nie aż tak. Lepiej będzie, jeśli pojedziemy do Richterkönig.

Browar należący do rodziny von Richterów znajdował się ponad godzinę drogi samochodem od Monachium. Hania zanurzona w wygodnym fotelu luksusowego kabrioletu patrzyła z rosnącym zachwytem na otaczający ich zewsząd krajobraz. Ta niewielka część Bawarii, którą dane jej było podziwiać, okazała się oszałamiająco piękną krainą lasów i niezliczonych czystych jezior, w których odbijały się łagodne pagórki. Gdzeniegdzie mijali pojedyncze kolorowe chaty na zboczach doliny. Wszystko to razem tworzyło malowniczy, wręcz baśniowy klimat, zwłaszcza w połączeniu z barwami jesieni, które pyszniły się wokół, wywołując na twarzy dziewczyny wypieki zachwytu.

Przejechali przez malutką wioskę, na którą składało się kilkanaście zgrabnych domków, a która w tej chwili wydawała się zupełnie opuszczona. Johann szybko wyjaśnił dziewczynie, że to z powodu trwającego Oktoberfestu.

– W takie święto nikt nie siedzi w domu! I młodzi, i starzy chcą zaznać odrobiny zabawy i pofolgować swoim zachciankom.

Tam, gdzie droga była wystarczająco ubita i dość szeroka, Johann dodawał gazu, wywołując tym dreszcz emocji u swojej współpasażerki, która nie była przyzwyczajona do tak szybkiej jazdy. Zwalniał jedynie, gdy zbocze doliny, wzdłuż którego ciągnęła się droga, było zbyt strome lub gdy robiło się wąsko. Dziewczyna nie chciała okazywać strachu, ale nigdy wcześniej nie jechała tak szybko i tak daleko automobilem. Wystraszyła się nie na żarty, kiedy nagle usłyszała dziwny ogłuszający odgłos, jakby huk spod podwozia. Auto gwałtownie podskoczyło na nierównej drodze, zakołysało się i zaczęło zwalniać.

– A niech to! Chyba złapaliśmy gumę!

– Co to znaczy? – zapytała przestraszona.

– Przebiliśmy koło. Pewnie na jakimś sporym kamieniu.

Johann zatrzymał automobil.

Dziewczyna popatrzyła na niego z niepokojem.

– I co teraz?

Mężczyzna wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej szeroko, najwidoczniej nie przejawsz się zbytnio całą sytuacją.

– Na szczęście mam koło zapasowe, ale jego zmiana trochę potrwa, więc... Póki co, jesteśmy tu uziemieni. Proponuję, żeby wysiadła pani z samochodu i rozejrzała się po okolicy, a ja postaram się naprawić szkodę najszybciej, jak się da.

Dziewczyna bez słowa protestu na to przystała. Z początku nie wiedziała, dokąd mogłaby się udać, żeby nie przeszkadzać Johannowi przy zmianie koła, jednak krystalicznie czyste jezioro, które rozciągało się po prawej stronie doliny, wyglądało tak zachęcająco, że postanowiła przysiąc na jego brzegu i tam poczekać.

Johann dołączył do niej godzinę później, kiedy Hania zupełnie już rozluźniona, na wpół leżąc na trawie, podziwiała czaplę stąpającą między szuwarami.

– Pięknie tu, prawda?

Uniosła twarz i popatrzyła na niego z błogim uśmiechem. Był brudny od czarnego smaru, ale przez to wydał jej się jeszcze przystojniejszy.

– Bardzo! Chyba zakochałam się w tym miejscu. Nie sądziłam, że Bawaria jest aż tak piękna! Myślę, że mogłabym tu być szczęśliwa.

– Godzinę drogi stąd jest alpejskie miasteczko Oberstdorf. Chętnie tam panią zabiorę, jeśli tylko wyrazi pani taką chęć.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Zaczęła bawić się źdźbłem trawy, przebierając nim między palcami. Delikatny wiatr muskał jej twarz i bawił się długimi pasmami włosów, a ona poddawała się temu z rozkoszą, rozmyślając, że jeszcze parę dni temu nie przypuszczałaaby, że będzie wylegiwać się na trawie, w otoczeniu przepięknych bawarskich krajobrazów, z najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znała.

– Czy tam również ma pan swój dom? – zapytała po chwili, starając się ignorować to, że usiadł bardzo blisko niej.

– Owszem, ale niewielki. Za to z widokiem na Alpy. Byłaby pani zachwycona!

– Ma pan czym zaimponować kobiecie, prawda? – Popatrzyła mu prosto w oczy. Widziała, jak sunie wzrokiem po jej twarzy. Dostrzegła ten sam głód, który malował się w jego spojrzeniu, kiedy obserwował ją na balu tańczącą w ramionach Gustava Kauffmanna. Wtedy mogła udać, że tego nie widzi, ale teraz było inaczej.

– Panno Haniu... Czy gdyby nie miała pani narzeczonego i gdybym ja nie miał narzeczonej, to... Umówiłaby się pani ze mną na randkę?

To, co powiedział, wydało jej się tak niedorzeczne, a równocześnie tak wspaniałe, że poczuła, jak zalewa ją fala gorąca.

– Chyba tak... – odparła cicho. Zarumieniona odwróciła twarz w stronę jeziora. – Daleko jeszcze do Richterkönig, panie von Richter? – zapytała, próbując ukryć drżenie głosu.

– Nie.

Patrzył na nią uparcie, jakby próbował swoim błękitnym spojrzeniem zmienić rzeczywistość, w której żyli. Czuła, że oczekuje od niej jakiejś reakcji, być może zachęty, ale nie śmiała pokazać mu, jak bardzo pragnie, żeby wziął ją w ramiona i pocałował. Uparcie udawała, że interesuje ją tylko brodząca w wodzie czapla.

– Straciliśmy mnóstwo czasu przez to koło – rzekł wreszcie – a zaczyna się ściemniać. Dalej droga jest jeszcze bardziej wyboista, a przez to w ciemności dość niebezpieczna. Myślę, że powinniśmy zatrzymać się w domku myśliwskim.

Uniosła brwi w wyrazie zdumienia, czując, jak płoną jej policzki.

– W domku myśliwskim?

– Spokojnie, panno Haniu, nie będziemy sami. Moi robotnicy z browaru urządzą tam huczną zabawę z okazji Oktoberfestu. Najemy się i napijemy do woli.

Zszedł na sam brzeg jeziora i zmył z siebie czarny smar. Aż wreszcie oboje udali się do naprawionego samochodu.

Pół godziny później dotarli do sporych rozmiarów domku na skraju lasu. Już z daleka słychać było z wnętrza skoczną muzykę i gromkie ludzkie głosy.

Jak tylko przekroczyli próg, wesołe okrzyki na moment ucichły, a z tłumu rozbawionej gawiedzi wyłonił się barczysty mężczyzna w średnim wieku, tak jak Johann ubrany w strój bawarski. Na widok

przybyłych rozłożył barczyste ramiona w geście zaproszenia, śmiejąc się rubasznie.

– Ooo! Szanowny pan dziedzic zaszczycił nas swoją obecnością! I to w towarzystwie księżniczki! – Złapał Johanna za barki i zaczął go obściskować i poklepywać jak starego przyjaciela. Dopiero gdy wypuścił go z objęć, Johann mógł złapać oddech.

– Panno Haniu, przedstawiam pani mojego głównego zarządcę browaru Brunona Fischera. A to jego urocza żona Helga.

Helga Fischer była korpulentną kobietą z rumieńcami na okrągłych policzkach. Jej ciemne figlarne oczy rzucały wokół wesołe iskry, a dwa splecione wokół głowy warkocze dodawały jej dziewczęcego uroku. Hania jednak nie mogła oderwać wzroku od jej pełnych piersi wyeksponowanych dumnie ponad wiązanym gorsetem uroczej bawarskiej sukienki w kwieciste wzory zwanej dirndl.

– Witamy w tych jakże skromnych, ale skorych do zabawy progach! Zapraszamy, zapraszamy! – krzyczała zachęcająco, puszczając oko w stronę Hani.

– Najpierw chcielibyśmy skosztować twojej kuchni, Helgo, bo oboje z panną Hanią jesteśmy głodni! – zakomunikował Johann wesoło.

Helga zaklaskała w dłonie.

– Dawać mi tu jedzenie dla szanownego pana i jego damy!

Ktoś pchnął Hanię w stronę biesiadnego stołu, który ugiął się pod ciężarem jedzenia. Pod ścianami stały równo beczki z piwem, opróżniane co jakiś czas, żeby w dzbanach nie zabrakło bursztynowego trunku.

Johann usiadł obok Hani i z rozbawieniem przyglądał się dziewczynie, która pochłaniała golonkę, zapijając ją pełnym kuflem piwa, aż zaczęło wirować jej w głowie od nadmiaru emocji i hałasu, który rozsadzał chatę.

Nieskrępowani niczym biesiadnicy tańczyli w podskokach w rytm wygrywanej muzyki. Co chwilę słychać było gwizdy i okrzyki zagrzewające do zabawy. Co chwilę ktoś wznosił gromki toast.

Hania również zaczęła wystukiwać pantoflem rytm skocznej melodii, ale Johann nie kazał jej czekać zbyt długo. Pamiętając jej zamiłowanie do tańca, porwał ją w ramiona i wyciągnął na sam

środek sali, gdzie wszyscy zaczęli bić im brawo i gwizdami zachęcać do płasów.

Dziewczyna zarumieniona podskakiwała i klaskała w dłonie, uśmiechając się do niego z błyskiem w oczach. W którymś momencie zbliżyli się do siebie na tyle, że dziewczyna pod wpływem impulsu objęła go ramionami za szyję. Czuła pod palcami jego skórę, wdychała zapach świeżego potu, który perlił się kropelkami na jego karku, aż wiedzioną pierwotnym instynktem, oparła się o niego całym ciałem, nie zważając na obserwujący ich tłum biesiadników. Johann przygarnął ją do siebie gwałtownie, przesuwając dłonią wzdłuż pleców, aż do pośladków. Czuła, jak zadrżał i otarł się męskością o jej zaplątane w spódnicę uda. Jęknęła i spojrzała na niego gorączkowo.

W jego oczach był ogień. Nagle z całą mocą uderzyło ją to, co właśnie robili. Jakże byli szaleni i nieodpowiedzialni! Zachowywali się jak para niesfornych kochanków, zupełnie nie zważając na konsekwencje. A przecież te musiały nastąpić!

Pomyślała o Władku i Susanne. Jak mogli oszukiwać tamtych dwoje, udając, że to, co jest między nimi, to zwykła uprzejma znajomość? Władek był jedynym mężczyzną w jej życiu i nigdy nie dała narzeczonemu powodów do zazdrości ani nie przyjmowała do głowy myśli o zdradzie. Jednak to, co czuła w tej chwili, obejmując Johanna, wykraczało ponad to, co przyzwoita panna czuć powinna. Będąc tak blisko tego mężczyzny, czuła się szczęśliwa jak nigdy dotąd, a jej ciało reagowało z nieznaną jej dotąd gwałtownością! Pragnęła go! Z całą mocą pragnęła, żeby Johann dotykał ją, całował i kochał, jak do tej pory nikt tego nie robił. Dopiero teraz zrozumiała, o czym mówiła Nina. Zdumiona odkryła, że rodzi się w niej ta tajemna, nieznaną dotąd strona jej kobiecości, która ją obezwładniała. Przy Władku nigdy tego nie czuła.

Ze wstydem odepchnęła Johanna, czując narastające pod powiekami piekące łzy. Była głupia. Młoda, niedoświadczona i głupia. Jak to się stało, że pozwoliła na coś tak nieprzyzwoitego? Tak skrajnie grzesznego? I w dodatku pragnęła tego z całą mocą!

Johann zauważył jej nagłą zmianę nastroju, bo prędko oprzytomniał. Próbował złapać ją za rękę, ale odskoczyła od niego

gwałtownie.

– Coś się stało? Pani płacze?

Nie chciała na niego patrzeć. Nie miała odwagi. Pokręciła tylko głową, wpatrując się w dudniącą od tańca podłogę. Reszta gości zdawała się nie zwracać na nich uwagi, bawiąc się nieprzerwanie.

Wreszcie odezwała się do niego ochryłym od emocji głosem.

– Proszę mnie zawieść do pani Irenki. Chcę wracać.

– Jest pani pewna? Przepraszam za to...

– Tak, jestem pewna! – odparła stanowczo, prawie krzyżąc.

Nie obchodziło jej, co myślał ani czuł. Mógł ją mieć za głupią gęś, ale nie mogła pozwolić poprowadzić się tam, skąd nie byłoby już odwrotu. Nie miała odwagi przyznać, że pragnie go tak bardzo, że przebywanie w jego towarzystwie stanowi zagrożenie dla jej czci i przyzwoitości.

Johann, widząc jej upór, poprowadził ją do wyjścia. Nie pożegnali się z biesiadnikami, ale Hania nie miała w tej chwili do tego głowy i nie czuła z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

Całą drogę powrotną przebyli w milczeniu, a kiedy grubo po północy przekroczyli bramę Richterhause, nakazała mu zatrzymać się w parku otaczającym dom, kilkaset metrów od rezydencji. Rzuciła mu tylko krótkie „dobranoc” i bez tłumaczenia wysiadła z kabrioletu, po czym nie oglądając się za siebie, szybkim krokiem podążyła w stronę domu.

* * *

Johann siedział w aucie oparty o kierownicę i patrzył na Hanię znikającą na żwirowej ścieżce. Wiedział, dlaczego to zrobiła, i nie miał jej tego za złe. Sam powinien zrobić to samo. A już na pewno nie powinien prosić jej o to, o co ją poprosił. To była droga donikąd. Nie miał prawa jej pragnąć i nie miał prawa łamać jej serca.

Coś boleśnie ścisnęło go za gardło. Cholerna babcia! Doskonale wiedziała, że zakochał się w tej dziewczynie po uszy, więc zaprosiła ją do Richterhause, żeby go dręczyć! Irene nie akceptowała Susanne i postanowiła bez mrugnięcia okiem, z premedytacją rzucić wnuka w ramiona pięknej Polki, żeby stracił rozum i zapomniał

o narzeczonej. Nie pomyślała tylko, jakie mogą być tego konsekwencje – że może unieszczęśliwić ich oboje.

Hania już dawno zniknęła mu z oczu, a on jeszcze patrzył niemo przed siebie i czuł, że jej pragnie. Do bólu. Do szaleństwa. W pierwszym odruchu, kiedy ponownie odpalił silnik samochodu, chciał za nią jechać, ale opamiętał się. I co by zrobił? Wziął w ramiona i pocałował? Tak nie wolno, ona by tego nie chciała.

Zawrócił kabriolet i postanowił, że wybierze się do Monachium.

Do mieszkania Susanne trafił przed świtem, zaraz po tym, jak wypił wystarczająco dużo w piwiarni.

– Chyba jesteś pijany – zauważyła narzeczona z sarkazmem, wyraźnie niezadowolona, że wyciągnął ją śpiącą z łóżka. – Nie wiem, co tu robisz o tej porze, ale czeka mnie jutro pracowity dzień i muszę się wyspać.

– Jeśli nie chcesz, żebym znalazł sobie jakąś dziwkę, to mnie wpuść – mruknął bez ogródek, opierając się o futrynę drzwi wejściowych. Gorączkowo badał wzrokiem jej okryte jedwabnym negliżem ciało.

Susanne przez chwilę patrzyła na niego uważnie, zaciskając usta, ale po chwili namysłu odsunęła się nieznacznie, wpuszczając go do mieszkania.

Kochali się gwałtownie, bez zbędnych pieszczot, zdzierając z siebie ubranie. Johann już w wejściu przycisnął Susanne do ściany i szarpiąc jej jedwabną koszulę nocną, wszedł w nią gwałtownie. Każdym pchnięciem próbował zrzucić z siebie pragnienie... Każdy przyspieszony oddech Susanne był dla niego jak trucizna, bo w myślach łapał oddechy innej. Wyobrażał sobie, że to ona... Że to z nią robi to wszystko... Że to jej jęki i okrzyki rozkoszy rozpalają jego zmysły.

Dużo później, leżąc w szerokim łóżu i patrząc na nagie ciało narzeczonej spowite aurą wschodzącego słońca, pomyślał, że się nienawidzi.

[3] Pucz monachijski – nieudana próba zamachu stanu w Republice Weimarskiej przeprowadzona przez Adolfa Hitlera i generała Ericha Ludendorffa w nocy z 8 na 9 listopada 1923 roku w Monachium, zakończona rozwiązaniem NSDAP i skazaniem Hitlera na pięć lat więzienia.

[4] Błonia Teresy w Monachium, na których co roku odbywa się Oktoberfest.

ROZDZIAŁ 8

Hania nie spała całą noc, a kiedy nadszedł ranek, pokojówka kulturalnie, ale stanowczo poinformowała ją, że hrabina Manuela von Richter chciałaby z nią pilnie porozmawiać i że oczekuje jej w swoim salonie.

Dziewczyna ubrała się najszybciej, jak potrafiła, i nawet nie skubnąwszy śniadania, posłusznie udała się na spotkanie z matką Johanna, ciekawa, o czym hrabina chce z nią rozmawiać.

Luksusowy styl apartamentu, do którego ją zaprowadzono, oszołomił ją nie mniej niż styl całej rezydencji. Na błyszczących mahoniowych blatach stolików pyszniły się porcelanowe wazy pełne świeżych kwiatów. Miękkie fotele i eleganckie sofy zachęcały do spoczynku, a majestatyczny marmurowy kominek dodawał całości iście królewskiego charakteru. Nad kominkiem wisiał obraz w złoczonej ramie, w którym bez trudu Hania rozpoznała kunszt Renoira.

– Panna Hanna Wolińska, jak mniemam?

Hania odwróciła wzrok od obrazu i popatrzyła na wchodzącą do salonu kobietę.

Manuela von Richter, niezwykle elegancka, wyglądała na damę – wyrafinowaną i pewną swojej wysokiej pozycji. Krótkie ciemne włosy bez cienia siwizny zaczesła w idealne fale okalające jej pociągłą gładką twarz. Nie była piękna, ale wydała się Hani na wskroś dystygowana. Nie uśmiechnęła się; prezentując postawę osoby suchej i stanowczej, nie wyciągnęła również ręki na powitanie. Stała sztywno, z ramionami spuszczoneymi wzdłuż ciała, i przyglądała się Hani wnikliwie wyjątkowo błękitnymi oczyma. Dokładnie takimi samymi jak oczy Johanna.

– Dzień dobry. – Hania starała się, żeby jej głos brzmiał uprzejmie. Poczowała lekkie skrępowanie pod wpływem świdrującego spojrzenia pani domu.

Do salonu wszedł lokaj z pytaniem, czy podać herbatę, ale Manuela zbyła go krótkim machnięciem ręki.

– Moja teściowa ma wyjątkowo wysublimowane zachcianki – odezwała się spokojnym, rzeczowym tonem. Wolno przeszła przez salon i usiadła na jednym z foteli, drugi wskazując Hani. – Zapraszanie służącej na tak wyjątkowy bal jak ten, który odbył się na otwarcie Oktoberfestu, to dość ekscentryczna zachcianka, nie uważa pani, panno Wolińska?

Hania odchrząknęła z zakłopotaniem.

– Uważa mnie pani za służącą?

– A nie jest nią pani?

– Nie. Jestem gościem pani Irene.

Manuela wykrzywiła usta w lekceważącym grymasie.

– Gość czy nie gość, moja teściowa płaciła pani za opiekę, więc jest pani służącą. Nie wiem, jak to się nazywa u was w Polsce, ale u nas sprawa jest oczywista.

Hania zażenowana osunęła się na fotel.

Manuela von Richter nie spuszczała z niej wzroku. Uważnie śledziła każdy jej ruch, jakby chciała dostrzec w niej jakieś ukryte wady, które mogłaby jej głośno wytknąć.

– Czy coś pani sobą reprezentuje, oprócz tego, że doskonale mówi pani po niemiecku i jest pani dość ładna? – zapytała po chwili. – Włada pani jeszcze jakimś językiem? Francuskim? A może angielskim? Odebrała pani wykształcenie muzyczne? Może zna się pani na sztuce?

Hania zamrugła oczami.

– Co to za pytania, pani von Richter?

– Konkretnie. Czegoś pani nie rozumie? A może jednak jest pani pozbawiona rozumu?

– Jak pani śmie!? – wyszeptała Hania oburzona, nie wierząc własnym uszom. Czuła, że robi się purpurowa z upokorzenia. – Moje wykształcenie nie powinno pani interesować!

Manuela von Richter uśmiechnęła się z przekąsem.

– Przez kilka ostatnich miesięcy ciężko pracowałam nad tym, żeby mój syn zaręczył się z Susanne Schneidhuber – odparła spokojnie i rzeczowo. – I nie pozwolę, żeby cokolwiek lub ktokolwiek stanął na drodze moich planów. Zwłaszcza ktoś taki jak pani: bez pozycji, koneksji i jakiegokolwiek przyszłości. Oczywiście pomijam fakt, że jest pani Polką, bo to już samo w sobie jest dość upokarzające.

– O czym pani mówi? – Hania była coraz bardziej zdumiona przebiegiem rozmowy. Krew tętniła jej w uszach. – Nie rozumiem, o co pani chodzi? Po co mnie pani wezwała?

– Muszę mieć pewność, że nie ma pani żadnych planów co do mojego syna. Wiem, że jest pani w nim zadurzona i nie dziwi mnie to, ale żądam, żeby kategorycznie trzymała się pani od niego z daleka! Jeśli miała pani zamiar zostać jego kochanką, to proszę o tym zapomnieć!

Hania, pociemniała ze złości i wstydu, poderwała się z fotela na równe nogi.

– To, co pani mówi, jest niedorzeczne i obraźliwe! Nie pozwolę na takie traktowanie! Nie mam żadnych planów wobec pani syna i nie zamierzam dłużej przebywać pod tym dachem!

Manuela, pełna chłodnego opanowania, bez cienia emocji skinęła głową.

– Doskonale. To właśnie chciałam usłyszeć.

Hania otworzyła usta ze zdumienia.

– I tylko tyle ma mi pani do powiedzenia? – zapytała opryskliwie.

Matka Johanna uniosła brew, wyraźnie zaskoczona.

– A liczy pani na coś więcej?

– Żądam przeprosin! Nikt nigdy nie potraktował mnie w tak niegodziwy sposób!

Manuela uśmiechnęła się z przekąsem.

– Niestety, nie mam wpływu na to, co robi moja teściowa. Liczę jednak, że szybko pani stąd wyjedzie i już nigdy nie będę zmuszona pani oglądać, panno Wolińska.

– Tego może być pani pewna! A co do pani syna, to raczej jego powinna pani zapytać, na ile poważnie traktuje swoją narzeczoną! Żegnam panią!

W drzwiach zetknęła się z Hansem von Richterem, który przystanął i zmierzył ją uważnym wzrokiem. W końcu skinął głową na powitanie, ale Hania rzuciła mu tylko krótkie „dzień dobry” i uciekła.

* * *

– Jak mogłam być tak głupia i przyjechać tu, wierząc, że jest pani moją przyjaciółką!? Oszukała mnie pani, pani Irenko! Zadrwiła ze mnie!

Irene von Richter wolno mieszała srebrną łyżeczką w filiżance z herbatą i przyglądała się Hani kątem oka. Spokojny wyraz jej twarzy tak bardzo irytował dziewczynę, że miała ochotę krzyknąć ze złości. Poczowała, że znalazła się pułapce wstydu i zażenowania. Wściekła, niemal płacząc, powtórzyła pani Irene całą rozmowę z Manuelą i stanowczo oznajmiła, że już nic nie zatrzyma jej dłużej w tym domu.

– Uspokój się, moja panno! Złość piękności szkodzi, a tobie uroda jeszcze się przyda.

Hania ciskała gromy gniewu w stronę starszej pani.

– Niech pani nie mówi do mnie w ten sposób, bo w końcu miarka się przebierze! To wszystko pani wina! To pani mnie tu ściągnęła! Podstępem!

– Och, kochanie, jak się w końcu uspokoisz i wszystko przemyślisz, sama przyznasz, że mój plan był pierwszorzędny – mruknęła hrabina, z lubością zagryzając herbatę maślanym rogalikiem.

Hania wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Plan? Jaki plan?

– Połączenia cię z moim wnukiem. On jest w tobie zakochany, widziałam to już w Gdańsku. A ty też możesz go pokochać. Widzę, jak na niego patrzysz. To dobry i wartościowy mężczyzna, a do tego niezwykle majątny.

– Pani chyba żartuje?!

Irene pokręciła głową. Na jej twarzy malował się spokój.

– Oczywiście, że nie. Zrobię wszystko, żeby mój ukochany wnuk nie ożenił się z tą... jak jej tam... – Tu machnęła ręką. – Powiedz tylko słowo, a załatwię wam ślub.

Hania stanęła jak wryta. Miała wrażenie, że grunt usuwa jej się spod nóg, a ona sama chyba zemdleje od nadmiaru emocji. Nie wierzyła w to, co słyszy. Czyżby nagle znalazła się w jakimś domu wariatów?

– Czy pani oszalała?! Czy wyście wszyscy tu oszaleli?!

Irene zmarszczyła brwi.

– Zastanów się, moja panno. Ten twój Władek nie da ci tego, co może dać ci Johann. Mój wnuk ma pieniądze i władzę, o jakiej nawet nie śniłaś, a ty jesteś piękna i inteligentna. Stanowicie doskonałą parę.

Hania roześmiała się histerycznie.

– Nie! O nie! Nie będę tego słuchać!

Wybiegła z salonu i roztrzęsiona udała się do swojego pokoju, żeby dokończyć pakowanie walizki. Ręce drżały jej tak bardzo, że nie mogła złożyć bielizny w kostkę. Wreszcie z okrzykiem bezsilnej złości wrzuciła wszystko do walizki i usiadła na niej.

Rozpłakała się. Była skończoną idiotką. Mama miała rację – co ona sobie wyobrażała, przyjeżdżając tutaj? I do tego tak obcesowo potraktowała Władka, zmuszając go, żeby zaakceptował jej głupi wyjazd! Jakim naiwnym dzieckiem była! I jaka była niemądra, dając się sprowokować Johannowi! Mało brakowało, a wpadłaby mu w ramiona!

Szlochając spazmatycznie, nie zauważyła wchodzącej do pokoju pani Irene. Kobieta stanęła nad nią i delikatnie pogłaskała po głowie.

– Przepraszam, dziecino – wymruczała dobrotliwie. – Zraniłam cię, a wcale tego nie chciałam. Kocham cię jak własną wnuczkę. Marzyłam, że możesz nią zostać i uszczęśliwić mojego wnuka. Ale masz rację: wszyscy jesteśmy szaleni.

Hania popatrzyła na panią Irene oczami spuchniętymi od płaczu. Na jej twarzy mieszały się ze sobą gniew i żal.

– Myślałam, że możecie się pokochać... Świeża krew jest potrzebna tej skostniałej do szpiku kości rodzinie – kontynuowała starsza pani. – Wiem, że bardzo mu się podobasz i ma do ciebie

słabość, i myślałam... Byłabym najszcześniejsza na świecie, gdyby tak się stało, ale teraz rozumiem, że nie mogę wami rządzić. Sami musicie tego pragnąć...

– Pani synowa mnie nienawidzi!

Irene pokręciła głową.

– Ona wszystkich nienawidzi. To prostaczka. A narzeczoną Johanna kupiła, to było jej widzimisię.

– Niech pani tak nie mówi. On sam ją wybrał.

– Bo nie znał ciebie.

Hania fuknęła ze złością. Odepchnęła rękę pani Irene i w nerwach zamknęła walizkę z pogniecioną bielizną.

– Pani nic nie rozumie, pani Irenko! To, co pani zrobiła, jest niedorzeczne! Nie można nikogo zmusić do uczuć, a już tym bardziej ich kupić. A pani próbowała mnie kupić!

– Nieprawda. Chciałam tylko, żebyś oczarowała Johanna i uratowała go przed tą lafiryndą.

Hania zmarszczyła czoło, bezsilnie kręcąc głową.

– Czy on o tym wie? – zapytała żałośnie.

– Oczywiście, że nie. Byłby tak samo wściekły jak ty. Jeśli okazał ci jakiegokolwiek względy, to musisz wiedzieć, że robił to szczerze.

– Nie chcę tego słuchać! – Dziewczyna nerwowo złapała rączkę walizki. – Żegnam, pani Irenko! Proszę więcej nie pisać do mnie listów z prośbą o przyjazd, bo tego nie zrobię! Jest mi przykro, że tak mnie pani potraktowała po tym wszystkim, co nas łączyło!

Irene patrzyła na nią z powagą. Nic nie mówiła, ale w oczach starszej pani Hania dostrzegła żal i jakby wyrzut sumienia. Jednak na to było już za późno. Czuła się oszukana i skrzywdzona, a do tego musiała borykać się ze swoimi kielkującymi uczuciami do Johanna. Jakaś część jej samej pragnęła jeszcze raz go zobaczyć, ale rozsądek podpowiadał, że za nic w świecie nie wolno jej tego zrobić. Jeszcze gotowa byłaby przyjąć propozycję pani Irenki i rzeczywiście się w nim zakochać.

* * *

Jadąc z szoferem ulicami Monachium, Hania minęła kamienicę, w której mieściło się mieszkanie Niny. Żałowała, że nie może się z nią pożegnać, ale wierzyła, że siostra Johanna zrozumie. Choć biorąc pod uwagę jej zachowanie, kiedy to zaaranżowała spotkanie Hani z Johannem, można by przypuszczać, że była w zмовie z babcią.

A co do samego Johanna, Hania starała się nie myśleć, gdzie jest i co teraz robi. Obiecała sobie, że już nigdy go nie zobaczy i kategorycznie zapomni o tym głupim zauroczeniu. Gdzieś tam z tyłu głowy tkwiły w niej jednak słowa pani Irene, że Johann zakochał się w niej jeszcze w Gdańsku. Czy to możliwe? Czy mogła zawrócić w głowie komuś takiemu jak on, z innej klasy społecznej? A gdyby mu pozwoliła, to czy uczyniłby z niej swoją kochankę? Bo przecież wbrew temu, co wymyśliła sobie pani Irene, nie mógłby chcieć się z nią ożenić. Była skromną dziewczyną, do tego Polką – co wytknęła jej Manuela von Richter – a on spadkobiercą ogromnej fortuny z arystokratycznym tytułem. Nie mogła nawet równać się z elegancką i światową Susanne.

Och, o czym ona myśli!?! Matka skarciłaby ją ostro za takie dumania! Musiała wracać do domu, do Władka i zapomnieć o tej szalonej, głupiej eskapadzie do Monachium, która nie przyniosła jej nic oprócz wstydu.

Szofer zawiózł Hanię pod sam dworzec główny. Już się zbierał, żeby wziąć od niej walizkę i towarzyszyć jej w drodze na peron, lecz ona grzecznie, choć stanowczo odmówiła i nakazała mu wracać do domu.

Wiedziała, że pociąg do Berlina odjeżdża za pół godziny – pani Irene posłała rano do miasta służącego, żeby dowiedział się o godzinę odjazdu.

Tłum na stacji był większy niż w dniu, kiedy przyjechała do Monachium. Ludzie tłoczyli się na peronie jeden przy drugim – jedni stali z walizkami przy nogach, inni siedzieli na ławkach, a jeszcze inni porozsiadali się na samych walizkach. Całe rodziny. Psy uwięzione na smyczach czekały, mając jeszcze mniej cierpliwości w czekaniu na pociąg niż ich właściciele. Jakieś dziecko zapłakało żałośnie, a jeszcze inne krzyczało na całe gardło. Raz po raz ktoś

spoglądał na wielki dworcowy zegar, by sprawdzić, ile jeszcze zostało czasu do przyjazdu pociągu.

Hania westchnęła. Nie miała co liczyć na spokojną podróż w tak zatłoczonych wagonach. Popatrzyła na rodzinę stojącą nieopodal niej, tak jak ona wyczekującą pociągu. Elegancka, choć skromna kobieta w średnim wieku trzymała kurczowo za ręce dwie kilkuletnie dziewczynki, które z zaciekawieniem rozglądały się wokoło. Mąż kobiety stał obok niej i raz po raz odzywał się zdawkowo do milczącego młodego chłopaka, który z kolei ignorował wszystko, co mówił do niego ojciec. Hania wyczuła bijące od nich jakieś trudne do opisanego napięcie, coś, przez co cała rodzina sprawiała wrażenie nieszczęśliwej albo raczej wystraszonej. Hania spojrzała na ich walizki pękate od nadmiaru upchanych w nich rzeczy. Jej pełne ciekawości oczy na parę sekund spotkały się ze wzrokiem kobiety. Strach – to najbardziej uderzyło Hanię, kiedy dotarło do niej, co dostrzeża w ciemnych źrenicach nieznajomej. Domyśliła się, że ma przed sobą rodzinę żydowską wysiedlaną z miasta. Zawstydzona własną ciekawością, odwróciła głowę i zapatrzyła się w nadjeżdżający z oddali pociąg.

Niespodziewany gwałtowny wystrzał z pistoletu dotarł do podróżnych z zaskakującą siłą, kiedy lokomotywa zaczęła powoli zbliżać się do peronu. Hania podskoczyła wystraszona. Walizka wypadła jej z ręki i z głuchym łoskotem uderzyła o kamienie, a ona sama, oszołomiona, próbowała zorientować się, co się właśnie stało. Wtem do jej uszu dobiegł przerażający krzyk i nagle rozległ się kolejny wystrzał. Na peronie wybuchła panika.

Dziewczyna, czując dudniącą w żyłach krew, złapała swoją walizkę gotowa do ucieczki. Popatrzyła na żydowską rodzinę, która stłoczyła się w ciasną grupkę. Dziewczynki zaczęły głośno płakać, a przerażona matka próbowała je uspokoić.

Przez kotłujący się na peronie tłum zaczęło przeciskać się kilkoro uciekinierów – kobiety, dzieci i mężczyźni. Niektórzy trzymali się za ręce, popychali stojących, przebiegając po rozłożonych na peronie bagażach. Tłum zaczął się rozstępować i w panice pchać się w kierunku poczekalni.

– Łapać Żydów! Te ścierwa nie mogą uciec!

Zatrwożona Hania zorientowała się nagle, że uciekający biegną prosto na nią. Odskoczyła gwałtownie i przywarła ciałem do stojącej nieopodal kolumny. Ludzie krzyczeli, słysząc było płacz i kolejne wystrzały, mieszające się z gwizdem zbliżającej się lokomotywy. Chwilę później oczom dziewczyny ukazało się kilku esesmanów z pistoletami w dłoniach, celowali prosto w biegnących. Jeden z nich trafił w głowę młodą kobietę, która osunęła się jak długa pomiędzy krzyczącymi ludźmi i zniknęła Hani z oczu, zostawiając pod jej zaciśniętymi teraz w strachu powiekami obraz tryskającej fontanny krwi z tyłu czaszki i żółtej sukienki, w którą była ubrana. Hania krzyknęła w panice, czując wzbierające mdłości. Trwoga, która ją ogarnęła, zaczęła brać górę nad jej rozsądkiem, ale instynkt kazał jej uciekać. Oderwała się od kolumny i biegiem puściła w stronę poczekalni, lecz potknęła się na jakiejś walizce i runęła na ziemię jak długa.

– Chodź! Szybko! – Ktoś gwałtownie szarpnął ją za ramię i pomógł stanąć na równe nogi. Oszołomiona zobaczyła przed sobą Niklasa von Richtera. Złapał ją brutalnie za rękę i pociągnął w stronę salki, w której tłoczyli się spanikowani podróżni uciekający z peronu. Widząc rozszalały tłum, Niklas zmienił kierunek i pociągnął ją do bocznej ściany. Tam wepchnął ją za drzwi do małego pomieszczenia, które było przebieralnią dla konduktorów.

– Niech się pani stąd nie rusza! Niedługo po panią wrócę!

Hania, szlochając, osunęła się na posadzkę. Znad kurtyny łez zobaczyła, że ma rozerwane pończochy na kolanach i skórę zdartą aż do krwi. Oczywiście jej walizka została gdzieś na peronie.

Nie wiedziała, jak długo siedziała na podłodze w ciasnej konduktorskiej kanciapie, ale w końcu drzwi się otworzyły i ponownie stanął w nich Niklas von Richter. W ręku trzymał jej walizkę. Odgłosy wystrzałów umilkły.

Esesman patrzył na nią przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy, po czym uklęknął i zerknął na jej skaleczone kolana.

– Nic pani nie jest?

– Chyba nie, oprócz tego... – Mówiąc to, wskazała na krwawiącą ranę.

– Do wesela się zagoi.

Miał na sobie mundur SS. W kaburze schował pistolet; ten sam, który jeszcze niedawno trzymał w dłoni i którym tak jak jego kompani celował w uciekających Żydów. Hania zastanawiała się, czy to on strzelił do młodej dziewczyny w żółtej sukience.

– Już po wszystkim. Pomogę pani stąd wyjść i zawiozę w bezpieczne miejsce – mówił spokojnym, opanowanym tonem.

– Miałam jechać do Berlina – odparła żałośnie.

– Pociąg już odjechał.

Przez chwilę patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Co tu się stało? – zapytała głucho.

– Nic takiego. Nie powinna pani tego oglądać. Ci ludzie, których pani widziała, to bandyci.

– Co zrobili?

– To nieważne, panno Haniu. Proszę myśleć o sobie. Pani bezpieczeństwo jest w tej chwili najważniejsze. Zabiorę panią stąd i zawiozę do Richterhause, a tam babcia się panią zaopiekuje.

– Nie! Nie mogę tam wrócić! Dzisiaj muszę wyjechać do Berlina!

– To niemożliwe. Kolejny pociąg wyjeżdża dopiero jutro o tej samej porze. – Przyjrzał się jej z uwagą. – Dlaczego nie chce pani jechać do Richterhause?

– Posprzeczałam się z panią Irenką...

– No cóż... Babcia taka już jest, ale pani wszystko wybacz. Przecież panią uwielbia.

– Nie! Pan nie rozumie! Nie mogę tam wrócić! Nikt z pańskiej rodziny nie może się dowiedzieć, że nie wyjechałam z Monachium!

Niklas przyglądał się jej z zakłopotaniem. W końcu, widząc jej twardy upór, westchnął i kiwnął głową.

– W porządku. Skoro tak, to zawiozę panią do mojego mieszkania. Jutro będzie pani mogła bezpiecznie wsiąść do pociągu.

Hania spojrzała mu prosto w oczy. Niklas wyczytał w nich wszystkie jej obawy. Zmieszał się, ale nie odwrócił wzroku.

– Proszę się nie bać, nic pani nie zrobię. Szanuję kobiety.

„Pod warunkiem, że do nich nie strzelasz” – pomyślała Hania z goryczą, ale ujęła jego dłoń, kiedy pomagał jej wstać.

Pół godziny później weszli do mieszkania Niklasa.

– Proszę czuć się jak u siebie w domu.

Hania lustrowała wzrokiem wewnątrz. Znacznie różniło się od tego, które zajmowała jego siostra Nina. To było niewielkie i skromne, ale wyjątkowo czyste i schludne. Pośrodku saloniku stał fortepian. Jego lakierowana powierzchnia majestatycznie odbijała wpadające przez otwarte okno światło słoneczne. Zdawać by się mogło, że piękny instrument jest tu najważniejszy – wręcz dominował nad resztą w taki sposób, jakby był tu głównym lokatorem.

– Pan gra? – zapytała nieco zaskoczona.

– To moja ulubiona rozrywka. Gram od dziecka. Zresztą Nina i Johann również grają na fortepianie, nasza matka zadbała o tę stronę naszej edukacji. Dla mnie muzyka jest wytchnieniem.

– Gra pan coś konkretnego?

– Pewnie będę dość banalny, jeśli powiem, że gram Wagnera. Za to fakt, że uwielbiam Chopina, pewnie pani nie zdziwi. Parę lat temu udało mi się spotkać osobiście z Siergiejem Rachmaninowem i pomimo że jest Rosjaninem, muszę przyznać, że to spotkanie było dla mnie ogromnym przeżyciem. Jego muzyka jest zachwycająca!

Hania uśmiechnęła się łagodnie. Nie pytając o zgodę, usiadła na miękkiej sofie. Czuła się nieswojo. Rozglądała się wokół, aż napotkała uważny wzrok Niklasa. Nie uśmiechał się, nie okazywał żadnych emocji, ale lustrował ją wzrokiem, jakby była eksponatem w muzeum.

Po chwili zdjął czapkę, jednak wciąż przytłaczał ją swoim ciemnym mundurem z czerwoną opaską na ramieniu.

– Powinna pani opatrzyć zadrapania – to mówiąc, wskazał na jej krwawiące kolana. – Mam jodynę. Na pewno pani pomoże.

Hania skinęła głową.

Niklas wyszedł do drugiego pomieszczenia po medykament, a ona raz jeszcze rozejrzała się po skromnym pokoju. Na niewielkim stoliku stał gramofon, a regał wypełniony był książkami, w większości niemiecką poezją – tą samą, w której Hania zaczytywała się jako studentka germanistyki. Znalazła tam również prozę swojego ulubionego Thomasa Manna i sławne *Mein Kampf* Adolfa Hitlera.

– Widzę, że jednak zainteresowała panią książka, o której wspominałem na balu? – zapytał Niklas, wchodząc do pokoju z buteleczką jodyny i opatrunkiem.

Dziewczyna niedbale wzruszyła ramionami.

– Obawiam się, że moje lenistwo raczej wygra z ciekawością nad tą pozycją – odparła szczerze.

Niklas zmarszczył brwi.

– Ale domyślam się, że wszystkich innych literatów z mojej półki doskonale pani zna – rzekł z lekką nutą złośliwości w głosie, najwyraźniej rozczarowany odpowiedzią Hani. – Proszę. Tym może pani opatrzyć kolana. – Podał jej buteleczkę i opatrunek. – Mam nadzieję, że nie boli mocno. Muszę teraz wyjść i zostawić panią samą, ale proszę się nie krępować i czuć swobodnie. Pewnie jest pani głodna, poproszę kelnera z pobliskiej restauracji, żeby przyniósł pani obiad.

– Nie musi być pan dla mnie aż tak uprzejmy, panie von Richter – odparła nieco zażenowana jego wyjątkową troską.

– Muszę. Wiem, że jest pani kimś szczególnym, zwłaszcza dla mojej babci, czuję się więc zobowiązany traktować panią z najwyższym szacunkiem.

Skierował się w stronę wyjścia.

Hania zatrzymała go w pół kroku.

– Panie von Richter, dlaczego strzelał pan do tych ludzi? – zapytała, zaskakując tym samą siebie.

Popatrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Z tą poszarpaną blizną nad łukiem brwiowym nagle wydał jej się demoniczny.

– Nieraz o pewne sprawy lepiej nie pytać, tylko zostawić je takimi, jakie są. Na niektóre rzeczy nikt z nas nie ma wpływu.

Wyszedł, a Hania została sama. Podeszła do okna i zerknęła na ulicę. Widziała, jak wsiadał do samochodu, tym razem już w czapce SS. „Jak bardzo różni się od swojego brata” – pomyślała. Był młody, równie dobrze wychowany, inteligentny, ale na wskroś zapatrzony w to, co robi. Nie widział nic złego w tym, że ta biedna dziewczyna w żółtej sukience upadła martwa po strzale w głowę. Być może to nie on do niej strzelał, może to jeden z jego kolegów, ale dla niego najwyraźniej nie miało to znaczenia. Nawet nie mrugnął okiem.

Hania dopiero teraz poczuła, że trzęsie się na całym ciele. Znużona usiadła na sofie i podkuliła nogi. Buteleczka z jodyną

i opatrunkiem leżały obok.

ROZDZIAŁ 9

listopad 1938
Monachium

Zimna listopadowa aura nie sprzyjała przejażdżkom na świeżym powietrzu, ale mimo to Johann cały ranek jeździł konno, wdychając rześkie jesienne powietrze. Choć przez chwilę czuł się szczęśliwy – jak niegdyś, kiedy swobodnie mógł decydować, co i jak będzie robił. Aż do teraz zawsze był niezależny. Matka i ojciec nie wnikali, jakie decyzje podejmuje, dopóki zarządzanie majątkiem szło, jak trzeba, a on sam stwarzał wrażenie osoby posłusznej i uporządkowanej. Jakież był głupi, myśląc, że wystarczy mieć pieniądze i odpowiednią pozycję i świat będzie leżał u jego stóp. Nagle już nic nie zależało od niego.

Może i zarządzał ogromnym majątkiem, ale powoli tracił wpływ na to, co się działo w rodzinnym interesie. Ojciec dzień po dniu zatrudniał w browarze kolejnych partyjnych aparatczyków, którzy mieli dbać o to, żeby zyski z produkcji piwa sprzyjały wyłącznie korzyściom partii NSDAP. Do tego bez zgody Johanna zerwał wszelkie kontrakty handlowe z kontrahentami pochodzenia żydowskiego.

Johann w tym czasie próbował odnaleźć się w nowej rzeczywistości jako partyjny prawnik. Wszystkie dokumenty, które każdego dnia trafiały na jego biurko, miały na celu pozbawianie żydowskich rodzin majątku i przymusowe wysiedlenie ich z terenów Trzeciej Rzeszy. Pracował w kancelarii NSDAP zaledwie miesiąc, a co wieczór wracał do domu z głową pełną żydowskich nazwisk, które za jego sprawą miały zostać pozbawione wszystkiego.

Lekarze, prawnicy, profesorowie; sklepikarze, zmiatacze ulic, matki wychowujące dzieci.

W ferworze codziennych spraw nie zorientował się również, że ojciec i matka sprzedali najlepszą klacz z ich stadniny bliskiemu krewnemu ministra lotnictwa, Hermanna Göringa. Poinformowała go o tym zdenerwowana babcia, która od czasu wyjazdu Hani Wolińskiej nie rozmawiała prawie z nikim, nie wykluczając jego.

– Jak możesz spać spokojnie, podczas gdy twój ojciec wyprzedaje nasz majątek tym kanaliom! – krzyczała, uderzając drewnianą laską o dębową podłogę. – To hańba! Wstydzę się za ciebie, Johann! Jesteś taki sam jak oni!

– Nie miałem pojęcia, że ojciec zamierza sprzedać klacz! Nie raczył mnie o tym poinformować!

– A o czym cię informuje? O tym, która rodzina jako kolejna ma zniknąć z mapy naszego wspaniałego aryjskiego państwa?

Babcia miała rację. Powoli stawał się taki sam jak oni. Niczym nie różnił się od swojego ojca i brata – był oprawcą w białych rękawiczkach, który jednym podpisem pozbawiał ludzi dachu nad głową i skazywał ich na tułaczkę. I dla kogo to robił? Dla rodziny i dla Susanne – dla ich świętego spokoju. Bo takie były czasy. „Albo jesteś z nimi, albo przeciwko nim” – jak mantrę skrupulatnie powtarzała jego narzeczona.

On i Susanne prawie się nie widywali. Jego narzeczona poświęcała czas wyłącznie na pracę w muzeum, a on specjalnie nie szukał jej towarzystwa. Raz towarzyszył jej w podróży do podrzędnego magazynu na przedmieściach Monachium, w którym ukryte były dziesiątki przeróżnych dzieł sztuki – od rzeźb i statuetek po obrazy. Susanne i towarzyszący jej marszand twierdzili, że są to dzieła sztuki kupione od bogatych kupców na rzecz skarbu Trzeciej Rzeszy, ale on nie miał wątpliwości, że dzieła Rafaela, Tycjana czy Moneta, które tam widział, należały do żydowskich magnatów wydalonych z Niemiec i obrabowanych z majątku. Wywołało w nim to falę złości, którą Susanne szybko stłumiła, twierdząc, że zachowuje się jak podejrzliwy demokrat, i stanowczo zabroniła mu rozgłaszać te rewelacje komukolwiek. Od tamtego momentu ich stosunki uległy znacznemu ochłodzeniu. Byli narzeczonymi

wyłącznie pro forma, nawet nie wyznaczyli jeszcze daty ślubu. Jemu zresztą się z tym nie spieszyło. Jego myśli, pomijając zagęszczającą się wokół nazistowską atmosferę, zaprzętała panna Wolińska. Od jej wyjazdu z Monachium minął ponad miesiąc, a on nadal nie mógł o niej zapomnieć. Była w jego myślach każdego wieczora, kiedy nalewał lampkę koniaku i ponuro wpatrywał się w ogień w kominku. Miał poczucie straty, a równocześnie wzbierała w nim złość, że tak łatwo dał się omamić jej pięknym oczom. Tęsknił za nią, choć nie zdążył spędzić z nią więcej czasu ponad to, na co udało mu się ją namówić. Zburzyła jego spokój, wyrzuciła jego uporządkowany świat do góry nogami i zostawiła go bez cienia nadziei czy choćby krzty wzajemności.

Ale czego się spodziewał? Że dziewczyna rzuci wszystko i wpadnie mu w ramiona? Zamiast tego spakowała walizkę i wyjechała z Monachium bez słowa.

– Pański ojciec czeka na pana w gabinecie – poinformował go kamerdyner, kiedy Johann wrócił z konnej eskapady do domu.

– Niech poczeka. Muszę się wykąpać – odparł ponuro, rzucając na stolik z kwiatami rękawice do konnej jazdy.

Do gabinetu wszedł pół godziny później.

– Zdajesz sobie sprawę, że sprzedaliście najlepszą klacz rozplodową w naszej stadninie? – zaczął bez ogródek. – Jeśli myślisz o likwidacji stadniny, chciałbym o tym wiedzieć!

– Nie dramatyzuj, synu. Mamy jeszcze co najmniej dwie piękne klaczki, które dadzą nam dorodne źrebaki.

– Ona była warta najwięcej!

– I dlatego najwięcej za nią wziąłem.

Przez chwilę ojciec i syn mierzyli się wzrokiem.

– Führer jest z ciebie ogromnie zadowolony. Jesteś moją dumą w partii, synu.

Johann zacisnął zęby, ale nie odpowiedział.

– Zapewne słyszałeś już o zamachu w Paryżu na naszego dyplomatę, Ernsta von Ratha? Zabiła go jakaś żydowska świnia. Nie możemy tej sprawy zostawić bez konsekwencji. Führer za trzy dni będzie przemawiał w piwiarni. Musisz tam być.

– Nie zamierzam – odparł Johann. – Nie zobaczycie mnie tam. Nie będę słuował wynurzeń tego szaleńca.

Ojciec uderzył otwartą dłonią w mahoniowe biurko.

– Zapominasz się! Myślisz, że jak długo będę mógł cię przed nimi kryć?! Wszyscy mówią o tym, że nie darzysz należywym szacunkiem Führera i ministrów! W końcu ktoś każe ci za to zapłacić!

– I co zrobisz?! Zamkniesz mnie w Dachau jak przyjaciela Niny? A może zostanę wysiedlony jak większość ludzi, z którymi jeszcze niedawno robiłeś interesy?!

– Na litość boską, opamiętaj się! Nie widzisz, co się dzieje? Nie cofniemy czasu! Idziemy prosto przed siebie i nic na to nie poradzisz! Niemcy w końcu mogą być wielkim narodem bez wstydu i hańby, a ty jak dzieciak mażesz się, że kogoś z twoich znajomych deportowano! Tu chodzi o naszą przyszłość! Moją, twoją, twoich dzieci! Bądź dumny, że spotyka cię zaszczyt obcowania z wielkim człowiekiem, który zmienia bieg historii! Bądź prawdziwym i dumnym Niemcem!

– Co za brednie! – prychnął Johann.

Nalał sobie whisky i wypił ją jednym duszkiem.

– A mnie zwracasz uwagę, że nadużywam alkoholu. – Hans spojrział na niego z ironią. – Psujesz się, mój synu.

Johann zmarszczył brwi.

– To ty i tobie podobni się psujecie! Psujecie siebie i ten kraj! Ale ja nie będę waszym psem gońcym! Chcesz mieć ludzi na sumieniu? Proszę bardzo! Jednak mnie do tego nie mieszaj!

Odstawił na tacę pustą szklankę, a zrobił to z taką siłą, że ta z brzękiem pękła na dwie części.

– Ale przecież dla ciebie Żydzi to nie ludzie! – wysyczał zdenerwowany, cedząc słowa.

Wychodząc z salonu, natknął się na babcię, która stała w holu oparta o laskę i najwyraźniej podsłuchiwała ich rozmowę. Nie powiedziała nic, ale jej poważna mina zdradzała wszystko.

Johann spuścił głowę i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami.

* * *

Obudził się, słysząc za oknem stłumione okrzyki i brzęk tłuczonego szkła.

Popatrzył na Susanne, która leżała u jego boku, ale ona najwyraźniej nic nie słyszała, bo spała spokojnie. Po cichu wstał z łóżka, żeby jej nie obudzić, i podszedł do okna.

Daleko, ponad dachami miasta, widać było jasną łunę i smugę dymu unoszącą się po bezchmurnym nocnym niebie.

„Synagoga płonie!” – pomyślał z przerażeniem, czując nieprzyjemny skurcz żołądka. Spojrzał na ulicę oświetloną lampami i zobaczył grupę kilkunastu mężczyzn podążających hardo wzdłuż kamienic. Ubrojeni byli w pałki i metalowe pręty, którymi co jakiś czas z całej siły uderzali w witryny sklepowe. Wyłącznie te, które należały do Żydów. Przy każdym uderzeniu w szybę wystawy wraz z odgłosem tłuczonego szkła słychać było ordynarne i wulgarne okrzyki wzywające do zemsty na żydowskich świniach.

Wstrząśnięty odsunął się od okna i usiadł na łóżku. Zaczęło go mdlić. Pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

Tak jak zapowiedział ojcu, nie pojawił się w piwiarni na spotkaniu z Führerem, ale po tym, co zobaczył teraz za oknem, domyślił się, o czym tam rozmawiano. Był pewien, że to Hitler wydał rozkaz zniszczenia żydowskiego mienia w mieście, w akcie zemsty za zamach na dyplomatę Ernsta von Ratha, którego podobno zabił młody Żyd przymusowo wysiedlony z Niemiec. Johann nie miał wątpliwości, że jego młodszy brat wraz z oddziałem SS i policją szturmowali teraz żydowskie dzielnice i wyciągali niewinnych ludzi z łóżek, żeby dokonać na nich barbarzyńskich aktów zemsty.

– Nie śpisz?

Odwrócił się i popatrzył na Susanne. Przyglądała mu się zamglonym od snu wzrokiem, z blond włosami rozsypanymi na poduszce.

– Słyszysz, co się dzieje na ulicach? – zapytał ponuro.

Uniosła się na łokciach i wsłuchiwała w odgłosy rozboju dochodzące z zewnątrz.

– Coś się stało?

– Bojówkarze niszczą witryny żydowskich sklepów. Widziałem też, że płonie synagoga w centrum.

– Dobrze, że nie ma tu sklepu moich rodziców – odparła Susanne szeptem.

Popatrzył na nią z niesmakiem.

– Twoim rodzicom nic nie zrobią.

– Skąd wiesz? Mogą się przecież pomylić...

Johann wstał z łóżka i zaczął się pospiesznie ubierać.

– Co robisz?

– Idę na miasto zobaczyć, co się dzieje.

– Nie idź! To może być niebezpieczne!

Wyskoczyła z pościeli i objęła go za szyję. Była naga i ciepła.

Przejechał dłonią po jej plecach i odepchnął ją lekko na łóżko.

– Idź spać. Ja nie mógłbym już zasnąć.

– Będę się o ciebie martwić.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

– Spakujmy się i wyjedźmy stąd, Susanne. Najlepiej jutro – wyszeptał, chowając twarz w zagłębieniu jej szyi.

– Dokąd?

– Do Paryża. Tu jest zbyt duszno. Atmosfera tego miasta zaczyna mnie przytłaczać.

– Nie mogę. Mam tu pracę. Nie mogę wszystkiego rzucić, bo szybko znajdą kogoś na moje miejsce.

– Znajdziesz sobie inną pracę, w Paryżu. Tam jest mnóstwo muzeów i galerii sztuki.

Susanne rozparła się w pościeli, eksponując przed nim swoje mlecznobiałe ciało oświetlone blaskiem księżyca.

– Gadasz głupstwa, bo ktoś za oknem wybił witrynę sklepową? – odparła z przekąsem. – Co cię to obchodzi? Niech robią, co chcą, my żyjemy po swojemu. – Przeciągnęła się zmysłowo jak kotka i rozchyliła przed nim uda.

Przez chwilę patrzył na nią, a oddech mu przyspieszył. W tym momencie wrzawa za oknem jakby się wzmogła i do uszu Johanna dotarły okrzyki i w odpowiedzi na nie czyjś lament. Gwałtownie podniósł się z łóżka.

Wychodząc, nie spojrzął na Susanne.

– Miasto wygląda jak po wojnie. Niektóre dzielnice są zupełnie zniszczone, a synagogi spalone do fundamentów.

Irene popatrzyła na Johanna z uwagą. Od kilkunastu minut wnuk siedział w jej salonie, ale nie miała pojęcia, po co przyszedł. Rzadko robił to bez powodu. Dopiero teraz dał upust temu, co go trapi.

– A ludzie? – zapytała z powagą.

– Pociągi krążą tam i z powrotem. Podobno większość albo deportowano, albo wywieziono do obozów. Ci, co zostali, pewnie wkrótce sami uciekną. – Przeczesał palcami jasne włosy. – Gdybyś widziała, co oni robili... Strzelali do nich jak do kaczek.

– Czy Niklas maczał w tym palce? Brał w tym czynny udział?

Johann popatrzył na babcię zmęczonym wzrokiem.

– Nie wiem. Nie widziałem go.

Irene wstała i wolno krążyła po pokoju, postukując laską o podłogę.

– Źle się dzieje. Nie mogę patrzeć na tego durnia z wąsem, który myśli, że zbawia świat. A ty, mój drogi, jeszcze mu w tym pomagasz!

– to mówiąc, przystanęła i wbiła we wnuka oskarżycielskie spojrzenie. – Jestem już stara i niewiele życia mi zostało, ale nie chcę patrzeć, jak marnujesz własne dla jakiegoś bandyty!

Johann milczał. Irene widziała, że wydarzenia poprzedniej nocy rozgrywające się w mieście wstrząsnęły nim do głębi. Większość ludności żydowskiej Monachium została ograbiona z mienia. Dokonywano brutalnych aktów wandalizmu i bezprawia. Ludzi wyciągano nocą z ich domów i bito, a Johann stał się nawet naocznym świadkiem brutalnego gwałtu na młodej dziewczynie.

Wstrząśnięty patrzył na te obrazy, bez celu przemierzając ulice miasta. Nie śmiał zaprotestować. Nie miał broni ani niczego, co mogłoby dać mu szansę w starciu z bandą uzbrojonych i wściekłych bojówkarzy pastwiących się nad wszystkim, co żydowskie.

O świcie wrócił do mieszkania.

Susanne nadal spała, nieświadoma tego, co działo się w mieście. Nie budząc jej, zabrał swoje rzeczy i wyszedł z postanowieniem, że wyjeżdża z Monachium. Z Susanne czy bez niej – nie miało to dla niego specjalnego znaczenia.

– Postanowiłem, że jutro z samego rana ruszam do Paryża – oznajmił babci.

Irene przystanęła i wbiła w niego wzrok.

– Sam?

– Pytasz o Susanne? Nie jedzie ze mną. Woli zostać tutaj.

– I dobrze – odparła staruszka z nutą satysfakcji w głosie. – W takim razie po co ci Paryż? Jedź do Warszawy!

– A co miałbym tam robić? – zapytał zdumiony. – Oglądać konie, jak to sugerowałaś jakiś czas temu?

Starsza pani westchnęła z irytacją.

– Myślę, że miałbyś tam lepsze rzeczy do roboty. Nigdy nie byłeś w Warszawie, a może powinienes...

Johann patrzył na babcię, udając, że nic nie rozumie. W końcu wstał i bez słowa podszedł do stolika z alkoholami. Nalał sobie sporą porcję whisky.

– Miałaś od niej jakieś wieści? – zapytał w końcu niby od niechcienia, usiłując sprawiać wrażenie, że bardziej zajmuje go teraz bursztynowa barwa trunku w trzymanej w ręce szklance.

– Mówisz o pannie Wolińskiej?

– Owszem.

Irene przez chwilę milczała, grając na emocjach wnuka. Widziała, jak bardzo się męczył. Jak udawał, że dziewczyna, o której mówili, nic go nie obchodzi – a przecież w głębi serca pragnął mieć ją blisko.

– Wiem tylko tyle, że cała i zdrowa dojechała do Warszawy. Napisała również, że w Boże Narodzenie planują z Władkiem ogłosić datę ślubu.

– Więc jednak... – mruknął.

– Dziwi cię to? Nie zrobiłeś nic, by ją zatrzymać! Podałam ci ją na tacy, a ty pozwoliłeś jej odejść, choć skręca cię teraz w środku na myśl, że poślubi innego!

– Panna Wolińska nigdy niczego mi nie obiecywała i ja również nigdy nie okazałem jej, że...

– Głupiec z ciebie! Ale skoro tak stawiasz sprawę, proszę, nie pytaj mnie o nią więcej. Jedź do Paryża i bądź tam szczęśliwy!

ROZDZIAŁ 10

styczeń 1939

Warszawa

– Panno Wolińska, w swojej pracy dyplomowej za wszelką cenę próbuje pani udowodnić, że Heinrich Heine nie był patriotą.

Hania chrząknęła, ale nie pozwoliła profesorowi Wajchmanowi zbić się z tropu. Doskonale wiedziała, że było to jedno z jego podchwytliwych spostrzeżeń mających na celu sprawdzenie, jak bardzo studentka przykłada się do swojej pracy magisterskiej.

– Ależ nic z tych rzeczy, panie profesorze. Sam pan przyzna, że w satyrach Heinego wyraźnie widać jego radykalne poglądy, ale nie ma to nic wspólnego z brakiem patriotyzmu.

Profesor patrzył na nią spod okrągłych okularów i uśmiechnął się pod nosem.

– No tak... Może mieć pani rację. Proszę opisać to na przykładzie i przynieść mi za tydzień. Na dziś to tyle. Chyba że ma pani do mnie jakieś pytania.

– Nie, panie profesorze.

– W takim razie widzimy się za tydzień. I proszę pamiętać o zajęciach z panną Klarą. Ona bardzo na panią liczy!

– Oczywiście, panie profesorze.

Hania zebrała do teczki swoje rękopisy ze szkicem pracy magisterskiej. Bała się, że profesor Wajchman, który był jej promotorem, nie zaakceptuje tego, w jaki sposób zamierzała przedstawić twórczość Heinricha Heinego, ale najwyraźniej martwiła się niepotrzebnie. Profesor był człowiekiem o świątym umyśle, akceptującym niekiedy dość kontrowersyjne tezy swoich studentów.

Myśląc o tym, wyszła z budynku kolegium germanistyki i znalazła się na brukowanym placu uniwersyteckim, otoczonym zewsząd krużgankami okazałego budynku.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem Warszawa została zasypana śniegiem, ale w tej chwili nie było już po nim śladu. Biały puch roztopił się zupełnie, pozostawiając po sobie wspomnienie w postaci brudnych kałuż. Tylko ciężkie sine chmury, z których raz za razem padała marznąca mżawka, i przeszywający zimnem wiatr dawały znać, że zima nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Hania opatuliła się płaszczem obszytym futrem i poprawiła na głowie kapelusz z niewielkim rondem. Zamierzała udać się na przystanek tramwajowy i pojechać do Śródmieścia, gdzie mieszkała jej uczennica Klara Wencel, której udzielała prywatnych lekcji z języka niemieckiego. Pieniądze z tego były niewielkie, ale dziewczynka miała ogromny językowy talent i Hania po prostu lubiła być jej nauczycielką. Miała też nadzieję, że pomoże jej to w niedalekiej przyszłości w znalezieniu pracy w szkole.

Zrobiła kilka kroków, zręcznie omijając większe kałuże, i nagle zatrzymała się jak wryta.

Na środku pustego placu uniwersyteckiego stał Johann von Richter. Jego wysoka sylwetka w eleganckim wełnianym płaszczu i butach z wysokimi cholewami wyraźnie odznaczała się na tle szarego bruku. Mężczyzna, z twarzą zaróżowioną od zimna, trzymał w dłoni kapelusz i patrzył na Hanię.

Dziewczyna była jak słup soli. Bała się zrobić krok do przodu z obawy, że nogi odmówią jej posłuszeństwa albo że co gorsza stojący przed nią mężczyzna rozplynie się w powietrzu niczym senna mara.

W końcu to on poruszył się pierwszy i powoli zbliżył do niej, niepewnie obracając w dłoniach kapelusz.

– Panno Haniu...

Był niezwykle przystojny. Może nawet bardziej niż wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni. Na jego twarzy malowały się wszystkie emocje, a ona napawała się tym obrazem.

– Co pan tu robi? – zapytała prawie szeptem, dziwiąc się, że może cokolwiek z siebie wydusić.

– Czekam na panią.

Gapiła się na niego zupełnie oszołomiona, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Czuła tylko, że zdradzieckie serce wali jej w piersi jak oszalałe.

– Miałem nadzieję, że panią tu spotkam – rzekł, starając się przerwać krępującą ciszę.

– Jak pan mnie tu znalazł?

– To akurat nie było trudne. Poszedłem do dziekanatu i tam poinformowano mnie, że ma pani dziś seminarium w tym miejscu.

– Zadał pan sobie sporo trudu. Po co?

– Bo pragnąłem panią zobaczyć.

Wiedziony instynktem złapał ją za rękę osłoniętą rękawiczką, ale ona wyrwała mu ją jak oparzona.

– Co pan wyprawia?! – krzyknęła nieco zbyt ostro, ale jego zachowanie zbiło ją z tropu. Zmrużyła oczy jak kotka. – Proszę stąd iść! Nie chcę pana widzieć! – Zrobiła krok do przodu, żeby go ominąć, ale Johann złapał ją za ramiona i gwałtownie przyciągnął do siebie, pochylając się nad jej ustami. Najpierw zaskoczona, poczuła jego zapach i bijące od niego ciepło. Coś nieznośnie gorącego rozeszło się po całym jej ciele, kiedy ją pocałował. Instynktownie uniosła się na palcach i złapała go za poły kołnierza, chcąc bardziej poczuć pulsujący w nim ogień, ale kiedy objął ją mocniej i przyciągnął do siebie, całując z coraz większą pasją, odepchnęła go z całej siły. I nim zdążył zareagować, gwałtownie uderzyła go otwartą dłonią w twarz.

– Jak pan śmie! – krzyknęła, drżąc na całym ciele. Rozejrzała się wokół gorączkowo, by się upewnić, że nie obserwuje ich nikt ze studentów czy, nie daj Boże, wykładowców.

Johann patrzył na nią oszołomiony, dotykając dłonią piekącego od uderzenia policzka. Jego oddech był chrapliwy, nieregularny, a głodne oczy przenikliwie szukały jej ust, które przed chwilą tak ochoczo mu oddała.

– Mógłbym przysiąc, że przed sekundą czuła pani to samo co ja – odparł niewyraźnie.

– Jest pan bezczelny! Pod przykrywką dżentelmena pojawia się pan tu jak duch i napastuje mnie, narażając na śmieszność

i niestosowne plotki!

– Pragnąłem panią zobaczyć! Od kiedy pani wyjechała, nie mogę przestać o pani myśleć!

Hania poczuła, że grunt usuwa jej się spod nóg. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, badając się wzrokiem, szukając w sobie wzajemnie pragnienia, aż wreszcie dziewczyna pokręciła energicznie głową.

– Nie wiem, co pan tu robi, ale nie ma pan w sobie krzty honoru! Jeśli to babcia pana przysłała...

– Nie! – przerwał jej gwałtownie i zrobił krok w jej stronę. – Moja babcia nie ma z tym nic wspólnego.

– Tym gorzej dla pana! Jak pan może tak bezczelnie oszukiwać swoją narzeczoną! W ogóle jej pan nie szanuje! Nie mówiąc już o mnie! Myśli pan, że jestem jakąś ladacnicą, którą można zaczepić na ulicy w dowolnym czasie i żądać rozkoszy? Za kogo pan mnie uważa? – Patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, a złość brała górę nad uczuciem, jakie do niego żywiła. – Za kogo pan się uważa? Za bogacza, który może mieć wszystko?

– Ma pani rację. To, co zrobiłem, było niewybaczalne, ale nie opierała się pani zbyt mocno!

Podeszła do niego szybko i po raz drugi uderzyła go w twarz. Tym razem dostrzegła, jak Johann w złości zaciska szczękę. Odsunął się od niej na bezpieczną odległość.

– Proszę mnie więcej nie napastować! – warknęła stanowczo.

Nie protestował, kiedy go wyminęła i pewnym krokiem ruszyła przed siebie.

Dopiero kiedy znalazła się przecznicę od placu uniwersyteckiego, weszła w przypadkową bramę, oparła się o zimną ścianę kamienicy i zaczęła płakać.

* * *

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Hania zdezorientowana popatrzyła na Lucynę, która wbijała w nią karcące spojrzenie.

– Ciągłe błędzisz gdzieś myślami. Co się dzieje?

Dziewczyna niedbale wzruszyła ramionami i ponownie zabrała się za prasowanie malutkich sweterków dla dzidziusia.

– Nic się nie dzieje. Myślę o mojej pracy magisterskiej. Zostało mi niewiele czasu, żeby ją napisać – skłamała.

Lucyna złożyła w idealną kostkę malutki kaftanik i położyła na stertę innych, tak samo starannie wyprasowanych i złożonych. Wszystkie te śliczne ubranka pomału zapełniały komodę w nowo urządzonym pokoju dla dziecka.

– Przecież doskonale sobie poradzisz. Jesteś zdolną studentką. Może nie taką prymuską jak Władek, ale...

Hania westchnęła.

– Pewnie masz rację. Niepotrzebnie się przejmuję.

W rzeczywistości jej myśli błądziły w zupełnie innym kierunku. Od spotkania z Johannem minęły dwa dni, a ona czuła się przez cały ten czas, jakby wstąpiła do piekieł. Nie miała pojęcia, co von Richter robił w Warszawie, ale udawała przed samą sobą, że nic ją to nie obchodzi. Wyrzuty sumienia walczyły w niej z bezustannym rozpamiętywaniem przyjemności, jaką odczuwała, będąc z Johannem. Wstydziała się tego, ale nie mogła zapomnieć. Smak jego ust prześladował ją w dzień i w nocy, doprowadzając do szaleństwa, wzbudzając przemożną tęsknotę. Z tego powodu udała wczoraj, że jest chora, byle tylko nie spotkać się jak co dzień z Władkiem i nie musieć patrzeć mu w oczy. Nie chciała go oszukiwać. Nie potrafiła. Gardziła sobą, że tak łatwo dała się zmanipulować Johannowi i pozwoliła, żeby wywrócił jej świat do góry nogami, ale prawda była taka, że nie umiała o nim zapomnieć. Matka również zauważyła jej niecodzienne zachowanie, ale na pytanie, co się dzieje, Hania odpowiedziała na odczepne, że pewnie dopadła ją zimowa chandra.

Lucyna zaaferowana sporządzaniem wyprawki dla dziecka szybko przestała drążyć temat. W skupieniu pieściła palcami delikatny materiał, a jej oczy błyszczały radością i przestała zwracać uwagę na rozkojarzenie przyjaciółki.

Hania pomyślała, że Lucyna jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie, jak teraz. Jak tylko minęły jej początkowe dolegliwości, ciąża

stałą się dla przyszłej mamy prawdziwym błogosławieństwem i dodała jej nieziemskiej wręcz urody.

– Pytałam, czy przyjdziecie jutro z Władkiem do nas na kolację. Janek przyjeżdża z garnizonu.

– No pewnie! Chętnie zobaczę się z braciszkiem!

– Przygotuję coś pysznego, a wy przynieście dobre wino. Jeszcze nie wznieśliśmy toastu za Władka, a przecież ten jego projekt willi dla córki Bluma to prawdziwy sukces.

Hania przytaknęła z satysfakcją.

– Owszem. Jestem z niego bardzo dumna. Dostał już nowe zlecenia.

Lucyna zachichotała.

– Niedługo będziesz żoną szanowanego architekta! Szkoda tylko, że ślub planujecie na krótko przed moim rozwiązaniem, bo będę wyglądała jak beczka piwa!

Hania cmoknęła przyjaciółkę w policzek i z czułością pogłaskała ją po okrągłym brzuchu. Starła się zachowywać normalnie, ale na wzmiankę o ślubie coś boleśnie ścisnęło ją w żołądku.

– Będziesz wyglądała pięknie!

Lucyna westchnęła.

– Haniu, trochę się martwię... Janek cały czas siedzi w koszarach. Od Bożego Narodzenia prawie go nie widuję.

– Wiem, Lucynko, ale myślę, że niewiele możemy na to poradzić. Janek jest oficerem, a to zobowiązuje go do ciągłego przebywania w wojsku.

– Janek mówi, że będzie wojna. Twierdzi, że Niemcy zbroją się na potęgę, a my jesteśmy sojusznikami Anglii i Francji i nie możemy im na to pozwolić. Niewiele z tego rozumiem, ale trochę mnie to przeraża...

Hania przypomniała sobie obraz defilującego Wehrmachtu na ulicach Monachium.

– Nie martw się tym zawczasu. Myśl o dziecku. Tylko to powinno cię zajmować.

W oczach Lucyny niespodziewanie pojawiły się łzy, ale potrząsnęła głową na znak, że Hania ma rację.

– Jestem głupia, niepotrzebnie się przejmuję – zaczęła z wyrzutem
– ale czuję się taka samotna! Mama prawie mnie nie odwiedza... Od czasu, gdy nie rozmawia z ojcem, zupełnie jakby o mnie zapomnieli. Przysyłają mi tylko gosposię do pomocy.

Hania przerwała pracę nad prasowaniem i popatrzyła z troską na Lucynę.

– Twoi rodzice wciąż się nie pogodzili?

Lucyna pokręciła głową, a zbląkana łza popłynęła po jej policzku.

– Nie. Ojciec nie akceptuje tego, że mama wystawia swoje obrazy publicznie. Mówi, że to go upokarza.

– Twoja matka ma ogromny talent!

– Może i tak, ale ojciec chyba ma rację. Po co jej to? Tyle lat żyła z nami w domu i nagle zachciało jej się sławy!

Hania westchnęła.

– A ja chyba twoją matkę rozumiem – rzuciła stanowczo. – My, kobiety, musimy wychodzić za męża, rodzić dzieci, zajmować się domem... A czemu nie możemy jak mężczyźni robić czegoś, co sprawia nam przyjemność?

Lucyna popatrzyła na przyjaciółkę zgorazona.

– Co ty mówisz!

Hania wzruszyła ramionami.

– Mówię tylko, że rozumiem twoją matkę.

Ona sama powoli pozbywała się złudzeń, że Władek pozwoli jej pracować. Odkąd zaczął zarabiać spore pieniądze, ciągle powtarzał, że stać go na utrzymanie żony i nie ma potrzeby, żeby po studiach szukała sobie pracy. A Hania w takich momentach jeżyła się ze złości i uparcie powtarzała, że zamierza pracować, czy mu się to podoba, czy nie.

* * *

Hania z uwagą przyglądała się bratu, który w skupieniu jadł kolację. Raz po raz spoglądał na siedzącą u jego boku Lucynę i obdarzał ją zdawkowym uśmiechem albo głaskał czule po dłoni.

Dostrzegła, że Janek bardzo spoważniał przez ostatnie tygodnie. Stał się milczący i mniej skory do żartów niż jeszcze kilka tygodni

temu, kiedy razem z Władkiem wygłupiali się z byle powodu. Gdzieś zniknęła jego młodość i beztroska, a w to miejsce pojawiła się męska powaga. Hania tłumaczyła sobie, że pewnie małżeństwo i rychłe ojcostwo sprawiły, iż brat postanowił się usatkwować. Nie dopuszczała do siebie myśli, że być może martwi się tym, co ona widziała w Monachium. Bezustannie prześladowały ją w myślach obrazy purpurowych sztandarów ze swastyką, powiewające na każdej fasadzie w stolicy Bawarii, i brutalna nagonka na Żydów, której świadkiem była na dworcu, a o której nadal nie mogła zapomnieć.

– Władziu, słyszałem od Lucyny, że twoje projekty sprzedają się doskonale! – rzucił Janek do przyjaciela. – Jak tak dalej pójdzie, to moja siostra zamieszka w najpiękniejszej willi w Warszawie! – to mówiąc, puścił do Hani oko.

– Najpierw musimy wziąć ślub, a później zbuduję Hani prawdziwy pałac!

– Najpierw zbuduj te domy, na które masz zlecenia – odparła Hania pobłażliwie. – Janku, jak długo zostaniesz w domu? – zwróciła się do brata. – Twoja żona się zamartwia, że ciągle siedzi sama w domu.

– Niestety, już jutro wracam do garnizonu. Szykuje się oficjalna wizyta ministra spraw zagranicznych Niemiec, a mój batalion będzie w tym czasie pełnił wartę honorową.

Władek prychnął z oburzeniem.

– A po co ten Fryc tu przyjeżdża? Do czego nam oni potrzebni? Tak ciężko im zrozumieć, że Polacy nie chcą się z nimi bratać?

– Pewnie Hitler wysłał Ribbentropa, żeby ten wznowił rozmowy na temat Gdańska – mruknął Janek drwiąco, upijając łyk wina.

– A co z tym Gdańskiem? – zapytała Hania szczerze zainteresowana.

– Hitler złożył Beckowi propozycję, żebyśmy oddali im Gdańsk i zgodzili się na przeprowadzenie niemieckiej autostrady przez Pomorze. Beck odmówił.

– Nad Gdańskiem już powiewa swastyka – odparła Hania gorzko. – Gdańsk jest na wskroś niemiecki, a Polacy są tam obywatelami drugiej kategorii.

Nagle nad stołem zapadła niezręczna cisza, a Janek i Władek spojrzeli na Hanię skonsternowani.

– Siostrzyczko, co ty mówisz?

– Mówię prawdę – mruknęła, starając się jednak nadać swojemu głosowi lekki ton. – Gdańszczanie to w większości Niemcy.

Władek złapał Hanię za rękę i popatrzył jej pobłażliwie w oczy.

– Hanuś, twoje słowa są bardzo nierozsądne. To Polska sprawuje zwierzchnictwo na Gdańskiem! Poza tym nie zajmuj sobie tej ślicznej główki polityką... Od tego masz brata i narzeczonego – dokończył pobłażliwie.

Hania oburzona wyrwała mu rękę.

– Może nie znam się na polityce, ale byłam w Gdańsku i wiem, co widziałam!

Lucyna z łoskotem odsunęła krzesło i wstała dość niezgrabnie, opierając dłonie na wydatnym brzuchu.

– Zamiast się sprzeczać i gadać o polityce, lepiej posłuchajmy muzyki!

Nastawiła gramofon i za chwilę wybrzmiały z niego dźwięki muzyki swingowej, która z powodzeniem zaczynała gościć w liberalnych polskich domach, zdobywając również serce zasiedziałej w domu i tęskniącej za dancinami Lucyny.

Atmosfera po chwilowej konsternacji rozluźniła się na tyle, że młodzi, śmiejąc się, zaczęli tańczyć i śpiewać, zapominając o polityce, Hitlerze i troskach dnia codziennego. Nawet Hania wyrzuciła ze swoich myśli obraz Johanna von Richtera, próbując całą uwagę skupić na narzeczonym. Pozwalała mu na śmiały dotyk, ukradkowe pocałunki; śmiała się, kiedy mruczał jej do ucha, że pragnie jej do szaleństwa.

– Moich rodziców nie ma w domu. Wyjechali do rodziny do Konstancina. Może pójdziemy do mnie?

– Mój narzeczony chce być ze mną sam na sam? – zapytała figlarnie, drocząc się z nim. – Czy to wypada?

Mocno ją przytulił.

– Marzę o tym, kochanie – wyszeptał jej do ucha.

– No cóż... Może jeszcze nie teraz, jeszcze z tym poczekajmy. Jestem dziś trochę zmęczona.

Władek westchnął ciężko, wyraźnie rozczarowany.

– Wciąż niedostępna. Kiedy w końcu pozwolisz mi na więcej?

– Kiedy będę na to gotowa – odparła, udając szczerość, ale wiedziała, że to nieprawda.

Ukrywała przed narzeczonym, że chciała czegoś innego – kogoś innego – ale nie miała odwagi się do tego przyznać.

ROZDZIAŁ 11

Na drugi dzień Hania niespodziewanie otrzymała oficjalne wezwanie na pilne spotkanie z rektorem uniwersytetu.

Profesor Włodzimierz Antoniewicz powitał ją w swoim gabinecie rektorskim, wstając zza dębowego biurka i kurtuazyjnie całując w dłoń.

– Witam szanowną studentkę. Cieszę się, że tak szybko zechciała pani przybyć, zważywszy na to, że sprawa jest dość pilna.

Hania nie miała pojęcia, po co została wezwana przed oblicze Jego Magnificencji, ale jej zdenerwowanie sięgnęło zenitu już na korytarzu. Martwiła się, czy przypadkiem nie przesadziła z radykalizmem w twórczości Heinego i czy rektor nie zamierzał sprowadzić jej do parteru.

– Proszę usiąść, panno Wolińska. Mogę zaproponować pani filiżankę herbaty?

– Nie, dziękuję, panie rektorze. Chciałabym wiedzieć, po co zostałam wezwana.

Mężczyzna odchrząknął i zasiadł za biurkiem.

Hania dyskretnie rozejrzała się po eleganckim gabinecie. Przepiękne, stylowe meble, ciężkie kotary w oknach i dziesiątki tomów archeologicznych dzieł – wszystko to tworzyło swoisty klimat godny wybitnego profesora archeologii. Hania wiedziała, że rektor – podobnie jak ona – doskonale władał językiem niemieckim, bo podczas Wielkiej Wojny służył w armii austriackiej. Pewnie przeczytał szkice jej pracy magisterskiej, które przekazała profesorowi Wajchmanowi, i zamierzał dać jej ostrą reprimendę.

– Panno Wolińska, sprawa jest dość nietypowa i zaskakująca – zaczął. – Wysłano do mnie oficjalne pismo z Ministerstwa Spraw Zagranicznych z prośbą, żeby uczestniczyła pani w uroczystościach

związanych z jutrzejszą wizytą w stolicy ministra Rzeszy, Joachima von Ribbentropa.

Hania zbladła.

– Jak to? Dlaczego?

Rektor wyjął z szuflady biurka pismo.

– Sam tego nie rozumiem, panno Wolińska, ale tu mam czarno na białym, że proszą, aby wzięła pani udział w powitaniu delegacji z Niemiec jako tłumaczka. Biorąc pod uwagę pani zdolności konwersacyjne i pani kulturę osobistą, jest to dość uzasadniony... choć niecodzienny nakaz. Ministerstwo ma przecież swoich przedstawicieli godnych tej funkcji.

Hania wzięła do ręki pismo, które podał jej rektor. Nic z tego nie rozumiała, ale serce w jej piersi biło jak oszalałe.

– Czy wiadomo, kto będzie brał udział w niemieckiej delegacji oprócz ministra von Ribbentropa?

– Ambasador Hans von Moltke, pracownicy niemieckiej ambasady oraz prawnik Rzeszy, Johann von Richter.

Hania przełknęła ślinę. Teraz już wiedziała, co Johann robił w Warszawie i dlaczego to ona została poproszona o tłumaczenie spotkań. Narastająca złość mieszała się w niej z obawą. Jak zdoła ukryć to, że zna Johanna? Jak ma udawać, że nie łączy ich nic prócz oficjalnej wizyty, w której oboje mieli wziąć udział? Nie była głupia – domyśliła się, że to on postarał się, żeby uczestniczyła w spotkaniu. Chciał ją ukarać za to, że tak obcesowo potraktowała go na placu uniwersyteckim. Próbował jej udowodnić, że może manipulować nią, jak chce i kiedy chce, bo ma władzę i pieniądze, których ona nie posiada.

Dumnie podniosła głowę znad urzędowego pisma i popatrzyła na rektora. Jej oczy błyszczały.

– Panie rektorze, zgodzę się wziąć udział w uroczystościach, ale pod jednym warunkiem.

Profesor uniósł brwi w geście zaskoczenia, ale postawa dziewczyny była stanowcza i nieugięta.

– Żądam oficjalnego zaproszenia dla mnie i dla mojego narzeczonego Władysława Koterskiego. Jako kobieta zaręczona nie

mogę brać udziału w takich spotkaniach sama. To mogłoby nadszarpnąć moją reputację.

Profesor chrząknął z zakłopotaniem i kiwnął głową.

– To dość rozsądna prośba, panno Wolińska. Myślę, że ministerstwo będzie w stanie na to przystać. Czy ma pani jeszcze jakieś życzenia?

– Nie.

– Rozumiem, że wyraża pani zgodę?

Hania drżącą dłońią odłożyła pismo na biurko.

– Jeśli moja prośba zostanie uwzględniona, to tak, panie rektorze.

– Doskonale. Za chwilę wykonam telefon do ministerstwa i poproszę o oficjalne zaproszenie dla pani i jej narzeczonego, pana Koterskiego. Pani zaś, panno Wolińska, będzie musiała udać się z oficjalną wizytą na Wierzbową[5]. I to zaraz.

Hania zaskoczona uniosła brwi.

– Ale po co?

Rektor odchrząknął.

– Stosunki dyplomatyczne mają swoje żelazne zasady, których należy się trzymać i których bezwzględnie nie wolno łamać. Jest pani w tych sprawach, jak miemam, niezbyt obeznana. W ministerstwie przeszkolą panią błyskawicznie.

* * *

Władek w zdumieniu przyglądał się oficjalnemu zaproszeniu ze stemplem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Hania patrzyła na niego, zagryzając wargi. Siedzieli w niewielkim salonie w domu Hani.

– Czyś ty zupełnie oszalała? – zapytał. – Przecież to szaleństwo!

– A co ja mam z tym wspólnego? Myślisz, że sama wysłałam sobie to zaproszenie? Jestem tak samo zaskoczona jak ty!

Władek nerwowym gestem przeczesał dłońią włosy.

– Przecież to ty bratasz się z Niemcami! Nie dalej jak cztery miesiące temu byłaś w Monachium! W siedlisku nazistów! Pewnie to tam ich wszystkich poznałaś i teraz ponosisz tego konsekwencje! Razem je ponosimy! Uznają nas za zwolenników Hitlera!

Hania zadrżała ze złości. Wyrwała Władkowi zaproszenie i pogmiotła je w dłoni.

– Co ty wygadujesz? Poproszono mnie o to tylko dlatego, że znam język niemiecki!

– Nie kłam! Wszyscy wiemy, że ta twoja hrabina poznawała cię, z kim popadło! Zawsze mówiłem, że z tej znajomości nie wyniknie nic dobrego! I masz ci los! Nie trzeba było długo czekać!

– Nie mieszaj w to pani Irenki! Ona nie ma z tym nic wspólnego! Jeśli nie chcesz ze mną iść, to powiedz! Pójdę sama!

– Nie żartuj. Nie pozwolę, żebyś poszła sama. Jesteś przecież moją narzeczoną.

Hania zrobiła naburmuszoną minę.

– Więc zachowuj się jak mój narzeczony i przestań na mnie krzyczeć – rzekła z wyrzutem.

* * *

Droga Haniu,

proszę wybaczyć, że zwracam się do Pani tak bezpośrednio, ale szczerść i intymność zawarte w tym liście skłoniły mnie do takiej formy.

Na początku chciałbym przeprosić za sytuację, do której doszło kilka dni temu. Moje zachowanie względem Pani było karygodne i miała Pani prawo zareagować tak ostro. Na swoje usprawiedliwienie mam jedynie to, że przy Pani zupełnie tracę głowę. Od kiedy Panią poznałem, moje życie nie jest już takie jak dawniej. Byłem pewien, że wiem, kim jestem i czego w życiu pragnę. Pani zmieniła wszystko.

Zanim Panią poznałem, zamierzałem z czystym sumieniem i bez skrupułów poślubić kobietę, której nie darzyłem żadnym głębszym uczuciem, oprócz podziwu i szacunku. I ten szacunek do mojej narzeczonej nakazał mi zerwać z Nią zaręczyny. Nie mogłem oszukiwać ani Jej, ani samego siebie. Nie w sytuacji, kiedy zakochałem się w innej kobiecie. Pewnie domyśla się Pani, że to Tyś jest sprawczynią burzy, która rozszalała się w moim życiu. Nie ośmielam się prosić o wzajemność, ale mam cichą nadzieję, że być

może mógłbym liczyć na Pani względy. Jestem gotów oferować Pani wszystko, co mam, wraz z moim sercem, nazwiskiem i majątkiem. Byłbym najszcześniejszym człowiekiem na świecie, gdyby uczyniła mi Pani ten zaszczyt i zechciała zostać moją żoną.

Jeśli nie podziela Pani moich uczuć bądź jeśli moja propozycja Panią obraża, jestem w stanie przyjąć to z pokorą i szacunkiem do Pani osoby. W razie odmowy obiecuję, że ta matrymonialna propozycja nigdy nie ujrzy światła dziennego, żeby nie stwarzać w Pani życiu niepotrzebnych komplikacji. Lecz jeśli mogę liczyć na wzajemność, proszę powiedzieć mi to najszybciej, jak to możliwe.

*Z wyrazami podziwu i szacunku
Hrabia Johann von Richter*

* * *

Hania przyjechała pod Pałac Saski taksówką wysłaną przez urzędników placówki dyplomatycznej. Johann patrzył na nią, jak ubrana w skromny, choć elegancki płaszcz, ale za to w imponującym kapeluszu, kroczyła dumnie przed siebie w towarzystwie młodego mężczyzny, którego trzymała pod rękę. Domyślił się, że musiał to być Władysław Koterski, jej narzeczony. Dopiero kiedy oboje zbliżyli się do polskiej delegacji, panna Wolińska odsunęła się nieco od swojego towarzysza i stanęła pomiędzy nim a polskim szefem protokołu dyplomatycznego. Z powagą należną państwowym uroczystościom skupiła całą uwagę na ceremonii spotkania ministrów państw sąsiedzkich, Józefa Becka i Joachima von Ribbentropa.

Przez całą uroczystość, kiedy minister Joachim von Ribbentrop składał wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza, Johann stał nieco z boku i uporczywie wpatrywał się w dziewczynę. Nie zwracał uwagi na komendy wojskowe wydawane w stronę kompanii honorowej. Nie słyszał uroczystych wystrzałów z karabinów ani doboszów rytmicznie uderzających w bębny, bo jego myśli krążyły wyłącznie wokół drobnej dziewczyny, wyraźnie zaangażowanej w zadanie, które otrzymała za jego osobistą interwencją.

Nie wiedział, jak inaczej mógłby ją znowu zobaczyć, więc uruchamiając wszelkie kontakty, poprosił polską stronę dyplomatyczną, żeby to panna Wolińska została tłumaczką podczas dzisiejszych uroczystości. Wiedział, że Ribbentrop nie miał nic przeciwko – wręcz przeciwnie. Niemiecki minister bardzo się starał sprawiać w Polsce przyjacielskie wrażenie, bo takie dostał polecenie od Hitlera, a młoda Polka jako tłumaczka doskonale wpisywała się w ten ciepły wizerunek. Johann więc bez zwłoki nakazał wysłać listy, gdzie trzeba, z niecierpliwością oczekując dnia, kiedy będzie mógł mieć nadzieję, iż panna Wolińska raczy zwrócić na niego swoje zniewalające spojrzenie.

Ale ona wyraźnie ignorowała jego obecność.

Przez całą oficjalną część uroczystości nie zwróciła na niego uwagi ani razu. Traktowała go jak powietrze. Chyba nigdy nie widział na jej urodziwej twarzy takiej powagi. Jakby była ponad to, co się wokół niej działo. Jakby jej myśli wędrowały gdzieś w inne przestworza, gdzie nie było tego całego przedstawienia z udziałem polityków ani jej samej, zmuszonej w tym uczestniczyć. Johann poczuł się jak skończony głupiec, że zorganizował to wszystko. Panna Wolińska zapewne nie żywiła do niego żadnej głębszej sympatii, a już tym bardziej nie zamierzała odpowiadać mu na list.

Co jakiś czas zerkał na młodego mężczyznę u jej boku. To on miał ją poślubić. Czy ten chłopak w ogóle zdawał sobie sprawę, jakie szczęście go spotkało, że miał u swojego boku tak wspaniałą dziewczynę? Myśli te uporczywie kłębiły się w głowie Johanna, a zazdrość sączyła jad w jego serce.

Dopiero po zakończeniu uroczystości pod Grobem Nieznanego Żołnierza, kiedy wszyscy wsiadali do rządowych limuzyn, Johann zbliżył się do panny Wolińskiej, ale dziewczyna obdarzyła do przelotnym, chmurnym spojrzeniem bursztynowych oczu i złapała za ramię swojego towarzysza.

Johann cały swój polityczny pobyt w Warszawie traktował od początku jak farsę. Po listopadowej „kryształowej nocy” w Monachium wyjechał do Paryża i spędził tam miesiąc z dala od rodziny i narzeczonej, dopóki NSDAP nie upomniała się o niego. Naziści dość szybko zagrozili Susanne zwolnieniem z pracy, jeśli jej

niepokorny narzeczony nie wróci do Monachium i nie weźmie się ostro do roboty. W takich okolicznościach Johann został prawie siłą zmuszony do powrotu z Francji.

Jego powitanie z Susanne było bardziej chłodne, niż się tego spodziewał. Narzeczona zażądała od niego bezwzględnej lojalności wobec partii i przyrzeczenia, że w najbliższym możliwym terminie wezmą ślub, który uwolni ją od nieprzychylnych plotek na ich temat. Postawiony pod murem Johann nie zamierzał dać się szantażować, zwłaszcza że pobyt w Paryżu dobitnie uświadomił mu, że drogi jego i Susanne powinny się rozejść. Ku rozpaczy matki i wściekłości ojca zerwał zaręczyny i pragnąc desperacko odszukać jedyną kobietę, która królowała w jego głowie i sercu, zgodził się wziąć udział w oficjalnej wizycie ministra von Ribbentropa w Warszawie.

Polityka nic go nie obchodziła. Zdawał sobie sprawę z tego, jak wyglądają obecne stosunki jego ojczystego kraju z Polską i po co von Ribbentrop jechał do Warszawy, ale osobiście nie przywiązywał do tego wagi. Podróż tę potraktował wyłącznie jako pretekst, żeby zobaczyć się z panną Wolińską i wyznać jej, że kompletnie oszalał na jej punkcie. Uświadomił to sobie dobitnie, a kiedy ta prawda do niego dotarła, nie umiał już myśleć o niczym innym.

W Paryżu starał się zapomnieć o Hani, wpadając w szalony wir zabawy. Dni spędzał na spotkaniach i wizytach ze znajomymi ze świata paryskich elit, a noce mijały mu na grach i pijaństwie w dusznych lokalach, przesyconych zapachem drogich cygar, francuskich perfum i muzyki jazzowej. Jedną czy dwie noce spędził w towarzystwie luksusowej prostytutki, mając nadzieję, że zaspokojenie cielesnych żądz przyniesie również spokój duszy, ale niestety gorzko się pomylił. Zarówno wydarzenia listopadowe z Monachium, które tak nim wstrząsnęły, jak i wspomnienia ślicznej Polki nie dawały jego myślom chwili wytchnienia. Męczył się z tym, dopóki nie stanął twarzą w twarz z prawdą, że zakochał się w tej dziewczynie i nie chce dłużej udawać, że jest inaczej.

Teraz więc był w Warszawie i każdym zmysłem pragnął, żeby panna Wolińska zwróciła na niego uwagę, a ona traktowała go jak powietrze. Owszem, wiedział, że popełnił błąd, całując ją z nienacka, ale nie umiał się powstrzymać i przede wszystkim nie spodziewał się

takiej reakcji! Dziewczyna była dumna i temperamentna i najwyraźniej nie chciała mieć z nim nic wspólnego, choć parę tygodni temu zdawało mu się, że czuła to samo co on. A Johann w szalonej desperacji gotów był użyć wszelkich środków, byle odwieść ją od małżeństwa z Władkiem i rozkochać w sobie. Babcia miała rację – powinien zatrzymać ją wtedy w Monachium, kiedy miał ją na wyciągnięcie ręki. Powinien był rozniecić ogień, który już wtedy tlił się w nich obojgu. Teraz sprawa wyglądała dużo gorzej. List z wyznaniem miłosnym, który jej wysłał, był ostatnią deską ratunku, jednak mężczyzna uznał, że tylko szczerłość mogła go uratować – albo zupełnie unicestwić. Zagrał *va banque*, lecz najwyraźniej czekało go gorzkie rozczarowanie, iż Hania nigdy nie odwzajemniała jego uczuć. Zakochał się w niej – to nie ulegało wątpliwości, tylko teraz nie bardzo wiedział, co z tym szaleństwem zrobić.

Uroczystości mniej oficjalne odbywały się w Zamku Królewskim. Hania z najwyższą kulturą tłumaczyła rozmowy pomiędzy ministrem Ribbentropem a prezydentem Mościckim i ministrem Beckiem, dyskretnie usuwając się w cień, kiedy dochodziło do wspólnych fotografii polityków. Podczas obiadu wesoło gawędziła z zaproszonymi gośćmi, ale większość uwagi poświęcała swojemu narzeczonemu, który najwyraźniej nie czuł się w wielkim towarzystwie tak swobodnie jak ona. Brakowało mu ogłady, którą ona prezentowała z najwyższą klasą.

Johann patrzył na to wszystko w milczeniu, nie śmiąc odezwać się do niej choćby słowem, ale szczerze podziwiał ją za jej maniery, obycie i swobodę. Była ozdobą tego przyjęcia. Była niczym najpiękniejszy rzadki kwiat, który pragnął zerwać i ukryć gdzieś głęboko, żeby nikt nie mógł na nią patrzeć, z wyjątkiem jego samego.

Kiedy spotkanie na szczycie dobiegło końca i zaczęło się mniej oficjalne przyjęcie, postanowił wyjść niezauważenie i wrócić taksówką do hotelu. Miał posępny nastrój i czuł się podle. Wychodząc, zerknął ostatni raz na pannę Wolińską i ich oczy w końcu się spotkały. Ogarnął go żar. Nie umiał opanować emocji, więc tylko skinął grzecznie głową i wyszedł.

Na zewnątrz zerwał się wiatr. Wichura zrywała markizy sklepowe, a szyldy restauracji niebezpiecznie kiwały się tam i z powrotem.

– Parszywa pogoda! – mruknął kierowca, kiedy Johann usadowił się na tylnym siedzeniu taksówki.

– Proszę do Hotelu Bristol! – odezwał się w swoim ojczystym języku, czym zawczasu uciął pogawędkę z kierowcą, który najwyraźniej nie znał niemieckiego albo nie chciał go znać.

Kiedy tylko Johann znalazł się w swoim apartamencie, otworzył okno na oścież i wpuścił do środka porywisty wiatr. Zdjął płaszcz, marynarkę i rozpiął górne guziki koszuli. Niemo wpatrywał się przez okno w pustoszejące nocne ulice Warszawy, w migoczące w oddali kolorowe neony i monumentalną kopułę kościoła z ciemnym krzyżem na szczycie. I wtedy usłyszał ciche pukanie do drzwi. Pewien, że to pokojówka, zamierzał ją odesłać, ale ku jego zdumieniu w drzwiach stała Hania. Zmarznięta, lekko zdyszana, z włosami w nieładzie czesanymi przez wiatr i w rozpiętym płaszczu. Elegancki kapelusz trzymała w dłoni.

– Napisał pan do mnie list – rzekła bez wstępów.

Czuł, że serce bije mu jak szalone. Wydała mu się piękna jak nigdy dotąd.

– Tak.

– Zanim wejdę i dam panu odpowiedź, powinien pan wiedzieć, że pani Irene celowo zaprosiła mnie do Monachium, mając nadzieję... Że pan się we mnie zakocha i zechce się ze mną ożenić. Zastawiła na mnie pułapkę. A raczej na nas oboje.

Patrzył na nią tępo, zdziwiony tym, co usłyszał, a równocześnie zaskoczony jej szczerością.

– Więc dość łatwo dałem się w nią złapać – odparł ochryplym głosem, siłąc się na humor, choć nerwy miał napięte jak postronki.

– A pańska matka – kontynuowała – nakazała mi wyjechać z Richterhause i delikatnie mówiąc, odzepić się od pana i jego narzeczonej. Sugerowała, że zamierzałam zostać pańską kochanką – przerwała. Dała mu chwilę, żeby przetrawił to, co powiedziała. – Pana babcia i matka dotkliwie mnie upokorzyły. Jednak był to tylko częściowy powód mojego wyjazdu, bo... Uciekłam również przed panem. Nie chciałam czuć tego, co czułam.

Johann przełknął ślinę.

– A co pani czuła? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

Zaśmiała się.

– Czy naprawdę jest pan świadomy tego, co mi pan zaproponował? Czy wie pan, że to wywoła burzę w naszych rodzinach?

To pytanie przez chwilę wisiało między nimi w powietrzu.

– Niczego bardziej nie pragnę – rzekł w końcu ściszym głosem.

– Haniu, wejź, proszę...

Jej oczy rozbłyły.

– Zanim to zrobię, musi pan również wiedzieć, że moja babcia była Żydówką.

– A co to ma do rzeczy?

– Widziałam, jak pański brat strzelał do Żydów.

Drgnął.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Johann czuł, że opór dziewczyny słabnie. Widział, jak jej twarz się zmienia, jak wykwitają na niej rumieńce, a źrenice rozszerzają się, zabarwiając jej oczy na prawie czarne. W końcu złapał ją za rękę i wciągnął do pokoju, po czym zamknął jej rozchylone usta pocałunkiem. Odpowiedziała mu z pasją, jakiej się nie spodziewał, ale o jakiej marzył. Wciąż niedowierzał, że to ona, że przyszła do niego.

– Nie pozwolę ci odejść – wyszeptał żarliwie, z ustami przy jej twarzy. – Nie tym razem.

– Nie chcę odchodzić.

Silny przeciąg zdmuchnął ze stolika kryształowy wazon, który spadł i z brzękiem rozbił się o podłogę.

– Chyba musimy...

– Tak... Później.

Nie wiedział, co robić, by jej nie spłoszyć. Nie była jak Susanne, nie była jak żadna z kobiet, które znał. I dlatego tak bardzo jej pragnął.

Sama zrzuciła z siebie płaszcz, który miękko opadł na podłogę. Nieśpiesznie zrobiła parę kroków w stronę łóżka, wyciągając z włosów spinki. Widział, że jej palce drżały.

– Zostaw... – Doszedł do niej i chwycił za uniesioną dłoń. Zanurzył jej delikatne palce w swoich ustach. Czuł, że zadygotała i głęboko wciągnęła powietrze.

* * *

Hania zamglonym wzrokiem błędziła po skrzących się od świateł nocnych ulicach Warszawy. Z okna pokoju na piątym piętrze Hotelu Bristol rozciągał się imponujący widok na panoramę jej ukochanego miasta. Wiatr szalał w zaułkach kamienic, kołysał koronami drzew i z głuchym łoskotem ślizgał się po szybie, przy której stała. W jej głowie, ciele i sercu również szalał wicher zmysłów i uczuć. Patrzyła na Warszawę inaczej – bo czuła się inaczej. Była zmieniona. Zaczarowana.

Johann stał tuż za nią i ciasno oplatał ją ramionami. Pragnęła pozostać w nich na zawsze, w stanie miłostnego upojenia, które sprawiło, że jej ciało było przyjemnie rozdygotane. Nie знаła wcześniej tego uczucia.

Nie pamiętała, co powiedziała Władkowi, kiedy wspólnie opuścili przyjęcie, jednak doskonale zapamiętała każdy szczegół tego, co wydarzyło się później. Jak szalona biegła przez wieczorne, targające wiatrem ulice Warszawy, byle jak najszybciej dotrzeć do celu. W głowie kotłowały jej się słowa listu: „Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdyby uczyniła mi Pani ten zaszczyt i zechciała zostać moją żoną”. Biegła powiedzieć mu, że tak! Że pragnie tego z całego serca, bo nie chce dłużej udawać, że go nie kocha.

On to wiedział.

Dotykał ją jak nikt inny, reagował na jej westchnienia, potęgował drżenie.

– Jedyne moja... – szeptał tak cicho, że mogła to wziąć za własną wyobraźnię.

– Będiesz mnie kochał? – To pytanie, może naiwne, jawiło jej się jako najważniejsze.

– Zawsze...

– Johann...

– Mów do mnie... – wychrypiał, zauroczony jej urodą. – Chcę słyszeć twój głos, chcę cię widzieć...

– Johann...

Zachłysnęła się tą nieznaną jej dotąd bliskością, wonią, skórą wilgotną od potu, kiedy opuszkami palców dotknęła jego nagich ramion. Po raz pierwszy była tak blisko... W odpowiedzi rozebrał ją całą, pozbawił resztek wstydu i całe jej nagie ciało okrywał pocałunkami, od piersi po drżące uda. Pozwalała mu na to, wsłuchując się w jego urywany oddech, wdychając zapach, zanurzając palce w jego jasnych włosach. Dotykał więc – wpierv ostrożnie, czule, delikatnie, aż wreszcie uścisk jego dłoni stał się gwałtowny, niecierpliwy, idealny, zmuszający ją do reakcji, do westchnień, do rozchylenia ud.

– Ja nigdy...

– Wiem, małeńka...

Nikt wcześniej nie obdarzył jej taką bliskością. Nikt nie był tak czuły. Nikt nie patrzył na nią w ten sposób.

Teraz stali oboje, oszołomieni dogasającym szczęściem, wsłuchując się w szum za oknem. „Nieważne, co będzie jutro i dokąd zaprowadzi nas przyszłość” – myślała Hania z rozrzewnieniem. Liczyło się tu i teraz, kiedy ich ciała i dusze wreszcie złączyły się w jedno. Już nie chciała bronić się przed miłością, nie chciała uciekać. Zrozumiała, że nie ma wyboru, bo stała się kimś innym, bezwolnym, zakochanym. Pragnęła patrzeć na Johanna, dotykać go bez końca i bez końca dawać mu siebie. Być jego. Tylko jego. Wszystkie te pragnienia eksplodowały w niej z nadnaturalną siłą i wiedziała, że nic już nie będzie takie samo. Ona będzie inna. Na zawsze.

– Kiedy zobaczyłem cię na uroczystości, byłem pewien... Że nigdy nie będziesz moja... – wyszeptał z ustami w jej włosach. – Nie patrzyłaś na mnie. Unikałaś mnie.

– A ja już wtedy wiedziałam, że nie chcę bez ciebie żyć. Wiedziałam to już w chwili, kiedy przeczytałam list. – Jej głos brzmiał ochryple, bo silne emocje dławily jej krtań.

– Przyszłaś z nim.

– Z Władkiem... – dodała miękko.

Poczuła, jak dłonie Johanna władczo zaciskają się na jej nagich udach.

– Nie wybaczy mi tego – stwierdziła z wyrzutem, a Johann w odpowiedzi odchylił jej głowę i pocałował.

– Jesteś moja – wyszeptał gorączkowo. – Nie oddam cię...

– Zawsze będę twoja.

Wiatr zaświszczał, wprawiając w drżenie szybę.

Hania oparła się całym ciałem o ciało kochanka, a on osunął się na podłogę i ułożył głowę na jej udach.

– Haniu... Zostaniesz moją żoną?

Podniósł wzrok i popatrzył na nią rozgorączkowany. Hania pomyślała z zachwytem, że żaden mężczyzna nie jest tak piękny jak on. Nikt nie mógł się z nim równać.

Pochyliła się i ucałowała jego włosy. Wreszcie uklękła przy nim z twarzą przy jego twarzy.

– Przecież już się zgodziłam – wyszeptała z czułym uśmiechem.

[5] Ulica Wierzbowa – ulica, przy której mieściła się siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych II Rzeczypospolitej.

CZĘŚĆ DRUGA

*Iść tak przez życie, by dnia nie marnować
na głupie myśli – ech, mogłam inaczej.
Pisać tak wiersze, by nie zmieniać słowa.*

*Radość i zachwyty oglądać wciąż w oczach.
Zamiast źdźbła szukać, to dobro wypatrzeć –
iść z nim przez życie, by dnia nie marnować.*

*Czerpać od kwiatów kolory i powab,
czytać z ich płatków, że ziemia jest rajem,
pisać tak o tym, by nie zmieniać słowa. (...)*

Iwona Marciniak, *Villanella na kobiecą nutkę*

ROZDZIAŁ 12

luty 1939
Monachium

Nina von Richter zdegustowana przesuwiała smukłymi palcami po rozwiniętej beli tkaniny. Pastelowy róż nie przypadł jej do gustu, podobnie jak inne kolory i faktury tkanin, które prezentował jej pan Schmidtke – najlepszy krawiec w Monachium. Kręciła nosem, marszczyła brwi i prychała jak kotka.

– Nie ma pan czegoś bardziej... Hmm, wyrafinowanego? – rzuciła z niezadowoleniem. – Panie Schmidtke, co mi pan tu wciska? Pokojówki mojej matki noszą sukienki z lepszych tkanin! To nie jest jedwab! To jakieś... Sztuczne!

– Szanowna panienko, takie teraz zalecenia! Nie wypada damom nosić jedwabów.

– Jak to nie wypada? Co mi pan za bzdury wygaduje? Zapomniał pan, ile mu płacimy za usługi?

– Nie, panienko, nie zapomniałem. Ale takie czasy. Nie pozwalają innych tkanin sprowadzać, bo nie wpisują się w zasady narodowego socjalizmu.

– A cóż to za brednie?!

Pan Schmidtke westchnął ciężko i wytarł spocone czoło Inianą poszetką, którą wyjął z kieszonki idealnie skrojonej marynarki. Raz po raz zmieszonym wzrokiem zerkał na pannę Wolińską, która milcząca siedziała na pięknej sofie w stylu francuskiego rokoko i wyraźnie znużona przysłuchiwała się potyczkom słownym Niny i krawca.

– Sama pani wie, jak jest, panno von Richter... Pani Goebbelsowa zagląda tu często i sprawdza, czy nie sprzedaję czegoś

niewłaściwego na boku. Szanowna pani Magda Goebbels jest przecież przewodniczącą Niemieckiego Urzędu Mody!

– A sama носи koronki i jedwabie z Paryża! – syknęła Nina drwiąco. – Mój Boże, Haniu, musicie z Johannem pojechać do Paryża! Tam kupisz odpowiednie stroje. Tylko nie bierz ze sobą babci, bo ta będzie ci kazała kupić te nudne kostiumy od Coco Chanel!

Hania w odpowiedzi wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się lekko w stronę strapionego krawca. Sama miała już dość tych zakupów, ale babcia i Nina uparły się, że musi skompletować sobie garderobę godną narzeczonej hrabiego von Richtera.

– Wiem, że wolałabyś wyglądać jak prostytutka, ale nawet ja, przy całej mojej tolerancji, nie mogę na to pozwolić! – upomniała ją któregoś razu Nina i z upodobaniem zaciągnęła na niekończące się przymiarki do monachijskich domów mody. Najpierw zmusiła Hanię do wyszukania niezliczonej ilości butów – i tych do sukien, i tych do szerokich spodni, i tych do konnej jazdy (choć jeździć konno Hania nie zamierzała). Później przyszła pora na bieliznę. Hania z iskrami zachwytu w oczach przeglądała piękne koronkowe haleczki, gorseciki i biustonosze, czerwieniąc się na myśl, że to wszystko dla Johanna, że to on będzie ją w tym oglądał. I będzie to z niej zdejmował. Nie chciała, żeby Nina odkryła jej nieprzyzwoite myśli, ale jej przyszła szwagierka była bystra i wyjątkowo bezpruderyjna, więc z łatwością domyśliła się, o czym Hania myśli, mierząc staniczki i pasy do pończoch.

– Spodobasz mu się w tym, jestem tego pewna. Oszaleje, jak cię zobaczy! Mężczyźni już tacy są. Fikuśne fatałaszk i jesteś jego!

Hania i Johann starali się w Richterhause zachowywać pozory wstrzemięźliwości przedmałżeńskiej, ale i tak wszyscy domownicy wiedzieli, że po kryjomu sypiają w jednym łóżku. Mieli osobne apartamenty, ba! – nawet w dwóch różnych skrzydłach domu, ale nie potrafili bez siebie żyć. Byli na to zbyt młodzi. Zbyt zakochani. Zbyt zapatrzeni w siebie.

Dziewczyna nigdy wcześniej nie czuła się tak szczęśliwa jak tu, w Monachium, mając na wyciągnięcie ręki mężczyznę, którego ślepo kochała, a który z rozkoszą i wyjątkowym oddaniem uczył ją sztuki

miłości. W ramionach Johanna zupełnie zapomniała, czym są wstyd, przyzwoitość i konwenanse, które wpajano jej od dziecka. Miała wrażenie, że całe jej poprzednie życie – nudne i na wskroś przyzwoite – było tylko żalosną namiastką prawdziwego życia, którego zasmakowała dopiero teraz. Z ukochanym docierała do głębi swoich pragnień i czuła się piękna i pożądana jak nigdy przedtem, a jej młodość i kobiecość rozkwitały z całą pełnią.

– Kochanie, jeśli poczujesz, że jesteś w ciąży, to natychmiast powinniście wziąć ślub! – rzuciła pewnego ranka przy śniadaniu pani Irene, wywołując tym samym na twarzy Hani szkarłatny rumieniec wstydu.

– A czemu to się czerwienisz? – ofuknęła dziewczynę kpiąco. – Myślisz, że nie wiem, co robicie? Też kiedyś byłam młoda! Krew nie woda, majtki nie pokrzywę!

Po tej szczerej i bezwstydnej uwadze ze strony pani Irene Hania już bez wyrzutów sumienia co noc ochoczo zapraszała Johanna do swojej sypialni, nie zważając na ukradkowe spojrzenia plotkującej między sobą służby.

– Więc według ciebie, Schmidtke, powinnam ubrać moją przyszłą bratową w mundur Hitlerjugend! – krzyknęła Nina drwiąco, obrzucając spojrzeniem krawiecki buduar.

– Panienko, dla mnie też trudne czasy nastały... Nie pozwalają na własne inspiracje, bo obowiązują sztywne kanony mody. A pani wie, szanowna panienko, że jak nikt inny znam się na kobiecej modzie. Te garsonki, które teraz szyją... To takie...

– Brzydkie – skwitowała Nina z zapalem. – I panna Wolińska będzie musiała w takiej socjalistycznej garsonce paradować przed moim bratem! To było dobre dla Susanne Schneidhuber, ale nie dla Hani! Panna Wolińska potrzebuje czegoś lekkiego! Zwiewnego!

Krawiec poczerwieniał po czubek głowy na wzmiankę o poprzedniej narzeczonej Johanna. W duchu wszyscy w mieście dziwili się, że młody hrabia von Richter porzucił piękną panią dyrektor muzeum i przywiózł z Polski dziewczynę niewiadomego pochodzenia. Upewniono się jedynie co do tego, że nowa narzeczona na pewno nie jest Żydówką, bo gdyby było inaczej, to

nikt by mu tego nie darował. Choć skandal i tak wisiał w powietrzu, i czekał tylko na stosowną chwilę, żeby wybuchnąć.

– Myślę, że kilka sukien dla panienki uda mi się uszyć – zapewnił skwapliwie. – Postaram się podkreślić nimi pani niewątpliwy wdzięk, panno Wolińska.

– Mają być wyjątkowe! Ponadczasowe! – ciągnęła Nina z uporem. – I żadnej etoli z lisa, bo te wynalazki są dobre tylko dla mojej matki. Proszę się postarać, panie Schmidtke, o dobre tkaniny!

– Oczywiście, panienko, zrobię, co w mojej mocy!

Krawiec umiejętnie pobrał od Hani miarę i obiecał przygotować dla niej kilka wyjątkowych sukien na wyjątkowe okazje. O tej jedynej – ślubnej – Hania nie chciała na razie rozmawiać, choć babcia i Nina nalegały, żeby zaczęła się już nad nią zastanawiać.

Zaręczyny jej i Johanna zostały w Richterhause oficjalnie ogłoszone, Hania przyjęła pierścionek z brylantem wykonany na specjalne zamówienie przez monachijskiego złotnika, ale daty ślubu narzeczeni nie wyznaczyli.

Matka Hani nie zaakceptowała nagłej decyzji córki o zerwaniu zaręczyn z Władkiem, a Hania nie wiedziała, jak wytłumaczyć kobiecie, która całe życie próbowała wychować ją w duchu sztywnych zasad moralnych i społecznych, że nie popełniła megaliansu, zakochując się w Niemcu. Nie obchodziło jej, kim był Johann i w jakim mówił języku. Liczyło się tylko to, że jako jedyny poruszył w jej ciele i sercu struny prawdziwej miłości.

Z kolei w oczach Anieli Wolińskiej Johann von Richter był obcym i złym intruzem, który nie nadawał się na jej zięcia. Nie chciała na niego patrzeć ani z nim rozmawiać, jakby kontakt z Niemcem budził w niej wstręt. A uczucie Hani do Johanna nazywała bezmyślnym zauroczeniem.

– Jesteś głupia i naiwna! – krzyczała, kiedy Hania poinformowała ją o swojej decyzji. – Przynosisz mi wstyd! Przez ciebie nie będę mogła spojrzeć ludziom w oczy! To Niemiec! Za chwilę staniesz się dla niego niewygodna, bo dotrze do niego, że jesteś ubogą Polką! I co wtedy zrobi? Porzuci cię, jak to zrobił z tą swoją narzeczoną? Odepchnie, jak ty odepchnęłaś porządnego chłopca dla zwykłej

mrzonki! Bogactwo cię oślepiło? Pieniądze? On ci je da, ale za chwilę zabierze i brutalnie porzuci! Być może z dzieckiem!

– Nie znasz go! Nie masz prawa tak mówić!

Oczy Aniela ciskały gromy.

– A ty? Jak dobrze go znasz? Wiesz, kim jest? Co robi? Zaślepiło cię głupie zakochanie, a życie niestety zweryfikuje twoje wybory. Ja nigdy nie pobłogosławię tego związku!

Kiedy Johann przybył do ich domu z naręczem kwiatów i oficjalnie poprosił o rękę Hani, Aniela odmówiła oschle, tłumacząc równocześnie, że nie ma wpływu na to, co zrobi jej córka. Matce zawtórował Janek, który hardo i stanowczo oznajmił – patrząc Johannowi prosto w oczy – że nigdy nie zaakceptuje związku siostry ze Szkopem, choćby i był najbogatszy. Hania niczym niezrażona tłumaczyła sobie, że ich uprzedzenia nie były wycelowane personalnie w Johanna – bo jego przecież nie znali – tylko we wszystkich Niemców, którzy z dnia na dzień wzbudzali w Polakach coraz większą niechęć. Sąsiedzi patrzyli na Hanię podejrzliwie, a koleżanki z roku szeptały między sobą za jej plecami, nie śmiąc zapytać wprost, czy plotki o jej związku z Niemcem są prawdziwe, czy wysane z palca.

Hania nie widziała Władka od chwili, kiedy z żalem złamała mu serce. Nie patrzył na nią, gdy wyznawała mu szczerze, że kocha innego mężczyznę. Jego myśli były wtedy gdzieś indziej – błąkały się w innej czasoprzestrzeni, z dala od niej. Wysłuchał uważnie, co miała mu do powiedzenia, i odszedł bez słowa, nie dotykając jej, nie zaszczycając nawet jednym słowem czy spojrzeniem. I ten smutny obraz tkwił w niej jak zadra, aż do teraz.

Johann, czując atmosferę niechęci i napięcia ze strony bliskich Hani, postanowił niezwłocznie zabrać ją z Warszawy do Monachium, ale i tu sytuacja nie wyglądała najlepiej. Z ich niespodziewanych zaręczyn ucieszyła się tylko babcia Irene, która w euforii natychmiast chciała zorganizować szybki i huczny ślub, na co Hania absolutnie się nie godziła.

– A na co chcesz czekać, kochanie? Ten związek trzeba przypieczętować raz na zawsze! – strofowała ją starsza pani. – Chcę

widzieć, jak wchodzisz do mojej rodziny i zostajesz panią w Richterhause! Chcę, żebyś uczyniła mojego wnuka szczęśliwym!

– Hania pragnie poczekać, aż jej matka i brat oswoją się z tą sytuacją. Zależy jej, żeby mieć najbliższą rodzinę na ślubie – wytłumaczył Johann stanowczo, stając po stronie narzeczonej. On sam czuł się nieswojo w towarzystwie rodziny i znajomych, którzy jeszcze parę tygodni temu oglądali go z Susanne u boku, a teraz ze zdziwieniem i zakłopotaniem patrzyli na młodziutką Polkę.

Johann z poczucia obowiązku chodził niemal codziennie do kancelarii NSDAP i próbując zachować pozory, znosił dwuznaczne pytania partyjnych kolegów dotyczące jego życia osobistego. Wszystkich dziwiła ta nagła zmiana i wszyscy jak jeden mąż żałowali porzuconej Susanne. Johann był wściekły, że partia tak otwarcie interesuje się tym, co robi po godzinach.

– Nasza rodzina od wieków stała na straży potęgi i wartości narodu niemieckiego – rzekł jego ojciec tuż po ogłoszonych zaręczynach. – Jesteśmy rodem arystokratów, mamy swoje żelazne zasady i nic nie usprawiedliwia krótkowzroczności i głupoty, jaką ty się wykazałeś! Postanowiłeś ożenić się z tą Słowianką wbrew naszej woli, wbrew zasadom czystej rasy aryjskiej! Twierdzisz, że ją kochasz, ale ja uważam, że to brednie! Jeśli wybuchnie skandal, to wiedz, że nie kiwnę palcem w twojej obronie! Ostrzegam cię, że nie dam skompromitować naszej rodziny dla twojej zachcianki!

– Nie waż się tak o niej mówić! – syknął Johann, trzęsąc się ze złości.

– Więc uczyni z niej wzorową Niemkę, żeby nie kłuta nikogo w oczy! Od ciebie zależy, czy ktoś będzie ją darzył szacunkiem.

Hania zносиła to w milczeniu, tłumacząc sobie, że ich miłość przetrwa wszystko. Widziała u Johanna upór i determinację – tak bardzo chciał szybkiego zalegalizowania ich związku, żeby uspokoić nieprzyjemne plotki – ale cierpliwie prosiła go o czas, który miał pomóc wszystkim w oswojeniu się z tą sytuacją. Johann niechętnie przyznawał jej rację, ale widziała napięcie na jego twarzy, które pojawiało się zawsze, kiedy w pobliżu znajdowali się jego ojciec czy matka. Tylko Nina i Niklas zdawali się reagować na wszystko obojętnością. Niklas nie komentował decyzji brata, traktując Hanię

z szarmanckim szacunkiem, a Nina śmiała się szczerze, kiedy wiadomość dotarła do jej uszu.

– Jacy wy jesteście przewidywalni! – zachnęła się. – Bez trudu domyśliłam się, co się święci! Patrzyłeś na nią jak na ósmy cud świata, braciszku, a ty niczym pensjonariuszka ze szkoły zakonnicek udawałaś, że mój brat nie jest mężczyzną, żeby tylko ukryć te swoje maślane oczy! Trzeba było nie czekać, tylko brać, co chcieliście, i oszczędzić sobie wstydu.

Nina była zgryźliwa, ironiczna i bezczelna, ale dość szybko Hania doszła z nią do porozumienia. Z początku przyjmowała te drobne złośliwości z dystansem i pewną dozą zgorszenia, ale z czasem zrozumiała, że Nina taka już była. Polubiły się, a nawet zaprzyjaźniły, co ostatecznie przypieczętowało zaproszenie dla Hani i Johanna na kolejny występ Niny w monachijskim klubie muzycznym.

Po wizycie w domu mody pana Schmidtke Hania i hrabianka von Richter pojechały taksówką na obiad do ekskluzywnej restauracji w samym centrum Monachium.

Hani nie zdziwił napis na przeszklonych drzwiach lokalu „Żydom wstęp wzbroniony”, bo takie tabliczki mnożyły się na wszelkich drzwiach sklepów, teatrów, kin i restauracji, jednak ten jawny i wręcz brutalny antysemityzm coraz bardziej ją przerażał. Słyszała o ustawach, które obowiązywały w całej Trzeciej Rzeszy, na mocy których Żydzi zostali pozbawieni wszelkich praw obywatelskich, ale ilekroć próbowała rozmawiać o tym z Johannem, on stawał się milczący, a na jego twarzy pojawiał się ponury cień. To, co działo się w Monachium i w całej Rzeszy Niemieckiej, było jedynym tematem, który ich od siebie oddalał. Hania bała się tego, co obserwowała na ulicach miasta, a Johann nie potrafił bądź nie chciał jej tego wytłumaczyć. Sam wydawał się przygnieciony ciężarem rasistowskiej polityki władz NSDAP. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że Warszawa, jak cała Polska, również nie była wolna od antysemityzmu, ale tutaj, w Monachium – w głównym siedlisku nazistów – nienawiść do narodu żydowskiego święciła swoje brutalne triumfy, dając temu upust z zastraszającą skrupulatnością.

– Powinniście jak najszybciej stąd wyjechać – rzekła Nina z powagą, widząc nie po raz pierwszy, jak Hania nerwowo reaguje

na jawne akty terroru wobec Żydów.

– Dokąd? W Warszawie nikt nam nie sprzyja. Moja matka nie chce nas widzieć.

– Do Paryża! Albo lepiej do Monte Carlo! Byłaś kiedyś w Monte Carlo?

Hania zaprzeczyła. Kątem oka obserwowała eleganckich gości przy siedzących pięknie nakrytych stolikach, ze swobodą rozmawiających i konsumujących wykwintne dania. Wszyscy byli zamożni, doskonale ubrani, mieli wyszukane maniere i zupełnie nie przejmowali się tabliczką na drzwiach restauracji. Hania miała wrażenie, że w tym dziwnym świecie tylko ją jedną uwierały zasady narodowego socjalizmu, który uważała za nieludzki i niesprawiedliwy. Komuniści, faszyci, naziści – to były dziwne twory głoszące tak zwaną sprawiedliwość, która była Hani zupełnie obca i której zasad dziewczyna zupełnie nie rozumiała. Nie przejmowała się nigdy demonstracjami w Warszawie pod ambasadą Włoch czy Hiszpanii, gdzie demonstranci z transparentami krzyčili: „Precz z Mussolinim!” czy: „Franco dyktator!”. Nie interesowały jej również hasła głoszone przez ideologicznie zbuntowanych narodowców, którzy wszędzie węszyli spisek żydowsko-masoński. Dopiero tu, w Monachium, narodowy socjalizm brutalnie uderzał ją w twarz każdego dnia. Niemcy, nie wiedząc czemu, uważali się za wyższą rasę panów, a ona w żadnym stopniu do tej rasy nie należała i należeć nie chciała. Nie była Niemką, lecz Polką, a do tego ćwierć krwi Żydówką i odczuwała to z każdym dniem coraz bardziej.

– Nie byłam w Monte Carlo – odparła beznamiętnie.

Kelner w białych rękawiczkach przyniósł im wykwintną zupę z raków, a ona popatrzyła na porcelanowy talerz ze złoceniami i poczuła dziwne mdłości.

– Kiedyś w tej restauracji serwowano dania wyłącznie na porcelanie Rosenthal – rzuciła Nina, zajadając ze smakiem zupę. – Pewnie domyślasz się, czemu już tego nie robią?

– Po co to wszystko? Dlaczego Niemcy tak nienawidzą Żydów? Co oni wam zrobili?

Nina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Cała Europa ich nienawidzi. Uważają, że to naród przeklęty. Dla mnie to ludzie jak inni.

Hania mieszała bezmyślnie łyżką w zupie.

– Nie mogę na to patrzeć... – mówiła zamyślona. – Twój brat... – Nagle urwała i spojrzała Ninie prosto w oczy. – Twój brat jest zagorzałym nazistą – dokończyła.

– Mówisz o Niklasie? Nie on jeden. Całe Niemcy są nazistowskie. Lepiej do tego przywyknij, Haniu.

– A ty przywykłaś?

– Ja to co innego. Jestem z innej gliny. Nie dam się ogłupić i nie będę krakać jak inne wrony. Jeśli zmuszą mnie do uległości, to wyjadę, ucieknę stąd i nigdy nie wrócę. Lepiej martw się o siebie, żeby przypadkiem ślepa miłość nie zamknęła ci oczu na to, co ważne. Nigdy nie zapominaj, kim jesteś i skąd pochodzisz.

* * *

Johann zdziwił się, kiedy we wrotach prowadzących do stajni w Richterhause zobaczył Niklasa. Jego brat stał nieruchomo, z poważnym wyrazem twarzy, i najwyraźniej na niego czekał. Jak zwykle ubrany był w mundur SS. Kiedy promienie słońca leniwie przesunęły się po jego szczupłej sylwetce i zatrzymały na młodzieńczych rysach, Johann pomyślał, że dostrzega w nich dawnego młodszego brata, z którym biegał po okolicznych lasach i toczył wojny o wszystko. Jakże byli wtedy inni, jakże beztroscy i szczęśliwi.

– Kiedyś ścigaliśmy się konno – zauważył Niklas, jakby i jego nagle dopadły wspomnienia. – Prawie zawsze pozwalałeś mi wygrać.

– Możemy to powtórzyć.

– Teraz już wiem, że nie mam z tobą szans i moja duma raczej by tego nie zniosła.

Johann wszedł z ogierem do stajni. Spodziewał się, że Niklas pójdzie za nim i nie pomylił się. Młodszy von Richter powoli podchodził od boksu do boksu i witał się z końmi jak z długo niewidzianymi przyjaciółmi. On również kochał te zwierzęta, ale SS

zabrało mu czas na dawną miłość. SS zabrało mu czas na cokolwiek poza gorliwą służbą Hitlerowi.

Johann obserwował brata kątem oka, zajmując się rozsiodłaniem konia.

– Co tu robisz? – zapytał wreszcie.

– Podobno wbrew twoim oczekiwaniom, bracie, nasz browar funkcjonuje bardzo dobrze – rzucił Niklas lekkim tonem.

– A zorientowałeś się, ilu ludzi wyrzucono na bruk, odkąd w sprawy browaru zaczęli się wtrącać naziści?

– Ci ludzie, których wyrzucono, to banda komunistów! Nie wolno nam takich zatrudniać i dobrze o tym wiesz!

Johann zacisnął szczękę.

– Dzisiaj Żydzi i komuniści. A kto będzie jutro? Z kim jutro będziesz się rozprawiał, Niklasie?

Niklas, stojąc na środku stajni, przez chwilę mierzył brata uważnym wzrokiem. Jego twarz spochmurniała i utraciła rysy dawnego chłopca, którego przed chwilą widział w nim Johann. Na powrót młodszy von Richter stał się zatwardziałym hitlerowskim psem na posyłki.

– Sprawdzali twoją Hanię – rzekł nagle ostro. – Mam przyjaciela w gestapo i wiem, że wysłali kogoś do Warszawy, żeby ją sprawdził.

Johann zadrżał. Na wzmiankę o Hani poczuł, że oblewa go zimny pot.

– Po co to zrobili?

– Bo chcą mieć pewność, że nie popełniasz mezaliansu. Porzuciłeś Susanne, a według partii to kobieta idealna. Hania jest śliczna, nie przeczę, ale uroda jej nie pomoże, jeśli się na nią uweznią, bracie.

– Dlaczego mi to mówisz? – Johann nie patrzył na Niklasa, zajęty czyszczeniem konia, ale tak naprawdę bał się, że jeśli nań spojrzy, brat dostrzeże strach w jego oczach. Kochał Hanię do szaleństwa i myśl, że ktoś mógłby chcieć ją skrzywdzić, przerażała go bardziej niż cokolwiek innego. Od kiedy przyjechał z nią do Monachium, miał wrażenie, że wszystko szło nie tak, i bardzo się tym martwił. Tu już nie miało znaczenia niezadowolenie rodziny czy nieprzychylny plotki.

To była sprawa życia lub śmierci, a Johann boleśnie był tego świadomy.

– Mówię ci to, bo próbuję cię ostrzec. Dlatego rozmawiam z tobą tu, w stajni w Richterhause, a nie w siedzibie NSDAP.

Johann potarł dłonią spocone czoło.

– Czego się o niej dowiedzieli? – zapytał głucho, nadal nie patrząc na brata.

– Nic nadzwyczajnego. Dziadek Hani ze strony ojca służył w armii austriackiej, ale po wyzwoleniu osiedlił się z żoną, córką małopolskiego ziemianina, w Warszawie. Ojciec Hani nie odziedziczył po ojcu zamiłowania do wojaczki i został skromnym urzędnikiem w ministerstwie skarbu. Po jego śmierci Hania została z matką i starszym bratem, który z kolei, idąc w ślady dziadka, postanowił zostać żołnierzem. Mniej ciekawie zapowiada się rodzina matki... Babcia Hani była zasymilowaną Żydówką.

Johann przerwał czyszczenie i popatrzył na Niklasa z zaciętością w oczach.

– I co? Będziesz do niej strzelał?

Niklas na moment zbladł.

– Co ty mówisz...?

– Hania powiedziała mi, że strzelałeś do Żydów! – kontynuował Johann sucho. – Bóg raczy wiedzieć, gdzie ona to widziała...

– Więc nie powiedziała ci wszystkiego... – mruknął Niklas cicho. – A przyznałeś się jej, że to ty podpisujesz te wszystkie wyroki?

Johann gwałtownie dopadł do brata i złapał go za poły munduru. Jego oczy rzucały iskry wściekłości.

– Nie jestem sędzią! Nie ja wydaję tych ludzi na śmierć!

– Nie. Ty tylko, podobnie jak ja, grzecznie wykonujesz rozkazy.

Johann zacisnął pięści. Miał ochotę uderzyć Niklasa. Zetrzeć pięścią z jego twarzy tę prawdę, którą brat brutalnie rzucał mu między oczy, ale w ostateczności bezsilnie odepchnął go od siebie, aż Niklas odbił się od jednego z boksów.

– Nie waż się tknąć Hani! Ani ty, ani nikt inny! Zabiję każdego, kto spróbuje to zrobić!

Niklas poprawił na sobie mundur.

– Ty naprawdę ją kochasz, bracie! – rzucił jakby z podziwem. – Aż żał pomyśleć, że w innych okolicznościach moglibyście bez przeszkód gruchać sobie jak dwa gołąbki. Nie zrozum mnie źle, ja naprawdę ją lubię! I szczerze życzę, żeby wam się udało!

Johann stał pośrodku stajni na szeroko rozstawionych nogach i ponuro wpatrywał się w brata.

– Wyjedź z nią, Johann. Gdzieś, gdzie nie będziecie rzucać się w oczy, aż sytuacja nieco się uspokoi. Zabierz ją daleko, rozpieszczaj, kochaj i zejdź z oczu Hitlerowi i jego ludziom. Dobrze ci radzę. – Niklas westchnął. – I jeszcze jedno... Dwa dni temu Susanne trafiła do szpitala. Pomyślałem, że może chciałbyś to wiedzieć.

Johann w milczeniu patrzył, jak jego brat wychodzi ze stajni. Wiedział, że Niklas nie zostanie w Richterhause, tylko natychmiast wróci do miasta. Obowiązki znowu zaprowadzą go w elitarne szeregi SS, gdzie nie było miejsca dla rodziny czy przyjaciół. Dlatego w duchu doceniał to, że brat ostrzegł go przed szpiegowaniem Hani.

* * *

Johann patrzył ponuro na Susanne. Leżąc w szpitalnym łóżku, blada, z zaciśniętymi ustami i podkrążonymi oczami, jego była narzeczona nie przypominała dawnej siebie. Schudła dość mocno i teraz kości obojczyków sterczały jej brzydko znad dekoltu koszuli nocnej.

– Nie poroniłam! – rzuciła ostro, patrząc na niego z dzikością w oczach. – To byłoby takie melodramatyczne, prawda? Mógłbyś teraz stać nade mną i w żalu oplakiwać naszą stratę.

– O czym ty mówisz? – zapytał głucho, nie rozumiejąc.

Przyjechał do szpitala, bo jego matka potwierdziła słowa Niklasa i poinformowała go, że Susanne straciła jego dziecko. Poroniła. Jechał do niej z wyrzutami sumienia, z duszą na ramieniu, myśląc, co jej powie, żeby ją pocieszyć, a ona rzucała mu prawdę jak psu ochłap. Zaśmiała mu się prosto w twarz. Grymas obłędu w jej oczach wzbudził w nim przerażenie. Wyglądała jak niespełna rozumu i pewnie taka była. Być może w wyniku rozpaczki po stracie

dziecka, wyparła z siebie tę przerażającą prawdę i udawała, że nigdy w ciąży nie była.

– Nie poroniłam, zrobiłam to sama! Pozbyłam się bachora! – krzyknęła mu prosto w twarz. – I dlatego tu jestem, bo baba, która mi to zrobiła, musiała coś spartaczyć. Przez nią prawie się wykrwawiłam!

Johann przez chwilę jakby nie rozumiał, aż wreszcie, rażony nagłym gniewem, dopadł do Susanne i złapawszy ją boleśnie za ramiona, zaczął nią gwałtownie potrząsać. Ona jednak zdawała się na to nie reagować, patrząc mu triumfalnie w oczy.

– Zabiłaś moje dziecko!

– Miałam urodzić bękartą? I wychowywać go sama, podczas gdy ty paradowałbyś z tą swoją polską dziwką, wystawiając mnie na pośmiewisko?

– Zabiłaś moje dziecko! – syknął po raz drugi.

Susanne zaśmiała mu się prosto w twarz. W końcu spoliczkowała go z całej siły i odepchnęła od siebie z nienawiścią.

– Nie waż się mnie dotykać! Nie jesteś wart tego, żeby być ojcem mojego dziecka! Jesteś śmieciem! Brzydzę się tobą, bo śmiałeś wywyżżyć tę polską kurwę, a mnie odrzuciłeś jak niepotrzebny balast! Zapłacisz mi za to! To, że zabiłam dzieciaka, to dopiero początek! Będę się mściła! Na tobie i na tej twojej kurwie!

Tym razem to on spoliczkował ją z gwałtownością, o jaką siebie nie podejrzewał. Widząc cień bólu w jej oczach, odsunął się od łóżka, na którym leżała.

– Jesteś chora! – rzucił ochryple.

Jej twarz wykrzywił brzydki grymas.

– A mogliśmy być tacy szczęśliwi – wyszeptała, cedząc słowa. – Mogliśmy cieszyć się z urodzin naszego potomka. I zepsułeś to, Johannie von Richterze.

– Niech cię piekło pochłonie! – wyszeptał wstrząśnięty do głębi.

– Oboje jesteśmy przeklęci! – rzuciła jeszcze, ale on już tego nie słyszał, bo wybiegł z jej pokoju.

* * *

Kochana Haniu,

wiem, jak bardzo przeżywasz to, że Twoja matka zerwała z Tobą kontakt, ale w tej chwili nic nie jest w stanie skłonić jej do tego, żeby Ci wybaczyła. Pozostaje Ci cierpliwie czekać, aż tęsknota za Tobą weźmie górę nad jej złością. Po Twoim wyjeździe z Warszawy popadła w zupełną melancholię. Wychodzi tylko do pracy i wraca z niej, nie robiąc poza tym nic innego. Nawet Janek nie jest w stanie poprawić jej nastroju. Podobnie jak Twoja mama, on też ciągle powtarza, że nie zaakceptuje Twoich zaręczyn z Niemcem. Według nich popełniłaś niewybaczalny megalians i nie masz nic na swoje usprawiedliwienie. Ja jednak wiem, że kochasz tego mężczyznę i to mi w zupełności wystarczy. Szkoda tylko, że przez to wszystko musiałaś uciec z Warszawy. Mam nadzieję, że jesteś tak szczęśliwa, jak o tym piszesz. Z niecierpliwością czekam na wiadomości o Waszym ślubie, choć wiem, że Janek nie zechce na niego przyjechać.

Jestem coraz grubsza. Z całą pewnością to będzie chłopak, bo kopie jak chłopak. Dziewczynka byłaby mniej ruchliwa. Liczę, że przyjedziesz do Warszawy na moje rozwiązanie.

W ostatnim liście pytałaś o Władka. Ciężko mi o tym pisać, ale zmienił się nie do poznania. Przestał projektować i wyjechał parę dni temu do Grudziądza na szkolenie wojskowe. Nie chciał się szkolić w Warszawie, żeby nie mieć styczności z Jankiem. Domyślasz się, że po tym wszystkim ich przyjaźń wisi na włosku.

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i czekam na kolejne listy od Ciebie. Pamiętaj, że jestem po Waszej stronie, choć Władka kocham jak brata.

*Twoja na zawsze
Lucyna Wolińska*

Hania stała na tarasie, oparta o kamienną balustradę, i podziwiała zachód słońca nad posiadłością Richterhause. Wokół nadal było szaro, bo zimowa aura nie odpuszczała, ale powoli to tu, to tam, pierwsze wiosenne kwiaty wychylały delikatne główki z ogrodowych rabatek, zwiastując rychłe nadejście wiosny. Spokój tego miejsca był zadziwiający. Hania, na co dzień przyzwyczajona do zgiełku

wielkiego miasta, teraz miała wrażenie, że w objęciach Richterhause czas się zatrzymał, jakby zimny, cyniczny i okrutny świat za murami tej wielkiej posiadłości w ogóle nie istniał. Sama Warszawa wydawała jej się tak odległa, że wręcz nierzeczywista. W głębi serca tęskniła za domem, za mamą, Jankiem i Lucyną, ale jej miejsce było tutaj, u boku ukochanego mężczyzny, którego nie chciała i nie umiałaby się wyrzec. Nie wiedziała, jaką cenę przyjdzie jej zapłacić za tę miłość, ale czuła, że cokolwiek się wydarzy, jest gotowa stawić temu czoła. Ojciec uczył ją, że musi być odważna i nie może bać się swoich decyzji. Powtarzał, że tylko siła charakteru zaprowadzi ją tam, dokąd zmierza, a matka dla ścisłości dodawała, że są zasady, których łamać nigdy nie wolno. I dlatego teraz, w imię tych zasad, odmawiała córce prawa do szczęścia.

Hania wbrew wszystkiemu uczyła się życia w tym dziwnym nieznanym jej dotąd świecie. Mając za powierniczki Ninę i babcię Irene, powoli wsiąkała w życie Richterhause i wielkiego Monachium. Wciąż raziły ją emblematy swastyki, które widywała wszędzie, bezustannie buntowała się przeciw restrykcjom skierowanym przeciwko Żydom, ale nie mówiła tego głośno, żeby nie narażać się na niepotrzebne złośliwości i nie sprawiać kłopotów Johannowi, który i tak miał ich aż nadto. Manuela i Hans von Richter tolerowali jej obecność w domu, ale traktowali ją chłodno, jak powietrze. Nie jadła z nimi posiłków, nie gawędziła przy herbacie, nie przyjmowała gości. Nie miała nawet na to ochoty. Wystarczył jej Johann. Czekwała na niego każdego dnia. Fascynował ją. Podziwiała jego inteligencję, powagę, maniery, imponował jej swoją siłą. Nieraz widziała, jak sam zakasywał rękawy w browarze i zamykał z robotnikami wielkie kadzie z piwem albo nosił ciężkie beczki. Nie bał się pracy fizycznej – wręcz przeciwnie, miała wrażenie, że sprawiała mu ona więcej satysfakcji niż siedzenie w kancelarii NSDAP. Uwielbiała patrzeć na jego naprężone pod koszulą mięśnie, a później, nocą, całowała je, gdy tańczyły pod jej dotykiem.

Za dnia szukała sobie zajęcia – poznawała dom, spacerowała po okolicy, dyskutowała z babcią i grała z nią w brydża, ale najwięcej czasu spędzała na zakupach z Niną, która przyjęła za punkt honoru uczynić z niej najmodniejszą damę w Monachium.

Któregoś dnia, po kolejnych zakupach i tradycyjnym obiedzie z Niną, zachęcona jej sugestią pojechała z szoferem do Bayerische Staatsbibliothek – Bawarskiej Biblioteki Narodowej. Oszołomiona bogactwem księgozbiorów, znalazła tam dzieła historii literatury niemieckiej niezbędne do dalszego tworzenia pracy magisterskiej. Mnogość opracowań i periodyków dotyczących twórczości Heinricha Heinego zaskoczyła ją do tego stopnia, że spędziła w bibliotece kilka godzin, czytając i sumiennie sporządzając notatki. Obiecała sobie, że następnego dnia wróci tam z samego rana. Oczami wyobraźni już widziała zdziwienie profesora Wajchmana, kiedy ten zorientuje się, do jakich dzieł krytyków literackich udało jej się dotrzeć tu, w Monachium, a jakich nigdy nie miałyby możliwości znaleźć w Polsce.

Teraz, po kolejnym pracowitym dniu w bibliotece, kiedy stała na tarasie z listem od Lucyny, wpatrując się w ciemniejące od nadchodzącego zmroku niebo, liczyła na to, że Johann wkrótce wróci do Richterhause i zjedzą razem kolację.

– Mój syn pojechał do szpitala w Monachium – usłyszała za swoimi plecami zgryźliwy i wyniosły głos.

Odwróciła się i popatrzyła na stojącą w drzwiach tarasu Manuellę von Richter.

– Pojechał do swojej narzeczonej. Do Susanne.

– Ja jestem narzeczoną Johanna – odparła Hania, nie dając się sprowokować przyszłej teściowej. – Być może ma pani... Jak to się nazywa...? Amnezję.

Oczy matki Johanna zwęziły się w wąskie szparki i przywodziły Hani na myśl oczy dzikiego kota. Dziewczyna wiedziała, że Manuela jej nie znosi, wręcz nią gardzi, ale była to jedna z wielu przeszkód, którą Hania z uporem zamierzała pokonać, żeby zaznać szczęścia u boku Johanna.

– Nie jesteś jego narzeczoną! – rzuciła Manuela drwiąco. – Jesteś jego zachcianką. Chwilową. Weźmie, co chciał, i znudzi się tobą szybciej, niż myślisz. – Podeszła do Hani leniwym, niespiesznym krokiem i prowokacyjnie ujęła ją pod brodę.

Hania dostrzegła siateczkę delikatnych zmarszczek, rysującą się wokół przejrzystych błękitnych oczu kobiety.

– Mężczyźni mają żony. I kochanki. Ty zaliczasz się do tej drugiej kategorii. On się z tobą nie ożeni. Nigdy. Nie dopuszczę do tego – mówiła wolno, cedząc słowa.

Dziewczyna odsunęła się od niej i zmarszczyła brwi.

– Proszę mnie nie dotykać. Nie jestem jedną z pani służących.

Manuela wykrzywiła usta w ironicznym uśmiechu.

– Rzeczywiście, nie jesteś moją służącą. Jesteś tylko dziwką mojego syna.

– Matko!

Obie kobiety, słysząc za plecami gniewny, podniesiony głos, odwróciły się jednocześnie. Stojący na progu tarasu Johann dyszał z wściekłości.

– Przepróż Hanię! Natychmiast! – Jego błękitne oczy rzucały na matkę gromy.

Hania patrzyła na niego zdumiona i nieco zawstydzona, że zastał ją w tak upokarzającej sytuacji.

– Johann...

– Natychmiast! – powtórzył ostro, mierząc rodzicielkę przeszywającym spojrzeniem.

Manuela z rosnącymi wypiekami upokorzenia popatrzyła na Hanię.

– Przepraszam – rzuciła krótko.

Nie czekając na reakcję, minęła wściekłego syna i weszła w głąb domu, zostawiając ich samych.

Hania zaczęła drżeć – nie wiedziała tylko, czy z zimna, czy z emocji. Johann doszedł do niej w sekundę. Jego dłonie z czułością objęły jej twarz, a oczy zatopiły się w jej bursztynowych tęczęwkach.

– Nie musisz nic mówić – powiedział cicho, uprzedzając jej słowa.

– Chcę żebyś wiedziała, że... poszedłbym za tobą w ogień. Choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Hania wyczuła, że również drżał. Było w nim coś, co wzbudziło w niej niepokój, ale o nic nie pytała. Przytuliła się do niego.

– Wyjedźmy gdzieś – powiedziała.

– Paryż? Może Wiedeń? Mam tam dom.

– Monte Carlo. Słyszałam z pewnego źródła, że to piękne miejsce.

– No, no, widzę, że nabierasz arystokratycznych zachcianek, moja droga – mruknął z upodobaniem. – Ale jeśli chcesz... Może być

Monte Carlo.

ROZDZIAŁ 13

marzec 1939

Monte Carlo

Kulka ruletki po kilkunastu obrotach wpadła do przedziału z numerem 12. Hania z okrzykiem radości klasnęła w dłonie.

– Panna Wolińska wygrywa tysiąc franków! – uroczyście oznajmił krupier, przesuwając grabkami żetony na planszy.

Hania miała wypieki na twarzy od nadmiaru emocji. Z triumfem rozejrzała się po graczach, zebranych wokół stołu do ruletki. Wiedziała, że jej zazdrozczą. Widziała to. A ona bawiła się znakomicie. Blichtr i luksus, którymi była otoczona, dodawały jej uroku i pewności siebie, jakich wcześniej u siebie nie podejrzewała. Ubrana w kosztowną suknię, połyskująca od złotej biżuterii z bursztynami, którą dostała w prezencie od pani Irenki, lśniła kobiecym blaskiem. Podobnie jak wcześniej w Gdańsku – teraz również tu, w Monte Carlo – otoczona snobistyczną elitą bogaczy z całej Europy, a nawet świata, czuła się jak ryba w wodzie.

– Panno Wolińska, jest pani urodzoną hazardzistką! Gra z panią to czysta przyjemność! – te słowa w stronę Hani wypowiedział radziecki pułkownik, Aleksy Łazariew. W pięknym oficerskim mundurze pysznił się przed zebranymi jak paw. Jego żona Tatiana, patrząc na wygrane żetony Hani, lekko zmarszczyła brwi i upiła łyk szampana.

– Myślę, że jeszcze większą przyjemnością byłoby dla ciebie, gdybyś to ty wygrał – rzekła do męża z nutą ironii, taksując Hanię wzrokiem.

Tatiana Łazariew była kobietą o tak oszałamiającej urodzie, że nawet Hania czuła się nieswojo, patrząc na nią. Kruczoczarne włosy

skręcone w miękkie fale, fiołkowe oczy okolone długimi rzęsami i ponętna figura w wydekolutowanej sukni czyniły z niej istotę o wyglądzie niemal doskonałym. Hania nie darzyła pułkownikowej sympatią. Jej wyniosłość i nonszalancja wprawiały dziewczynę w konsternację. Nie lubiła z nią rozmawiać, ale bywając w towarzystwie, była do tego zmuszona. Spotykała się z pułkownikiem Łazariewem i jego żoną niemal codziennie – czy to w kasynie, czy w operze, więc towarzyskie pogawędki z nimi były dla niej i Johanna na porządku dziennym.

Teraz zignorowała uwagę pięknej Rosjanki i popatrzyła na Johanna. Narzeczony stał w pewnym oddaleniu, niedbale oparty o mahoniowy kontuar, z kieliszkiem armaniaku w dłoni. Podniósł kieliszek w jej stronę, w geście toastu za wygraną, a ona posłała mu szeroki triumfalny uśmiech. W końcu podszedł do niej dumny i kłaniając się szarmancko, pocałował ją w dłoń, tę samą, na której nosiła zaręczynowy pierścionek z brylantem.

Johann od kilku dni z pobłażliwością patrzył na jej hazardowe rozgrywki w kasynie. Od kiedy Hania odkryła w sobie przyjemność grania w ruletkę, przychodziła z Johannem do kasyna niemal każdego wieczoru i z ekscytacją oddawała się grze. Johann nie grał, ale kibicował narzeczonej i z rozbawieniem patrzył na grymas niezadowolenia, kiedy jej nie szło, oraz na jej radość, kiedy udało jej się wygrać. Hania wiedziała, że robił to, bo bawił go jej entuzjazm i pragnął ją rozpieszczać zawsze i wszędzie, a pieniądze nie grały dla niego szczególnej roli.

– Na dziś już chyba podziękuję – rzekła z szerokim uśmiechem do graczy.

Z wdziękiem wstała od stołu, myśląc w duchu, że pani Irenka zapewne byłaby z niej dumna. Babcia Johanna nadal z uporem uczyła ją dobrych manier i upominała na każdym kroku, jeśli choć jeden gest dziewczyna wykonała niedbale czy pospolicie.

– Proszę obiecać, że jutro zagra pani ze mną w bakarat – rzucił znad stołu pułkownik Łazariew.

Nie umknęło uwagi Hani, że jego ciekawski, świdrujący wzrok na moment zatrzymał się na jej piersiach podkreślonych połyskliwą tkaniną sukni.

– Oczywiście, panie pułkowniku. Jeśli mój narzeczony wyrazi na to zgodę.

– Szanowny hrabio von Richter! Czy pańska urocza narzeczona może zagrać jutro w bakarat?

Johann uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Jeśli tylko panna Wolińska będzie miała na to ochotę – odparł dyplomatycznie. Objął ją czule i przyciągnął do siebie.

– Chyba nazbyt rozpieszcza pan swoją narzeczoną, panie von Richter – mruknęła Tatiana Łazariew, przyglądając się im karcąco. Nawet z grymasem na twarzy była tak piękna, że Hania poczuła ukłucie zazdrości, kiedy Johann zatrzymał na niej wzrok odrobinę zbyt długo.

– To raczej ja jestem zbyt rozpieszczany, pani pułkownikowo – to mówiąc, nie patrzył już na piękną Rosjankę, tylko zwrócił spojrzenie w bursztynowe oczy ukochanej.

– Haniu, pamiętaj, że jutro jesteśmy umówione na zakupy! Nie fatyguj się z szoferem, pojedzie z nami mój – rzuciła w stronę Hani polska hrabina Karolina Nałęczowska, która również wraz z mężem siedziała przy stole do ruletki.

Hania i Johann poznali małżeństwo Nałęczowskich podczas rozgrywek tenisowych i od tamtej pory spędzali ze sobą mnóstwo wolnego czasu. Razem jadali obiady, chodzili do opery i teatru, uprawiali sport i hazard. Zamożne hrabiostwo z Polski sprawiło, że pobyt Hani i Johanna w Monte Carlo nabral rumieńców i pozwolił im beztróska rzucić się w towarzyski wir zabawy.

– Oczywiście, pamiętam, droga hrabino!

Hania i Johann odebrali należną wygraną, a następnie przy akompaniamencie beztróskiego śmiechu i pocałunków wrócili samochodem do pogrążonej w mroku nocy wynajętej willi.

Babcia Irene, która towarzyszyła im na Lazurowym Wybrzeżu, spała w swoim apartamencie, więc pośpiesznie udali się do wspólnej sypialni, nie chcąc jej obudzić. Hania nie protestowała, kiedy Johann ochoczo wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Rozbierał ją powoli, podziwiając smugi księżycowego blasku tańczące na jej młodym, jasnym ciele. Nic nie było tak ważne ani tak piękne jak oni dwoje, spowici wzajemnym zapachem, westchnieniem, miłością.

– Kocham cię, księżniczko – wyszeptał Johann czule, kiedy Hania leżała pod nim rozgrzana, próbując opanować ostatnie drżenie.

– Ja też cię kocham, Johannie. Bardzo.

* * *

Hania siedziała w otwartej taksówce, w towarzystwie hrabiny Karoliny Nałęczowskiej, i podziwiała przepiękną nadmorską panoramę Lazurowego Wybrzeża rozciągającą się wzdłuż urwiska, na którego szczycie wiała się malownicza droga. Jak okiem sięgnąć, widać było bajeczną zatokę zatopioną w promieniach słońca i zacumowane w niej luksusowe jachty. Na jednym z tych jachtów Hania z Johannem zaledwie dwa dni temu bawili się na wystawnym przyjęciu. Jacht był własnością francuskiego finansisty, który wraz z małżonką prawie co wieczór urządzał na nim rauty i przyjęcia.

– Uwielbiam Monte Carlo! Jest takie... bogate! – mruknęła z ekscytacją hrabina Nałęczowska z właściwą dla niej wielkopańską manierą. – Tylko tu odpoczywam naprawdę!

Hania popatrzyła na swoją towarzyszkę z uśmiechem. Hrabina była od niej dużo starsza – przekroczyła już trzydziestkę, ale nadal promieniała młodością. Jej płomiennorude włosy, ta trudna do okiełznania burza loków, odbijały promienie słoneczne, przez co wyglądały, jakby za chwilę miały stanąć w ogniu. Hania w przeciwieństwie do hrabiny miała na głowie słomkowy kapelusz z jedwabną szarfą w kolorze błękitu, bo ostatnie plażowe eskapady zakończyły się dla niej spieczoną skórą na twarzy i dekolcie.

– Nigdy wcześniej nie byłam w Monte Carlo – rzuciła Hania szczerze. – Gdyby nie Johann, pewnie nigdy bym tu nie przyjechała!

– Och, Haniu! Jesteś taka skromna! Mężczyźni mają pieniądze, ale to my, kobiety, mamy narzędzia do ich wydawania! Nie wyrzucaj sobie niskiego pochodzenia, bo zaszłaś daleko. Jesteś piękna i inteligentna i teraz możesz to bez wyrzutów wykorzystywać! Rozkochałaś w sobie bogatego mężczyznę, który jest gotów rzucić ci świat do stóp!

– Być może... Na razie czuję się tym wszystkim oszołomiona!

Hrabina zaśmiała się głośno i szczerze.

– Ucz się pilnie, moja droga! Nie znasz dnia ani godziny, kiedy ta nauka może ci się przydać. Kobieta musi znać swoją wartość i umieć wykorzystać swoje zalety.

– Pani Irene dba, żebym nie przegapiła żadnej lekcji! – rzuciła Hania z rozbawieniem.

– Masz nauczycielkę najlepszą z najlepszych! Słyszałam, że kiedyś hrabina była postrachem salonów. Mężczyźni padali do jej stóp, a kobiety... No cóż, usychały z zazdrości.

– Moja pani Irenka?

Hrabina śmiała się głośno i szczerze.

– Mało wiesz o życiu, Haniu! – skwitowała Karolina bez cienia złośliwości.

Ich samochód powoli sunął przed siebie.

– Wiesz, moja droga, że minister Józef Beck z żoną spędził w Monte Carlo sylwestra? Podobno poznałaś go osobiście? – Hrabina zmieniła nagle temat i z ciekawością spojrzała Hani w oczy.

Dziewczyna przytaknęła.

– Tak, poznałam pana ministra Becka podczas wizyty w Warszawie niemieckiego ministra von Ribbentropa. Byłam tłumaczką podczas tego spotkania.

Twarz hrabiny rozjaśnił nikły uśmiech.

– To niezwykle zaszczytna funkcja! Dobrze poznałaś Joachima von Ribbentropa?

– Ależ skąd! Wcześniej spotkałam go na balu w Richterhause, ale nie zamieniłam z nim słowa. Rozmowy z takimi ludźmi nie leżą w moim zwyczaju. Zresztą, o czym mogłabym z nim rozmawiać? O pogodzie?

– To podobno bardzo kulturalny człowiek.

Hania wzruszyła ramionami.

– Owszem, jak większość z wyższych sfer. Na balu u von Richterów było wielu ministrów i wojskowych. Sami naziści. Mój brat uważa, że skoro bawiłam się z nimi na balu, to sama jestem nazistką. – Dziewczyna westchnęła ciężko. – Przecież to absurd.

– Poznałaś Hitlera?

– Jego nie.

Na chwilę zapanowała między nimi wymowna cisza i obie panie, mrużąc oczy przed jasnym słońcem, podziwiały lazurową taflę Morza Liguryjskiego, mieniącą się lśniącem blaskiem.

– Takie znajomości mogą być w dzisiejszych czasach bardzo cenne – rzekła Karolina niespodziewanie, nie patrząc na Hanię. – Na ile jesteś w stanie uwierzyć plotkom na temat wybuchu wojny z Niemcami, Haniu?

Hania oderwała wzrok od zatoki i popatrzyła na hrabinę.

– Dlaczego pani o to pyta, hrabino?

Karolina wzruszyła ramionami.

– Po prostu. Wierzysz, że będzie wojna?

– Gdybym w to wierzyła, pewnie nie zgodziłabym się zostać żoną Johanna.

Hrabina uniosła brwi w wyrazie zdumienia.

Hania nie miała złudzeń, że konflikt zbrojny z Niemcami bardzo pogmatwałaby jej życie osobiste, ale postanowiła nie zaprzętać sobie tym głowy teraz, kiedy była tak szczęśliwa – polityka nie interesowała jej wcale. Gdyby coś się działo, przecież by o tym wiedziała, wyczułaby zagrożenie. Johann również nie wspominał o tym ani słowem, więc o żadnej wojnie nie mogło być mowy, a plotki na ten temat wkładała między bajki.

– Oducz się naiwności, Haniu. Jesteś jeszcze młoda, a młodość rządzi się swoimi prawami, jednak na pewne rzeczy nie można być ślepym, nawet będąc zakochanym. – Karolina westchnęła. – Liczę, że jesteś mądrą dziewczyną i zrozumiesz...

– Co takiego?

– To, co zamierzam zrobić, przekonana namową wielu osób... – urwała, jakby szukając słów do dalszej dyskusji. W tym czasie taksówka dotarła do centrum Monako i jechały teraz wolno malowniczymi uliczkami starego miasta, mijając rzesze turystów.

– Nie jedziemy wyłącznie na zakupy, Haniu.

Hania popatrzyła na swoją towarzyszkę zdumiona, a przez jej twarz przemknął cień niepokoju. Nie znała dobrze tej kobiety i teraz poczuła lekką obawę, czy dobrze zrobiła, że z taką ufnością zgodziła się na jej towarzystwo. Hrabina Nałęczowska i jej mąż wydawali jej się mili, dość szybko nawiązali z Hanią i Johannem nić sympatii,

a dziewczyna spragniona towarzystwa kogoś z Polski z marszu im zaufała. Może nie powinna? Może powinna być bardziej ostrożna i powściągliwa?

– Zabieram cię do polskiej ambasady. Na pilne spotkanie z tobą nalegał nasz konsul w Monako, a ja nie śmiałam mu odmówić.

– Polski konsul nalegał na spotkanie ze mną? Po co?

– Dowiesz się na miejscu. Wiedz, że to sprawa wagi państwowej i tylko dlatego zgodziłam się osobiście wziąć w tym udział. W innym wypadku odmówiłabym natychmiast.

Zajechali przed uroczą kamienicę, w której mieściła się placówka polskiej ambasady w Monako. Auto zatrzymało się i obie panie wyszły na zalaną słońcem ulicę. Hania niepewna, czując niespokojne bicie serca, popatrzyła na śliczny budynek i pięknie zdobione drzwi, za którymi czekało ją spotkanie z nieznanym jej człowiekiem. Przez myśl jej przeszło, że może powinna odmówić, ale ciekawość wzięła górę nad obawą i w ostateczności, wraz z hrabiną Karoliną Nałęczowską, weszła do polskiej ambasady.

– Szanowne panie! Cóż za zaszczyt! – Mieczysław Oxner, honorowy konsul Polski w Monako, przywitał obie kobiety szarmanckim pocałunkiem w dłoń.

Był mężczyzną około sześćdziesiątki, zadbanym i szczupłym, choć z siwymi włosami i wyraźnymi zmarszczkami na inteligentnej twarzy. Jego oczy żywo i z zainteresowaniem obserwowały Hanię, kiedy dziewczyna witała się z nim nieco zmieszana. Dopiero później dowiedziała się od hrabiny, że pan Oxner był wybitnym oceanografem i zoologiem i oprócz pełnienia funkcji konsula pracował w Monako przede wszystkim jako naukowiec w Muzeum Oceanograficznym.

– Szanowne panie zechcą usiąść. Mógłbym zaproponować szklaneczkę czegoś orzeźwiającego?

Obie chętnie na to przystały i po chwili urocza sekretarka przyniosła damom pyszną owocową lemoniadę, jakiej Hania nigdy jeszcze nie piła.

– Panno Haniu, czy mogę tak się do pani zwracać? – Hania skinęła głową na znak, że wyraża zgodę i pan Oxner kontynuował ochoczo. – Pewnie jest pani zaskoczona tym spotkaniem. Nie wiem,

czy hrabina Nałęczowska cokolwiek pani wyjaśniła, ale... Nasza misja jest dość poufna i delikatna.

Hania zdumiona uniosła brwi, ale nie przerywała konsulowi.

Mężczyzna przez chwilę jakby szukał słów, aż wreszcie odezwał się ponownie.

– Wiem, że jest pani doskonałą studentką. Z listu rektora uniwersytetu wynika, że ma pani bystry umysł i wykazuje się żywą inteligencją. Pytanie brzmi: Na ile jest pani gotowa te cechy wykorzystać w ważnej sprawie?

– Nie rozumiem, w czym rzecz – odparła Hania bez ogródek. – Proszę mi wszystko wyjaśnić.

Konsul chrząknął kilka razy.

– To, co pani teraz usłyszysz, panno Haniu, pozostanie wyłącznie między nami. Jeśli kiedykolwiek będzie pani chciała komuś o tym powiedzieć, my z hrabiną stanowczo zaprzeczymy. Nie będzie pani miała żadnych dowodów na to, że dzisiejsze spotkanie kiedykolwiek się odbyło. Więc jeśli po tym, co pani tu usłyszysz, będzie pani miała wątpliwości, proszę wypowiedzieć je głośno od razu albo zamilknąć na zawsze.

– Nie rozumiem...

– Zaraz pani zrozumie, panno Haniu. Wiemy, co nie jest żadną tajemnicą, że jest pani zaręczona z niemieckim hrabią Johannem von Richterem. Wiemy również, że bywa pani w bliskim towarzystwie głównych działaczy NSDAP, w tym najbliższych współpracowników kanclerza Adolfa Hitlera. Wiemy, że pani narzeczony jest prawnikiem NSDAP, a jego brat działa w szeregach SS. W związku z tym prosimy w imieniu państwa polskiego i naszych władz o to, żeby zechciała pani w ukryciu i pełnej tajemnicy dostarczać nam wszelkie informacje na temat planów Hitlera co do Polski.

Hania w pierwszej chwili zbladła, a zaraz potem na jej twarzy wykwitły szkarłatne rumieńce. Patrzyła z niedowierzaniem to na konsula, to na hrabinę, a oni oboje przyglądali jej się uważnie.

– Mam szpiegować? – zapytała w końcu.

Pan Oxner i hrabina patrzyli na nią wyczekująco w milczeniu, więc dziewczyna w lekkiej panice zaczęła się śmiać.

– To niemożliwe! – krzyknęła. – Nie znam się na polityce! Polityka mnie nie interesuje! Jestem zwyczajną dziewczyną, która chce zostać żoną mężczyzny, którego kocha i z którym zamierza być szczęśliwa! Nie obchodzą mnie sprawy wagi państwowej!

Hrabina lekko zmarszczyła brwi, a konsul cmoknął z niezadowoleniem.

– Haniu, masz możliwości, jakich nie ma nikt z nas. Jesteś blisko ludzi, którzy zamierzają wywołać wojnę w Europie, a może i na świecie! Bądź rozsądna! – upomniała ją hrabina.

– Jestem rozsądna, starając się unikać tego wszystkiego, o czym mówicie!

– Pani brat, porucznik Jan Woliński, bez wahania staje na wezwanie ojczyzny, pragnąc bronić jej suwerenności. To człowiek, dla którego honor i ojczyzna są na pierwszym miejscu. Mogłaby pani dać bratu powód do dumy i pokazać mu, że z równie wielkim zaangażowaniem poświęca się pani dla ojczyzny – przekonywał ją konsul z wyraźnym naciskiem, bacznie śledząc jej reakcje.

– Mam szpiegować ludzi, z którymi pracuje mój narzeczony? – zapytała Hania głucho. – Mam szpiegować jego? Tego ode mnie chcecie?

– Tak – odparła hrabina ostro. – Dla dobra Polski.

Hania spuściła głowę. Przed oczami stanął jej Janek ze swoim oddziałem kawalerii, mobilizujący się do walki. Przypomniała sobie, że zaledwie parę dni temu wraz z Johannem słuchała komunikatów radiowych, z których dowiedziała się, że doszło do rozpadu Czechosłowacji, która została przekształcona w zależny od Trzeciej Rzeszy protektorat Czech i Moraw, a Słowacja ogłosiła niepodległość w porozumieniu z Hitlerem i natychmiast na część ich terytorium wkroczyły wojska węgierskie. Natomiast Litwa oddała Trzeciej Rzeszy miasto portowe Kłajpedę. W wyniku tych wydarzeń granice polsko-niemieckie niebezpiecznie się wydłużyły, więc polscy obywatele faktycznie mogli zacząć się bać. Wtedy niewiele ją to obchodziło, bo zajmowała ją własna, nowo odkryta miłość. Nie interesował jej Hitler i jego plany. I dopiero tu i teraz, z całą mocą, dotarło do niej, że jej kraj znajdował się być może w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tylko co ona mogła? Studentka germanistyki?

Przecież nie miała pojęcia o tajnikach spraw państwowych i nie znała się na szpiegowaniu! A Johann zapewniał ją solennie, że Hitler nie chce wojny z Polską, bo widzi w niej sojusznika.

– Jakie informacje miałabym przekazywać i komu? – zapytała słabym głosem.

– Wszystko, co wyda się pani ważne i podejrzanе. Rozmowy, raporty, nastroje. Wszystko, co dotyczy Polski i Europy. A wszelkie zdobyte informacje musi pani sama przewieźć do Warszawy, bezpośrednio do kogoś z otoczenia władz.

Hania popatrzyła niepewnie na konsula.

– Dlaczego ja? Czy Polska nie ma wyszkolonych szpiegów?

– Oczywiście, że ma! Doskonale wyszkolonych! Ale pani jest poza kręgiem jakichkolwiek podejrzeń! Młoda, niewinna panna, zaręczona z przystojnym Niemcem. Kto mógłby panią podejrzewać? Minister von Ribbentrop bez wahania zgodził się, żeby to pani była tłumaczką podczas uroczystości w Warszawie. To świadczy o pewnej zażyłości.

– Czy mogę odmówić? – zapytała dziewczyna hardo, choć wiedziała, że to pytanie nie ma sensu, bo już podjęła decyzję. I nie była z niej zadowolona.

– Oczywiście – odparł pan Oxner. – Ale jeśli pani tego nie zrobi... Obiecano, że bez najmniejszych przeszkód pani praca magisterska zostanie zakwalifikowana do obrony magisterskiej. Będzie pani mogła bronić się jeszcze przed latem. Być może zanim zostanie pani żoną szanownego hrabiego von Richtera, będzie już pani magistrem...

Przez chwilę panowało między nimi przytłaczające milczenie. Hania czuła na sobie świdrujący wzrok konsula i hrabiny. Boże! Jak ona zdoła się z tego wyplątać? A jeśli Johann ją zdemaskuje? Jeśli domyśli się, że knuje coś za jego plecami? Z drugiej strony, polityka wewnętrzna Niemiec, zwłaszcza ta dotycząca czystości rasy, tak jej doskwierała, że Hania była gotowa stać się choć malutkim trybikiem w walce z tym okrucieństwem.

– Więc niech tak będzie – odparła wreszcie. Była boleśnie świadoma tego, że wpakowała się w coś, co może jej przynieść tylko wielkie kłopoty. Ale jakaś racjonalna jej część nie potrafiła odmówić.

Konsul uśmiechnął się lekko, z wyraźną ulgą.

– Proszę możliwie najszybciej dostarczyć nam swoje zdjęcie paszportowe. Będzie pani potrzebować dokumentów uwierzytelniających, które pomogą w tej misji – rzekł z powagą.

– Komu mam je przekazać? – zapytała cicho.

– Szanownej hrabinie Nałęczowskiej. Ona będzie wiedziała, co z tym zrobić.

Tego wieczoru, po wyjściu z opery, Hania wraz z Johannem i grupką innych znajomych, wśród których było również małżeństwo Nałęczowskich, udała się do nadbrzeżnej restauracji. Całe popołudnie czuła się nieswojo po rozmowie z konsulem i dręczyły ją wyrzuty sumienia, że musiała okłamywać Johanna, ale baczny wzrok Karoliny przypominał jej o zadaniu, które jej powierzono.

Kiedy po kolacji obie poszły na spacer nadmorską promenadą, Karolina złapała ją za rękę.

– Wiem, Haniu, że się boisz, ale jesteś naszą ogromną nadzieją. Twoja misja jest trudna, ale zostanie wynagrodzona. Jeśli masz wątpliwości, to wiedz, że żadna miłość nie jest tak głupia i szalona jak... miłość do ojczyzny. Niedługo to zrozumiesz.

– Ale... Jak mam to zrobić?

Karolina uśmiechnęła się.

– Wystarczy, żebyś była tam, gdzie dzieje się coś ważnego. Miej oczy i uszy szeroko otwarte. Po powrocie do Polski skontaktuj się z Walerianem Kruszewskim. Mieszka w Śródmieściu.

Hania spojrzała na kartkę, którą Karolina wyjęła z podręcznej torebki i wsunęła jej w dłoń. Wypisany był na niej adres.

– Zapamiętaj go i spal kartkę.

– Kim jest Walerian Kruszewski?

– Jemu przekażesz wszystkie informacje, które uda ci się zdobyć. Nie przejmuj się. Szybko zrozumiesz, że twoja misja jest prostsza, niż myślisz – to mówiąc, hrabina obdarzyła Hanię czarującym, pełnym otuchy uśmiechem.

ROZDZIAŁ 14

– W co ta dziewczyna się wpakowała! Taka bystra i tak łatwo dała się aresztować!

Hania w przerażeniu patrzyła na panią Irene, która mimo bólu pleców chodziła z kąta w kąt i ani myślała usiąść w fotelu. Jej pomarszczone dłonie drżały niespokojnie, a na twarz wystąpił niezdrowy rumieniec.

– Ostrzegałam ją! Powtarzałam, że musi być ostrożna! – krzyczała w emocjach.

– Uspokój się, babciu. Wyciągnę ją z tego. – Johann był niemniej zdenerwowany.

Godzinę temu dostał telegram od matki, że minionej nocy Nina została aresztowana przez gestapo wraz z kilkunastoma innymi przyjaciółmi w klubie, w którym występowała. Podobno tajna policja dostała cynk, że zbierają się w nim przeciwnicy Hitlera i spiskują przeciwko jego władzy. Johann w to nie wierzył. Znał przyjaciół Niny i wiedział, że była to grupa może i wyzwolonych moralnie, ale zupełnie nieszkodliwych artystów. Nina, co prawda, nieraz zbyt otwarcie krytykowała władzę NSDAP, ale nie była zdolna do politycznego sabotażu. Co do tego miał stuprocentową pewność.

Hania obserwowała narzeczonego, jak krążył po pokoju z poważną miną. Odpiął dwa górne guziki koszuli i zakasał rękawy nad łokcie.

– Na pewno ojciec już zajął się sprawą uwolnienia Niny – rzekł uspokajająco do zdenerwowanej babci.

– Twój ojciec to łotr, który własną córkę oddałby wilkom na pożarcie, gdyby tylko znalazł w tym korzyść!

– Babciu, co ty mówisz? Bądź rozsądna!

– Jestem rozsądna! Ale napatrzyłam się już na niejedno! Jeśli w grę wchodzi wpływ i władza, to rozum ludziom odbiera!

Do salonu weszła pokojówka i oznajmiła, że wszystkie ich bagaże są już gotowe do drogi, a przed willą czeka taksówka.

– Doskonale – mruknął Johann i popatrzył na Hanię, która dotąd w milczeniu obserwowała babcię.

– Pani Irenko, jedziemy do Monachium. Johann zrobi wszystko, żeby Nina wróciła do domu.

– Moja dzielna dziewczynka – biadoliła starsza pani, użalając się nad sytuacją wnuczki. – Byłam z niej taka dumna, że nie bała się swoich poglądów. I do czego ją to zaprowadziło? Co za okropne czasy!

– Babciu, co się stało, to się nie odstanie. Pozostaje nam wrócić do domu i wyciągnąć Ninę z aresztu.

Hania nie mniej martwiła się całą sytuacją. Zdążyła już poznać Ninę na tyle, żeby zorientować się, że jej przyszła szwagierka nie przebierała w słowach i jawnie gardziła nazistami. Być może rzeczywiście ktoś doniósł gestapo, że Nina wraz z przyjaciółmi drwi z władzy, więc aresztowano ich dla ostrzeżenia. Choć nie chciało jej się wierzyć, że policja mogłaby wyrządzić krzywdę córce i siostrze bądź co bądź wzorowych nazistów.

Wstała i objęła ramieniem starszą panią, która nieco skulona nagle stała się jakby drobniejsza. Widać było, że wydarzenia ostatnich miesięcy nadszarpaneły zdrowie staruszki.

– Chodźmy, pani Irenko. Nie możemy tracić czasu, bo czeka nas długa droga.

– Dobrze, że mam ciebie, dziecino – mruknęła Irene, patrząc na Hanię z czułością. – Bez ciebie nie dałabym rady w tym dziwnym świecie.

Wszyscy troje po raz ostatni przeszli przez zalany wiosennym słońcem ogród, w którym spędzili tyle radosnych ranków i leniwych wieczorów, popijając herbatkę pod szerokimi parasolami egzotycznych drzew i wsłuchując się w delikatny szmer wody z ogrodowych fontann.

Hani żał było opuszczać słoneczne Monte Carlo, gdzie była tak szczęśliwa. Bawiła się tu wysmienicie i poznała tylu fascynujących ludzi. Jednak zdawała sobie sprawę, że ona i Johann kiedyś będą

musieli wyjść z miłosnej krainy i stawić czoła rzeczywistości. I ten czas właśnie nadchodził.

Zdażyła jeszcze pożegnać się z hrabiną Nałęczowską i jej mężem, zapewniając, że na pewno wkrótce się spotkają. Obie panie ani razu nie wspomniały wycieczki do konsulatu Monako i przy pożegnaniu również nie wróciły do tego tematu, nawet kiedy hrabina wsunęła Hani do kieszeni spodni z szerokimi nogawkami dokumenty uwierzytelniające. Hania zdawała sobie sprawę, jaki ciężar spoczywał na jej barkach. Hrabina też zapewne o tym rozmyślała, bo długo patrzyła za nią, jak ta odjeżdżała taksówką.

Po południu Hania, Johann i pani Irene wsiedli do pociągu, który miał ich zawieźć najpierw do Paryża, a stamtąd prosto do Niemiec.

* * *

Narada rodzinna w Richterhause rozpoczęła się na krótko po tym, jak Hania, Johann i pani Irene przybyli do posiadłości.

Hania nalegała, żeby babcia udała się do swoich apartamentów i odpoczęła po kilkunastogodzinnej męczącej podróży, ale ta nie chciała nawet o tym słyszeć. Hardo i z posępną miną wtargnęła do salonu, w którym czekali już Manuela i Hans von Richterowie. Brakowało tylko Niklasa, ale jego jak zwykle zatrzymały rzeczy ważniejsze niż narada w sprawie aresztowanej siostry.

Hania od czasu pamiętnej strzelaniny na stacji, kiedy to Niklas zabrał ją do swojego mieszkania, spotkała go tylko raz, podczas ogłoszenia jej zaręczyn z Johannem. Nie rozmawiali wtedy o niczym szczególnym, wymienili tylko zdawkowe uprzejmości. Teraz cieszyła się, że poza tym jedynym spotkaniem nie widuje go wcale. Wprawdzie był dla niej wyjątkowo uprzejmy i nigdy nie wyrządził jej krzywdy, ale mimo to nie ufała mu i miała nieodparte wrażenie, że łączy ich wzajemna wstydliva tajemnica z tamtego pamiętnego dnia na dworcu.

– Liczę, że podjąłeś już właściwe kroki, żeby twoja córka wróciła do domu! – huknęła pani Irene z marszu, wbijając w syna ostre spojrzenie.

Hans von Richter jak gdyby nigdy nic siedział rozparty w fotelu i z cygarem w dłoni. Jego żona stała przy oknie – zimna i majestatyczna niczym posąg. Na widok Hani chłód na jej twarzy zamienił się w lód.

– Sama jest sobie winna – rzucił Hans z sarkazmem. – Szlajała się z podejrzanym towarzystwem, za nic mając prawo! Doigrała się, tak jak wcześniej ten jej chłoptaş Gessner!

– Ojczy, zamilcz! – krzyknął Johann ostro. – To nie czas i miejsce na takie wyrzuty! Twoja córka jest zamknięta w areszcie gestapo. Sam wiesz, co tam robią ludziom!

Hans spojrzał na niego drwiąco.

– Co takiego robią, mój synu? Niewinnym nie staje się krzywda! Twoja siostra to ladacznicą, która zadaje się z podejrzanym towarzystwem! Jak długo mam jej bronić i ukrywać prawdę? Jak długo udawać, że nie wychowałem żmii we własnym gnieździe? Przyniosła mi wstyd! Mnie i twojej matce! Ciężko pracujemy na to, żeby utrzymać pozycję i coś znaczyć w tym świecie, a twoja siostra pluje na to!

– Nie waż się szykanować dobrego imienia Niny! – krzyknęła pani Irene. – To krew z twojej krwi! Żądam, żebyś natychmiast interweniował w jej sprawie!

– Już to zrobiłem – odparł Hans spokojnie. – Zapewniono mnie, że mojej córce nie dzieje się krzywda. Wkrótce zostanie zwolniona.

– Wkrótce, czyli kiedy? – wtrącił się Johann.

– Jak tylko złożę obszernie wyjaśnienia w sprawie.

Twarcz Johanna stężała.

– Pozwoliłeś, żeby ją przesłuchiwali?

Hans wypuścił dym z cygara.

– A co miałem zrobić? Nie miałem na to żadnego wpływu. Może to uparte dziewczuszyko trochę się przestraszy i zacznie szanować władzę.

– Co z ciebie za człowiek! – syknęła Irene.

Hans zaśmiał się z cygarem w ustach, ukazując dwa rzędy białych zębów.

– Sama mnie tak wychowałaś, matko!

Po kolacji, która minęła wszystkim w ponurym milczeniu, Johann poinformował Hanię, że jedzie do miasta.

– Na noc? – zapytała zdziwiona.

– Pojadę do klubu, w którym aresztowano Ninę. Może się czegoś dowiem.

– Weź mnie ze sobą.

Pokręcił głową.

– Nie. To zbyt niebezpieczne. Poza tym wolę, żebyś zajęła się babcią. Jest w złym stanie.

* * *

Johann dotarł do miasta przed północą. Ulice były spokojne, od czasu do czasu przejeżdżał nocny tramwaj. Kilkakrotnie spotkał na chodniku patrol SS, ale nie zwrócili na niego uwagi.

W klubie jak zwykle było mnóstwo gości. Orkiestra grała jazz, ludzie tańczyli, pili mocne trunki, palili tytoń i skręty, których zapach unosił się w powietrzu.

Przy jednym ze stolików Johann dostrzegł Gustava Kauffmanna.

– Przyjacielu! Co za radość cię widzieć! Nie było cię bity miesiąc! – Gustav rozpostarł ramiona i poklepał przyjaciela po plecach. – Jak twoja piękna Polka? Nadal nie wierzę, że tak się ustawiłeś! Taka zdobycz! Sam miałem na nią chętkę!

– Uważaj, Gustav, mówisz o mojej narzeczonej.

– Ech, narzeczone! Raz ta, raz tamta! Najpierw się ożeń, przyjacielu, a później będziesz dysponował swoją damą!

Johann popatrzył na przyjaciela karcącym wzrokiem.

– Ona jest nietykalna, Gustav! Pamiętaj!

– Wiem, wiem! Tak sobie głupio gadam.

Usiedli przy stoliku i Johann zamówił piwo.

– Wiesz o Ninie? – zapytał Gustava, kiedy kelnerka przyniosła napitek.

– Słyszałem. Pytałem Niklasa, ale nie puścił pary z ust. Podobno aresztowali ją za udział w organizacji opozycyjnej.

Johann zmarszczył brwi.

– To bzdura. Nina nie nadaje się na opozycjonistkę. Jest na to zbyt egoistyczna.

– A może nie? Może nie znasz własnej siostry, tak jak i nie znasz własnego brata?

– Co sugerujesz?

Gustav wzruszył ramionami.

– Tydzień temu doszło do masowej egzekucji za murami miasta. Rozstrzelano ludzi. Bez wyroków. Sami Żydzi. Wiesz, kto dowodził egzekucją?

– Niklas... – szepnął Johann poblady.

– Tak. Twój brat. – Gustav upił spory łyk wódki. – Robi się coraz goręcej, Johann. Hitler prze do wojny, ale zanim ją rozpęta, najpierw pozbędzie się wszystkich Żydów, a jeszcze trochę ich tu zostało. Podobno w Berlinie jest gorzej.

Przez chwilę panowało między nimi puste milczenie. Obaj mężczyźni zdawali się być wsłuchani w dźwięki charyzmatycznego saksofonu, płynące z wnętrza sali.

– Dostałem rozkaz stawienia się na ćwiczenia wojskowe – rzekł Gustav po chwili. – Chcą mnie wcielić do Wehrmachtu. Narodowy socjalizm nie odpuszcza nikomu, przyjacielu. Nawet takiemu lekkoduchowi jak ja – rzekł z goryczą w głosie.

– I co zrobisz?

– A co mam zrobić? Myślisz, że zostawili mi wybór? Jeśli moja rodzina ma żyć w spokoju, a majątek pozostać nietknięty, to muszę iść do wojska. Módl się, żeby i ciebie nie zgarnęli.

Po godzinie Gustav wyszedł z lokalu chwiejnym krokiem, a Johann postanowił znaleźć właściciela klubu i porozmawiać z nim o aresztowaniach. Zastał go na tyłach lokalu, w jego gabinecie, siedzącego na eleganckiej sofie, z młodą kobietą u boku.

– Szanowny panie, proszę nie przeszkadzać! Proszę przyjść innym razem – mruknął mężczyzna, nie patrząc na stojącego w drzwiach Johanna.

– To ja proszę, żeby szanowna pani przyszła innym razem – rzekł Johann uprzejmie, acz stanowczo. – Muszę z panem pilnie porozmawiać.

Właściciel popatrzył na niego zdziwiony.

– Pan hrabia! – Zerwał się z sofy i poprawił na sobie przekrzywioną marynarkę.

Kobieta – młoda i urodziwa – uśmiechnęła się lekko.

– Panno Charlotte, proszę wybaczyć, ale rzeczywiście umówimy się innym razem – rzekł właściciel lokalu do kobiety.

Ta bez ociągania wstała z sofy i lustrując Johanna ciekawskim wzrokiem, bez słowa protestu wyszła.

– Panie von Richter! Co za niespodzianka! Dawno pana nie widziałem!

Johann przemierzył wolno pokój i usiadł na jednym z krzeseł stojących obok biurka.

– Co pan wie o aresztowaniu mojej siostry? – zapytał bez ogródek.

Mężczyzna sapnął.

– Ciężka sprawa. Bałem się, że przez tę aferę zamkną mi lokal! Aresztowali dwunastu ludzi! Cudem uniknęliśmy tu strzelaniny!

– Kto ich aresztował?

– Mundurowi z gestapo! Ja tam nic nie wiem, ale podobno chodziło o jakąś organizację. Pana siostra miała do niej należeć.

– Co to za organizacja?

Mężczyzna zerwał się z sofy i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

– Panie, ja nie chcę kłopotów! Mam ich już dość, od kiedy ta policja narobiła tu rabanu. To bezwzględni ludzie!

– Zna pan Ninę. Wie pan, że to porządna dziewczyna!

– Owszem! Panna von Richter jest porządna i niezwykle utalentowana!

– Więc chyba pan nie chce, żeby zgniła w celach gestapo!

– Co to, to nie! Wierzę, że ją wypuszczą! Nie zrobiła nic złego!

Johann wstał i podszedł do mężczyzny z zaciętym wyrazem twarzy.

– Więc co to za organizacja?

Mężczyzna westchnął.

– Nazwali ją Czarna Pantera. Podobno nawołuje obywateli do występowania przeciwko władzy, ale to nieprawda. To pic na wodę, panie von Richter. Chodzi o coś zupełnie innego, ale jeśli to panu powiem... Muszę mieć pewność, że mój lokal na tym nie ucierpi!

Johann w milczeniu skinął głową.

* * *

Na drugi dzień w samo południe SS-Reichsführer Heinrich Himmler lustrował Johanna wzrokiem, kiedy ten stał przed nim wyprostowany jak struna. Johann nie podniósł ręki w hitlerowskim geście powitania i fakt ten wprowadził szefa SS i gestapo w konsternację.

– Domyślam się, z czym pan przychodzi, panie von Richter. Zanim jednak przejdziemy do sedna, chciałbym panu pogratulować nowych zaręczyn. Nie pamiętam panny Wolińskiej z balu w Richterhause, ale von Ribbentrop zapewnił mnie, że podobno to urocza młoda dama. Byłbym szczęśliwy móc gościć pana z narzeczoną na obiedzie w moim domu.

– Przyjdziemy z przyjemnością.

Himmler uśmiechnął się spod przyciętego wąsa.

– Doskonale. Omówię z żoną szczegóły i wyślę państwu zaproszenie. Spodziewamy się w najbliższych dniach przyjazdu Führera do Monachium, więc może i on weźmie udział w obiedzie.

– Führer już gratulował mi zaręczyn – odparł Johann oschle.

Rzeczywiście dostał od Hitlera zdawkowy uprzejmy list, w którym ten składał mu gratulacje, co znaczyło, że informacje o zaręczynach z Polką już do niego dotarły, nie wiedzieć czemu, w błyskawicznym tempie.

Starał się panować nad emocjami, ale czuł, że jego ciało jest napięte jak cięciwa. Wrócił z porannej wizyty w siedzibie gestapo, gdzie poinformowano go, że panna von Richter nie może zostać zwolniona z aresztu. Poprosił, a wręcz wymógł groźbami na funkcjonariuszu w dyżurce wgląd do akt Niny, tłumacząc, że jest głównym prawnikiem NSDAP i ma do tego wszelkie prawo. W teczce znalazł protokół z przesłuchania Niny, pod którym podpisał się Oberscharführer Karl Klimke.

– Moja siostra Nina von Richter została cztery dni temu aresztowana pod zarzutem udziału w organizacji opozycyjnej pod nazwą Czarna Pantera – rzekł bez ogródek. – Sam pan wie, mein Reichsführer, że taka organizacja nie istnieje. Została wymyślona

przez SS na potrzeby chwili, a moja siostra została w to bezczelnie wplątana.

Himmler słuchał Johanna uważnie, skupiając się na jego ruchach, mowie ciała, emocjach, jakby próbował przeświecić wszystkie jego intencje. Sam zdawał się nie emanować żadnymi emocjami. Twardo, poważnie i z życzliwością – tak przyjmował skierowane do niego słowa Johanna.

– Więc co pan sugeruje, panie von Richter? – zapytał łagodnie.

– Co sugeruję? Ależ nic! Odkrywam tylko prawdę! Jako prawnik partii jestem do tego zobowiązany! Wiem, że naszym zadaniem jest eliminowanie wszelkiego podejrzanego elementu, ale ratowanie własnej skóry za pomocą kłamstw to już wyjątkowa bezczelność! Chyba przyzna mi pan rację, mein Reichsführer?

Himmler uśmiechnął się lekko.

– A jaka jest prawda, panie von Richter?

– Prawda jest taka, że lokal, w którym występuje moja siostra, był miejscem przemytu bardzo dużej ilości Pervitinu[6]. Wiem również, że prawdę tę odkrył angielski dziennikarz blisko związany z moją siostrą i zamierzał opublikować ten bulwersujący fakt w gazecie. Aresztowaliście jego i innych, którzy wiedzieli o tym procederze. Między innymi moją siostrę.

– Jest pan wyjątkowo bystry, panie hrabio. To przyjemność mieć kogoś takiego w swoich szeregach. – Himmler jakby się zamyślił, lecz po chwili popatrzył na Johanna ze szczerym uśmiechem. – Proszę jechać do gestapo i na mój rozkaz zabrać stamtąd siostrę. Wierzę, że panna Nina zachowa się rozsądnie i nie rozpowie o całej sprawie. Chyba pan wie, że wyjątkowe sytuacje wymagają wyjątkowych środków.

Johann zacisnął szczękę.

– Pana również proszę o dyskrecję – kontynuował Himmler. – To ważne, żeby takie sprawy jak ta nigdy nie ujrzały światła dziennego. Dla dobra obywateli i... dla dobra nas wszystkich. Ale pan to rozumie, prawda?

Johann przez chwilę patrzył na Reichsführera zdecydowanym, nieustępliwym wzrokiem. W końcu skinął głową.

– A co do obiadu – rzucił na odchodne Himmler, nie szczędząc uprzejmego tonu – to liczę, że wkrótce się spotkamy i poznam pańską uroczą narzeczoną.

* * *

Johann czekał na Ninę w salonie jej mieszkania, aż ta weźmie kąpiel. Wyszła z łazienki po półgodzinie, w jedwabnym szlafroku, z mokrymi włosami i papierosem w dłoni. Wokół niej unosiła się aura świeżości. Na nadgarstku jednej ręki zauważył połyskujące złote bransoletki. Nina uwielbiała efektowną biżuterię.

Przez chwilę naprawdę się o nią bał, a to uświadomiło mu, że Nina zawsze będzie jego małą siostrzyczką, choćby nie wiadomo jak niezależna się stała. Kiedy zwolniono ją z aresztu, wyszła z celi dumna, poważna, bez cienia strachu czy złości. Podziwiał ją za to, ale też zdawał sobie sprawę, że jej zupełny brak emocji to długoletnia szkoła, jakiej poddawali ją rodzice. Podobnie jak on Nina była zmuszona radzić sobie w świecie pełnym nakazów i zakazów, bez cienia głębszych uczuć ze strony matki czy ojca. Dla von Richterów ważne były pozycja, wykształcenie, klasa. Z uporem wbijali Ninie, Johannowi i Niklasowi do głów, że uczucia są złe i niepotrzebne, że są oznaką słabości, mogą nawet zabić. On też przez dużą część swojego życia zupełnie się temu poddał... Do czasu aż poznał Hanię i jego świat rozpadł się na kawałki.

– Jak się czujesz? – zapytał z troską w głosie.

– A jak mam się czuć? Zmyłam z siebie ten smród i jestem jak nowo narodzona.

– Coś ci zrobili?

Nina uniosła brwi.

– Pytasz, czy ten młody szeregowiec, który mnie przesłuchiwał, podniósł na mnie rękę? Ależ skąd! Szlag go trafiał, że dostał taką robotę!

Johann patrzył na Ninę, nic nie rozumiejąc. Dziewczyna, widząc to, zaczęła się głośno śmiać.

– Braciszku, on był gotowy paść mi do stóp, a jakie robił maślane oczy! Podobno widział mnie parę razy na scenie.

– Jesteś niesamowita! – mruknął Johann. – Ja poruszam niebo i ziemię, żeby wyciągnąć cię z celi, a ty jakby nigdy nic zajmujesz się uwodzeniem swojego gnębiciela!

– Jakim uwodzeniem! Przecież go nie uwiodłam! Ale w innych okolicznościach, hmm, kto wie...? Był całkiem niczego sobie – mruknęła.

– Następnym razem zostawię cię w tym areszcie – odparł Johann kpiąco.

– Nie będzie następnego razu, braciszku. Nie zamierzam ponownie dać się aresztować. – Nalała sobie sporą lampkę wina i duszkiem wypłała połowę.

Johann patrzył, jak niespokojnie krąży po mieszkanku, jakby czegoś szukając albo próbując znaleźć sobie miejsce. Nie był pewien, czy Nina mówiła prawdę, czy rzeczywiście nic jej nie zrobili. Choć nie zauważył obrażeń fizycznych na jej ciele, to jednak w jej zachowaniu było coś niepokojącego.

– Nie wiesz, co się stało z pozostałymi? – zapytała po chwili ściszonego głosem.

– Ich też wypuścili. Tylko ten twój angielski przyjaciel, Thomas Smith, dostał nakaz natychmiastowego opuszczenia Niemiec.

– Szkoda... Od niedawna byliśmy kochankami. Zapowiadał się obiecująco.

Nina otworzyła drzwi na balkon i wpuściła do pokoju ciepły kwietniowy wiaterek. Przez chwilę stała nieruchomo z przymkniętymi powiekami i delectowała się delikatnymi podmuchami pieszczącymi jej gładką twarz.

– Nie masz pojęcia, jakie to uczucie siedzieć w zamknięciu. – Odwróciła się leniwie i popatrzyła na Johanna błyszczącymi oczami.

– Słyszałeś o Pervitinie?

– Tak.

– Sprowadzano go na rozkaz wysokich rangą dygnitarzy po to, żeby testować go dla żołnierzy Wehrmachtu. Jednak dość szybko stał się popularny wśród szeregowych esesmanów. To głównie w naszym klubie zaopatrywali się w ten... lek. Thomas zamierzał opisać to w gazecie. Ktoś go sprzedał i tak to się zaczęło.

– A co ty miałaś z tym wspólnego?

Nina wzruszyła ramionami.

– Nic. Znalazłam się w nieodpowiednim miejscu i nieodpowiednim czasie. To wszystko.

Johann jakoś nie mógł w to uwierzyć, ale postanowił nie drażnić tematu. On sam miał wiele na sumieniu, od kiedy zaczął pracować dla NSDAP, nawet jeśli wymigiwał się od pracy, jak mógł.

– Nasze państwo to wydmuszka, Johann. Tyle potworności wokół, a społeczeństwo nie robi nic, żeby się temu sprzeciwić. Wszyscy tańczą, jak im Hitler zagra.

– Ludzie wierzą, że będzie lepiej, że Hitler da im godziwe warunki do życia i podniesie kraj z kolan. Uważają, że od kiedy jest u władzy, Niemcom żyje się zdecydowanie łatwiej.

Nina skrzywiła się z odrazą.

– Ty też w to wierzysz, braciszku?

– Oczywiście, że nie! Nie jestem idiotą! Ani mordercą.

– W przeciwieństwie do Niklasa – dodała Nina z pogardą w głosie.

Przez chwilę panowało między nimi głucho milczenie. W końcu Johann wstał z sofy, zbierając się do wyjścia.

– Pójdę już. Ty odpocznij.

– A jak się miewa moja przyszła szwagierka? Zaopiekowałeś się nią należycie w Monte Carlo?

– Gdyby nie ty, nadal pławilibyśmy się w słońcu, z dala od tego wszystkiego – odburknął.

– Od rzeczywistości nie można uciec, braciszku. Skoro kochasz Hanię, to ożeń się z nią jak najszybciej. Zanim będzie za późno.

* * *

Hania spała, kiedy Johann po cichu wszedł do jej pokoju. Nie chciał jej budzić, ale pragnienie bycia blisko niej było silniejsze. Odchylił delikatnie kołdrę i przejechał dłonią po jej gładkim udzie zaplątanym w koszulę nocną.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego zaspanym wzrokiem. Bez słowa uniosła się na łokciach i z westchnieniem ujęła w dłonie jego twarz. Całowała go z żarliwością, prężąc pod nim ciało. Zdjął z niej koszulę nocną i głodnym wzrokiem obejmował jej nagie piersi,

szczupłe biodra, płaski brzuch. Jej długie włosy rozsypane na pościeli doprowadzały go do granicy szaleństwa. Nie chciał być nigdzie indziej, tylko tu z nią – kochać, zatracać się w tym obłąkaniu, które go ogarniało, ilekroć miał ją blisko.

Kiedy zaspokoili pierwszy głód miłości, opadli na poduszki. Leżeli ciasno spleceni, wsłuchując się we własne urywane oddechy.

– Uratowałeś ją – wyszeptała Hania z ustami przy jego brodzie.

Johann zaśmiał się cicho.

– To chyba za dużo powiedziane. Nina nie wyglądała na nieszczęśliwą więźniarkę. Sugerowała nawet, że ten, co ją przesłuchiwał, był nią oczarowany.

– Cała Nina. – Hania zachichotała. – Mogę się od niej wiele nauczyć.

– Nie musisz się od niej niczego uczyć – to mówiąc, Johann ponownie okrył sobą jej ciało.

Hania jęknęła, kiedy wszedł w nią po raz drugi, leniwie rozbudzając na nowo. Nie miał jej dość, jakby nie mógł nasycić głodu, który w nim wzbudzała. Ukrył ją w swoich ramionach i trzymał długo, próbując uspokoić bijące ze zdwojoną siłą serce. Jakby się bał, że za chwilę może ją stracić. Była lekarstwem na bóle, które trawiły jego duszę – na długie rzędy nazwisk niewinnych ludzi przelatujące mu przed oczami, na wspomnienie gwałtu na młodej Żydówce, którego był biernym świadkiem, na odgłos wystrzałów w stronę żydowskich uciekinierów. Nawet na ból po nienarodzonym dziecku, które Susanne zabiła w akcie zemsty na nim. Hania była jego antidotum na wszystko i coraz bardziej uświadamiał sobie, że stawała się jego jedynym światem.

Następnego ranka, kiedy oboje szykowali się do wyjazdu do miasta – on do pracy w kancelarii partii, a ona do biblioteki – Johann niespodziewanie otrzymał od kamerdynera zaproszenie skierowane do nich obojga na uroczysty bankiet do SS-Reichsführera Heinricha Himmlera.

– Ma się odbyć z okazji urodzin Hitlera. Obecność obowiązkowa – mruknął, wpatrując się w zaproszenie.

Hania liczyła na to, że Johann zechce pojechać z nią na święta wielkanocne do Warszawy, żeby ponownie spróbować przekonać do

siebie jej matkę i brata, ale teraz wiedziała już, że oboje muszą zostać w Monachium. Przynajmniej na razie.

– Będzie również Hitler – dodał, marszcząc brwi.

Hania zbyła to milczeniem, ale jej dłonie delikatnie zadrżały, kiedy zakładała na szyję kaszmirowy szal.

– Potrzebuję aparatu fotograficznego – wypaliła nagle, zmieniając temat. – Gdzie mogę go kupić?

– Po co ci aparat? To raczej niecodzienna zachcianka.

– Mam dość robienia tylu notatek do mojej pracy magisterskiej. Będzie mi łatwiej część materiału sfotografować.

Johann uznał ten pomysł za rozsądny.

– Skoro tak, to pozwól, kochanie, że sprawię ci prezent – odparł z uśmiechem.

* * *

Hania i Nina spotkały się w uroczych alejkach w Ogrodzie Angielskim^[7]. Kwiecień sprzyjał wyjściom w plener, było ciepło i słonecznie.

Spacerując niespiesznie wzdłuż rzeki Izary, Hania przypominała sobie swoje nie tak dawne niedzielne spacerunki z Władkiem po Łazienkach Królewskich. Tęskniła za Warszawą – za bulwarami wiślanymi, Starym Miastem, Krakowskim Przedmieściem, gdzie w małej kawiarence siadywała z Lucyną i popijała kawę, za Alejami Ujazdowskimi i Ogrodem Saskim, który kochała najbardziej. Najmocniej jednak tęskniła za swoim małym rodzinnym domkiem na Woli.

„Róże mamy już wkrótce zakwitną” – pomyślała z nostalgicznym westchnieniem. Monachium, owszem, było piękne, ale przytłaczające z tymi codziennymi marszami młodych Hitlerjugend, patrolami SS i hasłami wychwalającymi naród niemiecki. A wszystko to okraszone wszechobecnymi swastykami. Tu, w największym parku w mieście, było nieco spokojniej, jakby przyroda nie pozwoliła nazistom zawładnąć tym urokliwym miejscem. Ludzie oddawali się przechadzkom i sielskiemu relaksowi. Pod rozłożystymi koronami drzew wylegiwali się studenci, a Hania, patrząc na nich, rozmyślała

o swojej pracy magisterskiej, która powoli, lecz szczęśliwie zmierzała ku końcowi.

Z Niną spotkała się pierwszy raz od czasu powrotu z Monte Carlo i zwolnienia hrabianki z aresztu gestapo.

– Ten bydlak mnie zgwałcił! – syknęła niespodziewanie Nina, a jej głos groteskowo zmieszał się z przyjemnym trelem ptaków.

Hania przystanęła zaskoczona i popatrzyła na Ninę, nic nie rozumiejąc.

– Co ty mówisz? Jaki bydlak?

Nina zrobiła gniewną minę. Jej wyszminkowane usta wygięły się w podkowę.

– Ten gestapowiec, który mnie przesłuchiwał. Zgwałcił mnie podczas przesłuchania.

– Mój Boże! Zgłosiłaś to komuś?

Nina zachnęła się.

– Komu? Ci pieprzeni gestapowcy na pewno o tym wiedzieli! Zapewne mój ojciec to zlecił!

– Nina, na Boga! Co ty mówisz?!

– Chciał mnie przestraszyć, dać mi nauczkę!

– To niemożliwe! Przecież to twój ojciec!

– Nie znasz go, Haniu! To prawdziwy skurwysyn, a Niklas robi się taki sam jak on! Mam nadzieję, że chociaż Johann...

Hania instynktownie złapała Ninę za rękę, ale ta szybko ją wyrwała. W promieniach słońca jej gładka twarz okolona ciemnymi włosami wyglądała dumnie i buntowniczo.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś Johannowi?

– Po co? To już nie ma znaczenia. Mówię o tym tylko tobie, bo musiałam to z siebie wyrzucić. Ale nie zamierzam rozdrapywać ran. Nic mi nie jest, a ten bydlak pewnego dnia za to zapłaci!

– Johann nie zostawiłby tego bez echa. Przecież wiesz. Sprawca powinien ponieść karę!

– Nie bądź naiwna, dziewczyno! Ci parszywi brutale żyją ponad prawem! I sami wymierzają kary, jakie uznają za słuszne.

Hania przyglądała się przyszłej bratowej z powagą pomieszaną ze smutkiem. Nie mieściło jej się w głowie, jak można zgwałcić kobietę i nie zostać za to osądzonym! Nina nie chciała być ofiarą, ale wbrew

sobie była nią i Hania widziała to w jej spojrzeniu. Ta na pozór twarda i zbuntowana Niemka była tak naprawdę nieszczęśliwa i skrzywdzona. W haniebnym sposobie naruszono jej cielesność i zdeptano godność.

– Nie wiem, czy ja potrafiłabym być tak twarda jak ty – wyznała szczerze, wstrząśnięta do głębi.

– Radzę ci szybko się tego nauczyć. Inaczej nie przetrwasz w świecie mężczyzn.

[6] Pervitin – narkotyk na bazie amfetaminy podawany żołnierzom Wehrmachtu.

[7] Ogród Angielski – naturalny park położony w centrum Monachium.

ROZDZIAŁ 15

Monachium

Johann zaraz po obiedzie otrzymał telefon od zarządcy browaru Richterkönig, Brunona Fischera, że między robotnikami a nowymi nadzorcami z ramienia NSDAP wybuchły zamieszki. Takich sytuacji zdarzało się w browarze coraz więcej, ale ta podobno była niezwykle poważna.

Trasę z rezydencji do browaru Johann pokonał konno w godzinę, z sercem kołoczącym mu w piersi niespokojnie z obawy przed tym, co zastanie na miejscu. Z dnia na dzień było coraz gorzej. Robotnicy, niegdyś pracujący zgodnie, teraz kłócili się z byle powodu i dochodziło między nimi do obelżywych wyzwisk, a nawet bijatyk. Dzień w dzień Johann słyszał o coraz to nowych trudnościach, z którymi zarząd browaru musiał się borykać, a koniunktura również nie była łatwa, bo niemal wszystkie ogniwa gospodarki niemieckiej zostały odgórnie podporządkowane produkcji zbrojeń.

Na placu, przed największą warzelnią Richterkönig, zebrała się spora grupa ludzi – browarników wraz z zarządzającymi. Johann już z daleka słyszał ich podniesione głosy i dziwny lament. Ktoś gniewnie gestykulował.

Johann zeskoczył z siodła i czym prędzej dołączył do grupy.

– Co tu się dzieje?!

Na dźwięk jego podniesionego głosu robotnicy rozstąpili się przed nim i jego oczom ukazał się makabryczny widok. Na placu, w kałuży krwi, leżał jeden z jego pracowników. Miał przestrzeloną głowę. Przy zwłokach mężczyzny klęczała kobieta, najpewniej jego żona, lamentując żałośnie i zanosząc się płaczem.

– Co tu się stało?! – ryknął, rzucając robotnikom dzikie spojrzenie.
– Kto to zrobił?!

Mężczyźni patrzyli po sobie, ale nikt już nie śmiał się odezwać. Na ich twarzach rysowała się trwoga, pogarda i coś jeszcze, co pozwoliło Johannowi domyślić się, że nikt nie zamierza puścić pary z ust. Z rosnącą wściekłością słyszał jedynie żalosne zawodzenie wdowy.

– Do diabła! Albo dowiem się, co tu się stało, albo wszystkich was zwolnię! Co do jednego! Natychmiast!

Jeden z browarników pogardliwie splunął na ziemię, inny mruknął coś pod nosem, patrząc na Johanna spode łba.

– Klaus! – syknął Johann w jego stronę. – Kto to zrobił? Odpowiedz albo wywalę cię na zbity pysk!

W drzwiach warzelni ukazał się Horst Zeller, jeden z naczelników browaru z ramienia NSDAP. Zmrużył oczy od słońca i poprawił na sobie kamizelkę.

– Szanowny pan hrabia! – powitał go z przesadnym entuzjazmem. Johanna zmroziło.

– Co tu się, do diabła, wyrabia, Zeller?! Dlaczego jeden z moich ludzi nie żyje?!

– To złodziej i komunista, szanowny panie hrabio.

Johann tylko siłą woli powstrzymał się, żeby nie ryknąć w stronę głupawo podśmiechującego się naczelnika. Zacisnął dłonie w pięści i podszedł do niego.

– Co ty wygadujesz? – syknął.

Zeller wyciągnął z kieszeni spodni papierosa i bezczelnie wsadził go do ust.

– Przyłapałem tego szczura na kradzieży. Stawiał się ostro i nie chciał się przyznać. Już od dawna mącił w głowie innym robotnikom swoimi bolszewickimi hasłami!

– Zabiłeś go?

Zeller wzruszył ramionami, szukając po kieszeniach zapalniczki.

– Nie miałem wyboru. Groził mi.

– Zabiłeś mojego człowieka? – powtórzył Johann, z trudem cedząc słowa. Do jego uszu nadal docierał płacz kobiety. – Zapłacisz za to! Dopilnuję, żebyś jeszcze dziś trafił do policyjnego aresztu! – Będzie

pan donosił, panie hrabio, na członka NSDAP, który oczyszcza powietrze z bolszewickiej zarazy? Czy właśnie nie to mamy robić? Oczyszczać świat z żydokomuny? Jednego komucha mniej, lepiej się oddycha!

– Chyba nie wiesz, z kim właśnie zadarłeś, gnido! – zagrział Johann. – Nie obchodzi mnie twoje powietrze, obchodzą mnie moi ludzie, a tacy jak ty nie pozwalają im w spokoju pracować! Pakuj się, bo obiecuję, że nie wyjdiesz z pierdła!

Browarnicy obserwowali tę scenę w milczeniu. Kiedy Johann odwrócił się do nich, powoli zaczęli się rozchodzić, każdy do swoich zajęć. Widać jednak było w ich nienaturalnie zgarbionych sylwetkach żal i niedowierzanie z powodu tragedii.

Na placu, obok ciała i żony zmarłego, zostało tylko dwóch ludzi – zarządca Bruno Fischer i młody chłopak – bratanek zabitego. Johann podszedł do Fischera.

– Dopilnuj, żeby wdowa dostała wszystko, czego jej potrzeba, i wypłać jej roczną pensję męża – mruknął.

Ukucnął i drżącą dłonią dotknął pleców skulonej przy zwłokach męża kobiety.

– Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. I... błagam o wybaczenie... – urwał, bo kobieta popatrzyła na niego zapuchniętymi od płaczu oczami.

– Mój mąż nie był złodziejem. A teraz go nie ma... Nie ma...

Johann poczuł, że coś boleśnie ściska go w gardle. Żal i wściekłość zaciskały swoje macki na jego szyi niczym pętla. Coraz mniej rozumiał ten świat i coraz słabiej nad nim panował.

Godzinę później przybyli wezwani przez Johanna policjanci z sekcji kryminalnej gestapo i na oczach robotników zabrali podejrzanego o zabójstwo Horsta Zellera na przesłuchanie do Monachium.

Zeller, wsiadając do policyjnego samochodu, patrzył na Johanna z drwiącym uśmiechem na twarzy.

– Niedługo wyjdę, panie hrabio. Szybciej niż pan przypuszcza.

* * *

– Twoja troska o robotników pracujących w browarze jest wzruszająca, synu, ale też nieco przesadzona.

Johann stał w holu ubrany w elegancki garnitur i płaszcz i czekał na Hanię, która wraz z nim i jego rodzicami miała jechać na przyjęcie do monachijskiej posiadłości Heinricha Himmlera. Teraz odwrócił się w stronę ojca, który wyszedł ze swojego gabinetu odziany równie elegancko co syn, tyle że z czerwoną opaską ze swastyką na ramieniu.

– Rozumiem aresztowanie Zellera, ale czy musiałeś zrobić z tego spektakl na oczach robotników? – ciągnął ironicznie. – W rzeczy samej, biorąc pod uwagę okoliczności, nie zdziwię się, jeśli Zeller zostanie uniewinniony. W końcu zabił złodzieja, i do tego komunistę, który był w stosunku do niego agresywny.

– Z zimną krwią zastrzelił człowieka!

– Widzę, synu, że nadal nie pojmujesz, czym jest wyzwolenie narodowe Niemiec. Praca w kancelarii nic ci nie dała. Niczego cię nie nauczyła. – Hans podszedł do syna i popatrzył mu prosto w oczy. Jego nalana twarz była czerwona od nadmiaru alkoholu, a usta nienaturalnie nabrzmięte. – W Trzeciej Rzeszy nie ma miejsca na takie szumowiny jak ten robol komunista. Żydzi i komuniści to chwasty, które trzeba wyplenić, żeby nasz naród mógł w pełni rozkwitnąć. Nie bądź głupcem, Johann! Zaczynij w końcu myśleć jak prawdziwy Niemiec!

Johann przez chwilę patrzył mu w oczy.

– Jesteś moim ojcem i uczysz mnie pochwały dla morderstwa?

Hans zaśmiał się ponuro.

– Nie wiesz, co to prawdziwa śmierć! Nie walczyłeś na froncie! Nie słyszałeś krzyku umierających kolegów, nie widziałeś rozpacz w ich oczach i śmiesz mnie upominać?! Kiedy ja narażałem życie dla ojczyzny i kiedy patrzyłem, jak unicestwiają naszą narodową dumę w Wersalu, ty byłeś chłopcem! Twoje życie to bogactwo, kariera, piękne kobiety. Jesteś nic niewartym gnojkiem, który myśli, że jest lepszy od innych, bo ma majątek i pozycję!

– Skończ, ojcze!

– Prawda w oczy kole, czyż nie? Ale to jest prawda! Jesteś rozpierzczonym młodzianem, który uważa, że pozjadał wszystkie

rozumy, bo skończył prawo i wymyślił sobie, że będzie bronił biednych. Jakie to wzruszające!

Johann zacisnął zęby. Czuł, że płonie z gniewu. Jeszcze nie zdążył uspokoić się po tym, co stało się dwa dni temu w browarze, a ojciec z premedytacją dolewał oliwy do ognia. Zamierzał zakończyć tę nedorzeczną rozmowę i wyjść przed dom, żeby tam w spokoju poczekać na Hanię, ale ojciec zatrzymał go w pół kroku.

– Ostrzegam cię również przed tą twoją młódką. To śliczna dziewczyna, nie przeczę, i niejednemu może zawrócić w głowie, ale uważaj na nią! Jest bystra. Może sprowadzić na ciebie kłopoty!

– O czym ty do cholery mówisz?!

– Węszy to tu, to tam, dużo jeździ po mieście, spotyka się z Niną, która mąci jej w głowie.

– Szpiegujesz ją?!

– Powiedzmy, że... Interesuję się tym, co robi.

– To moja narzeczona, do cholery! Nie będę jej o nic podejrzewał!

Hans uśmiechnął się z przekąsem.

– Jak chcesz. Pamiętaj tylko, że to Polka. A z Polakami nigdy nic nie wiadomo.

* * *

Johann od godziny prowadził rozmowy z przywódcami NSDAP licznie zebranych na przyjęciu u Reichsführera Heinricha Himmlera, więc Hania nieco znudzona chodziła po sali bankietowej, próbując znaleźć sobie jakieś dogodne miejsce. Na szczęście okazało się, że wbrew wcześniejszym szumnym zapowiedziom Führer Adolf Hitler nie pojawił się na przyjęciu, nie przyjechał nawet do Monachium. Dla Hani była to dobra wiadomość, bo nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z tym człowiekiem.

Żony politycznych dygnitarzy krążyły wokół niej jak stado wron i przyglądały się jej ukradkiem, raz po raz zagadując uprzejmie. Niektóre z nich Hania pamiętała z balu na otwarcie Oktoberfestu, ale wówczas żadna z czcigodnych pań nie zaszczyciła jej nawet jednym spojrzeniem. Za to teraz przyglądały się jej ciekawie. Czuła się trochę jak małpka w zoo, którą zwiedzający oglądają

z zainteresowaniem. Nie przejmowała się tym jednak. Uśmiechała się czarująco, odpowiadała uprzejmie na pytania i zadziwiała wszystkich doskonałą znajomością języka niemieckiego oraz wyszukаныmi manierami, które podszlifowała podczas pobytu w Monte Carlo. Stała się czujna dopiero, kiedy zobaczyła przyszłą teściową rozmawiającą z elegancką szczupłą blondynką. W mig rozpoznała Susanne Schneidhuber.

Obie kobiety dostrzegłszy, że im się przygląda, bez cienia zażenowania podeszły do niej. Na ich twarzach igrały pogardliwe uśmiechy.

– Haniu, pamiętasz pannę Susanne Schneidhuber? To niedawna narzeczona mojego syna.

Hania spłonęła nagłym rumieńcem.

„Co za tupet!” – pomyślała. Matka Johanna była gotowa zrobić wszystko, byle ją upokorzyć.

Susanne wpatrywała się w Hanię przenikliwie i bezwstydnie, lustrując uważnie skromną, choć elegancką sukienkę.

– Miałśmy okazję się poznać – rzuciła Hania, udając obojętność.

– Jakie to zabawne, prawda? Wtedy Johann był moim narzeczonym, teraz jest twoim. Ciekawe, kto będzie następny?

Hania, nie dając się sprowokować, zbyła kąśliwą uwagą milczeniem.

– A czy nasz drogi Johann wyznał ci, że przez ciebie straciłam jego dziecko? Nie? Nie mówił, że byłam w ciąży? Och, to było takie straszne! Zostałam sama, upokorzona... Mam nadzieję, że ciebie to nie spotka! – dodała fałszywie Susanne, po czym wraz z matką Johanna odeszły.

Hania poczuła się tak, jakby dostała z otwartej dłoni w twarz. Oszołomiona, patrzyła w ślad za kobietą, która właśnie bez zażenowania wyznała jej, że miała zostać matką dziecka Johanna.

Otrząsnęła się z odrętwienia i wędrując błędnym wzrokiem po sali, odnalazła sylwetkę swego narzeczonego. Stał odwrócony do niej tyłem i toczył jakąś rozmowę. Był tak przystojny, że od patrzenia na niego zakręciło jej się w głowie. Kochała go ślepo i szaleńczo, aż od tej miłości zupełnie straciła rozum. Miała prawie dwadzieścia trzy lata i myślała, że miłość przenosi góry! Że wystarczy powiedzieć

wymarzonemu mężczyźnie, że się go kocha, i świat stanie się piękny i idealny! Jednak dopiero teraz dotarło do niej, ile ofiar pochłonał ich szalony megaloman. Władek, Susanne, a teraz okazuje się, że jeszcze dziecko. Nienarodzone dziecko.

Ze zdenerwowania i nadmiaru emocji zakręciło jej się w głowie. Nawet nie wiedziała, kiedy osunęła się na podłogę.

Ocknęła się w ramionach Johanna, który klęczał przy niej i podtrzymywał jej głowę.

Tuż nad nią pochylał się jednak jakiś obcy mężczyzna. Miał zatroskaną minę.

– Nic pani nie jest, panno Wolińska? Dobrze się pani czuje? – zapytał ciepłym tonem, przyglądając się jej uważnie.

– Chyba... Chyba dobrze – wyjąkała zdezorientowana.

Wokół nich zebrała się spora grupka gości.

– Kochanie, nawet nie wiesz, jak mnie przestraszyłaś! – Johann obejmował ją i delikatnie głaskał po zimnej skroni.

Popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Co się stało? – zapytała zdezorientowana. Zawstydzало ją intensywne spojrzenie pochylającego się nad nią obcego mężczyzny.

– Zemdlała pani – wyjaśnił tamten. – Jestem lekarzem, przybiegłem pani na ratunek. Nazywam się doktor Ernst Bauer.

Hania uśmiechnęła się do doktora łagodnie i przeniosła wzrok na Johanna, dając mu niemo znak, że chce wstać, więc podniósł się i pomógł jej stanąć na nogi. Podtrzymywał ją za ramiona na wypadek, gdyby znowu zrobiło jej się słabo.

Dziewczyna rozejrzała się po sali, szukając wzrokiem Susanne, ale nigdzie jej nie dostrzegła.

– Powinna pani napić się wody i odetchnąć świeżym powietrzem – zasugerował doktor Bauer.

– Myślę, że powinniśmy już wrócić do domu – wtrącił Johann.

W tej samej chwili podszedł do nich gospodarz domu Heinrich Himmler z żoną Margarete.

– Panno Wolińska, jeśli źle się pani czuje, proszę skorzystać z jednego z naszych pokoi gościnnych – rzekła Margarete

zatroskanym tonem. – Dołożę wszelkich starań, żeby poczuła się pani lepiej.

– Dziękujemy, pani Himmler, ale pojedziemy do domu. Tak będzie najlepiej – odparł Johann, kłaniając się gospodyni.

Pomógł narzeczonej ubrać płaszcz i nie zważając na wtopionych gdzieś w tłum gości rodziców, wyprowadził ją z domu Himmlerów.

Przez całą drogę do Richterhause Hania była milcząca, opierała jedynie głowę na ramieniu Johanna. Szofer jechał dość szybko, więc do posiadłości dotarli przed zmrokiem. W drzwiach powitał ich kamerdyner; odebrał od obojga płaszcze i dyskretnie się wycofał. Dopiero wtedy Hania popatrzyła Johannowi w oczy.

– Susanne była z tobą w ciąży! – rzuciła z wyrzutem. Nie chciała okazywać emocji, ale same wzięły górę nad rozsądkiem.

Rozpłakała się.

Johann patrzył na nią bez słowa, wstrząśnięty do głębi. Próbował zbliżyć się do niej, ale potrząsnęła głową i wyciągnęła rękę w geście obrony.

– Nie! – wyszeptała zbolalym głosem.

Oboje usłyszeli stukot laski o marmurową posadzkę i w holu pojawiła się babcia Irene.

– A co to, na litość boską? Dlaczego moja dziewczynka płacze? – Podeszła do Hani i ujęła jej zapłakaną twarz w swoje pomarszczone dłonie.

– No już, kochanie! Już dobrze! – Popatrzyła na stojącego w milczeniu Johanna. – Idź do siebie! Ja się nią zajmę!

– Muszę porozmawiać z Hanią.

– Załatwisz to później! Teraz idź!

Johann zrezygnowany posłusznie udał się do swoich apartamentów, a Hania została pod troskliwymi skrzydłami pani Irene, która natychmiast zorganizowała dla niej gorącą kąpiel.

Dziewczyna krótko i zwięźle wyjaśniła starszej pani, że zemdląca na bankiecie, ale już czuje się lepiej, więc nie ma powodu do obaw.

– Może jesteś w ciąży – skwitowała babcia Johanna. – Powinniście pomyśleć o ślubie. Nie wypada tak żyć w grzechu. To się nie godzi pannie z dobrego domu.

Hania zbyła to milczeniem, ale w duchu przyznała starszej pani rację. Co, jeśli rzeczywiście spodziewa się dziecka? Na myśl o tym zadrżała i zanurzyła się w gorącej wodzie po samą szyję.

Godzinę później, kiedy leżała skulona pod kołdrą, ktoś cicho zapukał do drzwi. Po chwili do jej sypialni wszedł Johann. W normalnych okolicznościach ucieszyłaby się z jego obecności, ale teraz nawet na niego nie spojrzała.

Podszedł do łóżka i usiadł na zmiętej pościeli.

– Babcia powiedziała, że czujesz się lepiej.

Milczała, więc przysunął się do niej i pogłaskał ją po rozpuszczonych włosach.

– Nie miałem pojęcia, że Susanne jest w ciąży – zaczął wolno. – Dowiedziałem się przed naszym wyjazdem do Monte Carlo, kiedy było już po wszystkim.

– Po wszystkim, czyli po czym?

Johann westchnął ciężko.

– Susanne usunęła ciążę. Pojechałem do niej do szpitala, myśląc, że straciła dziecko. A ona je zabiła.

Hania popatrzyła na Johanna strwożona.

– Jak można zabić własne dziecko?! – wyszeptwała.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w Hanię poważnym wzrokiem i dopiero teraz dotarło do niej, że to on z nich dwojga ma większe prawo do poczucia bezsilności. To on stracił szansę na zostanie ojcem. Ona nie miała tu nic do rzeczy. Była wyłącznie pionkiem w makabrycznej grze Susanne Schneidhuber.

Podniosła się gwałtownie i objęła go ramionami za szyję.

– Tak mi przykro.

Czuła, że Johann zadrżał.

– Niepotrzebnie. To nie dotyczy ciebie – mruknął ochryłym głosem.

– Gdyby nie ja...

– Przestań się oskarżać! Nie ty zabiłaś to dziecko! Susanne to zrobiła!

Odsunęła się od niego i popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Ale gdyby nie ja, być może to dziecko by żyło! Ożeniłbyś się z nią! Powiedziała, że to przeze mnie!

– Haniu! Jaka kobieta zabija swoje dziecko, tłumacząc, że to przez inną kobietę? Gdyby była w ciąży, zająłbym się nią bez względu na okoliczności!

– Ale gdybyś nie porzucił jej dla mnie...

– Przestań! – Johann w ledwie skrywanej żalości zakrył twarz rękoma.

Dziewczyna patrzyła na niego otepiąta. W końcu przysunęła się do Johanna i ujęła jego twarz w swoje dłonie. Czułość, która ją ogarnęła, bolała ją niemal fizycznie. Zaczęła go całować – najpierw powoli, delikatnie, aż wreszcie szaleńczo, gwałtownie, prawie miażdżąc ustami jego usta. Poddał się temu bez słowa, oddając pocałunki. Zdarł z niej jedwabną halkę, w którą była ubrana, i gorącym wzrokiem napawał się widokiem jej ciała. Kochali się jak zawsze – nienasyceń, spragnieni nowych doznań, szczytując niemal jednocześnie. Hania każdą cząstką ciała i serca czuła, że kocha tego mężczyznę ponad wszystko i nigdy nie będzie w stanie się go wyrzec. Nawet kosztem własnej duszy.

– Babcia Irene mówi, że powinniśmy jak najszybciej wziąć ślub. A co, jeśli ja jestem w ciąży?

Johann zsunął się leniwie wzdłuż jej ciała i zatrzymał niżej, by pocałować jej płaski brzuch.

Hania oszołomiona patrzyła na jego jasne włosy, szlachetne rysy i błękitne oczy, które się w nią wpatrywały, i próbowała uwierzyć, że ten mężczyzna należy do niej.

– Będę najszczęśliwszy na świecie – odparł cicho.

– Myślisz, że dobrze robimy?

– Ze ślubem?

– Z wszystkim.

– Nie mógłbym żyć bez ciebie, Haniu. Pragnę, żebyś była moją żoną.

Hania obdarzyła go najpiękniejszym uśmiechem, na jaki było ją stać, przepętnionym uczuciem, jakim nie darzyła nikogo przedtem.

– W takim razie babcia Irene ma chyba rację – odparła. – Za kilka dni pojedę do Warszawy na rozwiązanie Lucyny i spróbuję namówić mamę i brata na przyjazd na ślub. Jeśli się nie uda, to... trudno. Ślub możemy wziąć latem.

Johann w odpowiedzi przytulił ją i pocałował namiętnie, a ona poddała mu się z radością.

– Babcia będzie wniebowzięta – mruknął po dłuższej chwili. – A moja matka, no cóż... Będzie mogła zorganizować ślub stulecia.

Dużo później, kiedy zabytkowy zegar majestatycznie wybił północ, Johann oznajmił Hani, że musi wyjechać na trochę do Berlina.

– Podobno jestem potrzebny w centrali. Hitler szykuje coś ważnego i jako prawnik partii muszę tam być.

– Co jest takie ważne?

– Nie mam pojęcia. Być może ma to coś wspólnego z ostatnimi wydarzeniami w Czechosłowacji.

Hania zastygła.

– Chodzi ci o przejęcie Czechosłowacji przez Rzeszę?

Johann niedbale skinął głową.

Hania udawała obojętność, ale mając w pamięci rozmowę z konsulem w Monako, stała się uważna i czujna.

– Czy to wojna? – zapytała nieco naiwnie.

– Nie, kochanie, skąd ci to przyszło do głowy? To nie jest wojna... Ale też nie pokój – stwierdził z goryczą. – Choć propaganda głosi, że Czesi są bardzo zadowoleni z przyłączenia.

– Dobrze więc – oznajmiła hardo, siadając na łóżku. Kołdra zsunęła się z jej ciała, ukazując kształtne piersi, które Johann pożerał wzrokiem. – Skoro musisz jechać do Berlina, to trudno, ale ja jadę z tobą! Nie zostanę tu na pastwę twojej matki!

– Nie będę miał dla ciebie czasu.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem już dużą dziewczynką. Myślę, że dam sobie radę.

* * *

Berlin oszołomił Hanię. Okazał się być ogromną kosmopolityczną metropolią, z niezliczoną ilością teatrów, oper, kin i ekskluzywnych restauracji, w których podawano najwykwintniejsze dania mistrzów sztuki kulinarnej. Część z tych smakowitych dzieł dziewczyna miała okazję zakosztować w bogatym Monte Carlo, ale wiele nadal było

dla niej zupełnie nowych, jak chociażby luksusowy kawior prosto z Morza Kaspijskiego czy wykwinna wołowina z truflami.

Olśniona miejskim gwarem i niepowtarzalnym klimatem berlińskich ulic, namawiała Johanna na niekończące się spaceru w przerwach między jego licznymi spotkaniami służbowymi. Nie zważała nawet na sztandary ze swastyką, których było tu jeszcze więcej niż w Monachium. Powiewały niemalże wszędzie – na każdym budynku i budyneczku. Przez stolicę przetaczały się kolumny samochodów, w równym szyku maszerowały oddziały SS i Wehrmachtu. Nie robiło to już na Hani wrażenia, przywykła do tego i traktowała jak zwyczajność miejskiego zgiełku. Buntowała się jedynie przeciwko wszelkim zakazom wstępu dla Żydów, bo antysemityzm wciąż raził ją i bulwersował. Przestrzeń publiczna została dla Żydów w całości zamknięta, a to dobitnie świadczyło o tym, że Berlin był niekwestionowaną stolicą Trzeciej Rzeszy. Był siedzibą władzy Adolfa Hitlera.

– Poczekaj, kiedy pojedziesz ze mną do Paryża! – powtarzał Johann, widząc iskry zachwyty w bursztynowych oczach dziewczyny, kiedy ta stała pod monumentalną Bramą Brandenburską, robiąc miny do aparatu fotograficznego, podczas gdy on pstrykał jej zdjęcia.

– To zabierz mnie tam w końcu! – wykrzyczała wesoło. – Pojadę z tobą wszędzie! W każdy zakątek świata!

Nie chciała robić zbędnych zakupów, choć Johann wciąż ją do tego namawiał. Kupiła tylko jedwabną apaszkę dla Lucyny jako dodatek do sukienki, którą wcześniej znalazła dla niej w Monte Carlo, srebrną grzechotkę dla maleństwa i imponujący kapelusz włoskiej projektantki Elsy Schiaparelli, o którym jej matka modystka zawsze marzyła. Liczyła na to, że tym podarkiem uda jej się matkę udobruchać. Dla Janka wybrała pozłacaną i misternie grawerowaną papierośnicę, ale nie miała pewności, czy brat zechce ją przyjąć.

Jedną z nocy spędzili w klubie muzycznym, tańcząc gorące tango, które oboje tak uwielbiali. Po powrocie do mieszkania Johanna byli tak zmęczeni nadmiarem wrażeń, że zasnęli, nim zdążyli wymienić choć kilka pocałunków.

Następnego dnia Johann, ubrany w szykowny i skrojony na miarę garnitur, uczestniczył w ważnych spotkaniach w głównej kancelarii partii NSDAP przy Vosstrase 6. Hania towarzyszyła mu odziana w skromną popielatą garsonkę, z włosami zaczesanymi w ciasny kok, dzierżąc w dłoni dyskretną torebkę z ulubionym aparatem fotograficznym Leica w środku, z którym nie rozstawała się prawie nigdy, od kiedy Johann jej go sprezentował. Dokupywała tylko dodatkowe klisze, bo wciąż miała ich za mało.

Podczas spotkań z głównymi politykami NSDAP i admiralicją Hania nauczona doświadczeniem zachowywała należytą powagę i przyjmowała z godnością wyrazy szacunku należne jej jako narzeczonej prawnika partii. Starła się przy tym być zarówno skromna, jak i czarująca.

Patrzyła, jak Johann witał się z delegatami partyjnymi pozdrowieniem „Heil Hitler”, a widok ten wprawiał ją w pewne zakłopotanie, a nawet konsternację. Nie podobało jej się to fanatyczne uwielbienie dla przywódcy Rzeszy. W ciągu kilku tygodni poznała Niemcy na tyle, żeby zorientować się, że był to fanatyzm graniczący z narodowym obłędem.

Z Johannem rozstała się dopiero, gdy ten poszedł na tajne spotkanie za zamkniętymi drzwiami, na które przybył również sam Führer. Hania obserwowała wodza Rzeszy z uwagą, kiedy ten szybkim krokiem przemierzał korytarz w towarzystwie swojego adiutanta, pułkownika Nicolausa von Belowa.

– Panno Wolińska, poproszono mnie, żeby udała się pani do pokoju dla dyplomatów. Będzie tam pani mogła w spokoju poczekać na szanownego hrabiego von Richtera.

Hania bez sprzeciwu podążyła za ładną, młodą sekretarką do apartamentu. Już od progu uderzyły ją komfort i elegancja, z jakimi urządzono tę przestrzeń. Przy ścianach stały wygodne skórzane sofy, na środku pysznił się długi stół z lakierowanym blatem i kilkunastoma krzesłami – idealny do prowadzenia rozmów w szerszym gronie. Ściany pokoju wyłożone były mapami państw całego świata, a w centralnym miejscu wisiał imponujący portret Adolfa Hitlera. Oczywiście w kącie sali stał oparty o ścianę purpurowy sztandar ze swastyką.

Hanię jak zwykle zainteresowały regały uginające się pod tomami książek i to tam skierowała swoje kroki. Oprócz opracowań naukowych dotyczących państwa i polityki dostrzegła również książki poświęcone okultyzmowi i astrologii oraz dramaty Goethego i Szekspira.

Sekretarka przyniosła jej parującą kawę i ciasteczka.

– Czy jeszcze mogę pani w czymś pomóc?

Hania popatrzyła na dziewczynę z uwagą.

– Czy są tu jakieś inne książki oprócz tych?

– Owszem. Mamy pokaźną bibliotekę.

– Czy mogę ją zobaczyć?

Sekretarka wyglądała na nieco zakłopotaną.

– Poproszono mnie, żeby poczekała pani na szanownego pana von Richtera w tym pokoju.

– Oczywiście. Tylko że uwielbiam książki i chętnie zapoznałabym się z tutejszym księgozbiorem, a nie wiem, kiedy będę miała drugą taką sposobność. Przecież to nic takiego, prawda?

– Miała pani wypić kawę...

– Zrobię to szybko i pójdziemy do biblioteki – to mówiąc, Hania uśmiechnęła się do zdezorientowanej sekretarki.

– Nie wolno mi opuszczać mojego biurka w godzinach pracy – rzekła dziewczyna niepewnie.

– Och, rozumiem! Nie chcę sprawiać pani kłopotu! Proszę powiedzieć mi, gdzie jest biblioteka, sama tam pójde!

– Nie wiem, czy to wypada...

– Absolutnie, proszę się nie przejmować! Hrabia von Richter wie, że uwielbiam książki, więc nie będzie się niczemu dziwił!

Piętnaście minut później Hania z ustami poparzonymi od naprędce wypitej kawy wędrowała labiryntem korytarzy kancelarii NSDAP, rzekomo w poszukiwaniu biblioteki, śledzona przez czujne spojrzenia licznych strażników z przybocznej gwardii Hitlera. Na szczęście oprócz niej korytarzami przemierzali się również inni urzędnicy, więc jej obecność nie była niczym nadzwyczajnym. Cieszyło ją to, bo w głowie tłuła jej się tylko jedna myśl – miała teraz jedyną niepowtarzalną okazję, której nie mogła zmarnować.

Kto wie, kiedy znowu dostanie drugą taką szansę na swobodne przechadzki po siedzibie NSDAP...

– Przepraszam szanownego pana, ale chyba zabłądziłam... – mruknęła, zatrzymując się przy uzbrojonym w karabin esesmanie, który stał na baczność. Broń nieco zbiła ją z pantałyku, ale mimo to uśmiechnęła się czarująco do młodzieńca w mundurze. – Jestem nową protokolantką. Oddelegowano mnie do archiwum, ale chyba pogubiłam się w tym labiryncie korytarzy.

Mężczyzna popatrzył na nią z powagą i nieco poczerwieniał pod wpływem jej kusząco słodkiego uśmiechu. Uderzyło ją to, jak bardzo był młody – mniej więcej w jej wieku lub odrobinę starszy.

– Panienko, tu nie wolno chodzić!

– Wiem! Ale zabłądziłam i strasznie się tym martwię! Gdyby zechciał pan wskazać mi drogę...

– Schodami w dół i na lewo – odparł esesman z powagą, uciekając przed nią wzrokiem. Hania puściła do niego oko na odchodne i szybkim krokiem udała się we wskazanym kierunku.

Wejścia do archiwum pilnował kolejny pracownik. Tym razem nie był to esesman, tylko postawny mężczyzna w średnim wieku, ubrany w długi fartuch przypominający ten, który nosili rzeźnicy. Siedział za biurkiem i sporządzał jakieś notatki.

– Dzień dobry – przywitała go uprzejmie Hania.

Mężczyzna spojrzał na nią znad biurka i zdumiony uniósł brwi, choć ewidentnie nie zrobiła na nim takiego wrażenia jak na młodym esesmanie.

– Tu nie wolno przebywać! – rzucił krótko, mierząc ją podejrzliwie.

Hania zwilżyła językiem wargi.

– Nazywam się Angela Neumann. Jestem protokolantką ministra Joachima von Ribbentropa.

Mężczyzna uśmiechnął się ironicznie.

– Tak? A ja jestem Królowna Śnieżka – odparł drwiąco.

Hania westchnęła ciężko i wyciągnęła z torebki legitymację NSDAP na podane nazwisko. Starła się panować nad sobą, ale jej palce lekko drżały.

– Przyjechałam na polecenie samego pana ministra. Poproszono mnie o dostarczenie materiałów z akt. To sprawa pilna i niecierpiąca

zwłoki. Może pan zadzwonić do ministerstwa i upewnić się, że mówię prawdę, ale obawiam się, że narazi się pan na śmieszność – rzuciła z powagą, która zadziwiła ją samą. – Pan minister nie lubi, kiedy ktoś podważa jego polecenia.

Mężczyzna przyjrzał się dokładnie legitymacji z wyraźnym emblematem partii nazistowskiej i zerknął na przyklejone w centralnym miejscu zdjęcie.

- Co to za akta? – zapytał z westchnieniem.
- Akta dyplomatyczne dotyczące Polski.

* * *

Dwie godziny później, po wyjściu ze spotkania, Johann udał się prosto do pokoju dla dyplomatów. Zastał tam Hanię siedzącą na sofie, z egzemplarzem *Mein Kampf* na kolanach.

- Nie sądziłem, że interesuje cię ta książka – rzekł nieco zdumiony.

Na jego widok Hania wstała i uśmiechnęła się lekko. Policzki miała nieco zaróżowione.

- Pomyślałam, że skoro już tu jestem, w samym sercu NSDAP, to chyba powinnam zapoznać się z tym dziełem – odparła lekkim tonem.

Zauważyła, że Johann skrzywił się, ale grymas zniknął w ułamku sekundy, bo do pokoju weszła przeurocza sekretarka.

- Czy zarezerwować państwu miejsce w restauracji na wspólny obiad z delegatami? – zapytała szybko jakby speszona, unikając wzroku zarówno Hani, jak i Johanna.

- Dziękujemy, ale nie. Zjemy obiad gdzieś indziej – odparł Johann z uprzejmą powagą.

Sekretarka skinęła głową i wyszła.

Hania popatrzyła na narzeczzonego pytającym wzrokiem.

- Mam dość tego miejsca i tych ludzi – wycedził cicho. – Chodźmy stąd gdzieś, gdzie będziemy sami.

Hania odłożyła starannie książkę na półkę i podeszła do niego. Jej oczy błyszczały, a na policzkach wykwitły rumieńce.

Jeden niesforny kosmyk włosów wysunął się z jej ciasnego koka, więc Johann delikatnie i pieszczotliwie założył go za ucho. Objął ją

w pół i delikatne przytulił.

– Chodźmy gdzieś, gdzie będę mógł zdjąć z ciebie ten kostium – dodał jeszcze ciszej.

Kolejnego dnia Johann otrzymał zaproszenie na ważne politycznie przemówienie Führera w Reichstagu. Pojechał tam wbrew sobie, prawie przymuszony przez Hanię, która nie chciała, żeby jego nieobecność została zarejestrowana przez któregoś z partyjnych dygnitarzy. Sama doskonale zaczynała rozumieć, że mogłoby to mieć przykre konsekwencje.

Ugiął się za jej namową, niezadowolony, bez cienia entuzjazmu.

Tymczasem ona, chcąc po raz kolejny przyjrzeć się gwarnemu miastu, rozsiadła się w kawiarnianym ogródku w centrum Berlina i zamówiła dużą porcję lodów.

Obserwowała tłumy Berlińczyków, którzy zbierali się na placach i skwerach, żeby wysłuchać z ulicznych głośników przemówienia wodza Rzeszy w parlamencie. Nie mogła się nadziwić, że podchodzili do tego z taką fascynacją, ocierającą się wręcz o kult. W Polsce równie popularny mógł być jedynie marszałek Józef Piłsudski, ale przecież i on miał swoich wrogów. A tutaj, w Trzeciej Rzeszy, nikt nawet nie śmiał nie kochać Führera.

Siedząc w wielkopańskiej pozie na wiklinowym fotelu wyścielonym miękkimi poduszkami, ubrana w delikatną sukienkę w czerwone maki, z włosami luźno splecionymi w warkocz i zajadając lody polane syropem miętowym, usłyszała z miejskich głośników, jak Adolf Hitler z brutalną agresją w głosie obwieszczał swoim rodakom, że Trzecia Rzesza ma dość pobłażliwości wobec Polski. Skoro Polska w swojej niesubordynacji wobec Rzeszy zwróciła się o pomoc przeciwko niej do Wielkiej Brytanii, zawarty przed laty pakt o nieagresji z tym krajem zostaje unieważniony.

Hania, słuchając tego, zamarła. Oblał ją zimny pot. Nawet nie zauważyła, kiedy grudka lodów zsunęła się z łyżeczki i miękko wylądowała na dekolcie ślicznej sukienki.

ROZDZIAŁ 16

**Warszawa
maj 1939**

Hania dotarła pociągiem do Warszawy w samo południe.

Padął ciepły, wiosenny deszcz, rzęsiście rosząc ulice i pasy zieleni.

Podróż dłużyła się dziewczynie niemiłosiernie, bo Hania tęskniła za ukochaną Warszawą bardziej niż kiedykolwiek i chciała do niej jak najszybciej dotrzeć. Teraz serce jej rosło z radości i ekscytacji, że znów była w domu.

Po wyjściu z dworca wsiadła do tramwaju, choć najchętniej pojechałaby wagnerką, żeby przyjrzeć się miastu, rozkoszować słodkim zapachem rozkwitłych bzów i kasztanów i po raz kolejny zachwycić znanymi miejscami. Aura jednak nie sprzyjała, a Hania nie miała przy sobie parasolki, którą mogłaby rozłożyć w odkrytej dorożce. Jednak siedząc w tramwaju, ekscytowała się widokiem znajomych ulic i budynków.

„Jak cudownie patrzeć na piękne kamienice nieobleczone nazistowską purpurą” – pomyślała z satysfakcją. Warszawa wydała jej się nagle piękniejsza niż dotąd i Hania żałowała, że nie może wyciągnąć schowanego na dnie walizki aparatu fotograficznego i uwiecznić na zdjęciach widoków zza szyby.

Anieli Wolińskiej nie było w domu, ale dziewczyna nie zapowiedziała swojego przyjazdu, domyśliła się więc, że matka zapewne jest w pracy. Otworzyła drzwi własnym kluczem i weszła do sieni. Już w wejściu uderzył ją znajomy zapach domu, wywołując w niej uczucie ciepła i nostalgii.

Weszła do bawialni, zostawiła na środku walizkę i spojrzała przez okno na ogród.

Róże już wypuściły młode pędy i liście. Pergola obrosła nowymi gałązkami, które latem pokrywały się odurzająco pięknym kwieciem. W niewielkich rabatach kwitły tulipany, wystawiając ku niebu barwne płatki, jakby pragnęły uchwycić każdą kroplę padającego deszczu. Hania, patrząc na to, poczuła ciepło w sercu. Teraz wszystko odbierała inaczej niż wówczas, gdy wracała z wakacji z Gdańska. Teraz ona była inna. Przybyła tu jako kobieta w pełni świadoma swoich potrzeb i pragnień, zakochana w mężczyźnie i pragnąca tej jedynej akceptacji ze strony matki.

Przez chwilę rozglądała się po milczącym domu, ciesząc się każdym kątem, każdym znajomym przedmiotem, kiedyś tak mało istotnym, teraz kochanym. Udała się również do swojego pokoju, tak bardzo innego od tego, który zajmowała w Richterhause. Tak jak niegdyś uderzył ją luksus wielkiej rezydencji, tak teraz wzruszyła ją skromność jej dawnej sypialni. To tu dorastała, to tu przeżywała swoje pierwsze panieńskie rozterki i tu rozpamiętywała pierwsze chwile spędzone z Johannem.

Wreszcie zabrała się za wypakowywanie walizki, której lwia część stanowiły dziesiątki notatek dotyczące pracy magisterskiej. Przynajmniej taką wersję przekazała Johannowi – choć miała wyrzuty sumienia, że była zmuszona tak haniebnie go oszukać. Nie mogła wyznać mu, że większa część tekstów to protokoły dyplomatyczne, zapiski służbowe, meldunki i rozkazy, które odnalazła w archiwum NSDAP, zarówno w Berlinie jak i Monachium, kiedy odwiedzała Johanna w jego biurze w kancelarii. Pod idealnie złożoną bielizną ukryła klisze z aparatu fotograficznego z planami strategicznymi dotyczącymi Wehrmachtu i SS. Wszystkie te materiały przełożyła do mniejszej teczki i ukryła ją pod łóżkiem. Jutro miała zamiar spotkać się z tajemniczym Walerianem Kruszewskim.

Po wypakowaniu bagażu zdecydowała pójść do kuchni i przygotować obiad dla matki. Ze spiżarni przyniosła świeże warzywa i naprędce ugotowała potrawkę z soczewicy.

Aniela wróciła do domu późnym popołudniem. Zdziwiła się na widok córki i w ułamku sekundy przez jej twarz przemknął cień uśmiechu. Szybko jednak go stłumiła, jakby przypomniała sobie, że powinna być na Hanię obrażona.

– Kiedy przyjechałaś? – zapytała bez wstępów. Przeszła przez pokój i z westchnieniem usiadła na sofie. Na jej twarzy widać było malujące się zmęczenie. Do tego nie umknęło uwagi Hani, że matka dość mocno schudła.

– Kilka godzin temu.

– Jesteś sama?

– Tak. Przygotowałam ci obiad, mamó.

Aniela skinęła głową na znak podziękowania, ale nie ruszyła się z sofy. Hania w milczeniu nałożyła matce potrawkę na talerz i postawiła na stole.

– Usiądź, zjedz, póki ciepłe.

Aniela przyglądała jej się z uwagą.

– Ty nie jesz? – zapytała w końcu.

Hania wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może nie chcesz siedzieć ze mną przy jednym stole?

Aniela zmarszczyła czoło.

– Jesteś moją córką – odparła, jakby to jedno zdanie wszystko tłumaczyło.

Hania usiadła naprzeciwko matki.

Jeszcze kilka lat temu siadali tu we czwórkę – mama, tata, Janek i ona. Wspomnienia uderzyły w nią jak bumerang, wywołując nagłe wzruszenie, ale spuściła głowę, żeby matka tego nie dostrzegła.

A teraz jej matka została w domu sama. Ta prawda bardzo Hanię przygnębiła i uświadomiła jej, że jeśli rodzicielka nie zaakceptuje Johanna, to ta jej samotność będzie się pogłębiać. Dziewczyna nie chciała tego, ale nie miała na to wpływu.

– Dobrze wyglądasz – rzekła Aniela, przerywając milczenie. – Jesteś promienna, piękna i elegancka.

– Jestem szczęśliwa, mamó.

– Szczęściem nazywasz życie w grzechu.

Hania zmarszczyła brwi, dotknięta oschłym tonem matki.

– Nie chcę żyć w grzechu. Chcę być jego żoną! Kocham go, a on kocha mnie. Czekamy tylko na ciebie. Gdyby nie ty, pewnie już jutro wzięlibyśmy ślub.

Matka popatrzyła na nią z wyrzutem.

– Nie dostaniesz mojej zgody.

– Dlaczego? Jak możesz być taka stanowcza?

– Złamałaś serce dobremu chłopcu, który liczył na życie z tobą!

Hania westchnęła.

– Miałam być z Władkiem dla zasady? – zapytała buntowniczo. – I tak prędzej czy później zorientowałby się, że Kocham go jak brata, nie jak mężczyznę!

Aniela jadła potrawkę w milczeniu.

Hania, przyglądając się jej w bezsilności, zauważyła, że na głowie matki przybyło kilka siwych pasemek. A przecież była jeszcze młoda. Miała zaledwie czterdzieści pięć lat.

– Ojciec nigdy nie zaakceptowałby twojego związku z nazistą.

Zapadło głucho milczenie. Hania czuła, że to jedno słowo wybudowało wysoki mur między nią a matką. Nazista. Sama poczuła dziwny niepokój, kiedy uświadomiła sobie, co ono oznacza. Czy to możliwe, że w swojej naiwności i miłosnym zaślepieniu nie dostrzegła niebezpieczeństwa? Sama słyszała, o czym mówił Hitler w Reichstagu, widziała dokumenty które własnoręcznie przewiozła do Warszawy. Nawet je czytała. Prawie wszystkie mówiły o utworzeniu nowego ładu w Europie i zdobyciu przestrzeni życiowej dla niemieckiej rasy panów. W tym świecie nie było miejsca dla Polaków, uważanych przez nazistów za niższą rasę. Czy Johann mógł uczestniczyć w tym diabelskim planie?

– Mamo... Johann taki nie jest – powiedziała cicho, próbując przekonać również samą siebie. – To dobry człowiek. Do tego wykształcony. Sprawy nazistów go nie obchodzą!

– Więc dlaczego przyjechał w styczniu do Warszawy z ministrem von Ribbentropem? I jeszcze w to wplątał ciebie!

– Przyjechał tu dla mnie! Wyłącznie dla mnie! Wizyta ministra była tylko pretekstem.

Aniela podniosła wzrok na córkę. W jej oczach czaił się ból pomieszany z uporem.

– Jesteś moją córką i dlatego moim obowiązkiem jest dbać o ciebie i być twoim życiowym drogowskazem. Nie licz na to, że wyzbędę się zasad, w których wychowywałam ciebie i Janka, bo się głupio zakochałaś!

– Nie każę ci wyzbywać się zasad! Proszę tylko, żebyś zaakceptowała moje małżeństwo z Johannem. Nie patrz na niego jak na Niemca. Spójrz na niego jak na człowieka.

– Nie mogę, kiedy wiem, co się dzieje! Twój brat szykuje się do walki, bo naród twojego narzeczonego zamierza wywołać wojnę! Od tygodni Janek nie wychodzi z garnizonu, bo dowództwo każe im być w pełnej gotowości. Ściągają ochotników z całego kraju, dlatego Władek pojechał na szkolenie wojskowe do Grudziądza. Organizują nawet szkolenia dla młodych kobiet w zakresie udzielania pierwszej pomocy.

Hania poczerwieniała na twarzy.

– Mamo, wojny nie będzie.

– Skąd ta pewność? Bo weszłaś do łóżka jednemu z agresorów?

– Mamo! – krzyknęła dziewczyna głęboko upokorzona.

Nie sądziła, że jej matka widzi sprawy w sposób, który bezpośrednio uwłaczał jej godności. Miała wrażenie, że matka brutalnie zdeptała to wszystko, co było piękne między nią i Johannem, i zrównała z poziomem rynsztoka. Zabolęło ją to tak dotkliwie, że wstała od stołu i bez słowa udała się do swojego pokoju.

Na łóżku leżało eleganckie pudło z kapeluszem od Elsy Schiaparelli. Wzięła pudło i zaniósła je do sypialni matki. Następnie zdecydowała się pójść do Lucyny, za którą tęskniła nie mniej niż za domem.

Na zewnątrz wciąż siąpił deszcz, więc ubrała się w lekki płaszcz i wzięła parasol.

Tramwajem przejechała tylko kawałek, a później ruszyła na piechotę ulicami Warszawy, zmierzając wprost na ulicę Grójecką w dzielnicy Ochota, w której znajdowało się mieszkanie Lucyny i Janka.

Lucyna na widok przyjaciółki wydała z siebie szczery okrzyk radości. Próbowała Hanię objąć, ale przeszkadzał jej w tym monstrualnych rozmiarów ciążowy brzuch.

– Jak ty dajesz radę z nim chodzić? – zapytała Hania, głaszcząc go pieszczotliwie.

– Z trudem. Już każdego dnia modlę się o rozwiązanie. Tak się cieszę, że przyjechałaś! Będiesz przy mnie podczas porodu!

– Przecież obiecałam! Nie mogłabym cię zostawić!

Obie weszły do przytulnego saloniku.

Wraz z Lucyną w domu była również gosposia państwa Waszyńskich, która na dobre zadomowiła się u młodych państwa Wolińskich i pomagała przyszłej mamie w obowiązkach domowych, zwłaszcza że Lucyna niewiele mogła już zrobić.

Przyjaciółki zasiadły przy pięknie nakrytym stole, a gosposia przygotowała im herbatę i podała ciasteczka.

– Czy zostanie panienka na kolacji? – zapytała uprzejmie.

– Tak, Haniu! Zostań koniecznie! – podjęła temat Lucyna. – Janek wróci na noc, więc będziesz mogła się z nim zobaczyć. Od kilku dni wraca codziennie, bo boi się, że lada chwila zaczną rodzić. Później odwiezie cię do domu. Wyobraź sobie, że kupił sobie motor! Najprawdziwszy! Taki z wózkiem z boku dla mnie i dla dziecka. Ale co ja mówię! Ty przecież jeździsz luksusowymi samochodami jak prawdziwa dama!

Hania zbyła tę uwagę machnięciem ręki.

– Chętnie zostanę na kolacji. Tym bardziej że u mamy nie jestem zbyt mile widziana.

Lucyna spochmurniała.

– Nadal ci nie wybaczyła?

Hania pokręciła głową.

– Nie – rzuciła krótko. – A jak Janek?

– Pytasz, czy zaakceptował twój związek z Johanem? Też nie. Nawet nie chce o tym słyszeć. Nie zazdroszczę ci, Haniu, bo nie będziesz miała lekko, a sama żałuję, że tak rzadko będę cię widywać.

– Trudno. To ich decyzja. Najwidoczniej nie kochają mnie na tyle, żeby akceptować moje szczęście – mruknęła Hania z goryczą.

– A jesteś szczęśliwa?

Oczy dziewczyny rozbliły.

– Bardzo. Nigdy nie byłam bardziej. Johann jest... mężczyzną mojego życia!

Lucyna pisnęła z zachwytu i klasnęła w dłonie.

– Jakie to romantyczne! On jest taki przystojny! Oczywiście nie tak jak Janek, ale jednak! I do tego bogaty! Będiesz żyła jak królowa!

– Chyba tak... – przyznała Hania z pewnym zamyśleniem, bo znowu jakiś głos w głowie przypomniał jej, że matka bez skrupułów nazwała Johanna nazistą, a Hania nie była aż tak naiwna, żeby nie dostrzegać w tym pewnej prawdy. W końcu jej narzeczony pracował w kancelarii NSDAP i spotykał się z najwyższymi rangą politykami; starała się jednak oddzielać to, czym się zajmował, od ich miłości. Kochał ją przecież, nie zważał na to, że była Polką, więc czemu ona miałaby zważać na to, że on jest Niemcem?

– Mam dla ciebie prezent!

Hania wyciągnęła z torby dwa pakunki. Oba zawinięte były w piękny, błyszczący papier i przewiązane wstążką.

– Jeden dla ciebie, drugi dla dzidziusia.

Lucyna z uśmiechem na ustach rozerwała papier i wyciągnęła z niego jedwabną sukienkę w błękitnym kolorze, obszytą fikuśnymi falbankami, oraz pasującą do niej apaszkę.

– Jest oszałamiająca! Ale... Przecież ja się w nią nie zmieszczę!

– Na razie nie, ale niedługo będzie na ciebie idealna! Kupiłam ją w Monte Carlo, a apaszkę w Berlinie.

Lucyna próbowała wstać z krzesła, żeby ucałować przyjaciółkę, ale ta pierwsza doskoczyła do niej i mocno ją uścisnęła.

– Jest piękna! Dziękuję, Haniu.

– Lepiej sprawdź, co jest w drugim pakunku.

Prezenterem dla dziecka była srebrna grzechotka. Misternie wykonane cacko wywołało kolejną falę zachwyty u przyszłej mamy.

– Jak się urodzi, to pójde do złotnika i poproszę o wygrawerowanie daty urodzenia – wyjaśniła Hania.

– To wspaniała pamiątka! Tak się cieszę, że przyjechałaś! Twoja obecność podnosi mnie na duchu, Haniu!

– A co u twoich rodziców?

– No cóż... Trochę lepiej. Ojciec większość czasu spędza w szpitalu, a mama maluje. Jak natchniona! Musiałabyś ją zobaczyć! Kiedy myślę o tym, że przeze mnie nie robiła tego przez lata, to jest mi trochę przykro. Chyba byłam dla niej zbyt surowa, kiedy krytykowałam ją za te wernisaże.

– Nie oskarżaj się! Twoja mama nigdy nie wychodziła przed szereg ze swoją pasją, więc skąd mogłaś wiedzieć, że tak to uwielbia.

Janek rzeczywiście zjawił się tuż przed kolacją. Przybył w swoim mundurze garnizonowym – tak innym od tych, które Hania ostatnio widywała na ulicach Monachium i Berlina. Wchodząc do domu, zdjął z głowy rogatywkę z orzełkiem, a gdy stanął w progu salonu, zdumiał się na widok siostry.

Hania wstała z krzesła. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo trzęsą jej się nogi. Bała się reakcji brata na jej widok.

Wydał jej się większy i poważniejszy niż zwykle.

– Zobacz, kto przyjechał! – krzyknęła Lucyna do męża z nienakłamanym entuzjazmem, chcąc rozładować napiętą atmosferę.

Janek przez chwilę stał bez ruchu, aż w końcu powoli odłożył czapkę na stolik i rozłożył ramiona.

Hania znalazła się przy nim w oka mgnieniu.

– Wróciła siostra marnotrawna – mruknął z twarzą przy jej włosach.

– Tęskniłam za tobą – wyszeptała Hania.

Popatrzyła na brata ze łzami w oczach.

– Tylko nie becz! Podobno jesteś już dużą dziewczynką! – skarcił ją ostro, a później znowu przytulił. W tym uścisku było coś, co przywodziło Hani na myśl wspomnienia ich wzajemnej zażyłości.

– Jesteś sama? – zapytał, kiedy zasiedli do stołu, czekając na kolację.

– Tak. Johann został w Monachium.

– Nadal nie wyparował ci z głowy?

– Nie, braciszku. Zamierzamy latem wziąć ślub. Chciałabym, żebyście na nim byli.

– Wykluczone! Nie przyjdę na ślub człowieka, który jest wrogiem mojego kraju!

Hania jęknęła.

– Błagam! Ty również? Co wyście się tak uparli? Najpierw matka, teraz ty. Tak wam trudno cieszyć się moim szczęściem?

– To Niemiec! Szkop! Pomyślałaś, jak będzie wyglądało twoje życie po drugiej stronie, kiedy wybuchnie wojna? Gdzie wtedy będziesz? Tu? Czy tam?

– Ciągłe gadacie te same brednie o wojnie! Bez przerwy ten sam temat! – rzuciła Hania obrażonym tonem. – Jakby nie było innych!

– Bo nie ma! Wszyscy tylko tym żyją! Sztab Generalny szykuje wojsko do działań obronnych, a ty bawisz się w te swoje głupie miłości!

– Tak ciężko wam zrozumieć, że to nie jest głupia miłostka? A gdyby chodziło o Lucynę, to co byś zrobił?

Janek się zjeżył.

– To co innego!

– Nie, to nie jest co innego!

Hania postanowiła nie drażnić więcej tematu, bo wiedziała, że tu również była na spalonej pozycji. Liczyła na zrozumienie, może i akceptację ze strony najbliższych, a zetknęła się z grubym murem uprzedzeń, którego nie umiała sforsować.

Lucyna poprosiła męża, żeby więcej nie dręczył Hani. Ona sama miała dość słuchania tylko o tym.

Janek próbował jeszcze wyciągnąć od Hani, jak wyglądają nastroje społeczne w Trzeciej Rzeszy, ale nadąsana dziewczyna postanowiła milczeć.

Została u Janka i Lucyny do późnego wieczora. Janek odwiózł ją potem motocyklem do domu, ale nie wchodził do środka, bo nie chciał budzić matki. Przed odjazdem powiedział tylko Hani, że od Władka nie mają żadnych wieści od czasu, jak wyjechał do Grudziądza, a jego rodzina nie chciała z nikim rozmawiać. Widać było, że mieli ogromny żal do Hani, a co za tym idzie, do całej jej rodziny.

– Hanka, zastanów się nad tym wszystkim. Jeszcze nie jest za późno – rzucił jej na odchodne.

Hania patrzyła na brata stojącego przy motocyklu. Był młody, przystojny, pełen życia, zawsze do bólu honorowy. Nie uśmiechał się dużo, ale otaczała go aura męskości. Dziewczyna była z niego dumna. I bardzo go kochała.

– To ty uczyłeś mnie, jakiego mężczyznę powinnam wybrać – powiedziała cicho, z czułym wyrzutem w głosie. – Byłeś dla mnie wzorem.

– Nigdy nie kazałem ci wybierać szkopa – odparł sucho.

* * *

Walerian Kruszewski mieszkał w Śródmieściu, dwie przecznice od domu panny Klary Wencel – dziewczynki, którą Hania jeszcze niedawno uczyła języka niemieckiego. Zresztą Hania obiecała sobie, że wstąpi do Klary i zapyta, jak ta radzi sobie z dalszą nauką. Najpierw jednak miała ważniejszą rzecz do załatwienia.

Czuła się nieswojo na myśl o tym, że jest zmuszona odwiedzić obcego mężczyznę w jego prywatnym mieszkaniu. Jednak taki adres dostała od hrabiny Nałęczowskiej. Wprawdzie mogła wysłać do pana Kruszewskiego wiadomość z prośbą o spotkanie w innym miejscu, ale jak wtedy zdobyłaby się na odwagę, by przekazać mu te wszystkie dokumenty?

Na wskazanej przez hrabinę ulicy mieściła się ekskluzywna kamienica z przepiękną osiemnastowieczną fasadą ozdobioną sztukaterią, idealnie odrestaurowaną. Ponieważ było ciepło, okna kamienicy w większości były pootwierane na oścież i z jednego z nich sączyła się muzyka wygrywana na skrzypcach.

Hania zadzwoniła do drzwi wejściowych. Szybko ukazał się w nich dozorca – starszy, siwy pan w okularach, który zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

– Dzień dobry. Ja do pana Waleriana Kruszewskiego.

– Czy szanowny pan hrabia oczekuje panienki?

Hania chrząknęła nieco zakłopotana. Czuła, że pod baczny spojrzeniem mężczyzny rumieni się aż po czubki włosów. Nie miała pojęcia, że Walerian Kruszewski jest hrabią, ale w sumie nie powinna się temu dziwić, skoro miał kontakty z hrabiną Nałęczowską.

– Tak... Myślę, że tak. Nazywam się Hanna Wolińska.

Dozorca wpuścił ją na klatkę schodową, a następnie wskazał schody na piętro, gdzie mieściło się mieszkanie hrabiego.

Wewnątrz kamienica była równie imponująca, co na zewnątrz. Kręte drewniane schody miały rzeźbioną poręcz w stylu klasycystycznym, na ścianach i suficie widniały wymalowane

pastelowe freski, a w okienkach na klatce schodowej pyszniły się barwne witraże – spuścizna po późniejszej sztuce secesyjnej.

Hania zapukała we wskazane jej drzwi i już po chwili ujrzała przed sobą mężczyznę po trzydziestce, z ogorzałą twarzą i ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu, lekko siwiejącymi na skroniach. Przy oczach i ustach nieznanego rysowały się ślady zmarszczek mimicznych, co oznaczało, że musiał się często uśmiechać. Jego szare, przenikliwe oczy śmiało przewiercały dziewczynę na wylot, aż ta poczuła się nieswojo. Ubrany był dość pospolicie w białą koszulę i płócienne spodnie na szelkach, ale nie wyglądał jak pospolity mieszczuch. Samą swoją postawą zdradzał arystokratyczne urodzenie.

– Pan Walerian Kruszewski?

Uniósł brwi w geście zdumienia.

– Tak. A kim jest pani, uroczą panienko? Damą z moich snów?

Hania spłonęła szkarłatnym rumieńcem. Kompletnie zbita z tropu nie wiedziała, co odpowiedzieć i nagle zaczęła żałować, że w ogóle tu przyszła. Może hrabina Nałęczowska zadrwiła z niej?

– Dostałam ten adres od hrabiny Karoliny Nałęczowskiej. Kazała mi się z panem skontaktować po przyjeździe do Warszawy – wydukała kompletnie speszona.

Twarcz mężczyzny nagle się zmieniła, a jego oczy rozszerzyły w zdumieniu.

– Nieprawdopodobne! Więc jednak! Jak się pani nazywa? Nie! Zanim pani odpowie, najpierw proszę wejść! – Mężczyzna, wyraźnie podekscytowany, wpuścił zdezorientowaną i zawstydzoną Hanię do mieszkania.

Było piękne. Pod ścianami pyszniły się bogato zdobione meble z poprzedniej epoki, obrazy w złotych ramach, imponujący gramofon i zupełnie nowoczesne radio na stoliku przy biurku – luksus, na jaki nie każdy w Polsce mógł sobie pozwolić. Hania wyłapywała to wszystko wzrokiem, próbując równocześnie opanować pierwsze zawstydzenie.

– Nazywam się Hanna Wolińska.

Walerian Kruszewski zaprowadził ją do wygodnego fotela przy stoliku kawowym i nakazał usiąść.

– Panna Wolińska! Nasz anioł!

– Anioł? – powtórzyła Hania, zdumiona i zdeglustowana jego bezpośredniością. Miała nieodparte wrażenie, że oto stoi przed nią pospolity podrywacz-uwodziciel, a nie poważny człowiek, któremu miała przekazać zdobyte dokumenty. Nagle zaczęła mocno wątpić w celowość swojej misji szpiegowskiej.

– Angela Neumann! – wykrzyknął jej imię z fałszywej legitymacji NSDAP, którą otrzymała w Monte Carlo. – Nasz Anioł!

Hania dopiero teraz zorientowała się, o co mężczyźnie chodzi. Skinęła lekko głową, próbując mimo wszystko zachować należytą powagę.

– Nie czuję się komfortowo, odwiedzając pana w jego prywatnym mieszkaniu, więc może od razu przejdę do rzeczy i pożegnam pana najszybciej, jak to możliwe.

– Oczywiście! Proszę o wybaczenie. Nikt nie miał na celu stawianie pani w kłopotliwej sytuacji, a tym bardziej narażanie pani reputacji na szwank. Jestem hrabia Walerian Kruszewski, pułkownik w polskim wywiadzie wojskowym i prawa ręka marszałka Edwarda „Śmigłego” Rydza.

– Niezwykle mi miło.

– Mi jeszcze bardziej, panno Wolińska. Czekałem na wieści od pani. Dostałem informację, że zgodziła się pani z nami współpracować...

– Chcę, żeby pan wiedział, że nie jest to dla mnie komfortowe – przerwała mu w pół zdania. – Mój narzeczonny jest Niemcem. Nie ma pojęcia o mojej działalności, a boję się, że może mnie zdemaskować.

Oczy pułkownika zaśmiały się do niej. Hania nie mogła nie przyznać, że pułkownik był niezwykle interesującym, a nawet przystojnym mężczyzną.

– Pani obawy są zrozumiałe i tym bardziej pani wysiłek będzie doceniony.

Hania bez zbędnego komentarza wyjęła z torebki grubą kopertę z dużą ilością zapisanych stron. Podała to pułkownikowi, a on rzucił okiem na zawartość i zamarł. Następnie podała mu klisze ze zdjęciami planów strategicznych.

Walerian Kruszewski usiadł w fotelu i zaczął gorączkowo przerzucać kartki. Większość była przetłumaczona na język polski, co znaczyło, że Hania wykonała podwójną pracę. Dokumenty zawierały przede wszystkim generalne plany wschodnie dotyczące przyszłej ekspansji Rzeszy w celu powiększenia przestrzeni życiowej. Były tam również plany co do Czechosłowacji i tak zwanego korytarza gdańskiego.

– Jak udało się pani to zdobyć? – zapytał, mieniąc się na twarzy.

– Nie było to trudne, zważywszy na to, że mój narzeczonemu ma bezpośredni dostęp do archiwów NSDAP, a ja mnóstwo wolnego czasu! Dokumenty spisywałam pod przykrywką pisania pracy magisterskiej.

– Genialne! Absolutnie genialne! Marszałek będzie zachwycony!

– Cieszę się, że się do czegoś przydałam – mruknęła Hania z fałszywą skromnością, bo nagle poczuła się wspaniale. Cała jej praca nie poszła na marne. Właśnie dokonała czegoś wielkiego i była z siebie bardzo dumna.

Pułkownik przeglądał dokumenty, a jego oczy błyszcząły. Zachwyty nad zdobytymi informacjami zamienił na głębokie zamyślenie.

– Muszę te dokumenty natychmiast przekazać marszałkowi.

– A co ze mną?

– Proszę działać dalej, mój Aniele! Ale zanim pani zacznie, to najpierw zapraszam panią dziś wieczór do opery. Wystawiają *Wesele Figara* Mozarta.

– Nie znam się na operze – skłamała. – Poza tym nie wiem, czy powinnam. Jestem zaręczona.

– Bez obaw, będzie nam towarzyszyć moja siostra jako przyzwoitka.

– A jeśli ktoś weźmie mnie za pańską...

– Kochankę? To w mig wytłumaczę temu komuś, że to nieprawda – odparł z rozbrajającą szczerością, puszczając do niej oko.

Hania miała wątpliwości, czy powinna wyrazić zgodę na wyjście do opery, ale w pułkowniku było coś, czemu nie potrafiła się oprzeć – jakaś iskra, która wzbudziła w niej młodzieńczą ciekawość. Z ociąganiem i pewną rezerwą zgodziła się, ale zanim wystrojona w elegancką sukienkę wyszła wieczorem z domu, zdążyła jeszcze

napisać do Johanna list pełen tęsknoty. Tym samym uciszyła swoje wyrzuty sumienia.

Na drugi dzień już z samego rana otrzymała od posłańca ogromny bukiet kwiatów, który zdumiał przede wszystkim wychodzącą do pracy Anielę.

Hania popatrzyła na jaskraworóżowy pęk świeżych róż. Wyjęła z bukietu elegancki bilecik.

*Z wyrazami najwyższego uznania i wdzięczności
Pułkownik Walerian Kruszewski*

* * *

Był piękny majowy poranek. Hania jak na skrzydłach pojechała rowerem na uczelnię na umówione spotkanie z profesorem Wajchmanem. Zaniósła mu pracę magisterską, licząc się z tym, że będzie musiała wprowadzić jeszcze jakieś poprawki, ale z drugiej strony miała nadzieję, że profesor dopuści ją do szybkiej obrony.

W Warszawie była już od tygodnia i przez ten czas dokładała wszelkich starań, żeby nadrobić wszystkie zaległości przedmiotowe z innymi wykładowcami, ale każdy z nich wpisywał jej zaliczenia od ręki, praktycznie o nic nie pytając. Czuła się z tym odrobinę nieswojo, choć zdawała sobie sprawę, że była to nagroda za ostatnie zasługi. Pułkownik Kruszewski zapewnił ją, że może od tej pory liczyć na wszelkie przywileje i nikt nie odmówi jej pomocy.

– To, czego pani dokonała, zasługuje na najwyższe uznanie, panno Haniu. Pan marszałek na pewno pani tego nie zapomni.

Hania płynęła więc z prądem tych przywilejów, nic nie mówiąc ani matce, ani Jankowi. Nie wiedzieli nawet, że wieczorami towarzyszy pułkownikowi zarówno w wyjściach do opery, jak i na kolacjach w luksusowej restauracji „Oaza”. W międzyczasie zdążyła zaprzyjaźnić się z jego siostrą, nieco młodszą od niej hrabianką Wandą Kruszewską, która miała odwagę pójść na studia medyczne i właśnie była na czwartym roku.

– Organizujemy szkolenia z pierwszej pomocy dla młodych sanitariuszek, głównie harcerek, ale nie tylko. Jeśli miałabyś ochotę przyjść, Haniu, to zapraszam!

Hania obiecała Wandzi solennie, że jak tylko znajdzie wolną chwilę, to na pewno zjawi się na szkoleniu medycznym, ale prawda była taka, że jej myśli krążyły wyłącznie wokół pracy magisterskiej i rychłego porodu Lucyny, bo wiedziała, że jak tylko te dwie sprawy dojdą do skutku, będzie mogła wrócić do Johanna. A tego pragnęła najbardziej.

Profesor Wajchman powitał ją w gabinecie.

Hania dostrzegła na jego biurku egzemplarz swojej pracy magisterskiej.

– Nie próżnowała pani, panno Haniu! Muszę przyznać, że godziny ślęczenia w bibliotece w Monachium przyniosły owoce. Przy niewielkich, wręcz kosmetycznych poprawkach będzie pani mogła podejść do obrony.

Dziewczyna rozpromieniła się.

– Kiedy, panie profesorze?

– Rozmawiałem z innymi profesorami i myślę, że koniec maja to odpowiedni termin. Zdąży pani właściwie się przygotować.

Hania miała ochotę pisnąć z radości, ale nie wypadało jej tego robić w gabinecie profesora, więc tylko z szerokim uśmiechem skinęła głową.

– Dziękuję, panie profesorze!

– Nie ma za co, panno Wolińska. Muszę przyznać, że wykonała pani kawał dobrej roboty. Myślę, że po obronie mógłby się znaleźć dla pani wakat na uczelni. Może zechciałaby pani kontynuować swoją pracę badawczą nad literaturą niemiecką?

Hania zarumieniła się pod wpływem komplementu i niespodziewanej propozycji pracy.

– To byłoby coś, panie profesorze, ale na razie nie mogę niczego planować. Jak zapewne pan wie, wkrótce wychodzę za mąż.

Profesor lekko zmarszczył czoło.

– Tak, wiem. No cóż... Jakąkolwiek decyzję pani podejmie, życzę pani powodzenia, panno Haniu.

Hania podbudowana na duchu wyszła z uczelni. Postanowiła natychmiast pojechać na lody do Ogrodu Saskiego. Pogoda była wspaniała, słońce grzało twarze przechodniów i otulało złotym blaskiem kwitnącą, pełną życia Warszawę. Hania myślała o tym, że

tak naprawdę będzie jej brakowało ukochanego miasta, kiedy już wyjedzie do Monachium na stałe jako żona Johanna. Obiecała sobie, że spróbuje przekonać go, żeby sprzedał dom w Wiedniu i kupił tu, w Warszawie, żeby mogli bywać w jej rodzinnym mieście jak najczęściej.

* * *

Lucyna urodziła w nocy z 15 na 16 maja. Po długich godzinach ciężkich zmaganiań, podczas których doktor Marek Szulc, najlepszy ginekolog-położnik w Warszawie, walczył o zdrowie i życie matki i dziecka, na świat przyszedł silny i dorodny chłopiec. Lucyna nie zgodziła się na poród w szpitalu, chcąc urodzić dziecko w domu. Decyzja ta przyprawiła Janka i jej rodziców niemalże o zawał serca.

– Córuś, teraz żadna kobieta nie rodzi w domu, jeśli tylko ma możliwość porodu w szpitalu! – tłumaczył jej ojciec. – Tak jest bezpieczniej!

– Ale ja nie chcę być w szpitalu z obcymi ludźmi! Chcę być z Jankiem!

Janek był bliski utraty zmysłów, kiedy słyszał rozpaczliwe krzyki dochodzące z pokoju rodzącej, i gdyby nie teść, który poczęstował go sporą szklanką koniaku i nakazał wypić do dna, to pewnie ze wstydem tłumaczyłby się ze swojej utraty przytomności.

Kiedy chłopiec w końcu przyszedł na świat, młody tata, zmęczony od nadmiaru nerwów, blady i spocony, wszedł do pokoju żony.

Lucyna drzemała w zakrwawionej jeszcze pościeli, a na jej piersiach leżał noworodek.

Honorata, Aniela i Hania uwijały się przy położnicy, zmieniając prześcieradła na czyste.

– Ma pan zdrowego syna! – rzekł doktor Szulc, klepiąc Janka po plecach.

Honorata Waszyńska podała maleństwo spłonionemu ojcu.

Janek wziął dziecko w ramiona.

– Mam syna! – wyszeptał ze łzami wzruszenia.

Przytulił niemowlę do piersi i oszołomiony popatrzył na matkę i siostrę, które krzątały się przy łóżku Lucyny. Obie zbliżyły się do

niego nie mniej wzruszone.

– Jestem taka szczęśliwa – wyszeptała Aniela, całując Janka.

Hania jak zaczarowana wpatrywała się w czerwoną twarzyczkę bratanka.

– Podobny do ciebie – mruknęła do brata. – Mały Woliński.

– Jan Junior Woliński – odparł Janek z dumą.

* * *

Lucyna powoli wracała do sił, choć przez pierwszy tydzień prawie nie wychodziła z łóżka. Podawano jej tylko dziecko do karmienia, a Janek, który dostał przepustkę z wojska, sam serwował żonie pyszności gotowane przez gosposię.

Każdego dnia przychodziła do nich Honorata lub Aniela, chcące nacieszyć oczy widokiem wnuka i przynieść świeżo upieczonej mamie coś pożywnego na wzmocnienie.

Hania spędzała z Lucyną cały wolny czas, doglądając bratanka, pomagając gosposi w zakupach i przy praniu pieluszek oraz przewijając niemowlę, kiedy Lucyna nie miała na to siły, a Janek nosił synka na rękach, gdy mały płakał, nie mogąc zasnąć.

– Jesteście najwspanialszą rodziną na świecie! – powtarzała młoda mama.

Hania odpowiadała na to uśmiechem, ale w duchu zaczynała doskwierać jej tęsknota za Johannem. Czekwała tylko na obronę magisterium i rychłe chrzciny małego Juniora. Zaraz po nich zamierzała pojechać do Monachium.

Dzień przed obroną nie poszła do bratowej. Postanowiła w samotności posiedzieć w ogrodzie matki i przygotować się do obrony. Nerwy miała jak postronki, myśli kotłowały jej się w głowie. Raz rozmyślała o pracy magisterskiej, a chwilę później o Johannie, którego nieobecność doskwierała jej coraz bardziej. Źle się czuła sama ze sobą, była spięta i nerwowa, i w żaden sposób nie sprzyjało to koncentracji na pracy naukowej.

Weszła z ogrodu do domu, by zrobić sobie lemoniadę, i właśnie wtedy usłyszała pukanie do drzwi.

„Nareszcie!” – pomyślała, będąc pewna, że to listonosz z kolejnym listem od Johanna. Ale ku jej zaskoczeniu w progu domu nie stał listonosz, tylko sam Johann z ogromnym naręczem kwiatów.

Hania pisnęła z radości i rzuciła się ukochanemu na szyję. Objął ją mocno i pocałował żarliwie.

– Boże! Jak ja za tobą tęskniłam! – wyszeptała z ustami przy jego twarzy.

– Nie mogłem pozwolić, żebyś była sama podczas obrony. Zresztą nie wytrzymałbym dłużej tej rozłąki.

– Przecież za parę dni miałam do ciebie wrócić!

– Parę dni to wieczność, księżniczko.

– A jak udało ci się zostawić pracę?

– Praca to nie wszystko, ty jesteś najważniejsza! – mówił to z ustami na jej wargach, palcami zręcznie odpinając guziki jej bluzeczki.

Zaśmiała się radośnie, kiedy bukiet kwiatów wypadł jej z dłoni, bo musiała podtrzymać się krawędzi komody. Chwilę później wielki majestatyczny mebel zaskrzypiał zdumiony i uderzył z łoskotem o ścianę, ledwo wytrzymując na sobie ciężar młodych kochanków.

Aniela po powrocie z pracy przywitała Johanna chłodno. Nie zamierzała wypraszać go z domu, bo na to była zbyt dobrze wychowana, ale dała po sobie znać, że jego obecność bardzo jej uwłaczała. Przyszły zięć nie udobruchał Anieli nawet bombonierką luksusowych szwajcarskich czekoladek, które przywiózł specjalnie dla niej. Przyjęła je wyłącznie z kurtuazji i podziękowała bez uśmiechu.

– Czy zgodzi się pani towarzyszyć nam przy kolacji z okazji obrony magisterskiej Hani? – zapytał Johann Anielę, niezrażony próbując nawiązać z nią nic porozumienia.

Hania przetłumaczyła pytanie na język polski, choć domyśliła się, że matka wszystko zrozumiała. Aniela udawała jednak, że niemiecka mowa jest jej zupełnie obca.

– Dziękuję, panie von Richter. Zostanę w domu – odparła po polsku.

Hania zbyła to milczeniem. Zrobiło jej przykro, że matka nie dała szansy Johannowi, ale z drugiej strony nawet nie liczyła na to.

Cieszyło ją wyłącznie to, że narzeczony przyjechał do Warszawy i że będzie przy niej w tym wyjątkowym dniu.

Obrona pracy magisterskiej była uroczysta i niezwykle dla Hani przejmująca, jednak dziewczyna bez trudu obroniła się na piątkę. Johann, który czekał na nią przed aulą uniwersytecką, nie posiadał się z dumy i radości, a w ramach gratulacji wręczył jej przy kolacji w restauracji hotelu Bristol naszyjnik ze złota i brylantów.

– Dla najpiękniejszej pani magister.

– Nie potrzebuję prezentów – odparła Hania, równocześnie z zachwytem patrząc na połyskujący klejnot. Był wart więcej, niż ona kiedykolwiek w życiu miała.

– To namiastka tego, co pragnę ci dać. To ty jesteś moim najdroższym klejnotem.

– Jeszcze nie jestem twoją żoną, a już mnie rozpieszczasz!

Tej nocy Hania nie zamierzała wracać do domu. Wiedziała, że matka będzie na nią zła i uczyni jej wyrzuty, że bezwstydnie spędza noc z mężczyzną, ale mimo to bez skrępowania napisała do niej liścik, że zostaje z Johannem w hotelu.

ROZDZIAŁ 17

czerwiec 1939
Monachium

Johann w milczeniu przyglądał się papierom, które przyniósł mu na biurko jeden z urzędników kancelarii NSDAP.

W kącie jego gabinetu, na obitym skórą fotelu, z nogą założoną na nogę siedział minister Hans Frank i bezceremonialnie palił cygaro, choć Johann nie znosił dymu.

– Widzę pańską konsternację, panie von Richter.

Johann popatrzył na ministra z powagą.

– Co według pana powinienem zrobić z tymi dokumentami? – zapytał głucho.

– Ma pan moc sprawczą, panie von Richter. Jest pan naczelnym prawnikiem partii, a to oznacza władzę niemalże nieograniczoną. Musi pan działać tak, żeby Führer był zadowolony.

Johann ponownie wbił wzrok w dokumenty. Było ich kilkadziesiąt. Wszystkie miały na celu przekształcenie dziesiątek nieruchomości w największych miastach Rzeszy z prywatnej na należącą do NSDAP. Były to domy, posiadłości, kamienice, pałacyki, a nawet magazyny przy zakładach produkcyjnych – wszystko, co jeszcze niedawno znajdowało się w rękach prywatnych – żydowskich i wszystkich tych, którzy mieli czelność nie podporządkować się Hitlerowi.

– Zna się pan na nieruchomościach. Ojciec powierzył panu zarządzanie swoimi posiadłościami.

– A co z ludźmi, do których te nieruchomości należą? – zapytał Johann, czując, że coś boleśnie ścisną go w gardle.

Jednym z adresów widniejącym na dokumencie był okazały dom należący do profesora, który w trakcie studiów prawniczych był mentorem Johanna. Młody von Richter uważał go za bezsprzeczny autorytet i zawdzięczał mu prawie wszystko, czego nauczył się w trakcie seminariów. Myśl, że teraz miałby temu wybitnemu człowiekowi odebrać dom i skazać go na tułaczkę, dławiała go bezsilną rozpaczą.

– To nie są ludzie. To szkodliwy element społeczny, który należy jak najszybciej zlikwidować. Nieruchomości nie są im do niczego potrzebne.

Johann czuł, że zaczyna się pocić. Popatrzył na Hansa Franka, który z nonszalancją wypalał swoje cygaro. Odczuwał głęboką pogardę do tego człowieka. Z każdą sekundą nienawidził go coraz bardziej i miał nieodpartą ochotę podejść do niego i zetrzeć z jego twarzy ten obrzydliwy uśmiezek. Frank był kanalią. Jedną z największych, jakie Johann kiedykolwiek poznał. To on, mając pełne poparcie Adolfa Hitlera, opracował nowy system prawny obowiązujący na terenie Trzeciej Rzeszy, opierający się na niedemokratycznej zasadzie wodzostwa, co w praktyce dawało Hitlerowi nieograniczoną władzę i wprowadzało system totalitarny.

– Oczekuje pan ode mnie, że wydam zgodę na przekazanie tych nieruchomości NSDAP? Przecież to niezgodne z prawem!

– Pan tworzy prawo, panie von Richter. Jest pan przecież prawnikiem, podobnie jak ja. Niech się pan nie obawia, wszystko, co robimy, jest wyłącznie dla dobra narodu niemieckiego! Niemcy tego właśnie od nas oczekują: że będziemy zmieniać nasz kraj na lepsze i odbierać tym żydowskim świniom, co nasze!

Frank wstał z fotela, dogasił w popielniczce cygaro i zaczął się przechadzać po gabinecie.

– A swoją drogą, prześliczna ta pańska narzeczona – przystanął i popatrzył Johannowi prosto w oczy. – Czy przypadkiem nie jest po części Żydówką? W Polsce jest ich tak dużo, że mogli przez wieki zdążyć skalać polską ziemię. Żydostwo to istna plaga, panie von Richter.

Johann poczuł, że krew zastyga mu w żyłach. Mężczyźni przez chwilę mierzyli się ostrym wzrokiem, aż wreszcie minister Hans

Frank wyszedł z gabinetu, zostawiając Johanna samego ze stertą papierów.

Johann przerzucał je na biurku z poczuciem bezsilności, a rosnący gniew powoli odbierał mu trzeźwość myślenia. Co miał zrobić? Podpisać dokumenty i bez skrępowań obrabować ludzi z własności? Z tego co kochali? Co było ich życiem? Ma być taki jak Niklas? Albo jak Susanne, która okradała ludzi z dzieł sztuki ku chwale ojczyzny?

W przypiływie narastającej furii uderzył pięścią w biurko i jednym ruchem zmiotł wszystkie papiery z blatu na podłogę. W tym momencie do gabinetu weszła jego sekretarka.

– Panie von Richter...

– Wynoś się! – syknął przez zaciśnięte zęby, nie patrząc nawet w jej stronę. Gdyby na nią spojrzął, nie miałby odwagi odezwać się do niej w ten sposób.

– Panie von Richter – powtórzyła sekretarka prawie szeptem. – Przyszła panna Wolińska.

Johann otrzeźwiał w sekundę.

Hania stała w drzwiach i patrzyła na niego zdumiona.

– Co ty robisz? – zapytała z niedowierzaniem.

Westchnął ciężko i nerwowo przeczesał dłonią włosy.

– Przepraszam za to... – Machnął ręką w stronę leżących na podłodze papierów. Spojrzął jej w oczy i poczuł, że pod jej bursztynowym spojrzeniem rozpada się na tysiąc kawałków. Była jego lekiem na wszystko, antidotum na zło, które go otaczało.

Doszedł do niej w kilku krokach i gwałtownie wziął w objęcia. Nie protestowała. Wtuliła się w niego naturalnie, z czułością, obejmując ramionami w pasie.

„Nigdy nikogo nie kochałem tak bardzo” – pomyślał z rozpaczą, przypominając sobie słowa Hansa Franka o żydowskiej krwi.

Ale Hania nie była Żydówką, więc nie miał się czego obawiać. Przysiągł sobie, że nigdy nie pozwoli, żeby choć jeden włos spadł jej z głowy. Nigdy nie pozwoli jej skrzywdzić.

– Dlaczego jesteś zdenerwowany?

– To nic takiego. Ta praca... Chwilami mam jej dość! Spędzam tu zbyt dużo czasu i... Bywam zmęczony – mówił pokrętnie, licząc na to, że Hania nie zapyta o nic więcej.

Przyglądała mu się bacznie.

– Więc dlaczego nie przestaniesz tu pracować?

„Bo nie mogę” – pomyślał z goryczą. „Bo jeśli to zrobię, zniszczą mnie i ciebie”. Jednak nie powiedział tego głośno. Nie chciał obarczać jej swoimi problemami. Chyba nawet wstydził się przed nią swojej bezradności.

– Przyszłam się pochwalić, że zleciłam panu Schmidtke uszycie sukni ślubnej.

Ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz ku sobie. Próbował opanować wciąż targające nim wzburzenie, żeby nie wyczuła jego zdenerwowania.

– Powiedziałaś mi, że ma to być najpiękniejsza suknia, jaką do tej pory stworzył?

Uśmiechnęła się.

– Tak. Obiecał, że się postara. Twoja babcia zapłaciła mu tyle pieniędzy, że na pewno to zrobi. A teraz zostaw tę okropną, wyczerpującą pracę i zjedz ze mną obiad. Umieram z głodu!

Zgodził się bez protestu. Z ulgą pomyślał, że zostawi za sobą te cholerne dokumenty i postara się o nich zapomnieć do czasu, aż będzie w stanie trzeźwo analizować.

Pojechali do restauracji.

Johann nie zwracał uwagi na tabliczki zakazujące wstępu Żydom, bo miał większe zmartwienia na głowie, ale Hania nie omieszkała głośno tego skomentować.

– Jak możesz to akceptować! – skarciła go oburzona jak zawsze, kiedy przymykał oczy na jawny antysemityzm.

– Nie akceptuję! Po prostu w tej chwili nie mam na to wpływu!

– Ale masz moralny obowiązek sprzeciwić się temu! Nie dawniej jak wczoraj twoja matka zwolniła z pracy ogrodnika, bo nagle uświadomiła sobie, że jest Żydem, choć wcześniej jej to nie przeszkadzało! Podobno pracował u was wiele lat.

Johann zmarszczył brwi.

– Nic o tym nie wiem.

– Ty chyba wielu rzeczy nie wiesz! – rzuciła z urazą.

Kiedy zasiedli do stolika, nastrój Hani jakby się zmienił. Johann patrzył na nią zafascynowany, jak z wrodzonym wdziękiem

oczarowała kelnera, który nadszkakiwał jej usłudze niczym samej królowej. Śmiała się przy tym figlarnie i raz po raz spoglądała na Johanna, jakby chciała się upewnić, czy on na pewno na nią patrzy.

– Na coś jednak możesz mieć wpływ – rzekła beztrąsko chwilę później, upijając łyk wina. – Skończyłam studia i nie chcę siedzieć beczynnie. Potrzebuję pracy! Pomyślałam, że mógłbyś mi pomóc zatrudnić się jako protokolantka w kancelarii NSDAP.

– Co ty mówisz, Haniu? Nie musisz pracować! Moja żona nie musi być... protokolantką!

– Wiem, kochany, ale nie mogę tak siedzieć beczynnie! Muszę coś zrobić! Praca w kancelarii dałaby mi dużo satysfakcji, przynajmniej dopóki...

– Dopóki co?

Uśmiechnęła się.

– Dopóki Bóg nie obdarzy nas dzieckiem. Wtedy będę siedzieć w domu. Poza tym pomyśl, to mogłoby dobrze wpłynąć na twój wizerunek! Ciągłe ktoś zarzuca ci, że żenisz się z Polką, jeśli więc zatrudnię się w kancelarii, moje pochodzenie przestanie mieć znaczenie.

Patrzył na nią kompletnie oszołomiony.

– Haniu, nie zrozum mnie źle, ale najpierw głośno krytykujesz antysemityzm, który jest przecież powszechnie przyjęty w partii, a chwilę później sama chcesz tam pracować? Jedno przeczy drugiemu!

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Widział, że zarumieniła się na twarzy.

– Praca to nie to samo co poglądy. Niekiedy jedno mija się z drugim.

– Święta prawda... – mruknął Johann z cichym westchnieniem. – Dobrze, spróbuję coś znaleźć. Coś godnego ciebie. Ale bądź cierpliwa i nie naciskaj!

W odpowiedzi obdarzyła go najpiękniejszym uśmiechem, na jaki było ją stać. Był to jeden z tych uśmiechów, który sprawiał, że Johann czuł szczęśliwy. Kochał ją do szaleństwa, był gotowy zrobić dla niej wszystko. Wpatrzony w jej twarz, w gorejące oczy, na moment zapomniał o stercie dokumentów, które czekały na niego

w jego gabinecie. Zapragnął ją pocałować. Zrobiłby to, gdyby nie pełna sala gości i gdyby nie konwenanse, które nie pozwalały mu na taką bezwstydną.

Wrócił do kancelarii NSDAP późnym popołudniem, wpiersz odwożąc Hanię do Niny. Rozrzucone dokumenty w jego gabinecie zostały uprzątnięte i złożone w idealny stosik czekały na niego na biurku. Sekretarka wyszła już do domu, ale domyślił się, że to ona posprzątała ten cały bałagan, który był wstydlwym odbiciem jego bezsilności. Obiecał sobie, że jutro przeprosi ją za swoje zachowanie.

Nie zamierzał podpisywać tych dokumentów. Taką decyzję podjął tuż po rozstaniu z Hanią i poczuł się z tym wyjątkowo dobrze. Nie chciał mieć na sumieniu bezwzględnej kradzieży mienia ludzi, których podziwiał i szanował, pod przykrywką dobra narodu. Jakkolwiek minister Frank to usprawiedliwiał, dla niego był to zwykły bandycki atak wymierzony w całe rzesze rodzin, które tak jak on tworzyły Niemcy, a teraz zostały pozbawione wszelkiego prawa do obrony. Johann miał szczerze dość przykładania ręki do tego bezprawia.

* * *

Irene von Richter patrzyła na Hanię wzruszona, kiedy ta mierzyła suknię ślubną.

Kreacja z najlepszej francuskiej koronki, obszyta przy dekolcie drobnymi perłami, była oszałamiająca! Zdawała się być utkana marzeniami tej słodkiej, młodej dziewczyny, podkreślając jej wdzięk i urodę. Całości kreacji dopełniał welon, długi na dwa metry.

– Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa, gdy na ciebie patrzę, dziecinko! Wasz ślub to najpiękniejsze, co mogło mnie spotkać u schyłku życia!

– Pani Irenko, jakiego schyłku? Nasze dzieci będzie pani hołubić!

Hania podobała się sobie w tej sukni. Koronkowa kreacja podkreślała wszystkie jej walory i maskowała niedociągnięcia urody takie jak zbyt mały biust czy wystające kości obojczyków, teraz przysłonięte artystyczną tkaniną. Z satysfakcją przyznała, że

monachijski krawiec spisał się na medal, choć suknia nie była jeszcze w pełni skończona i wymagała niewielkich poprawek.

– Pani Irenko, ja też jestem szczęśliwa, ale chciałabym, żeby była tu również mama. I Lucyna. Obie powinny widzieć mnie teraz w tej sukni.

– Wiem, kochanie. To straszne, że zostałam z tym ślubem sama, bez rodziny. – Hrabina ujęła czule dłonie Hani. – Staram się, jak mogę, żeby ci to wszystko wynagrodzić. Wiem jednak, że nigdy nie zastąpię ci matki.

Dziewczyna objęła staruszkę.

– Może po ślubie mama zdecyduje się przebaczyć mi i zaakceptuje Johanna – mruknęła cicho, rozżalona. – Może wtedy dotrze do niej, że ja i Johann bardzo się kochamy.

– Kto to wie, dziecinko. Ludzka natura rządzi się swoimi prawami, a sztywne zasady wpajane nam od dziecka tylko potęgują ludzkie ułomności. Matka bardzo cię kocha i z czasem zrozumie...

– A co, jeśli nie?

Pani Irene niedbale machnęła ręką

– Ech, najważniejsze żebyś była szczęśliwa, a mój wnuk już o to zadba.

Manuela von Richter za stanowczą namową syna zgodziła się zająć żmudnymi przygotowaniem do przyjęcia weselnego. W tej materii była mistrzynią niemającą sobie równych, więc nie mogła odmówić sobie zorganizowania najświetniejszego bankietu ślubnego w całej Bawarii. Hania nie zamierzała się z nią w tej kwestii spierać ani wchodzić jej w drogę i bez żalu dała przyszłej teściowej wolną rękę. Ona sama nie miała najmniejszej ochoty pilnować tego wszystkiego, czego wymagało wielkie wesele. Nie znała się na wykwinnych daniach, luksusowych dekoracjach i snobistycznej orkiestrze. Cała ta otoczka, która była tak ważna w wielkim świecie, była jej obca. Żałowała jedynie tego, że matka – jak w przypadku wesela Janka – nie przyłożyła do tej uroczystości swojej ręki.

Manuela choć niechętnie, wyraziła zgodę na wesele, ale w żaden sposób nie pogodziła się z wyborem syna. Wciąż traktowała przyszłą synową chłodno i obcesowo, nie szczędząc jej złośliwości. Któregoś dnia bez ogródek oznajmiła, że żąda od niej podpisania intercyzy,

która będzie gwarantować jej, jako hrabinie von Richter, dożywotnie niezbywalne prawo w rządach posiadłości.

– Nie pozwolę, żebyś zajęła moje miejsce. Może i zostaniesz żoną mojego syna, ale dopóki żyję, nie będziesz panią na Richterhaus!

– Nie mam takiego zamiaru, szanowna pani – odparła Hania wyniośle. – Po ślubie nie będziemy tu mieszkać. Zamieszkamy z Johannem we własnym domu.

Johann był głęboko przeciwny jakimkolwiek intercyzom i ostro sprzeciwił się pomysłowi matki.

– Jeśli ja odziedziczę ten dom, to moja żona będzie w nim panią! – oznajmił stanowczo.

Jego zdanie poparła babcia Irene, do której należała połowa posiadłości, więc w ostateczności do podpisania intercyzy nie doszło.

Hania pozostałą uwagę skupiła na nowej pracy, którą równie szybko, co niespodziewanie dostała w kancelarii ministerstwa spraw zagranicznych NSDAP jako tłumaczka polskich dokumentów dyplomatycznych. Johann zrobił, co mógł, żeby jego narzeczona miała godną posadę, a ona nie posiadała się z radości. Z początku nieco zagubiona, szybko odnalazła się w nowym miejscu i dała się poznać jako pracowita i sumienna urzędniczka. Nie wiedziała, ile wysiłku Johann włożył w to, żeby została zatrudniona, ale była mu za to niezmiernie wdzięczna. Szybko okazało się również, że jako Polka stała się niezwykle cennym nabytkiem w kancelarii ministerialnej. Przekazywano jej polskie depesze, które następnie miała precyzyjnie tłumaczyć na niemiecki. Nikt o nic jej nie podejrzewał ani nie zadawał zbędnych pytań. Traktowano ją z uprzejmością i szacunkiem. Od tej chwili panna Wolińska miała nieustanny i wręcz nieograniczony dostęp do dokumentów i listów dotyczących polityki międzynarodowej, które wartkim strumieniem przekazywała do Polski. Jej misja szpiegowska wydała się nagle dziecinnie prosta i pozostało jej jedynie dopilnować, żeby Johann niczego się nie domyślił.

Minister Joachim von Ribbentrop zaskoczył ją któregoś ranka, pytając osobiście, czy zechciałaby wieczorem uczestniczyć w jego

spotkaniu z polskim ambasadorem Józefem Lipskim, który przyjechał do Monachium z krótką wizytą.

– To będzie dla mnie zaszczyt, panie ministrze.

* * *

Była sobota. Pogoda sprzyjała pobytom na świeżym powietrzu, więc narzeczeni zdecydowali się spędzić cały dzień z dala od Richterhause.

Johann próbował skłonić Hanię na przejażdżkę konno, ale dziewczyna stanowczo odmówiła, zajechał więc odkrytym kabrioletem pod frontowe drzwi.

Hania czekała na niego z koszykiem pełnym prowiantu i butelką szampana, ubrana w letnią sukienkę w kolorze kości słoniowej, odsłaniającą ramiona. Wiatr delikatnie kołysał kosmykami jej włosów, które tuż przy twarzy uwolniły się ze splecionego na plecach warkocza, a nadmiar czerwcowego słońca namalował na jej nosie delikatne piegę. Tanecznym ruchem wsiadła na miejsce pasażera, cmokając Johanna w policzek.

Już mieli odjeżdżać, ale w tym samym momencie na frontowy dziedziniec zajechał urzędowy samochód NSDAP. Wyskoczył z niego Hans von Richter.

– Muszę z tobą pilnie porozmawiać! – rzekł do syna tonem nieznoszącym sprzeciwu, niecierpliwym gestem nakazując mu, żeby ten wysiadł z automobilu. Na Hanię nawet nie spojrział.

– Właśnie wyjeżdżamy.

– To nie może czekać! Widzę cię za pięć minut w moim gabinecie!

Johann chciał się sprzeciwić tak obcesowemu traktowaniu, ale Hans nie oglądając się za siebie, szybkim krokiem wszedł do rezydencji. W jego ruchach było coś gniewnego i nerwowego, co zaniepokoiło Johanna. Nie miał ochoty na kolejną bezsensowną rozmowę z ojcem, która zapewne zakończy się sprzeczką, ale wyraz twarzy Hani mówił mu, że powinien pójść.

– Widać, że to ważne. Poczekam na ciebie w ogrodzie. Idź i wróć jak najszybciej.

Johann musnął ją delikatnie w usta i udał się do domu, zostawiając narzeczoną samą. Wiedział, że tak jak mu obiecała, pójdzie do ogrodu dotrzymać towarzystwa odpoczywającej tam babci.

Ojciec nie siedział za biurkiem. Stał przy oknie i patrzył na ogród. Musiał widzieć Hanię znikającą między drzewami.

– Ojczy, tylko szybko, bo obiecałem narzeczonej, że spędzę z nią ten dzień. – W głosie Johanna dało się słyszeć zniecierpliwienie, a on sam poirytowany.

Hans odwrócił się w jego stronę. Twarz miał bardziej czerwoną niż zwykle.

„Więc jeszcze kac mu nie minął” – pomyślał Johann z pogardą. To cud, że ojciec w ogóle przyjechał do Richterhause, bo najczęściej w sobotę rano odsypiał libację u którejś ze swoich kochanek. Jego morale spadło do zera i zupełnie przestał liczyć się z żoną.

– Rozmawiałem z ministrem Frankiem. Podobno kilka dni temu dostałeś do akceptacji ważne dokumenty – zaczął Hans twardym tonem. – Miałeś je podpisać wraz z właściwą notką prawną i nie zrobiłeś tego!

Johann zacisnął szczękę.

– A co cię to obchodzi, ojczy?

– Obchodzi mnie, i to bardzo, jeśli nie wypełniasz swoich podstawowych obowiązków! Muszę za ciebie świecić oczami!

– Nie zamierzam się tłumaczyć przed tobą z mojej pracy. Jeśli tylko o tym chciałeś ze mną rozmawiać, to wybaczyć, ale moja narzeczona czeka!

Hans pociemniał jeszcze bardziej.

– Niech czeka, do jasnej cholery! Przez twoją głupotę będzie na ciebie czekać znacznie dłużej! – Wzburzony wyjął z kieszeni marynarki kopertę i rzucił ją na biurko. – Już nie chcą cię w kancelarii, bo nie spełniasz oczekiwań Führera!

Johann patrzył na ojca, nic nie rozumiejąc. Ostrożnie wziął do ręki kopertę, na której widniało jego nazwisko.

– Skąd to masz?

– Otwórz!

Johann rozerwał kopertę i wpatrywał się niemo w dokument.

– Widzisz, czym się kończy głupota?! – wrzasnął ojciec – Myślałeś, że kim ty jesteś? Bogiem? Że możesz sprzeciwić się ludziom, którzy dzierżą pełnię władzy? Byłeś współczujący, miałeś sentymenty, ale nie myślałeś, że ktoś nie będzie miał tych sentymentów dla ciebie! Po co ci była ta obrona Żydów? Na co ci oni potrzebni? Mam ci przypomnieć, co się stało w trzydziestym czwartym z tymi, którzy nie słuchali Hitlera?[8]

Johann czuł zimny pot zalewający mu plecy. Nie myślał o wrzeszczącym ojcu – myślał o Hani, której będzie musiał powiedzieć, że właśnie dostał rozkaz natychmiastowego stawienia się w szeregach Wehrmachtu. Rozkaz podpisany był przez generała pułkownika Heinza Guderiana, szefa sztabu Naczelnego Dowództwa wojsk lądowych.

– To niemożliwe! – wyszeptał bardziej do siebie niż do ojca.

Rozkaz wydawał mu się groteską, jakimś nierzeczywistym żartem z nim w roli głównej. Nikt nie mógł zrobić mu czegoś takiego! Nie teraz, kiedy za miesiąc zamierzał wziąć ślub!

– Skąd to masz? – zapytał ojca zduszonym głosem.

– Dostałem od ministra Franka. Przekazał mi go dziś rano. Zapewnił, że sprawa jest nieodwołalna. W poniedziałek masz się stawić w Sztabie Generalnym w Berlinie.

Johann wolno odłożył list na biurko i bez słowa wyszedł z gabinetu ojca. Do ogrodu szedł jak w transie. Czuł, że krew burzyła mu się w żyłach i uderzała do głowy. Bał się, że idąc, potknie się o własne nogi.

Hania siedziała z babcią Irene pod rozłożystym dębem i rozmawiały o czymś żywo i radośnie. Pewnie o ślubie – pomyślał. Zrozpaczony spojrzał na urodziwą, gładką twarz i kształtne usta ukochanej. Dzisiaj całował te usta. Robił to niezliczoną ilość razy i nigdy nie miał dość. Pragnął być z nią ciągle, każdego dnia, do końca życia. Nie chciał niczego więcej.

Dziewczyna dostrzegła jego obecność. Odwróciła twarz ku niemu i uśmiechnęła się promiennie.

– Jesteś! Właśnie mówiłam babci, że hrabiostwo Nałęczowscy zgodzili się przyjechać na nasz ślub!

Odpowiedział jej uśmiechem choć czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Bez słowa, nie zważając na babcię, porwał na ręce narzeczoną i mocno przytulił, wdychając rześki zapach jej włosów.

[8] Noc długich noży – przeprowadzona w nocy z 29 na 30 czerwca 1934 roku akcja schwywania i wymordowania przeciwników Adolfa Hitlera wewnątrz ruchu narodowosocjalistycznego.

ROZDZIAŁ 18

sierpień 1939
Monachium

Najdroższa,

Mam nadzieję, że ten list zastał Cię w dobrym zdrowiu. Czy wciąż chodzisz do pracy? Domyślam się, że kancelaria ma z Ciebie ogromny pożytek, a Szanowny Pan Minister wychwala Cię pod niebiosami.

Ukochana, tak jak podejrzewałem, nasz ślub musi zostać przesunięty na bardziej dogodny termin. Moje poświęcenie dla ojczyzny jest w tej chwili najważniejsze. Szkolą mnie tu najlepiej, jak potrafią. Z dumą mogę Cię zapewnić, że jestem wzorowym żołnierzem w mojej niezwyciężonej armii.

Czy będziesz na mnie czekać? Kiedy przyjadę na przepustkę, to czy zastanę Cię tam, gdzie zawsze?

Kocham Cię, moja księżniczko.

Johann

Hania jak przez mgłę wpatrywała się w litery ocenzurowanych zdań.

Nie miała siły płakać. Łzy wypłynęły z niej już dawno, a pozostała jedynie pustka, która pogłębiała się z każdym kolejnym dniem.

Johanna nie było już dwa miesiące. Rozpacz przestała ją męczyć, a złość minęła. Pozostał smutek, bezgraniczna tęsknota i bunt, który rozrywał jej serce. Obiecała Johannowi, że będzie na niego czekać, ale w środku coś krzyczało w niej, że nie może siedzieć beczynnym, musi coś robić, działać, bo inaczej oszaleje! Ze zdwojoną mocą oddała się więc pracy.

W kancelarii ministerialnej przyjmowała niezliczoną ilość dokumentów spływających do ministerstwa z różnych stron świata. Niektóre treści były nieprawdopodobne i zatrważające, jak te dotyczące rozprzestrzeniania się przemocy w całej Europie wobec ludności żydowskiej. Inne jasno dawały do zrozumienia, że kontynent chyli się ku upadkowi, a ułomna dyplomacja państw tylko pogarsza sprawę i wzmacnia pozycję Adolfa Hitlera na arenie międzynarodowej. Wcześniej te kwestie niewiele ją obchodziły, ale z biegiem czasu coraz więcej rozumiała i coraz bardziej ją to martwiło. Martwiły ją również sprawy polskie, z których wyłaniał się obraz niechybnego konfliktu między oboma państwami. Propaganda niemiecka z uporem tłoczyła ludziom do głów, że grozi im niebezpieczeństwo ze strony Europy, a Polska bez skrupułów zmierza ku wojnie. Ludność Trzeciej Rzeszy była szkolona, jak zachować się w przypadku nalotów bombowych i jak pomagać rannym. Hania wszystkie te informacje dokładnie sprawdzała, a później robiła z nich właściwy użytek. Tajne protokoły wysyłała w listach do polski na adres panny Wandy Kruszewskiej, siostry Waleriana Kruszewskiego. Do samego pułkownika nie pisała, bo podobno przebywał poza granicami Polski.

Wokół niej coraz głośniej mówiono o zbliżającej się wojnie w Europie. Otwarcie szkalowano przywódców innych państw – zwłaszcza rządzących na zachodzie. Francja i Wielka Brytania stały się głównymi wrogami Trzeciej Rzeszy, a Polska z uporem odmawiała Hitlerowi dostępu do morza, nie zgadzając się na aneksję Gdańska. Nastroje te były widoczne na monachijskich ulicach, gdzie ludzie coraz głośniej głosili nazistowskie hasła propagandowe. Opozycji politycznej praktycznie nie było, a jeśli ktoś odważył się skrytykować władzę, natychmiast był wysyłany do obozu koncentracyjnego, które rosły na terenie Rzeszy niczym grzyby po deszczu.

Hania dzień w dzień przechadzała się ulicami Monachium, robiąc zdjęcia i obserwując wychodzących na ulice ludzi, którzy skandowali hitlerowskie okrzyki wolności. Patrzyła na rzesze obywateli niemieckich z byle powodu podnoszących rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Robiły to nawet dzieci, natchnione przez swoich

rodziców. Natomiast SS bez żadnych skrupułów usuwała Żydów i komunistów z przestrzeni publicznej. Jeśli jakiś Żyd jeszcze nie uciekł z Trzeciej Rzeszy albo nie został odesłany do obozu, z miejsca był brutalnie szykanowany. Strzały padające w ich stronę słychać było w niemal wszystkich dzielnicach Monachium.

Po dwudziestym sierpnia, dwa miesiące po przymusowym wyjeździe Johanna do wojska, Hania poinformowała w tajnej depeшы polskie władze o planowanej nagłej wizycie ministra von Ribbentropa w Rosji Radzieckiej. Poleciał tam z Monachium prywatnym samolotem Adolfa Hitlera, żeby spotkać się z ministrem spraw zagranicznych ZSRR w rządzie Józefa Stalina – Wiaczesławem Mołotowem. Na drugi dzień rano wszystkie gazety rozpisywały się o arcydziele dyplomatycznym, jakiego dokonał minister von Ribbentrop, a mianowicie o podpisaniu z ZSRR paktu o nieagresji.

Hania czytała o tym w drodze do pracy, zastanawiając się, jakie to może mieć konsekwencje dla Polski leżącej pośrodku.

Kiedy weszła do kancelarii ministerialnej NSDAP, panowało w niej wielkie poruszenie.

– Stalin jest z nami... Stalin nam nie zagraża... – Takie i inne zdania wyrwane z kontekstu słyszała niemal cały czas i odczuwała z tego powodu coraz większy niepokój. Nie od dziś wiadomo było, że sąsiad ze wschodu jest wrogo nastawiony do Polski.

Wieczorem poinformowała przy kolacji panią Irene, że zamierza wyjechać do Warszawy.

– To zrozumiałe, kochanie, ale Johann kiedyś w końcu wróci! Nie będą go w tym wojsku trzymać w nieskończoność.

– Wiem, pani Irenko, ale nie czuję się dobrze, siedząc tu, w Monachium, i mając świadomość, że coś się dzieje. Muszę wrócić do Warszawy, do mamy i do Janka. – Nie powiedziała głośno tego, że niepewność jutra zaczyna ją przerażać i że nie wie, co będzie, jeśli rzeczywiście dojdzie do wojny z Polską.

– Dobrze, jedź, dziecko. Ale obiecaj, że jak tylko sytuacja się uspokoi, natychmiast wrócisz! Johann musi wiedzieć, że nic się nie zmieniło i wciąż na niego czekasz!

Na drugi dzień, tuż przed wyjazdem do ministerstwa, Hania odebrała niespodziewany telefon od Niklasa von Richtera, który uprzejmie, ale stanowczo prosił ją, żeby zechciała spotkać się z nim w jego mieszkaniu. Dziewczyna była wielce zdumiona, zwłaszcza że ich wzajemny kontakt był znikomy, a propozycja spotkania w prywatnym mieszkaniu nieprzyzwoita. Jednak zaintrygowało ją to na tyle, że bez sprzeciwu wyraziła zgodę.

Niklas czekał na nią, zwyczajowo ubrany w mundur SS i najwidoczniej gotowy do wyjścia na służbę. Hania pomyślała, że tak naprawdę nigdy nie widziała go w innym stroju, jakby ten mundur był jego drugą skórą. Być może w zwykłym, cywilnym ubraniu z trudem by go poznała.

Zmieszał się odrobinę na jej widok, ale grzecznie ją powitał i wpuścił do środka.

– Przepraszam za to niecodzienne zaproszenie, ale uznałem, że tylko tu będziemy mogli bezpiecznie porozmawiać – wytłumaczył się w progę.

Poprowadził ją do saloniku, który zdążyła już poznać parę miesięcy temu, i zaproponował, żeby usiadła na sofie.

– Jak się pani czuje? – zapytał z troską w głosie, która nieco Hanię zdumiała.

– To chyba oczywiste, tęsknię za narzeczonym. Nie rozumiem tylko, skąd ta dziwna konspiracja? – odparła szczerze, lecz nieco zbyt wyniośle. Dziwiło ją to potajemne spotkanie, więc przyglądała się Niklasowi sceptycznie, z dystansem i niepewnością. – Nie mogliśmy porozmawiać w Richterhaus? Albo chociaż w restauracji przy obiedzie?

– Muszę panią ostrzec, panno Haniu, i prosić, żeby jak najszybciej wyjechała pani z Niemiec – zaczął bez ogródek. – Wiem z pewnych źródeł, że grozi pani niebezpieczeństwo. Im szybciej opuści pani Monachium, tym lepiej.

– Dlaczego pan mi to mówi? – zapytała zaskoczona, nie do końca potrafiąc odczytać jego intencje. – Jeśli pan coś o mnie wie, to proszę mi to powiedzieć.

– Nie mogę pani powiedzieć nic poza tym, że musi pani wyjechać!
– upierał się twardo.

Hania wstała z sofy.

– Postaram się spełnić pańską prośbę – odparła lekkim tonem, udając, że to ostrzeżenie nie zrobiło na niej wrażenia. Jednak po prawdzie słowa Niklasa bardzo ją zaniepokoiły i poczuła ukłucie strachu. – Za kilka dni wyjeżdżam do Warszawy.

Chciała go ominąć, by wyjść z mieszkania, ale on niespodziewanie złapał ją za nadgarstek i zatrzymał w pół kroku. Spojrzał jej w oczy.

– Proszę to zrobić natychmiast.

– Natychmiast?

– Wbrew temu, co pani myśli, jestem pani przyjacielem. Wiem, że Johann bardzo panią kocha, a to mój brat, jestem zobowiązany więc chronić panią. Proszę mnie posłuchać i wyjechać najszybciej, jak to możliwe. Za kilka dni może być za późno.

Patrzyła na niego w milczeniu. Wreszcie skinęła lekko głową, dając mu tym do zrozumienia, że wierzy jego słowom.

– Dobrze – powiedziała cicho.

Po wyjściu z mieszkania Niklasa udała się taksówką prosto do pracy. Nakazała jednak kierowcy zatrzymać się przecznicę wcześniej niż zwykle, pragnąc tym krótkim spacerem uspokoić nerwy.

Przed siedzibą ministerstwa spraw zagranicznych NSDAP, tuż przy chodniku, stał czarny policyjny samochód.

Już zamierzała go ominąć, by wejść na schody prowadzące do drzwi frontowych budynku, ale z samochodu wysiadł mężczyzna w średnim wieku i zaszedł jej drogę.

– Panna Hanna Wolińska?

Dziewczyna przystanęła.

– Tak. A o co chodzi?

– Nazywam się Reinhard Krüger. Jestem funkcjonariuszem tajnej sekcji kontrwywiadu gestapo. Jest pani aresztowana pod zarzutem szpiegostwa na rzecz wrogiego państwa.

* * *

Hania siedziała na krześle naprzeciwko Hauptsturmführera Reinharda Krügera, który przyglądał się jej bacznie. Przypomniała

sobie, że rok temu w sierpniu również była przesłuchiwana, ale przez SS-Oberführera Johannes Schäfera, dowódcę gdańskiej SS. Różnica polegała również na tym, że wtedy była niewinna.

Nie obchodziło jej, co wie o niej gestapo ani co mogą z nią zrobić. Myślała gorączkowo tylko o tym, że musi jak najszybciej się stąd wydostać, bo nie zamierzała zgnić w niemieckim więzieniu. Na razie nie odczuwała strachu, jej umysł pracował na wysokich obrotach.

– Panno Wolińska, czy przyznaje się pani, że od kilku tygodni, a nawet miesięcy szpieguje pani na rzecz Polski?

– Bzdura!

Hauptsturmführer zmarszczył brwi.

– Jeśli się pani przyzna, uniknie pani surowej kary, która grozi za szpiegostwo.

Hania wydeła usta w delikatnym uśmiechu.

– Nie mogę się przyznać, bo nie mam do czego. Jestem niewinna.

– Siedziała na krześle dumna, wyprostowana, z dłońmi złożonymi na kolanach. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Aż do teraz nikt w gestapo nie zrobił jej krzywdy, traktowano ją z należyтым szacunkiem. Nawet nie skuto jej kajdankami, kiedy jechała na przesłuchanie.

– A czy przyznaje pani, że jest narzeczoną hrabiego Johanna von Richter?

– Oczywiście! Czy na tym polega moje przewinienie? – zapytała z sarkazmem.

– Dzięki hrabiemu von Richterowi miała pani dostęp do ludzi z najwyższego szczebla władzy Trzeciej Rzeszy.

Hania zaśmiała się ironicznie.

– Szanowny panie, żony dygnitarzy politycznych NSDAP też mają do nich dostęp. Czy te panie również oskarżacie o szpiegostwo?

– Proszę sobie nie żartować.

– To pan sobie ze mnie żartuje i w dodatku zabiera mi mój cenny czas, który powinnam spędzić w pracy! Czy mogę dostać chociaż lampkę wina? Zaschło mi w gardle.

Reinhard Krüger zrobił zaskoczoną minę i wydawał się lekko zmieszany tą niecodzienną prośbą aresztowanej. Jednak widząc jej

nieme oczekiwanie, bez sprzeciwu zawołał jakiegoś szeregowca i poprosił o dostarczenie aresztowanej lampki wina.

– Kim jest Angela Neumann? – zapytał nieco ostrzej, kiedy Hania ugasiła pierwsze pragnienie sporym łykiem.

– Nie wiem – odparła lekkim tonem.

– Więc skąd ma pani legitymację NSDAP na to nazwisko z własnym zdjęciem?

Hania upiła kolejny łyk. Starła się robić to tak, żeby palce obejmujące lampkę nie drżały, choć czuła, że w środku cała dygoce.

– Nie posiadam takiej legitymacji. Jeśli taki dokument istnieje, to musiał zostać sfalszowany.

Próbowała zachować zimną krew, ale wiedziała, że powoli stacza się do straconej pozycji. Wiedzieli o niej wszystko – tego była pewna. Liczyło się teraz to, co gestapo z nią zrobi. A nie miała najmniejszych wątpliwości, że szpiedzy byli skazywani albo na dożywotnie więzienie, albo na śmierć.

– Sama pani przyznaje, że dokument jest fałszywy.

Zmarszczyła brwi.

– Mówię tylko, że nie posiadam takiej legitymacji.

– Teraz już nie, bo znajduje się w pani teczce personalnej, która jest w posiadaniu gestapo. Legitymacja została znaleziona w pani torebce.

Hania zastanowiła się, który z pracowników ministerstwa mógł grzebać w jej rzeczach osobistych. Jak mogła być tak nieostrożna i pozwolić się podejść?

– Czy przyznaje się pani, że wykorzystywała pozycję hrabiego von Richtera w celu zdobywania tajnych informacji?

– Jak pan śmie! – krzyknęła oburzona.

– Polska jest dla Trzeciej Rzeszy wrogim krajem! Zamiast zgodzić się na sojusz z naszym Führerem, Polacy woleli zwrócić się po pomoc do Wielkiej Brytanii i Francji. Pani doskonale o tym wiedziała i z premedytacją wykorzystywała zdobyte informacje, przesyłając je do kraju. Pani depesze zostały wielokrotnie przechwycone!

Hania zadrżała. Pociły jej się dłonie, ale twardo patrzyła Krügerowi w oczy. Nie zamierzała się przyznać, powoli jednak traciło to już znaczenie. Oni i tak wiedzieli. Powinna była to przewidzieć,

spodziewać się, że mogą ją zdemaskować. Szło jej zbyt łatwo, była nieostrożna. I głupia.

Pomyślała o Johannie. Nie wiedział o niczym. Jeśli się dowie, pomyśli, że go zdradziła.

– Ponawiam pytanie, panno Wolińska. Kim jest Angela Neumann? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Kim jest Angela Neumann? – powtórzył głośniej.

– Nie wiem!

Mężczyzna westchnął. Jego twarz wyrażała zniecierpliwienie.

– A czy wie pani, gdzie się pani znajduje? Czy jest pani świadoma, czym jest policja gestapo?

– Czy moja świadomość ma tu jakiegokolwiek znaczenie? – zapytała drwiąco. – Pan wie, co należy do pana obowiązków, a ja wiem, że jestem niewinna. Ktoś być może wmieszał mnie w spisek, o którym nie mam pojęcia. Jestem narzeczoną hrabiego Johanna von Richter. Dwa tygodnie temu mieliśmy wziąć ślub, ale mój narzeczony został nagłym rozkazem wcielony do Wehrmachtu. Może to też jest część spisku?

– Spiskiem nazywa pani zaszczytne wstąpienie pana hrabiego do Wehrmachtu?! – krzyknął oburzony.

– Nie wiem! – odparła Hania. – To dość dziwny zbieg okoliczności, nie uważa pan? Mój narzeczony jest prawnikiem i z pewnością chciałby mnie bronić, gdyby tylko mógł!

Hauptsturmführer z rezygnacją pokiwał głową i westchnął ciężko.

– Moim obowiązkiem jest zatrzymać panią w areszcie do czasu procesu!

– Więc proszę to zrobić, ale żądam adwokata! Mam prawo do obrony!

Reinhard Krüger przyglądał jej się dłuższy czas, jakby próbował swoją nieprzejednaną postawą zmusić ją do mówienia. W końcu wstał.

– Jest ktoś, kto chce z panią porozmawiać. Pozwolę mu wejść i proszę, żeby zachowała się pani rozsądnie. Być może ten ktoś jest tu po to, żeby pani pomóc.

Ku ogromnemu zdumieniu dziewczyny do pokoju przesłuchań wszedł Hans von Richter. Szepnął coś na ucho Hauptsturmführerowi, a ten skinął głową i wyszedł, zostawiając ich samych.

Hania nie patrzyła na ojca Johanna, poczuła jednak niepokój, kiedy ten odchrząknął i bez najmniejszych oporów złapał ją brutalnie pod brodę, a usta rozchylił w obleśnym uśmiechu. Elegancki wygląd zamożnego dżentelmena nie pasował do jego wykrzywionej twarzy brutala.

– I co teraz powiesz, laleczko? Nadal będziesz zgrywać ważną damę, która podstępem wkradła się w łaski mojego syna?

– Co pan tu robi?

Zaśmiał jej się w twarz. Jego wzrok był pełen wyższości i pogardy, i czegoś jeszcze – nieskrywanej żądzy, która nakazała mu bezczelnie gapić się na jej usta.

– Przyszedłem cię ratować – rzucił drwiąco.

Dziewczyna milczała, więc potrząsnął nią nerwowo.

– Nie boisz się? Może nie wiesz, co cię czeka? Zabiją cię, jeśli im na to pozwolę. Jesteś tylko polską dziwką!

Hania gniewnie zmarszczyła brwi.

– Jest pan taki, jak mówiła Nina!

Hans wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

– Głupia lafirynda! Dałem jej, co chciała, rozpieszczęłem, a ona nie umiała tego docenić! Zachciało jej się niezależności! Bunt! Wdała się w moją bezczelną matkę!

– Na pana rozkaz Nina została zgwałcona w areszcie przez funkcjonariusza gestapo!

– To była nauczka, z której miała wyciągnąć wnioski! Nie mogę oszczędzać niepokornych zdrajców tylko dlatego, że to moje dzieci! Sprawy państwa są najważniejsze! To tu rozgrywa się nasza przyszłość! Od naszych decyzji zależy wielkość Rzeszy! Johann też tego nie rozumiał!

Hania patrzyła na niego z niedowierzaniem pomieszany z pogardą. Odsunęła się z odrazą, ale on ponownie złapał ją za twarz i przysunął do swojej. Poczuła jego nieświeży alkoholowy oddech.

– Jesteś naprawdę ładna. Ciebie też mógłbym oddać tym chłopcom za drzwiami na pożarcie. Mieliby używanie!

Hania splunęła mu między oczy i w tym samym momencie poczuła siarczyste uderzenie w policzek. Ból na chwilę zabrał jej oddech. Zaskoczona uświadomiła sobie, że do teraz nikt nigdy wcześniej jej nie uderzył.

– Ty suko! Myślisz, że pozwolę, żebyś bezkarnie uwodziła mojego syna?! Od początku miałem na ciebie oko! Wlazłaś Johannowi do łóżka, żeby szpiegować!

– Pan jest głupcem, panie von Richter – wyszeptała z odrazą.

– To mój syn okazał się głupcem! Zmanipulowałaś go do własnych celów! Korzystałaś z jego pieniędzy! Przez ciebie musiałem odesłać go do wojska!

Hanię zmroziło to, co usłyszała. W porywie gniewu miała ochotę rzucić się na tego podłego człowieka, rozorać mu z wściekłości twarz paznokciami, ale wiedziała, że policjanci szybko by ją obezwładnili. Nie miała szans. Nie miała już nadziei na nic. Patrzyła tylko na niedoszętego teścia z nienawiścią, zastanawiając się, czy Johann kiedykolwiek pozna prawdę. Jakim ojcem był Hans von Richter, skoro bez skrupułów oddał swoją córkę gwałcicielowi, a syna wbrew jemu samemu, odesłał przymusowo do wojska, i to w przededniu wojny?

– Nie było trudno odkryć twoje gierki – rzucił, odsuwając się od niej. – Jesteś amatorką. Młodą i ładną, ale amatorką! Choć prawdą jest, że mój syn niczego się nie domyślił.

Złapał ją brutalnie za nadgarstki i gwałtownie pociągnął z krzesła ku sobie. Syknęła z bólu i wściekłości, kiedy zderzyła się z jego klatką piersiową. Nie zważając na jej protesty, pchnął ją na biurko i brutalnie przycisnął ramionami do blatu. Krzyknęła wrzaskliwie, ale on w odpowiedzi znowu uderzył ją otwartą dłońią w twarz.

– Bądź cicho, bo oddam cię policjantom stojącym za drzwiami i dopiero będziesz miała powód do krzyku – wycharczał jej prosto do ucha, zalewając jej twarz ohydny oddechem.

Zrobiło jej się niedobrze, a policzek pulsował tępym bólem.

Pochylił się nad nią i przyciskając ją całym ciałem do blatu biurka, jednym szarpnięciem podciągnął jej spódnicę. Krzyknęła po raz

kolejny i zaczęła w panice wierzgać nogami, szarpiąc się pod nim z całych sił. Był duży i ciężki. Napierał na nią brutalnie. Nadludzką siłą krzyknęła przeciągle, ale zamknął jej usta swoimi, tamując jej oddech. Oderwał się od niej z sykiem, kiedy ugryzła go w język. Przerażona patrzyła, jak krew strużką wypływa z jego ust.

– Ty pieprzona dziwko! – krzyknął z furją, uderzając ją po raz kolejny z jeszcze większą siłą. Tym razem nie krzyknęła, ale po jej policzku spłynęła jedna gorąca łza.

Kiedy gwałtownym ruchem rozpiął spodnie, próbowała kopnąć go w sterzące genitalia, ale z siłą złapał ją za nogę i brutalnie odchylił, sprawiając jej tym niewyobrażalny ból w biodrze. Miała wrażenie, że jeszcze chwila i złamie jej nogę. Zagryzła pękniętą od uderzenia wargę, hamując krzyk, bojąc się, że znowu ją uderzy. Rwący szloch wydobył się z jej piersi, kiedy zerwał z niej majtki i wdarł się w nią gwałtownie, szarpiąc jej ciało mocnymi pchnięciami. Zacisnęła powieki, żeby nie widzieć nad sobą jego nabrzmiałej twarzy. Szarpała się pod nim, ale on poruszał się w niej szybko i rytmicznie, obezwładniając ją swoim ciężarem. Krzyczała w środku, płakała z rozpacz i bezsilności, próbując walczyć do końca, ale był silniejszy, okrutny i owładnięty szaleństwem.

– Mimo wszystko mam do ciebie sentyment – rzucił, sapiąc i krztusząc się od krwi w ustach. W końcu zsunął się z niej i nie patrząc na nią, zapiął spodnie.

Nie odpowiedziała, więc spojrzał na nią pałającym wzrokiem.

Bezwładnie osunęła się z biurka na podłogę. Przycisnęła kolana do klatki piersiowej i kurczowo zacisnęła uda.

– Pomimo druzgocących dowodów twojej winy pozwolimy ci odejść bez procesu, ale nigdy więcej nie wrócisz do Niemiec! Jeśli to zrobisz, zostaniesz skazana na śmierć jak pospolity szpieg!

Wyjął z kieszeni marynarki chusteczkę i przycisnął do ust, przez które płynęła krew z nadgryzionego języka.

– Dlaczego pozwala mi pan odejść, skoro tak mnie pan nienawidzi? – zapytała hardo, dziwiąc się sobie, że ma jeszcze jakąkolwiek siłę. Mdłości i ból zalewały kolejnymi falami całe jej ciało.

Przez chwilę milczał. Kiedy się odezwał, jego głos był dziwnie zmieniony.

– Bo mimo wszystko wiem, że mój syn cię kocha.
Zaskoczył ją tym stwierdzeniem. Gniew, który w niej wzbudził,
narastał w niej z siłą trudną do opanowania.
Ponownie do niej podszedł i złapał ją boleśnie za ramiona.
Z dziką nienawiścią popatrzyła mu prosto w oczy.
– Johann ci tego nie wybaczy – wyszeptała, cedząc słowa.
– Jesteś zwykłą dziwką. Jak mu powiem, co z tobą zrobiłem,
będzie się tobą brzydził. Zrozum, dla takich jak ty nie ma miejsca
w naszym świecie! – wycharczał. – A twoja Polska jest skończona! –
dodał zimno.
W odpowiedzi po raz kolejny splunęła mu w twarz.

ROZDZIAŁ 19

wrzesień 1939
Warszawa

* * *

Najdroższy,

Błagam, żebyś wybaczył mi ten ostatni list i zrozumiał. W obecnej sytuacji nie mogę dłużej na Ciebie czekać. Zwalniam Cię z wszelkich zobowiązań względem mojej osoby i życzę Ci szczęścia. Nie szukaj mnie, proszę.

*Kocham Cię i zawsze będę Cię kochać.
Twoja Hania*

Dzień był słoneczny, niemal bezwietrzny, a na błękitnym niebie tylko gdzieś wisiły kłęby białych chmur. Było tak pięknie jak wtedy, przed dwoma miesiącami, kiedy Hania i Johann wybrali się na ostatnią przejażdżkę po dolinie Bawarii. Spędzili wtedy czas, podziwiając przyrodę, kąpiąc się nago w krystalicznie czystym jeziorze otoczonym górami i kochając się całą noc w leśnej chacie. Ich miłość była wtedy inna – oni byli inni. Bezwstydnie dali sobie wszystko i zachłannie brali wszystko. Czułość mieszała się w nich z namiętnością, miłość z gwałtowną rozkoszą. I kochali się. Mocno, głęboko.

Dopiero na drugi dzień rano Johann powiedział jej, że dostał rozkaz natychmiastowego stawienia się w jednostce wojskowej w Berlinie.

Hania myślała o tym, kiedy pociła się w zatłoczonym pociągu z Berlina do Warszawy. Wspomnienia paliły ją. Wciąż wszystko

miało jego zapach i smak.

Pociąg kilkakrotnie zatrzymywały patrole uzbrojonych esesmanów, którzy donośnym, ordynarnym krzykiem zmuszali podróżujących Polaków do posłuszeństwa. Przeszukiwali ich bagaże i wyrzucali rzeczy osobiste na widok publiczny, strasząc przy tym lufami karabinów.

Był pierwszy wrześnie.

Zaledwie kilka godzin wcześniej Hania dowiedziała się, że to, czego tak uparcie nie przyjmowała do wiadomości, nagle stało się faktem. Trzecia Rzesza wypowiedziała Polsce wojnę.

W Berlinie od rana wyły syreny alarmowe, a z głośników miejskich roznosił się w eter głos wodza Rzeszy Adolfa Hitlera informujący obywateli niemieckich o działaniach zbrojnych dokonywanych w Polsce przez Luftwaffe, wojenne pancerniki i lądowe oddziały Wehrmachtu.

– Trzecia Rzesza nie może pozostać bierna i odpowie ogniem na brutalny atak polskiego wojska! – grzmiał Hitler w swoim specjalnym przemówieniu w Reichstagu.

Przerażona Hania jak w malignie dotarła na właściwy peron, przy którym stał zatłoczony pociąg do Warszawy. Godzinę temu opuściła pociąg, którym przyjechała z Monachium. Nie zdążyła pożegnać się z Niną, bo gestapo pilnowało, żeby szybko wyjechała z Niemiec, ale zabierając swoje rzeczy z Richterhause, pożegnała się z panią Irenką. Słowem nie wspomniała o tym, co zrobił jej Hans.

Hrabina, widząc jej opuchniętą i posiniaczoną twarz, stanowczo domagała się wyjaśnień, ale Hania uparcie milczała. Wzburzona i bezsilna babcia Johanna nakazała jej obiecać, że najszybciej, jak to możliwe, Hania wróci do Monachium. A dziewczyna, z trudem hamując gniew i rozpacz, obiecała jej, że na pewno tak zrobi, nie mając żalu, że z premedytacją okłamuje starszą panią.

Lament, krzyk, płacz – takie odgłosy słyhać było w dusznych wagonach. Ludzie bali się rewizji osobistych, aresztowań, a najbardziej tego, że pociąg do Warszawy w ogóle nie ruszy. Jednak w końcu wytoczył się z peronu, pod czujnym okiem uzbrojonego oddziału SS. Na granicy zatrzymano pociąg ponownie i dokonano rewizji wszystkich podróżnych. Tym razem do wagonu

weszło kilku uzbrojonych żołnierzy Wehrmachtu. Hania patrzyła na nich przerażona, bojąc się, że w jednym z nich rozpozna Johanna. Nie wiedziała, gdzie teraz był – czy został w jednostce w Berlinie, czy jednak otrzymał rozkaz ruszenia na Polskę. Od kilku dni nie miała od niego żadnych wiadomości. Wiedziała również, że kolejnej już nie otrzyma.

Kiedy odezwała się po niemiecku do przeszukującego ją żołnierza, ten popatrzył na nią zaskoczony. Był młody, jeszcze nieskalany brutalnością wojny. Skinął lekko głową i odsunął się, żeby mogła pozbierać wyrzucone z torby podróźnej rzeczy.

Pociąg ruszył po godzinie. Atmosfera rozpacz i strachu towarzyszyła podróźnym już do samej Warszawy, a kiedy lokomotywa wjechała na peron Dworca Wileńskiego w Warszawie, ludzie nie wierzyli, że dotarli do stolicy żywi. Byli tacy, którym nerwy puściły na tyle, że szlochali teraz jak małe dzieci.

Hania myślała o tym, że to już koniec jej szczęśliwego życia. Sen o miłości zakończył się tak samo szybko, jak się zaczął. Jej marzenia zostały gdzieś w Richterhaus, niespełnione, zbyt śmiałe, zdeptane i brutalnie zgwałcone.

Coś ścisnęło ją w gardle, kiedy na powrót powitała Warszawę. Ból dławił ją tak mocno, że nie mogła oddychać. Na wpół przytomna usiadła na ławce na dworcu kolejowym, przyglądając się młodym, krzepkim żołnierzom tłoczącym się w oczekiwaniu na pociąg, który miał ich zabrać na front. Nie wiedzieli co ich czeka, nie wiedzieli, czy wrócą, ale wierzyli w zwycięstwo. Wierzyli, że w mig odeprą siły wroga.

W oddali, gdzieś w okolicach Powązek, słychać było krążące po niebie niemieckie samoloty Luftwaffe i nagły, potężny huk roznoszący się głuchym echem po okolicy. Powietrze drżało od eksplozji. Ten odgłos był tak dziwny i niecodzienny, że paraliżował ją rozpaczą. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszała. Nigdy tak się nie bała. Nie wierzyła, że ta brutalna rzeczywistość jest prawdziwa. Jak mogła być tak naiwna i wierzyć, że wojny nie będzie? Ostatnie miesiące spędziła w jaskini lwa, nieświadoma śmiertelnego zagrożenia, ślepa na to, co się wokół niej działo. Wstyd

i upokorzenie dławiły ją tak, że nie mogła oddychać. To cud, że w ogóle dotarła do Warszawy. To cud, że żyła.

Warszawiacy chodzili nerwowo, w panice. Jedni płakali, inni próbowali płaczących uspokoić.

Chłopiec roznoszący gazety stał na rogu ulic i darł się na całe gardło:

– Bandycki najazd armii niemieckiej bez wypowiedzenia wojny!
Orędzie prezydenta Mościckiego!

Hania na miękkich nogach wyszła na ulice miasta. Warszawa płonęła.

* * *

Hania nie spała całą noc. Leżała na łóżku przy otwartym oknie i wsłuchiwała się w odgłosy nocy. Wystrzały artyleryjskie ucichły, nie było nalotów bombowych. Warszawa spała niespokojnie, trawiona dogasającymi pożarami i otulona siwym pyłem ze zbombardowanych budynków.

Od rana w radiu pojawiały się kolejne złowieszcze komunikaty obrony przeciwlotniczej i każdy kto mógł, chował się do piwnicy. Pani Aniela z przerażeniem obejmowała ramionami głowę, żeby nie słyszeć samolotów krążących nad Warszawą.

Każdy kolejny dzień był dla nich świętem, bo jak dotąd żadna bomba nie trafiła w ich dom ani w żaden z pobliskich domów. Kiedy bombowce oddalały się od stolicy, obie wychodziły ze schronu na ulicę.

Z daleka nad miastem widać było łuny dymu, a gryzące powietrze zamykało im oddech. Ludzie, zrozpaczeni i wystraszeni, wypęzali ze swoich kryjówek. Aniela z trwogą rozglądała się wokół, a Hania zastanawiała się, jak długo przeżyją w takich warunkach, bo od kilku dni praktycznie nie wychodziły z domu.

Dziewczyna nie powiedziała matce o tym, co się stało w Monachium. Wyjaśniła tylko lakonicznie, że między nią i Johannem wszystko skończone i że nie chce nigdy do tego wracać. Pani Aniela zrozumiała, ale nie współczuła córce. Zachowywała się, jakby tamtego rozdziału w życiu Hani nigdy nie było.

Natychmiast po przyjeździe do Warszawy Hania w pierwszej kolejności udała się do Lucyny. Bratowa siedziała zamknięta w domu z gosposią, przerażona, z dzieckiem przy piersi. Na widok Hani rozpląkała się i podała jej śpiącego w beciku chłopca. Hania ze łzami w oczach ucałowała jej zapłakany policzek i wzięła w ramiona małego Janka.

– Co tu robisz? – zapytała Lucyna, kiedy pierwsze emocje z niej opadły i płacz nieco ustał. – Nie powinnaś być w Monachium?

Hania zaczerwieniła się ze wstydu. Z westchnieniem przytuliła do siebie śpiące dziecko i ucałowała je w główkę.

– Jak mogłabym tam teraz być? Przecież jestem Polką. Moje miejsce jest tutaj z wami, w Warszawie.

– A co z Johannem?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Zagryzła wargi. Obiecała sobie, że nie będzie płakać z powodu narzeczonego. To już minęło. Ich czas się skończył. Teraz należało zacząć walkę o przetrwanie.

– Nic. Między nami koniec – odparła cicho. Popatrzyła na Lucynę z żalnością w oczach. – Proszę, nigdy mnie o to nie pytaj.

Lucyna kiwnęła głową ze zrozumieniem i przytuliła ją mocno.

– Dobrze, że jesteś w domu – wyszeptała.

Gosposia szybko przyniosła Hani ciepłą herbatę i resztki z obiadu.

– Zapewne jest panienka głodna jak wilk!

– To prawda – przyznała dziewczyna skwapliwie, bo żołądek podchodził jej do gardła. Ułożyła dziecko w łóżeczku i zasiadła przy stole. Lucyna natychmiast ponownie porwała synka w ramiona, jakby bała się, że z dała od niej coś mu się stanie.

– Nie pisałam ci, ale już od jakiegoś czasu przeczuwaliśmy, że tak będzie – zaczęła nerwowo. – Ludzie masowo wychodzili na ulice i kopali rowy przeciwlotnicze. Musiałabyś to widzieć: robotnicy ramię w ramię z profesorami, księża z rabinami. Nawet matki z dziećmi, wszyscy kopali! Szpital mojego ojca szykował się na przyjęcie rannych. Ale kiedy to nastąpiło... – Lucyna rozpląkała się ponownie, a Hania w milczeniu dojadła posiłek. Było jej wstyd i żal. Kiedy ludność Warszawy bohatercko szykowała się do obrony, ona jak gdyby nigdy nic planowała ślub i bawiła się w szpiega.

– A co z Jankiem?

– Nie widziałam go od tygodnia. Dostali rozkaz wyjazdu z Warszawy. Nie wiem, gdzie jest teraz.

Hania popatrzyła na nią z otuchą w oczach.

– Nie martw się. Znam mojego brata i wiem, że sobie poradzi. To doskonały żołnierz!

Nie wspomniała, że Johann również wstąpił do Wehrmachtu. Wstyd i rozgoryczenie tak bardzo ścisnęły jej serce, że nie miała siły przyznać się do tego. Wołała zapomnieć. Nie chciała myśleć, że być może on również brał teraz udział w ataku na Polskę. Ta myśl rwała jej serce na strzępy.

– Matka i ojciec chcą, żebym uciekła z dzieckiem do ciotki w Legionowie, ale ja nie zamierzam tego robić. Co, jeśli Janek wróci do domu, a mnie w nim nie będzie?

– Może twoi rodzice mają rację?

– Nie ma mowy! Zostaję tutaj!

Warszawiacy już na początku bombardowań zaczęli pakować dobytek życia na wozy, furmanki, rowery i wszystko, co jeździło, z myślą o jak najszybszej ucieczce z Warszawy. Ale już na przedmieściach, na rozległych polach, gdzie nie miała możliwości ochrony, większość uciekinierów ginęła w krwawej masakrze, ostrzeliwana przez zniżające się niemieckie samoloty.

Hania, słysząc o tym, dziękowała Bogu, że Lucyna nie zgodziła się na ucieczkę z Warszawy, na którą usilnie namawiali ją rodzice. Legionowo w niedługim czasie również stało się celem zmasowanego bombardowania.

Już po siedmiu dniach września okazało się, że stolica jest oblężona, a polskie oddziały wojskowe walczą o życie. Z ulicznych megafonów słychać było ciągłe apele prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego o wzajemną solidarność i walkę aż do końca. Prezydent, dając przykład poświęcenia i patriotyzmu, sam również kopał rowy przeciwlotnicze i budował barykady.

Dopiero po kilku dniach ciężkich nalotów większość mieszkańców stolicy, przerażona widmem głodu, zaczęła tłumnie wylegać na ulice w celu zdobycia pożywienia. Przy sklepach już od świtu zaczęły tworzyć się ogonki.

– Nie możesz tam iść! – krzyczała Hania na matkę, kiedy ta postanowiła włączyć się do kolejki po chleb. – To niebezpieczne! Niemcy zaczną strzelać.

– A co mamy zrobić? Umrzeć z głodu?

Hania nie wiedziała, skąd u matki ta nagła odwaga. Do tej pory siedziała w piwnicy i drżała na każdy wystrzał z artylerii czy świst zrzuconej bomby, a teraz nagle postanowiła iść na ulicę.

– Możemy upiec chleb. Mamy przecież zapas mąki.

Pani Aniela zmarszczyła brwi.

– Mąkę trzeba zachować na później.

W kolejnych nalotach na Warszawę zniszczone zostały cmentarze i szpitale, a parki, skwery i przydomowe podwórka zaczęły obrastać drewnianymi krzyżami. Ludzie rozpaczali, bali się, płakali, ale nadal jeszcze wierzyli, że Warszawa przetrwa, broniona przez polskich żołnierzy. W końcu zaczęły napływać informacje z frontu, które dawały nadzieję, bo Niemcy choć ze znaczną przewagą liczebną, byli rozgramiani przez polską obronę.

– Janek ze swoją Brygadą Kawalerii jest gdzieś na linii Narwi. Tak się boję, Haniu! A co, jeśli on nie wróci? – biadoliła płaczliwie Lucyna.

– Nawet tak nie myśl! – skarciła ją ostro Hania. – Wróci! Jestem tego pewna.

Nastroje Warszawiaków gwałtownie spadły dopiero, kiedy radio podało, że prezydent Polski Ignacy Mościcki wraz z rządem i marszałkiem Edwardem Rydzem „Śmigłym” opuścili stolicę i udali się do Rumunii. Ewakuacji odmówił jedynie prezydent Warszawy Stefan Starzyński.

– Zostawili nas jak barany na rzeź – mruknęła Aniela, kiedy z niedowierzaniem słuchały komunikatu.

Dzień później zaczął się zmasowany atak Wehrmachtu na Warszawę, a do katowania Polski ku rozpaczycy wszystkich dołączyła Armia Czerwona, która działała w porozumieniu Hitlera ze Stalinem.

Umęczona stolica w końcu musiała się poddać.

* * *

Hania po raz pierwszy od powrotu do Warszawy spotkała się z pułkownikiem Walerianem Kruszewskim pod koniec października, kiedy Niemcy na dobre zadomowili się w tej części Polski, której po 17 września nie oddali Sowiecom na mocy odpisanych porozumień Hitlera ze Stalinem.

Generalne Gubernatorstwo pod wodzą mianowanego gubernatora Hansa Franka właśnie miało rozpocząć swoje funkcjonowanie na mocy dekretu wydanego przez Adolfa Hitlera. Ludność polska musiała przystosować się do nowej rzeczywistości, a tego, kto był niepokorny, z marszu eliminowało SS mające na terenach okupowanych władzę pełną i nieograniczoną.

Hania przybyła na spotkanie z pułkownikiem przemoknięta do suchej nitki. Jesienny deszcz lał się strugami z nieba, a wiatr potęgował uczucie chłodu. Dziewczyna szła szybko ulicami miasta, truchlejąc z zimna i bojąc się, żeby nie napotkać patrolu SS.

Pułkownik nie zajmował już apartamentu w Śródmieściu. Obecnie rezydował w zrujnowanej przez bombardowania kamienicy, gdzie większość mieszkań została doszczętnie zniszczona przez Luftwaffe.

Widząc stojącą w progu Hanię, wprowadził ją szybko do mieszkania, przykrył ciepłym kocem i posadził na krześle.

– Co za parszywa dziura! – mruknęła dziewczyna, rozglądając się po niedużym i obskurnym mieszkaniu, tak innym niż to, w którym pułkownik mieszkał jeszcze parę tygodni temu.

– I dobrze. Przynajmniej Niemcy tu nie zagląдают. Mam tu święty spokój.

– Próbowałam spotkać się z panem wcześniej – mruknęła słabym głosem, owijając się szczelniej ciepłym kocem. Była pewna, że jeszcze chwila i zacznie szczełkać z zimna zębami.

– Nie było mnie w Warszawie.

– A gdzie pan był?

– Trochę tu, trochę tam.

Zmarszczyła brwi.

– Polska się wykrwawia, żołnierze walczą o godność, a pan był trochę tu, trochę tam? – zapytała z sarkazmem. – Czy to nie

bezczelna ignorancja z pana strony, pułkowniku? Pan chyba też powinien walczyć?

Popatrzył na nią uważnie. W jego spojrzeniu było coś karcącego, co ją zawstydziło i zbiło z tropu.

– A kto powiedział, że nie walczyłem?

Nie odpowiedziała. Wbiła wzrok w obdrapaną ścianę, przy której stało wąskie, idealnie pościelone łóżko.

– Byłem we Lwowie, a później w Poznaniu. Orientowałem się w naszym położeniu.

– I?

– I nie jest dobrze. Polski nie ma. Niemcy i Sowieci dokonali czwartego rozbioru.

Hania przez chwilę patrzyła w ścianę martwym wzrokiem, aż wreszcie po jej policzku spłynęła jedna łza. Starła ją szybkim ruchem i spojrzała na mężczyznę z determinacją w oczach.

– Mój brat Janek kilka dni temu został przewieziony do sowieckiego obozu jenieckiego w Kozielsku. Dostaliśmy od niego list.

– Ruscy wywieźli tam kilka tysięcy polskich oficerów, a oprócz nich elitę intelektualną naszego kraju.

– Co z nimi będzie?

– Nie mam pojęcia. Liczę, że nasz rząd dogada się z Sowietami i oddadzą nam jeńców.

Hania nie odpowiedziała. Przyszła tu, bo liczyła na słowa wsparcia lub chociaż próbę dalszego działania ze strony pułkownika, który przecież był blisko związany z polskim marszałkiem. Tymczasem ku swojemu rozczarowaniu zetknęła się z dziwnym murem niedomówień i rezygnacji.

Patrzyła w milczeniu, jak pułkownik nastawił na kuchni wodę w czajniku, a następnie zaparzył jej w porcelanowej filiżance kawę. Hania pomyślała, że tak piękna filiżanka z malowanymi pąkami róż nie pasowała do tego ponurego miejsca. Kawa jednak była wyśmienita.

– Już wkrótce trudno będzie o taki smak – mruknął pułkownik, obserwując, jak Hania z upodobaniem sączy napój. Pozwolił jej

przez chwilę delektować się tą chwilą przyjemności, aż w końcu odebrał od niej pustą filiżankę i odłożył na stół.

– Siostra powiedziała mi, że wróciłaś z Niemiec na początku września. Co się stało?

– Przecież mamy wojnę! – rzuciła Hania z bolesną drwiną. – Zerwałam zaręczyny z Johannem po tym, jak dostał rozkaz wstąpienia do Wehrmachtu, a mnie aresztowało gestapo.

Dostrzegła, że pułkownik zacisnął szczęki tak mocno, że mięsień na jego policzku drgnął.

– Coś im powiedziałaś?

– Nie musiałam. I tak wszystko wiedzieli. Zdemaskowali mnie bardzo łatwo. Pozwolili mi odejść zaraz po tym, jak zostałam zgwałcona przez Hansa von Richtera – wypowiedziała to głośno po raz pierwszy i dopiero teraz z całą mocą dotarł do niej ogrom tej tragedii. Nie powiedziała o gwałcie nikomu, nawet matce, bo palił ją wstyd i upokorzenie.

Walerian patrzył na nią poważnym wzrokiem. Nie mówił nic, ale jego spojrzenie wyrażało wszystko – od współczucia po gniew, który próbował w sobie stłumić. Chciał wziąć ją w ramiona, najwyraźniej pragnąc pocieszyć, ale Hania odepchnęła go gwałtownie.

– Nie potrzebuję litości! Sama się o to prosiłam. Byłam tam, nie zważając na niebezpieczeństwo i konsekwencje.

– Więc dlaczego się mazgaisz?

– Uważa pan, że się mazgaję?

– Owszem.

– Więc co powinnam pana zdaniem zrobić?

– Walczyć o Polskę. I dla Polski.

Wzruszyła ramionami.

– Jak? Nie jestem żołnierzem jak Janek.

– Możesz wstąpić do podziemnej organizacji, której przewodzę. Naszym celem jest ciągła i powszechna walka z okupantem na różnych płaszczyznach, nie tylko na froncie. Zbieramy siły i organizujemy siatkę, która pozwoli nam nawiązać współpracę z polskim rządem.

– Polskiego rządu już nie ma.

– Struktury nadal są, choć na emigracji. Jeśli zbierzemy siły, jesteśmy w stanie dać Niemcom popalić! Jeszcze Polska nie zginęła, Haniu!

Przez chwilę ważyła jego słowa. Rezygnacja toczyła w niej walkę z nadzieją. W wyobraźni widziała ulice Warszawy, których polskie nazwy zamieniano teraz na niemieckie i po których panoszyli się Niemcy ze swoimi szarymi mundurami i karabinami przewieszonymi przez ramię. Widziała patrole SS, które strzelały do każdego, kto odważył się splunąć im pod nogi, wprowadzając terror i przerażenie wśród ludności.

– Więc co miałabym robić?

– Na początek musisz wyprowadzić się z domu, żeby nie narażać matki, a później czekaj na dalszy rozwój wypadków.

Dziewczyna niedbale wzruszyła ramionami.

– Nie mam gdzie mieszkać.

Pułkownik zbliżył się do niej i klęknął przed nią na jedno kolano, zaglądając jej w oczy.

– Jesteś świadoma, co chcę ci zaproponować? Wiesz, że współpraca z podziemiem oznacza śmierć? Wiesz, że jeśli wpadniesz w ręce Niemców, to nikt ci nie pomoże? Jesteś zdana na siebie. Jeśli cię aresztują, tak jak w Monachium, będziesz zmuszona radzić sobie sama.

– Więc po co pan mi to proponuje? Chce pan, żebym umarła? – zapytała naiwnie.

– Nie, Haniu. Chcę, żebyś żyła. Chcę, żebyś odnalazła w sobie sens do życia.

Patrzyła mu w oczy.

– Co miałabym robić?

– Wszystkiego cię nauczę. Wyszkołę. Jedyne, co musisz mi dać, to swoją energię, bystrość umysłu i odwagę. I raz na zawsze zapomnij o tamtym Niemcu.

W odpowiedzi skinęła głową.

CZĘŚĆ TRZECIA

*Miłość ci wszystko wybaczy
Smutek zamieni ci w śmiech
Miłość tak pięknie tłumaczy
Zdradę i kłamstwo i grzech
Choćbyś ją przeklął w rozpacz
Że jest okrutna i zła
Miłość ci wszystko wybaczy
Bo miłość mój miły to ja*

Hanka Ordonówna,
Miłość ci wszystko wybaczy

ROZDZIAŁ 20

czerwiec 1943

Paryż

Johann wszedł do gabinetu generała Wilhelma von Brühla, dowódcy jego garnizonu w Paryżu. Jeszcze w drzwiach stuknął obcasami i zasalutował w hitlerowskim pozdrowieniu.

– Wzywał mnie pan, panie generale.

Generał skinieniem ręki nakazał mu usiąść.

– No cóż, chyba w końcu dopiął pan swego, kapitanie von Richter – mruknął, zaciągając się kubańskim cygarem.

Okna za jego plecami otwarte były na oścież i do wojskowego gabinetu docierała skrzypcowa muzyka ulicznego grajka, jakich mnóstwo kręciło się po paryskich ulicach.

– Może zanim przekażę panu dobrą wiadomość, zaproponuję kieliszek armaniaku? Najlepszy! Słyszałem, że gustuje pan w tego typu trunkach.

– Skoro pan nalega, generale, to nie wypada mi odmówić. – Johann usiadł na krześle, starając się zachowywać swobodnie, choć czuł, że serce wali mu jak młotem. Od kilku miesięcy co jakiś czas przychodził do generała z pytaniem, czy udało się coś wskórać w sprawie jego przeniesienia, o które starał się z taką determinacją. I nagle dziś generał pokazał mu światelko w tunelu. Johann nie chciał cieszyć się za szybko, ale czuł, że nerwy ma na granicy wytrzymałości.

– Proszę wybaczyć moją śmiałość, ale pozwolę sobie przypomnieć panu, szanowny generale, że palenie cygar w pana stanie nie jest wskazane – rzekł z usługną uprzejmością, starając się zyskać na czasie, a tym samym ukoić wewnętrzny niepokój.

Nie chciał wzbudzać w dowódcy niepotrzebnych podejrzeń, a zachowywanie pozorów sprawiało mu coraz większą trudność. Wiedział, że najmniejsza emocja może go zdradzić, a wtedy jego plan runie jak domek z kart i on sam będzie mógł definitywnie pożegnać się z wyjazdem do Warszawy, a tym samym z szansą odnalezienia Hani.

– Och, chodzi panu o mój niedawny zawał? Kapitanie, mnie już nic nie zaszkodzi! Może tylko zbłąkana kula na polu walki, ale jak pan widzi, nawet tam Führer mnie nie chce. – Jakby na potwierdzenie tych słów, z ust generała wydobyła się kolejna smużka dymu. – Tak więc, szanowny kapitanie, dostał pan zgodę na przeniesienie do Warszawy. W trybie pilnym – mówiąc to, von Brühl wyjął z szuflady biurka zalakowaną kopertę. Położył ją na blat i przesunął w stronę Johanna.

Johann czuł, że drżą mu ręce. Wypił duszkiem kieliszek armaniaku, a następnie ostrożnie sięgnął po kopertę. W liście, czarno na białym, widniał rozkaz natychmiastowego przeniesienia go do służby w Generalnym Gubernatorstwie, a konkretnie do Warszawy, podpisany przez samego Adolfa Hitlera.

– Widzę konsternację na pańskiej twarzy – mruknął von Brühl i zaśmiał się nieco złośliwie. – Tak pan zabiegał o to przeniesienie i nagle co? Już się panu odwidziało?

Johann starał się sprawiać wrażenie opanowanego, wręcz obojętnego. Żaden mięsień na jego twarzy nie zdradzał burzy, która szalała w jego sercu. W rzeczywistości miał ochotę wybiec z tego gabinetu i jeszcze dziś spakować się do wyjazdu, byle jak najszybciej znaleźć się w Warszawie. Miał dość Paryża i grzania tyłka kosztem Francuzów. Przydzielono go tu przymusowo po walkach w kampanii francuskiej w czterdziestym roku, kiedy został ciężko ranny na Linii Maginota. Za zasługi na polu walki awansowano go do stopnia kapitana i odznaczono Krzyżem Żelaznym, a jak tylko wylizał się z ran i wyszedł ze szpitala, pozwolono mu w spokoju zażywać przyjemności życia w zajęтым przez Niemców Paryżu. Cieszyłby się z tego, gdyby rzeczywistość była inna – gdyby Paryż był inny. Ale to nie był jego ukochany Paryż z czasów przedwojennych. Teraz Niemiec był tu okupantem i tak też

był przez Paryżan traktowany. Na widok niemieckiego munduru ludzie z pogardą albo strachem odwracali wzrok. Johann miał świadomość, że nawet w najlepszej restauracji kucharz mógł napluć mu do talerza w ramach cichego odwetu czy współpracy z ruchem oporu. A kiedyś to miasto było jego ukochanym azylem. Wprawdzie życie kulturalne i artystyczne wciąż kwitło, restauracje i kluby pełne były rozweselonych gości, na ulicach grała muzyka, a w teatrach *variete* odbywały się najróżniejsze przedstawienia, to on jednak tęsknił za dawnym Paryżem – wolnym, szalonym, bezpretensjonalnym. Tym bez wojny i bez żołnierskiego munduru, który teraz był zmuszony nosić.

– Jestem wdzięczny, że wstawił się pan za mną w tej sprawie, panie generale.

– No cóż, nie powiem, żebym pana nie żałował. Jest pan świetnym kompanem do gry w karty. I co pan będzie robił w tej Warszawie?

– Mam tam swoje porachunki – odparł Johann wymijająco.

– Ach tak, Polacy! Oni są niewiele lepsi od tego żydowskiego ścierwa! Trzeba ich twardo trzymać za mordy, bo inaczej gotowi zaleźć za skórę! Sprawowałem tam zwierzchnictwo po kapitulacji w trzydziestym dziewiątym i napatrzyłem się na to i owo. A wie pan, że ta ich Armia Krajowa to prawdziwe utrapienie? Sami dywersanci i kryminaliści! Naprawdę chce się pan w to pakować i łapać tych bandytów atakujących każdego Niemca napotkanego na ulicy?

– Nie byłbym ze sobą szczerzy, gdybym nie przyznał, że tu, w Paryżu, życie trochę mi już zbrzydło, panie generale.

Tamten zaciągnął się cygarem.

– Kapitanie! Pan jest młody, więc to zrozumiałe, że krew w panu wrze! Nie rozumiem tylko, czemu nie wykorzystywał pan tego w innej materii?

– Co pan przez to rozumie?

– Jak to co? Kobiety! Piękne Paryżanki! Widziałem pana parę razy w towarzystwie tej uroczej aktoreczki... Jak jej na imię?

– Juliette.

– Właśnie, Juliette! – Von Brühl uśmiechnął się lubieżnie. – Cóż za wdzięk! I te oczy! Kapitanie, gdzie się pan wybiera, mając taką kobietę u boku? Nie szkoda panu?

– Mnie i pannę Juliette nic nie łączy. Spotykamy się wyłącznie towarzysko.

– Tak, oczywiście! – Generał machnął niedbale ręką. – Jedź pan sobie do tej Warszawy i rób, co chcesz, ale żebyś przypadkiem nie żałował! Tylko szaleniec zamienia Paryż na Warszawę.

– Nie będę żałował, panie generale.

– A co z pana adiutantem? Chłopak chyba ceni sobie życie w Paryżu.

– Proponuję, żeby tu został. W Warszawie nie będę potrzebował adiutanta.

– Chyba właśnie tam będzie go pan bardziej potrzebował niż tutaj.

– Za pozwoleniem, panie generale, jeśli będę chciał adiutanta, to go sobie znajdę.

– No cóż, skoro tak pan stawiasz sprawę... To na odchodne może jeszcze po kieliszku? W Warszawie takich rarytasów pan nie skosztujesz!

Johann zgodził się potulnie i wypił drugi kieliszek armaniaku. Okazało się, że na drugim się nie skończyło, bo chętny do rozmowy generał skłonił go do zwierzeń na temat ślicznej Juliette i w ten sposób opróżnili całą butelkę, a na dokładkę von Brühl wyjął z barku doskonały koniak.

– Najlepsze trunki tylko we Francji! – krzyknął odrobinę bełkotliwie i napełnił kieliszek Johanna brązowym alkoholem.

Johann pił i czuł jak koperta z upragnionym rozkazem paliła go w kieszeni munduru. Myślami był już przy Hani. Już widział jej ukochaną twarz, bursztynowe oczy, słodkie usta. Dopiero teraz czuł, że wraca do życia – że zaczyna ono cokolwiek dla niego znaczyć.

Z gabinetu generała wyszedł, ledwo trzymając się na nogach. Kierowca zawiózł go do jego mieszkania tuż przy Polach Elizejskich i podprowadził pod same drzwi.

Johann spojrzał zamglonym wzrokiem na francuskiego szofera, który podtrzymał go za ramiona, i uśmiechnął się szeroko.

– Rène, jutro wyjeżdżam – zaczął bełkotliwie. – Jadę do mojej ukochanej! – Wcisnął w dłoń mężczyzny kilka franków. – Nie zapomnij o mnie, przyjacielu.

Kierowca bez słowa zawlókł go do mieszkania i położył na wielkim łożu.

Wychodząc, zerknął na zdjęcie młodej kobiety, które stało w ramce na kredensie, i uśmiechnął się pod nosem.

Johann obudził się o świcie. Bolała go głowa, czuł niesmak w ustach i chciało mu się pić. Wstał nieporadnie i zdjął z siebie mundur. Napuścił wody do wanny i wszedł do letniej kąpieli. Dopiero teraz zaczęły nim szarpać dreszcze. Bał się, że znowu dostał gorączki. Tak było od czasu, gdy został ranny – gorączka wracała co jakiś czas, a rana dawała o sobie znać zdradliwym, tęnym bólem. Podczas ostrzału artyleryjskiego w bitwie z Francuzami pod Rouen w klatkę piersiową ranił go odłamek z moździerza. Tylko cudem nie przebił mu płuca.

Skulił się w wannie i próbował opanować drgawki. Schował głowę w ramionach i pomyślał o Hani. Chciało mu się płakać, ale wstydził się tego, nawet sam przed sobą. Tylko ona trzymała go przy życiu. Tylko myśli i wspomnienia ich miłości stawiały go do pionu podczas tej parszywej wojny. Tęsknił za nią do bólu, a ten ból momentami doprowadzał go do szaleństwa. Był jednak pewien, że nadejdzie dzień, kiedy znowu ją zobaczy i powie jej, że kocha ją najbardziej na świecie. Wiedział, że ten dzień właśnie się zbliżał.

* * *

Warszawa

W południe Johann dotarł pociągiem wojskowym na Dworzec Wileński. Nikt nie przyjechał po niego, bo też nikt się go nie spodziewał.

Zatrzymał krążący przy dworcu samochód wojskowy z grupą niemieckich żołnierzy i rozkazał zawieźć się do garnizonu Wehrmachtu w Śródmieściu. Miasto nie przypominało tamtej Warszawy, którą pamiętał sprzed czterech lat. Wtedy stolica Polski była żywa, gwarna, wibrujące światłami i tętniąca energią. Teraz zalane czerwcowym słońcem parne ulice, oszpecone były wałami przeciwlotniczymi i barykadami, a urokliwe niegdyś budynki straszły

ruinami po nalotach bombowych. Samochody – oprócz tych wożących niemieckich żołnierzy – prawie zupełnie zniknęły z przestrzeni publicznej. Jeździły za to tramwaje, rowery i riksze obsługiwane przez młodych chłopców chcących zarobić choć parę groszy. Patroli niemieckich było tu znacznie więcej niż w Paryżu, a nędznie odziani, wygłodniali ludzie, mijający patrole uzbrojonych esesmanów i Ordnungspolizei^[9], pierzchali w popłochu bądź ukradkiem przechodzili na drugą stronę ulicy, nie chcąc zetknąć się z Niemcami. Wyglądali tak, jakby bali się własnego cienia.

Dzielnice niemieckie oddzielone były od reszty miasta zasiekami z drutów kolczastych, jednak najbardziej rzuciły się w oczy nadpalone gruzy po getcie żydowskim. Na murach cudem ocalałych budynków, chodnikach i tablicach informacyjnych wokół zniszczonego getta widniały wymalowane farbą hasła „Pawiak pomścimy”. Johann domyślił się, że powstały po likwidacji getta, które zrównano z ziemią zaraz po tym, jak Żydzi wznieśli powstanie przeciwko Niemcom.

Patrząc na te tłące się jeszcze od niedogaszzonego ognia gruzowiska w centrum Warszawy, będące groteskowym cmentarzyskiem ludzkiego istnienia, z bolesną ironią pomyślał, że to jest właśnie symbol nazistowskich Niemiec – duma i wielkość narodu niemieckiego miała kształt spalonych ruin, nad którymi unosiły się duchy pomordowanych. Gdzieś tu, w tej morderczej, wojennej rzeczywistości, była jego Hania.

Miał ochotę od razu pojechać na Wolę do jej domu, pragnąc przekonać się, czy ukochana nadal tam mieszka, ale rozsądek podpowiadał mu, że nie może tego zrobić. Już nie był tym samym człowiekiem, którego niegdyś znała – teraz był Niemcem w mundurze Wehrmachtu, hitlerowcem, okupantem. Z jednej strony miał w tym mieście władzę nieograniczoną i mógł wejść bez pytania do każdego polskiego mieszkania i zażądać, czego tylko chciał, a z drugiej strony wiedział, że nienawiść Polaków będzie nie lada przeszkodą w jego kontaktach z narzeczoną. Był jednak gotów zrobić wszystko, byle ją odzyskać, a w konsekwencji zabrać z Warszawy najszybciej, jak to możliwe. Jak najdalej od parszywej, piekielnej wojny.

Komendant garnizonu, generał Fritz Rossum, ogromnie zdumiony jego nagłym przyjazdem z Francji, przyjął go w swoim gabinecie, nie kryjąc konsternacji.

– Czyżby szykowano jakąś akcję przeciwko Polakom, o której nie wiem? – zapytał wielce zafrasowany i oburzony tym jawnym ignorowaniem jego osoby ze strony dowódców wydających rozkazy. Nie rozumiał, dlaczego nikt nie poinformował go o przybyciu do Warszawy nowego kapitana.

– Nie, panie komendancie. Rozkaz otrzymałem zaledwie dwa dni temu od samego Führera. Przyznam szczerze, że zabiegałem o to przeniesienie z racji mojego zasiedzenia się w Paryżu. – To mówiąc, Johann wyjął z kieszeni munduru list z rozkazem od Adolfa Hitlera.

Generał zmarszczył brwi.

– Czy można zasiedzieć się w Paryżu, kapitanie? Jak to możliwe, że postanowił pan porzucić ten raj dla niemieckich oficerów i przenieść się do samego piekła? Gorzej jest już tylko na froncie!

– Wolę przysłużyć się ojczyźnie tu, w Warszawie, gdzie problemów do rozwiązania jest znacznie więcej niż w Paryżu.

– A o jakich problemach pan mówisz? Wraz z SS i gestapo panujemy nad miastem. Żydzi zostali zlikwidowani, a Polacy, jeśli nie liczyć małych incydentów, nie sprawiają większych kłopotów.

– Słyszałem co innego, panie komendancie. Podobno zamachy na naszych oficerów, kradzieże transportów na wschód i napady na arsenały z niemiecką bronią są dość powszechne.

Komendant Rossum patrzył na Johanna poważnym wzrokiem. Przez chwilę milczał, aż wreszcie odezwał się ponurym, zgryźliwym głosem:

– Jest pan dość dobrze poinformowany, kapitanie. Liczę, że natychmiast włączy się pan w czynną walkę z tutejszym podziemiem. Dodam, że pana paryskie doświadczenia w tym miejscu mogą okazać się niewystarczające. Francuzi to jednak cywilizowani ludzie, czego nie można powiedzieć o Polakach.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby był pan ze mnie zadowolony.

Generał ledwie skinął głową.

– Dziś wieczorem gubernator Ludwig Fischer planuje wydać przyjęcie dla oficerów w swoim pałacyku „Mon Plesir”. Może zechce

pan przybyć i przywitać się z gubernatorem?

– Z najwyższą przyjemnością, panie komendancie.

– Doskonale. Czy ma pan gdzie mieszkać?

Johann zaprzeczył ruchem głowy.

– Obawiam się, że jeszcze nie, panie komendancie.

– No cóż... Znam pana pozycję i zasługi na polu walki, kapitanie von Richter, i bardzo cenię pana szanownego ojca, więc mając to wszystko na względzie, proponuję panu wygodne mieszkanie na Marschallstrasse^[10]. Ostatnio zwolnił je jeden oficer, który dostał rozkaz wyjazdu na front.

– Dziękuję, panie komendancie.

Komendant zapisał na kartce adres mieszkania. Na odchodne mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i podnieśli ramię w hitlerowskim salucie. Rossum nadal jednak patrzył na Johanna nieufnie.

Nowe mieszkanie Johanna mieściło się niedaleko garnizonu, w zabytkowej, reprezentacyjnej kamienicy. Von Rychter domyślił się, że tak jak wszędzie, tu również przed wojną musiała mieszkać jakaś ważna, zamożna rodzina, która została przymusowo wysiedlona. Wchodząc do takich mieszkań, często znajdował osobiste pamiątki po poprzednich właścicielach. Jednak to mieszkanie zostało już ogołocone przez oficera, który mieszkał tu przed nim. Teraz nie było tu nic oprócz stylowych mebli i potrzebnych sprzętów. Sypialnia wyposażona była w wielkie, wygodne łóżce, a łazienka w emaliowaną wannę na lwich łapach. Johann po raz kolejny przekonał się, że jego nazwisko i pozycja otwierały mu drzwi do wszelkich wygód.

Zdjął z siebie przepocony po podróży mundur i zdecydował się odświeżyć przed wieczorną wizytą u gubernatora Fischera. Cieszył się na to spotkanie. Zamierzał jak najszybciej wsiąknąć w struktury życia w Warszawie, żeby czym prędzej odnaleźć Hanię.

* * *

Słońce chowało się za horyzontem, barwiąc pogodne niebo na szkarłatny i różowy, kiedy samochód wojskowy podjechał pod drzwi frontowe pałacyku „Mon Plesir” pod Warszawą.

Johann przyjechał z generałem Fritzem Rossumem, który chciał wprowadzić kapitana w tutejsze towarzystwo i zapoznać go z gubernatorem dystryktu warszawskiego, Ludwigiem Fischerem.

Otoczający ich zewsząd krajobraz był niezwykle malowniczy i nad wyraz spokojny. W powietrzu czuć było orzeźwiający zapach traw, pól i lasu, tak inny od śmierdzącej duchoty i spalenizny unoszącej się nad Warszawą. Przyglądając się sielskiej okolicy, Johann pomyślał o Richterhause. Tęsknił za domem i za browarem. Do tej pory myśli o domu były dla niego nieznośne, a teraz nagle wydały mu się ogromną, duchową potrzebą. W głowie wyobrażał sobie, że ta cholerna wojna, w którą tak niecznie i brutalnie został wplątany, w końcu dobiegnie końca, a on wróci do Richterhause. I to nie sam, ale z Hanią. Myśli te krążyły mu po głowie, kiedy wkraczał na taras ogrodowy, na którym odbywało się przyjęcie.

Większość oficerów przybyła ze swoimi żonami, jak zwykle wystrojonymi, eleganckimi i uśmiechniętymi tak, jakby nie było żadnej wojny. Przechadzały się po ogrodzie, słuchając delikatnych dźwięków skrzypiec i popijając wykwinne trunki.

Johann przez chwilę obserwował towarzystwo stojąc sztywno z boku, ale nie rozpoznał tu nikogo znajomego. Generał Fritz Rossum nie czekał jednak długo z prezentacją i przedstawił go gubernatorowi Fischerowi.

– Więc i pan, kapitanie von Richter, wkroczył w to gniazdo węży – mruknął Fischer z głęboką ironią w głosie. – Paryż w porównaniu z Warszawą to kraina mlekiem i miodem płynąca!

– Mam nadzieję, że szybko poznam Warszawę, panie gubernatorze.

– Może się pan głęboko rozczarować, kapitanie. Polacy to bandyci! Ich system wartości ogranicza się do złodziejstwa, nienawiści i zemsty. Ale czego można się po nich spodziewać, skoro to ewidentnie niższa rasa? Niżej od nich są już tylko Żydzi i bolszewicy. Przez ich lenistwo nasze fabryki zbrojeniowe notują same straty! Musimy zatrudniać Ukraińców, żeby nadrobić właściwy poziom produkcji.

– No cóż... Człowiek głodny to człowiek zły.

– Sugeruje pan, że źle ich karmimy?

– Ależ skąd, panie gubernatorze, jakże bym mógł. – Johann odwrócił nieznacznie wzrok w stronę jednego z oficerów SS przechadzającego się między suto zastawionymi stołami. Przy jego boku kroczyła młoda kobieta. Johann spojrzął na nią i poczuł, że oblewa go fala gorąca. Znał te gesty, taneczny sposób poruszania się, delikatny profil. Serce zabiło mu dwa razy mocniej. Towarzyszka esesmana odwróciła się zniechęcona i oszołomiony spojrzął wprost w jej bursztynowe oczy. W pierwszej chwili kobieta jakby zamarła ze zdumienia, aż nagle zachwiała się i pewnie osunęłaby się na stół z przekąskami, gdyby nie podtrzymał jej towarzyszący jej oficer.

Hania! To była ona!

Serce dudniło mu w piersi szaleńczo. Bał się, że jeszcze chwila i dostanie zawału. Nie odrywał od niej oczu, a ona jakby w panice próbowała uciec z jego pola widzenia, bo nagle złapała oficera SS za ramię i pociągnęła go w stronę wyjścia z tarasu.

Johann, ignorując swoich rozmówców, dopadł do niej w kilka sekund.

– Witam szanowną panią – rzekł w roztargnieniu, świdrując wzrokiem jej wystraszoną postać. Ledwo trzymał się na nogach. Była tak oszałamiająco piękna, że nie mógł oddychać. I tak inna. Niegdyś długie włosy teraz sięgały jej ledwie do brody, układając się w zmysłowe fale. Wydatne usta pomalowane czerwoną szminką prowokująco zachęcały do pocałunków, a podkreślone czarną kredką bursztynowe oczy rzucały iskry. Ubrana była w elegancką czarną sukienkę, podkreślającą jej kształtną sylwetkę. Biła od niej aura grzesznej zmysłowości, której nigdy wcześniej u niej nie widział, a która teraz poruszyła go do głębi.

Hania patrzyła na niego zdumiona i wystraszona.

Zaprzagnął wziąć ją w ramiona i mocno przytulić, ale oficer, który jej towarzyszył, złapał ją brutalnie za rękę.

– Zna pan pannę Charlotte Stötzner?

– Charlotte Stötzner? – powtórzył głucho, nie przestając patrzeć Hani w oczy. Kącik jej ust jakby zadrżał, a on nagle zrozumiał, że towarzyszący jej oficer nie zna jej prawdziwej tożsamości. – Chyba... nie znam – wydukał, próbując uspokoić wariackie myśli i mocno bijące serce. – Być może z kimś panią pomyliłem.

– Zapewne – skwapliwie potwierdził oficer. – Jestem Hauptsturmführer Albrecht Zimmermann. Panna Stötzner jest moją osobą towarzyszącą. Jest pan tu nowy, jak miemam?

„Osobą towarzyszącą, czyli kochanką” – pomyślał Johann z rosnącym gniewem. Nie mógł wydobyć z siebie słowa. Patrzył na Hanię, nie rozumiejąc, nie wiedząc, co ona tu robi w towarzystwie tego esesmana, który traktował ją jak swoją własność. Widział, że oficer trzymał ją mocno za ramię, a jego palce niemal wbijały się jej w ciało. Chciał go odepchnąć, zabrać ją stąd, wykrzyknąć, dlaczego ten esesman trzyma ją brutalnie za ramię? Dlaczego ona udaje Niemkę? Ale nie mógł tego zrobić. Wszystko się w nim buntowało, lecz podświadomie czuł, że to mogłoby sprowadzić na nich oboje niebywałe kłopoty.

– Kapitan Johann von Richter – rzekł do Hauptsturmführera, z trudem odrywając wzrok od Hani. – Rzeczywiście jestem tu nowy. Dzisiaj przybyłem do Warszawy. Dostałem rozkaz przeniesienia.

– A wcześniej gdzie pan służył, kapitanie?

– W Paryżu.

Hania była w zasięgu jego ręki, a on nie mógł jej dotknąć. Katusze, które w tej chwili cierpiał, były nie do zniesienia. Znowu popatrzył jej w oczy. Czy istniała na ziemi kobieta piękniejsza od niej? Miał wrażenie, że nigdy wcześniej nie kochał jej tak, jak w tej chwili, kiedy stała przed nim obca, milcząca, z wyzywającym makijażem na twarzy i oczami, które mówiły mu wszystko. Chciał wziąć ją na stronę, żeby móc z nią porozmawiać, ale wiedział, że tego też nie może zrobić. Nic nie mógł zrobić. Pozostało mu stać i patrzeć na nią. Sycić oczy jej widokiem i czekać na moment, kiedy będzie mógł swobodnie powiedzieć jej, że przyjechał tu wyłącznie dla niej i że kocha ją nad życie. Nie odezwała się do niego ani razu, a on rozpaczliwie pragnął usłyszeć jej głos.

Rozmowa z Hauptsturmführerem zupełnie się nie kleiła, więc w końcu esesman sztywno, ale uprzejmie pożegnał się z Johannem i wziął Hanię na stronę, trzymając zaborczo dłoń na jej plecach. Johann patrzył na to w bezsilnej złości, nie wiedząc, co robić, jak odwrócić jej uwagę od Zimmermanna. Ona tymczasem, ignorując go

zupełnie, uwieszona na ramieniu esesmana, zniknęła z kochankiem pomiędzy gośćmi.

– Kim jest Hauptsturmführer Albrecht Zimmermann? – zapytał Ludwiga Fiszera, kiedy ten ponownie zainteresował się jego osobą.

– Należy do tutejszej Einsatzgruppe w dystrykcie warszawskim, odpowiadającej za porządek w fabrykach. Krótko mówiąc, jego oddział pilnuje Polaków, żeby dobrze pracowali.

– Wspomniał pan, że mimo to nie idzie im najlepiej. Może Hauptsturmführer Zimmermann nie spełnia należycie swoich obowiązków?

Gubernator z irytacją zmarszczył brwi.

– Kapitanie von Richter, z całym szacunkiem, ale chyba naprawdę nie wie pan, do jakiego miejsca przybył. Warszawa jest ogniskiem wszelkich zamętów i niepokojów, które rozprzestrzeniają się na całe Generalne Gubernatorstwo! Wehrmacht, SS i gestapo mają tu pełne ręce roboty! Ta polska hołota to buntownicy i nieroby! Hauptsturmführer Zimmermann musi stać nad nimi z batem! Pilnować, żeby nawet jedna kula nie zniknęła z naszego arsenału, bo ci złodzieje kradną całe karabiny!

Johann udawał, że słucha gubernatora, ale myślami był w zupełnie innym miejscu. Gorączkowo poszukiwał oczami Hani, ale zniknęła gdzieś wraz ze swoim towarzyszem.

– A ta kobieta, która towarzyszy Hauptsturmführerowi Zimmermannowi, zna ją pan, gubernatorze? – zapytał nagle, zdumiony własną niedyskrecją. Słyszał, że jego głos drży z niecierpliwości.

– Panna Stötzner? Podobno jakaś aktoreczka. Zimmermann spotyka się z nią od niedawna. Podoba się panu?

– Ładna – mruknął Johann, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

– W Paryżu pewnie nie narzekał pan na brak pięknych kobiet. Tu sprawa ma się znacznie gorzej, ale ja na szczęście mam żonę, która skutecznie chroni mnie przed takimi zakusami. Panu radzę to samo, kapitanie. Każdy porządny Niemiec powinien dobrze się prowadzić, a najlepszym tego gwarantem jest małżeństwo!

Johann niemo przytaknął. Pożegnał się grzecznie z gubernatorem Fischerem i zaczął krążyć wokół zebranych gości, szukając Hani. Nigdzie jej jednak nie było.

* * *

Hania zaciskała powieki tak mocno, że mroczki tańczyły jej przed oczami. W końcu otworzyła oczy i ostrożnie zsunęła ze swojego brzucha ciężkie ramię Zimmermanna, którym ten próbował ją objąć. Bezszelestnie uniosła się na łokciu. Był nieprzytomny. Nie zdążył nawet zdjąć koszuli. Wstała z łóżka i poprawiła na sobie czarną koronkową bieliznę. Z obrzydzeniem zerknęła na czerwony ślad na udzie, będący odbiciem natarczywych zębów jej niedosłego kochanka. Szybko ubrała sukienkę i płaszcz. Jeszcze szybciej dobrała się do munduru śpiącego, wyciągając z wewnętrznej kieszeni portfel, dokumenty wraz z legitymacją SS i list z pełnymi wytycznymi, kiedy i gdzie ma przejeżdżać niemiecki pociąg z bronią na front wschodni.

Wyjęła aparat fotograficzny i zrobiła zdjęcia. Sprawdziła jeszcze, czy Niemiec żyje, ale upewniwszy się, że oddycha, szybko opuściła pokój. Zawsze kiedy podawała swojej ofierze laudanum, czyniła to z obawą, czy dawka nie będzie zbyt silna. Nie była morderczynią ani nie wykonywała wyroków. Tym zajmowali się inni.

Korytarz kamienicy był ciemny i pusty, więc bezszelestnie, na bosaka, zeszła na dół i wyszła tylnym wyjściem na pogrążone w mroku nocy podwórze. Dopiero tu założyła buty, po czym wybiegła tylną bramą na ulicę. Trwała godzina policyjna, musiała więc być ostrożna i ukrywać się przed patrolem SS, choć w sobotę większość Niemców i tak siedziała gdzieś w klubach i burdelach.

Maszerując szybkim krokiem, jeden raz obejrzała się za siebie. To był odruch, zawsze tak robiła. I zawsze wyczuwała obecność swojego towarzysza, choć nigdy nie stanęła z nim twarzą w twarz. „Murarz” był przy niej, ilekroć spotykała się z Niemcami. Chodził za nią jak cień, niczym jej osobisty anioł stróż. Ich wspólny dowódca, pułkownik Walerian Kruszewski „Ptaszyna” pozwalał Hani spotykać się z Niemcami w celu inwigilacji, ale tylko pod warunkiem, że

„Murarz” zawsze będzie ją chronił. Miał rozkaz wkroczyć do akcji obronnej, gdyby zaszła taka potrzeba, ubezpieczać ją i dbać o jej bezpieczeństwo, a Hania zgodziła się na to, choć ani ona, ani „Murarz” nigdy nie wyrazili chęci spotkania się twarzą w twarz. Tak było lepiej. Hania zdawała sobie sprawę, że jej opiekun był dobrze wyszkolonym żołnierzem i mógł być cennym nabytkiem dla gestapo, wołała więc nie znać jego prawdziwej tożsamości, żeby w razie wpadki go nie wydać.

Teraz po raz kolejny – jak i mnóstwo razy wcześniej – udało im się bezpiecznie dotrzeć do konspiracyjnego mieszkania Hani na Żoliborzu. Kobieta już w bramie odwróciła się lekko i popatrzyła w mrok nocy, dziękując tym samym „Murarzowi” za ochronę. Zobaczyła tylko żar z papierosa, bo mężczyzna, który go trzymał, był dla jej oczu zupełnie niewidoczny.

Wszedłszy do mieszkania, zamknęła drzwi na klucz i oparła się o nie bezwładnym ciałem. Dopiero teraz zaczęła drżeć. Dopiero teraz mogła pozwolić sobie na przyływ emocji, które gwałtowną lawiną opanowały całe jej ciało i umysł. Oddychała spazmatycznie, z trudem łapiąc powietrze, ale nie mogła się uspokoić. W głowie dudniła jej tylko jedna myśl – Johann! To, czego obawiała się najbardziej, stało się faktem. Johann był w Warszawie. Widział ją. Rozpoznał. Resztkami godności próbowała zapomnieć, że kiedyś go kochała, ale w rzeczywistości miała ochotę wyć z rozpacz.

Drżącą dłonią odpaliła papierosa i zaciągnęła się kilka razy.

„Będzie dobrze” – powtarzała sobie uparcie. Gdyby chciał ją zdemaskować, zrobiłby to natychmiast. Mimo to jednak wiedziała, że jest już spalona. Kolejna taka akcja będzie kosztować ją wiele, może nawet życie. Był przecież Niemcem, więc w każdej chwili mógł ją zdradzić. Nieważne, że kiedyś...

Nagle dotarło do niej, że nie widziała go cztery lata, cztery długie lata, które zmieniły ich oboje. Johann w mundurze kapitana Wehrmachtu jawił jej się jako pan życia i śmierci, a ona stała się jego zagorzałym wrogiem.

Znowu zaciągnęła się papierosem.

Był silny, męski i znacznie poważniejszy, niż go zapamiętała. Na jego przystojnej, arystokratycznej twarzy pojawiły się bruzdy, których

wcześniej nie było, a usta układały się w jakimś cynicznym, wręcz zimnym grymasie. Tylko oczy zostały te same – przejrzyste, głębokie.

Zastanowiła się krótko, czy powinna poinformować o tym pułkownika „Ptaszynę”. Możliwe, że Walerian odsunie ją zupełnie od wszelkich zadań, a tego by nie zniosła, bo konspiracja była dla niej jedynym sposobem na życie. Tylko myśląc o kolejnej akcji przeciwko Niemcom, była w stanie rano wstać z łóżka i wyjść na ulice okupowanej Warszawy. Może zwariowała, może narażała swoje życie i igrała ze śmiercią, ale nie знаła innej metody na ukojenie bólu, który ją trawił. Tyle zła i cierpienia wokół, tyle śmierci i hańby. Wstyd jej było przed samą sobą, ale któregoś dnia, idąc ulicą, uświadomiła sobie, że nie zwraca już uwagi na potworności rozgrywające się na jej oczach. Nawet odgłos salw z karabinów maszynowych spowszedniał w jej uszach i wywoływał jedynie uczucie niepokoju. W dniu, kiedy to do niej dotarło, zrozumiała, że stała się potworem. Wystarczyły niecałe trzy lata wojny i jej moralność spadła do zera. Była odczłowieczona.

Zgasła papierosa.

Odetchnęła parę razy, przetarła twarz, rozmazując palcami makijaż, i szybko zdjęła ubranie. Pragnęła czym prędzej zmyć z siebie zapach Zimmermanna.

Następnego ranka spotkała się w pobliskim parku ze swoją łączniczką, „Kaśką”, która przekazywała „Ptaszynie” wszystkie informacje. Dyskretnie wręczyła dziewczynie kliszę ze zdjęciami.

– „Ptaszyna” przekazuje, że jutro macie spotkanie z „Grotem”, a za dwa dni wyjeżdżacie do Anglii – rzekła „Kaśka” ściszonego głosem, chowając w plisie spódnicy cenny materiał fotograficzny. – Jutro też poznasz szczegóły.

„Nareszcie” – pomyślała Hania z ulgą i satysfakcją. Skoro wyjeżdża do Londynu, nie będzie musiała obawiać się Johanna w Warszawie.

[9] Ordnungspolizei – policja porządkowa w Trzeciej Rzeszy będąca pod bezpośrednimi rozkazami Heinricha Himmlera.

[10] Marschallstrasse – ulica Marszałkowska.

ROZDZIAŁ 21

czerwiec 1943

Warszawa

Johanna irytowała orkiestra wojskowa, która na placu apelowym garnizonu urządzała sobie próby koncertowe. Żołnierze zabijali w ten sposób bezczynność w koszarach. Johann nie był w nastroju do słuchania jakiegokolwiek muzyki, więc donośne dźwięki trąbek, puzonów czy skrzypiec wwiercające mu się w głowę doprowadzały go do szału. Jego ciało było napięte do granic, a nerwy z trudem trzymał na wodzy. Od tygodnia był w Warszawie, a wciąż nie znał adresu Hani. Co z tego, że spotkał ją krótko na przyjęciu u gubernatora, co z tego, że zasięgnął na jej temat języka – wciąż nie wiedział, gdzie mieszkała, ani co gorsza: dlaczego romansowała z Hauptsturmführerem Zimmermannem. Charlotte Stötzner była znana niemieckim oficerom, ale nikt nie umiał o niej powiedzieć nic prócz tego, że była urodziwą kobietą i niekiedy bywała w niemieckim kabarecie. Odwiedził więc wszystkie kabarety i teatry dla Niemców, ale bez skutku. Dostawał szału, bo wciąż miał przed oczami jej postać w czarnej sukience i pomalowane na czerwono usta, a zazdrość odbierała mu rozum. W końcu po kilku dniach bezowocnych prób dowiedzenia się czegokolwiek, zdecydował się porozmawiać o Hani z Zimmermannem.

Jeszcze przed udaniem się do garnizonu pojechał swoim nowym, przydzielonym mu przez wojsko motocyklem na ulicę, przy której mieszkał Zimmermann.

Był ranek, więc Johann miał nadzieję spotkać Hauptsturmführera w jego mieszkaniu. Nie zdążył jednak zgasić silnika motocyklu, kiedy dojrzał wychodzącego z bramy Zimmermanna. Zamierzał do niego

podjechać, ale w tym momencie zza rogu z nadzwyczajną prędkością wyjechała furgonetka. Stanowiło to o tyle niecodzienny widok, że ulica była wyludniona, bo stanowiła wyłączną część dzielnicy niemieckiej. Samochód podjechał do Zimmermanna i z piskiem opon zatrzymał się w poprzek drogi. W ułamku sekundy z przyczepy furgonetki wyskoczyło kilku uzbrojonych w karabiny chłopaków w cywilnych ubraniach i powietrze przecięła kanonada wystrzałów. Nim Zimmermann zdążył się zorientować w sytuacji, padł martwy na chodnik.

Polacy w oka mgnieniu ponownie wskoczyli do furgonetki i odjechali, nim zjawił się oddział uzbrojonych Niemców.

Johann patrzył na to wstrząśnięty.

„Więc tak wygląda życie w Warszawie” – pomyślał, kiedy zbliżył się do martwego. Zastanawiał się, czy Hania mogła mieć z tą akcją coś wspólnego.

Ten obraz zapadł mu w pamięć jako ostrzeżenie, że Warszawa to rzeczywiście nie Paryż i że powinien być ostrożny, bo pewnego dnia on również może skończyć martwy na ulicy. Poza tym wraz ze śmiercią Zimmermanna pogrzebał jedną z najpewniejszych szans na odnalezienie Hani.

Czuł się bezsilny. Czas wypełniały mu wizytacje w koszarach, rozmowy z dowódcami i objeżdżanie ulic Warszawy pod czujnym okiem komendanta Fritza Rossuma. Gubernator Fischer najwyraźniej zapragnął zaznajomić się z Johannem bliżej, bo już trzy razy wzywał go na wieczorną grę w karty do pałacyku „Mon Plesir”.

Niekończące się bezsensowne rozmowy o wojnie irytowały Johanna, a momentami doprowadzały go wręcz do szału. Dowódcy żalili się na bandy uzbrojonych Polaków napadające na arsenały z bronią czy magazyny z żywnością, na gigantyczne spadki produkcji w zakładach zbrojeniowych spowodowane sabotażem polskich robotników przymusowych czy nagminną kradzież wszystkiego, co można było Niemcowi ukraść. Najgorsi jednak byli uzbrojeni partyzanci w podwarszawskich lasach i powtarzające się coraz częściej pojedyncze zamachy na niemieckich oficerów, jak ten na Zimmermanna.

– Przez tych obszarpańców tylko w zeszłym tygodniu straciliśmy pięciu żołnierzy, w tym Zimmermanna! Banda łotrów bez skrupułów! A to ich podziemie to zbrodnicza organizacja, którą należy jak najszybciej zniszczyć! Gestapo twierdzi, że panuje nad sytuacją, ale ich żalosne przesłuchania nie dają żadnych efektów! – dywagował jeden z kapitanów, Jurgen Rilke, towarzyszący Johannowi w jego nowym gabinecie podczas zdawania przez szeregowych codziennych raportów. – Ci patrioci od siedmiu boleści nie puszczają pary z gęby na temat swoich dowódców, nawet na torturach. W Paryżu miał pan pewnie święty spokój – rzucił nie bez ironii. – Co pan zmalował, kapitanie, że wysłali pana do Warszawy?

Johann udając obojętnego, wzruszył ramionami.

– Nic. Najwyraźniej ktoś uznał, że przyda się wam wsparcie w walce z tymi... Jak ich pan nazwał? Obszarpańcami.

Kapitan Rilke był wyjątkowo ciekawski. Bezustannie wypytywał Johanna o jego doświadczenia wojenne, życie osobiste i stosunek do samej wojny. Sam był niezwykle wylewny i już pierwszego dnia opowiedział Johannowi prawie cały swój życiorys. Przed wojną był nauczycielem fizyki w szkole w Norymberdze, a jego żona udzielała prywatnych lekcji skrzypiec. Mieli trzech synów, których wychowali na kochających ojczyznę patriotów, zgodnie z ideą narodowego socjalizmu. Wojna znacznie poprawiła ich byt materialny – zamieszkali w przestronnym i eleganckim apartamencie w centrum Norymbergii, w doskonałej dzielnicy dla oficerów Trzeciej Rzeszy.

– Polacy to zło! Zło wcielone! – krzyczał Rilke, gestykulując niczym Hitler podczas przemówienia.

– Tak pan uważa? Proszę postawić się w ich sytuacji i zastanowić, jak pan zachowywałby się w okupowanym przez wroga kraju.

– Pan ich broni, kapitanie?

– Ależ skąd, stwierdzam fakt. Co by o nich nie mówić, sam pan przyzna, że te ich „bandy” są godne podziwu. AK jest jak dotąd największą podziemną armią w Europie. – Słowa Johanna najwyraźniej nie spodobały się Rilkemu, bo groźnie zmarszczył brwi, choć zapewne w duchu musiał przyznać Johannowi rację.

Johanna nie interesowało polskie podziemie ani tym bardziej walka z nim. Obchodziła go jedynie Hania. Chciał ją odnaleźć i jak

najszybciej znaleźć sposób, żeby wyjechać z nią z Europy gdzieś, gdzie oboje będą bezpieczni. Oczywiście musiałyby nagle stać się dezerterską własną armii, ale niewiele go to teraz obchodziło. Nadal był człowiekiem mającym; za duże pieniądze znajdzie sposób na opuszczenie Wehrmachtu.

* * *

Ulice miasta duszne były od skwaru nadchodzącego lata. Wojenne dzieciaki bez opieki, bosy i w przykrótkich spodenkach biegały po ulicach, a co sprytniejsze znajdowały okazje w niemieckich kieszeniach. Żadne z nich nie zwracało uwagi na ryk ulicznych „szczekaczek” ani na ciała umarłych, których ktoś nie zdążył dostatecznie szybko sprzątnąć czy spalić. Łapanie organizowane przez Ordnungspolizei i Wehrmacht były na porządku dziennym, terroryzując dzielnice Warszawy strachem i rozpaczą. Johann, będąc świadkiem takiej łapanie, z odrętwieniem myślał o ludziach, którzy resztkami siły i dumy próbowali ukryć zwierzęcy strach przed tym, co nieuniknione. Nie każdemu to się udawało – niektórzy płakali żałośnie, padali na kolana, błagali o litość, ale to oni najszybciej dostawali kulę w łeb. Niemcy nie mieli litości. Zabijali szybko, bez mrugnienia okiem, nie patrząc na swoje ofiary, nie widząc w nich ludzi. Takie dostawali rozkazy. Do tego byli szkoleni. Miarą ich niemieckości i wyższości rasy aryjskiej stawał się zabójczy strzał, eliminujący podludzi bez chwili wahania.

Johann nie strzelał. Jako oficer miał ten przywilej i mógł wyłącznie patrzeć, udając, że te obrazy nie robią na nim wrażenia. Odreagowywał dopiero w samotności, w swoim mieszkaniu, upijając się do nieprzytomności, a w konsekwencji wydalając z siebie alkohol z resztkami jedzenia na podłogę przy łóżku.

Nie mógł przestać myśleć o tym, że tu, w tym piekle, żyła Hania.

Od czasu ich rozstania w trzydziestym dziewiątym roku pisał do niej dużo i często. Wybuch wojny z Polską i jej nagły wyjazd z Monachium były dla niego ciosem gorszym niż ten, który później powalił go na polu walki. Na krótko przed wyjazdem na front dostał od narzeczonej ostatni list, w którym zrywała z nim zaręczyny. Czytał

go nieskończoną ilość razy, aż każde słowo znał na pamięć, ale nadal nie pojmował treści. Był święcie przekonany, że Hania kierowała się wyłącznie emocjami związanymi z wybuchem wojny i że szybko zrozumie, iż ich miłość jest ponad to. Czekał na nią cierpliwie – na jakikolwiek znak od niej. Chciał wrócić do Richterhause, wypytać babcię i Ninę o prawdziwy powód jej wyjazdu, nie pozwolono mu jednak opuścić stanowiska, bo wojna rozpełtała się na dobre i wraz z armią generała Heinza Guderiana Johanna wysłano do Francji. Stamtąd pisał do Hani co tydzień, a listy wysyłał na jej warszawski adres. Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Nie wiedział nawet, czy listy w ogóle do niej dotarły. W Niemocy rzucił się w wir walk o zdobycie Francji. Nie obchodziło go, po co walczy i dla kogo. Nie pytał, kto wydaje rozkazy nakazujące mu zabijać wroga, który jeszcze niedawno był jego sprzymierzeńcem z racji jego osobistej sympatii do Francji. Walczył, bo musiał. Bo mu kazano. I patrzył otumaniony, jak jego towarzysze broni umierają z imieniem Hitlera na ustach. Walka tłumiała jego ból. Myślał o Hani dopiero wtedy, gdy cichły odgłosy wojskowej artylerii i gdy świst bomb nie zagłuszał już jego bezgranicznej tęsknoty. Leżał w bezruchu na koszarowej pryczy i zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. A jeśli jutra nie będzie? Może to szczęście, które na chwilę było im dane, już nigdy do nich nie wróci? Rozmyślał, co jest lepsze – śmierć tutaj, w okopach wojny, czy życie bez niej. I jak w transie kolejnego dnia szedł na pole walki, by zabijać i patrzeć, jak zabijają inni. Był zdziwiony, że do tej pory nikt nie zabił jego.

Przeżył. Pomimo ciężkiej rany, którą odniósł, jakaś siła – która nie mogła być Bogiem, bo w Boga już nie wierzył – dała mu szansę na dalsze życie. Natychmiast po kilkutygodniowej rekonwalescencji, w glorii żołnierskiej chwały, z hitlerowskim Krzyżem Żelaznym na piersi i awansem na stopień kapitana Wehrmachtu, wyjechał do Richterhause na zasłużony urlop. Tam dowiedział się od pogrążonej we wściekłości i rozpaczycy babci Irene, że Hania została wpierniżona przez gestapo, a następnie zwolniona z nakazem natychmiastowego wyjazdu z Niemiec.

– Twój brat twierdzi, że oskarżono ją o szpiegostwo na rzecz Polski.

Johann przyjął to bez emocji. Chyba nawet w to nie uwierzył. Było mu wszystko jedno. On sam miał zbyt wiele na sumieniu, więc czy mógł mieć pretensje do Hani, że być może przekazywała jakieś informacje do Polski?

Z Niklasem nie udało mu się spotkać, bo jego brat parę miesięcy wcześniej został rozkazem odesłany jako strażnik do jednego z obozów koncentracyjnych na terenie Rzeszy. Nie wiadomo było do którego, bo Niklas nie pisał i nie dawał znaku życia.

W gestapo nikt nie potwierdził ani nie zaprzeczył, jakoby panna Wolińska została kiedykolwiek aresztowana jako polski szpieg. Naciskano jedynie, żeby Johann dla własnego bezpieczeństwa zapomniał o całej sprawie i nigdy do niej nie wracał. Zarówno jego zapijaczony ojciec, jak i żyjąca w swoim świecie matka milczeli jak zakłęci, jakby Hani w jego życiu nigdy nie było. Manuela w swojej głupocie lub naiwności próbowała na nowo wyswatać go z Susanne, ale widok byłej narzeczonej, która pewnego wieczoru pojawiła się w Richterhause, był Johannowi tak wstrętny, że bez skrupułów oznajmił obu kobietom, co myśli o ich niedorzecznej intrydze.

Wrócił więc do Paryża, gdzie dostał stały przydział wojskowy. Tkwił tam jak kołek, bez życia, bez żadnego sensu, pozwalając sobą manipulować jak marionetka w teatrze. Paryż – będący w rękach nazistów – odwdzięczał mu się bezsensownymi wieczorami w klubach muzycznych, pełnymi pijaństwa, rubaszości i taniej prostytucji. Burdeli w Paryżu było więcej niż kiedykolwiek przedtem, a i klubów dla żołnierzy Wehrmachtu przybywało z tygodnia na tydzień. Raj na ziemi – jak mawiała większość z nich. Hitler podbijał Europę, mordował ludzi, oczyszczał świat z żydostwa, a część jego żołnierzy niczym królowie pławiła się w rozkoszach paryskiego życia.

Johann korzystał z tych rozkoszy do pewnego momentu, próbując w ramionach przypadkowych kobiet doznać całkowitego zapomnienia. Wojna stępiała mu zmysły, ale nie wymazała z pamięci tej jedynej. Szybko dotarło do niego, że życie nie ma sensu, a bez Hani w ogóle nie istnieje, i że woli umrzeć, niż żyć z tą bolesną pustką w sercu. Od tamtej chwili powziął postanowienie, że musi

zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby uzyskać przeniesienie do Warszawy.

I udało się. Był w Warszawie i każdego dnia zbierał myśli. Co powinien zrobić? Pójść do jej domu natychmiast? Czy może poczekać na sprzyjający moment? Tylko co może być sprzyjającym momentem podczas wojny? Takie bezsensowne rozważania zatruwały mu każdy dzień. Z czasem uświadomił sobie, że się boi. Tak zwyczajnie i po ludzku. Strach przed staniem twarzą w twarz z Hanią paraliżował w nim wszelką wolę do działania. Był w Warszawie i nie miał odwagi stanąć przed ukochaną w mundurze oficera, nawet jeśli już go w nim widziała. Nie okazała jednak wtedy żadnych emocji, nie skomentowała, nie powiedziała nic. Ujrzał tylko jej chwilowe oszołomienie, kiedy rozpoznała, że to on.

Zebrawszy się wreszcie na odwagę, któregoś dnia pojechał na ulicę, przy której przed wojną Hania mieszkała z matką.

Dom stał nietknięty. Na pierwszy rzut oka, patrząc na zadbane ogród z różami, można było pomyśleć, że wojna tu nie dotarła, a wszystkie okrucieństwa dnia codziennego dzieją się poza granicami tego miejsca. Cała ulica była wyjątkowo schludna i spokojna – bez barykad i rowów przeciwlotniczych. Żaden budynek w okolicy nie ucierpiał w wyniku bombardowań. Dopiero gdy poszło się kilkadziesiąt metrów dalej, napotykało się pierwsze gruzy muru niedawnego getta. Dalej to już spalona ziemia.

Johann stał w zabytkowej bramie kamienicy naprzeciwko i patrzył na żelazną furtkę prowadzącą na podwórko domu Hani. Kierowany nagłym szaleństwem, miał nieodpartą ochotę pójść tam, wejść do ogrodu i przekonać się, czy ona tam jest. Może nawet zapukać do drzwi. Jednak nie zrobił tego. Jakiś wewnętrzny głos zabronił mu stanowczo. Nie doczekał się również jej widoku, wychodzącej z domu.

Na drugi dzień zrobił to samo – stał w progu kamienicy, obserwując dom Hani. Nikt się jednak nie pojawił. Powtórzył to dnia kolejnego – ale jej wciąż nie było. Dom zdawał się być pusty. Naszły go obawy, że może Hania już w nim nie mieszka. Może została wysiedlona albo sama gdzieś się przeniosła? Czuł się jak idiota.

Czwartego dnia coś się wreszcie zmieniło – zobaczył wychodzącą z domu Anielę Wolińską. Nie wiedzieć czemu, ucieszył się na jej widok prawie tak bardzo, jakby zobaczył samą Hanię.

Od razu dostrzegł, że w ciągu tych minionych czterech lat pani Wolińska bardzo się postarzała. Jej bujne niegdyś włosy mocno posiwiały i przerzedziły się, lecz nie chowała ich pod chustką, jak większość polskich kobiet. Wychudłą twarz zaorały suche zmarszczki, a wątła postać teraz skurczyła się i zgarbiła jeszcze bardziej. Johann patrzył na nią zawstydzony i współczujący, mając bolesną świadomość, że to jego rodacy zgotowali tej umęczonej kobiecie taki los.

Miał na sobie wojskowy mundur i był świadom tego, że zapewne kobietę przestraszy, ale mimo to postanowił zejść jej drogę i zapytać o Hanię. Pamiętał, że pani Wolińska nie mówiła po niemiecku, ale liczył na to, że lata okupacji nauczyły ją choć trochę rozumieć jego język. On sam nadal nie mówił słowa po polsku.

Kobieta zeszywniała na jego widok, gdy stanął przed nią i lekko skłonił głowę. Rozejrzał się, czy nikt ich nie obserwuje.

– Dzień dobry – rzekł po niemiecku i natychmiast zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to głupio. Który niemiecki oficer mówi do polskiej kobiety „dzień dobry”?

Patrzyła na niego zaskoczona, mrużąc oczy od palącego słońca. Nie dostrzegł w niej strachu – raczej złość i pogardę, która pogłębiała się, im dłużej na niego patrzyła.

– Odejdź! – wyszeptała nagle po polsku.

Bez trudu domyślił się, o co jej chodziło.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie jest Hania.

Pokręciła przecząco, ale nie próbowała go zignorować ani ominąć. Więc jednak się bała.

– Nie zrobię pani krzywdy. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie jest Hania.

– Odejdź! – powtórzyła, tym razem bardziej stanowczo.

Była taka wątła, wychudzona. Miał wrażenie, że spod jej bladej skóry prześwitywała biel kości. Kierowany instynktem, wyjął z kieszeni kilka reichsmarek i włożył w jej szczupłą dłoń. Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, aż wreszcie gwałtownym gestem rzuciła

mu monety w twarz. Inny Niemiec na jego miejscu za coś takiego wyjąłby pistolet z kabury i strzelił jej w głowę. Ale on stał kompletnie oszołomiony. Zrobiło mu się wstyd. Uświadomił sobie, jak bardzo ją upokorzył, próbując jej jedynie pomóc.

– Przepraszam – wymruczał, ale nie słuchała go.

Nim się zorientował, przeszła szybkim krokiem na drugą stronę ulicy i ruszyła przed siebie, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

* * *

Londyn

Hania oddała lekki, wilgotny od mżawki prochowiec stojącemu w drzwiach kelnerowi. Miała na sobie efektowną, ozdobioną piórami sukienkę w kolorze burgundu. Kołysząc zmysłowo biodrami, przeszła przez lustrzany hol restauracji. Efekt jej zmysłowego chodu potęgowały zgrabne pantofle na obcasach, dodające łydkom w jedwabnych pończoszkach smukłości. Sunąc przed siebie niczym bogini, nie omieszkała poprawić ufryzowanych włosów, które opadając miękkimi falami wokół twarzy i szyi, wychodziły z gustownego toczka w kolorze dobranym do sukienki.

Poczuła na sobie spojrzenia zebranych. Jej wejście do sali głównej restauracji bez wątplenia wzbudziło duże zainteresowanie gości. W większości byli to polscy żołnierze, bo miejsce, w którym się znajdowała, słynęło z tego, że spotykali się w nim głównie przedstawiciele polskich elit i sił zbrojnych przebywający w Londynie.

Panna Wolińska była w pełni świadoma wrażenia, jakie robiła na mężczyznach, więc z doskonale wyuczoną gracją, wkładając w swoje ruchy tyle wdzięku, ile tylko zdołała, sunęła zwinnie między eleganckimi stolikami.

Dwaj mężczyźni, którzy na nią czekali, wstali z krzeseł i przywitali ją szarmanckimi ukłonami, a pułkownik Walerian Kruszewski, od czterech lat będący dowódcą Hani w organizacji konspiracyjnej, z upodobaniem pocałował ją w dłoń, patrząc jej przy tym szelmowsko w oczy niczym Clark Gable. Rzadko oglądała pułkownika w pełnym umundurowaniu i teraz wydał jej się zabójczo

przystojny pomimo swoich czterdziestu lat. Zawsze dbał o powierzchowność i maniery, a jego nieposkromiona chęć zaimponowania każdej kobiecie, z którą miał do czynienia, była niezwykle ujmująca. Od trzech lat jednak służył wiernie tylko jednej kobiecie – swojej jedynej, jak się okazało, miłości – hrabinie Karolinie Nałęczowskiej, która owdowiała w wyniku nieuleczalnej choroby płuc męża.

– Witam szanownych panów. – Hania uśmiechnęła się czarująco, mierząc wzrokiem towarzysza pułkownika, którym był Andrzej Bartkowski, jeden z bliskich cywilnych współpracowników premiera rządu polskiego na uchodźctwie, generała Władysława Sikorskiego.

– To zaszczyt móc panią spotkać osobiście, panno Wolińska – rzekł Bartkowski.

Był mężczyzną po trzydziestce, dość krępy, o rumianej twarzy i z wyraźnie zaznaczającą się na okrągłej głowie łysiną. Trudno było nazwać go urodziwym, ale oczy miał inteligentne, przenikliwe, zdradzające nieprzeciętny charakter. Uważany był za najlepszego i najskuteczniejszego człowieka od zadań specjalnych w kręgu generała Sikorskiego. Doskonale wykształcony, z doktoratami z Oxfordu i Sorbony, władający kilkoma językami, sam mówił o sobie, że nie jest żołnierzem, tylko gryziopiórką, ale swoim bystrym umysłem i wybitną inteligencją potrafił zawstydić niejednego generała. Na co dzień współpracował z kryptologami, fałszerzami i wszelkiej maści naukowcami, niezbędnymi polskiej armii do walki z okupantem. To przez jego ręce przechodziły wszystkie tajne raporty i zaszyfrowane meldunki z kraju i ze świata, dostarczane mu przez łączników i kurierów Armii Krajowej.

Hania do tej pory nie miała sposobności poznać Bartkowskiego osobiście, jednak słyszała o nim wiele od pułkownika Waleriana Kruszewskiego i innych towarzyszy z polskiego podziemia. Podobno działał szybko i skutecznie i miał znajomości w najszerszych kręgach politycznych w całej Europie.

– To ja powinnam czuć się zaszczycona, mogąc wreszcie pana poznać – odparła pochlebny tonem. – Liczę, że nasza współpraca będzie tak owocna jak dotychczas – dodała, siadając na odsuniętym przez pułkownika „Ptaszynę” krześle.

Celowo ubrała się w najlepszą sukienkę, chcąc zrobić wrażenie na swoim rozmówcy. Starła się być elegancka i godna uwagi, bo już dawno przekonała się, że uroda i wdzięk działają na wpływowych mężczyzn znacznie bardziej niż bystry umysł.

– Chyba nie muszę mówić, jak wiele zrobiła pani dla Polski. Wszystkie pani zdjęcia i raporty są nieocenionym źródłem wiedzy dla naszego rządu. Pani odwaga i poświęcenie są godne pochwały.

Hania, jakby ignorując pochlebne słowa mężczyzny, zwróciła się płynną angielszczyzną do stojącego nieopodal kelnera, prosząc o przyniesienie jej lamki wina. Jednym z pozytywnych aspektów jej wcześniejszego szkolenia wojskowego w Szkocji^[11] było to, że w mig nauczyła się mówić po angielsku.

– Poproszę dla pani najlepszy rocznik – dodał Bartkowski.

– Szanowny panie, wiem, ile zrobiłam dla kraju – rzekła Hania, kiedy kelner się oddalił. – I mam prawo oczekiwać wdzięczności, a co za tym idzie liczę na pomoc polskiego rządu.

Kątem oka zerknęła na pułkownika Kruszewskiego, który nie odzywał się ani słowem, ale z powagą przysłuchiwał się ich konwersacji. To on umówił Hanię z Bartkowskim i była mu za to niezmiernie wdzięczna. Wyłącznie dla tego spotkania przybyła z Warszawy do Londynu, choć pragnęła również osobiście dostarczyć polskiemu delegatowi rządowemu mikrofilmy z materiałami, na których widać było agonię getta warszawskiego po powstaniu. Tylko w ten sposób mogła zyskać pewność, że trafiły do rąk, do których trafić powinny.

To, co wydarzyło się niecały miesiąc temu w Warszawie, nadwąttiło jej przekonanie o jakiegokolwiek pomocy od rządu dla okupowanej Warszawy. Żydzi, którzy przecież również byli mieszkańcami Warszawy, bronili się w getcie bez najmniejszego wsparcia z zewnątrz, a nikła pomoc, jaką otrzymali od Polaków w postaci niewielkiej ilości broni, nie mogła zmienić biegu tego, co nastąpiło. Hania z niedowierzaniem patrzyła, jak getto płonie, równane z ziemią przez Niemców. Z trwogą przyglądała się esesmanom rozstrzeliwującym ludność getta. Tych, których nie zdążyli zabić, wywozili pociągami do obozów koncentracyjnych, głównie do Auschwitz. Płakała z bezsilności, widząc, jak jej dawna uczennica

Klara Wencel umiera na ulicy od ran po karabinie maszynowym. Klara zginęła z całą swoją rodziną, rozstrzelana na Umschlagplatzu. Był to jeden z tych dni, kiedy Hania przedostała się do getta przez niewielki wyłom w murze, który wybili polscy żołnierze, by nieść pomoc Żydom. Korzystając z okazji, że znalazła się na terenie getta, tworzyła w ukryciu materiał zdjęciowy dla polskiego podziemia. Wiedziała, że gdyby dostała się w niemieckie ręce, rozstrzelaliby ją bez mrugnięcia okiem, tak jak z zimną krwią dokonywali masowych egzekucji na Żydach. Najboleśniej dla niej była likwidacja więźniów z Pawiaka. Wśród zabitych znajdowało się wielu jej znajomych, którzy po zamknięciu getta nie zdołali wydostać się na aryjską stronę.

Do samego końca powstania ona i inni Polacy pomagający Żydom w walce liczyli na wsparcie, które nigdy nie nadeszło. Żydzi, sięgnąwszy dna największego upokorzenia, okrucieństwa i strachu, wykrwawili się bez najmniejszej szansy na zwycięstwo.

– Panna Wolińska pragnie pańskiej szczególnej interwencji w bardzo delikatnej sprawie – wtrącił się pułkownik Kruszewski, chcąc wesprzeć Hanię. – Liczymy, że w ramach wdzięczności jest pan w stanie spełnić jej prośbę.

– Ależ oczywiście! Panno Haniu, zrobię wszystko, o co pani poprosi! Pani wkład w walkę z okupantem jest zapewne niewspółmierny do pani prośby! Rząd polski chyli przed panią czoła. I dziękuję za wszelkie dokonania dla kraju!

Hania uśmiechnęła się z przekąsem, a pułkownik zaśmiał się sarkastycznie.

– Szkoda tylko, że to ja za swoje własne pieniądze musiałem wyszkolić pannę Wolińską do działań w konspiracji – dodał. – Chyba nie muszę panu przypominać, panie Bartnicki, ile kosztuje szkolenie tak dobrego żołnierza, jakim jest panna Wolińska.

– Panie pułkowniku, robimy, co możemy, żeby wyciągać więcej pieniędzy od Anglików! Już to, że szkolą naszych cichociemnych i lotników, jest warte pochwały!

– Potrzebujemy tego więcej! – rzekła Hania stanowczo. – Znacznie więcej! Polskie oddziały w kraju potrzebują wsparcia finansowego i broni! Warszawa głoduje! Potrzebujemy żywności dla cywilów! Tu,

w Londynie, wojna wygląda zupełnie inaczej, a w Warszawie ludzie żyją w codziennym strachu o życie i każdego dnia walczą o przetrwanie!

Andrzej Bartnicki westchnął ciężko i nieznacznie skinął głową.

– Pracujemy nad tym, panno Wolińska. Wkrótce kolejna grupa cichociemnych zostanie wysłana do Polski.

Hania z powątpieniem pokiwała głową i popatrzyła na pułkownika Kruszewskiego, który miał posępną minę. Najwyraźniej czuł to samo, co ona – zniechęcenie i wściekłość. Pułkownik tłumaczył Hani, jak wyglądają sprawy wojenne na szczeblu władzy, ale Hania nie wierzyła. Musiała się o tym przekonać na własne oczy. Nie mogła patrzeć na to, jak polscy politycy siedzą w Londynie, podczas gdy w kraju bohaterscy mężczyźni bez umundurowania i broni w konspiracji walczą z hitlerowcami i Sowiecami.

Niewiele myśląc, postanowiła bez wstępów wyłożyć karty na stół i wyjawić Andrzejowi Bartnickiemu, z czym do niego przybywa.

– Szanowny panie, zapewne słyszał pan o bulwersujących doniesieniach z terenów ZSRR – zaczęła pewnym głosem, który nie zdradzał cienia emocji, choć sprawa była dla niej wyjątkowo osobista i wywoływała w niej gwałtowne poruszenie. – W kwietniu odkryto na terenie Białorusi i Ukrainy masowe groby z polskimi oficerami.

Bartnicki lekko pobladł. Rozejrzał się ukradkiem po sali i ponownie spojrzał na Hanię, która zgrabnym ruchem uniosła do ust lampkę wykwiutnego wina.

– Potrzebuję pełen spis z nazwiskami ofiar – rzekła pewnym głosem.

– Niemcy podali taką listę.

– Ale nie jest ona pełna.

Bartnicki westchnął.

– Po co to pani?

– Ludzie mają prawo wiedzieć, czy wśród pomordowanych jest ktoś z ich bliskich.

– Panno Wolińska, czy pani wie, o co mnie prosi?

– Ależ oczywiście! Proszę o spis nazwisk ofiar zbrodni katyńskiej! – Jej bursztynowe oczy z pełną powagą wpatrywały się w twarz

rozmówcy, który najwyraźniej mocno zafrasowany nie wiedział, jak wybrnąć z tej jakże kłopotliwej konwersacji.

– Chyba pani rozumie, że jest to sprawa szczególnej wagi?

– Zdaję sobie sprawę, że to nie Niemcy, ale Sowieci dokonali tej zbrodni, choć Stalin wszem i wobec rozgłasza kłamliwe brednie.

– I w tym cały problem, panno Wolińska. Gdyby to byli hitlerowcy, nie byłoby problemu, a tak... Anglia nie chce konfliktu ze Stalinem.

– Więc lepiej udawać, że nic się nie stało? A co z rodzinami, które pragną poznać prawdę? Polskie kobiety chcą wiedzieć, co spotkało ich mężów, ojców i braci! Po czyjej jest pan stronie? Anglików? Czy rodaków?

Bartnicki zirytowany zmarszczył czoło.

– Panno Wolińska, proszę wybaczyć to, co teraz powiem, ale lepiej nie ruszać gówna, bo będzie śmierdziało.

Hania wyprężyła się jak struna. Do tej pory starała się zachowywać pokerową twarz, teraz jednak wymalowała się na niej wściekłość. Pułkownik Kruszewski widząc to, jedynie westchnął. Wiedział, że jeśli coś Hanię wzburzyło, to nic nie było w stanie powstrzymać jej gniewu. Przez ostatnie cztery wojenne lata nauczył się, że w swoim działaniu była zarówno uparta, jak i buntownicza, zwłaszcza jeśli coś szło nie po jej myśli. Niepowodzenie jej pierwszej misji w Trzeciej Rzeszy, kiedy to została tak łatwo zdemaskowana przez gestapo, nauczyło ją, że musi być zawsze ostrożna i nie ufać nikomu. Upokorzenie spowodowane tamtym wydarzeniem i gwałt, którego stała się ofiarą, otworzyły zupełnie nowy rozdział w jej życiu. Wiedziała, że z aresztu gestapo nie wychodzi się żywym, skoro więc ona dostała szansę, to musiała ją wykorzystać jak najlepiej. W wojennej Warszawie narodziła się na nowo jako kobieta i jako Polka, próbując zapomnieć o tym, co spotkało ją w nazistowskich Niemczech. Z uporem i pełną stanowczością wstąpiła pod koniec trzydziestego dziewiątego roku do organizacji „Gladiatorzy”[\[12\]](#), należącej do struktur polskiego podziemia, i przeszła gruntowne szkolenie konspiracyjne, chcąc nadal współtworzyć siatkę szpiegowską dla polskiego rządu na terenach okupowanych. Werbowwała do współpracy zarówno kobiety, jak i mężczyzn z różnych środowisk i grup społecznych. Oprócz tego bez skrupułów

walczyła z Niemcami, sprytnie wnikając w ich środowisko jako dama do towarzystwa niemieckich oficerów. Posługując się w konspiracji pseudonimem „Anioł” i fałszywym nazwiskiem Charlotte Stötzner, pozyskiwała od nich wszelkie potrzebne Polakom informacje dotyczące wywózek ludności w głąb Rzeszy, działań zbrojnych przeciwko Polakom i tras przewożenia niemieckiej broni i żywności na front wschodni, która następnie była zagarniana przez polskie podziemie w akcjach dywersyjnych. Ileż to razy wskazywała żołnierzom z polskich oddziałów miejsce pobytu jakiegoś niemieckiego oficera SS, nad którym ciążył wyrok śmierci wydany przez polski sąd wojskowy, czy trasę przejazdu jego samochodu. Wszystko, co robiła, czyniła z tak cynicznym zapamiętaniem i śmiałą grą aktorską, że wśród niemieckich oficerów uważana była za piękną *femme fatale*. Żaden Niemiec nie odmówił jej spotkania, żaden również nie zagrażał jej życiu osobiście – wpatrzeni w jej urodę i temperament lądowali w jej ramionach zupełnie nieświadomi niebezpieczeństwa. Do dziś nikt z nich nie zdołał odkryć, że zamachy i pojedyncze egzekucje na żołnierzach i esesmanach, które spędzały im sen z powiek, mogły mieć cokolwiek wspólnego z uwodzicielskim „Aniołem”.

– Panie Bartnicki, wśród ofiar tej okrutnej zbrodni może być mój brat, porucznik kawalerii Jan Woliński. Był jeńcem w obozie sowieckim w Kozielsku.

– Rozumiem.

– Na niczym nie zależy mi tak bardzo, jak na tym, żeby odkryć, co się stało z moim bratem i gdzie znajduje się jego mogiła. Moja bratowa i jej czteroletni syn wciąż na niego czekają, wierząc, że Janek żyje. Moja matka z utęsknieniem czeka na syna. Dla nich muszę odkryć prawdę. Nie obchodzi mnie, czy to Niemcy, czy Sowietci. Chcę znać miejsce i czas śmierci mojego brata!

– Więc wierzy pani, że jej brat nie żyje?

Kącik jej ust lekko zadrżał.

– Nie mam złudzeń – odparła z goryczą. – Gdyby żył, wiedzielibyśmy o tym. Nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości od wiosny czterdziestego roku.

– Jest pani uparta.

Zaśmiała się na tę uwagę.

– Dzięki mojemu uporowi polski rząd dostaje informacje o tym, co się dzieje w Polsce – rzuciła.

– To prawda.

Bartnicki spuścił głowę i zamarł w głębokim zamyśleniu. W końcu popatrzył na nią z powagą.

– Nie znamy wszystkich personaliów ofiar i pewnie jeszcze długo nie poznamy, ale zdobędę dla pani możliwie najdokładniejszą listę nazwisk. Tylko proszę nie rozgłaszać w Warszawie informacji o tej zbrodni. Narażanie się Stalinowi i Churchillowi nie leży w naszym interesie, skoro chcemy wygrać wojnę.

– Churchill i Stalin nie pomogą nam jej wygrać – odparła pogardliwie.

Przez resztę popołudnia obgadała z Bartnickim i „Ptaszyną” tematy dostaw pieniędzy i broni dla żołnierzy do okupowanej Warszawy. Bartnicki był miły, sprytnie omijał drażliwe tematy i większością winy za złą sytuację w kraju obarczał wyłącznie Niemców.

– Pan nie wie, jak doskonale Polacy nauczyli się szmuglować towary, żeby móc przeżyć! Rabują również niemieckie transporty z żywnością, próbując wykarmić najbiedniejszych. Zapewne słyszał pan o żółwiach? – Hania próbowała jak najjaskrawiej nakreślić rządowemu delegatowi, jak ciężka była sytuacja Polaków w kraju.

Bartnicki uśmiechnął się pod nosem.

– Słyszałem. Osławiona zupa żółwiowa, która uratowała życie setkom Warszawiaków.

Przez kilka długich tygodni na każdym targu i straganie w Warszawie można było kupić żółwie. Skąd się wzięły – nikt dokładnie nie wiedział, ale jedna z plotek głosiła, że był to przejęty przez Polaków transport z zaopatrzeniem dla niemieckich żołnierzy na froncie wschodnim. Ludzie nabywali je w celach konsumpcyjnych i nagle okazało się, że w całej Warszawie gotowano zupę żółwiową. Była to jedna z sytuacji obrazująca okupację w kraju. Ludzie masowo umierali: albo rozstrzeliwani przez hitlerowców, albo głodzeni przez nich na śmierć. Nawet ci, którzy pracowali – a takich przecież w Warszawie nie brakowało, dostawali głodową pensję, która nie wystarczała na podstawowe racje żywnościowe. Jedzenie

na kartki – również reglamentowane – było najgorszej jakości. Napić się prawdziwej kawy czy zjeść marmoladę można było wyłącznie po przechwyceniu transportu z zaopatrzeniem dla Niemców, a gorzki i czarny chleb kosztujący niebagatelne kwoty przyprawiał każdego, kto go skosztował, jedynie o ból brzucha. Hania mówiła o tym wszystkim, nie kryjąc emocji. Pułkownik Kruszewski wtórował jej, podkreślając, że sprawy życia i walki podziemnej w kraju mają się wręcz tragicznie.

– Jedyne, co można powiedzieć dobrego o naszym położeniu, to to, że heroizm i odwaga Polaków w walce z okupantami nie mają sobie równych – spuentował, a Andrzej Bartnicki przyjął to z całą powagą i dobrotliwym kiwnięciem głową.

Rozstali się godzinę później w atmosferze wzajemnego porozumienia. Bartnicki namawiał gorąco Hanię, żeby zechciała spędzić wieczór z nim i jego żoną w ich posiadłości za miastem, ale Hania odmówiła grzecznie, tłumacząc się potrzebą spakowania rzeczy do podróży. Następnego dnia wraz z Kruszewskim miała udać się w długą drogę powrotną z Londynu do Warszawy.

Z restauracji wyszła w towarzystwie pułkownika. Deszcz nadal siąpił, ale wieczór był rześki i ciepły. Nie wiadomo czemu, nagle stanęła jej w pamięci noc w Gdańsku przed pięciu laty, kiedy po raz pierwszy spacerowała z Johannem. Wtedy ją zauroczył. Pokręciła głową, jakby próbowała strząsnąć z niej te niemądre myśli, ale one jak na złość stawały się coraz głośniejsze.

W zamyśleniu popatrzyła na nadjeżdżającą pod restaurację taksówkę.

– Nie chcę jechać autem – powiedziała nagle. – Pójdę do hotelu piechotą.

Pułkownik patrzył na nią zdumiony.

– Przecież pada deszcz!

– To nic. Spacer dobrze mi zrobi, a deszcz jest całkiem przyjemny.

– Zaśmiała się nieco wymuszenie. – Kto powiedział, że deszcz w Londynie musi wprawiać wyłącznie w ponury nastrój?

– No cóż... Nie ukrywam, że liczyłem na miły wieczór w twoim towarzystwie, moja piękna.

– Jest pan niemożliwy, pułkowniku!

Kruszewski przytaknął i z dłonią na piersi uklonił się przed nią szarmancko, jak na polskiego oficera przystało.

– Zawsze do twoich usług, moja śliczna. Ale skoro z takim wdziękiem próbujesz się mnie pozbyć, to pojedę do tej, która przyjmie mnie z otwartymi ramionami.

– To najlepsze, co możesz teraz zrobić – rzuciła Hania, obdarzając go szczerym uśmiechem.

Hrabina Karolina Nałęczowska od czasu wojny mieszkała w Londynie, a jej adres w ekskluzywnej dzielnicy niedaleko Hyde Parku stał się miejscem spotkań polskich polityków i wojskowych. Zaangażowana całym sercem w konspirację i walkę z Niemcami, nie omieszkła przy tym tworzyć kółek kulturalnych, literackich i muzycznych, które łączyły rodaków zarówno w rozrywce, jak i w ważnych dyskusjach.

Walerian Kruszewski rzadko bywał w Londynie, więc jego spotkania z Karoliną były dość mocno ograniczone. Jednak ich niespodziewany związek szybko stał się dla postronnych czymś absolutnie naturalnym. Karolina przed wojną skrzętnie ukrywała swoje uczucia do pułkownika, choć podobno już wtedy – jeszcze za życia swojego męża – miała romans z Walerianem. Jej niespodziewane wdowieństwo otworzyło obojgu legalną drogę do wspólnego szczęścia. Na pierwszy rzut oka wcale do siebie nie pasowali – ona elegancka, wytworna i powściągliwa w emocjach, on zbyt dowcipny, mający opinię bawidamka i lekkoducha, choć nikt, kto go znał, nie miałby odwagi potwierdzić tych opinii. Pomimo tych różnic w charakterach stanowili piękną i zakochaną w sobie parę.

Kruszewski już wsiadał do taksówki, gdy nagle zatrzymał się w pół kroku i popatrzył na Hanię. Deszcz powoli brał we władanie jej jasny prochowiec i elegancki toczek na głowie. Mimo to, choć coraz bardziej mokra, nadal była pełna uroku. W tłumie londyńczyków wydała mu się krucha i delikatna. Jak to możliwe, że na co dzień zupełnie sama, uzbrojona jedynie w Visa i fiolkę z laudanum, stawiała czoła niemieckim oficerom?

– Szukasz go – powiedział nagle, dziwiąc się sobie, ale ta oczywista prawda, której wcześniej nie dostrzegał, nagle do niego dotarła z całą mocą.

– Słucham? – zapytała prawie szeptem, z rumieńcem zakłopotania na twarzy.

– Szukasz go wśród tych wszystkich Niemców, z którymi się spotykasz – rzekł Walerian ochryplym głosem.

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczyła z goryczą. – Bezustannie liczyłam na to, że nigdy go wśród nich nie znajdę.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, znikając w mglistej aurze londyńskiej ulicy.

Resztę wieczoru spędziła w swoim pokoju hotelowym, siedząc skulona w wygodnym, głębokim fotelu. Czuła się pusta, przegrana, pokonana. Przyjechała do Londynu z myślą, że uda jej się przekonać polskie i angielskie władze do swojej racji, że jak tylko przedstawi im beznadziejną sytuację w kraju, oni zrozumieją. Ale spotkała się z twardym murem niezrozumienia, hipokryzji i pięknych obietnic bez pokrycia. Wielu przed nią próbowało dokonać tego samego, a nawet więcej, ale tak jak ona byli zbywani czczymi obietnicami. Londyn nie znał tej wojny, która toczyła się w Polsce. A Polska konała w strasznych męczarniach. Polacy umierali z głodu, wycieńczenia i masowych egzekucji na ulicach. We wsiach zbiorowo rozstrzeliwano wieśniaków w odwecie za ukrywanie żywności przed hitlerowcami i szmuglowanie jej dla głodujących mieszkańców miast. Za prawie wszystko groziła kara śmierci, nie wspominając o pomocy Żydom, którzy byli unicestwiani przez Niemców z zastraszającą skrupulatnością. Hania, widząc kaźń Żydów w getcie, była przekonana o hitlerowskim planie ostatecznej likwidacji całego narodu żydowskiego. Nie mieściło jej się to w głowie. Przypomniała sobie początki prześladowania Żydów w Warszawie zaraz po wybuchu wojny, kiedy – tak jak już wcześniej w Niemczech, zabroniono im siadać na tej samej ławce co inni ludzie, zakazano wstępu do restauracji i kin, a następnie odizolowano ich od pozostałej ludności w autobusach, tramwajach i wszelkich miejscach publicznych. Nakazano im bezwzględnie nosić na ramieniu gwiazdę Dawida i zapisać się w urzędzie na specjalną listę. Od tego się zaczęło. Powoli, bez krzyku, głośnego protestu kogokolwiek. A później było już tylko gorzej. Później zbudowano getto, rozpoczęły się wywózki do obozów śmierci i hekatomba całego narodu. Świat,

w którym przyszło im wszystkim żyć, stał się okrutny, pełen cierpienia i nieludzkiego traktowania. Ona też była częścią tego świata, dlatego resztkami sił i dobrej woli próbowała wyrwać z niego choć odrobinę sprawiedliwości za wyrządzone krzywdy. Dlatego z takim oddaniem i zaangażowaniem, nie bacząc na niebezpieczeństwo i groźbę śmierci, wnikała w środowisko Niemców, wykorzystując swoją znajomość języka i niemieckich zwyczajów. Posługując się fałszywymi dokumentami, udawała niemiecką damę do towarzystwa, gotową na nocne spotkania z oficerami. Chodziła z nimi na kolacje i przyjęcia, rauty i dancingi, a tam wyciągała od nich informacje, które pomagały w likwidacji hitlerowskich katów. Z jej pomocą podziemie likwidowało esesmanów, gestapowców i oficerów Wehrmachtu. Jeśli dochodziło do wielkiej łapanki albo egzekucji, natychmiast uruchamiano w siatce konspiracyjnej operacje mające na celu odwet na tych, którzy zabijali Polaków. Najgorsze były wpadki – za ich sprawą Niemcy zabijali łączniczki i chłopaków z oddziałów szturmowych, których najpierw gestapo bestialsko katowało kilka dni, a nawet tygodni.

Jej ponure rozmyślenia przerwało ciche pukanie do drzwi. Posłaniec – młody chłopak – podał jej bez słowa białą kopertę. Hania wzięła ją od niego i wręczyła mu kilka funtów napiwku.

Zanim otworzyła kopertę, odpaliła papierosa. Próbowała stłumić drżenie, które ją ogarnęło. Zasiadła w fotelu i wyjęła z koperty sporych rozmiarów kartkę, na której znalazła kilkadziesiąt polskich nazwisk. Zaciągnęła się dymem, a następnie wypuszczając go wolno z ust, patrzyła niemo na nazwisko swojego brata. Porucznik Jan Woliński.

* * *

Hani śniło się, że ktoś ją kochał. Mocno, szaleńczo, jak tylko mężczyzna może kochać kobietę. Czuła we śnie jego ciepło, jego emocje, które przenikały ją na wskroś, miłość, która przepełniała ich oboje. Obudziła się, czując gwałtowne szarpnięcie i głośny gwizd wibrujący w uszach.

– Co się stało? – Przebudzona tak brutalnie, popatrzyła zamglonym wzrokiem na pułkownika Kruszewskiego.

– Ciii! Mów po niemiecku – wyszeptał jej do ucha, przygarniając do siebie ramionami.

W mig przypomniała sobie, gdzie się znajdują. Byli w niemieckim pociągu jadącym do Warszawy. Przebyli długą drogę: najpierw statkiem rybackim z Anglii do Francji, później pociągiem z Francji do Niemiec i objechawszy prawie całą Rzeszę, zmierzali z Berlina przez Breslau do Warszawy. Całą podróż odbywali na fałszywych papierach, udając niemieckie małżeństwo Sabine i Klause Wittelbachów. Do tej pory udało im się podróżować bez przeszkód. Rzadko sprawdzano im papiery, bo zasiadali w pierwszej klasie jako para niemieckich arystokratów. Oboje doskonale wczuli się w swoje role, płynnie mówiąc po niemiecku i przybierając pozę oburzenia, kiedy jakiś żołnierz próbował dowiedzieć się czegoś więcej na temat ich pochodzenia i życia prywatnego, wypytyując, skąd i dokąd jadą, i po co im właściwie ta podróż do Warszawy. Hania raz nawet teatralnie zrugła niemieckiego żołnierza, powołując się na swoją rzekomą bliską znajomość z Adolfem Hitlerem. Pułkownik Kruszewski przyglądał się zajściu z dozą podziwu i łobuzerskim uśmiechem na ustach, ale prawdą było, że momentami brawura w zachowaniu Hani go przerażała. Dziewczyna nie miała hamulców. Niemców znała tak dobrze, że nie było dla niej w relacjach z nimi rzeczy niemożliwych, a oni służalczo jedli jej z ręki. Zakłopotany i wystraszony żołnierz był niemalże gotowy paść jej do stóp, przepraszając za swoją bezczelną dociekliwość.

Teraz znajdowali się już prawie u celu podróży, więc Hania zdołała na kilka godzin oderwać się od rzeczywistości i zasnąć, przytulona do Waleriana. To nagłe, brutalne przebudzenie nieco ją oszołomiło, szybko jednak doszła do siebie, a jej umysł przeszedł w tryb pełnej czujności, zwłaszcza że pociąg po kilku gwizdach najpierw zwolnił, a później zatrzymał się w szczerym polu.

– Jesteśmy już w Polsce – wyszeptał Walerian najciszej, jak potrafił.

Przytaknęła lekkim skinieniem głowy. Ręką wymacała swoją torebkę z dokumentami i listą, którą przed samym wyjazdem

z Londynu dostała od Andrzeja Bartnickiego. Wiadomość o pewnej śmierci Janka ogromnie nią wstrząsnęła, mimo że się jej spodziewała. Postanowiła jednak żal i lament zostawić na później, kiedy wróci do domu, gdzie bez skrępowania będzie mogła opłakać brata wraz z Lucyną i matką. Na razie skupiona była wyłącznie na tym, żeby bezpiecznie dotrzeć do Warszawy.

W ich przedziale siedziało jeszcze kilka innych osób – bankier z córką, dwóch przemysłowców z Berlina i zamożne małżeństwo z dwójką dzieci. Wszyscy w skupieniu i ciszy oddawali się lekturze lub ściszonej, kulturalnej pogawędce. Od czasu do czasu rozbrzmiewał tylko perlisty śmiech dzieci, którym trudno było wytrzymać w spokoju przez kilka godzin. W tej chwili jednak wyczuwalne było ogólne poruszenie. Walerian podniósł się z siedzenia i spojrzął przez okno.

– To partyzanci – powiedział płynnie po niemiecku i usiadł z westchnieniem.

Znajdowali się w okolicach Kielc. Tutejsza polska partyzantka była wszem i wobec znana z brawurowych akcji przeciwko Niemcom. W innych okolicznościach oboje ucieszyliby się z zatrzymania niemieckiego pociągu, który wiozł żywność i produkty użytku codziennego, ale akurat teraz zależało im, żeby jak najszybciej bezpiecznie dotrzeć do Warszawy. Walerian chwycił walizkę po brzegi wypełnioną pieniędzmi, które otrzymał od delegatów w Londynie dla polskiego podziemia, i gestem dał znać Hani, że w razie czego musi być gotowa do ucieczki.

Na rozwój akcji nie musieli długo czekać, bo partyzanci bez zbędnej zwłoki zaczęli ostrzeliwać pociąg. Podniósł się rwetes – dzieci zaczęły płakać, kobiety lamentować. Hania przyglądała się temu w milczeniu. W końcu ona i Walerian wstali z siedzeń i złapali się za ręce.

– Musimy wysiąść z pociągu – wyszeptał pułkownik, kiedy opuścili przedział. – Inaczej partyzanci gotowi nas zastrzelić. Jeśli uda nam się bezpiecznie wyjść, przyznamy się chłopakom, że jesteśmy Polakami.

Hania skinęła głową. W tym momencie usłyszeli odgłosy kolejnych wystrzałów. Partyzanci atakowali wagon z bronią, który znajdował

się na tyłach, a w odzwie niemieccy żołnierze podróżujący w jednym z wagonów odpowiedzieli ogniem. Rozgorzała ogólna wrzawa. Słychać było krzyki i serie z karabinu maszynowego. Nikt z pasażerów nie wiedział, czy to strzelają Polacy, czy Niemcy. Jedna z kobiet zaczęła histerycznie płakać, inna krzyczała:

– Mordercy! Zabiją mi dzieci!

Hania i Walerian otworzyli drzwi wagonu, rozejrzeli się wokół i korzystając ze sposobności, że byli niezauważeni, wyskoczyli w pole pszenicy. Serce Hani waliło jak młotem, kiedy pułkownik pociągnął ją za rękę w głąb łanów zboża. Położyli się na wznak i czekali, by się upewnić, że nikt ich nie dostrzegł. Leżeli tak kilka minut, wsłuchując się w polskie i niemieckie komendy i wystrzały z pistoletów i karabinów. Hania mimochodem wymacała przy udzie pistolet, z którym nie rozstawała się prawie nigdy, na wypadek, gdyby teraz miała go użyć. Przyciskała do boku torebkę, a Walerian dzierżył w dłoni walizkę z pieniędzmi. Leżeli tak, dopóki odgłosy walki nie ucichły. Pułkownik podniósł się wolno i popatrzył znad falującej pszenicy, jak grupa partyzantów, pacyfikując pociąg, nakazała wszystkim pasażerom wysiąść.

– Musimy uciekać – wyszeptał.

– Przecież to nasi! Polacy!

– Nie zapominaj, że musimy dotrzeć do Warszawy. Myślisz, że pozwoliliby nam odejść, wiedząc, że mamy przy sobie taki majątek? Natychmiast by go zrewidowali. Niech mi Bóg wybaczy, ale muszę dowieźć te pieniądze do Warszawy.

Czołgając się, pokonali cały odcinek pola aż do skraju lasu. Dopiero wtedy podnieśli się i zniknęli w najbliższym gęstym zagajniku. Pociąg nadal stał w promieniach zachodzącego słońca. Hania wiedziała, że w lesie, do którego weszli, roi się od partyzantów, musieli więc jak najszybciej stąd zniknąć. Prawie biegiem ruszyli wzdłuż gęstych drzew i wraz z nadchodzącym zmrokiem dotarli do wioski, która była ostatnim przystankiem do Kielc.

– Prześpimy się gdzieś i rano wyruszymy dalej – mruknął Walerian, rozglądając się uważnie.

Hania z przyjemnością wdychała zapach lasu i słuchała świergotu ptaków. Emocje nieco z niej opadły, oddech się uspokoił, a serce przestało kołatać, więc była w stanie odetchnąć pełną piersią, choć jeszcze przed kilkunastoma minutami działała wyłącznie pod wpływem adrenaliny.

– Zamierzasz dalej iść na piechotę? – zapytała z niedowierzaniem.

– A masz inny pomysł, moja piękna?

Wzruszyła ramionami.

– No cóż... Może szczęście nam dopisze i znajdziemy po drodze jakiś transport.

Nie wchodzili do wioski, nie chcąc wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Między wsią a polami znaleźli stodołę, która jakiemuś chłopu służyła za spichlerz. Hania cieszyła się, bo im bardziej niebo zasnuwało się mrokiem nocy, tym ciemniejsze chmury napływały znad widnokręgu, a z daleka słychać było pierwszy grzmot nadchodzącej burzy.

Do jedzenia mieli tylko kilka sucharów i pętko kielbasy. Całą podróż nie narzekali na głód, bo w niemieckich przedziałach pierwszej klasy karmiono ich całkiem przyzwoicie, ale od ostatniego posiłku minęło już kilka godzin i Hania poczuła ucisk w brzuchu. Zjadła swoją skromną porcję i bez skrępowania przechyliła menażkę z czystą wódką, która rozeszła się ciepłem po jej kościach. Już wielokrotnie przekonała się, że wódka jest dobra prawie na wszystko i jak żaden inny trunek koi nerwy.

– Nie dotrzemy szybko do Warszawy – mruknęła z rozczarowaniem.

Patrzyła ukradkiem na Waleriana, jak ten zdejmuje tweedową marynarkę i zaczyna rozpinąć koszulę. Było nieznośnie gorąco, wręcz parno przed nadchodzącą burzą. Hania też miała ochotę zdjąć klejącą się do ciała brudną bluzkę. Zapytała pułkownika, czy nie będzie mu to przeszkadzać, a ten tylko uśmiechnął się łobuzersko.

– Nie krępuj się. Moja wyobraźnia już dawno przedstawiła mi ciebie w całej okazałości.

Dawniej ta uwaga pewnie by ją zawstydziła, ale teraz, kiedy ona i „Ptaszyna” pozostawali ze sobą w bliskich relacjach, o skrępowaniu

nie było już mowy. Zresztą, Hania zbyt dużo przeżyła w ciągu ostatnich czterech lat wojny, odgrywając dziwkę do towarzystwa dla Niemców, żeby udawać cnotliwą i pruderyjną panienkę. Co prawda, nigdy nie spała z żadnym szkopem, nigdy nie pozwoliła żadnemu na przekroczenie granicy jej intymności, ale niejednokrotnie musiała znosić ich obleśne umizgi, obmacywania i niezgrabne pocałunki, kiedy byli już na tyle pijani, że znajdowali na to odwagę. Jeden, jedyny raz laudanum, które podała esesmanowi, zadziałało zbyt późno i zanim ten padł nieprzytomny na łóżko w swojej kwaterze, najpierw zdążył rozebrać Hanię do naga i obmacać ją, gdzie popadło.

Bez mrugnięcia okiem zdjęła bluzkę i podróżne spodnie i w samej tylko halce i majtkach położyła się na stercie siana. Zapach skoszonej suchej trawy przyjemnie łaskotał ją w nozdrza. Było jej dobrze i pierwszy raz od bardzo dawna poczuła się rozluźniona.

Gdzieś w pobliżu z potężnym hukiem uderzył piorun, a na stodołę lunął deszcz.

Hania przymknęła powieki i wsłuchała się w miarowe dudnienie rześzystych kropeł w drewniany dach. Ogarnęła ją nagła, niewysłowiona tęsknota za tą miłością, o której śniła w pociągu. Starła się nie myśleć o Johannie. Nie wspominała go prawie nigdy, próbując zagłuszyć ból serca, ale on wracał do niej, i to zawsze wtedy, gdy najbardziej tego nie chciała. Przypominała sobie wszystkie listy, które słał jej z takim uporem po ich rozstaniu, naiwnie wierząc, że pomimo wojny wciąż mogą być razem. Matka przekazywała jej każdy z nich, choć nigdy nie komentowała. Hania każdy czytała i paliła w piecu, próbując zapomnieć. Z czasem nauczyła się żyć bez tej miłości, wręcz uważała ją za zbędną w czasach, gdy ważne było jedynie ludzkie życie i godność. Ale przychodziły momenty jak dziś, kiedy Johann wracał do niej ze zdwojoną siłą i upominał się w jej głowie o ogarki wspomnień, które paliły jak żywy ogień. Martwiło ją, że był w Warszawie, bała się, że nie zdoła uniknąć spotkania z nim, a jeszcze bardziej bała się tego, że jest już spalona jako dama do towarzystwa dla Niemców. Johann mógł ją w każdej chwili zdemaskować.

Otworzyła oczy i popatrzyła na Waleriana, który zajęty sobą nie zwracał na nią uwagi. Zapadł już zmrok. Widziała tylko zarys jego męskiej sylwetki tuż obok siebie. Emocje ostatnich wydarzeń wyostriły jej zmysły i rozbudziły potrzebę wyładowania napięcia, które ją nieznośnie więziło. Dotarła do niej woń męskiego ciała zmieszana z zapachem siana. Poczwała ból i coś, co mogłaby nazwać głodnym pożądaniem, gdyby nie kojarzyła tego uczucia wyłącznie z Johannem. Chyba westchnęła przeciągle, bo Walerian odwrócił się twarzą do niej.

– Zachowujesz się jak kotka w rui – rzekł nie bez właściwego dla siebie humoru, ale Hani tym razem wyjątkowo nie było do śmiechu.

Uniosła się na stercie siana, prężąc swoje ciało w nagłej tęsknocie za męskim dotykiem. Walerian w mig wyczuł jej pragnienie, bo jego oddech gwałtownie przyspieszył.

– Nie rób tego, mała, bo będziesz żałować! – skarcił ją głosem ochryłym od nagłej pasji.

Hania wiedziała, że pragnął jej od dawna, tylko przyzwoitość nie pozwalała mu jej tknąć. Wstała i zbliżyła się do niego bardzo powoli, drżąc na ciele. Walerian podobał jej się w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek. Był wyjątkowo męski i takiego go chciała. Oszalał ją swoim zapachem i ciepłym oddechem, który czuła tuż przy swojej twarzy.

– Nie musisz tego robić – powiedziała cicho, kiedy bez słowa przygarnął ją do siebie.

Pomiędzy szczelinami w drewnianych ścianach stodoły rozbłysła kolejna błyskawica

– Wiem, że kochasz Karolinę.

– Bardzo ją kocham. Ale ona nie wierzy, że nigdy z tobą nie spałem.

– Wie pan, pułkowniku, że jest pan bardzo przystojny? – zapytała, zniżając głos i prowokacyjnie zsuwając z ramion ramiączka halki.

Opuszkami palców dotknął jej nagich piersi.

– I dużo od ciebie starszy.

– Trzynaście lat chyba nie robi w tej chwili różnicy.

Kochał się z nią powoli, delektując się jej ciałem, nie spiesząc się, kołysząc ją w ramionach i próbując uspokoić jej stargane nerwy.

Przyjmowała to z wdzięcznością, wychodząc mu naprzeciw, próbując zaspokoić w jego ramionach całą swoją tęsknotę za utraconą miłością. Nim nadszedł świt, zaspokoili swoje pragnienia jeszcze dwa razy, wiedząc, że nigdy więcej tego nie powtórzą, bo rzeczywistość, w której żyli, sprzyjała wyłącznie krótkiej i spontanicznej miłości. Zasnęli snem głębokim i spokojnym, jakiego nie doświadczyli od dawna.

Obudzili się o świcie. Przez szczeliny między deskami wsączało się do środka poranne słońce. Powinni czuć w nozdrzach świeży zapach siana i pól po ulewnym deszczu, a tymczasem docierał do nich swąd.

Walerian zerwał się na równe nogi, błyskawicznie narzucił na siebie ubranie i wyrzwał na zewnątrz przez szparę w drzwiach.

Od strony wioski widać było łunę czarnego dymu.

– Wioska się pali!

Hania doskoczyła do niego w oka mgnieniu, zapinając bluzkę. Rzeczywiście od strony wioski w niebo buchały kłęby dymu. Zmroziła ją groza tego, co zobaczyła. Domyśliła się, co się stało – Niemcy w odwecie za zatrzymany pociąg postanowili spalić wieś. Zawsze tak robili.

Bardzo ostrożnie i najciszej, jak potrafili, oboje wyszli ze stodoły na zalane porannym słońcem podwórze. Było cicho. Wydawało się, że przesiąknięte spalenizną powietrze jest jak martwe. Nawet ptaki w lesie nie śpiewały swoich treli.

Hania знаła już taką ciszę. Przeszywała ją trwogą do szpiku kości, bo była zwiastunem czegoś złego. Takie myśli wsączały się w jej głowę, dopóki nie usłyszeli warkotu zbliżającego się w ich kierunku samochodu. Nie mieli szans na ucieczkę. Wiedzieli o tym. Mogli liczyć już tylko na własny spryt i rozsądek, który podpowiadał im, że jeśli zaczną uciekać, dostaną kulkę w plecy. Hania, stając u boku Waleriana, patrzyła na podjeżdżający pod stodołę samochód, w którym siedziało czterech uzbrojonych esesmanów. W tym samym momencie gdzieś z oddali do ich uszu dobiegł mrozący krew w żyłach dźwięk serii z karabinów maszynowych. Oboje nie mieli wątpliwości, że to odgłosy wykonywanej na wieśniakach egzekucji.

* * *

Johann nie wiedział, jak wyciągnąć od Anieli Wolińskiej informację, gdzie jest Hania. Mógł ją siłą zmusić do mówienia, ale nie chciał jej przestraszyć. Śledząc Anielę, również niczego się nie dowiedział, bo kobieta chodziła wyłącznie do pracy w butiku z kapeluszami, teraz zamienionego również na pasmanterię dla Niemców i folksdojczów. Raz jeden zboczyła tylko ze swojej codziennej drogi i udała się do mieszkania synowej, które Johann pamiętał jeszcze z czasów przedwojennych. Nigdy tam nie był, bo Janek Woliński nie zgodził się zaprosić go w swoje progi, ale pamiętał, że odprowadził tam Hanię w dniu chrztu małego Juniora.

Jednak i u Lucyny nie doczekał się Hani, choć stał pod kamienicą dość długo, licząc na jakikolwiek znak jej obecności. Zamierzał w niedługim czasie odwiedzić młodą panią Wolińską i wypytać ją gdzie przebywa Hania, choć liczył się z tym, że ze strony bratowej Hani może spotkać się z murem milczenia. Na to, że zostanie w domu Janka, nie liczył. Brat Hani był żołnierzem, więc pewnie walczył gdzieś w podziemiu albo na froncie.

Johann miał świadomość, że rodzina Wolińskich nie ufała mu, i nie dziwił się temu wcale. Nie mógł oczekiwać, że Lucyna i Aniela bez mrugnięcia okiem zaczną się zwierzać niemieckiemu oficerowi, nawet jeśli przed wojną był narzeczonym Hani. Skrzywdzić kobiet nie zamierzał, choć obie miały pełne prawo w taki sposób odczytywać jego intencje.

Wieczory spędzał sam, głównie w swoim mieszkaniu, izolując się od innych żołnierzy i analizując trudną sytuację Warszawy. Każdego dnia docierały do niego coraz to nowsze informacje na temat odwetowej działalności polskiego podziemia przeciwko Niemcom, którym spektakularnie udało się kilkanaście dni temu aresztować głównego dowódcę Armii Krajowej, generała Stefana Roweckiego „Grota”. Euforii nie było końca. Gubernator wydał nawet przyjęcie z tej okazji, chcąc należycie uhonorować tych, którzy dowieźli generała do siedziby gestapo przy Alei Szucha, choć już następnego dnia przewieziono polskiego komendanta do Berlina.

Johann starał się czytać wszystkie docierające do niego raporty, zapoznając się z problemami, jakie napotykali jego rodacy w walce z Polakami. Im bardziej wgłębiał się w działalność polskiego podziemia – a wiedział tylko tyle, ile stanowiły niemieckie raporty, tym większe ogarniało go zdumienie. Francuzi nie mieli tak świetnie zorganizowanego ruchu oporu i nie walczyli z okupantem z taką zaciętością jak Polacy. Protokoły z przesłuchań gestapo przyprawiły go o mdłości, a jednak większość więźniów nie poddawała się presji bólu i upodlenia. Umierali od odniesionych obrażeń albo sami zadawali sobie śmierć, nie puszczali jednak pary z ust na temat swoich towarzyszy broni. Rzadko który nie wytrzymał i sprzedał swoich kolegów. W oczach Johanna było to zarówno imponujące, jak i szalone. „Ile okrucieństwa Niemcy muszą jeszcze zadać w tej wojnie, żeby zwyciężyć?” – myślał z rozpaczą i pogardą równocześnie. On sam nie zamierzał walczyć z Polakami. Chciał jedynie odnaleźć Hanię, a każda informacja wpływająca z raportów była na wagę złota. Hania, skoro funkcjonowała pod fałszywym nazwiskiem, zapewne należała do konspiracji, działała w jakiejś zorganizowanej siatce, a jej życie mogło być zagrożone. Z drugiej strony Johann nie wierzył, że jego ukochana jest zdolna do tych wszystkich działań dywersyjnych, które przypisywano Polakom.

Któregoś dnia zostawił pod drzwiami domu Anieli Wolińskiej pakunek z żywnością, zapalkami i naftą. Wiedział, że jego próba przekupienia Anieli jest dość prymitywna, ale nie znalazł innego sposobu, żeby przekonać kobietę do swoich intencji. Matka Hani cierpiała głód – co do tego nie miał wątpliwości i fakt ten doskwierał mu wystarczająco mocno, żeby obudzić w nim wyrzuty sumienia. Nie zdecydował się pomóc jej wyłącznie po to, żeby zyskać zaufanie; zrobił to, bo nie mógł patrzeć na upodlenie swojej niedoszłej teściowej.

Kiedy wrócił tam następnego dnia, pakunek wciąż leżał pod drzwiami, ale z wyrysowaną na papierze swastyką wiszącą na szubienicy. Johann, patrząc na rysunek pomyślał, że jego szacunek do matki Hani wzrósł tysiąckrotnie.

Mimo wszystko nie zabrał paczki. Zostawił ją tam, gdzie była, z nadzieją, że pani Aniela któregoś dnia z niej skorzysta.

Kolejnym jego krokiem miały być odwiedziny u Lucyny Wolińskiej. Jednak nim zdążył to zrobić, los sam postawił bratową Hani na jego drodze.

Było gorące lipcowe południe, żar lał się z nieba. Miasto tonęło w mdłym smrodzie, który nadal pozostał w powietrzu po zlikwidowanym getcie, a większość ludzi spędzała czas nad brzegami Wisły. Johann jechał motocyklem w stronę Ochoty. Dwie przecznice od ulicy, na której mieściło się mieszkanie Lucyny, usłyszał wrzawę i nawołujące do porządku głośne niemieckie komendy. Domyślił się, że znowu zorganizowano łapankę. Chciał ominąć to miejsce i pojechać dalej, ale jakaś niewidzialna siła skierowała go w tamtą stronę. Nim się zorientował, dokąd jedzie, było już za późno, żeby zawrócić.

Znowu miał na to patrzeć. Znowu udawać, że wcale go to nie rusza.

Pot sperlił mu czoło, kiedy dostrzegł grupę kilkudziesięciu cywilów stojących pod ścianami kamienic. Kilku niemieckich żołnierzy stało w rozkroku z wymierzonymi w ich kierunku karabinami. Obrazek rozpyływał się w parnym powietrzu.

Kiedy Johann podjechał bliżej i zatrzymał motocykl, młody dwudziestoparoletni porucznik zaszalutował, oddając mu honory.

– Co się dzieje, poruczniku? – zapytał von Richter.

Starał się, żeby jego głos brzmiał twardo i pewnie, ale nie patrzył na zbitych w grupę Polaków. Nie chciał widzieć ich drżenia ani strachu. Najgorsze było ich nieme błaganie, które prześladowało go każdej nocy. Z każdego snu budził się w koszmarnej majakach.

– Nic, panie kapitanie. Robota jak co dzień. Pokazujemy tym polskim ścierwom, gdzie ich miejsce.

– Zamierzacie ich rozstrzelać?

– Mamy rozkaz wywózki.

– Dokąd?

– Tego nie wiem, panie kapitanie. To rozkaz komendanta.

Johann poczuł, że upał mocno daje mu się we znaki. Czuł przyspieszone bicie serca. Mimochodem zerknął na Polaków i zamarł z nagłej trwogi. W pierwszym rzędzie, naprzeciw żołnierza z wycelowanym w jej stronę karabinem, stała Lucyna Wolińska. Była

przygarbiona ze strachu i obejmowała ramieniem kilkuletniego chłopca. Domyślił się, że to Janek. Oczy zaszyły mu mgłą gniewu i nagłej rozpacz. Nie wiedział, co robić. Wiedziony instynktem, energicznie zszedł z motocykla i doskoczył do przerażonej kobiety, po czym na oczach zdumionych żołnierzy chwycił ją gwałtownie pod brodę. Po raz kolejny dziękował w duchu za swoją rangę, że mógł to zrobić, nie tłumacząc się przed szeregowymi i niższym stopniem porucznikiem.

– Co to ma znaczyć?! – ryknął głośno z całą złością, na jaką było go stać.

Przerażona Lucyna popatrzyła mu w oczy. Poznała go. Chłopiec stojący przy niej zaczął płakać.

Johann nie wiedział, co robi, ale zdawał sobie sprawę, że w tej chwili liczą się minuty, a nawet sekundy, jeśli chciał uratować te dwa ludzkie życia.

– O co chodzi, panie kapitanie? – zapytał porucznik.

– Co ta kobieta tu robi?

– Chyba nie muszę panu tłumaczyć, kapitanie, że zgarnęliśmy ją z ulicy.

Johann cały czas patrzył Lucynie w oczy. W końcu odwrócił się do zaskoczonego żołnierza.

– Zgarnęliście z ulicy porucznika? A czy patrzycie nieraz, kogo zgarniacie?

– Nie rozumiem, kapitanie.

Johann zrobił gniewną minę.

– Otóż już panu tłumaczę, poruczniku! Ta pani jest narzeczoną kapitana Kauffmanna!

– Kogo kapitanie?

– Kapitana Gustava Kauffmanna! – wrzasnął Johann prosto w twarz zdezorientowanego oficera.

– Nie znam, kapitanie...

– Ale ja znam! I mogę pana zapewnić, poruczniku, że jeśli wywieziecie gdziekolwiek tę panią i to dziecko, to jutro możecie się pakować na front!

Porucznik zdumiony i kompletnie zdezorientowany spojrzał na Lucynę, która drżała na całym ciele. Pochyliła się jeszcze bardziej

nad swoim synem, jakby próbowała zakryć go całym ciałem. Johann widział, że tylko siłą woli i strachu powstrzymuje szloch. Patrzył teraz na nią, bliski rozpacz, i modlił się w duchu, żeby nie odezwała się słowem, bo nie wiedział, czy posługuje się płynnie niemieckim. A jeśli porucznik odkryłby prawdę, oboje byliby straceni, a wraz z nimi mały Janek.

– Ta pani nic nie mówiła, że jest narzeczoną niemieckiego oficera.

– A co miała mówić, skoro żołnierz celuje w nią z karabinu? Nie widzi pan, poruczniku, że jest przerażona? Proszę natychmiast uwolnić tę kobietę i jej dziecko! To rozkaz!

Porucznik bez słowa skinął ręką, dając Lucynie znak, by odeszła.

Kobieta zrobiła krok do przodu jak marionetka, wyraźnie sparaliżowana lękiem.

Johann, niewiele myśląc, podszedł do niej i złapał ją pod ramię.

– Odwiozę panią i jej syna do domu – rzekł ściszym głosem.

Niemo skinęła głową i pozwoliła podprowadzić się do motocykla, gdzie Johann pomógł jej wsiąść do bocznego wózka. Chłopca posadził na jej kolanach.

Ludzie stłoczeni pod ścianą milczeli. Dopiero gdy Johann odpalił motocykl, ktoś krzyknął:

– Kolaborantka!

Zamilkł jednak po szybkim strzale w głowę.

Johann czuł bolesny ucisk w klatce piersiowej. Chciał jak najszybciej uciec, znaleźć się jak najdalej od tego parszywego miejsca. Jechał jak szalony przez puste ulice, wyludnione z powodu łapanek. Zatrzymał się dopiero w malutkim parku, tuż przy kamienicy, w której mieszkała Lucyna. Nie chciał podjeżdżać pod sam dom, żeby nie wzbudzać niepotrzebnej sensacji.

Kobieta siedziała skulona z dzieckiem w ramionach. Mały przestał już płakać. Najwyraźniej jazda motorem sprawiła mu frajdę, bo patrzył na Johanna roziskrzonymi oczami.

– Jest pani wolna – powiedział spokojnie Johann.

Lucyna popatrzyła na niego błękitnymi oczami. Przerazenie powoli zamieniało się w zdumienie. Jej wargi drżały, kiedy próbowała lekko się uśmiechnąć.

– Dziękuję – wyszeptała po niemiecku.

Zsiadł z motocykla i pomógł jej wstać. Miał nadzieję, że nikt ich nie obserwował. Nie chciał sprowadzać na nią niepotrzebnych problemów. Już i tak miała ich aż nadto.

Lucyna dość szybko doszła do siebie. Wygładziła fałdy letniej sukienki i odruchowo poprawiła blond włosy, związane na karku tasiemką. Jej oczy cały czas uciekały w stronę syna, który najwyraźniej nie zamierzał wysiadać z wózka, bawiąc się w nim w najlepsze.

– Czy wie pani, gdzie jest Hania? – zapytał Johann bez ogródek, wprawiając ją tym w zdumienie. – Nie zrobię jej krzywdy. Chcę ją tylko odnaleźć.

– Nie wiem. Nie widziałam jej od kilku tygodni.

– Wie pani, gdzie mieszka?

Lucyna pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Nigdy mi nie zdradziła nowego adresu. Sama do mnie przychodzi.

– Czy jest teraz w Warszawie?

– Nie wiem. Musi mi pan uwierzyć, naprawdę nie wiem.

Johann skinął na znak, że rozumie, czując, jak jego serce rozpada się na kawałki. Jak miał Hanię odnaleźć, skoro wszyscy odwracali się od niego, bo był pieprzonym szwabem?!

Bez słowa wziął malca pod pachy i wyjął z wózka. Uderzyło go, jaki był lekki i delikatny.

– Chętnie pani pomogę – rzekł, kiedy chwyciła Janka za rączkę.

– To niemożliwe. Jest pan Niemcem.

Jakże wydała mu się dumna i piękna, kiedy z taką stanowczością wypowiedziała to zdanie. Nie miał wątpliwości, że była godną żoną polskiego żołnierza.

– Jeśli jednak będzie pani czegoś potrzebować... Proszę mnie znaleźć. Mieszkam na Marschallstrasse10.

Niemo skinęła głową, nie patrząc mu już w oczy.

Johann wsiadł na motocykl i odpalił silnik. Kiedy chciał ruszyć, usłyszał jej głos.

– Jeśli spotkam Hanię, powiem, że pan jej szuka.

[11] Szkolenia kobiet na zachodzie do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, podlegającej pod Polskie Siły Zbrojne, w rzeczywistości zaczęły się dopiero od lipca 1944 roku.

[12] Nazwa i organizacja „Gladiatorzy” są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do innej organizacji przypadkowe i niezamierzone.

ROZDZIAŁ 22

lipiec 1943

Kielce

– Byłem pewien, że jeszcze się spotkamy, panno Wolińska, choć liczyłem, że nastąpi to nieco szybciej.

Hauptsturmführer Reinhard Krüger w niedbalej pozie opierał się o blat obscurnego biurka, spoglądając z góry na siedzącą na krześle Hanię. Jego mundur oficera gestapo był nań nieco za duży. Nie umknęło jej uwagi, że przez ostatnie cztery lata Krüger bardzo się postarzał i schudł, jakby trawiła go jakaś choroba. Spojrzenie miał przenikliwe, świdrujące i rozgorączkowane. Łysiejącą czaszkę oświetlała zwisająca z sufitu brudna żarówka.

– A może już nie panna? Jest pani mężatką? – Mówiąc to, bawił się odruchowo skórzanym pejczem, który trzymał w dłoni.

– Nie – odparła sucho, patrząc mu w oczy.

Odkąd ją i Waleriana aresztowało gestapo, wiedziała, że ich misja powrotu do Warszawy jest już stracona. Żałowała tylko, że było tak blisko i że pieniądze, które z „Ptaszyną” wieźli, nie dotrą do polskich żołnierzy. Zostały natychmiast skonfiskowane przez gestapowców. Jednak najbardziej doskwierała jej myśl, że nie zdążyła powiedzieć Lucynie o śmierci Janka. Nie pochowają go jak należy – z honorami. Całą jej otuchę w obecnej sytuacji stanowił fakt, że miała w nogawce spodni wszytą fiolkę z cyjankiem. Walerian też miał, ale nie spodziewała się, żeby zechciał jej użyć.

Rozdzielili ich natychmiast po przewiezieniu obojga na posterunek gestapo w Kielcach. Hania nie spodziewała się, że „Ptaszynę” oszczędzą, ale martwiła się tym, że Walerian może nie wytrzymać

tortur. Bo co do tego, że potraktują go źle – bardzo źle – nie miała wątpliwości.

Siedziba gestapo okazała się być obskurną kamienicą, która w swoich czeluściach skrywała nie mniejsze okrucieństwo niż to, które czaiło się na warszawskim Pawiaku czy na Szucha.

Dla Hani skończyły się już kurtuazyjne pogawędki z Hauptsturmführerem, które prowadziła cztery lata temu na posterunku w Monachium. Wiedziała to. Nie była tylko pewna, czy jest fizycznie gotowa na to, co Reinhard Krüger zamierzał jej zrobić. Bo czy można być przygotowanym na okrucieństwo i ból?

Z uwagą oglądała szare ściany pokoju, w którym ją trzymali. Niektóre miejsca na popękany beton miały plamy od zaschniętej krwi. Najgorsza była jednak podłoga – lepiała się od brudu. Ilu ludzi zostawiło tu swoje ślady? Ilu tu skatowano, żeby stworzyć te imponujące świadectwa poprzednich kaźni? Smród w pokoju był nie do wytrzymania – mdlący, słodki, wywołujący odruch wymiotny.

– Jest pani nadal piękną kobietą, chyba nawet bardziej niż kiedyś. Lata pani służą. Szkoda byłoby taką urodę zhańbić albo nieumyślnie zniszczyć.

– Pan i panu podobni nie macie z tym problemu.

– Za kogo mnie pani uważa? Proszę mi wierzyć, że ciężko mi było słuchać tego, co działo się za drzwiami pokoju przesłuchań w Monachium. Ale nie mogłem interweniować. Hrabia von Richter miał swoje racje. Teraz nic podobnego nie musi się wydarzyć. Nikt pani nie dotknie. Wystarczy, że zacznie pani z nami współpracować, a obiecuję, że jeszcze dziś opuści pani areszt.

– Moja współpraca do niczego wam się nie przyda – rzuciła krótko.

– Tak pani myśli? Więc chyba pani siebie nie docenia, panno Haniu. A może powinienem mówić „Aniele”? Czy woli pani Charlotte Stötzner? Angela Neumann? Albo Sabine Wittelbach? Ile tego było?

Hania zmrużyła oczy. Widziała szeroki uśmiech na twarzy Krügera.

– Jest pani zaskoczona? Niepotrzebnie. Nie tylko wasze podziemie działa sprawnie. My musimy być krok przed wami, bo inaczej nie wygramy tej wojny.

Niedbale odwrócił się do biurka i sięgnął po leżącą na nim teczkę. Rzucił jej tę teczkę na kolana.

– Proszę. Niech pani czyta.

Hania otworzyła tekturową okładkę. Jej oczom ukazał się protokół personalny z jej imieniem, nazwiskiem i zdjęciem. To była ona sprzed czterech lat, kiedy przebywała w Monachium. Na jednym ze zdjęć spacerowała z Niną w Ogrodzie Angielskim, a na kolejnym siedziała w ogródku kawiarnianym z Johannem. Zakochani, przy malutkim stoliku, pochylali się czule ku sobie. Szczęśliwi, uśmiechnięci. Jakby szykowali się do pocałunku i jakby świat wokół nich nie istniał. Gorący pot oblał całe jej ciało, a wzruszenie tamowało oddech. Fala wspomnień uderzyła w nią z gwałtowną siłą, ale nie mogła dać tego po sobie poznać. Wolno przesuwając palcami kolejne papiery. Znalazła tam fałszywą legitymację NSDAP, kopie raportów, które wysyłała do Polski przed wojną, i list od Lucyny, który zabrało jej SS jeszcze w Gdańsku w trzydziestym ósmym roku. Najgorsze były jednak informacje dotyczące jej obecnej działalności – spotkania z niemieckimi oficerami i notatki służbowe dotyczące tych spotkań. Wiedzieli o niej dużo, a może wszystko. Nie była jednak pewna, ile wiedzą o jej towarzyszach z konspiracji, skoro ona sama nie знаła personaliów wielu z nich. W panice pomyślała o swojej łączniczce „Kaśce”, która odważnie prowadziła ją na wszystkie spotkania z chłopakami z oddziałów szturmowych. Pomyślała o tajemniczym „Murarzu”, o którym wiedziała tylko tyle, że był wyszkolonym w Szkocji cichociemnym, ale którego dzięki Bogu nigdy osobiście nie spotkała. To on dowodził większością zamachów na Niemców. Podobno był bliskim współpracownikiem generała „Grota”.

Drżącą dłonią zamknęła teczkę.

– I co pani powie?

– Macie doskonałych fałszerzy – rzekła, starając się, żeby jej głos brzmiał pewnie.

– Uważa pani, że te dokumenty są sfałszowane?

– Oczywiście. Prawdziwe jest tylko moje zdjęcie z Niną i Johannem von Richterem. Wiedział pan, że byłam narzeczoną hrabiego. Nigdy tego nie ukrywałam.

– Wiedzieliśmy również, że szpiegowała pani na rzecz Polski.

– To już chyba wyjaśniliśmy sobie cztery lata temu.

Krüger uśmiechnął się krzywo.

– Nadal pani temu zaprzecza?

– Oczywiście.

Znowu zaczął obracać w palcach pejcz. Hania zastanawiała się, kiedy go użyje.

– Jak pani wyjaśni to, że właśnie wracała pani z Londynu z polskim pułkownikiem i torbą pełną angielskich funtów, udając niemiecką arystokratkę?

– A jak inaczej pana zdaniem miałam przejechać przez teren Rzeszy? Jako Polka Hanna Wolińska? – zapytała z drwiną.

– Nie bała się pani aresztowania?

Kobieta parsknęła.

– Przecież mnie aresztowaliście!

– Nie tak brzmiało moje pytanie.

Nie odpowiedziała. Patrzyła mu w oczy, mimo że świdrował ją wzrokiem z coraz większą satysfakcją. Osaczał ją jak myśliwy zwierzynę i wiedział o tym. Nie miała wątpliwości, że lata wojny zrobiły z niego wytrawnego sadystę.

– Skąd mieliście te pieniądze?

– Jakie pieniądze?

– Dwieście tysięcy funtów w torbie.

Hania gwizdnęła przeciągle.

– Nieźle. Tyle tam było?

– Nie wiedziała pani o tym?

– Oczywiście że nie. Nie zaglądam ludziom do bagaży.

Hauptsturmführer westchnął z irytacją.

– I tak się tego dowiemy od waszego towarzysza, więc lepiej dla pani i dla niego samego, jeśli mi pani powie teraz. Zaoszczędzi mu pani bólu.

– Ale co mam powiedzieć?

– Kto wam dał te pieniądze? Komu mieliście je przekazać?

– Nie wiem. Ja miałam tylko torebkę z dokumentami i walizkę z rzeczami pierwszej potrzeby, która została w pociągu.

– Z tą listą. – Rzucił jej w twarz kartkę z nazwiskami ofiar katyńskich. – Skąd pani to ma?

– Czy ta lista jest tajna? Sami opublikowaliście nazwiska tych, których udało się zidentyfikować.

– Skąd pani to ma?! – tym razem ryknął tak głośno, że aż podskoczyła na krześle.

Przełknęła ślinę. Spuściła głowę, żeby na niego nie patrzeć, ale chwycił ją pod brodę. Na jego twarzy malował się barbarzyński uśmiech.

– Posłuchaj mnie, ty polsko-żydowska dziwko, wiemy o tobie wszystko! Wiem, co robiłaś z takimi jak ja. Podobało ci się? Niemiec ci przypasował? – Zesztywniała, kiedy ścisnął mocniej jej podbródek.
– Ze mną zatańczysz inaczej, aniołku.

Czekała na cios, ale uderzenie nie nastąpiło. Krüger odsunął się od niej i zaczął krążyć po pokoju, pieszczotliwie przesuwając dłonią po pejczu.

– Ponawiam pytanie: skąd masz tę listę? Z kim spotkałaś się w Londynie?

– Z nikim.

Mężczyzna przystanął.

– Nie wiem, czy doszły cię słuchy, ale trzy tygodnie temu aresztowaliśmy w Warszawie waszego dowódcę.

Hania drgnęła nieznacznie.

– Kto jest waszym dowódcą? – zapytał ostro.

– Nie mam żadnego dowódcy.

– Kto jest waszym cholernym dowódcą?! – wrzasnął, aż zadzwoniło jej w uszach.

– Nie znam żadnego dowódcy!

Dopadł do niej i z zaciśniętą w złości szczęką złapał ją za włosy jak szmacianą lalkę. Zabolało tak bardzo, że straciła oddech.

– Generał Stefan Rowecki. Coś ci to mówi, aniołku?

Nim zdążyła odpowiedzieć, kopnął okutym butem z całej siły w krzesło, na którym siedziała. Runęła jak długa na brudną posadzkę.

* * *

Johann obudził się z potężnym kacem. W głowie dudniło mu od silnego, pulsującego bólu. Poprzedni wieczór spędził u gubernatora Fischera zaraz po tym, jak w mieście skończyła się odgórna akcja aresztowania ludności cywilnej. Obława miała dotyczyć wyłącznie członków polskiego podziemia, ale ponieważ nie znali personaliów większości z nich, aresztowali ludzi jak popadło, licząc na to, że ktoś wreszcie sypnie. Johann nie mógł się z tego wywinąć, choć na wszystkie sposoby starał się znaleźć sobie inne wystarczająco ważne zajęcie w garnizonie, które pozwoliłoby mu nie brać udziału w tym okrucieństwie. Niestety, komendant Fritz Rossum nakazał zaangażować w akcję wszystkie siły wojskowe, chcąc przestraszyć Polaków i wywołać ogólną panikę w mieście. Johann był zmuszony dowodzić jednym z niewielkich oddziałów na Mokotowie, który tego dnia aresztował dziesiątki niewinnych cywilów. Parzył, jak jego żołnierze wywlekają ludzi z mieszkań i ładują na ciężarówki, upychając do środka łufami od karabinu. Zabronił żołnierzom strzelać – choć tyle mógł zrobić, żeby zagłuszyć wołające o pomoc sumienie. Co innego było wydawać rozkaz ognia na froncie, a co innego pozwolić na zastrzelenie na ulicy cywila.

Po wszystkim pojechał do gubernatora na kameralne przyjęcie, z którego wrócił otumaniony alkoholem i zapewne czymś jeszcze, co dosypano mu do kieliszka, żeby był w stanie się rozluźnić. Zaczął podejrzewać, że ból głowy jest spowodowany skutkiem ubocznym Pervitinu, który podawano żołnierzom na froncie. W Warszawie szeregowym również zdarzało się zażywać narkotyki, więc być może i jego ktoś naumyślnie poczęstował tym specyfikiem. Film mu się urwał i nie wiedział, jak dotarł do swojego mieszkania.

Świat wirował mu przed oczami, kiedy ślaniając się na nogach, przerzucił niedbale swoją skromną garderobę w celu znalezienia czegoś czystego, co nie byłoby przesiąknięte zapachem potu i alkoholu. Następnie próbował się ogolić. Kiedy tylko wziął do ręki brzytwę, usłyszał ciche pukanie do drzwi. Zdumiało go to, bo nie spodziewał się żadnych odwiedzin.

Wstał z krzesła zbyt gwałtownie i zaciął się brzytwą w policzek. Syknął z bólu, po czym wrzucił brzytwę do cynowej miski.

Nie wierzył własnym oczom, kiedy w drzwiach zobaczył Lucynę Wolińską.

– To pani?

Miała kwiecistą chustkę na głowie i kolorową sukienkę. Jej błękitne oczy pałały gorączkowym żarem.

– Mówił pan, że gdybym potrzebowała pomocy... to mogę przyjść – powiedziała niepewnie.

Widział, ile trudu kosztowało ją to, żeby stanąć w jego drzwiach. Ile emocji i zdeptania własnej godności. Wszystko to wyraźnie miała wypisane na drobnej twarzy.

– Oczywiście, proszę wejść.

Przyłożył ręcznik do zranionego policzka, żeby zatamować krew, i odsunął się, by wpuścić ją do mieszkania. Weszła i stanęła w progu, najwyraźniej nie śmiąc iść dalej.

Johann zakłopotany odchrząknął parę razy.

– Nie miała pani problemów, żeby tu trafić?

– Miałam. Zatrzymał mnie patrol, ale powiedziałam im, że... idę do pana, więc mnie przepuścili – mówiąc to, zaczerwieniła się po czubek głowy.

Johann skinął głową. Gestem zaprosił ją, żeby weszła dalej.

Nikogo nie dziwiło, że niemieccy żołnierze sypiali z polskimi kobietami, choć oficjalnie było to zabronione. Jednak wojna rządziła się własnymi prawami. Najwyraźniej patrolujący wzięli Lucynę za jedną z takich kobiet.

– Co panią do mnie sprowadza? Jak mogę pani pomóc? – zapytał, kiedy usiadła na jednym z krzesel.

Na szczęście w salonie panował względny porządek, bo Johann nie lubił bałaganu, a że przebywał w mieszkaniu wyłącznie wieczorami, spędzając czas przy biurku i przenosząc się na noc do sypialni, nie miał okazji szczególnie nabałaganić. A brudne ślady swojego pijaństwa szybko usuwał, wstydząc się tego upodlenia przed sobą samym.

– Nie zabiorę panu dużo czasu, bo muszę wrócić do syna. Nie zostawiam go nigdy na długo, bo boję się, że pod moją nieobecność... – Głos uwiązł jej w gardle. – Przepraszam – wyszeptała, próbując się opanować.

Johann usiadł na drugim krześle. Głowa pulsowała mu tak bardzo, że czuł napływające mdłości, a ze zranionego policzka sączyła się krew.

Przyglądał się Lucynie uważnie. Prawie w niczym nie przypominała tej uroczej, słodkiej dziewczyny, którą poznał, gdy spotkali się przed wojną w dniu chrzcina małego Janka. Teraz była przeraźliwie chuda, podobnie jak matka Hani, a na jej twarzy rysował się głęboki smutek. Przeżycia wojny wyraźnie zabrały jej dziewczęcą urodę. Było mu przykro, że spotykają się w takich okolicznościach i że haniebny los sprawił, iż nie stali się rodziną. A tak by było, gdyby zdołał ożenić się z Hanią.

– Wiem z pewnego źródła, że Hania tydzień temu została aresztowana przez gestapo. Trzymają ją w areszcie w Kielcach.

Johann miał wrażenie, że ziemia nagle usuwa mu się spod nóg. Pociemniało mu w oczach, a zawroty głowy przybrały na sile.

– Skąd pani to wie?

– Tego nie mogę panu zdradzić. Wiele ryzykuję, przychodząc z tym do pana, ale nie miałam innego wyjścia. Jeśli jest pan w stanie zrobić coś, żeby gestapo przeniosło ją z Kielc do Warszawy, to proszę to zrobić. Tutaj są ludzie, którzy mogą ją uwolnić.

Johann schował twarz w dłoniach. Myśli w szaleńczym galopie przemykały mu przez głowę. Strach mieszał się z nadzieją, rozpacz z radością. Wreszcie wie, gdzie ona jest. Hania! Jego Hania!

Kiedy podniósł wzrok, Lucyna stała już gotowa do wyjścia.

– Czy mogę na pana liczyć? – zapytała rzeczowym tonem.

Jak oparzony zerwał się na równe nogi i dopadł do niej w sekundę. Padł przed Lucyną na kolana i w nagłym przypiływie emocji złapał za fałdy jej sukienki.

Nie przestraszyła się. Stała spokojnie i patrzyła na niego bez słowa.

– Tak! Na Boga tak! Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją tu sprowadzić, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię!

– Proszę się tak nie ekscytować – skarciła go z powagą. – Żołnierzowi to nie przystoi.

Czy był żołnierzem? Nie! Był zbolałym wrakiem dawnego młodziana, który naiwnie myślał, że świat stoi przed nim otworem. To

było, zanim zaczął pozbawiać Żydów dachu nad głową i jednym podpisem wysiedlać ich dokądś, skąd nie było już powrotu. To było, zanim dał się omamić brutalnym słowom politycznych popleczników Hitlera, stając się bezwolnym pionkiem w ich morderczej grze. To było, zanim zastrzelił pierwszego człowieka na froncie. Kim był teraz? Potworem? Przecież nigdy w tę wojnę nie wierzył. Brednie o wielkości Trzeciej Rzeszy uwierały go od samego początku. Więc dlaczego na to pozwolił? Dlaczego zostawił kobietę swojego życia i pozwolił wciągnąć się w szeregi zbrodniczej armii? Czy teraz Hania miała za to zapłacić, więziona w murach gestapo?

Opanował się wreszcie na tyle, na ile pozwalały mu nerwy, i podniósł się z klęczek. Lucyna nie patrzyła na niego, jakby zawstydziła ją ta chwila jego słabości.

– Proszę chwilę poczekać – mruknął. Wyjął z szafki tabliczkę czekolady. – Proszę dać to małemu Jankowi. Jeśli czegoś pani potrzeba... Proszę się nie krępować.

Przyjęła od niego czekoladę z cichym podziękowaniem i wyszła.

* * *

Hania wyobrażała sobie, że tańczy z Johannem tango, jak przed pięciu laty w Gdańsku. Tylko teraz było inaczej. Dała mu się porwać. Całą sobą poddała się ukochanemu. Już nie chciała przed nim uciekać – pragnęła z całą mocą, żeby trzymał ją w ramionach i nigdy z nich nie wypuścił. Czy można kogoś tak mocno kochać? – pytało jej serce, obolałe od nadmiaru emocji. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to nie serce ją boli, lecz ciało.

Powoli otworzyła powieki. Znowu miała nad sobą przytłumione światło zwisającej z sufitu żarówki. Leżała na twardej, śmierdzącej posadzce. Posadzili ją na krześle, ale nie zdołała utrzymać ciała w pionie i spadła z siedzenia, a chwilę później zemdląca.

Jakże znowu pragnęła zamknąć oczy i wyobrażać sobie, że tańczy z Johannem. Będąc z nim, nie czuła bólu, ciało nie paliło jej żywym ogniem przy każdym najlżejszym ruchu, bo odpływała w inny świat. Piękny świat.

– Wstawaj! – Krüger chwycił ją za bezwładne ramię, prawie wrywając jej rękę za stawu.

Jęknęła, bo tylko tyle zdołała z siebie wydobyć.

Szamotał nią jak kukłą, sadzając ponownie na krześle. Pochylił się nad Hanią i zajrzał jej w oczy, a następnie poklepał ją energicznie po policzku.

– Jesteś tu ze mną? – zapytał szybko, jakby cokolwiek go to obchodziło. – Ocknij się, bo będziesz miała gościa. – Wyprostował się, podtrzymując ją jedną ręką na krześle. – Wody dla pani!

Jeden z szeregowych przyniósł szklankę wody, a Krüger przyłożył szkło do jej ust. Piła łapczywie, aż zachłysnęła się i zaczęła kaszleć.

– Chcę papierosa – wyszeptała ledwo dosłyszalnym głosem.

– Papieros!

Podał jej odpalonego skręta. Zaciągnęła się dymem i westchnęła. Poczowała ulgę.

Dzięki Bogu nie uszkodzili jej twarzy – mogła ruszać ustami, widziała i nie wybili jej zębów. Nie mogła za to poruszać dłońmi, bo Krüger raz za razem przydeptywał je obcasami okutych butów. Robił to w przerwach, kiedy jej nie kopał i kiedy nie smagał jej pejczem.

Nie torturowali jej bez ustanku. Pozwalali jej dojść do siebie w celi, kiedy traciła kontakt z rzeczywistością, a później znowu wracali do zabawy. Bili ją na zmianę – Krüger albo jego poplecznik Franz Hellinger, i za każdym razem powtarzali, że przestaną to robić, a nawet zawiozą ją do szpitala, jeśli tylko wyrazi chęć współpracy. Jak dotąd, nie wyraziła chęci.

Nie powiedzieli jej, co zrobili z Walerianem. Czuła jednak, że potraktowali go dużo gorzej niż ją.

Raz jeden, kiedy na wpół przytomna leżała w celi, przyszedł do niej strażnik i ledwo słyszalnym głosem wyszeptał, żeby wytrzymała – że to rozkaz pułkownika.

– Zaraz będziesz miała gościa. Przyjdzie ktoś, kto bardzo chce się z tobą zobaczyć. Ta osoba przyjechała tu wyłącznie dla ciebie, więc zachowuj się jak należy. – Głos Krügera docierał do niej jakby z daleka.

– Znowu Hans von Richter? – wychrypięła z sarkazmem.

– Nie. Tym razem to ktoś zupełnie inny. Będiesz siedziała prosto czy mam cię przywiązać do krzesła?

Nie odpowiedziała. Głowa bezwładnie opadła jej na piersi.

Nadal miała na sobie te same ubrania, w których ją aresztowali, ale teraz były brudne i poszarpane od uderzeń pejcza. W wielu miejscach materiał przykleił się do zaschniętej na ciele krwi. Kilkakrotnie próbowała wymacać w nogawce fiolkę z trucizną i za każdym razem z ulgą upewniała się, że wciąż tam jest. Nadal jednak nie miała odwagi jej użyć. Nadal pragnęła żyć.

Drzwi pokoju otworzyły się i ktoś wszedł do środka. Hania poczuła woń eleganckich perfum. Siłą woli podniosła głowę i spotkała się wzrokiem z Susanne Schneidhuber.

– To ty? – wycharczała.

– A kogo się spodziewałaś? Swojego rycerza na białym koniu? – Twarz Niemki wykrzywił grymas nienawiści. – On nawet nie wie, że tu jesteś. Nie wie, że zdechniesz tu jak pospolita szmata. Spójrz na siebie! Piękna księżniczka! Panna Wolińska! Kurwa niemieckich oficerów!

W Hani narastał gniew. Z goryczą przyglądała się smukłej kobiecie, ubranej w elegancki kostium i pantofle na obcasach. Susanne była niczym egzotyczny ptak w tym brudnym, śmierdzącym pokoju. Biła od niej aura wyższości, władzy, nieskrępowanej pewności siebie i czegoś jeszcze, co można było zdefiniować jako zwykłą chęć zemsty.

– Co tu robisz? – zapytała Hania słabym głosem.

– A jak myślisz? Panowie z gestapo byli tak uprzejmi, że zechcieli zachować cię w jednym kawałku specjalnie dla mnie. Wiedzieli, jak bardzo zależy mi na tym, żeby móc spojrzeć ci w oczy i wyjaśnić, dlaczego tu jesteś. Zanim jednak przejdziemy do meritum, Hauptsturmführer Krüger chciałby wiedzieć, czy może zmieniłaś zdanie i postanowiłaś nawiązać z nami współpracę. Dobro Rzeszy jest ważniejsze od moich osobistych porachunków, jestem więc gotowa przystać na pewne ustępstwa względem twojej osoby. Oczywiście jeśli zechcesz złożyć nam przysięgę wierności.

– Wam? To znaczy komu?

Wyszminekowane usta Susanne rozciągnęły się w ironicznym uśmiechu.

– Panna Schneidhuber jest agentką Abwehry – rzekł Krüger spokojnym tonem. – Współpracuje z niemieckim wywiadem od ponad siedmiu lat. Ty byłaś na celowniku od początku, gdy tylko zorientowano się, że jesteś niebezpiecznie blisko niemieckich polityków. Nikt, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, nie wierzył, że nie wykorzystasz swojej pozycji narzeczonej hrabiego do udzielania informacji Polsce.

– To bzdura...

– Czyżby? – Susanne prychnęła. – Dość szybko zgodziłaś się szpiegować dla Polski, kiedy poproszono cię o to w Monte Carlo.

– Skąd o tym wiesz?

– Bo to ja wszystko zaplanowałam! Oczywiście konsul Oxner nie miał o niczym pojęcia. Myślał, że namawiając cię do współpracy, działa dla dobra Polski.

Hania poczuła, że coś boleśnie ściska ją w gardle. Nie chciała wiedzieć, co było dalej. Domyślała się, ale wolała nie wiedzieć.

– Byłaś tak głupio naiwna! Oczywiście musieliśmy ponieść pewną stratę i pozwolić ci na przekazywanie raportów do Polski, ale to był jedyny sposób, żebyś zdobyła zaufanie w Polsce i stała się naszą wtyczką.

Hania zacharczała. Powoli traciła oddech. Krüger, widząc, co się dzieje, wsadził jej w usta papierosa i pozwolił zaciągnąć się tak mocno, że zakręciło jej się w głowie.

– Kto mnie zdradzał? Kto z wami współpracował? – wychrypiła.

– Moja przyjaciółka z Wiednia. Studiowałyśmy razem na Akademii Sztuk Pięknych. Hrabina Karolina Nałęczowska, a dokładniej Karolina Leśniewska. Tytuł i nazwisko uzyskała wyłącznie dzięki mężowi. Niezwykle oddana niemieckiej sprawie, przekazywała nam wszystko, czego zdołała się o tobie dowiedzieć. Chyba nie muszę ci mówić, od kogo te informacje wyciągała. Przykro ci? Niepotrzebnie. Karolina to wytrawna aktorka, potrafi omamić każdego. Nawet twojego pułkownika. Wiesz, że on chyba naprawdę się w niej zakochał?

Hania zaczęła drżeć na całym ciele. Bolało ją wszystko, a zwłaszcza serce. Łkała w myślach, żałując Waleriana i przepraszając go za to, że dała się w to wciągnąć, że była tak głupia i łatwowierna. Że przez nią został zdradzony, a być może już nie żył.

– Co mu zrobiliście?

– Za mało, biedak nadal żyje. Szkoda tylko, że nie jest już tak przystojny jak kiedyś.

Po raz pierwszy z piersi Hani wydobył się szloch. Próbowwała go stłumić, ale nie mogła. Z całych sił starała się zachować resztki godności, lecz cały jej żal nagle stłoczył się w tym jednym, targanym szlochu. Miała stępione zmysły, nie zauważyła więc, że Hauptsturmführer wyszedł z pokoju. Wrócił po chwili ciągnąc za sobą coś, co zapewne nie tak dawno temu można było brać za człowieka.

Hania na widok „Ptaszyny” zaczęła wyc – głośno i przeraźliwie, niczym ranne zwierzę. Oderwała się od krzesła i siłą woli dopadła do Waleriana. Nie widział jej, bo jego zmasakrowana twarz zalana była krwią. Połamane ręce zwisały przy nim bezwładnie pod dziwnym kątem. Hania złapała go za poły porwanej koszuli i przytuliła mocno, łkając spazmatycznie. Jego oddech był ledwo wyczuwalny, a skatowane ciało przypominało krwawą masę.

– Zabiłem ją – wyszeptał po chwili tak cicho, że z trudem zdołała go usłyszeć. – Karolinę...

– Pułkownika...

– Wyciągną cię z tego... Tylko przeżyj...

– Pułkownika... – łkała głośno.

– Kocham cię, mała...

Krüger pociągnął go za ramiona i wywłókł z pokoju. Hania została na podłodze, skulona, obezwładniona rozpaczą.

Susanne podeszła do niej i czubkiem pantofla uniosła jej podbródek tak, żeby Hania na nią spojrzała.

– Chcesz skończyć jak on?

– „Jeszcze Polska... nie zginęła... póki my żyjemy...” – Słowa same cisnęły się Hani na usta, choć ciało drżało, rwane spazmami bólu.

Śpiewała, bo tylko tak mogła oddać pułkownikowi cześć. Śpiewała, dopóki Susanne nie wymierzyła jej siarczystego policzka.

– Jesteś głupia! – syknęła jej do ucha. – Po co ci te brednie? Po co ci ta Polska? Chcesz zgrywać bohaterkę? Jemu to obojętne! On już nie żyje!

Hani zaschło w gardle i zaczęła się dusić. Zabrakło jej powietrza. Susanne chlusnęła jej w twarz wodą ze szklanki.

– Z kim spotkałaś się w Londynie i po co?! – krzyknęła zapalczywie.

Hania krztusiła się i charczała. Skulona, przyciskała kolana do piersi. Drżenie objęło całe jej ciało tak, że w końcu zaczęła szczerkać zębami.

Susanne ukucnęła przed nią.

– Bądź grzeczną dziewczynką, a każę zabrać cię do szpitala. Jeszcze dziś. Odpowiedz tylko, kto wykonywał wyroki w Warszawie na niemieckich oficerach, których z takim zaangażowaniem wystawiałaś?

– Nie wiem...

– Nie wiesz... Więc może inaczej: kto działa w szeregach twojej organizacji konspiracyjnej?

– Już mówiłam... Nie wiem...

Susanne złapała ją pod brodę. Zwracając się do niej, zaciskała w złości szczękę.

– Nienawidzę cię, ty głupia dziwko, bo zabrałaś mi mojego mężczyznę, ale pozwolę ci żyć... Tylko gadaj! Próbuję ratować ci życie, nie widzisz tego?!

Hania w odpowiedzi resztkami sił splunęła jej w twarz.

ROZDZIAŁ 23

Mężczyzna przechadzał się powoli raz w jedną, raz w drugą stronę, zaciągając się papierosem. Jego ruchy były energiczne, ale bezszelestne. W ciemnym pomieszczeniu, które kiedyś było pokojem, a teraz tworzyło coś na kształt cmentarzyska pełnego gruzu, wyglądał jak postać nie z tego świata.

„Nieźle” – pomyślał Johann, rozglądając się uważnie. Doskonała kryjówka dla konspiratorów. Nikt, kto miał odrobinę oleju w głowie, nie zajrzałby w to ponure, opuszczone miejsce, śmierdzące beznadzieją i śmiercią, a już na pewno nie zaglądali tu Niemcy. Opustoszałą i kompletnie zrujnowaną dzielnicę Warszawy zostawili ostatecznemu unicestwieniu przez bandy rabusiów, bezwzględne siły natury i wszędobylskie szczury.

Johann, idąc w wyznaczone miejsce spotkania, natknął się na niedawne ślady ludzkiej egzystencji, tak brutalnie i nagle przerwanej wraz z pierwszą spadającą na to miejsce niemiecką bombą. To, co niegdyś stanowiło majątek mieszkających tu ludzi, a co jeszcze nadawało się do dalszej eksploatacji, już dawno zrabowali szabrownicy. Zostały smętne resztki popękanych łupin eleganckiego serwisu z porcelany, szerniały i podziurawiony abażur lampki nocnej, rzeźbiona noga od stołu, cynowy nocnik, połamane oprawki od okularów, dziurawy but. Wzrok Johanna zatrzymał się jednak na nadpalonej fotografii – brudnej od pyłu i kurzu, leżącej przy zwałonej ścianie dawnego pokoju. Przedstawiała rodzinę, zapewne mieszkającą tu przed wojną. Ojciec wyglądał dystyngowanie, górował nad rodziną powagą i dyscypliną. Matka – szczupła, ładna blondynka siedziała wyprostowana na krześle, z dłońmi złożonymi na kolanach, uśmiechając się lekko do fotografa. I dwie dziewczynki – jedna starsza, stojąca obok matki, z jasnymi włosami związanymi

tasiemką na karku, w skromnej pensjonarskiej sukience, i młodsza, z figlarnym uśmiechem na drobnej twarzączce i dwoma sterczącymi warkoczami, podpierająca się rączkami pod brodą o matczyne kolana.

Ta rodzina nie żyła – był o tym przekonany. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, włożył fotografię do kieszeni spodni.

Teraz obserwował mężczyznę, który w nadchodzącym mroku czekał na niego. Był jego potencjalnym wrogiem – członkiem polskiego podziemia, tego trójgłowego smoka, wrzodu na tyłku niemieckiej okupacji. I jednocześnie ten wróg był jedynym, który miał mu pomóc uratować Hanię. Ile determinacji i odwagi musiało się kryć w tym Polaku, skoro zdecydował się spotkać z Johannem tylko po to, żeby pertraktować warunki współpracy? A że mężczyzna nie był kolaborantem – tego von Richter był pewien. Tacy jak on nigdy nie kolaborowali. Woleli zginąć jak bohaterowie w oparach wiecznej chwały niż bratać się z nazistami. Tacy byli Polacy – wiecznie romantyczni mesjasze Europy, wywołujący na twarzach innych narodów kpiące uśmiechy.

Mężczyzna, słysząc nadchodzącego Johanna, zatrzymał się w pół kroku. Zaciągnął się ostatni raz papierosem i wyrzucił niedopałek przed siebie.

– Tak jak się umawialiśmy, liczę, że jesteś bez broni – rzekł po niemiecku.

Jego głos był suchy, podszyty podejrzliwością. Johann się temu nie dziwił. Sam nie ufał Polakowi, ale nie miał innego wyjścia, mógł tylko zaryzykować. Przyszedł bez broni i bez niemieckiego munduru. Wyglądał jak zwyczajny obwieś – statystyczny mieszkaniec wojennej Warszawy. Jednak taki był jeden z warunków spotkania. O wszystkim informowała go Lucyna Wolińska w krótkich grypsach przekazywanych mu przez wyrostków kręcących się wokół niemieckiej dzielnicy i riksarzy wożących niemieckich oficerów. Jakże się zdziwił, kiedy jeden z nich przyjechał po niego do garnizonu i upierał się, że odwiezie go do jego mieszkania. Chłopak nie chciał przyjąć odmowy – uparcie oferował mu usługę podwiezienia rikszą, aż w końcu Johann ustąpił. Kiedy byli już prawie na miejscu, riksarz zatrzymał się niespodziewanie

i przekazał mu zwiniętą karteczkę z wiadomością od Lucyny. Johann w zdumieniu bez słowa przyjął od chłopaka wiadomość i wręczył mu w podzięcie kilka reichsmarek.

Teraz podniósł ramiona w geście poddania.

– Nie mam broni – rzekł z powagą.

Polak kiwnął głową.

– Jeśli masz plan przysłać tu oddział esesmanów albo innych tobie podobnych, to wiedz, że zastaniecie tu tylko kupę kamieni.

– Wierzę. Gdybym chciał tu przysłać żołnierzy, już bym to zrobił. Rozumiem, że jestem teraz na muszce snajpera.

Polak zaśmiał się ironicznie.

– Za kogo mnie uważasz? Ty bez broni, więc ja też bez broni. I bez snajpera.

Mężczyzna powoli zbliżył się do Johanna, a ten w mig rozpoznał, z kim ma do czynienia, i zdumiało go to ogromnie. Władek Koterski w niczym nie przypominał dawnego młodzieńca, niegdyś narzeczonego Hani. Teraz Johann miał przed sobą mężczyznę – surowego i twardego, którego ostre rysy twarzy i sprężyste ciało wyciosała wojna. Nie miał wątpliwości, że Władek był żołnierzem, i to doświadczonym. Pewnie konspiracja nadała mu stopień oficerski, skoro stał przed nim jako przedstawiciel Armii Krajowej i patrzył na Johanna jak równy na równego.

W rzeczywistości Władek był cichociemnym w stopniu porucznika, który wyszkolony w Szkocji przybył do Polski latem czterdziestego roku. Wraz z nim skoczyło ze spadochronem dwóch innych cichociemnych – jeden z nich ulokował się w konspiracji w Krakowie, a drugi pojechał do Wilna. Władek, pseudonim „Murarz”, natychmiast po przybyciu do Warszawy wstąpił do organizacji „Gladiatorzy” pod dowództwem pułkownika Waleriana Kruszewskiego „Ptaszyny”. Równocześnie przejął dowództwo nad komórką mającą za zadanie likwidowanie niemieckich oficerów SS i gestapo. Przez cały czas wiedział, czym w konspiracji zajmuje się Hania, bo na rozkaz „Ptaszyny” chodził za nią jak cień. Śledził ją, gdy wchodziła z Niemcami do restauracji, kawiarni i klubów nocnych i gdy odwiedzała ich prywatne kwatery, wystrojona jak tania dziwka z kabaretu. Obserwował ją, kiedy wymykała się z tych mieszkań

z ukrytą kliszą fotograficzną wypełnioną zdjęciami na wagę złota, skradzionymi dokumentami, przepustkami i listami miłosnymi od kochanek, którymi później mogli delikwenta szantażować. Natomiast skradzione dokumenty i przepustki służyły im w konspiracji jako wzory do tworzenia fałszywek dla swoich ludzi. Hania wykonywała kawał dobrej roboty, narażając życie, wystawiając na szwank reputację, lecz nie zdając sobie sprawy, że Władek czuwał nad nią prawie zawsze. Podziwiał ją z daleka, drżał o jej życie, ale nigdy do niej nie podszedł, nie spojrzał jej w oczy, nie zostawił najmniejszego śladu swojej tożsamości. Tak było wygodnie i tak było bezpiecznie. Nie pragnął konfrontacji z nią, bo nie miał jej nic do powiedzenia. Wmawiał sobie, że wybaczył jej odejście i zdradę, ale bał się, że w rzeczywistości wciąż ma do niej ogromny żal i rozmowa mogłaby to ujawnić. Kierując się wyłącznie twardym kodeksem żołnierza, próbował jej nie kochać, ale serce to nie sługa – nie słuchało tego, co nakazywał rozum. Władek był gotowy pojechać z nią do Londynu – poprosił o to „Ptaszynę”, ale ten nie wyraził zgody, tłumacząc, że męczyzna ma zbyt emocjonalny stosunek do Hani, a to może ich zgubić. Poza tym dostali cynk od łączników polskiego wywiadu, że Hania od dawna była pod baczną obserwacją Abwehry. Niemiecką konfidentką, która przekazywała wszystkie informacje na jej temat, okazała się być hrabina Karolina Nałęczowska, z którą Hania utrzymywała stały kontakt, a która była równocześnie kochanką pułkownika Kruszewskiego. „Ptaszyna” – wściekły i upokorzony – chcąc wyrównać rachunki z hrabiną, sam zdecydował się pojechać z Hanią do Londynu. Wyrok śmierci na Nałęczowskiej, wydany przez dowództwo Armii Krajowej, wykonał osobiście, ale po wszystkim wpadł w ręce gestapo. A wraz z nim Hania.

– Jesteś zaskoczony? – zapytał Władek, nie kryjąc satysfakcji.

– Nie bardzo.

Władek uśmiechnął się z ironią.

– Życie pisze dziwne scenariusze, prawda? Obiecałem sobie kiedyś, że jeśli cię spotkam, to cię zabiję.

– Co cię powstrzymuje?

Patrzyli sobie przez chwilę w oczy. Mroziło ich to wzajemne spojrzenie, ale był to jedyny rodzaj pojedynku, jaki w obecnej

sytuacji mogli stoczyć. Na nic więcej nie mogli sobie pozwolić, jeśli chcieli ocalić kobietę, którą obaj kochali.

– Hania. Ona mnie powstrzymuje – rzekł Władek poważnym tonem. – Wiem od Lucyny, że podobno uratowałeś jej życie. I małemu. Zaufała ci i dlatego tu jesteś.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale nie lubię patrzeć na śmierć ludzi.

– To rzeczywiście dziwne, zważywszy na okoliczności, w jakich przyszło nam żyć. Ale założmy, że ci wierzę, bo inaczej nie byłoby mnie tutaj. Nie bratam się z Niemcami.

Johann kiwnął głową.

– Wiem.

– Wyjaśnijmy to sobie od razu – ciągnął Władek – jestem tu wyłącznie dla Hani. Zorganizujemy to i wyciągniemy ją z tego gówna, ale później... Zejdiesz mi z oczu. Narażam życie swoich chłopców i wiem, że ta akcja może być trudna, ale my nie zostawiamy swoich. Jeśli przyczynisz się do śmierci któregokolwiek z nich...

– To mnie zabijesz.

Władek przytaknął.

– Ale najpierw potraktuję cię tak, jak twoi kompani traktują naszych.

Johann nie spodziewał się innej odpowiedzi, ale też cenił szczerłość Władka. Uwierzyła go myśl, że to Władek miał wyciągnąć Hanię z więzienia, ale z drugiej strony wiedział, że sam nie może tego zrobić, bo z marszu skazałby ją i siebie na pewną śmierć. Co miał powiedzieć swoim przełożonym? Że żąda wypuszczenia z celi gestapo Polki oskarżonej o współpracę z polskim podziemiem? To było równoznaczne ze staniem przed plutonem egzekucyjnym.

– Rozumiem. Jednak ja też chciałbym coś wyjaśnić. Jeśli zamierzasz popisywać się swoją nienawiścią do wszystkiego, co niemieckie, narażając przy tym życie Hani, to z kolei ja zabiję cię.

Władek również zrozumiał. Usiadł na kawałku zwalonego stropu i odpalił kolejnego papierosa, nie kwapiąc się, żeby poczęstować Johanna.

– Akcją dowodzę ja – rzekł po chwili. – Ty jesteś tylko figurantem. Po tym, jak odbijemy Hanię, zabierzemy ją w bezpieczne miejsce.

– Czyli dokąd?
– Dowiesz się w swoim czasie. Potrzebujemy kilku niemieckich mundurów, pieniędzy i broni.

– Na kiedy?

Władek spojrzał Johannowi w oczy.

– Na jutro. Postaramy się wyciągnąć ją na spokojnie, bez strzelaniny, ale w razie czego musimy być gotowi. Pieniądze pójdą na łapówki dla strażników. Mamy tam jednego, który jest po naszej stronie. To od niego wiemy, w jakim stanie jest Hania.

– Czy ona...

– Nadal żyje. Tylko tyle wiem. Kojarzysz Reinharda Krügera? Podobno pieprzony sadysta.

Johann przypomniał sobie Hauptsturmführera gestapo, którego znał jeszcze z czasów przedwojennych. Elokwentny, elegancki, z doskonałymi manierami i równie elegancką żoną, dość często spotykał się z jego ojcem.

– Twoim zadaniem jest przekonać gestapowców, że więzień ma być przeniesiony do Warszawy – kontynuował Władek. – Zadzwonisz tam jutro, udasz kogoś i powiesz co trzeba. Reszta to nasza robota. Pojedziemy do Kielc pod przykrywką przetransportowania jej na Pawiak.

– Macie ciężarówkę?

Władek przytaknął.

– Mamy. Zdobyczną. Dla własnego dobra powinieneś wziąć parę dni wolnego, poprosić o urlop czy coś...

– Nie będzie z tym problemu.

Johann próbował ukryć emocje, które poczuł na wieść, że Hania żyje. Komendant Rossum już jakiś czas temu proponował mu wyjazd do domu, do Monachium, w ramach podreperowania – jak to ujął – nadszarpniętych nerwów. W rzeczywistości chyba chciał się Johanna pozbyć, bo nie darzyli się sympatią. Johann miał wrażenie, że komendant szuka na niego haka i nie dziwiłby się, gdyby to on skłonił któregoś z żołnierzy do podania mu Pervitinu. Być może próbował go skompromitować na oczach podwładnych. Teraz miał doskonałą sposobność udać, że chce wrócić do domu.

– Skąd mogę mieć pewność, że nie spalisz akcji? – zapytał w końcu ochryplym głosem.

– Taką, że mówi ci to polski oficer.

* * *

„On nie żyje! Nie żyje!” – te słowa wwiercały się w jej głowę z potężną siłą. Głos, który jej to mówił, był zimny, nienawistny i drwiący.

Hania leżała na twardej pryczy otępiąta bólem. Całe ciało paliło ją żywym ogniem i drżała w spazmach gorączki. Co jakiś czas uciekała w nieświadomość, ale w końcu znowu wracała do rzeczywistości, a tam czekała na nią tylko bezgraniczna rozpacz. Próbowła wymazać sprzed oczu obraz konającego Waleriana. Starła się przypomnieć sobie jego dotyk, jego czułe pocałunki, to uczucie ciepła, które jej ofiarował, kiedy trzymał ją w ramionach. Ale pamiętała tylko metaliczny zapach krwi i śmierci. Jęcząc, szarpała się na twardym posłaniu, a wtedy ból całego ciała dawał o sobie znać z potężną siłą.

Ktoś się nad nią pochylił. Poczowała czyjś smród – mieszankę potu, stęchlizny i trupa. Każdy tak tu śmierdział. Ten zapach wchodził w skórę, we włosy, nawet pod paznokcie. Z goryczą pomyślała, że ona już nie ma paznokci.

– Żyjesz? – To był ledwie szept, ale słyszała go wyraźnie.

Odpowiedzią był jej słaby jęk.

Znowu ją wezmą. I znowu to samo. Tym razem czuła, że już dłużej tego nie wytrzyma. Nie miała siły. Walerian nie użył trucizny, wytrzymał do końca, ale ona była tchórzem. Dołączy do pułkownika z uśmiechem na ustach, rozgryzając zębami kapsułkę z cyjankiem, chociaż prosił u schyłku swojego życia, żeby tego nie robiła.

– Jutro zabiorą cię do Warszawy. Żyj, a będzie dobrze.

„Ale ja już nie mogę” – pomyślała zmęczona.

Nie wiedziała, że strażnik więzienny jeszcze przez chwilę klęczał nad nią, upewniając się, czy nie uchodzi z niej życie. Z początku los kobiety był mu tak samo obojętny jak innych więźniów, których przewijają się tu setki. Ale kiedy ci z organizacji zaczęli mu płacić,

i to całkiem niezłe sumki, więźniarka stała się dla niego cenna i nawet obudziła w nim sentyment. „Każde pieniądze śmierdzą tak samo” – pomyślał. Więc co za różnica, czy brał je od swoich, czy od Polaków?

* * *

Zdobycie mundurów SS było dziecinnie proste. Przekupny szeregowy esesman, którego Johann poznał na jednym z rautów, bez mrugnięcia okiem przyjął od niego gruby plik niemieckich reichsmarek. Szeregowego nie obchodziło, po co Johannowi te mundury. „Oficer prosi i płaci, to oficer ma” – powtarzał z fałszywą służalczością.

Johann podczas tych kilku tygodni spędzonych w Warszawie przekonał się wielokrotnie, jak bardzo przekupni byli niemieccy żołnierze. Nie obchodziło ich, z kim handlują – ważny był pieniądź. W czasach wojny tylko to się liczyło i tylko to pozwalało przetrwać. Podczas gdy najwyższa władza i generałowie bogacili się na okradaniu majątków w całej Europie, szeregowi zyskiwali tylko tyle, ile sami zdołali w cwany sposób zarobić, nawet jeśli ten zarobek był zyskiem za nielegalny handel bronią z polskim podziemiem, za który groziła śmierć.

Mundury dostarczono Johannowi późnym wieczorem, tuż przed godziną policyjną. Równiutko złożone w kostkę w podróźnej walizce nawet nie wymagały odświeżenia. Prezentowały się idealnie. Jeden z tych mundurów przeznaczony był dla niego, a trzy pozostałe dla chłopaków z grupy Władka. Rano Johann musiał jeszcze tylko wykonać telefon do gestapo w Kielcach z rozkazem natychmiastowego przewiezienia więźnia do Warszawy. I jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Hania już jutro będzie bezpieczna. Tylko tyle i aż tyle.

Nie spał całą noc. Nawet jeśli udało mu się zdrzemnąć, po chwili budził się zlany potem i odrętwiały ze strachu. Próbował nie myśleć o Hani, chcąc zachować czysty umysł na to, co ich czekało, ale jej obraz sam uparcie do niego wracał. Raz widział ją piękną, uśmiechniętą, z rozwianymi włosami – taką, jaką oglądał ją na plaży

w Monte Carlo; za chwilę jednak umysł podsuwał mu wizję jej skatowanego ciała, z którego pomalutku uchodziło życie. Był bliski szaleństwa i czuł, jak pulsująco bolała go blizna po odniesionej ranie. Brakowało tylko tego, żeby dostał gorączkę. Miał ochotę wstać z łóżka i wypić butelkę wódki, jak to robił już wielokrotnie, chcąc zagłuszyć strachy w swojej głowie, ale tym razem musiał pozostać zupełnie trzeźwy.

Świt nadszedł szybko, lecz sama Warszawa budziła się do życia powoli. Johann spojrział przez szeroko otwarte okno na malowniczy wschód słońca, otulającego swoim dziewczym blaskiem maszerujący chodnikiem patrol Ordnungspolizei. Pomyślał, że bardzo nienawidzi tego świata. Gardził tą wojną, która wbrew jemu samemu wplątała go w brutalny świat odczłowieczenia i śmierci. Gardził samym sobą, że nie miał dość rozumu i odwagi, żeby sprzeciwić się temu, kiedy mógł jeszcze to zrobić. Podobnie jak inni stał się bezwolnym trybikiem w morderczej maszynie, która niszczyła ludzkość w najbardziej wyszukane i wyrafinowane sposoby. Przez niego i jemu podobnych Hania umierała w gestapowskim więzieniu, a on drżał ze strachu, czy uda mu się ją stamtąd wyciągnąć. Widział więźniów torturowanych przez gestapo. Niejednokrotnie próbował przypomnieć sobie, po co to robią? Kto wydaje te rozkazy? I popadał w jeszcze większe przerażenie, a następnie odrętwienie spowodowane nadmiarem wypitego alkoholu.

Nie tknął śniadania, tylko wsiadł na motocykl i pojechał do garnizonu, by jak najszybciej postarać się o przepustkę, która miała stanowić dla niego bezpieczne alibi na wypadek, gdyby ktoś za bardzo dociekał, w jaki sposób więźniarka z Kielc uciekła z aresztu.

Okazało się, że dostał przepustkę bez najmniejszego problemu, a okoliczności ku temu stworzyły się same, choć dla Johanna były tak samo szokujące, jak bolesne.

W momencie jak tylko stawiał się w garnizonie, dostał pilny telegram z Niemiec z informacją, że jego brat Niklas von Richter zginął tragicznie, zastrzelony przez jednego z więźniów obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

Rozgoryczenie, które poczuł, pomieszane z bezgranicznym niedowierzaniem nakazały mu gapić się bezmyślnie w okazały

portret Adolfa Hitlera wiszący na ścianie jego oficerskiego gabinetu. Zamknął się tu, pragnąc odosobnienia, nie chcąc z nikim rozmawiać ani nie mając ochoty wysłuchiwać kondolencji i współczujących słów pocieszenia od takich samych oprawców, jakim był on i jego brat. Kim się na tej wojnie stali? W imię czego umierali? Dlaczego poświęcali życie dla ideologii nienawiści i żądzy zawładnięcia światem przez tego małego człowieczka z wąsem? Co takiego miał w sobie Hitler, że wciągnął w spiralę nienawiści tak ogromne rzesze Niemców? Jacy byli oni – on i Niklas – że dali się w to wciągnąć? Pomyślał o swojej matce, tak dumnej z nazistowskiej kariery swojego młodszego syna. Czy teraz też była dumna, dowiadując się o jego śmierci? Czy jej matczyne serce choć przez chwilę zwątpiło w wielkość nazistowskiej ideologii?

On sam, poza ogromnym smutkiem, odczuwał gniew. Niklas wierzył w Hitlera, karmił się każdym jego słowem. Z pietyzmem powtarzał chore brednie o wielkości Niemiec i czystości rasy. To była ideologia jego wolności i jego młodości. I zginął dla tej ideologii jak tysiące innych Niemców – zastrzelony przez owładniętego żądzą zemsty lub zwierzęcym strachem więźnia, z którego wcześniej sam brutalnie wyssał człowieczeństwo.

Johann ciężko opadł na krzesło przy biurku. W jednej ręce trzymając telegram, drugą wykręcił numer do centrali gestapo.

– Z tej strony SS-Obersturmbannführer Ludwig Hahn. – Jego głos był poważny i opanowany. – Proszę o połączenie z Hauptsturmführerem Reinhardem Krügerem z kieleckiego gestapo.

* * *

Na miejsce spotkania z polską łączniczką Johann zjawił się punktualnie w południe. Przyjechał na Powiśle motocyklem, z bocznym wózkiem wypełnionym bronią – dwie sztuki pistoletów parabellum, dwa mauzery i dwa karabiny maszynowe MG-34 wraz z amunicją. Nie miał żadnych wyrzutów, zabierając wczoraj broń z arsenału wojskowego. Wprawdzie przemycenie dwóch sztuk karabinów było dość kłopotliwe, ale wieczorną porą większość żołnierzy siedziała w swoich kwaterach albo w lokalach w mieście,

a wartownicy i żołnierze patrolujący koszary najczęściej dłubali w nosie z nudów. Nikogo nie dziwił widok kapitana przechodzącego przez główny dziedziniec koszar i nikt nie pomyślał, że za pazuchą wojskowego płaszcza chowa dwa cholernie uwierające go karabiny. Pewnie podczas rewizji ktoś mógłby się zdziwić, że oficer nosi ze sobą tyle sztuk broni, ale Johann nie zamierzał się tym przejmować. Był kapitanem Wehrmachtu, więc niewielu żołnierzy znalazłoby odwagę, by pytać go o cokolwiek – jeśli w ogóle ktokolwiek miałby śmiałość go zatrzymać. Mógł jeździć po Warszawie w dowolne miejsce i nikt nigdy go nie niepokoił niewygodnymi pytaniami, więc czemu teraz miałyby się to zmienić? Tłumaczył sobie, że jest bezpieczny, że jego działania w niczym nie odbiegają od normy. Bo myśl, że któryś z jego przełożonych mógłby podejrzewać cokolwiek, a tym samym zdemaskować akcję odbicia Hani z gestapo, ciążyła mu w tej chwili bardziej niż śmierć Niklasa.

Młoda kobieta w skromnej sukience, z ciemnymi włosami zaplecionymi w warkocz i torebką listonoszką przewieszoną przez ramię, stała tuż przy pomniku Warszawskiej Syrenki. Dokładnie tak jak się umawiali.

Podjechał do niej i zatrzymał motocykl. Zmierzyła go poważnym, pozbawionym strachu wzrokiem. Miała śliczne oczy w kształcie migdałów, kolorem trochę przypominające oczy Hani.

– Pięknie dziś świeci słońce – rzekł do dziewczyny w swoim ojczystym języku, tak jak to wcześniej ustalono.

– Wczoraj świeciło mocniej – odparła z powagą, płynnie odpowiadając mu po niemiecku na umówione hasło.

Bez słowa wsiadła na siodelko motocykla tuż za nim, kątem oka zerkając na przykryty kocem wózek. W końcu przyłożyła twarz do jego pleców, jakby chcąc schować się przed wzrokiem przechodniów, których na szczęście nie było w tym miejscu zbyt wielu. Wiadomo było, że Polka w towarzystwie Niemca kojarzyła się wszystkim tylko z jednym, a dziewczyna chyba próbowała uniknąć upokorzenia.

– Niech pan jedzie do lasu za miasto. Tam na nas czekają. Wskażę panu drogę.

Rzeczywiście na nich czekali. Gdy tylko skręcił w leśny zagajnik, otoczyła go grupa kilku młodych mężczyzn. Wśród nich rozpoznał tylko Władka. Pomyślał, że wszyscy byli odważni albo szaleni, skoro zdecydowali się stanąć twarzą w twarz z niemieckim kapitanem Wehrmachtu, zdając sobie sprawę, że on doskonale wie, iż wszyscy oni są żołnierzami wrogiej mu formacji podziemnej i już jutro każdy z nich może być na Alei Szucha. Z drugiej strony wiedzieli też, że powodzenie akcji odbicia Hani zależy wyłącznie od nich.

Władek stał na szeroko rozstawionych nogach, z papierosem w ustach. Johannowi zdawało się, że wczoraj Polak był spokojniejszy, bardziej opanowany. Dziś jego twarz zdradzała silne napięcie.

– Masz to, o co prosiłem? – zapytał po niemiecku.

Johann odsłonił przykryte kocem łupy.

– Cztery mundury i broń.

Władek zajrzał do wózka i kiwnął głową.

– Wiesz, że jeśli twoi się dowiedzą, to będziesz wisiał?

– Zaryzykuję.

Władek kiwnął głową.

– Wiemy od strażnika, że Hania nadal żyje. Szykują ją do transportu, więc powinni nam ją wydać bez problemu. Miejmy nadzieję, że nikt nie zadzwoni z Kielc do Warszawy, żeby zweryfikować twój rozkaz odebrania im Hani. Jeśli tak się stanie...

– Odbierzemy ją siłą.

– Dokładnie. Pamiętaj, że to ja dowodzę i masz mnie słuchać. Nie jesteśmy Wehrmachtem, więc mam w dupie twój stopień. Tu jesteś zwykłym szwabem. Ja idę do Krügera i ja z nim gadam, ty siedzisz w ciężarówce i czekasz. Jeśli cię zobaczy, jesteśmy spaleni.

– Gdzie ją zabierzemy?

– Dowiesz się w swoim czasie.

– Chcę wiedzieć teraz!

– Nie! Powiemy ci, jak Hania będzie bezpieczna.

– Mogę ją zabrać do swojego mieszkania.

– I pozwolić, żeby któregoś pięknego ranka gestapo znowu ją zabrało? Myślisz, że nikt się nie domyśli, że trzymasz w mieszkaniu polską uciekinierkę?

– Zaopiekujemy się nią razem, kapitanie – te słowa skierowała do niego młoda łączniczka, z którą przyjechał. – Jestem przyjaciółką Hani i lekarzem. Proszę mi zaufać.

* * *

Hania nie wiedziała, jak długo spała – kilka minut czy kilka godzin. A może wieki? Ktoś znowu szarpnął ją za ramiona. Gdyby nie to szarpnięcie, pewnie spałaby nadal. Teraz znowu ciało paliło ją żywym ogniem. Dlaczego jeszcze nie umarła? Pewnie przez ten sen. Zapomniała wziąć do ust kapsułkę i dlatego nadal żyła. A teraz znowu ją wezmą do pokoju przesłuchań i znowu będą ją bić i kopać i opowiadać niestworzone historie o zdradzie i hańbie „Ptaszyny”. Hania wiedziała, że każde ich słowo to wierutne kłamstwo. Nie wierzyła, że Walerian mógłby zdradzić swoich. I ona też nigdy by tego nie zrobiła. Dlatego musiała umrzeć. Bo traciła wolę do dalszej walki.

– Zabierają cię w lepsze miejsce, laleczko – usłyszała suchy głos Krügera, który tak doskonale poznała w ciągu ostatnich dni. Ile tych dni było? Trzy? Cztery? Tydzień? Może więcej? Zupełnie straciła rachubę czasu.

– Na Pawiaku będziesz inaczej śpiewać!

Pawiak. Zabierają ją na Pawiak.

Znużona, bezwładnie opuściła głowę.

Ktoś, nie siląc się na delikatność, podniósł ją za ramiona, podtrzymując pod pachami. Położono ją na czymś, co musiało być noszami.

– Nie wiem, czy cokolwiek z niej wyciągniecie. Ona ledwo dycha, a uparta jest jak wół.

– Mamy swoje sposoby, Hauptsturmführerze. Wy nie daliście rady, to my musimy za was dokończyć robotę. A co do pułkownika...

– Raport z jego przesłuchania jest już prawie gotowy.

– Powiedział coś konkretnego? Coś, co pozwoli nam dokonać jakiś aresztowań...

Przez chwilę trwała cisza.

Hania zadrżała.

– Nic konkretnego – rzekł Krüger z ciężkim westchnieniem. – Przyznał się tylko do zamordowania Nałęczowskiej.

Hania próbowała otworzyć oczy, ale powieki spuchły jej od płaczu, poza tym oślepiła ją światło w korytarzu, przez który ją nieśli.

Władek! Usłyszała głos Władka! To on rozmawiał z Krügerem! Nie mogła się przestyszeć, bo знаła ten głos prawie tak dobrze jak własny, pomimo że nie słyszała go już kilka lat. Próbowała coś dostrzec, ale powieki odmawiały jej posłuszeństwa, a głowa bezwładnie skakała na noszach raz w jedną raz w drugą stronę. Nie miała siły trzymać jej sztywno w jednej pozycji. W końcu poczuła powiew świeżego powietrza na twarzy i zachłysnęła się pierwszym oddechem. Usłyszała odgłos otwieranej przyczepy w ciężarówce i po chwili wsunięto ją do środka wraz z noszami. Trzask zamykanej przyczepy. Ogarnęła ją ciemność. Nim zdołała pomyśleć o tym, że Władek zapewne gdzieś tu jest, tuż obok niej rozległ się cichy szept.

– Jestem przy tobie, księżniczko.

– Johann? – Jej głos był słaby, ledwo słyszalny.

Pogłaskał ją po policzku – czule i delikatnie, a po krótkiej chwili poczuła na spierzchniętych ustach jego wargi. Dotyk był tak ulotny, że prawie niewyczuwalny, ale mimo to Hania wiedziała, że to on. Poznała go po dotyku, zapachu. Chciała coś powiedzieć, ale straciła przytomność.

* * *

Coś było nie tak. Johann czuł to całym sobą. Jego zmysły wyostrzyły się do granic możliwości niczym na polu walki, a wewnętrzny głos podpowiadał mu uparcie, że coś jest nie tak.

Jechali ciężarówką bocznymi ulicami Kielc, chcąc jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem ludzkich spojrzeń, choć i tak na widok więźniarki SS wszyscy uciekali wzrokiem albo chowali się w bramach z obawy przed łapanką.

Niby wszystko szło gładko, ale napięcie nie opuszczało go nawet na chwilę. Nie widział Władka, bo ten siedział w szoferce na miejscu pasażera, tuż obok kierowcy ubranego tak jak oni w mundur SS. Johann z kolei tkwił na podłodze przyczepy, oparty plecami o ścianę,

i telepał się na boki, bo ciężarówka jechała z wyjątkową prędkością, choć on i tak uważał, że zbyt wolno. Pragnął być już poza zasięgiem gestapo. Nie miał pojęcia, dokąd jechali, ale Władek zapewnił go, że to jedyne bezpieczne dla Hani miejsce, więc nie miał wyboru i musiał się na to zgodzić.

Na widok dziewczyny miał ochotę wyć z bólu i rozpaczony i pewnie zrobiłby to, gdyby nie Władek, który skarcił go ostrym spojrzeniem i wycedził przez zęby:

– Nie tylko ty masz ochotę zamordować tego gnoja, więc się opamiętaj!

Opamiętał się. Nie ze wstydu czy poczucia przyzwoitości – zrobił to wyłącznie dla niej. Każda jego słabość mogła kosztować ją życie, a tego by nie zniósł. Gniew szarpał nim jak sztorm falami na morzu, ale chłodne spojrzenie młodej łączniczki, która zachowywała zimną krew, nakazywało mu trzymać nerwy na wodzy.

– Ona żyje, więc niech pan nie traci nadziei – upomniała go sucho.

Hania rzeczywiście żyła. Wyczuwał jej puls i słaby oddech, ale jej ciało przypominało krwawą ranę. Najgorsze były dłonie – niegdyś śliczne i delikatne, teraz nieludzko okaleczone, zwisały bezwładnie. Był pewien, że niejeden palec miała złamany bądź zmiażdżony. Włosy lepiły jej się do brudnej twarzy, która choć bez śladów uszkodzeń, była upiornie blada, umazana krwią. Próbował wziąć ją w ramiona i przytulić, ale łączniczka, która była również lekarką, odsunęła go dość obcesowo i sama pochyliła się nad Hanią.

– Muszę ją obejrzeć, więc proszę mi nie przeszkadzać. Niech pan znajdzie sobie inne miejsce!

– Chcę być blisko niej.

Dziewczyna zmierzyła go ostrym wzrokiem.

– Jeśli zależy panu na tym, żeby przeżyła, to proszę się odsunąć i pozwolić mi działać!

Posłusznie odsunął się w głąb przyczepy. Siedział bezwładnie, nie spuszczając z Hani wzroku, i modlił się do wszystkich bogów świata, żeby przeżyła. Nic innego nie miało znaczenia.

Hania nawet nie drgnęła, kiedy lekarka ostrożnymi ruchami badała jej obrażenia. Johann nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Skoro nie dawała znaku życia, to może umierała? Popatrzył na trzech

chłopaków, podobnie jak on siedzących na podłodze przyczepy. Mieli spuszczone głowy, jakby drzemali, opierając się o lufy karabinów. Byli od niego dużo młodszy – zapewne ledwo przekroczyli dwudziestkę. Z ironią pomyślał, że on w ich wieku żył jak książkę, pławiąc się w rozkoszach bogatego świata, podczas gdy oni, nie mając młodości, z bronią w ręku ratowali życie jego ukochanej.

Złe przeczucie uparcie w nim tkwiło. Nie opuściło go nawet wtedy, gdy wyjechali za miasto i znaleźli się na krętej, szutrowej drodze prowadzącej do lasu.

Mrok powoli gęstniał, upał zelżał, a powietrze nabrało wieczornej rzeźkości.

Przyglądał się niemo, jak młoda lekarka opatruje Hanię. Podręczna apteczka wyposażona była jedynie w środki dezynfekujące i bandaże i brakowało tam specjalistycznego sprzętu lekarskiego. Martwiło go to, bo zdawał sobie sprawę, że samymi bandażami Hani nie ulecą.

I wtedy do jego uszu dobiegły odgłosy silników motocykli.

– Jadą za nami! – krzyknął w stronę Władka.

Ten popatrzył na niego i skinął głową na znak, że też słyszy odgłosy pościgu.

– Krüger to szczwany lis! Czułem, że coś podejrzewa – odparł. – Ty jedziesz dalej z Hanią i lekarką, a my spróbujemy ich zatrzymać!

– Nie, zostaję z wami. Kierowca niech jedzie dalej.

– Nie może, chłopak będzie nam potrzebny!

– Ja pojadę – rzuciła znad ramienia lekarka. – I tak bardziej Hani nie pomogę, a prowadzić ciężarówkę potrafię.

Decyzję podjęli błyskawicznie, bo pościg był coraz bliżej. Kierowca zatrzymał ciężarówkę, wyskoczył z szoferki, a wraz z nim chłopcy, Władek i Johann – wszyscy uzbrojeni w karabiny bądź pistolety. Johann trzymał w dłoni swój MG-34.

Lekarka zajęła miejsce kierowcy i bez zbędnej zwłoki ruszyła ciężarówką w głąb lasu.

Po chwili w mroku między drzewami dostrzegli błyskające reflektory. Ustawili się na pozycje w gęstym zagajniku. Johann był przygotowany do wystrzału i mógłby już wydać rozkaz, ale wiedział, że nie on dowodzi tą akcją. Na komendę: „Ognia!” nie musieli jednak

długo czekać. Wystrzały z karabinów przecięły leśną ciszę. Johann naliczył ośmiu esesmanów. Strzelali w ich stronę serią na oślep, nim tamci zdążyli zorientować się, skąd dobiegają strzały.

Dwóch esesmanów dostało od razu, inni w pośpiechu kierowali broń w stronę zagajnika, ale nim zorientowali się w sytuacji, kolejny z przestrzeloną głową osunął się bezwładnie w wózku motocykla.

Johann w ciemności próbował dostrzec zarys postaci. Liczył, że zobaczy wśród esesmanów Krügera, ale ten najwyraźniej nie wziął udziału w pościgu, wysyłając za nimi samych szeregowych.

Strzelał bez przerwy, mierząc z karabinu w tych, którzy jeszcze trzymali się na motocyklach, bo żaden nie zdążył zsiąść z maszyny. Dopiero po chwili zorientował się, że młody Polak, który zajmował pozycję tuż obok niego, upadł na miękki mech.

Zmierzył go przelotnym wzrokiem, mając nadzieję, że rana postrzałowa nie jest aż tak groźna, na jaką wygląda, i znowu oddał serię w stronę esesmanów.

Nie wiedział, ile to trwało, gdy nagle Władek wykrzyczał rozkaz wstrzymania ognia i strzały ucichły.

Zapadła martwa cisza, przerywana tylko pohukiwaniem sowy.

Johann gorączkowo objął wzrokiem scenę, na której rozegrała się masakra.

Ośmiu Niemców leżało martwych, w kałużach krwi. Widok ten spowodował, że serce zadudniło mu w piersi, jakby za chwilę miało wyskoczyć. Nie mógł oddychać, coś tamowało mu oddech tak silnie, że prawie się dusił.

Odrzucił karabin i opadł bez sił tuż obok rannego Polaka.

ROZDZIAŁ 24

okolice Warszawy
sierpień 1943

Hania z trudem otworzyła ciężkie powieki. Światło dnia wpadające do pokoju oślepiło ją. Odwróciła twarz od okna i napotkała spojrzenie siedzącej na krześle przy jej łóżku Wandy Kruszewskiej. W drzwiach pokoju stał Władek Koterski. A może jej się tylko zdawało? Przecież nie widziała go od lat.

– Gdzie jestem? – zapytała słabym głosem.

Wandzia pochyliła się nad nią i przyłożyła chłodną dłoń do jej czoła.

– W bezpiecznym miejscu. Długo spałaś w gorączce, ale już jest lepiej.

Hania poruszyła się na łóżku i poczuła przejmujący ból w okolicach żeber. Nagle dotarło do niej, co się stało, i w panice popatrzyła na Wandzię.

– Wandziu, twój brat... Walerian.

– Ciii! Spokojnie, nic nie mów. Odpoczywaj.

– Ale on...

Do oczu Hani napłynęły łzy żalości, których nie potrafiła stłumić, choć przez poprzednie lata uczyła się nie płakać. W jednej chwili przypomniała sobie wszystko, co ostatnio przeżyła, i ogarnęła ją nagła, dławiąca rozpacz. Miała wrażenie, że rozświetlone blaskiem dnia ściany pokoju nagle zrobiły się czarne, ale w rzeczywistości pociemniało jej w oczach od słabości i nadmiaru emocji.

– On... Nie żyje.

Wandzia objęła ją szczupłymi ramionami i mocno przytuliła.

Hania zaczęła łkać. Potworność tego, co wydarzyło się w gestapowskim więzieniu, z całą gwałtownością uderzyła ją ponownie. Pod powiekami miała obraz Waleriana, słyszała jego stłumiony szept, kiedy resztkami sił mówił do niej. Ból, który na to wspomnienie rozrywał jej serce na strzępy, był nie do zniesienia. Czuła, że obejmująca ją Wandzia też zaczęła nienaturalnie drżeć. Być może zapłakałaby wraz z Hanią, gdyby nie Władek, który jak nierzeczywisty duch stanął przy łóżku chorej i chrząknął z pewnym zakłopotaniem.

– To minęło, Haniu. Jesteś już bezpieczna – odezwał się niskim głosem.

Wandzia odsunęła się od niej i wierzchem dłoni starta łzę.

– Żyjesz i to jest najważniejsze.

Hania znowu zapadła w ciemną czeluść czegoś, co mogło być wyparciem świadomości. Nie wiedziała, jak długo trwała w tym dziwnym stanie letargu, ale kiedy ponownie się zbudziła, oddychała już równo, miarowo, a kołatanie serca ustało.

Wandzia wciąż siedziała przy jej łóżku, a Władek stał oparty o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Hania odwróciła twarz od Władka. Zdumiewał ją swoją obecnością. Nie wiedziała, skąd się tu wziął. Ubrany był w znoszoną flanelową koszulę i szare spodnie spięte skórzanym paskiem, które czasy świetności już dawno miały z sobą. W niczym nie przypominał schludnego młodzieńca, którego niegdyś знаła. Teraz wydawał jej się silny i poważny. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że słyszała jego głos na posterunku gestapo. Słyszała również Johanna. To wspomnienie uderzyło ją jak obuch. Nie tylko go słyszała, ale i widziała. Odzyskała na krótko świadomość i przypomniała sobie, że Johann von Richter siedział przy jej łóżku i trzymał ją za rękę. Widziała go wyraźnie, nie mogła się mylić. Chciała coś do niego powiedzieć, uśmiechnąć się, ale była zbyt słaba. A może to były tylko gorączkowe omamy?

– Co się stało? Jak się tu znalazłam? – zapytała słabym głosem.

– Odbiliśmy cię z więzienia – rzekł Władek. – Ja i moi chłopcy.

– Ty? Ale jakim cudem? Skąd wiedziałeś? Nie widzieliśmy się od lat!

– Ty mnie nie widziałaś, ale ja śledziłem każdy twój krok, kiedy spotykałaś się z Niemcami.

– „Murarz” to ty?

Władek nie odpowiedział, ale nie musiał, bo Hania domyśliła się, że tak właśnie było. Ta myśl wstrząsnęła nią do głębi.

– Jak to możliwe? Jak? – szeptała oszołomiona, patrząc raz na Władka, raz na Wandzię. Twarz młodej lekarki w blasku dnia wydawała jej się rumiana, promienna.

– Wkrótce ci wyjaśnię – odparł Władek. – Najpierw powinnaś wrócić do zdrowia. Wandzia zaopiekuje się tobą najlepiej, jak potrafi. Opatrzyła ci wszystkie rany i... zajęła się twoimi dłońmi.

Hania instynktownie uniosła ręce. Obie były ciasno zabandażowane i nie mogła nimi poruszyć. Nie wiedziała, czy ma w nich czucie.

– Odzyskam sprawność? – zapytała z lękiem.

– Miejmy nadzieję, że tak – odezwała się Wandzia. – Zrobiłam co w mojej mocy, żeby je uratować. Cieszę się, że gorączka spadła, a rany się goją, więc myślę, że wkrótce wrócisz do zdrowia.

– Jestem... taka zmęczona.

Hania skrzywiła się w grymasie bólu. Rozejrzała się ostrożnie po nieznanym jej pokoju. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, ale domyśliła się, że ukryto ją gdzieś w konspiracyjnym miejscu.

Pokój był duży, przestronny, ozdobiony na ścianach wyblakłą od słońca, kwiatową tapetą. Gdzieniegdzie widać było na niej ciemniejsze miejsca, najwyraźniej po obrazach. W pokoju, poza łóżkiem, na którym leżała Hania, stały dwa obite ciemnym batysem krzesła w stylu Ludwika XVII i niewielki kredensik na bieliznę. Za oknem widać było zielone od soczystych liści drzewo kasztanowe.

Hania domyśliła się, że to nie może być żadne ze znanych jej warszawskich mieszkań, bo tamte były ciasne i skromne, z pozastłaniami szczelnie oknami.

Wandzia ściszone głosem poprosiła Władka, żeby wyszedł z pokoju.

Zrobił to z pewnym ociąganiem, zerkając na Hanię, jakby oczekiwał, że ona sprzeciwi się tej prośbie. Nic jednak nie rzekła.

– Gdzie jestem? – zapytała, kiedy za Władkiem zamknęły się drzwi.

– We Dworze Polanka. To dom mojej babki, Rozalii Lamparskiej. Już od dawna nikt tu nie mieszka. Jesteśmy pół dnia drogi od Warszawy. Nie bój się, nikt nie zna tego miejsca, więc jesteś bezpieczna.

– Czy gestapo...?

– Szukali cię, ale... dostali cynk, że nie żyjesz. Po Warszawie krąży plotka, że zmarłaś w transporcie podczas akcji odbicia cię z więzienia.

Hania westchnęła. Wspomnienia pomału znowu wracały do niej, ale tym razem próbowała je oswoić. Pomalutku, z żalem odtwarzała w głowie obraz zmalretowanego pułkownika Kruszewskiego.

– Twój brat został zamordowany – szepnęła, z trudem łapiąc powietrze. – Widziałam go na krótko przed śmiercią. Był taki odważny...

– Wiem. – Głos Wandzi docierał do niej jakby z daleka – Nigdy nie odzyskam jego ciała, ale... pochowaliśmy go symbolicznie, z honorami. Podobnie jak twojego brata. Obaj mają mogiły na Powązkach. Lucyna i twoja matka uczestniczyły w pogrzebie. Byli również państwo Waszyńscy.

Hania odwróciła twarz i wtuliła ją w poduszkę. Gorące łzy spłynęły po jej policzkach. Płynęły tak długo, dopóki jej ciałem nie wstrząsnął tłumiony szloch, a wtedy oprócz żalości i rozpaczycy poczuła również przeszywający ból. Nie mogła złapać oddechu, coś gwałtownie ścisnęło ją w płucach.

Wandzia przyglądała jej się w milczeniu. Na jej twarzy również malował się grymas cierpienia.

– Jak mam dalej żyć? Po tym wszystkim? – wyszeptała Hania.

– Każda rodzina straciła kogoś bliskiego i kochanego, ale... Trzeba żyć dalej. Ty masz dla kogo: jest Lucyna, mały Janek, twoja mama i... Johann. – Ostatnie imię wybrzmiało w ustach lekarki bardzo nieśmiało.

Hania popatrzyła na nią oczami pełnymi łez.

– Johann? – powtórzyła. – Czy on tu jest? Wydawało mi się, że go widziałam, ale pomyślałam... Że to sen.

– Był. Ale pojechał do Warszawy. Pomógł Władkowi i chłopakom odbić cię z gestapo. Czuwał nad tobą kilka dni, lecz w końcu musiał wrócić do swojego garnizonu.

Twarz Hani przeciął ból.

– Wciąż służy w wojsku... Widziałam go w mundurze.

– Tak. W Wehrmachcie.

Hania niemo ważyła słowa przyjaciółki.

Wandzia pogłaskała ją czule po włosach.

– Przywiózł antybiotyki i opatrunki dla ciebie. Gdyby nie on... Nie miałabym szans, żeby ci pomóc. Przywiózł też jedzenie, mnóstwo jedzenia. Wszystko to wyniósł ze swojego garnizonu.

– Trudno mi w to uwierzyć...

– Sam ci to wszystko powie. Obiecał, że za parę dni wróci.

Hania nie odezwała się na to słowem. Milcząca wpatrywała się w punkt przed siebie, jakby nic, co by powiedziała, nie mogło zobrazować tego, jak się czuła. Jak wyjaśnić tę płataninę uczuć? Ten dojmujący strach i niepewność, które wkradły się w jej serce i nie chciały go opuścić? Czy jeszcze kiedykolwiek będzie potrafiła cieszyć się z tego, że żyje? A może już zawsze będzie odczuwać wyłącznie rozpacz i poczucie winy, że ona przeżyła tortury gestapo, a „Ptaszyna” nie?

– Ugotowałam zupę warzywną. Przyniosę talerz i nakarmię cię. Musisz jeść, żeby szybko wyzdrowieć.

Wandzia wyszła z pokoju i wróciła po kilku minutach z talerzem parującej potrawy, w której pływały kawałki warzyw. Hania zdawała sobie sprawę, że w Warszawie takie jedzenie było na wagę złota.

– To też od niego?

Lekarka przytaknęła. Karmiła Hanię w milczeniu, a ta bez sprzeciwu jadła, choć czuła, że jej ściśnięty żołądek fikał koziółki. Kiedy zjadła już ponad połowę tego, co było na talerzu, nagle chwycił ją gwałtowny atak mdłości. Odchyliła się na łóżku i nie panując nad własną fizjologią, zwymiotowała. Rozplakała się.

– Przepraszam... – wyszeptała głucho.

– To nic, to nie twoja wina! Żołądek musi przyzwycząić się do przyjmowania pokarmów.

Z twarzą czerwoną z zażenowania Hania opadła na poduszkę. Beznadzieja tej sytuacji ją dławiała.

Wandzia wyszła z pokoju i za chwilę wróciła z miską wody i ścierką do wycierania podłogi.

Wstyd palił Hani policzki, kiedy widziała lekarkę na kolanach, sprzątającą zawartość jej żołądka. Resztę dnia spędziła w łóżku, opierając się o poduszki i popijając małymi łydkami wodę. Była zbyt słaba, żeby stanąć na nogi.

Władek przyszedł do niej, kiedy Wandzia uporowała się ze wstydliwym bałaganem.

– Podobno czujesz się lepiej?

– Tak.

Mężczyzna usiadł na krześle obok łóżka.

– Jak to się stało? – zapytała Hania bez ogródek. – Jak udało wam się mnie odbić?

– To nie było trudne. Dostaliśmy cynk, w którym areszcie przebywasz. Przekupiliśmy strażnika, który nad tobą czuwał. Myśleliśmy, że może uda się wywieźć również „Ptaszynę”, ale on już nie żył.

Jak to możliwe, że jej dawny Władek, romantyczny chłopiec marzący o pięknych domach, stał się twardym żołnierzem i jej osobistym aniołem stróżem? Zadziwiało ją to i równocześnie zawstydzalo, bo uświadomiło jej, jak mało go znała. Władek nie był już chłopcem, z którym przed wojną chodziła na lody i dancingi. Stał się mężczyzną silnym, odważnym i zaskakującym. I ta jego wojenna przemiana bardzo ją zdumiewała.

Patrzyli na siebie przez chwilę, nieco skrępowani, niepewni słów, które należałoby wypowiedzieć, aż wreszcie Hania pierwsza przerwała ciszę.

– Dziękuję – wyszeptała ze wzruszeniem.

– To była pestka – rzucił szybko, siłąc się na humor. – Więcej zawdzięczasz Wandzi. To ona przywróciła cię do życia.

– Wam wszystkim winna jestem dozgonną wdzięczność.

– To nasz obowiązek. Zawsze trzeba wyciągać swoich.

Hania przytaknęła.

– Jak twoi rodzice? – zapytała cicho, z pewnym wahaniem w głosie.

– Żyją – odparł krótko.

Hania kiwnęła głową z ulgą.

– Podobno gestapo myśli, że jestem martwa.

– Tak. Ale to tylko połowicznie dobra wiadomość. Tu jesteś bezpieczna i możesz w spokoju wracać do zdrowia, ale... W Warszawie jesteś spalona.

– Chodzi ci o to, że mają moje akta?

Władek zaprzeczył ruchem głowy.

– Gestapo nie ma twoich akt. Zabrałem je podczas wyciągania cię z więzienia. Krüger był tak głupi, że sam mi je dał. To coś innego: chłopaki z oddziału przestali ci ufać. Boją się, że sypnęłaś kogoś na przesłuchaniu.

Przez bladą twarz Hani przemknął cień bólu.

– Ty też tak myślisz?

– Nie! Nie wiem... Jeśli to zrobiłaś, nie mam do ciebie pretensji, domyślałam się, przez co przeszłaś. Chciałbym tylko wiedzieć...

– Nie sypnęłam! – odparła głucho. – Możesz być spokojny.

– A ten szkop?

Popatrzyła na niego gorączkowym wzrokiem.

– Jaki szkop?

– Ten, co tu siedział z tobą i Wandzią. Coś mu powiedziałaś?

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– Pytam tylko, czy z nim rozmawiałaś? O coś cię pytał?

Jęknęła.

– Przecież dopiero dziś obudziłam się z gorączki! Nie pamiętam, czy z nim rozmawiałam, ale wydaje mi się, że nie. – W zakamarkach pamięci próbowała odnaleźć cokolwiek, ale pamiętała tylko twarz Johanna.

Władek westchnął. Wyprostował się na krześle i odpalił papierosa. Ostry zapach palonego tytoniu wywołał u kobiety falę mdłości.

– Musicie się go pozbyć – rzekł po chwili twardo. – Ktoś może go śledzić albo on sam może was wsypać.

– Władek...

– To Niemiec! Rozumiesz? Pieprzony szwab! Nie może tu przyjeżdżać jakby nigdy nic i przywozić wam rarytasy! Prędzej czy później ktoś was tu nakryje i to tylko przez niego!

Jakby na potwierdzenie swoich słów wyjął z bocznej kieszeni spodni pistolet parabellum, ten sam, który wcześniej dostał od Johanna, i przesunął go po pościeli w stronę Hani.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Tak na wszelki wypadek – dodał.

– Nie zrobię nic, do czego nie będę zmuszona – odparła Hania głucho.

– Mówię poważnie – kontynuował z naciskiem. – Musisz się go pozbyć. Jest niebezpieczny i zagraża twojemu życiu.

– Przecież brał udział w akcji uwolnienia mnie. Skoro tak się go obawiasz, to dlaczego mu na to pozwoliłeś?

– Bo nie miałem wyjścia! On był gwarantem powodzenia. Zadzwoił do Krügera i zażądał przewiezienia cię na Pawiak. Zdobył dla nas broń i mundury, ale musiałem mieć go na oku. Węszył za tobą w Warszawie, więc bałem się, że może zacząć działać na własną rękę, a to mogło kosztować cię życie.

– Wandzia mu ufa.

– Bo jest nim zaślepiona! – warknął Władek przez zaciśnięte zęby.
– Nie widzi w nim zagrożenia!

– A może nie jest zagrożeniem? – zapytała Hania cicho.

Zabrzmiało to tak, jakby pytanie kierowała do samej siebie, a nie do siedzącego naprzeciw Władka, który gwałtownie zmienił się na twarzy.

– Co ty mówisz?! – wykrzyknął. – To szkop! Do tego oficer w pieprzonym Wehrmachcie! Jednym rozkazem może kazać nas rozstrzelać! Albo sam któregoś dnia pociągnie za spust! Chyba nie chcesz powiedzieć, że wciąż coś do niego czujesz? Po tym wszystkim? Po tych latach udręki i mordów?!

– Oczywiście że nie! – wycharczała Hania, czując dławiący i bolesny ucisk w klatce piersiowej. Wandzia wyjaśniła jej, że to połamane żebra tak ją bolą. – To zresztą nie twoja sprawa!

– Moja, bo walczę z Niemcami, podobnie jak ty to robiłaś dopóki...

– Władek przerwał i zaciągnął się papierosem – Chyba że podobały

ci się te randki ze szwabami! Widziałem, jak się do nich mizdrzyłaś. Obserwowałem cię z daleka i...

– Milcz! – syknęła głucho, a jej bursztynowe oczy zaczęły ciskać gromy. – Myślisz, że kim ty jesteś, że możesz mówić mi takie rzeczy?! Myślisz, że co robiłam w gestapo?! Mizdrzyłam się do Niemców?! To dlatego mnie torturowali?! Dlatego kazali mi patrzeć na umierającego Waleriana?!

– Haniu...

– Jeśli zamierzasz wygłaszać takie brednie, to wyjdź z tego pokoju i nigdy nie wracaj! Nie chcę cię więcej widzieć!

– Przepraszam, Hanka – zreflektował się nagle, zmieniając ton na łagodniejszy. – Nie mogę znieść myśli, że ten Niemiec rości sobie do ciebie prawa.

– Nie ma do mnie żadnych praw! – rzuciła głucho. – Nic mnie z nim nie łączy.

– Ale łączyło.

Popatrzyła mu w oczy.

– To było, zanim wybuchła wojna.

Władek spoglądał na nią przez chwilę w milczeniu, aż wreszcie kiwnął głową.

– Pewnie nie wiesz, ale na krótko przed twoim aresztowaniem gestapo zgarnęło komendanta.

Przytaknęła niemo.

– Wiem. Krüger mi powiedział. Wiadomo, co z nim?

– Tylko tyle, że zabrali go do Berlina. AK rozlicza naszych, bo „Grota” wydali kolaboranci.

– Chyba nie myślisz, że to ja? – zapytała Hania z gwałtowną urazą.

– Nie, to nie ty. Wiadomo już, kto to zrobił.

– Kto?

Rysy twarzy Władka stężały.

– Na razie nie mogę ci powiedzieć... Podobnie jak tego, kto jest naszym nowym dowódcą.

– Mam prawo wiedzieć! – zawołała Hania. – Chciałabym się z nim zobaczyć! Porozmawiać! Wyjaśnić!

– Dopóki nie wrócisz do zdrowia i pełnej sprawności, wybij sobie konspirację z głowy – Zmarszczył brwi. – Jest jeszcze jedna zła wiadomość... – Przez chwilę patrzył na Hanię, jakby próbował przekonać się, czy powinien kontynuować tę rozmowę. W końcu zaciągnął się papierosem i westchnął. – Czwartego lipca w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem zginął nasz premier.

– Sikorski? – wyszeptała. – Mój Boże...

– Sama widzisz, że ta wojna zmierza w złym kierunku. Ale musimy walczyć. Do końca...

ROZDZIAŁ 25

październik 1943
Monachium

Johann poważnym wzrokiem patrzył na świeżo zamkniętą płytę rodzinnego grobowca von Richterów. Od jego ostatniej wizyty tutaj, od której minęło kilka, a może kilkanaście miesięcy, na imponującym nagrobku przedstawiającym panteon rodziny przybyły dwa nowe imiona – Niklasa i Irene von Richter. Na pogrzebie brata Johann nie był, ale śmierć babci wymusiła na nim przyjazd do domu. Hrabina Irene von Richter w testamencie zapisała mu cały swój majątek, jedynie część zostawiając Ninie. Jednakże Nina, od dwóch lat przebywająca w Ameryce, nie zamierzała wracać do rodzinnej posiadłości, nawet z powodu śmierci babci. Wysłała tylko z Nowego Jorku telegram, że ogromnie ubolewa nad śmiercią Irene, tak jak ubolewała nad śmiercią Niklasa. Johann tymczasem, przymuszony przez matkę, za zgodą komendanta przyjechał do Monachium.

Miasto zdawało się być zupełnie inne niż w czterdziestym roku, kiedy Johann wrócił do domu na rekonwalescencję. Wtedy wszyscy sycili się euforią udanych niemieckich inwazji, bawili się, świętowali, obmyślali plany wielkości Trzeciej Rzeszy. Teraz czuć było narastającą panikę, a wręcz rozpacz. Ludzie zaczęli się bać. Nieudany niemiecki atak na Rosję sowiecką nie tylko niemieckie społeczeństwo rozczarował, ale obudził też w ludziach strach przed groźnym bolszewikiem, który w swoim okrucieństwie i nienawiści nie cofnie się przed niczym. Wszechobecna propaganda wciąż nawoływała Niemców do walki, do bohaterstwa aż do ostatniej krwi, ale otumanieni wojenną rzeczywistością ludzie powoli przestawali

w te słowa wierzyć. Hitler obiecywał im złote góry, a w zamian dawał śmierć, ból po stracie bliskich i niepewność jutra.

– Ta żalosna kanalia, twój ojciec, uciekł gdzieś do Berlina i nie zamierza wrócić do domu! – utyskiwała Manuela z wyrzutem, kiedy syn pojawił się w progu Richterhause. – Zostawił mnie samą z tą starą jędzą i musiałam zajmować się nią do samego końca. Gdybyś wiedział, ile upokorzeń byłam zmuszona znieść z jej strony, zanim w końcu zechciała łaskawie zejść z tego świata.

Johann nic na to nie odpowiedział. Podświadomie czuł, że w rzeczywistości babcia Irene była jedyną podporą życiową jego matki, zwłaszcza po śmierci Niklasa. On sam bardzo za babcią tęsknił. Brakowało mu jej sarkazmu, zręczliwości i niezaprzeczalnej mądrości życiowej. Poza tym babcia Irene była dla niego symbolicznym ogniwem łączącym go z Hanią.

Nieśpiesznie opuścił cmentarz i skierował się w stronę domu. Richterhause nie ucierpiał podczas wojny. Tutaj świat się zatrzymał. Posiadłość nadal była imponująco piękna, utrzymywana z browaru, który wciąż jako tako prosperował, choć brakowało w nim rąk do pracy, bo większość robotników poszła na wojnę. Matka zgadzała się zatrudniać każdego, kto tylko wyrażał chęć pracy, a nawet przyszło jej parę razy do głowy, żeby przyjąć do browaru robotników przymusowych z terenów okupowanych, przywożonych setkami do Niemiec. Babcia jednak stanowczo się temu sprzeciwiała, głośno protestując przeciw tym haniebnym praktykom. Co będzie teraz, gdy umarła? Johann nie wiedział, ale browar w tej chwili niewiele go obchodził, tak jak niewiele go obchodziły rodzinne interesy. Nic sobie nie robił z lamentów matki, że wojsko zarekwirowało ich konie, nie płacąc za nie ani grosza.

– Po co im konie czystej krwi na wojnie? – narzekała z wyrzutem. – Przecież one nie nadają się do walki!

„Ale można za nie dostać sporo pieniędzy” – pomyślał sarkastycznie Johann, jednak nie wypowiedział tego na głos.

Wszedł do salonu.

Manuela siedziała w wysokim fotelu, zapatrzona gdzieś niewidzącym wzrokiem. Wychudła i postarzała się na twarzy, a jej włosy nienagannie uczesane, przyprószone były lekką siwizną.

Mimo to wciąż była elegancka i dystyngowana, choć ubrana w żałobną czerń. Przede wszystkim jednak uderzyło Johanna to, że wydawała się przerażająco samotna. W posiadłości mieszkała sama, nie licząc kilku pokojówek, które zostały na posadzie, nie wiedząc, co innego mogłyby robić.

Johann podszedł bez słowa do barku i nalał sobie kieliszek koniaku. Zadziwiające, że piwnice Richterhause wciąż były pełne przeróżnych trunków, podczas gdy Europa w wielu miejscach przymierała głodem.

– Wyjeżdżam – rzekł krótko.

– Kiedy? – Głos Manueli brzmiał słabo.

– Za kilka godzin mam pociąg.

Matka lekko westchnęła.

– Dokąd?

– Tam, dokąd mnie przydzielono, czyli do Warszawy.

Popatrzyła na syna gorejącym wzrokiem.

– Czy nie mógłbyś najpierw pojechać do Berlina? Chciałabym, żebyś odnalazł ojca i zmusił go do powrotu do domu.

– Nie zamierzam szukać ojca! – odparł Johann sucho. – Gdziekolwiek teraz jest, to jego sprawa. Jeśli wpakował się w tarapaty, sam sobie jest winien.

– Nie rozumiesz, synu... Boję się być tu sama. Ten dom... Jest taki pusty.

– Nie jesteś sama, masz służbę.

Nie odpowiedziała, tylko spuściła głowę.

Johann zawstydził się swojej obcesowej odpowiedzi. Podświadomie karał matkę za to, że ona opływała w dostatki, podczas gdy polskie kobiety, które widział w Warszawie, walczyły resztkami sił o przeżycie. I to on im tę traumę fundował, choć wstydził się tego coraz bardziej.

– Wiem, że jest ci ciężko – zaczął głucho. – Ale nie mogę ci pomóc. Muszę wrócić tam, gdzie jest moje miejsce.

– Czyli do niej? Do tej Polki? – W oczach Manueli rozbłyły łzy, a usta wykrzywiły się w żalnym grymasie. – Wolisz być tam, we wrogim kraju, niż ze mną we własnym domu?

– Nie gadaj głupstw, mammo! Tak się cieszyłaś, że przymusem wcielono mnie do Wehrmachtu, a teraz masz problem z tym, że wypełniam rozkazy! Oboje z ojcem byliście ślepo wpatrzeni w Hitlera i jego chore wizje!

– Synu mój! – krzyknęła ze szlochem. – A co miałam zrobić? Czy mogłam sprzeciwić się machinie, która sunęła przez nasz kraj?

Johann potrząsnął głową.

– A co z Niklasem? Na jego śmierć też wzruszyłaś ramionami, bo zabiła go niszczycielska machina?

Manuela się rozplakała. Szloch wstrząsnął jej drobnym ciałem. Johann z westchnieniem odstawił szklankę, podszedł do matki i uklęknął u jej kolan.

– Przepraszam, mammo. Nie powinienem był. Ta wojna... Zmieniła nas wszystkich.

Manuela objęła go i wtuliła się w niego, szukając w synu oparcia. Johann delikatnie pogłaskał ją po plecach i włosach.

– Jedź więc – rzekła po chwili. – Skoro musisz...

– Muszę, mammo.

– Wrócisz? – zapytała cicho, patrząc mu gorączkowo w oczy.

– Nie wiem. – Wstał z ociąganiem, pełen wyrzutów sumienia, że musi zostawić matkę w takim stanie. Wiedział jednak, że nie może też zostać. Nawet tego nie chciał.

– Jesteś taki przystojny, mój synu – rzekła Manuela cichym głosem, kiedy chciał wyjść z salonu. – Przestałeś być młodzieńcem, a stałeś się mężczyzną.

– Mam trzydzieści dwa lata – odparł Johann sucho.

– Wiem. Ale to nie wiek uczynił z ciebie mężczyznę...

Johann zaśmiał się chrapliwie.

– Na wojnie już tak jest – zaczął kpiąco. – Zabijasz i stajesz się mężczyzną.

– Twój cynizm jest ohydny! Nie ty jeden jesteś na tej wojnie. Nie ciebie jednego ona dotyka.

Johann przytaknął niemo i wyszedł.

Pakując się do wyjazdu, schował do torby złoty medalion babci Irene z jej miniaturą w środku i obrączkę wysadzaną diamentami, którą babcia zamierzała podarować mu na ślub z Hanią.

Rodzinną posiadłość opuszczał z dziwną pustką i niepokojem w sercu, ale nie czuł żalu czy tęsknoty. Wiedział, że musi wrócić tam, gdzie bije jego serce.

Na pociąg zdążył w ostatniej chwili.

* * *

Generał Adolf von Kleist krążył rozgorączkowany wokół stołu w gabinecie swojego poprzednika, generała Fritza Rossuma. Był bacznie obserwowany przez grono dowódców dystryktu warszawskiego Generalnego Gubernatorstwa. Brakowało tylko gubernatora Fischera, który nie zjawił się na pilnie zwołanym spotkaniu z powodu gorączki swojej malutkiej córeczki.

– To jakaś farsa! To ma być wojna? Tak pokazujecie swoją siłę, że Polacy kopią was po tyłkach? W całej Europie biorą nas za durniów! Chyba nie muszę wam tłumaczyć, co to dla nas oznacza!

Panowała zupełna cisza. Nikt nie miał odwagi zabrać głosu, bo każdy z siedzących przy stole dowódców zdawał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Kolejne militarne porażki, które piętrzyły się od początku czterdziestego trzeciego roku, znacząco pogorszyły nastroje nie tylko żołnierzy Wehrmachtu, ale i innych Niemców. Stalingrad, Łuk Kurski czy przerwane oblężenie Leningradu były gwoździami do trumny niemieckiej dominacji. Ze wszystkich frontów docierały złe informacje. Zdawało się, że już nikt nie panuje nad sytuacją i nawet słyszało się podszepty, że niemieccy generałowie coraz częściej negowali rozkazy Hitlera. Zła sytuacja w Warszawie tylko zaogniała konfliktowe nastroje. Generalny Gubernator Hans Frank słał list za listem z rozkazami natychmiastowego zapanowania nad aktami sabotażu w Warszawie i w całym Gubernatorstwie, których z tygodnia na tydzień było coraz więcej. Polacy poczynali sobie coraz śmielej, śmiejąc się okupantowi w twarz. To już nie były akcje sabotażowe chłopców z Szarych Szeregów, którzy wypisywali ośmieszające Niemców hasła na wszystkim, co popadło. To były prawdziwie i śmiertelnie niebezpieczne zbrojne zamachy, dokonywane przez

zdeteminowanych żołnierzy Armii Krajowej. Niemcy stacjonujący w Warszawie byli tak samo wściekli, jak zmęczeni.

Johann przysłuchiwał się monologowi generała ze znużeniem. Gdyby nie świadomość, że jego wszelkie działania odbiegające od panujących w Wehrmachcie standardów mogłoby być zauważone, już dawno odpuściłby sobie te zebrania i rozmowy na wysokim szczeblu. Bał się jednak, że swoją niesubordynacją względem armii mógłby narazić życie ledwo co uratowanej Hani. Siedział więc przy stole z dowódcami i przysłuchiwał się wściekłym wymówkom nowego komendanta Warszawy.

– Chyba nie muszę nikomu tu z obecnych tłumaczyć, że wszelkie działania na terenie Warszawy podlegają teraz pełnej kontroli Brigadeführera Franza Kutschery. Mam dość zabawy z Polakami w ciuciubabkę! Mam dość śmiania nam się w twarz! Każdy Niemiec, który jakkolwiek przyczyni się po poprawy bytu tych zbrodniarzy i sabotażystów, zostanie natychmiast osądzony przez sąd nadzwyczajny! Nie będziemy tolerować niesubordynacji! Nie obchodzi mnie, jak bardzo podobają wam się polskie dziwki! Od teraz koniec z tym! Każdy, kto choć spojrzy przychylnie na Polkę, będzie sądzony jak zdrajca!

Z niewiadomego powodu, wypowiadając te słowa, generał patrzył prosto na Johanna. Ten, udając zainteresowanie, skinął głową na znak, że zgadza się z każdym wypowiedzianym przez komendanta słowem, choć czuł, jak zimny pot spływa mu po plecach.

– Od teraz Warszawa ma stać się teatrem okrucieństwa i terroru! Pokażemy tym polskim psom, na co nas stać! Nie oszczędzamy nikogo! Nikogo! Czy to jasne? Warszawa spłynie krwią, ale nie naszą, tylko Polaków!

Zewsząd dochodziły pomruki aprobaty. Wszyscy dowódcy zgodnie uznali rozkaz sterroryzowania ludności Warszawy za potrzebny i uzasadniony i z takim zamiarem opuścili gabinet komendanta, który po przemówieniu z ciężkim westchnieniem usiadł na krześle za swoim biurkiem.

– Kapitanie von Richter, proszę zostać na słówko. – Prośba wypowiedziana została przez generała tonem rozkazu.

Johann posłusznie zatrzymał się. Wszyscy wyszli, a on został, stojąc sztywno pośrodku gabinetu. Przez głowę przemykały mu tabuny myśli. Był pewien, że za chwilę usłyszy z ust nowego komendanta, że ten wie wszystko o akcji uwolnienia z więzienia więźniarki Hanny Wolińskiej. Wie również o zabiciu esesmanów z kieleckiego gestapo, zastrzelonych w lesie i kto był sprawcą niedawnej śmierci Hauptsturmführera Reinharda Krügera.

Do tej pory Johann łudził się, że nikt go nie zdemaskował ani nie podejrzewał o udział w tych akcjach, ale teraz przestał mieć taką pewność. Mimo to wciąż nie miał żadnych wyrzutów sumienia, że któregoś wieczoru pojechał samotnie do mieszkania Hauptsturmführera na przedmieściach Kielc i zastrzelił go z zimną krwią w odwecie za katowanie Hani. Zanim to zrobił, spojrzał spokojnie Krügerowi w oczy i bez ogródek powiedział mu, że to za nią. Zdumiony Krüger, stojący w drzwiach swojej kwatery w samych spodniach i białym podkoszulku na ramiączkach, nawet nie zdążył sięgnąć po broń. Nie zdążył również wyjąknąć słowa, bo strzał w głowę z bliskiej odległości powalił go w sekundę. Po wszystkim Johann patrzył na trupa ze ściśniętym gardłem, czując mdłości dopadające go od żołądka.

Wreszcie wrócił do Warszawy, zamknął się w swoim oficerskim mieszkaniu i spędził w nim kilka godzin, siedząc w fotelu przy oknie i rozmyślając nad swoim utraconym człowieczeństwem.

Wszyscy w SS i gestapo byli przekonani, że tego mordu dokonali Polacy, którzy na swoim koncie mieli coraz więcej spektakularnych egzekucji na Niemcach. A Johann z pełną świadomością nie zamierzał się przyznawać, dopóki widział cień szansy na odzyskanie kobiety, dla której to wszystko robił.

– Proszę usiąść, kapitanie. – W głosie generała von Kleista słychać było znużenie.

Johann posłusznie usiadł na tym samym krześle, na którym siedział pięć minut wcześniej.

– Doszły mnie dziwne słuchy i chciałbym to z panem przedyskutować.

– O co chodzi, panie generale?

– Pamięta pan tę dziwną akcję odbicia więźnia, a dokładnie więźniarki z Kielc. Podobno była naszą wtyczką w polskim podziemiu.

Johann przełknął ślinę. A więc jednak miał rację, wiedzieli wszystko.

– Ta Polka to Hanna Wolińska pseudonim „Anioł”. Wie pan, czemu z nim o tym rozmawiam?

– Tak, panie generale. – Głos Johanna był twardy i poważny. Nie słysząc w nim było strachu ani jakiegokolwiek obawy, ale von Richter czuł, że wszystkie mięśnie ma naprężone jak struny.

– Więc przyznaje pan, że owa więźniarka była niegdyś pańską narzeczoną?

– Tak, panie generale.

– Czy może pan powiedzieć na ten temat coś więcej?

– Byliśmy zaręczeni na krótko przed wybuchem wojny. Planowaliśmy ślub, ale wiadoma sytuacja zmusiła nas do zmiany planów. Wstąpiłem do Wehrmachtu, a panna Wolińska wróciła do Polski.

– Zmuszona do tego kroku przez gestapo. Wiem, że oskarżono ją o szpiegostwo.

– Tak. To był główny powód naszego rozstania. Dowiedziałem się o jej zdradzie.

– Więc przyznaje pan, że panna Wolińska była polskim szpiegiem? Mięsień na policzku Johanna drgnął.

– Dość łatwo jej to udowodniono.

– To prawda... A czy wie pan, co było dalej?

– Nie rozumiem...

– Wie pan kapitanie, że panna „Anioł”, jak ją zwa, była naszą wtyczką obserwowaną przez Abwehrę?

– Owszem, była wtyczką, ale nie współpracownicą. Nie miała pojęcia, że jest na celowniku Abwehry.

– I to pomogło wyciągać od niej informacje. Nurtuje mnie tylko jedno: co pan ma z tym wspólnego, kapitanie?

– Nie rozumiem?

– Co pan właściwie robi w Warszawie?

– Zostałem przeniesiony z Paryża rozkazem Führera.

– Sam pan podobno o to zabiegał. Proszę powiedzieć, czy wie pan, gdzie ukrywa się Hanna Wolińska?

Johann przez chwilę patrzył komendantowi w oczy, aż wreszcie westchnął.

– Wiem tyle, co pan. Moja była narzeczona nie żyje. Zmarła od ran, zaraz po odbiciu ją z więzienia przez działaczy polskiego podziemia.

– Widział pan jej grób?

– Nie, generale. Polacy nie ujawnili, gdzie została pochowana – odparł Johann ochrypłym głosem.

– Więc skąd pewność, że ta panna nie żyje?

Zapadła cisza. Generał przypatrywał się Johannowi uważnie, próbując odczytać jego emocje. W końcu sapnął i poprawił się w wysokim fotelu.

– Jeśli ktokolwiek dowie się, że mógł pan mieć z tym cokolwiek wspólnego... Sam pan wie, co go czeka. Na wojnie nie ma miejsca na sentymenty. Jest tylko zwycięstwo albo śmierć, kapitanie. Jeśli nie chce pan przeniesienia na front, to proszę siedzieć cicho i udawać, że nigdy nie znał pan panny Wolińskiej. I radzę panu udowodnić, że z takim samym zapamiętaniem jak pan kochał, potrafi pan również eliminować Polaków.

– Tak jest, panie generale.

– I jeszcze jedno... Planujemy pewną akcję. To ma być coś spektakularnego, coś, co wstrząśnie Polakami. Trupy na ulicznych szubienicach to za mało. Liczę na pana czynny udział, kapitanie. Jest pan dobrym żołnierzem, więc i w tej kwestii proszę nie zawieść. Nakazuję panu traktować to parszywe miasto jak pole bitwy.

Johann przytaknął bez słowa. Jeszcze tylko ramię podniesione w geście „Heil Hitler” i mógł opuścić gabinet komendanta.

* * *

Klasycystyczny dwór Polanka od początku swojego istnienia należał do rodziny Lamparskich – dziadków Wandy Kruszewskiej od strony matki. Powstały w XIX wieku, murowany, z białymi ścianami i wysokim dachem z czterokolumnowym portykiem, stanowił

kwintesencję dworu szlacheckiego z tamtego okresu. Wielkopańską atmosferę budowli tworzył rozległy park pełen alejek, żywopłotów i klombów, teraz niepielęgowany ręką ogrodnika i mocno już zarośnięty chwastami. Jednak najbardziej urokliwa była aleja lipowa prowadząca do dworu, zwieńczona okrągłym trawnikiem otoczonym niegdyś idealnie przyciętym żywopłotem. Piękno tego miejsca urzekało każdego, kto celowo lub przez przypadek trafiał w progi szlacheckiego domostwa. Teraz opuszczony przez rodzinę dwór wyglądał trochę strasznie, trochę tajemniczo, ale nadal urzekająco.

Hanię po odbiciu z aresztu zawieziono właśnie do opustoszałego dworu. Jak na razie było to jedyne względnie bezpieczne miejsce, o którym Niemcy nie mieli pojęcia. Osamotniony dwór leżał we wschodniej części Mazowsza, z dala od Warszawy i innych miast, w otoczeniu gęstych lasów, nad jeziorem obrosniętym szuwarami. Służba już dawno opuściła domostwo, więc brak jakichkolwiek mieszkańców i lokalizacja na uboczu sprzyjały zachowaniu konspiracji. Było to jedyne miejsce, do którego pułkownik Walerian Kruszewski nigdy nie zabrał nikogo z organizacji konspiracyjnej, jakby chcąc zachować to prywatne zacisze wyłącznie dla siebie. Wandzia jednak nie wahała się ani chwili, kiedy okazało się, że muszą dla Hani znaleźć bezpieczną przystań.

Sień domostwa ogromna i chłodna, w wejściu wciąż pachniała ziołami, które jeszcze za życia hrabiny Rozalii Lamparskiej suszono pod sufitem. Dalej mieścił się rozległy salon z kominkiem, ogołocony z większości mebli, bawialnia z rozstrojonym fortepianem i starym stolikiem do gry w szachy oraz jadalnia z ogromnym dębowym stołem mogącym pomieścić liczną rodzinę. Do kuchni trzeba było przejść wąskim korytarzykiem, ale stanowiła ona osobne królestwo, wyposażone w kuchnię węglową, piec do chleba i niezliczone ilości garnków, kubeczków i sztućców. Właśnie tam Johann zastał Wandzię, kiedy przez nikogo niezauważony wszedł do domostwa.

Młoda lekarka wyrabiała ciasto w glinianej makutrze.

Johann pomyślał, że to niesamowite, że ta zdolna młoda kobieta nie dość, że potrafiła fachowo i z pełnym zaangażowaniem leczyć ludzi, to jeszcze z upodobaniem oddawała się kulinarnym zajęciom.

Na jego widok uśmiechnęła się łagodnie i strzepnęła podmuchem z ust niesforny kosmyk ciemnych włosów, opadający jej na czoło.

– Dawno pana nie było – rzekła, nie przerywając pracy. – Myślałam, że dał pan sobie spokój.

– Byłem dość zajęty.

– Kiedy pomyślę, czym był pan zajęty, to aż mam ciarki na plecach – odparła ironicznie.

– Również wolałbym żyć w innej rzeczywistości. To, kim jestem, nie jest dla mnie chlubą, i pani o tym wie.

Popatrzyła mu w oczy, a on pomyślał nie po raz pierwszy, że ta skromna, ale piekielnie inteligentna kobieta miała w sobie ogromny hart ducha. Wiedziała, kim był, ale traktowała go na równi, bez strachu czy nienawistnych wyrzutów, obdarzając niezasłużonym w jego mniemaniu szacunkiem. Był Niemcem – w oczach jej rodaków katem, a ona nie wiedząc czemu, traktowała go jak człowieka. W dodatku dość szybko przejrzała jego udreki i tęsknoty, ale nie drwiła z niego i nie oskarżała go o nic, tylko zdawała się rozumieć. Ona sama, mimo swojego pogodnego nastawienia, wydała mu się wyjątkowo samotna. Obserwował jej milczące zmagania z samą sobą, kiedy próbowała uporać się ze śmiercią brata. On nie miał ani odwagi, ani moralnego prawa, żeby ją w tej żałobie pocieszyć.

– Dobrze pan trafił, bo właśnie wyrabiam ciasto na jabłecznik. Chyba nie muszę wspominać, że gdyby nie pan, nie miałybyśmy z Hanią ani grama mąki na takie luksusy.

– Cieszę się, że chociaż tak mogę pomóc – odparł ze spokojem.

Wandzia zaśmiała się czystym głosem.

– Kradzież zapasów żywności z niemieckiego garnizonu, żeby wykarmić dwie polskie uciekinierki, to nie lada wyczyn, nawet jak na pana! Myślałam, że skończy pan na lekach dla Hani, ale pan bezczelnie pozbawia niemiecką armię najlepszych rarytasów!

– Bez obaw, niemiecka armia poradzi sobie bez nich.

Wandzia skrzywiła się z przekąsem.

– Właśnie tego obawiam się najbardziej. Proszę, niech pan siada! Zawsze stoi pan w progach, nie śmiąc usiąść, choć wie pan, że go nie wygonię.

– Chciałem zapytać, czy Hania...

– Od pana ostatniej wizyty ma się lepiej. Rany zagoiły się zupełnie, pęknięte żebra zrosły, tylko dłonie bardzo wolno wracają do sprawności. Można rzec, że jest prawie zupełnie zdrowa, choć jej dusza... Wciąż choruje.

Johann zacisnął dłonie na oparciu krzesła, aż pobieleły mu kostki.

– Czy... Wspominała o mnie?

– Nie bardzo. Nie chce o panu rozmawiać. Musi pan zrozumieć, że jest jej bardzo ciężko.

– Jestem tego świadom – rzekł z nutą żalu w głosie. – Staram się być cierpliwy, ale...

– Wiem. Pan też cierpi, widzę to. Patrzę na pana, jak się pan męczy, i myślę, po co to wszystko? Nie lepiej dać sobie spokój? Wyjechać? Zapomnieć?

Johann potrząsnął głową, jakby próbował sam przed sobą zanegować słowa lekarki.

– Nie potrafię. Ona jest... Moim życiem.

Wandzia jakby zawstydzona się na te słowa, bo zażenowana spuściła głowę.

– To musi być niezwykle, kochać kogoś tak bardzo.

– Pani nie wie, jak to jest?

Niedbale wzruszyła ramionami. Nie patrząc na niego wciąż wyrabiała ciasto.

– Nie bardzo. Kiedy byłem bardzo młoda, brat dbał o to, żeby nie kręcili się przy mnie zalotnicy, a później poszłam na medycynę i nie miałam już czasu na miłość. Wojna jeszcze bardziej wszystko skomplikowała.

Johann milczał.

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Hania jest w ogrodzie. Może pan do niej pójść.

Kiwnął głową i bez słowa wyszedł z kuchni.

Hani nie było w ogrodzie. Nie było jej również w otaczającym dwór parku. Udał się w stronę jeziora i tam znalazł ją siedzącą na pniu zwalonego drzewa. Coś ścisnęło go w krtani, kiedy ją zobaczył. Była drobna i delikatna jak dziewczynka. Ciemne włosy, ledwie sięgające ramion, delikatne falowały szarpane wiatrem. Obejrzała się na niego

i dostrzegł nienaturalnie wystający nos na jej bladej, wychudłej twarzy. Oczy również wydawały się większe niż dawniej.

W pierwszym odruchu zatrzymał się, jakby z obawy o jej nagły sprzeciw, ale nie zauważając żadnej reakcji z jej strony, podszedł bliżej. Pragnął wziąć ją w ramiona, przytulić, ofiarować jej całą czułość, która go przepelniała, ale bał się to zrobić, bo patrzyła na niego obcym, prawie nieobecnym wzrokiem.

– Dzień dobry – rzekł zwyczajnie, nadając swojemu głosowi ton serdeczności.

– Johann... – wymówiła jego imię melodyjnym głosem. – Myślałam, że wyjechałeś. Miałam taką nadzieję.

– Wyjechałem... Ale wróciłem. – Celowo nie wspomniał o śmierci babci Irene, bo nie chciał dokładać jej zmartwień.

Odwróciła od niego twarz i znowu zapatrzyła się w jezioro. Zewsząd czuć było wilgotny zapach szuwarów.

– Nie powinieneś tu przyjeżdżać – rzekła gwałtownie. – Nie jesteś tu mile widziany. Jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, ale na tym powinieneś poprzestać. Idź stąd i nigdy więcej nie wracaj.

– Nie mogę – odparł, czując suchość w gardle. Wyciągnął ku niej rękę, ale nie ruszył się z miejsca. – Od początku próbowałem ci powiedzieć, że przyjechałem do Warszawy wyłącznie dla ciebie. Chciałem cię odnaleźć. Nie odpowiadałaś na moje listy.

– To chyba oczywiste. Zerwałam zaręczyny.

– Ale ja wciąż cię kocham.

Przez chwilę nic nie mówiła, jakby ważyła jego słowa.

– To masz problem, bo ja ciebie nie – odparła w końcu z całą powagą i spokojem, na jakie było ją stać. – Nasze zaręczyny były pomyłką. Tylko młodość nas usprawiedliwia. Czas pokazał, jakie szaleństwo byliśmy gotowi popełnić.

– Nie...

– Jeśli żywisz do mnie jakiegokolwiek uczucia, to proszę, zostaw mnie w spokoju i nie narażaj na niebezpieczeństwo.

– Nie mogę! Jesteś moja! Zawsze byłaś!

Popatrzyła mu zimno w oczy.

– Możesz zrobić ze mną, co chcesz! – rzuciła gniewnie. – Możesz mnie zniewolić, zgwałcić, a nawet zastrzelić i nikt nic ci nie zrobi, bo ja jestem Polką, a ty Niemcem. Jednak proszę... Żebyś mnie zostawił!

Patrzył na nią jak rażony gromem. Nie tego się spodziewał. Obojętność Hani względem niego przez ostatnie tygodnie tłumaczył sobie jej chorobą, ale powoli docierało do niego, że być może ona naprawdę go nie kocha. Może ten mur, który wyrósł między nimi, pozbawił ją wszelkich uczuć do niego? Miał jej uwierzyć? Czy tkwić w ułudzie, że ma jeszcze jakiekolwiek szanse na odzyskanie jej miłości?

– W trzydziestym dziewiątym Hitler napadł na mój kraj. Już samo to przekreśliło naszą wspólną przyszłość – zaczęła rzeczowym tonem. – Ale to nie wszystko. Kiedy wstąpiłeś do wojska, twój ojciec zgwałcił mnie na posterunku gestapo, nazywając dziwką. Jakby tego było mało, Susanne wplątała mnie w niebezpieczną grę, która mogła kosztować życie wielu ludzi. Wiesz, że byłam inwigilowana przez Abwehrę. Robiono to wszystko, bo byłam twoją narzeczoną. Bo raczyłam zakochać się w Niemcu!

Milczał, nie śmiąc wyrzec słowa. Miał jedynie wrażenie, że ziemia osuwa mu się spod nóg. Patrzył na jej twarz, na której nie rysowały się żadne emocje. Była zimna, jak wykuta w kamieniu.

– Nie chcę robić z siebie ofiary, ale czy uważasz, że biorąc to wszystko pod uwagę, wciąż mogę żywić do ciebie cokolwiek innego oprócz pogardy i nienawiści?

– Nienawidzisz mnie, bo jestem Niemcem? – zapytał ochryłym głosem.

Spojrzała mu w oczy.

– To chyba wystarczający powód. Polski żołnierz jest zobowiązany nienawidzić Niemców i pielęgnować w sobie tą nienawiść – rzekła z brutalną szczerością. – Nic innego nie ma znaczenia.

– To małostkowe.

Zaśmiała się szyderczo.

– Uważasz, że zabijanie ludzi w imię wyższej rasy, pozbawianie ich podstawowych praw, torturowanie, głodzenie, poniżanie w najbardziej podły i wyrachowany sposób i obracanie ich świata

w ruinę jest małostkowe? Nie, Johann. To jest potworne, nieludzkie. Cały twój naród jest potworem, a ty należysz do tego narodu. Nie mamy prawa bawić się w miłostki, kiedy mój kraj spływa krwią przez rany zadawane mu przez twoich rodaków! Jesteś Niemcem! Szwabem! I nikim więcej! I śmiesz paradować po mojej ukochanej Warszawie w mundurze Wehrmachtu, licząc, że wciąż mogę cię kochać? Chyba nikt nie byłby aż tak głupi!

Johann czuł się oszołomiony, bo każde jej słowo brutalnie docierało do jego świadomości. Najgorsze było to, że zgadzał się ze wszystkim, co powiedziała, nie negował tego, nie umiał.

Chciała go ominąć, ale w geście jakiejś szalonej desperacji złapała ją za rękę i przyciągnęła do siebie. Nie protestowała. Stała sztywno, z rękami spuszczone wzdłuż ciała, a on gorączkowo wtulił twarz w jej pachnące wiatrem włosy, mocno obejmując ramionami wątłe ciało.

– Przepraszam – wyszeptał głucho. – Za wszystko.

Z wnętrza jej ciała wydobyło się jakby łkanie, ale stłumiła to w sobie i odepchnęła go od siebie.

ROZDZIAŁ 26

**okolice Warszawy
grudzień, rok 1943**

Wraz z początkiem grudnia zaczął padać śnieg, a siarczasty mróz skuł lodem pobliskie jezioro. Dwór pokryły grube zasy śnieżne, mocno utrudniając Hani i Wandzi wędrówki do pobliskiego lasu po drzewo na rozpałkę. Bały się, żeby ktoś przypadkowy nie odkrył świeżych śladów na śniegu, a tym samym nie domyślił się, że budynek jest zamieszkały. Nie życzyły sobie nieproszonych gości, choć miały już przygotowaną wspólną wersję kłamstwa, gdyby okazało się, że jednak ktoś obcy zawita w ich progi. Z desek znalezionych w stajni zrobiły prowizoryczne sanie i na nich wspólnymi siłami ciągnęły do dworu drzewo z lasu. Koks, który przywoził im Johann, postanowiły zachować na gorsze czasy. Staraly się również oszczędzać wodę, którą nosiły wiadrami ze studni, bo schody prowadzące do domostwa pod warstwą białego puchu pokryte były lodem. Raz Hania poślizgnęła się na nich z wiadrem i nie dość, że obięła sobie porządnie biodro, to jeszcze wylała całą wodę. Cieszyła się jedynie z tego, że nie złamała nogi albo ręki.

Dni dłużyły im się coraz bardziej, a nieznośne wieczory były jak wieczność. Zamknięte we dworze, bez wiadomości na temat tego, co dzieje się w Warszawie, popadały w coraz większe zniechęcenia i apatię. Najbardziej dawało się to we znaki Wandzi, która coraz bardziej poirytowana snuła się po pustych pokojach dworu babki i na siłę znajdowała sobie zajęcia. Cieszyły ją regularne wizyty Johanna, ale jego nie mogła zapytać o to, co dzieje się na froncie. W takich

momentach uświadamiała sobie, że pomimo całej sympatii do niego ma jednak do czynienia z wrogiem.

Hania unikała Johanna zawsze, kiedy pojawiał się we dworze. Szukała pretekstu, byle z nim nie rozmawiać, nie patrzeć na niego. Ignorowała go z całą mocą, choć on uparcie starał się tego nie dostrzegać. I wciąż przychodził.

Władek odwiedził je tuż przed Bożym Narodzeniem.

Hania bez trudu dostrzegła, że Wandzia wodzi za Władkiem wzrokiem, ale on zdawał się być na to ślepy.

– Nie mówiłem ci wcześniej, Haniu – rzekł podczas wspólnej kolacji – ale nawiązaliśmy kontakt z Londynem i próbujemy zorganizować ci bezpieczny przerzut do Anglii. Jak tylko się to uda, zapewne dopiero po Bożym Narodzeniu, Wandzia wróci ze mną do Warszawy.

– Nie zamierzam uciekać do Londynu.

– Musisz! – obruszył się Władek. – Tutaj nie jesteś już bezpieczna.

Hania zmarszczyła brwi.

– Ktoś mnie namierzył?

Wandzia nagle jakby zbladła.

– Na razie nie – odparł Władek. – Ale boimy się, że ten twój Niemiec może cię wsypać. Nie ufam mu.

Hania patrzyła uważnie raz na Wandzię, raz na Władka. W końcu zapytała ostro:

– Wiecie coś, o czym ja nie wiem?

Oboje popatrzyli na siebie znacząco, aż wreszcie Władek odchrząknął.

– Tydzień temu doszło do masakry szpitala na Mokotowie. Niemcy rozstrzelali wszystkich chorych i personel medyczny, a na koniec wysadzili budynek w powietrze. Akcją dowodził Johann.

Hania zachwiała się na krześle. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, więc chwyciła się brzegu stołu. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe.

Wandzia wstała, podeszła do niej szybko i złapała Hanię za ramiona.

– Usiądź. Podam ci wodę.

– Nie! – krzyknęła Hania gwałtownie. – Przestańcie się na mnie gapić! Nie moja wina, że on tu przychodzi! To wyłącznie jego sprawa!

Zakrztusiła się własnym krzykiem. Miała wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi. Znowu czuła ból w żebrach.

Wandzia bez słowa podsunęła jej kubek z wodą.

– Przykro mi – wyszeptała ledwo dosłyszalnym głosem. – Myślałam, że chociaż on jest inny.

Hania spojrzała na nią hardo.

– Obie byłyśmy naiwne. Ale to musi się skończyć! Słyszysz?! Musi!
– Nadal dusił ją gwałtowny kaszel.

Władek patrzył na nią. Jego twarz była niczym maska, nie zdradzała żadnych emocji.

– Chłopaki z organizacji, którzy wiedzą, że tu przebywasz, martwią się tym, że Niemiec wciąż tu przychodzi – zaczął twardym tonem. – Niektórzy podejrzewają, że... zapraszasz go tu celowo.

– Mają mnie za kolaborantkę?!

– Nazwij to, jak chcesz, ale boją się, że nas wsypiesz. Niektórzy wiedzą, że byłaś wtyczką Abwehry, i przestają wierzyć, że Niemcy cię wrobili.

– To absurd! – krzyknęła Hania. – Może myślą również, że sama torturowałam się w gestapowskim więzieniu!?

Władek zacisnął szczękę.

– Hanka, zrozum! Oni mają prawo do niepokoju! Ten szwab ciągle tu przyjeżdża, kręci się, udaje bohatera, a poza twoim zasięgiem morduje niewinnych cywilów! Nas! Polaków! Nie masz pojęcia, co się dzieje w Warszawie!

Hania zadrzała. Poczuła, jak jej ciało kurczy się pod wpływem stresu.

– Coraz więcej naszych ginie w ulicznych egzekucjach – ciągnął Władek. – Moi ludzie przestają wierzyć, że to przypadek. Uważają, że ktoś ich sypie!

– I tym kimś jestem ja?

Władek milczał. Wandzia miała przerażoną minę.

– Część chłopaków zaczęła przebąkiwać, że to „Ptaszyna” sypał na torturach – zaczął Władek ostrożnym tonem.

– Nie! – zaprzeczyła ostro Hania. – Nie ważcie się naruszać dobrego imienia pułkownika Kruszewskiego! – wysyczała wściekle, a jej oczy rzucały gromy. – Był twoim dowódcą i jesteś mu winny szacunek!

– I mam szacunek. Niech spoczywa w pokoju. – Władek wykonał znak krzyża. – Ale dzieje się źle, Haniu, i twój Niemiec ewidentnie macza w tym palce!

– Nie nazywaj go moim Niemcem!

– Przecież sypiałaś z nim jak dziwka!

Hania zatrzęsała się ze złości. Gwałtownie wstała od stołu, podeszła do Władka i spoliczkowała go, aż poczuła nieznośny ból w niedoleczonej jeszcze dłoni.

– Wielokrotnie nazywano mnie dziwką, ale tobie tego nie wybaczę!

– syknęła przez zaciśnięte zęby. Nie zwracając uwagi na zdruzgotaną i oniemiałą Wandzię, szybkim krokiem wyszła z jadalni.

Wandzia dogoniła ją w połowie drogi do jej pokoju.

– Hanka! – Złapała ją za rękę i obróciła twarzą ku sobie. – Wybacz mu. Nie miał prawa tak do ciebie mówić.

– Chcesz się za niego tłumaczyć?

Wandzia potrząsnęła głową.

– Ani myślę. Wiem jedynie, że on to wszystko mówi dla twojego dobra. Wiesz, że cię kocha.

Hania patrzyła na Wandzię osłupiała. W końcu zaśmiała się z ironią.

– Jesteś głupia! – wyrzuciła z siebie. – Mówisz o tym tak lekko? Przecież widzę, że jesteś w nim zakochana!

Wandzia wzruszyła ramionami.

– Bo wiem, że ty nie kochasz jego. A ktoś musi być przy nim, kiedy on to sobie w końcu uświadomi.

Hania przez chwilę patrzyła na przyjaciółkę, nic nie rozumiejąc. Czyżby miała do czynienia ze skończoną wariatką? W końcu zatrzasnęła za sobą drzwi do pokoju.

Nie zdążyła nawet zebrać wzburzonych myśli, bo Wandzia weszła za nią bez pukania i ostentacyjnie stanęła w drzwiach.

– Myśl sobie, co chcesz, ale ja nie uważam się za głupią – zaczęła.

– Wiem, że miłość to nie jest romantyczna bajka o kopciuszku

i księciu. Już dawno z tego wyrosłam. Wiem również, że ty i Władek pomimo wzajemnych emocji nie widzicie już wspólnej przyszłości.

– Nie widziałam jej już parę lat temu – mruknęła Hania cicho. – Masz moje błogosławieństwo.

Wandzia weszła w głąb pokoju i przysiadła obok Hani na łóżku okrytym batystową narzutą – pamiątką z czasów hrabiny Rozalii.

– Władek wraca dzisiaj do Warszawy, a ja zamierzam iść z nim. Nie mogę dłużej tu siedzieć bezczynnie, jakby wojny nie było. Jestem lekarzem, a tam wielu rannych i chorych potrzebuje mojej pomocy.

Hania przytaknęła.

– Wiem, Wandziu. To mądra decyzja.

– Władek jeszcze o tym nie wie i pewnie będzie oponował – kontynuowała Wandzia. – Ale wytłumaczymy mu obie, że tak trzeba. Wkrótce na pewno znajdzie się jakiś sposób na twój wyjazd do Londynu, gdzie będziesz bezpieczna, a na razie postaramy się znaleźć ci jakąś kryjówkę. Niemcy myślą, że nie żyjesz, więc może nie będą cię szukać.

– Ja nie wracam z wami. Zostanę tutaj. Jeszcze przez jakiś czas.

Lekarka zmarszczyła brwi.

– Będziesz tu sama? To nierozsądne. Władek...

– Władek nie ma w tej kwestii nic do gadania! Jestem dorosła i odpowiadam sama za siebie!

– Ale to on wydaje rozkazy.

– Nie mi! Nie podlegam jego rozkazom. Mój dowódca nie żyje.

Przez twarz Wandzi przemknął cień udręki.

– Nie bój się o mnie – mruknęła Hania, zmieniając ton na bardziej pobłażliwy. – Dam sobie radę. Mam zapas jedzenia i koks, a wodę sobie przyniosę.

– Za dwa dni powinien zjawić się Johann – rzekła Wandzia ostrożnie.

Hania przytaknęła.

– Wiem. Zaczekam na niego.

– Co zamierzasz zrobić?

– To, co powinnam zrobić już dawno! Wyjaśnić z nim pewne sprawy. – Głos Hani stał się nagle dziwnie ochryply. – Mamy sobie

sporo do wyjaśnienia.

– Chyba nie zamierzasz... – Wandzia nie dokończyła. Złapała Hanię gorączkowo za dłoń, która była zimna i jakby bezwładna.

Hania popatrzyła przyjaciółce w oczy.

– Twój brat powiedział mi kiedyś, że mam przestać się mazać, bo na wojnie to nie wypada. I miał rację. Nauczył mnie również być twardą i konsekwentną. Ale przede wszystkim pokazał mi, że w obliczu walki o słuszną sprawę nie ma miejsca na głupią miłość. On był odważny. I poprosił mnie przed śmiercią, żebym też taka była.

– Oby Bóg miał cię w swojej opiece... – wyszeptała Wandzia ledwo słyszalnym głosem.

– Bóg nie ma tu nic do rzeczy.

Wandzia i Władek opuścili dwór następnego dnia przed zmierzchem, chociaż najpierw mężczyzna próbował przekonać Wandzię, żeby została. Widząc jednak upór lekarki, zmienił strategię i zaczął namawiać Hanię, żeby wróciła do Warszawy z nimi. Hania sprzeciwiła się twardo, nie pozwalając mu nawet na wytoczenie argumentów.

Z Wandzią długo trzymały się w objęciach, obiecując sobie, że wkrótce się zobaczą.

– Wiesz, że zawdzięczam ci życie?

Wandzia uśmiechnęła się przez łzy.

– Wiem. Będę o tym pamiętać i we właściwym czasie upomnę się o swoje.

– Idź do Lucyny i do mojej mamy i powiedz im, że u mnie wszystko dobrze. I że bardzo za nimi tęsknię. I ucałuj małego Janka.

– Zrobię to. Obiecuję.

* * *

Cały kolejny dzień Hania snuła się po wielkim domu, próbując zebrać rozbiegane myśli. Raz za razem spoglądała w okna, chcąc się upewnić, że nikt nie idzie do dworu. W kieszeni szerokiej spódnicy trzymała pistolet, który zostawił jej Władek. Potrafiła strzelać. Na szkoleniu opanowała tę sprawność bardzo szybko. Ale

nigdy nie strzelała do człowieka. Starła się nie myśleć o tym, jak to jest wymierzyć w kogoś i pociągnąć za spust. W końcu zła i udręczona poszła spać.

Noc dłużyła jej się niczym wieczność. Nie mogła zasnąć, a kiedy w końcu jej się udało, obudziła się w majakach, zlana potem, przestraszona. Śnił jej się Walerian strzelający do Karoliny Nałęczowskiej. Przez chwilę walczyła z własnym strachem, mając wrażenie, że się udusi, ale zaraz otrząsnęła się z nocnej mary.

Dom był ciemny i przerażająco cichy. Spoglądała w ciemność szeroko otwartymi oczami i wsłuchiwała się we własny, przyspieszony oddech. W końcu owinęła się szczelnie wełnianym kocem, by ochronić się przed zimnem, bo piec już dawno wygasł. Zeszła na dół do salonu, zwinęła się w kłębek na fotelu i tkwiła tak w głębokim mroku, dopóki nie zasnęła z twarzą wtuloną w zagłębienie ramienia.

Obudziła się wraz z nadejściem świtu. Świat znowu pokrył się nową warstwą śniegu, który sypał gęsto całą noc. Hania ucieszyła się, że ma wystarczający zapas wody i nie musi brnąć w zaspach z kolejnym wiadrem ze studni.

Szybko rozpałała w piecu i przyrządziła kaszę ze skwarkami, ale ściśnięty z nerwów żołądek nie chciał przyjmować żadnych pokarmów.

Próbowała przypomnieć sobie techniki koncentracji, których uczono ją na szkoleniu wojskowym, ale po raz pierwszy miała wrażenie, że wszystko to szlag trafił. Niegdyś, stając przed Niemcem, była zimna i opanowana. Teraz czuła rozdygotanie. Winiła za to tortury, jakim poddało ją gestapo. „Złamali mnie” – myślała udręczona. Dlatego teraz nie miała siły zachować zimną krew.

Kiedy w końcu zobaczyła w oknie majaczącą w oddali sylwetkę Johanna, nogi się pod nią ugięły.

Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe, kiedy poruszając się chwiejnym krokiem, weszła do sieni. Musiała na chwilę podtrzymać się ścianą, bo nagły zawrót głowy osłabił ją na tyle, że upadłaby na posadzkę. Złapała kilka oddechów i wyszła na frontowe schody. Po twarzy smagnął ją lodowaty wiatr. Zmrużyła oczy od rażącego śniegu, w którym odbijało się blade słońce, i popatrzyła na Johanna.

Był coraz bliżej. Przeszedł już aleję lipową i pewnym krokiem zmierzał w kierunku wystającego spod śnieżnych zasp żywoplotu. Niósł na plecach dwa worki. Zapewne w jednym miał jedzenie, a w drugim koks. Nie spuszczała z niego wzroku. Chłoneła oczami każdy szczegół jego sylwetki. Spod futrzanej czapki widziała tylko ostre rysy jego brody i kosmyki jasnych włosów. Ubrany był w zimowy płaszcz obity futrem, ale na nogach miał wojskowe oficerki, jakie nosili wyłącznie oficerowie Wehrmachtu.

Oszołomiona pomyślała, że wciąż zniewalał ją swoją męskością. Czy kiedykolwiek widziała innego mężczyznę tak pięknego jak on? Czy ktokolwiek mógł się z nim równać? Czy zdoła zachować w pamięci właśnie taki jego obraz? Westchnęła żałośnie, zastanawiając się, czy Walerian myślał podobnie, zanim zabił Karolinę.

Johann dostrzegł ją z daleka, więc teraz lustrował ją uważnym wzrokiem. Nie widziała wyrazu jego twarzy, ale domyślała się, że musiał być zaskoczony. Nigdy nie witała go w progu. Zwolnił, jakby zastanawiał się, czy powinien iść dalej. Kiedy znalazł się wystarczająco blisko, by mogła zajrzeć mu w oczy, zadrżała i gwałtownym ruchem włożyła dłoń do kieszeni spódnicy.

Miał oczy jak pogodne niebo w Bawarii.

Szybkim ruchem wyciągnęła z kieszeni pistolet, wymierzyła w Johanna i strzeliła. Odgłos wystrzału z parabellum rozniósł się echem po okolicy.

Przez chwilę stała osłupiała, niezdolna wykonać żadnego ruchu. Ręka z pistoletem sama bezwładnie opadła wzdłuż jej ciała, a pistolet wysunął jej się z dłoni. Hania patrzyła, jak Johann osuwa się w zaspę świeżego śniegu.

– Johann! – wrzasnęła.

Ogarnęła ją panika. Nagle dotarło do niej, co zrobiła, i próbowała zbiec ze schodów, ale poślizgnęła się na pierwszym stopniu i zjechała w dół, obijając się boleśnie o każdy kolejny stopień. Zatrzymała się w hałdzie śniegu. Gramoliła się, jęcząc przy tym z wściekłości i bólu, aż w końcu stanęła na nogi. Brnęła w śniegu po kolana, oddychała szybko, płytko, czując piekący ból w klatce

piersiowej i w okolicach żeber. Dobiegła do Johanna i uklękła przy nim.

Leżał w śniegu, przygnieciony dwoma workami. Odsunęła je z okrzykiem wściekłości i odwróciła jego twarz ku swojej. Miał zamknięte oczy, ale oddychał. Widziała strużkę pary wydobywającą się z jego nozdrzy.

– Johann! – Potrząsnęła nim gwałtownie, ale nie zareagował. – Johann!

Dopiero teraz dostrzegła plamę krwi na białym śniegu. W panice dotknęła palcami lepkiej cieczy spływającej z prawego ramienia mężczyzny.

– Johann, na Boga!

Znowu zaczęła nim potrząsać i wtedy wreszcie zareagował. Jęknął i otworzył oczy.

– Chciałaś mnie... zabić – wyszeptał zdumiony.

Zaśmiała się gardłowo, histerycznie. Przytknęła czoło do jego czoła. Czuła jego lodowato zimną skórę i nieregularny oddech tuż przy swoim. Nieśmiało objął ją zdrowym ramieniem. Czuła, że on żyje.

– Nieprawda – mruknęła po chwili, próbując opanować emocje. Usta jej drżały. – Gdybym chciała cię zabić... Już byś nie żył.

Uśmiechnął się krzywo.

– Mam rozumieć, że nauczyłaś się strzelać i to była próba twoich umiejętności?

– Coś tym stylu.

Stęknął, próbując się poruszyć.

– Jeśli nie pomożesz mi wstać, to wykrwawię się w tej zaspie albo zamrznę.

Hania zaczęła dygotać. Nagle uświadomiła sobie realizm sytuacji, w jakiej się znaleźli, i to, co przed chwilą próbowała zrobić. „Boże! – pomyślała w panice, łapiąc jego oddech za oddechem – Chciałam go zabić, ale nie potrafię!”

Ta prawda ją oszołomiła. Zdała sobie sprawę, że kimkolwiek Johann był, cokolwiek robił, ona nie potrafiła go unicestwić. Wniknął w każdy por jej skóry, w każdą jej myśl, odebrał jej zdrowy rozsądek. Nie umiała go zabić, bo zbyt mocno go kochała.

* * *

Rana postrzałowa nie była głęboka. Kula jedynie drasnęła ramię, uszkadzając skórę i mięsień, ale krew płynęła mocno. Hania, wkładając w to tyle wysiłku, ile zdołała, pomogła Johannowi stanąć na nogi, a dalej on sam, krzywiąc się z bólu, wszedł do domu.

Zupełnie nie wiedząc, co robić, patrzyła na niego, jak stękając i sycząc z bólu, rozsiadł się w wysokim fotelu w salonie, niedaleko rozpalonego kominka.

– Sama mi powiesz, dlaczego próbowałaś mnie zabić, czy mam się tego domyślać? – zapytał, spoglądając na nią, kiedy stała milcząca w progu.

– Już mówiłam, gdybym chciała cię zabić, już byś nie żył.

– Więc po co to było?

– Żebyś w końcu zrozumiał, że nie jesteś tu mile widziany.

– Doskonała strategia – prychnął.

– Jedyna skuteczna, bo jak dotąd inne argumenty do ciebie nie docierały!

Spojrzał jej w oczy. Próbowwała wytrzymać jego wzrok.

– Możesz poprosić Wandzię? Pewnie coś na to poradzi – to mówiąc, chwycił się za bolące ramię.

– Wandzi nie ma. Odeszła.

– Jak to odeszła?

– Po prostu. Jestem tu sama.

Johann sapnął.

– Więc rozumiem, że jeśli sam sobie nie pomogę, ty z satysfakcją pozwolisz mi się wykrwawić?

Hania bez słowa wyszła z salonu. Próbowwała uspokoić drżenie rąk. Poszła na górę po bandażę, które parę tygodni temu jej samej służyły za opatrunki, a które później obie z Wandzią wyprały i wygotowały. Wróciła po kilku minutach.

Johann zdążył już zdjąć płaszcz, czapkę i próbował pozbyć się wełnianego swetra, ale przeszkadzało mu w tym silnie krwawiące ramię. Musiało go bardzo boleć, bo Hania widziała, że był blady, a twarz miał wykrzywioną bólem.

Podeszła do niego i zgrabnym ruchem zdjęła mu sweter przez głowę. Szybko odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć na jego klatkę piersiową, okrytą jedynie podkoszulkiem na ramiączkach.

– Przyniosłam bandaż.

– Dziękuję. – Podniósł na nią wzrok.

W jego oczach odbijał się ogień z kominka. Tym razem wytrzymała spojrzenie. Hardo uniosła podbródek i wygięła usta w pogardliwym uśmiechu.

– Jesteś idiotą! Mogłam cię zastrzelić, a ty mi dziękujesz?

Nie odpowiedział. Zabrał się za rozwijanie bandażu, chcąc owinąć nimi ramię i zatamować krwawienie.

Hania poszła do kuchni po garnek z gorącą wodą, który cały czas trzymała na kuchni, i czysty ręcznik. Wróciła do salonu i położyła wszystko na podłodze przy kominku. Ruchem ręki nakazała Johannowi, żeby się zbliżył.

– Najpierw trzeba to obmyć. Nie mam środków dezynfekujących, więc gorąca woda musi wystarczyć.

Posłusznie usiadł bliżej ognia, a ona sprawnymi ruchami zaczęła opatrywać mu ranę, którą sama mu zadała. Patrzyła przy tym na niego, czując wzbierające w niej emocje. Złość, pomieszana z bezsilnością sprawiały, że jej ruchy były szybkie, gwałtowne, pozbawione empatii dla jego bólu. Raz za razem syczał albo jęczał, a ona wtedy ścisnęła go bandażem jeszcze mocniej. W końcu odskoczyła od niego jak oparzona.

– Gotowe – rzekła sucho. – A teraz zabieraj stąd swoje rzeczy i wynoś się!

Patrzył na nią zdumiony i blady. Jego czoło było zroszone potem. Tłumaczyła sobie, że to nie z osłabienia, tylko od żaru w kominku.

– Nie pozwolisz mi tu przenocować?

– Nie. Wynoś się! Już!

Najwyraźniej nie zamierzał z nią dyskutować, bo zabrał się za zakładanie swetra. Hania widząc to, zadrżała ze złości jeszcze bardziej.

– Zabiłeś niewinnych ludzi w szpitalu na Mokotowie? – zapytała nagle.

Johann znieruchomiał i Hania odniosła wrażenie, że zbladł jeszcze bardziej.

– Skąd o tym wiesz?

– Nie twoja sprawa! Zabiłeś ich? Odpowiedz!

Z ciężkim westchnieniem osunął się na fotel. Złapał się dłonią za pulsujące bólem ramię.

– Nie zabiłem – odparł w końcu z wysiłkiem. – Nikogo tam nie zabiłem.

– Kłamiesz! – wrzasnęła. – Wiem, że tam byłeś i dowodziłeś akcją!

– Kto ci o tym powiedział?

– Nieważne! Po prostu to wiem... – Zniżyła głos, który przeszedł w niemy szloch. Próbowwała złapać oddech, ale piekło ją w żebrach.

– Byłem tam, bo... nie umiałem tej akcji zapobiec. Nie miałem takiej mocy... Pojechałem tam z oddziałem żołnierzy, bo wiedziałem, że w tym szpitalu pracuje ojciec Lucyny, twojej bratowej. Mówiła mi o tym kiedyś... Przy którymś spotkaniu. Prosiła o załatwienie mu Arbeitskarty, żeby Niemcy zostawili go w spokoju. Doktor był często niepokoiony przez esesmanów w szpitalu i Lucyna bała się, że w końcu wywiozą go na roboty w głąb Rzeszy. W tym dniu też miał mieć dyżur, ale zdążyłem go ostrzec.

– Nie wierzę ci – wyszeptała Hania oszołomiona.

– Nie musisz, ale taka jest prawda. Do nikogo nie strzelałem, nie wydawałem również rozkazów. Byłem tam i przyglądałem się wszystkiemu, więc jestem winny tego, że nie potrafiłem się sprzeciwić. Żołnierze z oddziału już wcześniej dostali wytyczne, co mają robić – mówił znużonym głosem. Głowa opadła mu na oparcie fotela, a on sam zamknął oczy. – Wszystkie akcje likwidacji Polaków wychodziły z góry od dowódcy SS, Franza Kutschery.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytała szczerze zdumiona.

– Żebyś zrobiła z tego użytek. Wiem, że potrafisz. Widziałem.

Patrzyła na niego, świadoma, że Johann właśnie zdradził jej nazwisko najbardziej znenawidzonego w Warszawie Niemca, na którego polowało całe polskie podziemie. Jej złość powoli ustępowała niedowierzaniu i podejrzliwości.

– Właśnie stałeś się zdrajcą – wyszeptała.

– Nie. Zdrajcą jest się tylko wtedy, kiedy świadomie złamie się przysięgę wierności. Ja nic nie przysięgałem, bo do wojska wcielono mnie siłą. Jestem tu tylko ze względu na ciebie. Nie obchodzi mnie ta wojna, Wehrmacht, Hitler ani nikt inny. Obchodzisz mnie tylko ty. Tylko dla ciebie robię to wszystko.

Hania w pierwszym odruchu, nie mogąc wydobyć z siebie słowa, gwałtownie pokręciła głową, ale on powoli wstał z fotela i zrobił krok w jej stronę. Wycofała się w głąb pokoju, nie spuszczając go z oczu. Drżała jak w gorączce, ale nie chciała, żeby to dostrzegł, więc za wszelką cenę próbowała zachować zimną krew.

Nie mogła nie zauważyć, że Johann był silny i znacznie poważniejszy niż dawniej. Na jego przystojnej twarzy pojawiły się bruzdy, których wcześniej nie było, a usta układały się w jakimś cynicznym, wręcz zimnym grymasie. Tylko oczy zostały te same – przejrzyste, głębokie. To były te oczy, które jednym spojrzeniem potrafiły wyznać jej miłość.

Oddychała nierówno.

Przyglądał się jej zaborczo, chłonąc jej skrywającą się w cieniu sylwetkę.

– Czego chcesz? – zapytała gwałtownie, nie wytrzymując napięcia. Zdrową ręką wykonał gest w jej stronę.

– Ciebie. Tylko ciebie.

Nie mogąc znieść jego słów, wyszła z salonu. Serce łomotało jej w piersi jak oszalone. Czowała się nieszczęśliwa, skrzywdzona i przeraźliwie samotna. Nagle zapragnęła mieć obok siebie kogoś, kto powiedziałby jej, co robić. Jak postępować z tym niepokornym człowiekiem, który tak niezłomnie walczył o ich miłość i w ogóle się tego nie wstydził? Czy było warto? Czy to miało jakkolwiek sens w tym brutalnym, wojennym świecie?

Zostawiła go samego i schroniła się w swoim pokoju. Nie miała ani siły, ani odwagi, by zmierzyć się z nim jeszcze raz. Nie zeszła na dół nawet na kolację, choć wcześniej zjadła bardzo mało i zaczął dokuczać jej głód.

Zasnęła późno, znużona własnymi myślami, pogrążona w pustce i beznadziei. Obudziwszy się rano, udała się wprost do salonu,

w którym poprzedniego dnia zostawiła Johanna, ale jego już tam nie było.

„To nic” – pomyślała, choć dziwny żal ogarnął jej myśli. Jak mogła oczekiwać, że Johann zostanie, skoro tak wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie życzy sobie jego obecności? Tylko czemu zamiast się cieszyć, poczuła taką przerażającą pustkę?

Bezwolnie poszła do kuchni, nie wiedząc, co robić, czym zająć myśli, czując, że nieznośna samotność zaciska się wokół niej jak pętla. Przypomniała sobie, że nie ma wody, bo wczoraj całą zużyła na obmycie rany Johanna, więc postanowiła wziąć wiadro i przynieść nową ze studni.

Ubrała się w zimowy płaszcz – znaleziony w kufrze spadek po hrabinie Lamparskiej – i wyszła z domu. Od razu zobaczyła Johanna – leżał bez życia na śniegu, parę metrów od miejsca, w którym go postrzeliła.

* * *

Przez trzy kolejne dni Johanna trawiła wysoka gorączka.

Hania doglądała go cały czas, poila wodą, robiła mu zimne okłady, ale gorączka nie ustępowała. Wielokrotnie uświadamiała sobie z przerażeniem, że gdyby w porę nie wyszła z domu po wodę, zamarłby na śniegu i mrozie.

Wiele wysiłku włożyła w to, żeby nieprzytomnego zawlec go do domu, w dodatku po oblodzonych i pokrytych śniegiem schodach. Były momenty, kiedy traciła siłę, oddychała z trudem, a dłonie – nie do końca sprawne – bolały ją bardzo, kiedy ścisnęła go za poły płaszcz. Jednak siłą woli pokonywała trudności, opierając na sobie ciężkie i bezwładne ciało. Krok po kroku, stopień po stopniu, dotarła do sieni. Tam z okrzykiem ulgi ułożyła Johanna na kamiennej posadzce, a sama pobiegła do pokoju Wandy po kołdrę, poduszkę i koce. Wszystko to rozścieliła na podłodze w salonie, tuż przy palącym się kominku. Opału miała coraz mniej, zdecydowała się więc zrezygnować z palenia w piecu kaflowym w swoim pokoju na górze i też przenieść się do salonu.

Wlokąc mężczyznę po podłodze, ułożyła go ciało na pościeli i rozebrała z mokrych, zamrożonych ubrań. Co chwilę sprawdzała, czy oddycha, bojąc się, że nie zauważy, jak ujdzie z niego życie. Oddychał, choć krótko i urywanie. Odzyskał przytomność na chwilę, ale bełkotał niezrozumiale, czepiając się jej rękami. Gorączka powróciła, gdy tylko rozgrzał się przy kominku. Dopiero wtedy Hania zorientowała się, że jego ciało stało się lepkie od potu, a temperatura wzrastała z minuty na minutę.

– Dobrze, zawrzyjmy pakt – wyszeptała, kładąc się obok niego, kiedy po kilku godzinach nadal nie miała z nim kontaktu. – Jeśli przeżyjesz... Spróbuję ci wybaczyć. Obiecuję. Tylko przeżyj, proszę... – Słowa uwięzły jej w gardle, a wzruszenie tamowało oddech.

Wtuliła się w niego, wsłuchiwała w miarowe bicie serca i wyobrażała sobie co mu powie, jak Johann się obudzi.

Chory spał prawie cały czas, przebudzając się tylko na chwilę. Męczyły go koszmary senne, jęczał w gorączce albo krzyczał, nie przestając nawet wtedy, gdy próbowała go uspokoić. W takich momentach docierało do niej, że ten mężczyzna był tak samo nieszczęśliwy jak ona. Również i jego wojna perfidnie wykorzystwała i zostawiła w duszy jątrzące się rany, które bolały nie mniej niż te, które ona nosiła w sobie.

– Oboje jesteśmy straceni. Ty i ja... – szeptała z żalem, gładząc go po twarzy i włosach, kiedy spał.

Dotykała palcami spierzchniętych od gorączki warg i przypominała sobie, jak kiedyś uwielbiała jego pocałunki. Czy gdyby nie wojna, byłiby już małżeństwem? Mieliby dzieci? Czy byłiby szczęśliwi? Te bezwstydne myśli zawładnęły nią. Na chwilę zapomniała o wojnie, śmierci i poczuciu bezradności wobec nieuchronnego losu, a żal, który ją ogarnął, wycisnął kilka łez z jej oczu. Nie było jednak nikogo, kto byłby świadkiem jej słabości, więc mogła sobie na nią pozwolić. Mogła płakać.

Trzeciego dnia, kiedy gorączka wciąż nie ustępowała, we dworze pojawił się Władek. Był sam, bez Wandzi, ale za to z niewzruszonym postanowieniem, że natychmiast zabiera Hanię do Warszawy.

Oznajmił jej to już w progu sieni, gdzie go powitała, nie chcąc, żeby od razu dostrzegł leżącego w salonie Johanna.

– Londyn w końcu się do nas odezwał. Mamy dla ciebie transport do Anglii, fałszywe dokumenty i pieniądze. Pojedziesz przez Czechy i Rumunię, a później...

Pokręciła głową.

– Nie mogę.

Władek westchnął.

– Znowu zamierzasz się ze mną kłócić?

– Owszem, skoro próbujesz kierować moim życiem.

– Hanka, tam też jesteś potrzebna!

– Mam przyklaskiwać tym marionetkom w rządzie? Co to, to nie!

– Jesteś mądra, możesz wiele zrobić dla polskiej sprawy, pertraktując z rządem w naszym imieniu, ale przede wszystkim będziesz bezpieczna.

– Nie ma mowy! Nie zrobię tego!

– Dlaczego, do cholery?

W odpowiedzi wskazała ruchem głowy na salon. Władek minął ją i wszedł do pokoju.

– Co on tu robi?

– Jest chory. Postrzeliłam go parę dni temu.

– Jasna cholera! Jak to postrzeliłaś?

– Po prostu. Wyciągnęłam broń i strzeliłam do niego.

– Więc dlaczego go nie zabiłaś?

Hania wzruszyła ramionami.

– Spudłowałam.

Władek zaczął się śmiać. Głośno i ironicznie.

– Czy wiesz, co to dla nas oznacza? Co to oznacza dla ciebie?

– Tylko pod warunkiem, że ktoś się o tym dowie – odparła fałszywie lekkim tonem.

– Hanka, strzeliłaś do Niemca! Bez względu na to, kim on dla ciebie jest, to Niemiec! Nie zabiłaś go, więc tym gorzej. Wykaraska się, pobiegnie do swoich i wszystko im wyśpiewa, a ty na drugi dzień będziesz wisieć!

– Przestań gadać głupoty, bo widzę, że zazdrość odbiera ci rozum!

Władek poczuł się wyraźnie dotknięty, a Hania wyczuła, że trafiła w jego czuły punkt.

– Co z Wandzią? – zapytała, pragnąc szybko zmienić temat.

– Pracuje w szpitalu. Ma ręce pełne roboty, więc prawie jej nie widuję. Lucyna i pani Aniela mają się dobrze.

– A doktor Waszyński? Co z nim?

Władek zmieszał się.

– Nie rozumiem...

– Doktor Waszyński pracował w szpitalu, który został zaatakowany przez Niemców, więc pytam, co z nim? Żyje?

Władek milczał krótką chwilę, jakby szukał właściwych słów.

– Żyje – rzekł po chwili, – Dostał cynk o ataku na szpital i zdążył uciec. Próbował uratować kilku chorych, ale... nie udało się. Ktoś wyciągnął go z tego szpitala.

– Kto?

– Cholera, nie wiem! Co to ma być?! Przesłuchanie?! Próbuję ci pomóc, a ty traktujesz mnie jak wroga!

– Więc proszę cię, żebyś nie opowiadał mi kłamstw! – krzyknęła, gromiąc go wzrokiem. – Wiesz, kto ostrzegł doktora Waszyńskiego, ale wolałaś to przemilczeć!

– Ten szwab naopowiadał ci głupot! Komu wierzysz?! Jemu czy mnie?!

Zmarszczyła brwi.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Dla mnie ma! Kiedyś mi ufałaś, zanim... Zdradziłaś mnie z nim...

– Zamilkł, jakby uświadomił sobie, że powiedział za dużo. – Ale to już nie ma znaczenia – dodał gniewnie. – Tamtego chłopca już dawno nie ma, nie istnieje. Jest tylko żołnierz, który wydaje rozkazy, a inne wykonuje. Muszę robić to, co nakazuje mi honor, a ten mówi mi, że mam obowiązek zapewnić ci bezpieczeństwo. Otrzymałem polecenie z góry, że masz wyruszyć w drogę do Anglii, i chciałbym zrobić wszystko, żeby ci to ułatwić.

– Dobrze więc – odparła Hania z rezygnacją. – Zrobię, co każesz, ale najpierw musimy zatroszczyć się o niego – to mówiąc, wskazała na Johanna. – Nie zostawię go na pastwę losu.

Władek rzucił przelotne spojrzenie nieprzytomnemu mężczyźnie.

- Więc jaki masz pomysł?
- Jest tu ze mną od trzech dni. Wehrmacht pewnie już go szuka, skoro nie stawiał się w jednostce. Musimy przetransportować go do Warszawy.
- Jak?
- Najprościej, jak to możliwe, czyli jego motocyklem, który zostawił w lesie. Pójdiesz po ten motocykl i przyprowadzisz tutaj, następnie zawieszysz Johanna na obrzeża Warszawy i tam porzucisz, ale w takim miejscu, żeby ktoś go szybko znalazł. Zdejmiemy mu te bandażę, bo to musi wyglądać na napad. Ale najpierw ubierzmy go w jego mundur. Powinien być przy motocyklu.
- Władek przyglądał się jej w milczeniu.
- Teraz już wiem, dlaczego tak doskonale radziłaś sobie z tymi Niemcami – mruknął, ale w jego tonie wyczuła nutę podziwu. – Naprawdę chcesz się dla niego narażać? Wiesz, że to, co robimy, to zdrada. Ratujemy Niemca. Jeśli to wyjdzie... Uznają nas za kolaborantów.
- On uratował życie Lucynie i Jasiowi. I panu doktorowi. Ratujemy przede wszystkim człowieka.
- Władek zaśmiał się z ironią
- Dobrze więc – westchnął z rezygnacją. – Pójdę po ten cholerny motocykl, ale obiecaj mi, że po tym wszystkim zgodzisz się wyjechać do Anglii. Mam cię tak dość, że im szybciej znikniesz mi z oczu, tym lepiej!
- Obiecuję. – Zawiesiła głos. – Jest coś jeszcze... o czym muszę ci powiedzieć. Przrzeknij jednak, że sam nic z tym nie zrobisz, tylko przekażesz tę informację właściwym ludziom.
- Przrzekam – rzekł Władek nie bez ociągania.
- Ten kat Warszawy... On nazywa się Franz Kutchera[13].

[13] Armia Krajowa odkryła tożsamość Franza Kutchery w listopadzie 1943 roku. Kutchera zginął w zamachu dokonanym przez żołnierzy oddziału specjalnego Kedywu Komendy Głównej AK „Pegaz” 1 lutego 1944 roku w Alejach Ujazdowskich w Warszawie.

ROZDZIAŁ 27

Warszawa

Johann ocknął się w szpitalu. Pochylała się nad nim pielęgniarka w białym fartuchu i czepku na głowie, tak nisko, że mógł policzyć piegi na jej nosie. Zabolało go, gdy zrobiła mu zastrzyk, więc stęknął.

– Co mi jest? – zapytał odruchowo, nie do końca świadomy, co się dzieje. Czuł się odrętwiały, miał sucho w ustach.

– W końcu się pan obudził – odparła dziewczyna po niemiecku, uśmiechając się do niego radośnie. Domyślił się, że jest w niemieckim szpitalu. – Myślałam, że już nigdy nie otworzy pan oczu. Kto to widział, żeby tak długo tkwić w gorączce? Ale w sumie nie dziwota, skoro znaleźli pana ledwie żywego.

– Kto mnie znalazł?

– Żołnierze z patrolu. Leżał pan na obrzeżach Warszawy, nieprzytomny, bliski śmierci. Nieźle pana urządzili. To cud, że pan przeżył.

– Kto? – dopytywał się, próbując w zakamarkach pamięci doszukać się czegoś sensownego. Jedyne, co pamiętał, to Hanię i to, że strzeliła do niego.

– Polacy. Ranili pana i nieprzytomnego zostawili na pewną śmierć.

„To niemożliwe” – pomyślał z niedowierzaniem. Pamiętał Hanię i to, że z nią rozmawiał. Opatrzyła go, a później pokłócili się i kazała mu opuścić dwór. A potem miał w głowie pustkę.

– Wiadomo, kto z Polaków to zrobił?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– Ja nic nie wiem. Nie przekazują nam takich informacji. Ale skoro wrócił pan do świata żywych, to pewnie uda się tę zagadkę rozwiązać.

Jeszcze tego samego dnia przybył do niego kapitan Jurgen Rilke ze swoim adiutantem. Dopytywali Johanna, co się stało, kto go napadł i co pamięta, a Johann nie bez wysiłku odpowiadał, że nie ma pojęcia, kto go tak urządził. Okazało się, że oprócz rany postrzałowej w ramię miał jeszcze inne obrażenia – złamany nos, obite żebra i pęknięty łuk brwiowy. Próbował przypomnieć sobie cokolwiek, ale przed oczami miał tylko Hanię.

– Dziwna sprawa. Dlaczego cię nie zabili, tylko zostawili przy drodze? To wyglądało tak, jakby chcieli, żeby ktoś cię znalazł.

– Może bali się, że za morderstwo zawisną na ulicznej szubienicy jak dziesiątki innych?

– To się nie trzyma kupy. Oni nie odpuszczają, Johann. Jeśli cię dopadli, to powinieneś już nie żyć.

Johann po cichu przyznał Rilkemu rację. Tylko że ci „oni” – to nie byli anonimowi Polacy z podziemia – to była Hania. I to ona nie miała odwagi go zabić. Nie wiedział, czy cieszyć się z tego, czy raczej ubolewać, że nie pozbawiła go życia, a tym samym nie uwolniła od ciągłej udręki kochania jej. Wiedział również, że nie ona go pobiła – ktoś zrobił to za nią.

– Długo mnie nie było?

– Żołnierze z patrolu znaleźli cię pierwszego dnia poszukiwań, które zorganizowano zaraz po tym, jak nie stawieś się w koszarach. Wcześniej nikt w garnizonie nie zastanawiał się, gdzie cię licho poniosło, bo miałeś przepustkę. Gdzie byłeś?

– Siedziałem w swoim mieszkaniu.

– To dziwne, bo porucznik Braun był u ciebie i twierdził, że cię nie zastał.

– Pewnie na chwilę wyszedłem.

Kapitan Rilke przyglądał się Johannowi w milczeniu, aż wreszcie odchrząknął.

– Jeśli coś sobie przypominisz...

– To natychmiast dam znać.

Kapitan skinął głową.

– SS i gestapo próbują przejąć tę sprawę, podobno na polecenie Franza Kutchery. Wolelibyśmy jednak wyjaśnić to w swoim gronie. Wehrmacht to nie burdel.

– Jasna sprawa, kapitanie. Myślę jednak, że moja osoba nie jest aż tak godna uwagi. Skoro żyję, to może lepiej to zostawić.

– Zobaczymy – odparł Rilke.

Zasalutował w hitlerowskim pozdrowieniu, a jego adiutant zrobił to samo. Już chcieli wyjść, gdy kapitan zatrzymał się w progu i wyjął z kieszeni białą kopertę.

– Byłbym zapomniał. Spotkałem dziś pewną kobietę... Młodą i ładną. Podobno wdowę po jakimś kapitanie Gustavie Kauffmannie. Pytała o twoje zdrowie i prosiła, żebym ci to przekazał.

Johann, nie kryjąc zdumienia, wziął kopertę.

– Dziękuję.

– Nie mówiłeś, że spotykasz się z wdówką.

– Nie muszę o wszystkim mówić.

Kapitan Rilke wyszedł z sali. Johann odetchnął parę razy i spojrzał na kopertę. Rozerwał ją jednym ruchem i widząc równe pismo Hani, niemal się zachłysnął. Cały tekst był napisany nienaganną niemczyzną.

Szanowny kapitanie,

Liczę, że wraca Pan do zdrowia. Musi Pan wiedzieć, że wszystko Panu wybaczyłam i wierzę, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Z wyrazami szacunku

Pańska oddana przyjaciółka

Johann miał ochotę wyskoczyć z łóżka. Poczł nagły przyptływ sił witalnych; coś przywracało go do życia jak czarodziejski eliksir. Hania znowu nim manipulowała i doprowadzała do szaleństwa, ale nie miał wątpliwości, że wciąż jej na nim zależy, choćby nie wiadomo jak mocno temu zaprzeczała.

Parę dni później, jak tylko wypuszczono go ze szpitala, najpierw udał się do swojego dowódcy, który bez ogródek nakazał mu wyjechać z Warszawy – najlepiej do domu – by podreperował zdrowie.

– Boże Narodzenie może pan spędzić w domu rodzinnym. I niech się pan nie wymiguje, kapitanie, bo każdy w tych koszarach chciałby być na pana miejscu.

- Kiedy miałbym wyjechać, panie pułkowniku?
- Najlepiej jak najszybciej.

Johann natychmiast ułożył w głowie plan, który zamierzał błyskawicznie wprowadzić w życie. Spakował rzeczy osobiste do torby, jakby szykował się do podróży, i pojechał tramwajem na drugi koniec Warszawy. Tam wynajął pokój w niewielkim hotelu pod fałszywym nazwiskiem, a następnie udał się do mieszkania Lucyny Wolińskiej.

Widząc go w progu, stanęła w nich jak wryta.

- To pan?
- Muszę z panią porozmawiać.
- Nie mamy o czym!

Pokręcił głową i bezceremonialnie wszedł do środka, wnosząc ze sobą zimny podmuch wiatru ze śniegiem. Lucyna niezdarnie próbowała go zatrzymać, ale był dużo wyższy i silniejszy, więc minął ją bez wysiłku.

Mały Junior bawił się na okrytej narzutą kanapie, a przy nim, we własnej osobie, siedziała Hania.

Johann stanął jak rażony gromem. Nie spodziewał się jej tu spotkać, nie liczył, że zobaczy ją tak szybko. Chciał wypytać Lucynę, a nawet zmusić ją, żeby skontaktowała go z Hanią, a tymczasem ona sama siedziała przed nim, wpatrując się w niego z żywym zdumieniem. W jej oczach dostrzegł coś jeszcze – jakiś żar pomieszany z radością.

Lucyna stanęła między nimi.

- Zabiorę Janka na grób ojca. Wrócę za godzinę.
- Nie musisz tego robić – rzekła Hania do przyjaciółki, nie spuszczaając z Johanna wzroku.
- Muszę. Skoro pan tu przyszedł, kapitanie, to proszę wyjaśnić z Hanią, co trzeba, bo nie życzę sobie, żeby znowu nachodził mnie pan w moim domu!

Lucyna szybko ubrała siebie i syna i wyszła, zamykając drzwi na klucz.

Johann wciąż stał w progu, nie śmiąc uczynić żadnego ruchu. Wpatrywał się w Hanię, lustrując głodnym wzrokiem jej wątlą, bladą twarz.

Hania wstała z kanapy. Wyglądała jak porcelanowa lalka z dużymi, bursztynowi oczami, lekko wydatnymi ustami i bladą skórą, przez którą przebijały drobne żyłki. Nieświadomie zwilżyła usta czubkiem języka.

– Jesteś zdrowy?

Przytaknął.

– Tak. Ktoś nieźle mnie poturbował, ale jak widzisz... Złego licha nie bierze.

– Nie jestem pewna, czy jesteś taki zły – odrzekła prostolinijnie. – Być może ktoś albo coś sprowadziło mnie na manowce. Dałam się zwieść, bo zapomniałam... – Powstrzymał ją ruchem ręki, więc zamilkła. – Masz rację – dodała po chwili i ruszyła w jego stronę bez cienia zażenowania. – To nie jest czas na rozmowy.

Spotkali się w połowie drogi. Objął ją gwałtownie i przytulił, chowając twarz w jej włosach, Hania była jednak niecierpliwa – uniosła twarz, oddając mu usta. Pocałował ją z gwałtownością, jakiej się nie spodziewał. Oszołomiony nagłym pożądaniem, odsunął się od niej i zrzucił z siebie płaszcz, ale na resztę mu nie pozwoliła. Sprawnymi ruchami sama błyskawicznie zdejmowała z niego ubranie. Jej twarz nabrała rumieńców, a oczy lśniły. Johann czuł, że Hania pragnie go bez wyrzutów sumienia, bez wstydu, bez jakichkolwiek granic. Już nie byli Polką i Niemcem – śmiertelnymi wrogami rzuconymi na dwie przeciwne strony barykady – teraz byli kobietą i mężczyzną, pieszczącymi się bez końca z czułością i oddaniem, jakich wcześniej u siebie nie znali. Los podarował im tylko ten czas, tę jedną chwilę i korzystali z niej, nie myśląc, co będzie później. Ta bliskość była ich najcenniejszym darem od losu.

– Wyjedź ze mną – powiedział Johann, kiedy leżeli na podłodze ciasno objęci, wsłuchując się w bicie swoich serc. – Załatwię nam dokumenty. Wyjedziemy gdzieś daleko, może do Ameryki. Pewnie nie wiesz, że Nina jest w Nowym Jorku. Pojedźmy do niej.

– Nie mogę. Nie zostawię mamy i Lucyny.

Pocałował ją w czoło.

– Więc pojedą z nami.

– Wiesz, że to niemożliwe. Nie zdołamy uciec w piątkę, w dodatku z dzieckiem.

Nie mówiła mu, że za dwa dni sama zamierza uciec do Anglii. Nie potrafiła mu tego powiedzieć.

– Johann...

Jej głos był cichy, a oddech urywany. Nagle spłynęła na nią potężna fala czułości. Opuszkami palców dotknęła jego posiniaczonej twarzy.

– Kocham cię – wyszeptała.

* * *

Gęsto padający śnieg utrudniał widoczność, a porywisty wiatr potęgował uczucie przejmującego zimna.

Hania otulona grubym płaszczem stała na peronie Dworca Głównego i próbowała w zamieci śnieżnej dostrzec, czy z oddali nadjeżdża już pociąg. Miał ponad pół godziny spóźnienia i wciąż go nie było. W czasie wojny nic nie działało, jak trzeba. Zaczęła myśleć, że może nie uda jej się wyjechać z Warszawy. Nie martwiła się tym szczególnie, bo ucieczka do Anglii nie napawała jej szczególnym entuzjazmem, zwłaszcza że musiała najpierw przejechać przez Czechy, a nie знаła tam nikogo z podanych jej przez Władka osób kontaktowych, które miały udzielić jej schronienia. Musiała mu zaufać, ale po wydarzeniach ostatnich kilku miesięcy myśl o tym, że ktoś mógłby ją wsypać, napawała ją lękiem. Wiedziała, że nie przeżyłaby kolejnego aresztowania. Cierpiała również na myśl, że musi zostawić mamę i Lucynę, ale obie zapewniły ją, że nie ma innego wyjścia, że tak jest dla wszystkich najlepiej.

Zdumiało ją, kiedy odwiedziła matkę po powrocie do Warszawy i okazało się, że ta zszywa w domu niemieckie mundury żołnierzy Wehrmachtu.

– Ty, mammo? Jak to możliwe? Przecież nienawidzisz wszystkiego co niemieckie!

Aniela Wolińska długo milczała na tą uwagę. Kiedy się odezwała jej głos był suchy jak papier.

– Kilka tygodni temu chcieli mnie wywieźć jednym z transportów na roboty przymusowe w głąb Rzeszy. Nie wiem po co, bo i tak bym tej podróży nie przeżyła. Ten twój Niemiec... Johann wyciągnął mnie

z transportu, a następnie załatwił mi Arbeitskartę i nakazał, a raczej zmusił do tego zajęcia... Zapewnił, że nikt nie będzie chciał mnie wywieźć, jeśli będę zszywała niemieckie mundury.

Hania patrzyła na matkę kompletnie zdumiona.

– Sprzeciwiłam się, ale... Lucyna także była nieugięta. Powiedziała, że to dla Janka. Że dla niego muszę żyć.

Łzy wielkie jak grochy spływały po twarzy Anieli. Upokorzenie mieszało się w niej z ulgą, że żyje. Że ktoś uratował jej życie. Hania zdawała sobie sprawę, ile kosztowała matkę zgoda na tak znieważające ją zajęcia, ale wola życia i strach przed wywózką zwyciężyły. Po raz kolejny dziękowała w myślach Johannowi za to, co zrobił.

– Nie myśl, córko, że zszywam tylko te. Ubrania naszych chłopców też reperuję i robię to najlepiej, jak potrafię.

– Wiem, mamo.

Hanię wzruszyło to wyznanie. Po jej spotkaniu z Johannem u Lucyny wszelkie tamy puściły. Nie umiała dalej udawać, że Johann nic dla niej nie znaczył – po ponad czterech latach rozłąki wciąż go kochała i nawet jeśli się tego wstydziła, jeśli czuła, że to nieprzyzwoite, to nadal była to miłość.

Przez całe lata wojny tłumiała w sobie wszelkie emocje, które kotłowały się w niej z potężną siłą. Ganiła samą siebie za tęsknotę i równocześnie podsycala w sobie nienawiść do niego. Johann był hitlerowcem i tylko tak chciała go widzieć. Sama myśl, że kiedyś zamierzała zostać jego żoną, upokarzała ją dotkliwie. Próbowwała wyrzucić z głowy wszystkie wspomnienia o nim, zapomnieć o szczęściu, które na krótko było im dane, i pielęgnowała w sobie wyłącznie niewzruszoną pogardę, jaką obdarzała każdego Niemca. Były momenty, kiedy wyobrażała sobie, że to on ją torturował w więzieniu. Myśli te, choć chore i bezduszne, pomagały jej przetrwać. Bo kiedy przez jej głowę przemykał cień tęsknoty za nim czy wspomnienie jego dotyku, miała ochotę wyć, jakby coś wrywało jej serce żywcem z piersi.

Teraz jednak musiała wyjechać. Zostawić go.

Johann nie miał o niczym pojęcia. Był pewien, że kiedy w końcu się odnaleźli, znajdą sposób na wspólną ucieczkę, ale ona wiedziała,

że to niemożliwe. Prędzej czy później ktoś by ich wytropił. Oboje byli na celowniku zarówno niemieckich, jak i polskich służb. Nikt nie pozwoliłby jej uciec z Niemcem i wiedziała doskonale, jak by się to dla nich skończyło. A pamięć o Janku i Walerianie nie pozwalała jej zdradzić ojczyzny.

– Haniu? – Cichy szept za jej plecami przerwał jej rozmyślenia.

Odwróciła się i spod wełnianej czapki zobaczyła stojącą naprzeciw niej Honoratę Waszyńską, matkę Lucyny.

– Pani tutaj? – zapytała wielce zdumiona.

Bała się mówić głośno, żeby nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń, ale zadymka śnieżna stłumiła jej słowa.

Hania nie widziała matki Lucyny od ponad roku. Po zrabowaniu przez Niemców wszystkich jej obrazów, które znajdowały się w galerii Pro Arte, Honorata Waszyńska straciła wolę życia. Zamknęła się w niewielkim mieszkanku, które zajmowali z doktorem po wysiedleniu ich z Krakowskiego Przedmieścia, i prawie w ogóle go nie opuszczała. Teraz, ubrana w gruby, wyleniasty płaszcz, z głową okrytą wełnianą chustką, wyglądała żałośnie. Błada twarz i sinoszare usta potęgowały to przykre wrażenie.

– Bałam się, że pociąg już odjechał i nie zdążę przekazać ci wiadomości.

– Jakiej wiadomości?

Matka Lucyny patrzyła na nią rozgorączkowanym wzrokiem.

– Poproszono mnie... Kazano mi przekazać ci... – Płatała się w słowach, jakby nie wiedziała, co powiedzieć. – Moja córka poprosiła mnie o przekazanie ci, że ten Niemiec... von Richter... Jest na liście do likwidacji.

Hania poczuła, że kolana się pod nią ugięły.

– Mój mąż mi to dał – kontynuowała Honorata. – Prosił, żebyś mu to zaniósła... Temu Niemcowi – to mówiąc, zbliżyła się do Hani i wyciągnęła nieznacznie rękę. Hania rozejrzała się wokół i odruchowo schowała podany papier do kieszeni.

– Co to takiego?

– To mu pomoże zniknąć. Lucyna mówiła, że wiesz, gdzie on teraz jest, znasz jego adres.

Hania skinęła głową.

– Wiem, że miałaś wyjechać, ale... Idź do niego. Ostrzeż go.

Hania czuła, że przez głowę przelatuje jej milion myśli naraz. W oddali usłyszała gwizd zbliżającego się pociągu.

Pani Honorata znowu wsunęła jej coś w dłoń.

– Oboje z Franciszkiem uznaliśmy, że zamieszkamy z Lucyną i małym Jankiem. Nasze mieszkanie będzie puste, nikogo tam nie ma, bo ostatnia rodzina została wywieziona parę dni temu. Możecie się tam schronić... Na początek. Nikt nie będzie o tym wiedział, nawet Lucynka.

Hania dopiero teraz wymacała w dłoni klucz.

– Dziękuję – wyszeptała prawie niedosłyszalnym głosem.

Pociąg z głośnym gwizdem zajechał na peron. Hania popatrzyła na zatrzymujące się przy niej wagony. Ludzie zaczęli się tłoczyć, przeciskać, ktoś kogoś pchnął.

Zrobiła parę kroków do tyłu, ściskając klucz od mieszkania pani Honoraty.

* * *

Z Władkiem Hania spotkała się na Bulwarach Wiślanych. Stał na jednym z tarasów, odwrócony do niej tyłem, zapatrzony na Wisłę. Poznała go po sylwetce, choć był opatulony w gruby kożuch. Bała się, że się nie zjawi albo że łączniczka nie zdoła go odnaleźć, ale przyszedł.

Znad przymarzniętej rzeki unosiła się wilgotna mgła, która w połączeniu z padającym śniegiem tworzyła ponury, przygnębiający klimat.

Hania zbliżyła się do Władka powoli. Gniew walczył w niej z rozsądkiem.

– Dlaczego Johann?! – zapytała ostro.

Władek odwrócił się i popatrzył jej w oczy.

– Nie wyjechałaś.

– Zrobiłabym to, gdybyś nie zaplanował zabić Johanna!

Uśmiechnął się z przekąsem.

– Naprawdę wierzysz, że to był mój pomysł? Nie ja wydaję rozkazy, Haniu, ja je tylko wypełniam, podobnie jak ty to robiłaś,

zanim...

– Zanim co?!

Widziała, jak twarz mu się zmienia z obojętnej na zimną, zaciętą. Zaciął szczękę.

– Zanim zostałam kolaborantką.

– Jak śmiesz! – syknęła gniewnie. – Nie masz prawa tak mnie nazywać po tym, co przeszłam!

Ujął ją pod brodę.

– Widocznie niewystarczająco dużo przeszłaś, skoro uganasz się za tym szwabem jak dziwka! Nie chcę patrzeć na wydany na ciebie wyrok śmierci, a sama wiesz, że tak traktuje się zdrajców. W najlepszym razie ogolą ci głowę. Jak pospolitej zdrajczynie.

Zadrżała. Władek przypominał jej głaz, a jednocześnie pałał chęcią odwetu. Miała wrażenie, że w jego ciemnych oczach dostrzega szaleństwo, kiedy gapił się na nią chciwie, niemal zaborczo.

– Wiesz, dlaczego „Ptaszyna” miał odwagę zabić Karolinę? Bo był człowiekiem honoru! Polakiem! – wycharczał.

Smagał ją tymi słowami jak pejczem, próbował sprawić jej ból, a Hania czuła, że ją to dotyka, że kuli się pod tymi słowami, jego ostrym tonem i spojrzeniem, które miało ją zranić.

– Widocznie nie kochał jej tak bardzo... – odparła z goryczą.

Władek pochylił się ku niej.

– Za to ja kocham cię za bardzo – wyszeptał. – Nie mogę znieść myśli, że ty i ten szwab...

Nie dokończył. Pocałował ją: gwałtownie, z pasją i tęsknotą, błagając o więcej. Oddała mu pocałunek, bardziej z przekory niż z pragnienia, przypominając sobie smak jego ust, zapach, dotyk, aż wreszcie odsunęła się od niego bez tchu.

– Nie rób tego więcej – poprosiła.

Władek potrząsnął głową.

– Nie nadajesz się na żołnierza – rzekł sucho. – Nie umiesz być twarda.

– Więc proszę cię nie jako żołnierz, ale jako kobieta. Odpuść mu!

Władek zmarszczył brwi.

– Złamałaś dane mi słowo, nie wyjechałaś, a teraz oczekujesz ode mnie poświęcenia?

– Nie! Chcę tylko, żebyś go zaniechał!

Zaśmiał się gardłowo.

– Nie ja wydałem na niego wyrok! Jest na liście z kilkoma innymi szwabami, między innymi z Franzem Kutschera.

– Więc nie dopuść do zamachu. Skreśl Johanna z listy, wymaż, zrób cokolwiek!

Patrzył na nią długo – tak długo, że była pewna, iż już się nie odezwie. Sądziła, że przegrała. Westchnęła i wtedy usłyszała jego głos – głuchy, jakby dobiegający z daleka.

– Zrobię, co się da, ale obiecuj... Że już nigdy więcej cię nie zobaczę.

– Obiecuję – rzekła z powagą.

W odpowiedzi skinął głową na znak, że się zgadza.

Hania odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie szybkim krokiem. Powoli zapadał zmierzch i lada moment gdzieś mógł napatoczyć się patrol SS.

Wiedziała, że Władek patrzy za nią, długo i intensywnie. Jego spojrzenie dotykało ją w plecy. Nagle uderzyła ją bolesna myśl, że to było ich ostatnie spotkanie, że więcej się nie zobaczą, bo właśnie spaliła za sobą wszystkie mosty.

Wprost z Bulwarów Wiślanych udała się tramwajem pod wskazany jej przez Johanna adres. Do hotelu, w którym się zatrzymał, dotarła bez problemu. Budynek nie był duży, ale sam hotel wyglądał przyzwoicie i schludnie. W niewielkiej recepcji siedział starszy mężczyzna w drucianych okularach, przypominający jej portiera z kamienicy, w której przed wojną mieszkał Walerian Kruszewski.

– Ja do pana Joachima Krauze – rzekła bez zająknięcia. Zadbła o to, żeby głos jej nie drżał, gdy wypowiadała fałszywe nazwisko Johanna. Wiedziała, że nie wygląda jak przyzwoita Niemka, ale wolała wierzyć, że recepcjonista nie okaże się zbyt dociekliwy.

– Szanowny pan Krauze od rana nie wychodził ze swojego pokoju – odparł mężczyzna po niemiecku. – Drugie piętro, pierwsze drzwi na lewo.

– Dziękuję.

Drewniane schody skrzypiały przy każdym jej kroku, kiedy wchodziła na górę. Po drodze upewniła się, czy wciąż ma w kieszeni

papier od pani Honoraty, który okazał się być fałszywym zwolnieniem lekarskim ze służby wojskowej w trybie natychmiastowym dla kapitana Wehrmachtu Johanna von Richtera. Wymacała również klucz.

Zapukała do wskazanych jej przez recepcjonistę drzwi, ale nikt nie otworzył. Zapukała po raz kolejny. Odpowiedziała jej cisza. Złapała za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Ogarnął ją niepokój.

To niemożliwe, żeby się spóźniła. Poczwała narastającą panikę. Zapukała raz jeszcze i usłyszała za drzwiami jakiś ruch. W końcu drzwi otworzyły się i stanął w nich Johann.

Hania w pierwszym odruchu odetchnęła z ulgą, ale kiedy mężczyzna, nie zdoławszy przytrzymać się futryny, osunął się na ziemię, zadrżała ze strachu.

– Johann!

Uklękła przy nim. Oddychał, ale wyglądał tak, jakby stracił przytomność. Natychmiast sprawdziła, czy nie jest ranny, ale nie dostrzegając śladów krwi, objęła dłońmi jego twarz. Dopiero teraz poczuła bijący od niego odór alkoholu.

– Mój Boże! – wyjąkała. – Jesteś pijany!

Wstała z klęczek, by wciągnąć go do pokoju. Gdy jej się to udało, zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Rozejrzała się po ciemnym pokoju, w którym wszystkie okna zostały szczelnie zakryte zasłonami, by do wnętrza nie przedostała się nawet strużka dziennego światła. Najgorszy jednak był smród, który unosił się w całym pomieszczeniu. Hania poczuła zalewającą ją falę mdłości.

Potyając się o leżące na podłodze przedmioty, doszła do okna i odsłoniła zasłonę – najpierw jedną, później kolejną. Otworzyła okno i wpuściła do pokoju mroźne, świeże powietrze.

Popatrzyła na leżącego na podłodze Johanna. Poruszył się powoli, coś stęknął. Miał na sobie spodnie i rozchełstaną koszulę, mokrą od potu. Włosy kleiły mu się strąkami do głowy. Podeszła do niego i dotknęła dłonią czoła – był nie tylko pijany, miał również gorączkę. Spojrzała na zabandażowaną ranę w miejscu, gdzie go postrzeliła, ale nie było tam widać śladów krwi. Zdjęła płaszcz i czapkę i uklękła przy nim.

– Po co to wszystko, kochany? – zapytała zdławionym głosem.

Siedziała tak przez kilkanaście minut, tuląc go w ramionach, głaszcząc po rozpalonej twarzy i wilgotnych włosach i dziękując Bogu, że Johann żyje.

W malutkiej łazience była wanna. Hania chciała napełnić ją wodą, ale z kranu leciała tylko lodowato zimna, więc nalała trochę do miski. Rozebrała Johanna, ułożyła go na łóżku i wolnymi ruchami obmywała jego rozpalone ciało. Był chudszy niż kiedyś, ale mięśnie miał twarde i wyraźnie zarysowane. Gładziła go czule, delikatnie, zmywając z niego pot i co jakiś czas zatrzymując wzrok na jasnej bliźnie na klatce piersiowej. Wcześniej jej nie miał, więc domyśliła się, że to rana, którą zadano mu na froncie.

Ocknął się i poparzył na nią.

– Jesteś taka piękna... – wymamrotał.

Uśmiechnęła się łagodnie. Zwilżyła dłonie w misce z wodą i obmyła mu twarz. Miała wrażenie, że gorączka nieco zelżała.

– Myślałem, że mnie zostawiłaś.

– Nie zostawiłam. – Postanowiła nie wspominać mu o tym, że stała na peronie z zamiarem wyjazdu do Anglii, ale ktoś ją powstrzymał.

Westchnął.

– Miałaś przyjść wczoraj...

– To dlatego upiłeś się do nieprzytomności? Bo nie przyszłam?

Nie odpowiedział.

Znów zaczęła obmywać mu ciało. Zadrżał, kiedy zimny kompres dotknął jego skóry.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy? – wycharczał, przymykając oczy.

– W Gdańsku... Zobaczyłem cię i wiedziałem, że już nic nie będzie takie samo. Babcia też to wiedziała... – Zamilkł.

– Jak ona się czuje? Pani Irenka?

– Zmarła kilka tygodni temu – odparł zduszonym głosem.

Ręka Hani znieruchomiła.

Dziewczyna poczuła bolesne ukłucie żalu. Nie zmierzała płakać – nie potrafiła, ale wspomnienie Irene von Richter wzbudziło w niej tęsknotę za czymś, co dawno minęło. Ta tęsknota kazała jej wrócić myślami do starszej pani, tak kochanej, mądrej i upartej. Ile radości

dały jej godziny niekończących się rozmów, pouczenia, lekcje dobrych manier.

„Kiedyś ją opłaczę” – pomyślała z żalem. „Tak jak Janka i Waleriana. Kiedyś znajdę na to czas. Teraz nie mogę”.

Popatrzyła na Johanna. Zasnął, wciąż pijany.

Usiadła przy niewielkim stole, zapaliła papierosa i zapatrzyła się w przestrzeń. Nie wiedziała, czy dobrze postąpiła, zostając w Warszawie, nie wiedziała nawet, czy plan ich wspólnego ukrycia się ma szansę powodzenia. Zdawała sobie sprawę, jak doskonale wyszkoleni i zdeterminowani byli żołnierze pokroju Władka, którzy zajmowali się likwidowaniem Niemców. To nie byli przypadkowi chłopcy z karabinami w ręku, lecz specjaliści, którzy plan likwidacji przygotowywali całymi dniami, a nawet tygodniami – wiedziała o tym, bo sama często brała w tym udział. To ona wystawiała im na celownik Niemców. A teraz jednego z nich zamierzała ukryć – wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew temu, co nakazywał honor, wbrew przysiędze, którą złożyła na początku tej parszywej wojny.

Patrzyła na Johanna, jak śpi okryty kołdrą, i doskonale wiedziała, że nigdy go nie wyda. Bo był jej miłością.

Johann obudził się dopiero o świcie. Hania leżała przy nim, zasypiając i budząc się co chwilę, zrywając na każdy najmniejszy odgłos za drzwiami. Wiedziała, że długo tu zostać nie mogą.

Nie miał już gorączki, ale jego twarz była pobladła, a oczy przekrwione.

– Musimy iść – rzekła bez wstępów, patrząc mu w oczy. Dotknęła dłonią jego nagiej piersi. – Wiem z pewnego źródła, że... Chcą cię zabić.

– Kto? – zapytał przepitym głosem.

– Moi... Polacy. Jesteś na liście do likwidacji.

– Skąd to wiesz?

– Tego nie mogę ci zdradzić, ale... Musisz mi zaufać. Ostrzegli nas ludzie, którzy nie chcą twojej śmierci.

Johann usiadł na łóżku i potarł twarz dłońmi. Kiedy ponownie na nią spojrzął, miał zmienione oczy, rozgorączkowane i pełne bólu.

– Nie mogę cię na to narażać. Jeśli dowiedzą się, że jesteś ze mną, zabiją i ciebie.

Bez słowa wyjęła z kieszeni fałszywe zwolnienie lekarskie.

- Dostałam to od doktora Waszyńskiego. Może to cię przekona, że istnieją ludzie, którzy są ci wdzięczni za ocalenie życia.
- Haniu...
- Nie jesteś taki jak inni! Nigdy nie byłeś!
- Zabiłem Reinharda Krügera – odparł spokojnie.
- Co takiego?
- Zabiłem go. Zabiłem też kilku esesmanów, wtedy... Podczas twojej ucieczki. To byli Niemcy, moi rodacy. Zabijałem na froncie... Patrzyłem, jak mordują Polaków tu, w Warszawie... Widziałem ich dziesiątki...
- Johann...
- Jestem taki sam, Haniu...
- Nie jesteś...
- Wysyłałem Żydów na pewną śmierć, obdzierałem ich z godności i majątków... Robiłem to, mając ciebie u swojego boku. Jej twarz wykrzywił grymas bólu.
- Byłem trybikiem w tej wielkiej maszynie – kontynuował. – I nadal jestem!
- Przestań! Uratowałeś moją matkę! I Lucynę! I małego Janka! Ostrzegłeś doktora Waszyńskiego...
- Pokiwał głową.
- To nie ma znaczenia. Robiłem to dla ciebie. Tylko dla ciebie. Gdyby nie ty, nie uratowałbym ich. Pewnie nawet nie kiwnąłbym palcem. Gdyby nie ty, pewnie już by nie żyli...
- Patrzyła na niego osłupiała, niezdolna się poruszyć, nie wiedząc, co zrobić. Podeszła do niego dopiero, jak skulił się na łóżku, a jego ciałem wstrząsnęły drgawki.
- Jestem tu z tobą – wyszeptała, obejmując go ramionami. – I zawsze będę.

EPILOG

**Warszawa, Monachium
kwiecień 1950**

Hania drżącymi palcami wyciągnęła ze skrytki w podłodze małe zawiniątko. Obraz przesłoniła jej kurtyna łez, kiedy odwinęła pognieciony papier i odsłoniła biało-czerwoną, złożoną na pół opaskę.

„Jeszcze Polska nie zginęła” – powtarzała 1 sierpnia 1944 roku, kiedy zakładała na ramię ową opaskę powstańczą z wymalowaną na niej kotwicą Polski Walczącej. Rozpierała ją wtedy duma. I nadzieja. Bo wierzyła, że może być lepiej, że istnieje jeszcze szansa na wywalczenie sobie normalnego świata, w którym ona i Johann będą mogli cieszyć się swoją miłością.

Nie udało się. Ten świat runął, a wraz z nim upadła jej duma z polskości. Zbyt dużo ją to kosztowało, zbyt wiele widziała, zbyt wielu straciła.

Kłęcząca teraz na podłodze swojego pokoiku, wpatrzona w pożółkłe plamy na biało-czerwonej tkaninie. Każda z tych plam była niczym barwy wojenne, przypominające jej, kim była i po co wyszła wtedy na barykady. Nie była szpiegiem ani niemiecką dziwką. Była Polką. Warszawianką.

„Co za ironia” – pomyślała z goryczą. Teraz opuszczała tę Polskę i udawała się do świata ludzi, którzy kiedyś katowali jej kraj i ukochane miasto. „Bo tutaj nie ma dla ciebie miejsca” – powtarzała jej Nina. „Bo Polska nie jest z ciebie dumna, nie jest ci za nic wdzięczna. Bo nie przelałaś za nią krwi. Bo przeżyłaś”.

Spomiędzy fałdy opaski wypadł na podłogę srebrny krzyż. Zaśniedziały, matowy.

Podniosła go i przypomniała sobie moment, kiedy Johann jej go wręczył. Zrobił to krótko po ich ślubie, zaraz po tym, jak założył na jej palec złotą obrączkę wysadzaną diamentami, która niegdyś należała do babci Irene.

– Krzyż? – zapytała wtedy zdumiona, wpatrując się przenikliwie w jego błękitne oczy.

– Żeby przypominał ci, że od teraz jestem twoim krzyżem, który będziesz zmuszona dźwigać, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

– Jesteś moją miłością.

Nie miała co do tego wątpliwości. Johann był jej miłością. Od początku. Dlatego trwała przy nim pomimo strachu, choć ten strach niekiedy odbierał jej zdrowy rozsądek. Ukrywała się wówczas z Johannem w Warszawie, każdego dnia drżąc o jego życie i tęskniąc za swoimi. Władek jednak dotrzymał słowa – nikt Johanna nie ruszył, ale też definitywnie zamknęło jej dostęp do konspiracji. Nie dopuszczono jej do dowódcy oddziału ani do nowego komendanta głównego. To była cena, którą musiała zapłacić, choć bolało ją to dotkliwie.

Johann próbował wywieźć ich z Warszawy, załatwił nawet fałszywe paszporty, na których mieli udać się do Paryża, ale Hania odmówiła. Tak po prostu. Zwyczajnie. Patrząc mu w oczy.

– Nie mogę. Jeśli wyjadę... Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Zrozumiał, choć widziała na jego twarzy strach i rozczarowanie.

Później on z tego samego powodu przyszedł do niej ubrany w mundur Wehrmachtu i wiedziała, że tak trzeba. Bo on ma swoją ojczyznę, a ona swoją.

* * *

Monachium wiosną było zielone, kwitnące i pachniało wilgotną mżawką.

Hania, siedząc w taksówce i mrużąc oczy od słońca, obserwowała gwarne ulice, niegdyś tak dobrze jej znane – teraz jakby inne. Bo i miasto było inne niż dwanaście lat temu. Skrupulatnie odbudowywane po alianckich bombardowaniach i amerykańskiej okupacji, nie raziło już w oczy nazistowską purpurą. Było

nowoczesne, dynamiczne, pulsujące życiem, a wszelkie ślady nazizmu zostały zatarte. Nawet monarchijczycy na pierwszy rzut oka zdawali się nie pamiętać tego, co urodziło się w ich mieście przed laty. Ta metropolia, która w swoich dusznych piwiarniach wydała na świat potwora, była w oczach Hani tak rażąco inna od dotkniętej niewyobrażalnym cierpieniem Warszawy – jakby tego gniazda nazistów nie spotkała zasłużona kara. Jakby nikt tu o tym nie pamiętał lub świadomie zamykał oczy.

Myśląc o tym, poczuła tak silny i gwałtowny ucisk w sercu, że z trudem powstrzymywała łzy. Popatrzyła na Lucynę, ale ta spoglądała w szybę samochodu niewidzącym wzrokiem. Zachowywała się tak całą podróż, jakby było jej obojętne, dokąd ją zabierają. Tylko Janek poczerwieniał na twarzy od nadmiaru emocji.

Hani nie dziwiło zachowanie Lucyny – bratowa na dzień przed wyjazdem z Warszawy długo stała przy grobie męża i rodziców, zapewne zastanawiając się, czy jeszcze postawi na tych nagrobkach świeże kwiaty. Obie nie wiedziały, czy kiedykolwiek wrócą do Warszawy.

Lucyna mimo żalu i obaw przed tym, co ją czekało w obcym i jeszcze do niedawna wrogim kraju, zgodziła się wyjechać. Zrobiła to bez sprzeciwu i bez wyrzutów sumienia, jakby nagle coś w niej pękło, jakby puściła jakaś tama, która podtrzymywała w niej ból i strach przez tyle lat, aż do teraz.

– Życie zadało nam już zbyt dużo cierpienia – rzekła prosto linijnie, opuszczając wolnym krokiem Cmentarz Powązkowski. – Tak trzeba. Chcę, żeby mój syn miał przyszłość...

Z rozgoryczeniem myślała o tym, że Janek nie mógł w Polsce przyznać się, że jego ojciec był oficerem w Wojsku Polskim i zginął w Katyniu zamordowany przez Sowieców. Ta prawda oficjalnie nie istniała, a jeśli ktoś mimo wszystko próbował wyciągnąć ją na powierzchnię, zamykano mu usta w katowniach UB.

Lucyna i Hania wiedziały, że Polska już nie będzie tym samym państwem sprzed wojny – wolnym, niepodległym, zdolnym do sprzeciwu i do walki. Została brutalnie zgwałcona, a komuniści pod przykrywką braterstwa terrorem wykorzystali jej niemoc i brutalnie

deptali godność. Dlatego obie kobiety, nie oglądając się za siebie, opuściły Warszawę.

Nina Howard nie jechała z nimi taksówką. Przyjechał po nią na dworzec osobisty szofer i teraz gnała przed nimi luksusowym mercedesem, podążając w dobrze Hani znanym kierunku.

Hania próbowała trzymać nerwy na wodzy. Nie chciała rozpamiętywać tego, co działo się przez ostatnie lata, ani myśleć, że to właśnie w tym miejscu, w tym mieście narodził się koszmar, który odcisnął na niej i jej najbliższych swoje piętno. Wmawiała sobie, że jest już ponad to, że cierpienia, których doświadczyła, wyciosały ją na nowo i teraz nie da się tak łatwo poruszyć. Ale im bardziej rozpoznawała ulice, budynki, tym mocniej odczuwała napięcie w całym ciele. Powoli zaczęła ogarniać ją panika. Sądziła, że strach, który obudził się w niej na granicy z Niemcami, już minął, jednak dopiero teraz ujawniał się w niej z coraz większą mocą.

– Stop! – krzyknęła nagle histerycznie.

Kierowca popatrzył na nią we wsteczny lusterku, ale nie zatrzymał samochodu.

– Stop! – powtórzyła stanowczo. – Niech się pan zatrzyma!

– Jedziemy za panią Howard – wytłumaczył taksówkarz.

– Nie! Muszę wysiąść z taksówki! Proszę się zatrzymać!

Kierowca przewrócił oczami, ale zjechał na pobocze i zatrzymał auto. Wysiadła z niego, nie zwracając uwagi na zdumione głosy Lucyny i Janka, po czym ruszyła przed siebie tłoczonym chodnikiem, kulejąc. Po chwili jej chód stał się wolniejszy, a kuśtykanie wyraźniejsze, jednak mimo to nie zatrzymywała się. Weszła do pobliskiego parku i usiadła na ławce, w cieniu drzew. Oddychała szybko, z trudem, zagryzając wargi prawie do krwi. Rozejrzała się wokół – pamiętała, że niegdyś były tu tabliczki „Żydom wstęp wzbroniony”.

Dopiero po chwili zorientowała się, że podeszła do niej Nina.

– Co się stało? – zapytała łagodnie Niemka, siadając obok.

Instynktownie złapała Hanię za rękę.

– Nie mogę tego zrobić – wyszeptała Hania, z trudem łapiąc powietrze. – Nie umiem tu być!

– To tylko wspomnienia. Uporasz się z nimi.

Hania zaprzeczyła gwałtownie.

– Nie rozumiesz! – Wyrwała się z jej uścisku i mocno splotła palce.
– Johann i ja wierzyliśmy, że jesteśmy ponad to, co się wokół dzieje... Że jesteśmy silni i umiemy sobie z tym poradzić, bo przecież miłość podobno wszystko zwycięża! – zaśmiała się z sarkazmem. – Jakie to głupie! Takie banały śpiewają w piosenkach.

– A życie to nie piosenka – dodała Nina z powagą.

– Właśnie.

Hania popatrzyła na szwagierkę udręczonym wzrokiem.

– Nie wiem, czy wciąż go Kocham. Nawet nie jestem pewna, czy to, co czułam kiedyś, to miłość. Byliśmy młodzi... Zadrwiono z nas, wrzucono w wir dziejów... I to nie były dobre dzieje. Walczyliśmy o przetrwanie, a w takich warunkach można się pomylić...

– Kochałaś go, zanim to się zaczęło, zanim oboje wstąpiliście do piekła. Johann mówił mi, że ty i on przeszliście ciężką drogę. Takie przeżycia zbliżają, ale i rodzą wątpliwości. To naturalne. Wiem, co mówię, bo sama przemierzyłam tę drogę wielokrotnie.

Hania spuściła głowę. Zamyśliła się, przymknęła oczy. Promienie słońca muskały jej bladą twarz.

– Ukrywaliśmy się w Warszawie kilka miesięcy – zaczęła cichym głosem. – Ale Johann nie wytrzymał. Źle znosił zamknięcie. Mieszkanie Waszyńskich było malutkie, mieliśmy tam spartańskie warunki. Na początku była jeszcze woda w kranie, ale po kilku tygodniach Niemcy wyłączyli wodociągi. Nocą chodziliśmy nad rzekę, często spaliśmy w lesie... Coraz częściej docierały do nas informacje o powstaniu. Polacy przygotowywali się do walki zbrojnej przeciwko Niemcom. Ciągnęło mnie do swoich... Nie chciałam siedzieć z założonymi rękoma, gdy Polacy obmyślali plan powstania. Powoli docierało do mnie, że nasze wspólne dni są już policzone. Johann też czuł, że nie da rady żyć w ukryciu. Oficjalnie przebywał na urlopie zdrowotnym i jego dowódcy byli przekonani, że wyjechał do domu. Któregoś dnia oznajmił mi, że wraca do wojska. Wiedziałam, że go od tego nie odwiode... – Hania urwała, pragnąc zaczerpnąć powietrza. – To wtedy narodził się w nas pomysł

szybkiego ślubu. Wierzyliśmy, że tylko tak jesteśmy w stanie to przetrwać i być razem.

– Johann wspominał, że wzięliście ślub w ukryciu, w ruinach kościoła.

Hania przymknęła oczy.

– Tak. Był z nami tylko ksiądz, który wspaniałomyślnie nie odmówił nam przyjęcia przysięgi, choć wiedział, że ja jestem Polką, a Johann Niemcem. I była też Wandzia.

– Wandzia?

– Moja przyjaciółka, lekarka.

Hania zamilkła. Patrzyła przed siebie, na nowo przeżywając dzień, w którym została żoną Johanna von Richtera.

– Było słonecznie... Ciepło. Ostatni dzień lipca. Byłam wtedy taka szczęśliwa! Kochałam twojego brata całym sercem. W tamtym momencie nic nie było w stanie zburzyć naszego szczęścia. Johann podarował mi obrączkę babci Irene... Niestety nie mam jej. Rosjanie mi ją zabrali. Po ślubie nie poszliśmy do naszego mieszkania, tylko pojechaliśmy do lasu. Chcieliśmy ukryć się przed ludźmi, przed złem, przed wszystkim. Świadkami naszej nocy poślubnej były tylko drzewa i leśne ptaki, ale to była najpiękniejsza noc w moim życiu. Byliśmy małżeństwem. W końcu. A następnego dnia w Warszawie wybuchło powstanie.

– I Johann wyjechał – dodała Nina łagodnie.

Z oczu Hani popłynęły łzy.

– Tak... Nie mógł zostać w Warszawie, bo dostał rozkaz wyjazdu na front wschodni. Zresztą... Nie chciał występować przeciw powstańcom. On... Nie chciał mordować.

Nina chwyciła ją za rękę, chcąc w ten sposób ją pocieszyć, ale Hania zabrała dłoń.

– Warszawa spłynęła krwią. Niemcy zrównali ją z ziemią, do ostatniego kamienia. Moja mama... Zginęła w masowej egzekucji na Woli. Na rozkaz Reinefartha esesmani wymordowali kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Znalazłam ją na stosie trupów... I pochowałam. Rodzice Lucyny zginęli podczas zmasowanego ataku bombowego. Wandzię... rozstrzelano w szpitalu polowym, a Władek... umarł od ran po akcji, w której dowodził. Znalazłam go przed śmiercią w tym

samym hotelu, w którym ty zamieszkałaś w Warszawie. Był tam wtedy szpital dla powstańców. Nie zdążyłam mu nic powiedzieć ani podziękować, że... – zamilkła, dławiąc się łzami.

Co chwilę potrząsała głową, jakby próbowała wyrzucić z siebie te wspomnienia, które tak żywo do niej powróciły, a o których do tej pory starała się zapomnieć.

Nina rozumiała. Milczała, słuchając jej udręczonego głosu.

– Nie wiem, dlaczego przeżyłam – wyszeptała Hania po chwili, próbując się opanować. – Czemu nie umarłam jak oni. Nie szukałam śmierci, ale też nie dbałam o swoje bezpieczeństwo. Wstąpiłam do kobiecego batalionu, żeby walczyć, ale pozbawiono nas broni, więc zajęłyśmy się wytwarzaniem butelek zapalających i różnych materiałów wybuchowych, które dostarczałyśmy powstańcom. To wtedy zorientowałam się... że jestem w ciąży. – Głos jej się załamał. – Byłam zaskoczona, że właśnie wtedy, kiedy nic nie było, jak trzeba. Moje ciało nie funkcjonowało właściwie, głodowałam, a mimo to zaszłam w ciążę. Cieszyłam się, bo wiedziałam, że noszę w sobie część Johanna... To był już koniec września, schyłek powstania, Warszawa konała bez pomocy. Którejś nocy wyszłam do ruin po coś do jedzenia, bo całe dni spędzałam już w ukryciu z innymi. To wtedy namierzył nas snajper. Nie byłam sama, szło ze mną dwóch chłopców. Oni zginęli, ja przeżyłam, bo mnie osłonili. Dostałam w biodro – mimowolnie potarła dłonią chorą nogę – nie wiem, ile czasu leżałam w tych ruinach, ale znaleźli mnie Rosjanie i zabrali do szpitala polowego. Byłam w złym stanie, ale... Przeżyłam. Umarło moje... Nasze dziecko. Rosjanie gwałcili mnie kilkakrotnie... – Zakrztusiła się szlochem.

Nina chwyciła ją w objęcia i zaczęła delikatnie kołysać. Hania płakała. Łzy spływały po jej twarzy, przynosząc ulgę i oczyszczając głowę ze złych wspomnień.

– Teraz będzie inaczej – wyszeptała Nina. – Już nie będziesz musiała się bać. Nigdy więcej. Twój mąż o to zadba. I ja również.

* * *

– Panie Richter[14], to dla nas wielka radość, że spotykamy się w przyjaźni i możemy bez przeszkód powiedzieć, że stajemy się również współnikami w interesach.

Johann uśmiechnął się zdawkowo do swoich gości. Rupert i Claudia Sternbergowie kilka tygodni temu przyjechali z Drezna i osiedlili się w dawnej posiadłości Kauffamanów, po tym jak tamci zaraz po wojnie wyjechali na stałe do Szwajcarii. Johann wiedział z plotek i docierających do niego szczątkowych informacji, że jego dawny przyjaciel Gustav ożenił się z Francuzką i sprowadził do siebie całą rodzinę. Nie zamierzał wracać do Niemiec.

– Cieszy mnie nasza współpraca – odparł uprzejmie. – Browar świetnie prosperuje, mamy stabilny wzrost produkcji i przyznam, że liczę na kolejne inwestycje.

Odwrócił wzrok w stronę okna, skąd doszedł do niego warkot silnika samochodu. Instynktownie podniósł się z fotela i wyjrzał na dziedziniec Richterhause.

– Spodziewa się pan kogoś jeszcze? – zapytała uprzejmie pani Sternberg, z wyraźną nutą ciekawości w głosie.

– Nie... – odparł bardziej do siebie niż do gości. W luksusowym mercedesie rozpoznał samochód należący do jego siostry.

Nina zniknęła gdzieś kilka tygodni temu, nie mówiąc, dokąd się wybiera. Johann wiedział jedynie, że na pewno nie wróciła do Los Angeles, bo pożegnałaby się z nim, a nie zrobiła tego. Ich matka również nie miała pojęcia, gdzie podziewa się Nina.

Jego siostra wysiadła z samochodu, skrywając oczy za ciemnymi okularami.

Cieszył się, że wróciła. Tęsknił za nią. W ciągu ostatnich miesięcy zbliżyli się do siebie i Nina stała się jego jedyną powiernicą. Tylko z nią miał odwagę rozmawiać o dręczących go koszmarach. Tylko jej jednej mógł wyznać wszystko.

– To moja siostra – rzekł z powagą do gości, nie patrząc jednak w ich stronę.

– Nina Howard! – zaszczebiotała Claudia Sternberg z zachwytem.
– Cieszę się, że w końcu będę miała sposobność ją poznać. Oglądałam wszystkie jej filmy! Jest o wiele lepsza niż Marlene Dietrich!

Johann już jej nie słuchał. Zapatrzył się na drugą kobiecą postać, która wysiadła z taksówki.

Drgnął.

Kobieta rozejrzała się wokół niepewnie, jakby onieśmielona, dokładnie tak samo jak przed dwunastu laty, kiedy z wdziękiem zstępowała po schodach na bal z okazji Oktoberfestu. Tylko jej twarz była teraz inna – smuklejsza, bardziej wyrazista. Mrużyła bursztynowe oczy. Ubrana była niezwykle skromnie: w niebieską sukienkę, bez zbędnych ozdób, z włosami ciasno spiętymi na karku. Zafascynowały go jej subtelne gesty i delikatny uśmiech, którym obdarzyła wysokiego i chudego jak patyk chłopca, wysiadającego z taksówki tuż za nią. W trzeciej kobiecie rozpoznał Lucynę Wolińską.

Nie wiedział, co zrobić, jak się zachować. I nagle zrozumiał, że niewiele trzeba, by przeżyć chwilę szczęścia w sytuacji, gdy nic już nie jest oczywiste i nic nie jest dane raz na zawsze. Nie był już młody – miał czterdzieści lat i dużą część życia za sobą. Nie oczekiwał już niczego i niczego nie pragnął. Jego marzenia i nadzieje pogrzebała wojna.

A jednak teraz czuł, że w tej jednej chwili, w tej jednej sekundzie, kiedy ujrzał ją żywą, prawdziwą – narodził się na nowo.

Nina energicznym krokiem weszła do salonu, zaanonsowana przez kamerdynera. Zatrzymała się tuż za progiem i popatrzyła na brata roziskrzonymi oczami.

Państwo Sternberg podnieśli się z foteli, by zapoznać się z nowo przybyłymi, a Johann wciąż stał przy oknie, nie śmiąc się poruszyć.

Widział przez okno, jak Hania wchodzi po frontowych schodach; patrzył na jej niepewny, kulejący chód i ogarnęło go bolesne wzruszenie.

Kiedy weszła do salonu, spojrzął jej w oczy – te ukochane, które nawiedzały go w snach, nie dając spokoju.

– Braciszku, przywiozłam ci towarzystwo, bo ostatnio narzekałeś na samotność – odparła Nina lekkim tonem.

Johann odchrząknął zmieszany, poruszył się i niczym w transie pokonał całą długość salonu. Doszedł do Hani, ale nie miał odwagi jej dotknąć ani się odezwać, bo wzruszenie odjęło mu mowę. To ona

złapała go za jedyną dłoń, jaką posiadał, i mocno uścisnęła. Owionął go jej zapach. Odwrócił się gwałtownie do Sternbergów, próbując opanować emocje.

– Drodzy państwo – wychrypiął zmienionym głosem. – Pragnę przedstawić... Mam zaszczyt przedstawić moją żonę, Hannę Richter.
– Ostatnie słowo wypowiedział jakby ciszej.

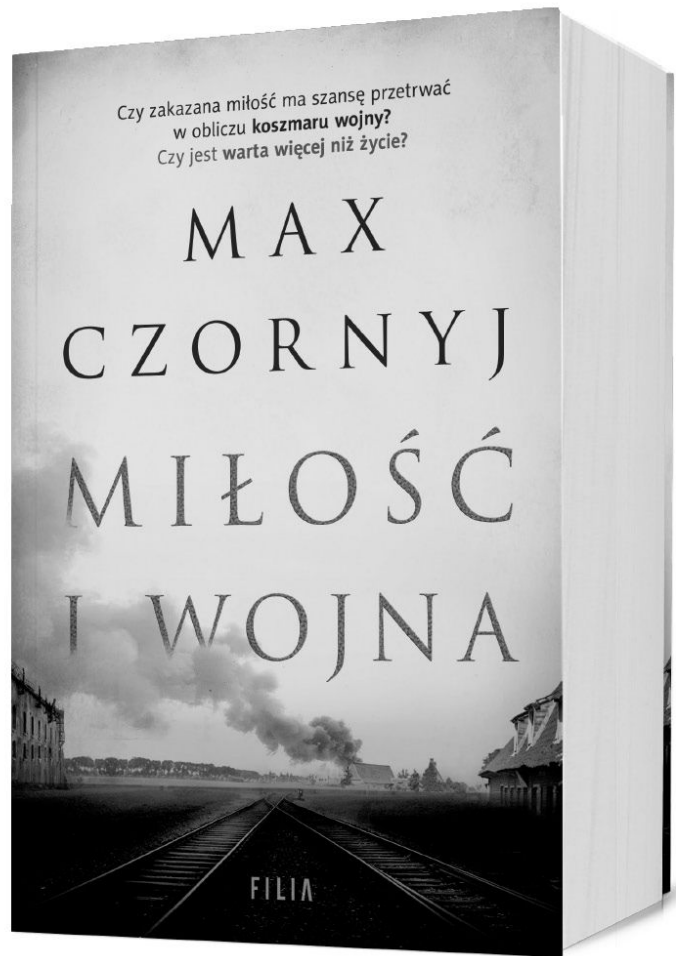
Poczuł, że Hania ścisnęła go mocniej za rękę. Odwrócił się do niej i pomimo obecności zaskoczonych gości i samego kamerdynera, objął ją ramieniem i schował usta w jej włosach.

Koniec

5.01.2021, Zielona Góra
godz. 22:38

[14] Po II wojnie światowej przyimek „von” przestał być stosowany przez dawną niemiecką arystokrację.

Czy zakazana miłość ma szansę przetrwać
w obliczu koszmaru wojny?
Czy jest warta więcej niż życie?



FILIA

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[PROLOG](#)

[CZĘŚĆ PIERWSZA](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[CZĘŚĆ DRUGA](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[CZEŚĆ TRZECIA](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[EPILOG](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Barbara Wysoczańska, 2021
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2021

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Stephen Mulcahey / Trevillion Images

Redakcja: Malwina Kozłowska
Korekta: Monika Ślusarska
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-618-5

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl